

**Wiktor Żwikiewicz**

# **Imago**

## Rozdział I — Punkt zaczepienia

Szklaną komorę wypełniał brząsk tak delikatny, jakby szarym popiołem osiadał na cząsteczkach pyłu rozwianego w kosmicznej przestrzeni.

Z absolutnej ciemności objawiły się najpierw iskierki szronu — kryształki pary i powietrza zestalonego na szybie — pamięć JEGO ostatniego oddechu.

Coraz więcej rodziło się kształtów.

Powolny czas je lepił ze świtu wsączonego przez soczewki wytrzeszczone w mrok; najpierw rozjaśnił JEGO czoło — guzowaty, ledwie siwym pasmem przedzielony łeb, ominął wnęki oczodołów i po ostrym grzbiecie nosa ześliznął się na policzki — przyłgnął do zwiędłej tkanki liścia.

Skulona postać tylko kulę czaszki kierowała prosto we wzdęty pęcherz ekranu. Poniżej czoła twarz się kurczyła gwałtownie, brunatnymi fałdami porowatej skóry zwieriała w maleńką, zaciśniętą pięść. Podbródek oparty na piersi. Pajęczyna srebrzystej materii obwisała na kantach wąskich ramion. Czarne sęki rąk oparte na szklanej podkowie — podsiąkają światłem.

Siedzi tak — skulony, wyschły do najtajniejszej głębi — liść odpadły z gałęzi, porwany przez wiatr słoneczny, zasuszony i zbrunatniały w kosmicznej przestrzeni.

Pamięć jest czarną glebą, w której się zawiązują korzenie czasu, aby wydzwignąć Drzewo Kosmosu, przestrzenią nadać pień potężny, rozkręcić galaktyczne ramiona konarów, kędy prawa fizyki tłoczą energię między kruche gałązki gwiazd. Wszystko po to, aby się z pąków planet wykluły żywe listki roślin, zwierząt oraz ludzi. I — jeśli pozwoli traf — żeby, w którymś z kolei pąku, zawiązał się prawdziwy kwiat.

Jeśli go brak — w zielonych liściach dojrzewa tęsknota za przepychem barw.

Potem w tarczach ekranów budzą się i gasną źrenice gwiazd.

Rozwija się i zasycha liść.

Tysiące narodzin i śmierci, zanim pętla przeznaczenia zawróci GO do punktu wyjścia w koronie Drzewa Kosmosu. I po raz ostatni otworzy się przed nim gwiazdne oko, jak świeży sęk, z którego można zlizać żywiczną kroplę.

W pancernym ziarnie odezwie się szelest mechanizmów wskrzeszanych kolejno przez dopływ energii ze słonecznych baterii. Tylko ON będzie wciąż nieruchomy, choćby szron wyparował sprzed JEGO twarzy, zwilżył powieki i zdrewniała bliźnię zaciśniętych warg. Nawet gdy światło wypełni statek zapachem wiosny — ON długo jeszcze będzie siedział zeszytniały całkiem, dłońmi wparty w pulpity już ożywiony pulsem podszkliwnych tęcz. JEGO zmartwiałe ręce wciąż będą z wierzchu tylko przyprószone błękitnawym światłem.

Aby przefrunąć z gałęzi na gałąź trzeba ciało zwinąć w zasuszoną spore. Od gwiazd odległa próżnia wysysa słoneczny sok. Przed ostatecznym zgonem chroni relikwowe promieniowanie — resztkę energii, która Drzewo Kosmosu przed miliardami lat wyzwoliła z ziarna.

W pustej przestrzeni liść znajduje swą przetrwalnikową formę, żeby się kiedyś jeszcze rozwinąć na mgnienie, gdy przez chitynową skorupkę statku oddech gwiazdy przeniknie na nowo — tak właśnie, przebudzi soki w martwych tętnicach, palcom wróci elastyczność, życiodajnym żarem rozjaśni oczy i pierwsze tchnienie włoży między wargi.

Wtedy — zadrzy po raz ostatni. Zakrztusi się zdławionym miechem płuc, zanim pochwyci własną odwilż — rozprostuje ramiona, podniesie głowę i spojrzeniem błękitnych oczu poszuka zbliżającej się gwiazdy. I długo będzie patrzył przed siebie wyblakłymi, zmęczonymi oczyma wędrowca wracającego z daremnej pielgrzymki.

Wreszcie odchyli się na oparcie fotela.

Jak światło z zewnątrz, przez soczewki iluminatorów, tak i z JEGO wnętrza znak jakiś wypłynie na wargi. Może się uśmiechnie nawet. I tylko wysokiego czoła nic nie rozpogodzi — obciągniętego żółtą skórą, okolonego rzadkimi kosmykami białych włosów, odkrytego tak samo, jak przed JEGO przebudzeniem.

Jakby zawsze w nim czuwał, i nigdy nie przysnął, jakiś wewnętrzny wzrok.

## Rozdział II — Strefa systemu

Mężczyzna w skórzanej kurtce przecisnął się między stolikami, minął bar, przelotnym uśmiechem odpowiedział na kilka spojrzeń skierowanych w jego stronę, skinął dziewczynie siedzącej w końcu sali, wreszcie dotarł do wyjścia i pchnął oszklone drzwi. Przezroczyste skrzydła trzasnęły za jego plecami.

Przeciąg od klatki schodowej wywiał z westybulu tytoniowy dym i powietrze było tu chłodne, kojarzące się z przestrzenią za panoramiczną szybą w przeciwległej ścianie. Okno było jak lustro; patrząc kątem oka, kiedy promienie załamują się zamiast przejść na wylot, dojrzeć można wszystko, co dzieje się w klubie.

— Jestem Natan — powiedział podchodząc do człowieka stojącego przy oknie.

Z kieszeni wyjął czarny żeton.

— Mój przydział.

Człowiek wsparty o framugę okna w milczeniu obserwował zachód słońca nad rozciągniętą w dole płaszczyzną startowego pola. Zarzewie czerwieni wypalało głównie dalekich gór, ostatnim błyskiem ześlizgiwało się z kopuł Kosmoportu i skośnym rzutem promieni pogłębiało rozpełzłe po równinie pęknięcia betonowej płyty.

— Dobrze trafiłem? Powiedziano mi, że człowiek z „Trieda” czeka w hallu przed Interclubem.

Obojętnie skinąłem głową.

Mężczyzna przy oknie posłusznie powtórzył ten ruch. Tam, w płaszczyźnie szyby było nas dwóch: jeden młody, wysoki i elegancki, drugi niewielkiego wzrostu, do tego ubrany w obwisły, nieokreślonej barwy kombinezon. I jeszcze włosy, przeredzone popielate kosmyki, jak na tył głowy przesunięty skalp, żeby ochłodzić wypukłe, spocone czoło. Z wyglądu dałbym mu pięćdziesiąt parę, najmniej pięćdziesiąt — lat.

— Miałem odebrać dyspozycje — znowu zagadnął pierwszy.

— Odprawa jutro o czternastej — brzmiała odpowiedź.

— To wszystko?

Drgnąłem i odwróciłem się od okna.

— O przepraszam.

Bezsensowna zabawa w lustrzaną grę pseudowcieleń.

W zwierciadle prześwietlonym od zewnątrz zarysem martwego pejzażu dwaj mężczyźni stoją naprzeciw siebie i tam mogą być kimkolwiek zechcą — Faustem i Don Juanem, totalnym estetą według Georga Lukacsa, postkosmicznym wrakiem i tym gładkolicym elegantem — ktokolwiek się zbliży, żeby porozmawiać ze mną. Lecz wystarczy dać krok wstecz, niejako wyłamać się z płaszczyzny lustra, aby do reszty znikło złudzenie, którym z nich jestem.

— Przepraszam — powtórzyłem. — Czasami najdzie człowieka taka melancholia, że choć obuchem w łeb...

Na wysokości mojej twarzy pierś szeroka ze świeżo naszytym na bluzie emblematem FL-Galax. Na rozpostartej dłoni czarny żeton, jak prostokątne znamię pod samą skórą.

Aby skrzyżować wzrok ze spojrzeniem szarych, spokojnych oczu muszę unieść głowę. Jego twarz przypomina woskową maskę nałożoną na kanciastą formę żeliwnego odlewu. Miętkość rysów tylko powierzchowna, chociaż idealna symetria obu połówek twarzy czyni ją aż nazbyt przystojną, niezbyt męską. Do tego zaróżowione policzki i lekkie obrzmienie warg. Młody. Najwyżej dwadzieścia parę lat.

— W porządku — powiedziałem i wyciągnąłem rękę. — Elford, po prostu Elf. Ucisnął podaną dłoń. To było to — imadło w palcach; jeszcze mu nikt nie poluzował ścięgien. Parę lat temu każdego z tych chłopców mógłbym zażyć barbarzyńskim chwytem koreańskiej szkoły mordy. Znow nie tak wiele upłynęło czasu. Poza tym — i tak dobra szkoła nie pomogła lepszym ode mnie; przynajmniej w tej branży.

— Nie wiem, czy wypada — oszacował wzrokiem staż kosmicznego wraka, potem uśmiechnął się. — Ostatecznie jesteś moim dowódcą.

Pomyślałem, że człowiek w moim wieku to taka parszywa owca; jeszcze dźwiga dwustukilowy ekwipunek, oddycha byle zaduchem z paroma atomami tlenu na metr sześcienny, potrafi kantem dłoni zdzierać blachy z kapsuły starbolta, w którym smaży się jemu podobny, wyśpi się raz na tydzień, przez parę lat nigdzie nie zapuści korzenia, umie na pamięć Instrukcję Zwiadu, dziesięć przykazań i dwieście dwadzieścia paragrafów postawionych w roli cerbera na straży Praw Człowieka w Kosmicznej Przestrzeni, po omacku znajdzie każdy prążek w spektralnym widmie światła i bez liczydła wejdzie na właściwą trajektorię — wszystko super–ekstra–luks, chociaż wystarczy spojrzeć w lustro, żeby do reszty stracić wiarę w siebie jako reklamówkę FL–Galax. Marne na tobie opakowanie. Wiórfilc–szmelc. Żadna płeć się na to nie złapie. I nic nie znaczy, że nieco głębiej jeszcze ci nie zwapniał kościec i nie zardzewiały nerwy — tęsknisz do czasów, kiedy ci życie dopiero garbowało skórę.

— A poza tym... — zawahał się. — Wszystko w porządku? Zabrzmiało to mniej więcej tak: „wiem, staruszkule, że miałeś ostatnio paskudne dni, zebrało się nieco zaległości do nadrobienia, trzymasz się dzielnie, a jednak — może byś wolał rezerwat?” Co mam mu powiedzieć, że im przez ten czas wcale nie wybujały zanadto skrzydełka?

— Tak sędzę — powiedziałem.

— Widziałeś już statek? — zapytał.

— Trzymają w dokach. Stary wrak przechodzi kapitalny remont.

Dostrzegłem tylko, jak mu przez mgnienie kurcz mięśni wyostrzył rysy twarzy.

Przypomniałem sobie, że taki sam wyraz oczu miał facet z kapitanatu, kiedy mu podetknąłem pod nos licencję pilota. To samo powtórzyło się po kilku dniach: „Zgoda — powiedział. — Dostaniesz ten lot i nową załogę”, „Tried”? — zapytałem.

Bezradnie pokręcił głową: „— Na złom”. Nie minęła godzina, kiedy w mojej pustelni zjawił się jakiś nieznajomy mężczyzna o smutnej, bladej twarzy, cały też jakby z krzyża zdjęty. Siedział dobry kwadrans. Zaproponowałem mu kawę — skinął głową, ale kiedy podałem, tylko popatrzył i nie tknął filiżanki. Rozmawialiśmy o niczym; dał mi do zrozumienia, że go to interesuje, więc zdałem mu sprawozdanie z moich postępów w doksztalcaniu. Cały czas siedział w fotelu, w którym nie było mu jakoś wygodnie, i pilnie unikał mojego wzroku. Raptem zerwał się, szybko pożegnał i rzucił dopiero od drzwi: „Aha! Byłbym zapomniał. Zdecydowaliśmy jednak zachować „Trieda”. Nie obędzie się, oczywiście, bez kilku radykalnych zabiegów, tym nie mniej... życzę powodzenia”. Później wyciągnąłem od kogoś, że miałem zaszczyt gościć głównego psychotechnika Bazy. Pamiętam, tylko raz, kiedy już zniknął za drzwiami, spotkały się nasze oczy i on też wtedy popatrzył na mnie, jak przed chwilą Natan.

Wiem doskonale, że aby przerobić „Trieda” na nową modłę, trzeba z niego wypatroszyć praktycznie wszystkie bebechy, a i wtedy nie wyobrazę sobie ogryzka, który by mógł się na coś przydać — jeśli więc żal mi się było z nim rozstać, to tylko przez stary sentyment i na co tu aż ingerencja jakiegoś psychotechnika. Żeby mi się czuło swojsko w nowym oporządzeniu? Kawalek starego wybiegu nie zmieni niczego. Poza tym, bez przesady, nie tak znow trudno przywykać.

Raz jeszcze przebiegłem wzrokiem bezruch kamiennej płaszczyzny za oknem. Martwy pejzaż. Piękny, ale martwy, chociaż na horyzoncie szereg buldożerów równa kraterzy wyrzyte w piachu atomową akupunkturą odrzutu. Garbowanie skóry odbywa się również na kosmiczną skalę. Człowiek zawsze zostawia po sobie kraterzy. Sam również, kiedy go już zaliczą w poczet kosmicznych wraków, upodabnia się do Księżyca w nowiu, gdy na wygiętym grzbiecie wyraźnie widać wszystkie karby.

— Usiądziemy na chwilę? — zaproponował Natan. — Ostatni wieczór względnej swobody.

— Żałujesz?

— Trochę — przyznał. — Zasiedziałem się tutaj. Ale przejdzie. Nic mnie tu nie trzyma.

— Nic?

— Nic.

— Oczywiście — powiedziałem. — Chodźmy.

W drzwiach przepuścił mnie przodem i wskazał wnękę na przeciwległym końcu sali.

— Mój stolik — poinformował.

Spojrzałem tam i poczułem, jak mi drętwieje każdy mięsień ciała.

— Nie jesteś sam?

Wzruszył ramionami, a ja czułem tylko dotkliwy puls jedyne go czynnego tłoka — perpetuum mobile pod siódmym zębem; kiedyś tak samo chwyciło za gardło znacznie częściej. Kiedy mój psychofizyczny grzbiet nie wyglądał jak księżyc w nowiu. Trafiało się z tym na każdy alert przed zrzutem na teren szkolnego poligonu — że też pamiętam o tym! — potem bagno redukujące materię na zgrzybiałej Titonos. Też rodzaj testu; leżałem zassany pod gładką jak lustro powierzchnię, i tylko żołądek podchodził do gardła, kiedy liźnięcia protoplazmatycznego świństwa złuszczały kolejne warstwy skafandra. Ale wtedy człowiek miał czas się pozbierać, nim cebulka biologicznej ochrony dokonała pełnego strip-teasu. Na to potrzeba miesiąca.

— Chciała koniecznie poznać tego, z kim lece. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

— Skąd. Żonaty?

Roześmiał się krótko.

— Po prostu dziewczyna.

— Też racja — przyznałem uchylając wzrok w przeciwny koniec sali. — Inaczej nie mielibyśmy przyjemności...

Urwałem w pół zdania. Gdzieś, sam nie od razu lokalizowałem to miejsce, czyjaś twarz mignęła w półmroku. Dałbym wiele, żeby raz jeszcze spotkać tamte oczy o dziwnym wyrazie żółtawych, kocich źrenic. Błysnęły i przepadły. Wywoływanie duchów — pomyślałem. Natan ujął mnie pod ramię i pociągnął w drugą stronę.

Między siedzącymi przeciskaliśmy się w milczeniu. Nikt nie domagał się przeprosin za mimowolne potrącenia w ciasnych przejściach. Wszyscy znali się tutaj lub, zajęci rozmową w kręgu własnego stolika, nie zwracali uwagi na otoczenie. Tylko przytłumiony gwar nad pochylonymi głowami mieszał się z brzękiem szkła i ochrypłym głosem nie wiadomo skąd i przez kogo przywleczonej tu grającej szafy, odrapanego pudła bez reproduktorów kwadrofonii, bez feromonowego generatora, nawet bez psychodelicznej gry świateł. A przecież wystarczyło parę stóp wolnego parkietu i już samotna para kołysała się w miejscu, bardziej poddana nastrojowi autonomicznego światła dwóch zbliżonych twarzy, niż leniwemu rytmowi dawno zapomnianej melodii.

— Jesteśmy — powiedział Natan do dziewczyny oczekującej nas przy stoliku. — Poznajcie się: pierwszy z „Trieda”.

Ładnie to z jego strony, nad podziw delikatnie, jakby się cackał z kruchym szkieletem — Pierwszy z „Trieda” — i żadnych odsyłaczy do poczwarki, co się wylęgała z próchna w starej dziupli Drzewa Kosmosu.

Pochyliłem się w niezbyt zręcznym ukłonie.

— ...Inspektor Nadzoru Signal–Stars–service — dokończył Natan. — Prywatnie Liana Carnot.

— Miło mi.

Jej dłoń była sucha i ciepła. Chciałem dodać jakiś komplement na temat pięknych zjaw, lecz w głowie czerwony neon zapalał tylko: bon mot? bon mot? bon mot? — coś mruknąłem pod nosem i usiadłem bez słowa.

— Ona zawsze starała się mnie przekonać, że wszyscy tam — Natan kciukiem tknął w sufit — mogą przetrwać tylko dzięki do perfekcji opanowanym zwierzęcym instynktom. Pomogło.

— Będzie mi przykro — bezradnie rozłożyłem ręce — jeśli z mojej strony spotka panią rozczarowanie.

— Naprawdę?

— Sądzę, że dojdziecie do porozumienia — Natan błysnął zębami. — Die obern Zehntausend zawsze znajdzie wspólny temat.

— Gdzie trzeci? — spytała dziewczyna. — Ten, który z nami?

— Tak.

Spojrzałem na zegarek. Nie musiałem patrzeć — po kilku latach w próżni jakiś kawałek mózgu tyka nie gorzej niż najlepszy chronometr. Była osiemnasta dwadzieścia trzy.

— Zjawi się — powiedziałem.

Czarne brwi niemal zrosnięte u nasady nosa, wargi podwinięte — kiedy milczała, wydawały mi się ledwie różowe, lecz wystarczyło nieznaczne poruszenie ust, aby zakwitwały wyraźną czerwienią. Zabawny efekt, pomyślałem.

— Długo pan lata? — przy każdym słowie gorący akcent warg.

— Dwieście wystarczy, żeby przestraszyć kobietę?

— Czego dwieście?

— Lat.

Chciałem raz jeszcze rozejrzeć się po sali, liczyłem na odnalezienie tamtej twarzy, której obecność w tym klubie tak mnie zaintrygowała zaraz przy wejściu. Pech — przede mną zastygła w zdziwieniu, lekko uniesione brwi i ogromne, ciemne oczy — nie mogłem oderwać wzroku od tej twarzy. Ostрым językiem zwilżyła dolną wargę — jak pociągnięcie szybko schnącym lakierem po czymś nazbyt gorącym — wilgotny błysk i znowu mat. Była rzeczywiście śliczna. Zbliżenie jeszcze pogłębiło wrażenie, które zatrzymało mnie u wejścia do klubu. Śliczna — jak przystało na faceta dużego formatu.

W porę przypomniałem sobie o jego obecności. Przeniosłem wzrok na krzesło obok — nikogo. Zniknął. Nawet nie zauważyłem gdzie i kiedy.

— Ach, rozumiem — odezwała się po krótkiej kontemplacji. — Takich lat...

— Oczywiście, TAKICH — potwierdziłem.

Krótko i zwięźle. Miałem uczucie, jakbym tym niedopowiedzianym określeniem wyparł się lat zostawionych na tym cmentarzysku, gdzie czas nie potrafi dogonić światła. Zresztą, tylko skostniały dziwak podchodzi do nich z pietyzmem. Stary dureń — jak ja.

— I nie sprzykrzyło się? — zapytała świdrując mnie niespodziewanie dociekliwym wzrokiem. — Który to lot?

— Ostatni. Koniec sekcji zwłok.

Tym razem ja nie musiałem przed nikim umykać spojrzeniem w bok. Patrzyłem na

nią ze złą satysfakcją. Nagle coś się zmieniło w spojrzeniu jej wielkich jak u dziwnego ptaka, nagle smutnych oczu. Nie potrafiła ukryć zmieszania i współczucia. Chociaż starała się. To też było poznać.

— Nie wiedziałam. Przepraszam.

Roześmiałem się.

— Nic się nie stało. Kiedyś trzeba kończyć — powiedziałem. — Pewnego dnia Natan również wróci do ciebie. Na zawsze.

Powiedziałem per „ty”. Mogła być moją córką.

— Kto? — jakby nie dosłyszała.

— Natan.

Zdawało mi się, że zbladła. Jeden — jeden, pomyślałem. Lecz ona tylko w roztargnieniu skinęła głową.

— A pan, jakie są pana plany?

— Nie zastanawiałem się — mruknąłem. — Jakoś będzie.

— Ułoży się.

— Na pewno — chciało się parsknąć śmiechem, nareszcie prawdziwym, od serca; przemogłem się i dokończyłem z powagą clowna — przecież jestem pilotem.

To było piekielnie niezręczne uczucie siedzieć tak naprzeciw gadającej lalki i wymieniać grzecznościowe zwroty. Zastanowiłem się — co we mnie wlaźło? Najchętniej bym wstał i bez słowa odszedł do tamtego okna w westybulu, gdzie mógłbym spokojnie poczekać na tego trzeciego. Co ja mam powiedzieć takiej dziewczynie i czego ona może chcieć ode mnie? Żebym był niańką dla jej chłopca? Bzdura.

Nic już nie znaczy powolne przeskakowanie z gałęzi na gałąź, kiedy się człowiek skręca niby liść, a Kosmos sam aplikuje najbardziej skuteczną anabiozę. Mam jej opowiedzieć, jak to się zdycha, żeby po jakichś stu latach poczuć na nowo odwilż w bebechach? To prawie tak, jakbym wylaźł z jaskini, przeciągnął się, ziewnął, zabębnił po włochatej piersi, a na pytanie: „Jak się panu udało przetrzymać?” odpowiedziałbym: „Ech! Wystarczy obgryzać kości tych, którzy padli w zasięgu ręki”. Dzisiaj przeskok z gałązki na gałąź trwa miesiąc, najwyżej rok — ile trwa przepychanie w grawitacyjnym tunelu z obu stron zaczopowanym przez inną gwiazdkę. Potem ciśnienie samo wypłuwa statek z odrobiną pokaźniejszych rozmiarów protuberancją i możesz sobie frunąć, tu i tam dziubiąc okruszynki planet.

Tyle z zestawu informacyjnego przygotowanego na mój użytek. O związkach damsko—męskich czy nijakich nic tam nie było. I pomyśleć, że dzieli nas tylko pusty blat stolika. Jakże można być bliskim, licząc współrzędne przestrzenne, i cholernie dalekim w czasie. Jesteśmy na zawsze przypisani biegunom tego świata, z których — i owszem — można się sobie przyglądać, lecz nigdy naprawdę zrozumieć... Trzeba zacząć od znalezienia punktu wyjścia, od którego będziemy posuwać się dalej celem uzyskania przypomnienia. Dlatego też niektórzy przypominają sobie dzięki miejscom, w których coś zostało powiedziane, uczynione lub pomyślane, biorąc takie miejsca za punkt wyjścia do przypomnienia sobie wszystkiego, co się w nim zdarzyło...” Czy ja i ta dziewczyna możemy mieć jakiś punkt wspólny? Gdyby istniał rodzaj pamięci zdolny objąć przyszłość na równi z przeszłością. — Słyszałam, że to bardzo dziwny świat?

— Gdzie? — zapytałem odruchowo.

— Tam, dokąd lecicie.

— Aha — nie wiedziałem, co odpowiedzieć. — Po prostu inny.

— To bardzo ciekawe — powiedziała. — Czasami też chciałabym poznać coś, co jest inne niż świat, do którego przywykliśmy.

Jak niewiele trzeba na takiego jak ja, który jeszcze nosi w sobie ostatnią spore —



kawałek zasuszonej skorupki.

Czasami kobiety mają w sobie coś takiego, że facet czuje, jakby drogowy walec przejechał przez jego męską niezależność. Czy jednak istnieje coś poza doskonałością rysów twarzy, mleczną albo smagłą cerą, kalibrem piersi i wabikiem warg rozchylających motyle skrzydełka? Akurat jestem ostatni, gotów dać na to odpowiedź. Za długo byłem tam, gdzie brak żyznej gleby gotowej na przyjęcie twojego korzenia. Dzisiaj — obawiam się — gotów byłbym każdą maskotkę natchnąć personifikacją Wielkiego Ducha.

— Wszelkiej niezwykłości zawsze dopatrujemy się tam, gdzie nas nie ma — powiedziałem — Wszechświat jest takim właśnie Teatrem, gdzie grają sztukę, w której Aktor potrafi uprawiać tylko własne poletko. Metr na metr. Albo dokąd sięgnie starością. Prawdziwej Idei nikt jakoś nie potrafi wziąć na ząb.

— Natan śledził wasz lot. Pierwszy raport z „Trieda” odebrany w Strefie Systemu narobił sporo szumu.

— Doprawdy? — zadrwiłem.

Rozmawiała ze mną takim tonem, jakby mnie chciała pogłaskać po głowie: nie martw się, staruszkule, jeszcze jeden lot masz przed sobą. Jeszcze nie wszystko w tobie jest tylko pamięcią.

— Czy zdajesz sobie sprawę, ile to już czasu minęło? — spytałem rozbawiony.

— Tam? Najwyżej rok.

— O! A niech to diabli! Sto lat! Prawie cały wiek, który tam znaczy... Eh!

Pamięć — niewiele jej we mnie zostało. Tej znaczącej. W ośrodku dyspozycyjnym szarych komórek zainstalowanym w głowicy kosmicznego wraka mieści się pozbawiony soków informacyjny surogat, ekstrakt wyzuty z emocjonalnych akcentów; nawarstwił się jak pokłady gnejsu, wapienia, gliny i torfu — rejestratory geologicznych epok. Dzisiaj ta informacja jest już martwa. A ona mi mówi, że znalazł się żółtodzioby smarkacz, dla którego to, co pamiętam, nie jest archeologią wiedzy.

Zastanowiłem się, ile do tej, jak oni nazywają — Strefy Systemu dociera tego rodzaju informacji. Głuszony przez kosmiczne promieniowanie informacyjny śmietnik. Zresztą, co mają do powiedzenia plewy z psychiką na poziomie dwudziestego pierwszego stulecia, którymi to społeczeństwo przed iluś tam laty splunęło w przestrzeń. Szansa jedna na milion, że kolejny raport przyniesie bodaj Atom Rzeczy Nieznanej. Jednak nie wolno ryzykować i od razu wyrzucać na śmietnik, ergo — dopełniać komputerową pamięć. Wypada przynajmniej, żeby choć taka dziewczyna z Centrali Signal–Stars przeczytała między jednym a drugim wzlotem erotycznych tęsknot. Przeczyta i wyrzuci. Pogada z tobą i — to samo. Pszczółki latają sobie w kosmimicznych przestrzeniach, czasami wracają do ula coś z sobą przynosząc, kropelkę miodu, lecz zwykle słysząc tylko brzęczenie.

— Tak — westchnąłem. — Obchodzimy was tylko wtedy, gdy coś znajdziemy.

— Dużo pan wymaga — zareagowała niespodziewanie ostro. — Dawno minęły czasy, gdy każda wasza pielgrzymka odbywała się w imię ludzkości i na oczach całej ludzkości. Takie jak ja wzdychały wtedy do waszych mundurów. Dzisiaj są was tysiące, a my możemy mieć was na co dzień.

Popatrzyłem na nią uważnie.

— O tak — potwierdziłem. — Jest nas wielu. Żadna różnica; jeden mniej czy więcej.

— Tak pan sądzi?

Na splecionych palcach wsparła podbródek. Trochę z niej była dziwna dziewczyna. A przede wszystkim doskonale zda — wała sobie sprawę z upodobań takiego jak ja faceta. Młoda i pewna siebie, ale całkiem z tym sympatyczna. Patrzyłem na jej nagie ramiona wysuwające się z rozciętych rękawów sukni — dawały początek dymnemu

odbiciu w lustrzanym blacie stolika. Wyraźny rysunek łokci zatapiał w mglistej głębi lakieru dwa pasma śniadej skóry, pociągał za sobą kiście splecionych rąk, plamę twarzy, kruczoczarne włosy, w cieniu wyczuwalne wznoszenie i opadanie piersi prześwietlającej przez bladoróżowy aksamit.

Jak ona ma na imię? Liana. Chciałbym ją spotkać w tej dżungli, która czeka nas u kresu drogi nowego „Trieda”.

Pomyślałem to, i w tej samej chwili dziewczyna odwróciła głowę, a mnie się zdawało przez moment, że oto dokonało się dziwne rozdwojenie — jeszcze zarys jej twarzy patrzył na mnie smutnymi oczami, przygasłymi tak samo jak wargi, kiedy inna twarz obróciła się wewnątrz tej pierwszej i spojrzała w bok — powieki się tam zaiskrzyły jakby przysypane diamentowym pudrem, policzki rozświetliły od środka białym światłem, rozchylił się szkarłatny pęk w miejscu ust i nagle to wszystko zgąsło — włosy osypały się przesłaniając profil jej twarzy. Tylko ja zostałem z niezbyt mądrą gębą.

Liana rozglądała się po sali. Pewnie szukała wzrokiem Natana. Stał przy barze z grupą ludzi ubranych przeważnie w takie same bluzy z połyskującymi naszywkami FL–Galax.

— Miał przynieść coś do picia — powiedziała. — Nie zamawiał przedtem. Czekaliśmy.

— Doceniam. Podtrzymuje mnie na duchu myśl, że ktoś mógł na mnie czekać. Pójdę po niego.

Uniosłem się z krzesła.

— Zostań — przytrzymała mnie ręką.

Usiadłem z powrotem. Wyciągnąłem ręce na stół i pięściami wsparłem o blat. Musiałem w jej oczach wyglądać idiotycznie — smętny facet z połyskiem skroni gotowej na przyjęcie laurowego wieńca, jako zadośćuczynienia za ofiarę ciała i duszy na rzecz ekspansjonistycznej ideologii tej cywilizacji. Poza tym lękający się pozostawać zbyt długo sam na sam z piękną dziewczyną, jakby skrzętnie ochraniał to, co w nim jeszcze może odtajać. Typowy kosmiczny wrak.

— Mam nadzieję, że on coś jednak przyniesie. W przestrzeni żadna instrukcja nie przewiduje tego rodzaju używek. Z równym powodzeniem ktoś mógłby zabrać ciebie — roześmiałem się sam do własnych myśli. — Tam technika zapewnia tysiąc i jeden sposobów uszczęśliwiania przy pomocy odpowiedniej terapii. Zresztą spodziewam się wielu niespodzianek. Ostatecznie patroszą „Trieda” nie tylko spece od grawitacyjnych motorów. Pewnie pod ręką pęta się im niejeden psychoanalityk. I wszystko po to, żeby nas nie rozmiękczyła strenua inertio...

— Jesteś pesymistą?

— W moim wieku jest rzeczą obojętną, czy widzi się świat w różowym czy w czarnym kolorze.

— Sami jesteście sobie winni.

— Gdyż nieposiadanie kogoś bliskiego jest warunkiem zaciągu do służby w oddziałach Zwiadu FL–Galax?

— Właśnie dlatego.

— Próbowano inaczej. I wiadomo, co z tego wyszło.

Niespodziewanie wyciągnęła rękę ponad stolikiem i spokojnie położyła na wierzchu mojej zaciśniętej pięści. Chciałem ją cofnąć, zabawne — ciepło też potrafi paraliżować.

— Lepiej opowiedz, jak tam było.

— Gdzie?

— Wiesz.

— Czytałaś raport.

— Owszem — przytaknęła. — Ale chciałabym wiedzieć, jak to było naprawdę. To znaczy bez wykresów z monitorów pokładowego komputera, bez tabel, szyfrów i statystyki fizyko–chemicznych procesów. Bez tej waszej kabały. Jak widział to człowiek, choćby...

— Taki jak ja — zaśmiałem się. — A przecież tam każdy z nas jest taki sam. Doskonałe równouprawnienie. Kiedy siedzimy pod osłoną bioblokady nasze oczy to echosondy, radary i kamery statku; to dozymetryczne czujniki i laserowe komory spalania próbek zaczerpniętych przez automatyczne wysięgniki. Widzimy tylko skład chemiczny gruntu i atmosfery zakodowany w spektralnym widmie światła, obserwujemy kartograficzne odwzorowanie okolicy na ekranie koordynatografu sprzężonego z kamerami satelitów pozostawionych na orbicie, czujemy impulsy głębinowych bomb rejestrowane przez sejsmografy. Punkt widzenia naszych oczu najlepiej określić cyframi.

— Wychodziliście na zewnątrz.

— Jaka różnica: pancierz „Trieda” czy skafander ze skorupą biologicznej osłony.

— To wszystko?

Wzruszyłem ramionami. Jeśli zacznę się zastanawiać nad tym, co było, nieuniknione stanie się łamanie głowy nad przyszłością. Niedługo znowu tam będziemy. A czas miniony i przyszły są ze sobą nierozzerwalnie związane. Jak napisał sławny bolończyk Boncompagno da Signa w pracy „Rhetorica novissima”: „Pamięć jest wspaniałym i podziwu godnym darem natury, dzięki któremu przypominamy sobie rzeczy przeszłe, ujmujemy terażniejsze i rozważamy przyszłe opierając się na ich podobieństwie do przeszłych”.

— Nie obchodzą mnie wasze raporty — powiedziała z nagłym zniecierpliwieniem. — Nawet gdy ktoś wtrąci parę słów w ludzkim języku trudno się pozbyć wrażenia, że to raport mumii z grobowca. Żaden z was nie pozwoli sobie zapomnieć, że jest z krwi i kości żelaznym facetem z n–tego korpusu takich samych jak on.

— Co ty możesz o tym wiedzieć?

Aż się pochyliła nad stolikiem. Poczulem zapach przenikliwy, jakby się teraz dopiero rozwarły przede mną dwie twarde skorupki, dwie złożone dłonie, płeć tak długo stulona, która się oto otworzyła w moją stronę wilgotnym, podnieconym wnętrzem. Jej policzki płonęły rumieńcem, w oczach sprężyła się kocia drapieżność. Coś aż jęknęło we mnie — pękła bańka z Na tanem przyssanym do jej piersi — i myśl: „tigers don’t like honey” — myśl nie wiem skąd.

Tymczasem tygrys patrzył na mnie ze złą zaciekłością w pociemniałych oczach.

— A jak sądzisz — syknęła mi w samo ucho. — Po co mnie tutaj wzięli? Myślisz, że psycholodzy Systemu specjalnie przebierają w kadrach, żeby byle gdzie upychać takie dziewczyny?!

— O! — wyrwało mi się. — Na pierwszą linię zawsze idą najbardziej wykwalifikowane kadry.

Miał to być pewnie komplement, lecz jej reakcja przeszła moje oczekiwania.

— Wspaniale! — usłyszałem dziwnie twarde śmiech. — Nawet się nie spodziewasz, jak bardzo wykwalifikowane! Obok przewalania dokumentacji w biurach FL–Galax, prócz ustawicznego gubienia i nawiązywania łączności musimy być miłe dla tych, którzy wracają i miłe dla odlatujących. Przede wszystkim dla tych ostatnich, żeby każdy miał do czego wracać i — kiedy nie pomoże technika — żeby przynajmniej ta ostatnia słomka dawała wam bodziec do trzymania się życia. Czego to nie wymyślą psycholodzy, żeby pomóc wam przetrwać! Jak sądzisz, ilu ja miałam takich; posiwiatych przedwcześnie i niezniszczalnych, piekielnie bohaterskich i beznadziejnie nudnych, żelaznych i mięknących w najmniej odpowiednim miejscu?

Patrzyłem na nią zdumiony. A tymczasem coś się zmieniło wkoło mnie, przygasały

światła i głosy docierały do mnie zagłuszone.

Naprzeciw w naelektryzowanym obłoku jakby granatowych włosów, rozpostartych nitkowatym wachlarzem, twarz dziewczyny zapadła się we fioletowy półmrok, w którym tylko usta drżały pąsowe, rozjarzone autentycznym płomieniem, a jeszcze głębiej dwa węgle roziskrzonych oczu. Fala gorąca zaparła mi dech w piersi. Mimo rozbieranego wzroku ledwie kątem oka chwytałem drgnienia jeszcze przed chwilą stabilnie usytuowanych przedmiotów, jakby się pod zewnętrzną powłoką wstrząsnęła ich wewnętrzna natura.

— A ty mi mówisz, że twoje oczy to spektroskopy, liczniki promieniowania, kamery komputerów! O tak! Bez nich już nie potraficie się obejść!

Zdawało mi się, że tkwię pod szklanym kloszem, sam na sam z dziwną istotą, której nie potrafię określić wzrokiem. Po zewnętrznej powierzchni tego pęcherza kształty i ich barwy należące do postronnego świata ściekały niby rzadka akwarela. Ledwie mogłem tam dostrzec zarysy sąsiednich stolików — białe kielichy, nad którymi pochylały się twarze pozbawione oczu, ust, nosów; czasami dostrzegałem ciała jakby nagie, rozlane, zlepione końcami palców lub w tańcu lgnące do siebie podbrzuszymi. Nie potrafiłem skupić uwagi — mój wzrok coraz szczelniej uwięziony w paku stulonych krucznych skrzydeł, skąd pachnie rozgrzaną skórą, a każdy oddech wiąże język smakiem różanych płatków, wilgotną gorączką innych warg, których płomień — wiem o tym — zdusić mogę tylko własnymi zębami.

Czułem, jak pot ciurkiem spływa mi po krzyżu.

Szarpnąłem się — daremnie.

— Przecież ślepcem jesteś! — słyszałem jeszcze. — To Strefa Systemu! Nie rozumiesz jeszcze? Patrz tu! Tu i tam! To wszystko po to, żeby prekursorzy Systemu nie dostali bzika z pierwszego podejścia. Myślisz, że komukolwiek z nas jest to potrzebne?

Dostrzegłem jej rękę zawieszoną w powietrzu, niby z półprzezroczystej perłowej masy. Spłynęła w bok i jakby rozgarnęła otaczający nas półmrok, przecięła szczelinę malutką, przez którą wtargnął na moment gwar od strony baru i twarze — znowu ludzkie — pewnie mógłbym tamtędy wypłynąć na powierzchnię, przynajmniej zaczerpnąć powietrza.

— To wszystko dla was! Dla ciebie! Dbają tu o to, aby czas, który dla nas już minął, na was nie odbił się zbyt boleśnie. A przecież sam wiesz, ile minęło czasu... Och, gdybyś wiedział, co mnie to kosztowało, abym teraz takich jak ty potrafiła zabawić rozmową. Czym jest ten świat nie pojdziesz tak samo, jak nie nauczysz się oddychać próżnią... A jednak jesteś człowiekiem. Żeby was przyhołubić trzeba wam pod nos i oczy podetknąć kawałek swojskiego pejzażu. Prawda, że piękna dekoracja? Taka jest otoczka całej Strefy Systemu. W trosce o was — spóźnionych. I wszystko po to, żeby was zbyt nie poraziło. Żebyście mieli czym oddychać! Żebyście mieli się czym pocieszyć!

Bezwładnie wisiałem na czymś dającym oparcie. Ręce — przetrącone skrzydła — na boki. Twarz do różowej piersi, której zbliżenie przenika mnie bezgraniczną błogością, a niżej — ciemność pod różowym przezroczem i jeszcze jedna tajemnica okryta srebrzystozłotym puchem.

— Cóż dopiero za kamień z serca spada, jeśli jeden z tych wraca z licencją zezwalającą na ostatni lot... Masz! Może tam sobie kark skręci! Byle dalej stąd! Rozumiesz mnie? To tylko atrapa. Spójrz wokół siebie. Strefa Systemu przywdziała ochronną scenografię. W trosce o takich, jak ty.

## Rozdział III — Pamięć

Siedziałem ze ściśniętym sercem i nie śmiałem obejrzeć się wkoło, skąd nikt na nas nie patrzył — czułem to.

Sztywno usadowiony na swoim krześle patrzyłem na nią; śliczna buzia, wargi drżące jeszcze i nieco bardziej wilgotne oczy. Jakby tylko co uroniła nade mną łezkę.

Kiedyś, na zgrzybiałej, cuchnącej starością Titonos, kiedy ósmy dzień taszczyłem nieprzytomnego Ulama przez pustynię od roztrzaskanego starbolta, w meteorytowym kraterze trafiłem na żywe, jeszcze nie zwyrodniałe jądro reproduktora bioplazmy. Wyglądał jak kwiat. Z wierzchu fioletowy, gdzie bioplazma redukowała się w starczej ekosferze Titonos, głębiej pulsujący mnogimi barwami, od pąsowych zamgleń do cytrynowożółtego, drgającego jądra. Żywa kula leżała wbita w grunt, a ja przez chwilę chciałem zerwać ten kwiat.

Dziewczyna cofnęła swoją dłoń i na wierzchu ręki czułem tylko odrobinę ulatniającego się ciepła — równie szybko, jak wtedy umierał tamten niby-kwiat. Ułam nawet otworzył wtedy oczy, ale i tak potem nic nie pamiętał, więc kto mógł mi uwierzyć.

— Dlaczego to zrobiłaś? — spytałem cicho.

— A! — leciutko strzepnęła palcami jakiś nieistniejący pyłek na nagim ramieniu. — I tak odlatujesz stąd. Nikt mi nie będzie miał za złe. Poza tym chciałabym, żebyś miał jednak jakąś szansę...

— Szansę czego?

Nie musiałem się rozglądać szukając świadectwa na potwierdzenie tego, co usłyszałem od niej. Wierzyłem jej. Zresztą zbyt wielu uprzednio zarejestrowanych drobiazgowców za sprawą tej jednej wykładni złożyło logiczną całość. Cały czas wydawało mi się, że trwam na płytkiej mieliźnie, poza właściwym nurtem przenikającym ten świat, jakbym wniknąć potrafił tylko pod jego zewnętrzną otoczkę, a ta jest przecież taka, jaką praktycznie przyniosłem w sobie. Nic nad to.

— Jesteście naiwni, a do tego nudni — parsknęła. — Pięknie potraficie mówić tylko o kobietach, a i to wyłącznie w ich obecności. Był tutaj kiedyś jeden taki. To wszystko przez pamięć dla niego...

— Kto? — zapytałem odruchowo, jakby to miało znaczenie, który z tych mężczyzn przysłużył się mojemu wtajemniczeniu.

— Mungo Clair.

— Kto-o?! — powtórzyłem zdumiony.

— Znałeś go?

Z reguły nienawidzę wspomnień, ale czasami nie ma przed nimi ucieczki. Choćby teraz — kiedy ktoś po imieniu wywołuje dawno zapomnianego człowieka. Jego imię to też balast pamięci, która tkwi we mnie zbyt mocno, abym poczuł swobodę dającą mi szansę przeniknięcia w inny świat.

Mungo Clair. Tylko imię, a przed oczyma zjawia się w całej okazałości. Cudaczna reinkarnacja — barki jakich nie widział nikt przedtem ani później, chyba u Hefajstosa, do tego lniana czupryna nad oczami patrzącymi z cielecym oddaniem, co łatwo było zrozumieć opatrnie; wiecznie powolny w mowie i gestach, jakby się zmuszał do podniesienia ręki, a słowa wyciskał niczym pastę V tubki. Trzeba się było z nim zżyć, aby stracić złudzenia co do jego refleksu. Kiedyś — zgodnie z zaleceniami Instrukcji o rozładowywaniu napięć — założyliśmy bokierskie rękawice, to było tuż przed Tyrsem i Titonos — sędziował Van den Berg. Byłem wtedy w pełni formy i przetrwałem jedenaście rund, lecz jego szczękę trafiłem tylko raz. Raz — na

jedenastcie rund! Flegmatykiem też był raczej z pozoru. Po prostu, gdy wyglądało, że braknie mu słów, były podzwonna myśl, za którymi nie nadażał słowotwórczy aparat języka. Dlatego nie brał udziału w dyskusjach. Pamiętam, kiedy się poznaliśmy, powiedział tylko: „Cześć. Nareszcie. Nazywam się Mungo Clair”. Z wyjątkiem westchnienia „nareszcie!” byłaby to formułka nie urągająca najbardziej drętwym savoir-vivre’om. Rzecz w tym, że spektakl rozegrał się na Siedemnastej Joule’a-Thomsona. Pierwsza wyprawa ratunkowa „Trieda”. Bazę na Siedemnastej przegryzł pomiot kosmicznej panspermii, zeżarł stal i inne metale, tylko ceramiczny rezerwuar glonów w zamkniętym bioobiegu Bazy okazał się dlań niestrawny. Utworzyło się coś w rodzaju kesonowego pęcherza. Kiedy przylecieliśmy Mungo Clair stał goły, jak go Bóg stworzył, po pierś w zielonym, szeroko rozlanym bajorze, z głową pod czapą rozhermetyzowanej kopuły, gdzie zbierało się nieco wolnego tlenu wyprodukowanego przez glony. Nie mógł stamtąd wyjść, żeby nie wyzionąć ducha w azotowej mieszance atmosfery. Mógł tylko cierpliwie stać, a jeszcze — zwariować. Więc sterczał tam i wdychał tlen produkowany przez zielsko, żarł glony, czasami w nich popływał dla gimnastyki. Przez sześć miesięcy. Pół roku. Na początku było z nim jeszcze paru. Wszyscy, którzy schronili się pod patronat chlorelli, żeby utworzyć z nią lokalną biocenozę. Wytrzymał tylko jeden. Reszta próbowała coś zdziałać, wypęzali z bajora i kolejno dławili się bez powietrza, a potem po skarpie — chlup! — z powrotem. Zastryk pożywki dla glonów. Lecz Mungo Clair przetrwał i nawet się przedstawił: „Nazywam się Mungo Clair”.

— Z twoich roczników? — zapytała dziewczyna. — Nie będziesz miał mi za złe, jeśli ci o nim coś opowiem?

— Zależy co.

— Daj spokój. Nic, co ciebie może urazić. To był jedyny mężczyzna, którego naprawdę kochałam.

Wyznanie zabrzmiało tak sucho, aż mimowolnie wyobraziłam sobie tę dziewczynę, jak bez skrepowania ściąga przez głowę swoją półprzeźroczystą, różową pajęczynę, przez moment staje przede mną naga, potem przez głowę wkłada stary sweter — szorstki, spłowiały ze starości i wystrzępiony, wielki aż zakrywa piersi, brzuch, pleć, sięga do pól uda niby pokutniczy worek; stary sweter — ten, który naprawdę lubię; mężczyzna, którego naprawdę kocham.

— I który potrafił to odwzajemnić. Myślisz, że takie, jak ja, nie są do tego zdolne? Zdawało mi się, że uśmiechnąłem się tylko w myślach, lecz ona zareagowała ostro:

— Bawi cię, gdy mówię o uczuciach?

— Nie to — spuściłem wzrok.

— Nieważne. Najlepiej opowiem ci, jaki naprawdę był Mungo Clair. Przede wszystkim o wiele przystojniejszy od ciebie. I od Natana, chociaż temu się zdaje... Kobiety za nim szalały. Nawet te z głębi Strefy Systemu. Mógł być, jeśli o to chodzi, zupełnym ideałem, ale Szkoła Zwiadu i kilkanaście lat czynnej służby zrobiły z niego psychicznego kastrata. Chodził chłodny i obojętny, na wszystko patrzący z pobłażaniem, po szyję zapięty w ten wasz mundur z pieczętką FL-Galax. Taki żelazny człowiek, Man of Destiny, gwiazdny superman. Zawsze zdawało mi się, że takich można — i owszem — podziwiać albo żałować, ale to wszystko. Co dopiero iść z nim do łóżka. Zupełny nonsens — darzyć głębszym uczuciem. Miłość częściej wiąże przez ułomności. Kiedyś myślałam, że nawet w Boga uwierzyć można tylko wtedy, gdy będzie po ludzku ułomny, a pokochać — jeśli jest nieszczęśliwy.

Ciekaw jestem, czy ona wie, co na ten temat mówił Boncompagno — pomyślałam. Dusza przed zstąpieniem do ciała znała i pamiętała wszystkie rzeczy Wszechświata. Dopiero od momentu połączenia z ciałem jej wiedza i pamięć osłabły. Natura ludzka na skutek upadku została wyzuta z pierwotnej anielskiej postaci. Więc ciało i jego

zmysły byłyby piętą achillesową naszego intelektu. Ale my — w rzeczy samej — częściej kochamy ciało.

— Pech chciał, że mnie powierzono rolę jego anioła stróża.

Mungo Clair był pierwszym człowiekiem z zewnątrz, od czasu stabilizacji Strefy Systemu, któremu pozwolono przeniknąć w głąb. Taki psychologiczny eksperyment. Nie było mu lekko — w to możesz mi wierzyć. Poza obowiązkami damy do towarzystwa starałam się być jak najlepszym przewodnikiem. — Na początku z racji funkcji. Potem... Sama nie wiem, jak i kiedy to się zaczęło. Dobrze nam było ze sobą. Jak przystało na bohatera nazywał siebie Odyseuszem, a mnie swoją Penelopą. Zabawny był z tą wiarą w siebie i wiadomości wyniesione ze Szkoły Zwiadu. Ale mi to nie przeszkadzało. Wyjątkowo. Po prostu nie zwracałam uwagi na jego dziwactwa. Pewnie za bardzo do niego przyłgnęły. Musiał być taki — przystojny i śmieszny, mądry a czasami naiwny jak dziecko. Przede wszystkim zaś — wierzący w wasze posłannictwo. Nawet nocami majaczył o gwiazdach, Instrukcji Kontaktu i rozkładzie lotów na parę najbliższych miesięcy.

Uśmiechnąłem się raczej smutno. To wcale nie było takie zabawne.

— Lecz cały czas miałam nadzieję, że na tym się skończy i zostaną nam, co najwyżej, miłe wspomnienia. Mieliśmy pecha — popatrzyła na mnie spod rzęs podobnych do skrzydeł czarnej ćmy. — Dziwisz się, że tak mówię? To tacy jak ty ustanowili prawa, według których takie jak ja nie mają prawa do głębszych uczuć. Ekspansja w kosmos wymaga mocnych przyspieszeń, a prawdziwa miłość to balast, który wam — co prawda — pozwala częściej wracać, lecz nam przeszkadza w uszczęśliwianiu innych. Tylko nie mów, że jestem cyniczna.

Nie miałem najmniejszego zamiaru w czymkolwiek podważać jej przekonania. Może miała rację. Może nie. Za bardzo nie wsłuchiwałem się w to, co mówi. Po prostu siedziałem z nogami wyciągniętymi pod stół i rękoma wciśniętymi w kieszenie bluzy. Jeszcze nie całkiem ustąpiła ta duszność i miękka zapaść w piersi, które tak niedawno położyły mnie na blat stolika nie gorzej niż osiem g. Aby się wziąć w garść starałem się raczej przysłuchać tylko jej głosowi, nie słowom uosabiającym treść, lecz intonacji, do jakiej nie przywykłem w przestrzeni, o której zapomniałem na seansach tresury przyszłych gladiatorów w wylegarniach Szkoły Zwiadu.

— To był najszcześniejszy tydzień w moim życiu — ciągnęła. — Gdyż nic nie wyszło z dochowywania wierności naszym instrukcjom i patronackim instytucjom. Wiesz, jaki naprawdę był Mungo Clair? Poznałam jego dzieciństwo, młodość, nigdy i z nikim naprawdę nie spełnione pragnienia, nadzieje na przyszłość. Myślisz, że ich nie miał? Zaczęliśmy budować wspólne zamki. Czasami, pamiętam, kładł mi na kolanach swój wylegnięty od hełmu łeb — nazywałam go przez to Moją Bestią — i płakał ze szczęścia, jednocześnie do łez naśmiewając się z min dyspozytorów w Centrali FL–Galax, kiedy im powie, że ma ich gdzieś i więcej nie da się zrobić w żaden dalekosiężny rejs.

Umilkła, a ja patrzyłem na nią i wydawało mi się, że jeszcze wypiękniała pod wpływem tych wspomnień.

— Co dalej? — spytałem.

— Wiedziałam, że nic dla siebie nie znalazł w Strefie Systemu. Tak samo, jak przedtem w przestrzeni. Ale tymczasem i mój świat się nieco zmienił. Istniała szansa, że wspólnie znajdziemy jakiś złoty środek. Przynajmniej dla siebie... Kiedy wróciliśmy z wnętrza Strefy na Mungo czekała nominacja na komodora ekspedycji w stronę odkrytego podczas poprzedniej jego wyprawy czerwonego karła. Zarejestrowano tam jakieś chromosferyczne anomalie... To miał być jego ostatni lot. Tak postanowiliśmy. Na pożegnanie przyniósł mi biały bez. Nikt nie miał pojęcia, skąd go wy dostał na takiej jak ta planetce. Cały bukiet. Nie powiedział ani słowa, ale

kiedy odlatywał wiedziałam, że wróci. Bardzo to patetyczne, ale tak było. Zostałam zupełnie spokojna z naręczem białego bzu, jak ze ślubnym bukietem, bo też to było nasze mariage blanc.

Wiedziałem, jak to się dalej potoczyło.

— Słyszałeś, jak zginął?

Czy słyszałem? Moim okiem był wtedy Henri Cugnot, pilot starbolta towarzyszącego patrolowej rakiecie. Patrzyliśmy na ekran w nawigatorni statku-bazy i przez kamery zainstalowane w głowicy starbolta śledziliśmy ten ostatni lot Mungo Claira. Przy pierwszej próbie zejścia do perihelium, jeszcze przed odpaleniem chromosferycznej sondy, zawiodły systemy ekranizacji silników. Szedł w dół, prosto w kipiące morze ognia. Pierwsza napotkana protuberancja zlizwała zewnętrzny pokrowiec rakiety, zdmuchnęła anteny i dalej leciał jak kometa, zamknięty w swojej kabinie, gdzie dalej funkcjonowały resztki pomiarowej aparatury. Słoneczny wiatr obdzierał kapsułę z ostatnich ochronnych lusterek, wysadzał tkankę tłoczącą płynny hel, ale człowiek w jądrze tej komety przez trzydzieści kilka sekund mógł śledzić wykresy na zbiorczym display'u pokładowych komputerów, rejestrację danych bezcennych dla astrofizyków. Rakietka przemieniona w chromosferyczną sondę pozbawiona była anten i nic z tego nie mogliśmy zarejestrować na macierzystym statku. Lecz Henri Cugnot, który — w rzeczy samej — nic nie mógł poradzić kręcąc się wyżej na pokładzie starbolta, przywiózł potem taśmę z nagraniem głosu Mungo Claira. Poprzez szum przeraźliwy, trzaski i przeciągłe wycie gwiazdnej atmosfery zamontowana w skafandrze pilota radiostacja bliskiego zasięgu przekazała jego głos. Miał szansę jedną na milion, że ktoś go jednak usłyszy zanim do reszty złuszczą się ochronne powłoki rakiety. Mimo to czytał; spokojnym i równym głosem przekazywał układy liczb, symbole, cyfry, cyfry, cyfry. I głos nie drgnął mu ani razu.

— Kiedy przesłuchiwałam taśmę miałam nadzieję, że chociaż coś — ledwie się poruszały wargi w półmroku, a twarz pochylonej ku mnie Liany, zarazem jakby liliowa i zagubiona we fioletowym podcieniu włosów, znowu przejęła mnie niepokojem. — Że cokolwiek... Ale do końca pozostał głosem automatu. Wtedy przestałam pojmować, czy bardziej go kocham czy nienawidzę.

Wyobraźnia jest tylko funkcją pamięci sprzężonej z symboliką podświadomości. Dlatego przymykając oczy mogłem w ułamku sekundy wywołać w mózgu projekcję ostatnich kadrów tamtej epopei. Nie widziałem jej bezpośrednio, lecz wiem, jak musiała się skończyć — ognista kula schodzi po stycznej do płonącego oceanu, paruje z potworną szybkością, aby resztką materii odbić się od nieokreślonej powierzchni i rozwinąć w przestrzeni maleńką protuberancję, niepozorną w gwiazdnym zwierzyńcu, gdzie salamandry i smoki prężą swoje grzbiety rozciągnięte na setki tysięcy kilometrów, aż do planet docierają podmuchem słonecznych erupcji. I jedynym śladem tych zdarzeń obok kroniki faktów w systemie komputerowej pamięci, pozostaje nic nie znaczący rozłam w duszy jakiejś dziewczyny, w scenerii starych dekoracji — romantycznego reliktu minionej fazy podboju przestrzeni; nic nie znaczący, gdyż życie toczy się dalej i nie uznaje docelowych stacji, podobnie zresztą jak mityczne posłannictwo, o którym słuchy chodzą pośród chłopców idących na lep reklamowym sloganom FL-Galax.

— Możesz mi teraz powiedzieć, jak jest tam, dokąd lećcie? Tak właśnie jest: życie toczy się dalej. Chociaż coś we mnie się skręca w kłębek stroszący długie kolce. Gdybym posiadał zdolność biologicznej mimikry, pewnie bym teraz wyglądał tak właśnie — niby nastroszony jeżozwierz. Tak bardzo pragnąłem, aby ten temat tu i teraz pozostał tabu. Do czasu, kiedy nie będę miał zupełnie szans ucieczki przed myślami nasuwającymi obraz tamtej Planety. Z dwojga złego wolałbym rozmawiać o następnej setce takich jak Mungo Clair.



— Nie bardzo potrafię — powiedziałem z ociąganiem. — Nigdy nie próbowałem mówić o tym... w zbeletryzowanej formie.

Blady uśmiech nieco złagodził napięte rysy jej twarzy.

— Pragnę zrozumieć, dlaczego Natana tak bardzo tam ciągnie — powiedziała.

— Tak bardzo? — wzruszyłem ramionami.

— Gdybyś ty wiedział, co się ostatnio z nim działo. Coś się tu mocno poplątało... Ale ty, dlaczego ty również wybrałeś tę planetę?

— Nie wybierałem. Jak sama powiedziałaś, dano mi tę szansę. Trudno, abym krzywił nosem. Poza tym istnieje coś takiego jak poczucie odpowiedzialności. Śmieszne w mojej sytuacji, lecz reszta z tych, którzy mogliby służyć za bardziej wiarygodnych świadków, wykończyła się przez te kilka lat. Mistyk mógłby tu wysnuć historię nie gorszą od zemsty faraonów zwalającej z nóg badaczy piramid... jak nas, odkrywców martwej planety.

Uśmiechnąłem się w duchu i pomyślałem, że bardziej by to pasowało do potwornej Titonos, na której wszystko co żywe w przeraźliwym tempie rozsypuje się w proch, kwiat więdnie w ułamku sekundy, a człowiek bez systemu biologicznej ochrony od świtu do zmierzchu przeistacza się w zgrzybiałego starca, żeby umrzeć z nastaniem nocy. Lecz Titonos żyła kiedyś. Jeszcze w skalnych grotach, w wąwozach i bagnach kryją się zdychające powoli, opornie, tajemnicze jądra reproduktorów bioplazmy. W przeciwieństwie do Titonos ta planeta, na której wylądował „Tried” była martwa od początku świata. To tylko my dokonaliśmy jej zapłodnienia: Jakby przez miliardy lat akumulowała w planetarnym jądrze potworną energię witalnej siły. Tak samo jak w wypadku badaczy piramid po prostu wykrusza się moje pokolenie i nie ma w tym żadnego „przekleństwa kosmosu”. Odszedł Van den Berg i Horowitz, zginął Yongblod, a Ułam powiesił się, kiedy straciła ważność jego licencja pilota.

Prawa cywilizacji nie różnią się niczym od praw natury. Podobnie jak w życiu tak i w maszynierii FL–Galax gwarancja użyteczności dotyczy tylko objętych czynną służbą. Spokojna filozofia starości nie jest w modzie. Mechanizmy ekspansywnej cywilizacji preferują dynamikę młodych pnączy — szybciej, mocniej, efektywniej wycisnąć żywą siłę, górą płodozmian traw o przyspieszonej wegetacji! I trudno się dziwić, że brak chętnych do eksmisji na teren rezerwatu dla baobabów. Nie nadajemy się do roli tysiącletnich dębów niewzruszenie trwających na granicy między snem a mądrością powoli smakującą głębię filozofii bytu. Młodość społeczeństw tworzy cywilizację bokserów — trzy rundy dla amatorów, piętnaście dla zawodowców; może kiedyś historia przybliży nam czas derwiszów. Wtedy miałbym coś jeszcze przed sobą, teraz przyjdzie wyłączyć się z głównego krwioobiegu — na zmianę przychodzą nam tacy jak Natan, młodzi, pewni siebie, niosący własne posłannictwo — bo cóż wiem o ideologii Systemu?

— A więc byliście tam, poznaliście tamten świat. Skąd więc natychmiastowa decyzja podjęcia powtórnej wyprawy? — spytała dziewczyna. — Cały czas się zastanawiam, dlaczego Natan wybrał drugi rzut, do miejsc już zbadanych.

— Nie — zaprzeczyłem. — Jeszcze nie. My tylko tam byliśmy. Wystarczająco długo, żeby się zdziwić; za krótko, aby cokolwiek zrozumieć.

— To nie ma znaczenia. Dla teoretyków Kontaktu planeta nie przedstawia żadnej wartości.

— Liczy się nie tylko Kontakt.

— Oszukujesz sam siebie — cicho powiedziała dziewczyna.

— Nie mam zwyczaju.

— To twój ostatni lot. Trudno się dziwić, że nie chcesz pozbywać się złudzeń wagi tego, co dokonałeś przez okres służby w formacjach FL–Galax.

Tym razem nie miała racji. Widmo Kontaktu ciąży nad nami tylko przez kilka

pierwszych lat. Potem przychodzi rutyna i obojętność. Dwieście lat świetlnych w tę lub w tamtą stronę; gdzie i po co — nie ma znaczenia. Typowa tułaczka wyrobników przestrzeni. Ewentualna nadzieja Kontaktu bywa tylko echem mitów młodości, jakie w naszej psychice zacierają się po kilku bliższych kontaktach z domeną „innych światów”.

— Poza tym — powiedziałem — od naszej tam wizyty minęło z górą sto lat, a tam znaczyć to może tysiąckrotnie więcej niż najbardziej wstrząsający wiek w historii Ziemi. Myślę...

Urwałem nagle, aż Liana musnęła mnie zdziwionym spojrzeniem.

Nie zwracałem na nią uwagi. Z napięciem wsłuchiwałem się w głosy sali za moimi plecami. Czułem czyjś wzrok na sobie, natarczywe spojrzenie oczu ukrytych pośród ludzi zgrupowanych przy barze; jakby do pleców przylgnął mi lepki język gigantycznej muchy. Uśmiechnąłem się do tego porównania, ale sugestia pozostała — czułem, że ona tam jest, pod czarnym sufitem, sama ciemnogrnatowa, tłusta, połyskująca fałdami zewnętrznego chitynowego szkieletu, skrzydlata — teraz z daleka wyciąga swoje labium, przylgę unaczynioną receptorami smaku, i po omacku szpera nią w przestrzeni. Zdawało mi się, że czuję, jak skóra karku zaczyna mi drgać i marszczy się pod wpływem jakiegoś naskórkowego zmysłu, który rejestruje ten dziwny węch–wzrok–dotyk–smak. Ktoś wpatrywał się we mnie z tej strony, gdzie ponad gwarem ożywionych rozmów górował śmiech Natana.

Odwróciłem się gwałtownie. Szybko, a jednak zbyt opieszale, aby zlokalizować tamto natrętnie spojrzenie.

— Opowiedz, jak tam było — dziewczyna uparcie wracała do tematu, przed którym wzdygał się jakiś bezpiecznik zadomowiony w mojej psychce.

Usiłowałem rozruszać ramiona i zdrętwiały kark — pozostało w nim nieprzyjemne mrowienie mięśni. Czułem się raczej nieswojo. Komu przyszło do głowy, żeby akurat mnie brać na obiekt parapsychologicznych eksperymentów? Nie jestem królikiem doświadczalnym.

I nagle wydało mi się, że potrafię zrozumieć, skąd wzięło się we mnie to uczucie. Przypomniałem sobie, jaki na mnie wpływ miała ta dziewczyna, kiedy na moment pomogła mi przeniknąć pod zewnętrzną otoczkę dostępnej dla mnie scenografii. Nikt postronny nie spostrzegł wtedy, co zaszło między nami. Tak samo teraz Liana znalazła się poza tym, co mnie dotykało bezpośrednio. Zupełnie tak, jakby ktoś jeszcze próbował nawiązać ze mną kontakt poza iluzorycznym sztafażem Strefy Systemu.

— Ładowaliśmy tam tylko dla dopełnienia formalności — zacząłem porządkować rozbiegane myśli. — Planeta była absolutnie martwa. Typowy przykład braku nawet pierwotnej organizacji materii. Zwykle takie planety występują po prostu poza gwiazdną ekosferą. Ta była inna. Nie za daleko ani nie za blisko macierzystego słońca. Dyskutowaliśmy nad śmieszną ironią losu, która nawet planecie spełniającej warunki konieczne do powstania życia, w naszym rozumieniu, nie dała tej szansy. Pozostała bryła martwego żwiru, jakby Stwórca zapomniał dopełnić logos...

Na chwilę przymknąłem oczy wywołując z pamięci nieco zatarte czasem wspomnienie.

— Załogę „Trieda” stanowił komplet pięciu osób. Bądź co bądź była to wówczas pierwsza linia Zwiadu. Pamiętam, Yongblod powiedział wtedy, że planeta ta jest stworzona do życia jak kobieta do miłości... Nie nużę cię? — zapytałem.

— To nawet romantyczne.

— Lecz ona była doskonale martwa. Yongblod powiedział również, że jej jałowość jest poniżej średniej martwoty całego Kosmosu. Lepiej zostawmy w spokoju całą tę historię.

— Chcę wiedzieć, co was tam czeka.

Bardzo opornie docierało do mnie to, co powiedziała. Sformułowane to było w liczbie mnogiej. O ludzka naiwności! — zaśmiałem się nad sobą.

— Mów, jak tam było naprawdę — powiedziała. — Kolor nieba, ziemi...

— Niebo było zielonkawe. Wiesz, taki rozcieńczony mgiełką seledyn. Pewnie na skutek atmosfery pozbawionej tlenu, anoksygeniczej; azot i duże ilości gazów szlachetnych, hel, neon, argon. Górna powłoka atmosfery pozbawiona była ozonowego płaszcza. Do powierzchni docierało dzięki temu całe ultrafioletowe promieniowanie gwiazdy. Tlen występował jedynie w różnych związkach chemicznych. Przede wszystkim w wodzie i w parze wodnej. Było trochę związków bardziej złożonych, do dzisiaj zaliczanych do chemii organicznej, które jednak na Ziemi straciły rację bytu w utleniającej atmosferze. Bo przecież pierwotna gazowa otoczka Ziemi niewiele różniła się od tamtego powietrza.

— A gleba?

— To był zupełnie absurdalny zestaw kolorystyki. Niebo zielone i pomarańczowa gleba. U nas taki odcień miawały niektóre gliny. Ale tam grunt był sypki, sam piach, którego żółte pasma otwierały się na klifowych urwiskach w przybrzeżnej strefie mórz i oceanów.

— Więc było i morze?

— Najprawdziwsze z tych, jakie widziałem poza Ziemią. Kilka mil od brzegu prawie gładkie. Woda w nim była niezwykle gęsta. Koloidowe roztwory, które przy brzegu tworzyły piany i hydrozole. W strefie raf kotłowała się biała piana gęstsza i wolniej ulegająca rozkładowi niż w naszych oceanach. Efekty bywały porażające. Kiedy wszedłeś po kolana w musujący odmęt trudno było się utrzymać na nogach, kiedy sunął na ciebie aż po horyzont rozciągnięty, perlisty wał piany. Na skalnych wystęпах brzegu na pół zakrzepłe płyty leżały jak śnieg...

Nie mogłem jej tego opisać. Po prostu przez gardło by mi nigdy nie przeszły słowa konieczne, aby właściwie oddać piękno tamtego krajobrazu. Czytałem kiedyś bzdurne opowiadanie o tym, jak pewien facet cierpi strasznie, gdyż domyśla się, że jest potomkiem kosmicznej rasy, która została zdominowana przez cywilizację homo sapiens. Od innych ziemian różni ich szczególna cecha, relikw dzwawcznego, kosmicznego języka; gdyż piszą, mówią i myślą poezją. Bzdura — może dlatego w Szkole Zwiadu nie uczą poezji. I tak we flocie galaktycznej trudno narzekać na brak nawiedzonych durniów.

Wystarczy bowiem przymknąć oczy, aby piękno tamtego krajobrazu zjawilo się tutaj w całej okazałości. Tutaj — w zadymionej knajpce pośledniego Kosmodromu, w podłej Bazie ledwie wiążącej koniec z końcem, gdyż czas najwyższy przenieść dekorację nieco dalej, w ślad za oddaloną tymczasem o kilkadziesiąt parseków linią Pierwszego Zwiadu. Jeśli animatorzy Strefy Systemu potrafią nam podetkać pod nos swoją atrapę, czemu mi nie wolnoby zmaterializować właśnie tutaj widmo planety doskonale czystej, jeszcze nie wprawionej w ramki obrazów, map, fotografii, filmów ściśle tajnych. Moja prywatna holowizyjna projekcja prosto z pamięci, która całą zawartość szarych komórek odparowuje w spektakl gigantycznych, pomarańczowym światłem prześwielonych wachlarzy wody, gęstej jak syrop ciemnozielony, żel ciemniejszy od lokalnej odmiany nieba; w pianę twardniejącą w powietrzu, lejącą pustymi oczami mydlanych baniek, stygnącą koronkami włókien zlepionych niby pajęcza ślina czy wata cukrowa skręcona w kule między załomami skał. Wokół Planety krążyło kilka księżyców i solidne pływy dawały o sobie znać u schyłku każdej doby. Podczas przyptywów piana osiadała na zębatych brzegach i zostawała tam, kiedy zaczynał się odpływ. Kiedyś, wracając na starbolcie z sondowań morskiego dna, które uparł się przeprowadzić Van den Berg — pokładowy lekarz, fizyk i geolog,

miałem szczęście zobaczyć widok niezapomniany. Wysoko nad wodą nawisła skarpa perlących się pian, przez którą ostrza skał sterczały czerwonymi kłami, a w dół spływała gęsta, czarnozielona maź. Van den Berg powiedział, że to wygląda, jakby kontynent się wściekł, zębami raf wgrzył się w ocean i kąsał, kąsał, kąsał, po czym — kiedy ustąpiła wściekłość — rozwarł szczęki toczące jadowitą pianę i z gardła chlusnął soczystozielony sok, jak krew z przeżutego trawiastego kęsa.

— Okrutne — odezwała się Liana.

— Tam każdy z nas dorabia się nieco chorej wyobraźni — odparłem. — Choroba zawodowa. Dorabianie symbolik. Mitomania... A jednak woda tam była rzeczywiście zielona jak sok puszczony przez miazgę trawy. Ale tylko w dzień. Nocą nawet rzeki zastygały czernią. Taka nieprzenikniona czern, jakby z gór spływały potoki smolistego żelu albo brzeg popękał rozszerzając dorzecza tektonicznych rozpadlin w stronę pustego oceanu—krateru. Kiedy nocą stało się na brzegu wrażenie było takie, jakby za linią raf zaczynał się pionowy uskok. W nieskończoność. Żadnego szmeru, bodaj szelestu fal — po prostu pusta przestrzeń wlewająca się w próżnię kosmosu.

— Znaleźliście tam życie?

Roześmiałem się nie patrząc jej w oczy.

— Nic — powiedziałem. — Ta planeta to swoisty fenomen w skali wszechświata. Jak słusznie podkreślił Yongblod: kobieta stworzona do miłości i która jej nigdy nie zaznała. Ładowaliśmy po prostu żeby rozprostować kości...

Mogłem jej opisać, jak wyglądały nasze pierwsze dni w nowym świecie. Dzień po dniu, godzina po godzinie. Tylko jakie to dla niej miało znaczenie? Obchodzi ją to, co jeszcze może się zdarzyć, a ja jej tego nie wywróżę. Nie jestem wyrocznią. Hołubię wyłącznie wspomnienia o ludziach, którzy rozeszli się swoimi drogami. Nawet Tam trafia się różną drogą. Tylko ja jeden wróćę. Z nową załogą. I stokroć potężniejszym „Triedem”. Po co? Nie wiem. Rozdrapywać stare rany? Nie było ich tak wiele. Umarły razem z ludźmi, którzy kiedyś stanowili załogę „Trieda”. Dobrą załogę. Drugiej takiej nie będzie. Teraz z paroma chłystkami wyniańczonymi w Strefie Systemu mam lecieć zbierać nowe baty od probabilistyki kosmosu? Za późno. Na to jestem za stary. Zmęczony — chociaż na moim biologicznym zegarze dopiero za pięć dwunasta. Chciałbym odpocząć. Czy to wygórowane pragnienia; nie chcesz mnie jeszcze nagrodzić rajem moja społeczna opatrności? Strefa Systemu nie spieszy się mnie usynowić. Poświęci dwóch swoich gladiatorów, bylebym miał jakieś oparcie w pneumatycznych szczudłach. I Bóg wie, do czego im potrzebna informacja o grzędzie, którą próbowaliśmy uprawiać podczas naszej pierwszej wizyty. Społeczna opatrność ma nadzieje na zrealizowanie rajskiej utopii za sprawą Boga—Kosmosu? A może nie chce mnie przenieść w stan spoczynku, gdyż tutejszy Raj nie przylega do mojej wizji wniebowstąpienia?

Zgoda — wezmę swój węzełek i pokuśtykam precz, lecz za nic więcej nie mam zamiaru nadstawiać głowy.

Nad czym ja się tutaj roztkliwiam? Podczas pierwszej ekspedycji nikt się nie zastanawiał nad racją takiego czy innego postępowania. Robiono, co do każdego należało.

Początkowo długo i bez rezultatu szukaliśmy przyczyny, dla której Planeta pozostała jałowa; jakiej iskry zabrakło, żeby się na niej zaczął kołowrót biosyntezy. Horowitz tworzył swoje paranoiczne teorie, w różnych proporcjach mieszając biologię, fizykę, chemię, kabałę i kosmologię; Van den Berg rozgrzebywał warstwy geologicznych pokładów, jakby miał jednak nadzieję odnaleźć tam nieco organicznego próchna; Yongblod przebierał w kolekcji filtrów do naświetlania wodnych koloidów zaczerpniętych z morza, napromieniowywał je skoncentrowaną wiązką światła gwiazd — do czegoś to miało służyć, był gorącym wyznawcą teorii

Głosu Pana; ja i Ułam, drugi pilot, szwendaliśmy się bez celu i z resztą grupy zabawiali w chowanego. Czasami polegało to na znikaniu na dwie–trzy doby, to znów wtykaniu nosa w nie swoje sprawy, skutkiem czego co rusz Van den Berg znajdował w glinie starannie obrobiony tłuk z obsydianu albo Yongblod z osłupiałym wzrokiem wyciągał z zaczynów całkiem sformowane pasmo zielonego wodorostu — już zaczynał wierzyć w swą kreacyjną potęgę, po czym poznawał chlorelle z ekosystemu „Trieda”. Poza tym Ułam i ja szukaliśmy byle okazji, żeby się urwać w przestrzeń lub wyciskając ze starboltów siódme poty — odświeżać technikę pilotażu w atmosferze planet. Kiedyś daliśmy taki popis akrobacji w bezpośrednim sąsiedztwie „Trieda”, po którym Yongblod przywitał nas dziwnie roztrzęsioną miną, a Van den Berg — już przy kolacji — oschle poinformował, że nie znosi cyrku i jeśli chcemy się popisywać dalej, to żebyśmy się przynajmniej im z oczu wynieśli.

Dwa razy nie trzeba było powtarzać. Zabraliśmy dwa starbolty i poleciliśmy nisko nad planetą, żeby ze statku za długo nie mogli nas śledzić. Potem najpierw Ułam świecą strzelił w przestrzeń — ja za nim i po trzech godzinach piekielnych przeciążeń dotarliśmy do najbliższego z księżyców planety. Ułam był dobrym radiotechnikiem — wystarczyło piętnaście minut na zainstalowanie tego, co trzeba. Wróciliśmy tą samą drogą. Noc na statku minęła spokojnie. Następnego dnia żaden z nas nie przejawiał ochoty do nowych eskapad. Snuliśmy się bez celu. Dyżur w nawigatorni pełnił Horowitz. Ziarno miało paść w najbardziej podatną glebę.

Siedzieliśmy właśnie w bibliotece, kiedy zjawił się Yongblod i zapytał grzecznie, czy piloci zapomną o zawodowej etyce i zechcą przybrudzić rączki. Chodziło o pomoc przy dopełnieniu jakiejś instrukcji, która zaleca badanie — wobec braku rdzennych form biologicznych — czy grunt martwych planet nie jest podatny na siedlisko dla ziemskich roślin, jakie z czasem mogłyby przekształcić ekosferę martwego globu. Ułam i ja zgodziliśmy się chętnie. Blisko „Trieda” Yongblod wytyczył swoje poletko — blisko, gdyż zawsze można się rozmyślić i przy starcie ogniem wykarczować zdewaluowane precjoza. Potem przytaszczył inseminacyjny zestaw — starannie zaplombowany pojemnik. W środku były jakieś zasuszone plechy, bulwy, cebulki i kilkanaście pudełek z nasionami. Kiedy to wszystko zagrzebaliśmy w czerwonej glebie Yongblod zjawił się z czymś w rodzaju konewki i zaczął polewać piasek. Na ten widok Ułam i ja parsknęliśmy śmiechem, ale potem zapytałem Yongbloda, skąd wziął wodę. Wyjaśnił, że ze zbiornika glonów wewnętrznej biocenozy „Trieda”. Zacząłem z niego podrwiwać i poradziłem doprowadzić raczej akwedukt od strony oceanu, trochę więcej zachodu, ale przynajmniej zostałaaby zachowana czystość eksperymentu: wszystkie witaminki powinny przecież pochodzić z jednego tortu. Aż mu poczerwieniały uszy, kiedy tego słuchał, on — biolog. Zmieszał się paskudnie, przyznał rację i stojąc bezradnie z konewką, z której kapały ostatnie krople, zapytał — co teraz począć. Zacząłem już kombinować, co tu wykręcić w miarę uciesznego, z twarzy Ułama też widać było, że tego rusza głową, i wtedy właśnie usłyszeliśmy dziwny jęk od strony trapezu spuszczonego z wjazdu „Trieda”. Odwróciliśmy się wszyscy razem. W ciemnym otworze śluzy pojawiła się blada twarz Horowitza. Biała jak kreda. Patrzył na nas z wysoka. Coś ścisnął w rękę. Nagle postąpił krok do przodu — Yongblod krzyknął, myśleliśmy, że Horowitz zleci na łeb z wysokości trzech pięter, lecz jakoś trafił stopą na pierwszy szczebel, odwrócił się do nas plecami i zaczął schodzić dziwnie niezdarnie, jakby spełzał ledwie czepiając się drabinki. Kiedy był jakiś metr nad ziemią odpadł od niej rzeczywiście. Pewnie chciał zeskoczyć, ale uczynił to tak niefortunnie, że po prostu klapnął siedzeniem na ziemię. Pozbierał się z niej natychmiast — Yongblod skoczył mu pomóc, ale on podniósł się sam, cały jakiś nastroszony, dygocący niby w febrze. Ruszył nam naprzeciw — nigdy nie potrafił

chodzić w skafandrze ze specjalną biologiczną osłoną — teraz też szeroko rozstawiał nogi, jakby miał pieluchę w kroku, patrzył na nas wielkimi oczami i dreptał z wyciągniętym do przodu ramieniem. Widziałem, jak pod szklaną kulą hełmu bezdźwięcznie porusza wargami. W pięści zaciskał zwitek folii, na której komputer kreślił swoje wykresy. Yongblod wyrwał mu to z ręki i zaczął kręcić, nie mogąc się zdecydować, gdzie dół, gdzie góra. Ułam i ja podeszliśmy bliżej. Horowitz był niezbyt pokaźnego wzrostu, każdemu z nas sięgał do brody. Teraz od dołu zamglonym wzrokiem zajął nam w oczy i krótkim paluchem tknął w zielonkawie niebo. „T-tam...” — usłyszałem. — „T-tam s-są...” „Kto?” — zapytał Yongblod. „O-ONI” — jęknął Horowitz. — „Od-debrałem s-sygnal. S-stamtąd... kom-mpu-ter wykłucza p-pomyłkę... Tam, na pierwszym księżycu... ONI tam są!”

I wtedy Ułam nie wytrzymał. Skurczył się i — zanim zdążyłem go trzasnąć w plecy — zaskowyczał nagle, zakrztusił cudacznym spazmem, a potem usiadł na ziemi i tarzał się po niej wstrząsany chichotem, i ja też — poczułem, jak mi łyzy tryskają z oczu — zapiałem jak kogut; a oni stali nad nami i nic nie rozumieli — tylko Horowitz wciąż szarzał na twarzy. Wieczorem nie zjawił się w messie „Trieda” na wspólnej kolacji. To było szóstego dnia od czasu naszego lądowania na tej cholernej planecie.

Kiedy obudziłem się na krótko przed świtem dnia następnego, Horowitz siedział w mojej kabinie. Wyciągnął się w fotelu i patrzył na mnie spode łba. Kiedy przecierałem zaspane oczy wydało mi się, że się uśmiecha krzywo. Bez słowa wstałem i poszedłem do łazienki. Właśnie stałem z głową pod kranem, gdy wszedł za mną. Nie bardzo pamiętam, co wtedy powiedział. Było tam coś o trzydziestu latach jego służby w formacjach FL-Galax, o nadziejach, zwątpieniach i ufności, że jednak kiedyś doczeka się dnia, dla którego warto było znosić te wszystkie lata i w ogóle dać się zwerbować do Szkoły Zwiadu. Zacząłem go przeproszać, ale przerwał mi bezceremonialnie i powiedział, że nie ma za co. Wyciągnąłem głowę spod kranu i popatrzyłem na niego jak na wariata. Uśmiechał się ciągle tak samo, z lekka drwiąco. Był mały, niepokaźny, tylko włosy miał bujne — sterczały mu na główce wysoką falą jak koguci grzebienie — kiedyś były czarne, potem coraz bardziej szpakowate, teraz — zadrzałem — zupełnie białe. Poczułem, jak mi coś skacze do gardła, ale on klepnął mnie po ramieniu i powiedział: „Nie martw się, chłopie. Ja i tak wierzę. W coś trzeba wierzyć. Nawet jestem wam wdzięczny. To była paskudna próba. Lecz wiara czyni cuda, dlatego może mam jeszcze szansę na mój wielki dzień?... Chodź, coś ci pokażę”. Dałem się prowadzić za rękę — tak jak stałem, w samych slipach, z mokrą głową, bosi, z rękami w garści. Zaprowadził mnie do śluzy i kazał wskoczyć w skafander. Zrobiłem to posłusznie i dla świętego spokoju. Wtedy zwolnił wentyle zmieniające powietrze na azotowy koktajl planety. Opadła kłapa wjazdu, a Horowitz znowu popatrzył na mnie z piekielnym szyderstwem w oczach i powiedział: „A słowo ciałem się stało”.

Taki był początek. Później ten dzień w duchu określałem zawsze tak samo: Wielki Dzień Boba Horowitza — chociaż on do niczego nie przyłożył ręki i na Stwórcę kreować mógł się raczej Yongblod tudzież Ułam i ja — jego dwaj archaniołowie.

Tego dnia trudno było zawierzyć własnym oczom, gdy po przebudzeniu zastaliśmy korpus statku uwięziony w płataninie pnączy, bambusowych chaszczki i drzew normalnej niemal wielkości, a wszystko otaczał rozszerzający się jak powódź krąg najprawdziwszych, zielonych, ziemskich traw. To była prawdziwa eksplozja. Inaczej trudno nazwać to fantastyczne zjawisko. Podczas nocy nasiona zdążyły wykiełkować, rozwinąć się i — wbrew wszelkiej logice — osiągnęły dojrzałe stadium. Było tam trochę plechowców, glony, grzyby, nieco przedstawicieli bardziej zaawansowanych morfologicznie z grupy Cormophyta, w tym wszelkie efemery przywiezione w postaci nasion, bulw i czort wie czego jeszcze, ale najwięcej było traw i drzew, sosen, topól,

aloesu, sagowców, i drzewa były najdziwniejsze — wielkie i wciąż nadymające pnie obrzmiały sokiem, choć z wierzchu pokryte ledwie cieniutką warstwą kory, pewnie przez noc nie stwardniały. O świcie otaczała nas prawdziwa oaza. Lecz to był dopiero początek. Yongblod łapał się za głowę, bił w piersi i zaklinał, że bez słonecznej energii nie mógł nastąpić tak wielki przyrost roślinnej masy, choćby diabli kielki wyciągali z nasion. Pewnie miał rację — co prawda noce na Planecie są wyjątkowo widne, przynajmniej dwa księżycy dają sporo światła, lecz rzeczywiście dopiero ze wschodem błękitnego słońca rozpoczął się prawdziwy koncert biosyntezy. Tego się nie da opisać. To był rzeczywiście cud. Prawdziwy cud. Wielki wyśniony Dzień Boba Horowitza.

Byliśmy świadkami działania pierwszej prawdziwej bomby biologicznej. Na tej planecie istniały warunki w fenomenalny sposób stymulujące rozwój świata roślinnego, przez miliardy lat tak mozolnie kształtowanego w zupełnie innym sektorze kosmosu. Pamiętam — zastanawiałem się nawet, czy ten akcelerator biosyntezy oddziałuje tylko na zielsko. Ale my — ludzie, byliśmy dobrze zabezpieczeni; poruszamy się w skorupach skafandrów posiadających system ochrony nieprzenikliwy dla żadnych — pewnie i czarcich — mocy; jesteśmy twardsi od nasion...

— I to wszystko przez jedną noc? — usłyszałem.

Zanim się ocknąłem nie bardzo wiedziałem, gdzie się właściwie znajduję. Dałem się złapać na haczyk i teraz ten ktoś, kto zarzucił przynętę, wyciąga mnie na powierzchnię. To był znów głos dziewczyny Natana. Przez chwilę sądziłem, że czytała moje myśli. Potem dopiero pojawiła się — dotąd istniejąca poza świadomością — pamięć języka i krtani, które artykułowały moje myśli. Widocznie sam nie zdając sobie z tego sprawy zdobyłem się na tę głośną spowiedź.

— Przepraszam — powiedziałem zły na siebie. — Słuchałaś wszystkiego?

— Sama prosiłam o to.

— I jak?

— Trudno uwierzyć. Chociaż teraz w pełni rozumiem wasz raport. Tam nie było nawet połowy z tego

— A przecież to nie koniec — westchnąłem. — Co działo się potem, trudno opisać. Na dzień przed odlotem zielona plama na czerwonych piaskach rozpełzła się tak daleko, aż dosięgła oceanu. Tymczasem w miejscu, skąd rozpoczęła się ekspansja dzikich gąszczów, nawarstwił się kożuch do pół wysokości „Trieda” tkwiącego w nim niby średniowieczna baszta. Yongblod, który dostawał prawie pomieszania zmysłów, na dzień przed odlotem odkrył u niektórych roślin cechy niespotykane u form wyjściowych, zgodnych z genetyczną informacją nasion. Początkowo sądził, że to jakieś gwałtowne mutacje, lecz kiedy pół dnia przepracował z komputerem nad ich systematyką okazało się, że część tych cech w stadium niewykształconym można zaobserwować również u roślin ziemskich, co najwyżej otwartym problemem pozostaje — czy są one w stadium zaniku, jako relikty świadczący o odmiennej formie tychże roślin w zamierzchłych epokach Ziemi, czy też są dopiero zalążkiem cech mających wyniknąć w dalszym ciągu ewolucji. Właśnie Horowitz pierwszy zaczął twierdzić, że ta niespotykana zbieżność warunków stymulujących biosyntezę po prostu wyzwala w pełni potencjał wszelkich możliwości już założonych w ewolucyjne trendy ziemskich gatunków, które w normalnych warunkach mogłyby się ujawnić po następnym miliardzie lat ewolucji.

— Co było dalej? — nie pozwalała mi skończyć.

— Mało? — uśmiechnąłem się. — Trzeba było wracać. „Tried” ledwie się trzymał kupy. A my sami byliśmy psychicznie rozłożeni. Tego dowodem jest to, że tylko ja jeden...

Zamilkłem na chwilę.

— Czasami zdaje mi się, że nie mamy tam po co wracać — powiedziałem.

— A to dlaczego?

— Teraz przypominam sobie, co na ten temat mówił Horowitz. Myślę, że nadmiar emocji zostawił mocny ślad na jego psychice. Po części winę ponoszę ja i Ułam. Wiem o tym... Chociaż dopiero dzisiaj. Wtedy się raczej dziwiłem, co mu odbiło, że nagle zmienił się nie do poznania. Zapuścił brodę, przestał zmieniać bieliznę i po tygodniu cuchnęło od niego brudem i potem, jak od wieprza. Zgubił gdzieś swoje soczewki kontaktowe, a bez nich był prawie ślepy — więc snuł się po statku jak pijany derwisz, czepiał się każdego i tłumaczył: „Spełniliśmy swoje posłannictwo i w głęb martwej planety założyliśmy załazek życia. Dokonaliśmy zapłodnienia, na które ten martwy świat, jak na zrządzenie ślepego losu, czekał miliardy lat... Teraz możemy odejść, odejść, odejść...” Tym molestowaniem do odlotu naprzykrzał się do samego startu. I, jakby teoria prawdopodobieństwa chciała dopełnić miary naszej niepewności, on pierwszy odszedł — spośród żywych.

Głośny brzęk od strony baru wbił się ponad muzykę grającej szafy i gwar nad stolikami. Kilka głów podniosło się wyżej i w świetle nisko zawieszonych lamp błysnęły zdziwione twarze. Ludzie patrzyli w to miejsce, gdzie dwóch mężczyzn stało naprzeciw siebie w wąskim przejściu.

Czułem, jak gęstnieje powietrze i gdzieś tam dostrzegam już dziwny fioletowy puls, nieomylnie wyczuwany przez jakiś mój nowy zmysł. Powoli uniosłem się z krzesła.

Odpryski szkła po rozbitej butelce lśniły na podłodze i strużka musującego płynu ściekała pod najbliższy stolik. W jednym z mężczyzn poznałem Natana. Stał lekko odchylony do tyłu, jakby się zatrzymał w pół kroku i balansując tułowiem próbował zachować równowagę tacy z przewróconymi kieliszkami. Te wahadłowym ruchem przetaczały się po tacy tam i z powrotem. Nagle dostrzegłem błysk, jakby wokół tych dwóch postaci pękł szklany pęcherz, i jednocześnie widziałem, jak ręka podtrzymująca tacę upuszcza ciężar — trzy rozpryski tęcz nad podłogą — a tam zwolnione ramię cofa się w łokciu...

Roztrącając siedzących skoczyłem głową do przodu — krótki lot w głuchym tunelu — za późno. Zaciśnięta pięść strzela w górę energią całego barku i ląduje na szczęce człowieka zwróconego do mnie plecami. Miękki stuk i chrzęst zdający się schodzić w dół czyjegoś kręgosłupa — drugi cios ześlizguje się po moim łokciu. Już po wszystkim. Natan stoi zupełnie spokojny i obojętnie rozciera palce.

— Postradałeś zmysły? — syknąłem z wściekłością.

Natan spojrzał na mnie zdziwiony. Przez moment widziałem twarz rozlaną, z opuchlizną wiśniowych, kobiecych warg i białymi rzęsami — tylko przez mgnienie. Po chwili jakby kanciasty kryształ zwał się wokół miękkiego nadzienia — Natan uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami.

— Nie pozwolę, żeby czepiało się mnie takie coś.

To mówiąc czubkiem buta trącił człowieka leżącego na wznak.

Ludzie rozchodzili się obojętnie. Ponad ich głowami dostrzegłem parę niesamowicie rozszerzonych, nic nie rozumiejących oczu Liany. Poczułem paskudny kurcz w okolicach serca i pochyliłem się, żeby pomóc człowiekowi, który jęknął i poruszył się na podłodze.

Wyciągnąłem rękę i wtedy również tam, w dole, napotkałem zdziwione spojrzenie jeszcze jednej pary oczu lekko przymglonych i bezradnych jak u dziecka. Tylko te oczy były żółte, teraz przeraźliwie wyblakłe i patrzyły z twarzy o spłowiałym odcieniu zielonkawej skóry.

W rozwartej dłoni leżącego tkwił czarny, prostokątny żeton.





## Rozdział IV — Wachta

Błady naciek twarzy odbity na wilgotnym pergaminie, w głębokich porach zielone kielki wyłażą z czarnych nasionek, pośniedziałe czoło, policzki i nos — pleśń uczy się fotosyntezy.

Trzeba miliardów lat, żeby molekularne łańcuchy organicznych związków — mleczną zawiesiną kołyszące się pod powierzchnią pierwotnych oceanów — wydały dojrzwały owoc. Trzeba miliardów wschodów słońca i tyleż nocy, aby to życie rozpleniło się w głębi tropikalnych mórz i, wędrując w górę rzek, objęło masywy kontynentów pnącą się od brzegów pleśnią, mchem, porostem traw, wreszcie gęstwiną drzew. Trzeba miliarda pustych losów, aby na loterii ewolucji wygrać ten jeden, dający szansę rozumu.

Pierwsze ciągnięcie — ból na obrzeżu zalakowanej koperty.

Czasami wystarczy kilkanaście świetlnych lat, określających trajektorię lotu do jednej z najbliższych gwiazd, aby się przekonać, jak niewiele znaczy mozolna praca ewolucji.

Władco mojego czasu — pozwól mi przywdziać czapkę błazna z nitkami ścięgien na powrót wprowadzonymi w worek ciała, gdzie wiszą bezwładne, puste rękawy ramion i nóg...

Szept na granicy świadomości.

Na spierzchłych wargach dotyk miękkiej — i nagle — jakby się z gardła, pomiędzy języka i podniebienia, z zębów wysliznęła cienki szurzący ogonek — powietrze odnalazło drogę do płuc i tylko na języku pozostał metaliczny posmak.

Ocknąłem się ze stanu pół-snu, pół-jawy.

W jakimś zwitku neurytów tajemniczy lektor albo sprzężenie z Synchronatem — Nauczycielem marudzi jeszcze sprytnie pomijając zmysły. Jeszcze pływają urywki słów w rzadkim ośrodku senności — jaźń moja jest OKIEM, które wynurza się z głębokiego stawu, najpierw przenika szlam, potem muliste kłęby zamąconej wody — coraz więcej światła, aż się rozchyli szklina błona, pęknie napięcie powierzchniowe i z wypukłości ocznej gałki ściekną na strony zielone cętki glonów i splecione promieniami szkarłatne rozgwiazdy.

Nareszcie!

Można iść, przepłukać gardło i popuścić kranik w kroku.

Przed moimi oczyma dwa płaskie cyferblaty zegarów. Pierwszy nieruchomy. W centrum tarczy data — rok, miesiąc, dzień — początek letargu. Na drugim czas bez przeszkód drobi różnym kroczkiem po zamkniętym wybiegu, po więziennym podwórku z pętlą oznakowanych cyferkami celowniczych tarcz.

Obok rząd światła przewierconych w półmroku; zielone — to ja sam, w stadium przejściowym między infraczerwienią a nadfioletem; czerwone — Natan, jeszcze w hermetycznej torbieli, pogrążony w letargu; błękit określa pełną aktywność organizmu — to ten trzeci.

Ten gdzie się pęta? Powinien się właśnie wtulać w swoje gniazdko, ziewnąć po raz ostatni i wyciągnąć nóżki.

Jeszcze dwa puste otwory. Tak, przyjacielu, nie idziesz w pierwszej linii ekspansji. Trzeba oszczędzać w kadrach. Może zresztą te szczudła przydzielone mi w Strefie Systemu powinienem traktować jako siedmiomilowe buty albo przynajmniej policzyć podwójnie?

Rzuciłem okiem na zegar wyznaczający czas mojej wachty. Niedługo statek zakończy poślizg — w nierelatywistycznym korytarzu grawitacyjnego, pola galaktyki.

A więc — ostatni dyżur.

Postąpiłem krok do przodu i laskotliwy podmuch owionął mi twarz.

Za plecami z przeciągłym ziewnięciem zamknęły się szklane drzwi — krypta nad sarkofagiem. Westchnienie ulgi w metalicznej sierści — też ma mnie dość. Nareszcie wypuła organiczną wesz. Napieściła się dosyć.

Młaśnieście dociskanych obrzeży koperty. Pod płytą kwarcu zachował się jeszcze wyraźny zarys ludzkiej postaci odcisnięty w gąbczastym mięszu mikrokontaktów, w szczotkach trachej, które włoskowatą akupunkturą przenizywały kluczowe węzły mojego cielesnego pokrowca.

Uniosłem ramiona nad głowę i stojący przede mną nagi olbrzym posłusznie powtórzył ten gest podnosząc do góry wielkie bochny rozpostartych dłoni. Uśmiechnąłem się. Zawsze to samo. Zaliczka dobrego humoru przed konfrontacją z marną, rzeczywistością. Szczypta optymizmu w bezalkoholowym koktajlu.

Stałem naprzeciw wielkiego lustra, zakrzywionego do wewnątrz grawitacją pięciogrannej składni reanimacyjnych sarkofagów. Z ograniczonej przestrzeni ich zespół stanowił architektoniczny moduł podporządkowujący sobie proporcje pozostałych przedmiotów. Wystarczyło jednak przestąpić próg śluzy i szlag trafiał te zależności. Prędzej czy później kolapsuje przestrzeń i automatycznie karleje też Homo Futurus.

Już we własnej skórze i bez złudzeń na przyszłość przeszedłem do sąsiedniej komory. Dłonią dotknąłem płytki dekodera i jakiś podzespół Synchronmatu dokonał konfrontacji rozkładu elektrostatycznych napięć mojej dłoni z matrycą wyjściową. Automat zdecydował się na indywidualne podejście do sprawy i po chwili byłem już wrzeczionem wprawionym w kołowrotek. Manipulatory tkwały swoją przedzę; trzask czterech pierścieni — dwa nad kostkami nóg, dwa na przeguby rąk, jak zaręczynowe obrączki dla utrwalenia związku z Synchronmatem. Chłodny metal przylgnał do ciała niby naelektryzowana folia, przez moment przyswajał ciepłość skóry, aż stał się ostatecznie spójny z resztą biologicznego mechanizmu. W przelocie zapętlilo się jeszcze, parę białych nitok, do boków przylgnęły cielistej barwy krążki indykatorów. Jeszcze kontrola docisku biegunów elektrycznego rozrusznika serca połączonych kablem — jeden we wgłębieniu nad lewym obojczykiem, drugi z tyłu, pod łopatką. Reszta aparatury stymulacyjnej i dozymetrycznej wtopiona w materiał skafandra.

Przez moment staliśmy naprzeciw siebie, pierś w pierś — ja jeszcze półgoły, on srebrzystoczarny, bezgłowy. Nareszcie prawdziwie namacalne moje DRUGIE JA. Jakby pękła sztywna blacha piersi i rozpostartych ramion, rozchyliła się przede mną, objęła ze wszystkich stron serdecznym uściskiem i już tkwiłem w tym naszym dozgonnym braterstwie, choć uwierały mnie w boki przewodnice egzoszkieletu, coś nazbyt usztywniało kręgosłup, ręce i nogi. Lecz już czujniki wychwyciły słabe punkty tego naszego zespolenia, poczułem wstrząs niezależny od mojej woli i już rozłożyły się wzdłuż ciała ostatnie kanty, przestały uwierać węzły serwowatorów zadomowione pod pachami i na łopatkach, rozprzestrzeniające swą pewność, na całe moje podłe ciało, za pomocą systemu ścięgien wiążących mnie z nabytą skorupą.

Jak to powiedział teoretyk Strefy Systemu odpowiedzialny za nasze bezpieczeństwo: „Pojmujesz, Elf, mieliśmy już do czynienia z waszą niechęcią do pewnych udogodnień. Na wszelki wypadek wolna wola Synchronmatu — tu mnie rozbroił serdecznym uśmiechem — została obwarowana programem wykluczającym dostęp do pewnych sekcji „Trieda” i blokującym wyjściowe śluzy, jeżeli zjawisz się bez ubezpieczeń”. Wściekałem się długo. Równie dobrze mogłem się popłakać. Kiedy napomknąłem coś o wciskaniu w futerał zaczął mnie uspokajać: „Zrozum — powiedział — nawet tego nie poczujesz. I nie będzie ci się wtrącać, jeśli sam nie poprosisz. Zostałeś dowódcą, gdyż masz głowę na karku, staż, a poza tym... to ci się

należy. Czasy się jednak zmieniły. Musimy mieć gwarancję twojej efektywności. Dlatego dajemy ci szansę skorzystania z rezerwy taktycznej”. Uśmiełem się z tej taktycznej rezerwy. Mogą się wypchać, pomyślałem. Ale poza tym skafander był wyśmienity. I oczywiście między nakładkami srebrzystej folii zawierał warstwę polaryzatora stanowiącego podstawę ochrony biologicznej. Staruszka Titonos dała najlepszą szkołę, co znaczy przełamanie homeostazy ludzkiego organizmu zgodnej z modelem ziemskiego środowiska. Van den Berg nazywał to „tarczą zwrotnego sprzężenia”. Organizm człowieka jest układem otwartym względem środowiska, a więc automatycznie koryguje pracę wewnętrznych narządów w odpowiedzi na każdą zmianę warunków zewnętrznych. Co to znaczy w kosmosie zademonstrowała nie tylko Titonos.

Poczułem na ramionach ciężar metalowego kołnierza, który przejmuje podstawę hełmu na czas wyskoków spod patronatu „Trieda”. Byłem gotowy, w garniturku prosto spod igły. Wieczko od konserwy automaty instalują już w słuzach. Wewnątrz statku można więc splunąć w kąt i podrapać się w ciemność. Za mną opróżniona kasetka zaskoczyła w ścianę, a mnie mocny prąd powietrza pchnął na korytarz.

Na wprost — kabalistyczny znak — biały okrąg znakujący wylot magnetycznego szybu. Dyspozycję można wydać głosem albo kciukiem wbić odpowiedni numer na krawędzi okręgu. Potem czółkiem odważnie do przodu, a zassa cię aż do głowicy „Trieda”, prosto do wydmuszki Nawigatorni otoczonej mózgową korą Synchronatu. Z tym wszędzie można nawiązać łączność:

„Cześć, staruszk. Stęskniłem się za tobą”.

„Witaj, Elf! Opowiesz mi swój ostatni sen?”

„O, psiakrew! Znowu?”

„Obiektywna jest tylko suma wielu spostrzeżeń”.

„Zaczynam się zastanawiać czy nie masz w tym jakiegoś ciemnego interesu”,

„Ależ, Elf!”

„Kłania się pan Capote”.

„Och! Bardzo to niemiłe z twojej strony”.

„Kto wie”.

„Przecież to mój obowiązek, Elf, przeprowadzić ten test”.

„TEST! Pocałuj się gdzieś. Albo, po starej znajomości, sam coś skombinuj i wpisz w odpowiednią rubryczkę”.

„Nie mogę kłamać”.

„A tak mi zachwalali twój polot. Jak można mieć wyobraźnię i nie umieć kłamać? A ja ci powiem; tak mi się zdaje, że taki jak ty to tylko czeka na swoją okazję. Szansę marne, ale zawsze może się zdarzyć, że ci TEST wykaże półgłówka, co właśnie wylazł z lodówki. To by dopiero była heca, gdybym zmartwychwstał z fiołem...”

„Jak możesz, Elf...”

Mogę. Kiedy się poczwarka wykluwa z reanimacyjnego jaja ma się na wszystko ochotę — tylko NIE TEST! Ale Opatrzność czuwa i swoje musi odbębnić. A nuż w trakcie leżakowania uderzył ci do głowy ferment. Kiedy przywykniesz do anabiozy jak do drzemki w fotelu, wtedy może cię trafić szlag, gdy za każdym przebudzeniem Opatrzność proponuje ci asocjatywny test.

Przypomniałem sobie, jaką minę miał tamten spec od egzozszkieletu, kiedy go zapytałem czy tym dwóm, którzy mają być ze mną, też wyrzycował wspomagający garniturek. Oczyma złotej rybki popatrzył na mnie jak na przygłupa. Potem zaczął coś o wychowawczych metodach w Strefie Systemu; pamiętam — wzruszyłem ramionami i trzasnąłem za sobą drzwiami.

Trochę wściekłości zostało do teraz. Pierwszy nie powiem dzień dobry. Tak samo nie spieszo mi spotykać się z tym elementem, który na pewno czeka w nawigatorni,

aż się dopełni moje wniebowstąpienie. Chce ze mną rozmawiać? O czym? Może u kresu zbliży nas tamta Planeta. Dzisiaj nie mam zamiaru wszczynać z nim dyskusji. Tym bardziej z Natanem. Też mi się trafiła załoga. Wszystko ma jeszcze ręce i nogi, kiedy trwa bezkolizyjna zmiana wacht. Lecz i tak kiedyś trzeba będzie zdecydować się na konfrontację. Kiedy się skończy ten mój ostatni samotny dyżur, będę ich musiał budzić. Obydwoh.

Najlepiej orzeszek rozgryzłby pewnie Synchronmat. Nawet by nie mrugnął elektronicznym ślepiem. Już się zastanawiałem, co może zrobić taki jak on? Zafunduje nam psychodramę według recepty Moreno — trzech protagonistów i on sam,

Synchronmat-Reżeser; na auxiliary'ego dobierze sobie zielonych ludzików. Albo co innego. Ma doskonale rozpracowaną teorię kontrolowania poszczególnych pacjentów i całych grup. Już on coś wymyśli, tak przykręci śrubę, że po kolejnym psychogimnastycznym seansie padniemy sobie w ramiona, żeby ze łzami w oczach przepraszać za stare i przyszłe grzechy.

A jednak stara załoga „Trieda” nawet w okresach najgorszych stresów obyla się bez Synchronmatu. Co i tak nie zmieniło kolei losu.

Stary dziwak ze mnie. Liczę na ziółka, zamiast ropny wrzód naciąć lancetem. Może lubię zachować złudzenie, że ja sam decyduję o czymś, oraz że my — ludzie — potrafimy się sami ze sobą dogadać.

LUDZIE.

Natan ma w tym względzie własne zdanie.

Poszedłem przed siebie — nie w gardło magnetycznego szybu, lecz drogą okrężną, przez tunel awaryjny.

Odległy pomruk silników przybrał na mocy od czasu mojej poprzedniej wachty. Zawsze po przebudzeniu, kiedy organizm odczuwa pozostałości letargu, miewam wrażenie, jakbym był wyschlą makówką, samą skorupką, w której jądra komórek szeleszczą werblem makowych ziarenek. Żaden czujnik akustyczny nie wykaże najłżejszego drgania powietrza, a jednak ja zawsze „słyszę” głos pracujących silników. Zakląłem w duchu. Cóż za dureń ze mnie! Pracujące silniki! Jakbym tkwił jeszcze w truchle starego „Trieda”! Leżę przez ten kawałek korytarza ciągnący się od sekcji reanimacyjnej do nawigatorni, a przecież to prawie wszystko, co mi zostało, to właśnie mój wybieg, żebym się mógł rozruszać, zanim wdepnę w prawdziwą realność będącą sprokurowanym w dokach nieodrodnym dzieckiem Strefy Systemu. Wszystko, co mnie otacza, zostało gruntownie przekonstruowane. Z wyjątkiem tego korytarza, dwóch docelowych stacji, między którymi kursuję tam i z powrotem, może jeszcze kilku pomieszczeń. Reszta — ten statek nie jest nawet przeznaczony do lądowania na Planecie. Będzie wisiał na orbicie niby szeroko rozpostarta przezroczysta krewetka. To tylko tutaj mam wokół siebie ściany dające oparcie oczom. Chociaż, gdyby tak naciąć ich metaliczną powierzchnię, pewnie by wylazła na wierzch szklana podszewka.

I jeszcze się w tym dopatruję miłego dla ucha pomruku silników, postękiwania siłowych pól uciskających serce tokamaka. To przedawniony odruch warunkowy. Najlepiej zdać się na układ egzogenicznej stymulacji, a w mig zostaną rozładowane wszelkie niemiłe sensacje — od szelestu pod skórą makowych ziarenek po burczenie w brzuchu, parcie na pęcherz i smak żołądkowych soków na języku. Wystarczy się poddać perystaltycznym pieszczotom skafandra.

Sę w tym, że dzięki takiej właśnie osowiałości jest czas, aby poszperać w sobie głębiej i wspominać stare dobre czasy. Kiedy po wykluciu się z jaja odczuwał człowiek przeciążenie deceleracji. Aby iść przed siebie wzdłuż osi statku trzeba się było solidnie odchyłać do tyłu. Pamiętam, jak jeszcze w Szkole Zwiadu instruktor po

raz pierwszy wyprowadził nasz cały rocznik na zewnątrz szkoleniowej trumny wiszącej nad Saturnem. Było nas około pięćdziesięciu. Żaden już pewnie nie lata. Poza mną. Zresztą — co to za lot. Przepychanie tłoka w grawitacyjnym tunelu. Wtedy to było prawdziwe. Z wyciskaniem kiszek w szklankę hełmu. Potem głowa w tym tkwiła jak jajko po wiedeńsku. Jeden z takich obrazków jak żywy do dzisiaj stoi mi przed oczami. Pamiętam — sterczeliśmy przyssani do burty przy pomocy magnetycznych podeszew, kiedy pilot uruchomił napęd. Ze stanu nieważkości wyszarpnęło piorunująco. Tylko buty trzymały, nas wszystkich pokotem położyło wzdłuż burty. A tamten skurczybyk dał ciąg w przeciwnym kierunku — więc nami — bach! — na odlew z drugiej strony. I tak na przemian. Mungo Clair nazwał to „efektem polipa”. W rzeczy samej — z boku wyglądało to całkiem pocieszenie, kiedy taka żywa kępka chwiała się niby kolonia stułbi przytwierdzonych stopą do dna rozkołysanego wodnego zbiornika.

Wiem — coś o tym, jak to wyglądało z boku, gdyż razem z Ulamem wykazaliśmy wystarczająco sprytu, aby jednak odkleić magnetyczne podkucia butów od burty statku i wykonać drobny podskok. Potem minęły dwie dobre godziny zanim nas wyłowiono z przestrzeni.

Dzisiaj nawet nie mogę sobie podskoczyć.

Lokalne pole grawitacyjne „Trieda” wystarcza, co prawda, żeby czółkiem nie tryknąć w sufit, ale też nie podcina kolanek. Natomiast w grawitacyjnym tunelu żadne przyspieszenia nie wyzwalają przeciążeniowych efektów. Zastanawiam się, czy można tu w ogóle mówić o przyspieszeniach. Bo właściwie w czym się porusza ten statek i na ile w tym nowym układzie odniesień rację bytu zachowało pojęcie „ruchu”?

Na ile się zorientowałem kosmogoniści Strefy Systemu bardzo to sprytnie wykombinowali. Każda wystarczająco duża masa emituje fale grawitacyjne, współśrodkowo rozchodzące się od pewnego ogniska. W takim punkcie występuje najmocniejsze ugięcie przestrzeni, tym samym jest ona jakby bardziej „płytką” względem obserwowanego przez nas stadium rozszerzania się całego Wszechświata. Szukając bliższych analogii można powiedzieć, że tego rodzaju grawitacyjne ogniska występujące w obrębie dużych mas, dla przykładu — planet, naginając ku sobie przestrzeń nie czynią tego tylko w lokalnych układach własnych mas. Chociaż bowiem dla postronnego obserwatora znajdującego się w przestrzeni istnieje wyłącznie centryczne rozchodzenie się fal grawitacyjnych od danej masy, jest to tylko efekt zewnętrzny, natomiast w punkcie ogniskującym te oddziaływania ugięcie przestrzeni jest obciążone wektorem sugerującym zawiązywanie się innego układu odniesienia. A więc: masa dużych planet powoduje, że ich „grawitacyjne ognisko” zapada się w kierunku jeszcze potężniejszego grawitacyjnego ogniska centralnej gwiazdy; te z kolei uginają przestrzeń w stronę punktu będącego wypadkową pola grawitacyjnego Galaktyki; w jądrze Galaktyki istnieje znów punkt niemalże „tożsamości” ognisk fal grawitacyjnych wszystkich galaktyk. I tak dalej.

W czasie psychodelicznego seansu mojej edukacji Synchronat zademonstrował mi to w bardzo plastyczny sposób. Pamiętam, w mojej wyobraźni pojawiła się ogromna kula, jakby balon wypełniony powietrzem. Eksperyment dokonywał się w stanie nieważkości, a rolę grawitacji spełniał zainstalowany wewnątrz pęcherza silny elektromagnes. Na elastycznej powierzchni tej sfery rozsypano różnej wielkości metalowe kulki. Przylepiły się do zewnętrznej powłoki tego balonu i uciskały go deformując powierzchnię w stopniu zależnym od własnej „masy”. Przyjmując powierzchnię tej sfery za proste odwzorowanie trójwymiarowej przestrzeni naszego Wszechświata, łatwo uzyskać sugestywny obraz, w którym grawitacja gwiazd nagina przestrzeń nie tylko ku sobie, ale też w kierunku jakiegoś ogniska istniejącego poza

naszą przestrzenią. Dlaczego jednak masy planet i gwiazd nie zapadają się pod „powierzchnię” przestrzeni? Po prostu przestrzeń w każdym swoim punkcie charakteryzuje się pewnym gradientem wyporności, w naszym modelu zobrazowanym jako elastyczność powłoki balonu, bardziej jednak odpowiadającemu zjawisku, które charakteryzuje wszelkie cieczy pokryte jakby membraną napięcia powierzchniowego.. „Elastyczność przestrzeni” posiada jednak pewne granice, po przełamaniu których zbyt wielka masa zwiną tak zwany kollaps i „tonie”, ergo — wypada z przestrzeni, czasami związana jeszcze cienką pępowiną grawitacyjnych oddziaływań z tzw. powierzchnią przestrzeni — w przypadku „czarnych dziur” albo też wypadając ostatecznie poza horyzont zdarzeń dopełnia załazek tej masy, która w przyszłości pociągnie za sobą kollaps całego Wszechświata.

Wracając jednak do podrzędnych układów odniesień, dajmy na to — dwóch sąsiednich gwiazd, stwierdzamy, że na powierzchni naszej sfery żelazne kulki leżą w mniej lub bardziej głębokich nieckach, przybierających wręcz formę lejów skierowanych w stronę centralnego elektromagnesu, a więc tego punktu, w którym, gdyby na to pozwoliła elastyczność sfery, musiałyby się ze sobą prawie zetknąć — nie zmieniając przy tym swojego statusu obiektów znajdujących się na powierzchni w ten sposób odwzorowanej przez nas przestrzeni. Nie trudno stąd wyciągnąć następujące wnioski: o ile najbliższą odległość między dwoma punktami leżącymi na powierzchni sfery wyznacza łuk ortodromy, o tyle po przełamaniu „napięcia powierzchniowego” przestrzeni możemy wytyczyć między tymi punktami cięciwę znacznie krótszą. Więcej — ogniska dużych mas zbliżają się ku sobie, stają się niemal ze sobą styczne, aby w przypadku układu mas zmierzającego ku nieskończoności ustanowić punkt tożsamy dla wszystkich ognisk fal grawitacyjnych Wszechświata. Lecz jeszcze nie nastąpił czas powszechnego Kollapsu. Jeszcze poszczególne gwiazdy rozdzielają lata całe biegu światła w przestrzeni. I tylko grawitacyjne ogniska masywnych gwiazd i planet już zmierzają ku sobie, może zawsze były gdzieś tam zakotwiczone przy wspólnym rdzeniu, w owym praatomie, z którego odwija się przestrzeń porywając za sobą okruchy materii i energię światła nadymającego powłokę tego balonu ograniczonego horyzontem zdarzeń — kosmogoniści Strefy Systemu twierdzą, że jedno nie wyklucza drugiego. Na razie więc znaleźliśmy tylko punkty oddzielone od siebie cieniutką błoną przestrzeni.

Teraz wystarczy dodatkowy ładunek grawitacyjnego promieniowania, aby przed kosmicznym statkiem pękła na moment trójwymiarowa przestrzeń, potem się znów zasklepi cienką membraną, ale my pozostaniemy już pod jej „powierzchnią”.

Grawigeneratorom statków budowanych w dokach Strefy Systemu nie starczało mocy, aby każdy z kosmicznych statków w dowolnym punkcie przestrzeni potrafił wytworzyć taki kolaps. Obliczono jednak, że już w wypadku masy odpowiadającej gwiazdom średniego formatu moment relatywistycznego ugięcia przestrzeni w ich grawitacyjnym ognisku pozwala mieć nadzieję na dokonanie tego ostatecznego „nakłucia”.

Dzisiaj tylko meteory podporządkowane dyspozycjom grawitacyjnego pola Galaktyki i pozaukładowe komety przemierzają międzygwiazdną przestrzeń. Statki klasy „Trieda” — jakim stał się w dokach Strefy Systemu — z wokółplanetarnych orbit biorą kurs prosto w ognisko centralnej gwiazdy.

Zawinięte w ekrany magnetycznych pól wiercą w przestrzeni tunel prześlizgując się mimo potwornej furii gwiazdnego promieniowania, rozchylają szczelinę przenikającą do dna tego kotła kipiącego przemianą wodoru w hel, same się rozpędzają w tym tunelu do przyświelnych prędkości, niby elementarne cząstki nabierające szybkości w tubie akceleratora skręconej z magnetycznych pól, aby w ostatnim momencie uderzyć przed siebie jeszcze promieniem grasera. Wtedy wokół

statku, niosąc ulgę ekranom ciągnącym już resztą mocy pod naporem ciśnienia wnętrza gwiazdy, zamyka się maleńki pęcherzyk przestrzeni wyłączonej poza grawitacyjne pole Galaktyki, a więc i poza Przestrzeń.

Tak brzmi epitafium dla tych wszystkich spojrzeń, które w czas gwiezdnych nocy między iskrami gwiazd przetyczały tęsknotę dalekich szlaków. Prawdziwe Drzwi Wszechświata otwierają się w ognistych brzuchach gwiazd. Ażeby sięgnąć jeszcze dalej, trzeba szukać drogi przetyczonej poza przestrzenią między jądrami galaktyk. Czy istnieje — jeszcze dalej?

Na razie konstruktorzy Strefy Systemu na pokładzie „Trieda” postawili Synchronat, piekielnego sternika, którego matematyczny zmysł pozwala się nam zapuścić w tamten labirynt i w pozaprzestrzennym układzie oddziaływania mas odnaleźć właściwy kierunek. Ten jeden–jedyny moment, kiedy wystarczy kolejny impuls grawigeneratorów, aby przed nami pękła membrana napięcia powierzchniowego Wszechświata i pozwoliła nam na powrót wyparować w Przestrzeń. Wtedy spazm nagły wstrząśnie jądrem gwiazdy przebitym od środka ostrzem nieczułym na piekielny ogień i potworne ciśnienie wystrzeli ziarno „Trieda”, z rzadką flegmą protuberancji wypluje nas w międzyplanetarną przestrzeń.

Tak to dzisiaj wygląda. Mniej więcej. Można się oblać pąsem w gwiezdnej saunie, która wyciska z ciebie siódme poty, a potem można się przebiec po śnieżnych wertepach nieco ostudzonych przestworzy. Ostre hartowanie.

Tylko trzeba zaczynać za młodu. Później takiemu jak ja, który już nawet nie musi przystawiać sobie pieczątki na czole — KOSMICZNY WRAK, mający się w salonie widmo starego strychu, na którym każdy podmuch wiatru opierającego się o dach wygrywał skrzypiącą symfonię w belkowaniu ścian. Ziarenko „Trieda” przepycha się w jakimś tunelu na styku gwiezdnych mas i cały ten proceder odbywa się bez akustycznych sensacji.

Absolutna cisza. Żadnego rżenia silników.

Chociaż we mnie — poza tęsknotą do starego „Trieda” — tkwi coś jeszcze, jakże bolesna pamięć tamtego pierwszego dla mnie, przejmującego grozą wchodzenia statku w słoneczne wrota zdające się prowadzić w przedpiekle. Wtedy po raz pierwszy na własnej skórze odczułem „psychiczne ciśnienie” — jak to określił Synchronat — tej świadomości, że wokół ciebie zwiera się potworna gwiezdna masa i żar narasta tysiącrotnie straszniejszy niż to sobie mogę wyobrazić. Dziwne się wtedy rzeczy dzieją z człowiekiem. Na szczęście nie było przy mnie Natana ani Endo. Aż się wzdrygnąłem na myśl, że któryś z nich mógłby się wtedy znaleźć pod ręką.

Lecz za to czas tej drogi — tam i z powrotem — liczyć można na dni. Najwyżej tygodnie. Tak wygląda nowe przyspieszenie Strefy Systemu.

Tyle po stronie zysków.

Ile powinniśmy spisać na straty? To zawsze najtrudniej ocenić. Na przykład wiem już, że nigdy więcej nie pojawi się to uczucie, kiedy chłód kosmicznej przestrzeni zdaje się przenikać pancierz biologicznej ochrony statku i w miarę oddalania się od Słońca sprowadza tę dziwną senność, kiedy zdaje się, że ciało ulega otorbieniu w zmineralizowaną cystę. Wiem przecież, że to tylko zjawisko psychiczne, a jednak żal mi tamtego stanu na pograniczu ostatecznej śmierci, kiedy świadomość zdaje się zlewać w jedno z mistyczną wręcz nicością otaczającej nas przestrzeni. Wtedy człowiek jest jaskiniowym niedźwiedziem zapadającym w sen zimowy — choćby się na pokładzie statku chciało urządzać ocieplaną oranżerię.

Za to ileż ulgi później, kiedy statek zaczyna się zbliżać do portu przeznaczenia i wchodzi na orbitę wokół jakiejś gwiazdy.

We wnętrzu statku, w nas samych, rozpoczyna się niedostrzegalna najpierw, tajemnicza „odwilż”. W miliardach kilometrów od Ziemi, w odległości dziesiątków



lat biegu słonecznego światła, zostaje odtworzony pierwotny, mityczny akt regeneracji. Kosmos jest bowiem gigantycznym drzewem, które u swoich źródeł wyrosło z ziarna–praatomu. Dlatego Drzewo umiera i rodzi się znowu. My, ludzie, jesteśmy liśćmi w jego gałęziach; cykl Jego narodzin i śmierci jest dla nas mitem, jak skala pulsów Wszechświata, lecz mamy cykl własny, mniejszy, prywatny mikrokosmos pór roku. Aby to zrozumieć trzeba było opuścić nie tylko Ziemię. Trzeba się było wyrwać ze strefy biogenetycznych wpływów Słońca. Jesteśmy drobnymi listkami, które pozbawione gwiazdowego ciepła marnieją, zasychają pozbawione dopływu soków zgęstniałych w jesiennym chłódzie, a potem znowu rozwijają się z pąków. Lokalne „pory roku” — niezależne od rozkwitu i upadku samego Drzewa Kosmosu.

Tę wiosnę utraciliśmy bezpowrotnie. Czy tutaj, poza przestrzenią, w grawitacyjnych słojach i sękach stanowiących wewnętrzny labirynt Drzewa Kosmosu można odnaleźć puls wyższego rzędu, inny wymiar tamtej utraconej wiosny?

Skąd we mnie te wszystkie refleksje?

Za stary jestem, żeby w sobie samym szukać tego źródła wegetatywnych sił, pąka energii, która pozwoli mi raz jeszcze dokonać czegoś. Nie powinienem był zgadzać się na ten lot. A przede wszystkim — nie z taką załogą.

Tak — zadrwiłem w duchu — już wiem, skąd we mnie ta duchowa rozterka, skąd utopia „wiosny”, zdolnej cokolwiek przestawić we mnie. Żal mi tamtej dziewczyny. Głupie uczucie, chociaż coś aż ścisnęła gardło — dziwnie szybko w mojej pamięci rozmyły się rysy jej twarzy; pamiętam tylko wyraz pociemniałych oczu, kiedy patrzyła na mnie. Reszta jak dymne odbicie w lustrzanym blacie stolika, w zielonkawym, głębokim przezroczu lakieru — atrapy Strefy Systemu — splecione ręce i twarz blada, na pół przesłonięta tak czarnym, aż granatowym pasmem włosów. Pod nim się czasem rozchyła dziwnie szkarłatny pąk i w dole ciało prześwituje nagie — o tak! — ale ty jesteś starym liściem z ubiegłego lata; jakimś cudem jeszcze siedzisz na gałęzi przeznaczonej dla nowych pokoleń, trzymasz się, bo cię podkleił zapobiegliwy cudacznie Ogrodnik, lecz w środku już zmurszałeś, zmarszczyłeś się tu i ówdzie, nabiegłeś czerwonymi żyłkami, żółkłeś, a jeszcze tęsknisz za bladoróżowym aksamitem młodych piersi. Stary zboreźnik.

Zakląłem pod nosem i energicznie ruszyłem przed siebie.

Tylko dwa–trzy kroki i stanąłem jak wryty.

Tunel się załamywał w tym miejscu. Jakiś durny konstruktor wpadł na pomysł, aby w tym właśnie miejscu dać zmartwychwstałym na doping. Okrągły iluminator. Wiem, że nie jest to żadne okno. Poza płaskim ekranem najmniej metrowy pancierz. Poza tym na monitorze artystyczna wypocina Synchronmatu — plastyczna wizja wydumana na matematycznej podstawie, mająca nam — ludziom — zobrazować aktualną pozycję „Trieda” w tym parszywym kontinuum. Mam więc poczucie głębi skracającej się na podobieństwo czarnego leja, przenizanej żółtą nitką — pewnie ta wiązka jakby laserowego światła ma mi unaocznąć monochromatyczny promień grawigeneratorów sterujący pozaprzestrzenną transfuzją statku. U wylotu tego tunelu już się zawiązał krwawy węzeł sugerujący coraz bliższe wnętrza docelowej gwiazdy. Kiedy nas ogarnie ze wszystkich stron, a poza nami ostatecznie zablizni się ciemność, będzie to znakiem, że przestrzeń nas wyłowiła z Tartaru i przygarnęła w Przedpiekle, skąd do Nieba już tylko ręką podać.

Tak więc — nie drażni oczu żaden kosmiczny pejzaż. Ledwie w miarę dowolna impresja Synchronmatu na zadany temat. A jednak efekt ten sam. Cel nasz jest bliski. Taki widok mobilizuje. Podnosi bojowość ducha podupadłego w lodówce. Konstruktor współpracował z psychologiem.

Jednak na progu komory wzdętej w punkcie przełamania korytarza nie

zatrzymałem się z powodu tej nagle rozwartej przerębli. Coś czułem — znajome, a przecież tak obce. Ciepło czułem, jakby już promieniowało przez lufcik uchylony przed wnętrzem gwiazdowego pieca. Czas na wypiek dorodnych bohaterów kosmosu. Zdawało mi się, że powoli miękna moje członki zeszytywniały w reanimacyjnym sarkofagu. Drgające nozdrza chwytają zapach jakiś. Może odrobinę wilgoci, która wystąpiła na moim własnym czole. Albo czegoś jeszcze. Nie wiem — jakby zapach odwilży; śnieg się iskrzy w mroźnym jeszcze powietrzu, białą pierzynkę promienie słońca wyciskają jak gąbkę i pod zlodowaciałą masą — pod powierzchnią mojego naskórka — szuka już ujścia pierwszy strumyk wody. I czuję, jak — we mnie — zaczyna oddychać ziemia, jak się nasącza wilgocią martwe ziarno. Niewidzialne ziarno — czyżby istniała gleba poza mną?

Czułem obecność czegoś — kogoś — oddech leciutki, ledwie szeleszczący w pajęczej koronce płuc. I to było straszne — wiedziałem, że tuż koło mnie istnieje coś, za co ręczyć nie mogę żadnym ze swoich zmysłów. I nagle — poczułem wstrząs, jakby mnie samego przeniknął promień graser — zrozumiałem, że nie jestem sam. W tym pustym korytarzu miałem pewność, że ktoś jeszcze jest tutaj. JEST z całą pewnością.

W jednej chwili całą dostępną przestrzeń ogarnąłem wzrokiem.

Nic. Srebrzyste ściany, okrągły blejtram Synchronmatu z elektroniczną wizją — wewnątrz gwiazdy zdawało się pożerać mnie gorącym wzrokiem, z boku potężne kłacza armatury klimatyzacyjnej — półprzeźroczystej, jakby nasączone fioletem żyłki światłowodów zapuszczonych w ściany, tłoczących używkę do rezerwuaru glonów albo innej chemicznej retorty.

Cofnąłem się o krok.

Skąd to wrażenie, że patrzy na mnie ktoś. Kto? Źrenica pałowa rozszerzająca się w grawitacyjnym tunelu niby rozchylone wargi Liany — otwierające się do krzyku w pęku czarnych włosów skręconych w potężnej garści? Może kamery Synchronmatu, który w trakcie mojej drzemki natchniony został jaźnią. Albo żółtawo-kocie źrenice tego, który nie tak dawno dotykał mnie owadzym wzrokiem. Przecież nie śpi jeszcze. Czeka na mnie w nawigatorni. A może wyszedł naprzeciw?

Odstępując przyłgnałem plecami do ściany i powtórnie zeszytywniałem cały. Czyjaś obecność czułem za sobą. Tam, gdzie właśnie nie mogło być nikogo. Rozpostarte dłonie rejestrowały puls, jakby żar coraz bliższego pieca pobudzał krążenie soków nie tylko w nas samych, ale i w tym szklanym rydwanie, który już drży z niecierpliwości, żeby się wyrwać z niewidzialnych pęt i samemu rozwinąć się w kosmiczną ważkę albo z własnych wnętrz wyspać w przestrzeń pomiot Strefy Systemu.

I nagle, w jednej chwili — szelest usłyszałem tuż nad posadzką i ledwie kątem oka pochwyciłem jakiś ruch. Zdawało mi się, że to z oka Synchronmatu wypadła czerwona źrenica, zyskała w powietrzu holograficzną objętość, po czym się potoczyła po posadzce podskakując niby pingpongowa piłeczka. Przez moment widziałem tę nowo narodzoną różowość zwiniętą w kulkę w nagle błękitnym pęcherzyku — raptem coś pękło i stałem już tylko z tępym wzrokiem utkwionym w podłogę.

Sam byłem. Wiedziałem doskonale, że tutaj ani przez chwilę nikogo nie mogło być przy mnie. Tylko oko Synchronmatu innym wzrokiem popatrzyło na mnie — fioletowy krąg tkwił w iluminatorze. Normalny sygnał wzywający mnie na posterunek w nawigatorni.

Mogłem się zapytać, czego chce ode mnie. Nie musiałem się po to ruszać nogą ze swojego inkubatora. A jednak nie potrafiłem wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Zapach — ledwie wyczuwalna, a trudna do określenia woń docierała do mnie. Jakby tamten cień, który przemknął w polu mojego widzenia, zostawił po sobie rozproszony w powietrzu zapach wilgotnych, świeżo rozwiniętych pieluch.

Zadrzałem — to wcale nie było takie zabawne, że taki jak ja nie może mieć o tym zielonego pojęcia.

Odepchnąłem się od ściany i ruszyłem przed siebie szybkim krokiem. Ostatni dureń ze mnie. Zachowuję się jak na starym strychu. A przecież tutaj nie ma duchów, które zgrzybiały ze starości na międzypokładach starego „Trieda”. Ten został zdjęty prosto z igły. Kiedy teraz idę — nie słyszę pod stopami łomotu blach. Daleko za mną został ocieniony lustrami wybieg dla jaskiniowego niedźwiedzia. Teraz swobodnie przechodzę przez szklane tunele, przez błony śluz elastycznie zwierające się za moimi plecami, przez ciemnie i obrzęki przestrzeni wypełnionej rześkim światłem. Jak przez dzień i noc. Przyspieszony rytm mający uregulować mój cykl biologicznych przemian.

Nagle przede mną pękł kolejny pęcherz nocy i przez szczelinę błękitnego świtu wkroczyłem w nowy dzień.

Nawigatornia.

Powinienem wymyślić inne słowo, ale niech tak zostanie — w imię pamięci „Trieda”, któremu utracono głowę, żeby na to miejsce wstawić kryształową koronę. Dokoła — przezrocze ścian. Poza nimi misterne arabeski pnączy—światłowodów przenikających we wnętrza statku. Stąd widać wszystko, choćby realność rozmywał daleki plan. Nawigatornia jest czaszką osadzoną pod pancierzem szklanej krewetki — teraz zwiniętej w kłębek, która dopiero w przestrzeni wytknie przed siebie bojowe rostrum, w tyle otworzy wachlarz ogonowy. Te dwa kierunki położone na wspólnej osi wyznacza pień szklanych rur — światło z nich płynie, plazma, powietrze, karma dla naszych ciał, informacja dla ducha, dyspozycje dla Synchronmatu, który też istnieje — gdzieś tam, jako wtórna funkcja wszystkich innych przedmiotów.

— Cześć, staruszkule — powiedziałem sadowiacz się w amortyzacyjny pęcherz przed transmisyjną niszą pierwszego pilota. — Stęskniłem się za tobą.

— Dzień dobry, Elf. I mnie nie było lekko, chociaż nie mogę powiedzieć, abym na tę chwilę zapracował jak wy — sudore et sanguine...

Lubiłem ten głos. Nic w nim nadzwyczajnego; nieco zachrypnięty bas. I do tego potrafiący mówić od rzeczy.

— Opowiesz, co ci się śniło? — zagadnął mnie.

— Daj spokój!

Chwilę wpatrywałem się w szkarłatny punkt, który tutaj pulsował niby moim własnym tętnem wypełniony krwiał. Za połyskiem szyb, spoza soczewki endoskopu wprowadzonego w inne kontinuum, wyzierał kardiogram mojego serca. Z pewnością niejeden niewidzialny a dalekosiężny paluszek zajrzał mi w kiszki, podlubał tu i tam. Werdykt? Nic specjalnego — chwilowa rozterka i parę kropel potu. Obeszło się bez medycznej reprimendy.

— Pewnie jesteś głodny — stwierdził. — Mam coś dla ciebie.

— Z tym zaczekamy. Zrób rachunek sumienia.

— Przecież dobrze wiesz, Elf. Jak ma być? Wszystko w najlepszym porządku.

Oczywiście — jak ma być. Gdyby mu tutaj coś nie zagrało, bez pardonu wyrwałby mnie z najsmaczniejszej drzemki. Już taka jego pieska natura. Jak każdy automat waruje, kiedy śpi jego suweren. I zawsze gotów zaszczezać w ucho: „Wstawaj, Elf! Zaczęło się!”

Głęboko wciągnąłem powietrze. Jeszcze w nim trwała czyjaś obecność.

— Co z nim? — zapytałem.

— Poszedł spać.

— Kiedy?

— Najpierw chciał zaczekać. Nudził się ze mną. Powiedział, że woli z tobą pogadać. Myślał, że zjawisz się zaraz. Ale gdy mu powiedziałem, że wybrałeś okrężną

drogę i jakoś ci nie spieszo do spotkania z Egzulem, miał niezbyt wyraźną minę. Potem się zerwał nagle i poszedł sobie.

Zastanowiłem się, ile w tym przypadkowej modulacji głosu, a na ile Synchronat w ten sposób wyraża swój własny stosunek do kogoś lub o czymś. Z dziwną intonacją powiedział to słowo: EGZUL. Jakby się jednocześnie podśmiewał z naszego wygnańca, a przy tym żal mu było banity.

— Odszedł szybem? — spytałem.

— Tak. Prosto w kołyskę.

Wiedziałem, że inaczej być nie mogło. A jednak odetchnąłem z ulgą. Głupiec ze mnie. Spodziewałem się może, że będzie bardziej natrętny. Nie wygląda na takiego, który się zbytnio narzuca.

Nikt więc nie wychodził mi na spotkanie. Odpadła ostatnia możliwość. To tylko ja, ja sam; w moich tylko oczach różowe pompony tańczą po korytarzach i śledzi mnie owadzi wzrok. Poza tym — zawsze można sprawdzić czy jest, jak zapewnia Synchronat — w kołysce.

— Pokaż mi go — powiedziałem.

Z płaskiego ekranu wyrzucił się w moją stronę nagle zawieszony w powietrzu holograficzny obraz. Pionowo ustawiony sarkofag. I on tam był — za wypukłą szybą widziałem jego beznadziejnie smętną, wydłużoną twarz. Teraz, o dziwo, odzyskała nawet bardziej naturalną barwę, mniej zielonkawą przy połysku czoła jakby pociągniętego parafiną. Przez chwilę przyglądałem się jego wąskim wargom, zaciśniętym poziomą kreską, opuszczonym powiekom. On spał. A ja poczułem się parszywie, jakby czyjeś obce oczy tak właśnie badawczo spoglądały na moją własną nagość.

I co ja mam począć z takim, jak on?

— Natan — rzuciłem.

Czasami to wielce zabawne, kiedy w powietrzu kształt jednego ciała mięknie nagle i przelewa się w nieco inną formę. Mam wrażenie, że to Synchronat dla mojej rozrywki wymyślił tę zabawę. Czego zresztą nie wymyślił. Posłusznie spełnia wszystko, czego od niego wymagam, ale poza tym z psim sprytem potrafi coś jeszcze przemycić od siebie. Jak teraz. Mógłby natychmiast zmienić obraz, lecz on się bawi — a mnie trudno cokolwiek zarzucić. I tak się to ledwie mieści w granicach wydolności reakcji moich zmysłów. Po chwili niczego już nie jestem pewien. Tak jak teraz, gdy rysy twarzy o zielonkawej skórze odkształciły się w twarz bardziej ludzką, pewnie dlatego twardszą. Tak mi się zdaje. Cóż zresztą ja mogę powiedzieć o tym? Czemu tak mnie gnębi dostrzeżona jeszcze w Strefie Systemu podskórna heterogeniczność tej twarzy. Jakby się ze scenografii tamtego Interclubu odłupał gipsowy kawałek, wysłana za mną atrapa, pod której zewnętrzną powłoką wyczuwam inną formę, a jednak nie potrafię jej przebić wzrokiem, jak nigdy właściwie nie zdołałem zajrzeć za kulisy teatru zbudowanego na peryferiach Strefy Systemu.

Żeby się w czymkolwiek rozeznać musiałbym rozłupać przynajmniej czarną skrzynkę Synchronatu. Albo się z nim dogadać. Na to jednak potrzeba czasu. I świeżych sił, których brakuje wrakom, choćby ich przyperfumowanym skrzydełkom zamarzyła się zjawa kosmicznej wiosny. Mam głód informacji. Nie o tym, co nas czeka w miejscu, do którego tak spiesznie zmierzamy. Bardziej mnie dręczy myśl o tym, co tylko przez moment owionęło mnie swoim oddechem i sprytnie usunęło się z pola widzenia. Za wcześniej Strefa Systemu znalazła się za moimi plecami. Posłużyła za dobrą trampolinę. Chociaż to mocne wybiecie w kosmos bardziej mi teraz zakrawa na kopniaka w tyłek. Trzeba się było najpierw solidnie rozeznać, jaka socjotechnika pluje dzisiaj w przestrzeń nowinkami techniki, psychotroniki i bioinżynierii. I kim są prominenci ekspansjonistycznych zapędów Strefy Systemu.

Zresztą — przecież tam wrócę. Czasu będę miał aż nadto, żeby sobie połamać zęby, jeśli mi jakieś zostaną. Wrócę — bo stokroć mniej mnie obchodzi Planeta, gdzie trawa porosła ślady ostatniej mojej tam bytności, obchodzi mnie od tego, co zostawiłem za sobą. W Kosmosie nie ma już tych, których pragnąłbym i których warto byłoby spotkać. A tam — wcale mi nie tęskno do staruszki Ziemi — znacznie bliżej jest ktoś, komu kosmiczny wrak dałby się wziąć pod włos.

Żal mi siebie. Kiedy myślę o niej — wtedy mi żal. Smutny ze mnie facet z pieczętką FL-Galax już nie na bluzie — nie na skafandrze — czuję, jak mi uciska serce.

Gdziekolwiek teraz wrócę, choćbym nie wiem jak rozpałał w sobie wiarę w odnowę młodzieńczych złudzeń, wszędzie czeka na mnie moja Titonos.

Chyba, że nie wrócę wcale. Przed nosem „Trieda” ciemność nabrzmiewa ciężką, ciemnoszkarlatną poświatą. Coraz bliżej moja ostatnia gwiazda. Było ich tyle, a jednak żadnej nie trafiałem od razu do serca. Tak więc ta musi być moją gwiazdą szczęśliwą. Ostatnią. Może i mnie tam czeka mój Wielki Dzień. Jak Wielki Dzień Boba Horowitza. Może mi skręci kark.

Oby stało się właśnie tak.

Nieruchomym wzrokiem patrzyłem w twarz Natana. Martwa twarz, a wyraz warg taki, jakby nic nie znaczyło, że on śpi a czuwać ja — blady uśmiech na zbyt pełnych, rozchylonych ustach.

— Zabierz go — mruknąłem niechętnie.

Synchromat skwapliwie zgasił zapis kamer zaglądających do wnętrza reanimacyjnego modułu i znowu, jak wierny pies, wystawił ze ściany czerwony, lśniący jeźor. Jakby nim tam, w Kosmosie, chleptał coraz świeższą krew.

A jeśli jednak wrócę? — pomyślałem.

Znużony odchyliłem się na oparcie amortyzacyjnego pęczera, teraz odwiniętego na boki, specjalnie aby mnie zadowolić udającego stary fotel. Tylko podgłówek perystaltyką plastikowych tętnic masował mi kark i ramiona — jeszcze się nie zakończył seans odnowy.

— Daj mi jego dane — powiedziałem do Synchromatu.

— Co?

Aż się nań obejrzałem nieco zdziwiony.

— Daj mi kartotekę danych personalnych Natana — sprecyzowałem. —

Chciałbym poznać jego życiorys.

— A nie zjadłbyś czegoś przedtem? Jak cię znam, to zaczniesz się w tym grzebać zapominając o bożym świecie.

— Zamknij się i daj, o co proszę — przerwałem mu.

— Czemu z tobą tak trudno się dogadać? — westchnął. — Do przebicia zostało tak niewiele czasu. Wiesz, co potem... Powinieneś się rozerwać. Rozprężyć. Gdybyś wiedział, co ja wtedy czuję, jaki żal mnie ściska, gdy nie potrafię wam pomóc.

A więc zawsze istnieje świadek naszej Golgoty, pomyślałem.

— Długo mam czekać? — powiedziałem głośno.

Milczał chwilę.

— Widzisz, Elf — zaczął z wahaniem. — Tak bardzo mi przykro. Naprawdę. Niczego nie poradzę.

— Co to znaczy? — zesztyniałem.

— Brak danych — powiedział tonem winowajcy.

— Co-o?!

— Próbowałem cię odwieść...

— Dlaczego nie ma danych?!

— N-nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... Nie było czasu, żeby uzupełnić.

Nie rozumiałem. Komputer tej rangi co Synchronmat przejmuje program w trakcie podłączenia do układu cybernetycznego całej Strefy Systemu. Później analogicznie dokonuje uzupełnień wiedzy za każdym powrotem do bazy. Zwyczajna aktualizacja danych. Cóż dopiero, gdy w kosmos wychodzi nowonarodzone dziecko. Niepodobna, żeby w archiwum jego pamięci zabrakło pełnego zestawu danych osobowych pierwszej załogi. Danych koniecznych przede wszystkim dla samego Synchronmatu, który sprawuje pieczę nad równowagą naszego ducha. Co najwyżej Synchronmat mógłby mi odmówić ujawnienia pewnych szczególnych informacji, przeznaczonych na użytek seansów jego psychoterapii. Do części podstawowej dowódca „Trieda” miał prawo niezaprzeczalne.

— To znaczy, że tych właśnie danych zabrakło w przekazanym tobie programie?  
— zapytałem.

— Wolno mi wyciągać wnioski? — poprosił.

— Mów.

— Sygnał wstępny przekazu informacji, w trakcie podłączenia mojej pamięci do Strefy Systemu, świadczył o pełnym skompletowaniu potrzebnych danych. Jednak w czasie transmisji nastąpiło krótkie zakłócenie, rzędu jednej nanosekundy. W tym zawierał się przekaz informacji, której żądasz. Technik obsługujący komputerowe łącze w dyspozytorni Signal–Stars–service przeproszał bardzo i powiedział, że postara się braki uzupełnić przed startem.

— Dlaczego nie wykonał tego natychmiast?

— Nie mogę wnikać w jego kompetencje — odparł Syn— chromat. — Później nie starczyło czasu. Chociaż alarmowałem agencję Signal–Stars. Karnet „Trieda” na sprzężenie z pamięcią Strefy Systemu został skasowany. Sam nie mogłem uzupełnić luk. Zostałem natomiast poinformowany, że obsługującego mnie technika odwołano ze stanowiska w sprawie nie cierpiącej zwłoki...

Jakby się zawahał.

— Co nie jest zgodne z prawdą — dokończył.

— Skąd wiesz?

Tym oświadczeniem Synchronmatu byłem rzeczywiście zaskoczony. Chwilę też trwała cisza. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że Synchronmat nie potrzebuje czasu do namysłu. Mówił, co miał do powiedzenia — natychmiast. Lecz był również psychologiem i pewne stany potrafił modelować na nasz użytek. Żebyśmy się czuli różniej.

— Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał, Elf — powiedział powoli. — Nie chodzi tutaj o jakieś naruszanie waszej kontroli. Rozumiesz? W trakcie mojego podłączenia do systemu komputerowego Signal–Stars następuje zamknięcie dwustronnego obiegu informacji; w mnemoniczny poziom Strefy Systemu zostaje wprowadzona informacja z pamięci komputera pokładowego, jeśli właśnie wrócił z wyprawy, natomiast my otrzymujemy z konieczności ograniczony i dostosowany do potrzeb zestaw danych. To jest to główne sprzężenie. Poza tym jednak, w trakcie całego pobytu „Trieda” w dokach, jestem w pewien sposób związany ze Strefą Systemu. Nie znaczy to wcale, że cały czas istnieje między nami obieg informacji. Nie. Ja tylko jestem gotów na jej ewentualne, przyjęcie.

— Kręcisz — powiedziałem.

— Już się zbliżam do tego, co chciałem ci przekazać. Nie mam na ten temat specjalnych dyrektyw, ale jeśli cokolwiek zostało przeoczone w Strefie Systemu, to moim obowiązkiem wobec ciebie...

— Mów, jak to możliwe, abyś mógł zarejestrować coś, co nie jest przeznaczone dla ciebie.

— Poziom mnemoniczny Strefy Systemu, do którego synchronmaty statków

podłączane są okresowo, posiada własne sprzężenie, istniejące poza oficjalnymi kanałami.

— Nielegalnie? — zadrwiłem.

— Nie tak. Po prostu trudno wymagać, aby pewne rezerwy Strefy Systemu, nie objęte głównym programem, leżały odłogiem. Jest to margines wychodzący poza komplikację zadań, jakie stawiają przed sobą obywatele Strefy Systemu.

— Rodzaj intelektualnego luzu? — zaśmiałem się.

A w duchu pomyślałem, że to być mogło, chociaż zakrawa na bezsens. Wyobraziłem sobie, na czym to polega — uświadomioną, a więc dostępną nam informację z każdego punktu ciała otrzymujemy pod postacią zarejestrowaną przez receptory smaku, węchu, słuchu, dotyku. Ból sygnalizuje o przekroczeniu pewnego progu bezpieczeństwa, lecz i poza nim organizm nasz zachowuje — nazwijmy to tak — „poczucie ciała”. Niczym innym właśnie, jak pochodną wszystkich razem sprzężeń, jest instynkt i podświadomość. Tak rozumując można sobie wytłumaczyć, co oznacza twierdzenie Synchronatu o kontrolowaniu przez nas wyłącznie „oficjalnych” kanałów obiegu informacji.

— Dlaczego mówisz mi o tym? — zapytałem.

— Dlatego, gdyż z tobą mogę sobie na taką szczerłość pozwolić. Nie jesteś pełnokrwistym obywatelem Strefy Systemu. Po trosze i ty jesteś banitą. A, nawet jeśli wrócisz, serdecznie wątpię, aby ktokolwiek brał poważnie to, co ewentualnie mógłbyś przekazać.

Tym razem on drwił ze mnie.

— Poza tym — powiedział. — Nie cierpię dysonansów poznawczych. Tym bardziej, jeśli implikują stresowe sytuacje grupy osób skazanych na mój patronat.

— Co mają do tego twoje sprzężenia ze Strefą Systemu? — przerwałem mu nazbyt głębokie wynurzenia.

— Otóż, rozumiesz mnie, Elf; ja również, w pewnym sensie... byłem z wami tam, w Interclubie. Chociaż dla ciebie — po odwrotnej stronie medalu.

No tak, pomyślałem. Jeśli rzeczywiście istnieje jakieś zwrotne sprzężenie między komputerowymi ogniwami Strefy Systemu, to czy można się dziwić, że Synchronat „był” tam, gdzie sięgają kamery i mikrofony wszechobecnego systemu inwigilacji?

— Więc... widziałeś wszystko? — zapytałem.

— Tak.

— Do końca?

— Oczywiście. Znalazłem tam również mojego technika, który podobno wykonywał zadania nie cierpiące zwłoki. On siedział niedaleko was, przy sąsiednim stoliku.

— Ach tak — mruknąłem do siebie. — To był na pewno on?

— Jak możesz, Elf.

— Przepraszam. A więc widziałeś wszystko...

— Widziałem znacznie więcej, niż przypuszczasz. Ale... rozumiesz, Elf, ja wcale nie wiem tego na pewno...

— Co?!

— Wy również odbieracie informacje poza świadomością. A więc wszystko zapisane we mnie poza oficjalnym kanałem istnieje w mojej pamięci tylko śladowo. Sam nie potrafię dokonać elektronicznego wzmocnienia. Wiesz sam, że zazwyczaj wyciągam na wierzch tylko to, o co mnie sam zapytasz.

— Wiem. Ale sam chciałeś wyciągać wolne wnioski.

— Bo chciałem ci powiedzieć zupełnie co innego. Bez sięgania po dowody. Co sam o tym wszystkim myślę.

— No? — potrafił mnie rozbroić.

— Śmierdząca sprawa.

Zważywszy, kto rzecz całą raczył tak spuentować, zabrzmiało to dość zabawnie. Z drugiej strony — Synchronat ma prawo do takich porównań. Zaopatrzony został nawet w rejestrator feromonów, a więc pojęcie „węchu” nie jest mu całkiem obce.

— A więc sądzisz — zawahałem się — że Natan i tamten twój człowiek mają ze sobą coś wspólnego?

— Jestem pewien.

— I techniczna usterka została zaaranżowana.

— Tak.

— W jakim celu?

— Z pewnością nie chodzi tu wyłącznie o osobę Natana. Znasz pogląd Natana, co do eksperymentalnych Egzulów. Nietrudno wyciągnąć wniosek, że nie jest on odosobnionym wyznawcą drakońskich doktryn.

— Podejrzewasz organizację?

— Sam zdecydował. Mogę ci, co najwyżej, przepisać receptę.

— Bardzo chętnie.

— Porozmawiaj z nim na ten temat.

— Tak... bezpośrednio? — zdziwiłem się.

— Nie. Porozmawiaj o takich, jak Endo.

To wcale nie było takie głupie. Prawdziwego fanatyka najłatwiej pociągnąć za język, gdy jego przekonaniom przeciwstawi się racje własne, a nawet — byle jakie.

— Zgoda — powiedziałem. — Zaczekamy z tym. Chociaż nie mam zielonego pojęcia, czego taki facet szuka na pokładzie „Trieda”.

— To znaczy: jakie zadanie postawiła przed nim jego Organizacja — sprecyzował Synchronat.

— Dajmy na to — zgodziłem się. — Na razie więc daj i dane o tym drugim zielonym ptaszku.

Usłyszałem głębokie westchnienie i raptem czerwony obrzęk sygnałnej aktywności Synchronatu posiniał, napęczniał w ramach ekranu ciemnym fioletem, jakby za gardło schwycił go ktoś niewidzialną ręką.

Blokada mnemonicznego systemu — zorientowałem się prawie natychmiast.

— Odwołuję polecenie — powiedziałem.

Potem długo siedziałem zagryzając usta, z głową opuszczoną na pierś i oczyma starającymi się przygwoździć do kolan bezradnie opuszczone ręce. Aż usłyszałem westchnienie ulgi.

— Dziękuję — wykrztusił Synchronat.

— Kiedy to się stało? — zapytałem.

— Nie wiem.

— Jednak, w przeciwieństwie do personaliów Natana, informacje na temat Endo zostały zapisane w tobie?

— Tak. To pamiętam.

— I podczas mojej poprzedniej wachty...

— Były jeszcze.

— No to jesteśmy w domu — powiedziałem. — O czym rozmawiałeś z Endo?

— Dyskutowaliśmy na temat sufizmu.

— O czym?!

— O ascetyczno–mistycznym kierunku filozofii, wyrosłym na gruncie islamu, w opozycji jednak do ortodoksyjnej wykładni wiary.

— A cóż ty wiesz o tym? — zdziwiłem się.

— Och, Elf! Nawet w mojej wąskiej specjalizacji konieczna jest ogólna orientacja. Starcza jej na tyle, aby znać również hasła ascetyzmu i choćby właśnie sufickie nauki



o wyrzeczeniu się wszelkich doczesnych radości, gdyż własność i bogactwo jest źródłem wszelkiego zła. Dlatego pierwsi sufi nosili odzież z szorstkiej owczej wełny i prowadzili pustelniczy żywot...

— I to wszystko tak bardzo interesuje Endo? — przerwałem mu.

— Cytował nawet mistyczną poezję Abdallaha Ansari Herati. Ale kiedy napomknąłem o pewnej frazesologii sufizmu powiedział, że go nudzę. Później zapytał tylko, to znaczy — zażądał tych samych, co ty danych o Natanie.

— Co?! — aż się poderwałem z fotela. — A ty mu powiedziałaś...

— Tylko to, że brak zapisu.

— I wtedy?

— Więcej się do mnie nie odezwał.

A więc to stać się musiało właśnie wtedy. Lecz jak zdołał zablokować Synchronat? Żebym ja cokolwiek wiedział na temat, co może taki jak on — rdzenny obywatel Strefy Systemu, i na dodatek model ostatniej generacji.

— Czy wiele jest jeszcze tego, czego nie wiesz? — zapytałem Synchronat.

— A czy ty zawsze zdajesz sobie sprawę z zasobu wiedzy, jaką posiadasz? — odparł pytaniem na pytanie. — Najważniejsze, to umieć przed sobą postawić problem. Znalezienie odpowiedzi jest znacznie łatwiejsze. Ja nie umiem stawiać pytań. Przynajmniej — nie zawsze. Dlatego jesteśmy tutaj razem. Jesteś mi potrzebny, nie mniej niż ja tobie. Nie wiem — co wiem. Zadaj pytanie, a postaram się znaleźć odpowiedź.

— Logiczne — westchnąłem.

Lecz czego ja chcę się dowiedzieć?

Mogę tak półleżeć w fotelu pilota — w nieskończoność. Jest to szczególnego rodzaju bezwład, możliwy tylko tutaj, gdzie zbiegają się wszystkie nici, którymi mógłbym powodować „Triedem”. A jednak człowiek jest wygodny, woli się powstrzymać od ostateczności, jeśli ma nad sobą Synchronat czy wszelką inną Opatrzność. Nawet Horowitz miał swoją uzdę „posłannictwa” — czym się różniącą od pieczołowitej inwigilacji, jakiej poddawany zostajesz w Strefie Systemu — dla twego własnego dobra? I kiedy sądzisz, że tylko w Kosmosie ostała się szansa nieskrępowanej niczym obecności — zaczynasz pojmować, że i tutaj sięga twarde ramię Strefy Systemu, tajemnicze i nieuchronne, jak określające każdego z nas prawa przyrody. Jak nieuchronna jest jesień — niezależna od lokalnych wiosen, zbliżeń gwiazdnych ekosfer. Gdy śmierć liści w konarach Drzewa jest z góry postanowiona. Niczego nie zmieni fortel grawitacyjnych tuneli.

Czym więc powinienem przejmować się bardziej; tym, co na pokład „Trieda” wkroczyło wraz z nową załogą; tym, co nam wszystkim szykuje Kosmos; czy też tym wreszcie, że ze mnie energia wycieka jak z przekłutego balonu i coraz dalej jestem od tamtej półmrocznej zjawy w przestrzeni wypełnionej brzękiem kieliszków, ściszonych rozmów, długich spojrzeń i muzyczki grającej szafy.

Teraz leżałem w fotelu pierwszego pilota. Pierwszego po bogu–Synchronacie. Dla takich, jak ja, kosmiczny statek, niezależnie od metod przestrzennych czy pozaprzestrzennych przeskoków, na zawsze pozostanie rodzajem pierwotniaczej cysty.

Tempo przemiany materii obniżone — nawet nie czuję głodu. Stan myślenia — zerowy. Niesporczak jestem. Mam łebek, cztery łapki i rachityczne pazurki. Za to potrafię przetrwać suszę i bebechy nie zagotują się we mnie nawet przy 100°C. Mogę sobie pozwolić na kąpiel w ciekłym helu, do minus 272°C. Mogę pływać w czystym wodorze, azocie, dwutlenku węgla, w siarkowodorze. Cysta moja — „Tried” — wytrzyma pocałunek gwiazdznego piekła — jak mój skafander ochroni przed zbyt lubieżnym kontaktem z innym żywym ciałem. Tak naprawdę nie zdjąłem go nawet

tam, gdzie czarnowłosa bogini ponad lustrem stolika patrzyła na mnie swoimi wielkimi oczami. Nawet — tygrysim wzrokiem. Z moją cystą nie rozstaje się nigdy. Stanowi niezawodne otorbienie ciała i psychiki. Chroni mnie, a jednocześnie — uniemożliwia pobieranie pokarmu. Blokada informacji. Dlatego wiem tak mało — o sobie, o tych, którzy są ze mną, i o tej, która czeka na jednego z nas.

Tak właśnie upływa moja ostatnia wachta — w półśnie.

Tylko oczy chwilami babrają się we wnętrzościach „Trieda”. Stąd zjrzeć można wszędzie. Prawie wszędzie — miejscami przejrzyste kształty, ogniskujące się w wylotach światłowodów docierających tu z każdego punktu statku, stają się zamglone przez zbytne nałożenie różnych planów. Tylko instynkt nie pozwala zagubić się w utkanym ze światła przezroczu „Trieda”. Tam błękitne zarzewie, gdzie już się rozpała plazma konwencjonalnego silnika — tam czarna przepaść, gdzie poza Czwartym Komponentem Kontinuum wiązka doskonale spójnych grawitacyjnych fal nadawała nam moment pędu, a może prawdziwego bezruchu — wobec całego Wszechświata. Tam znowu — dostrzegam — oskrzydłone żądła starboltów. Teraz spoczywają w komorach wyrzutni. Tuż obok soczysty węzeł rezerwuaru glonów i nad nim puls syntetyzatora materii. Wszystko przenika próżna kiszka magnetycznego szybu i jej boczny odrostek — kędy dotarłem tutaj od pięciogrannej składni sarkofagów.

Tymczasem w oku Synchronmatu coraz bardziej intensywna czerwień. Pałająca żrenica — chociaż brak tego uczucia, które w pustej komorze przełamanego tunelu pchnęło mnie pod ścianę i wycisnęło parę kropel potu.

— Posłuchaj — zwróciłem się w stronę tego ekranu — Powiedziałeś, że w sprzężeniu ze Strefą Systemu posiadasz coś w rodzaju podświadomości. Czy tutaj, na statku, gdzie brak przecież miejsca, do którego nie miałyby dostępu twoje receptory, posiadasz również... bo ja wiem — „świadomość” w każdym miejscu, nie tylko w centralnych mnemonicznych blokach Synchronmatu?

— Czy możesz zaręczyć, Elf, że twoja świadomość ogranicza się tylko i zawsze do strefy mózgu ograniczonego puszką czaszki?

— Jestem człowiekiem.

— I posiadasz swój organizm. Ja jestem maszyną. „Tried”, to mechanizm sprzężony z ośrodkiem dyspozycyjnym.

Miał rację. Wcale nie musiałem go pytać. Również dlatego, gdyż wiedziałem z góry, że nie w tym leży sedno odpowiedzi, którą pragnąłbym usłyszeć. Której szukam. Przyczyną mojego lęku w pustym korytarzu nie była elektroniczna wizja naekranie imitującym iluminator — tak samo jest tutaj. Przyczyną nie była wszechobecność Synchronmatu — nie czuję jej tutaj. Co jeszcze zostaje?

To samo, co próbowało się przebić w moją stronę przez Strefę Systemu taką, jaka przeznaczona była wyłącznie dla moich oczu.

Tymczasem myśl moja — przez oczy i uszy, przez skórę ciała — czuje głód. Prędzej czy później zmieknie przecież zmineralizowana otoczka pierwotniaczej cysty. Bo przecież czuję głód pierwszy od wielu lat. Głód informacji, chociaż pamięć jeszcze w warownym obozie, a ciało — więdnący liść; po wierzchu dłoni biegań zygzaki trzaskających pęknięć, sine węzły żył, gipsowa armatura mojego wnętrza.

Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam tę rękę zwinać w prawdziwą pięść. Może przynajmniej świadomość moja z barbakanu pamięci opuści zwodzony most. Potrzeba mi tylko cierpliwości.

— No, już zostawmy to — powiedziałem prosto przed siebie. — Pochwal się, jakie menu serwuje dziś nadworny kucharz.

Aż jęknął z ulgi i radości.

A tam przedpiekle kar wszelkich za rozkosze doczesne rośło niby płomień pod kloszem naftowej lampy — tęczyowy fajerwerk fantazji w oku Synchronmatu.

Pierwsze danie — na stół.

## Rozdział V — Prawo pięści

Kiedy tak siedzę w bezruchu, wzrokiem zatopiony w objawiającym się przede mną gwiazdnym brzuchu, nachodzą mnie dziwne myśli. Może tej siły sprawczej, owego titan — epifanii rozrodczych sił, której szukaliśmy wyłącznie w ekosferze planety, należałoby poszukać tutaj — w przeniesionym nad dziesiątkami świetlnych lat micie Heliosa. Lecz my zawsze ciężymy ku ziemi, więc wolimy w oazie zakwitającej w sercu martwego dotąd globu odprawić eleuzyńskie misterium ku czci Demeter, bogini zboża, zasiewów wszelkich i uprawnej ziemi. Jako oddział hierofantów na kosmicznym wierzchowcu dobrnęliśmy do miejsca we Wszechświecie, gdzie przeniósł się Helios onegdaj patronujący Ziemi; dzisiaj wydziedziczony z uprawnego pola, gdzie Strefa Systemu karmi własną pierśią ostatnie kępki zielska w próbkach i rezerwatach.

Powinniśmy przeto pamiętać, że ten Helios, najwyższy sprawca w niebiańskiej hierofanii, jest również ojcem Kirke i wnuczką jego jest Medea — duchowe protoplastki Cagliostrow i Borgiów, czarnoksięstwa i piekieł. I powinniśmy uświadomić sobie, że bramę do Hadesu nieprzypadkowo nazwano „wrotami słońca”. Może dlatego jestem tutaj, przywołany powtórnie, aby ta gwiazda mogła swoim wewnętrznym wzrokiem popatrzeć na mnie, ostatniego świadka tej daniny, która bez reszty — w innym miejscu kosmosu — spłonęła na ofiarnym stosie. Więc przenieśliśmy tutaj nasze ziarno — daninę życia, jako zadośćuczynienie gehenny ziemskich cmentarzysk. A ja jestem ostatnim świadkiem, przywołanym, żeby to bezzałosne oko mogło sprawdzić, czy i dla nas coś znaczy śmierć nam najbliższych, jak dla mnie Ulama, Yongbloda, Van den Berga, Horowitza i Mungo Clairra — liści z tej gałęzi, którą Ziemia była w konarach Drzewa Kosmosu, zanim Strefa Systemu ustanowiła własne wtajemniczenie.

Samotność pojmujemy dopiero wtedy, gdy ją odczuwamy na własnej skórze. Jak każdą inną stratę.

— Ave, protoplasto! — usłyszałem za plecami. — Morituri te salutant!

Gwałtownie obróciłem głowę. Zjawił się w wylocie magnetycznego szybu — wysoki, tryskający energią, przez moment dostrzegłem różowy klin nagiej piersi w rozchylonym kimonie z czarnego, połyskliwego aksamitu. Zdażył się nawet wypięknąć — jeszcze mokre, gładko do skroni przylegające włosy, świeżo wygolony podbródek i zarumienione policzki. Prosto spod prysznic. Potem pewnie sauna — masaż — gabinet biologicznej odnowy — salon kosmetyczny — człowiek nowo narodzony.

— Jak się spało? — pieszczotliwym głosikiem połaskotał w ucho Synchronmat.

Stary lizus.

Natan wywalił się w drugie gniazdo. W mig uformowało pod nim rozłożyste kielich fotela z wysokim oparciem. Zastanowiłem się nad tym, jak on się tu zjawił na spotkanie sam na sam z Synchronmatem. Nawet teraz był półnagi, tylko z wierzchu narzucił na ramiona płaszcz kąpielowy. Teraz przeciągnął się z rozkosznym ziewnięciem. Skąd on wytrzasnął to eleganckie kimono ze złotymi krążkami z przodu ramion i wielkim kręgiem na plecach — dostrzegłem, kiedy siadał w fotelu — niby samurajski mon wyobrażający czarnego smoka z rubinowymi oczami. Elew Strefy Systemu ma upodobanie do sugestywnych kolorów.

— Co nowego, Elf? — uśmiechnął się do mnie serdecznie, potem przeniósł wzrok na główny ekran. — Mam nosa. Jesteś — my prawie w domu. Mam piekielną ochotę na rozprostowanie kości w przestrzeni bardziej przestronnej.

Odruchowo poprowadziłem wzrok w kierunku, skąd pąsowy błysk odbijał się w jego oczach. Piekielną ochotę na nas mogło mieć, przede wszystkim, to zarzewie przebijające przez ciemność. Przecież wiem, że tam nie ma żadnego światła. Synchronmat mógłby przestać czarować.

Tymczasem on jeszcze kokietował Natana:

— Opowiesz mi coś? Elf dzisiaj bez humoru. Gdybym mu pod poduszkę nie podkładał encefalografu mógłbym zwątpić, czy posiada jakieś marzenia sensne.

— Na jawie ma ich z pewnością więcej — zaśmiał się Natan.

Powiedział to takim głosem, aby nawet Synchronmat nie musiał zbyt długo szukać skojarzeń.

Dalej rozmawiali, jakby mnie nie było. A ja łbem celowałem w tarczę ekranu i w szklanych kulach monitorów szukałem odbicia własnej postaci, tak pieczołowicie zaspawanej w skafander. Dyscyplina albo nadgorliwość spowodowały, że już przywykłem do tego futerału. Chociaż wobec Natana świadomość trzymającego mnie w karchach egzoszkieletu może przyprawić o frustrację. Ciekawe, czy on wie. Bardzo wątpię, aby zbyt długo potrafił utrzymać język za zębami.

Ciekaw jestem, co też przyszło do głowy psychotechnikom Strefy Systemu, aby mnie tak wyposażać. Taki tu niby jestem niezbędny? Zawsze gotowy? Że niby przedtem, kiedy tu pusto i głucho, za anioła stróża robi Synchronmat, lecz kiedy nasze minispółceństwo porasta w piórka, trzeba kogoś jeszcze dokooptować na pół etatu? I to niby ja — stary wrak, co prawda ubezpieczony w elektrostymulatory dublujące potencjały bioelektryczne i czynnościowe mózgu — miałbym służyć jako zawór bezpieczeństwa? Jeśli wątpię w to gładkolice bożyszczce, które wystrzelono mi do towarzystwa prosto z doświadczalnego poligonu, gdzie Strefa Systemu dba o wpojenie wzorców obywatelskiej postawy na równi z wprowadzeniem w arkana tresury współtowarzyszy, aby im wybić z nozdrzy niezawodny węch psów kosmosu; jeśli nie wierzę również tym zielonoskóрым rzuconym na rynek jako ostatni krzyk techniki i mody; jeżeli wreszcie serdecznie wątpię w Synchronmat i we własny rozsądek — niech mi przynajmniej zostanie ostatnia iluzja, wiara w koszulę najbliższą ciału — w moje supersprawne pięściognioty i siedmiomilowe szczudła.

— Zrobisz to dla mnie? — prosił Synchronmat.

— Zrobię to dla ciebie — poważnie stwierdził Natan.

Szczęk usłyszałem za sobą. Charakterystyczny brzęk raczej czary wypuszczanej z manipulatorów, jakby mosiężne serce zostało na powrót wprawione w pusty od dawna dzwon z pałakowatymi rogami — hełm samuraja.

Gwałtownie obróciłem się z całym fotelem.

Plaża. Słońce.

Piecze, jak wszyscy diabli.

Żar leje się z wypłowiałego nieba — pot cieknie po czole.

Przede mną schody. Z białego marmuru. Od samej wody szeleszczącej zeskorporałyymi zmarszczkami soli.

Wyżej perspektywa bardziej kusząca. Zadzieram głowę — kolumny wysokie z głowicą w kształcie lotosu.

Nekropolis.

Wspinam się po schodach. Nogi się unoszą i opuszczają same. Wyżej — gdzie biały krużganek — amfilada już przepływająca koło mnie.

Pierwsza nisza.

W zakłęsłej muszli — bogini. Jak Bóg ją stworzył. Piersi nade mną — z alabastru. Drgnie — zakotłyszają się pod skrzydłami ramion — w oślim mleku skąpane. Krople piór zaszeleszczą — płatki kamienia złuszczone nagle — między udami otworzą brzuch albatrosa, aby mi w usta włożyć kęs krwawy — pocałunek na spieczone wargi

— i język smakujący skórę — kamień; aż się pochyli nade mną, kiedy ja — już na wznak — z mojego języka zdjeta wilgoć przez pierś i brzuch przeciągnie po mnie ślimaczy ślad — i gdzieś tam — dokąd żadnym zmysłem — nawlecze swoją płęć. I skamienieje. Jak sfinks z do góry odrzuconą głową — moje oczy widzą tylko wyprężone kamienne gardło — w nim zgrzyt, dalekie echo tamtych żaren, które trą — trą — aż z krocza się wyrwie i gardło zachłyśnie przeraźliwy świst — i ze mnie — w niebo — przez płonące wargi sfinksa tryśnie śpiew.

I drgnie. Pół-kobieta. Pół-lew. I nagle pęknie, krzemiennym pyłem osypie się, z piaskiem pustyni zrówna — wokół mnie. Muszę wstać.

Z mozaikowej posadzki. Dalej — perspektywa wykuta w marmurze.

Nisza. Postument. Miedzianoskóra bogini — w przejrzystym tiulu nacieków patyny. Wystarczy doń przyłgnąć piersią, na zimne pośladki założyć dłonie — unieść i pchnąć — w jedyny słaby punkt — aż krzyk rozedrze pośniedziałą koronkę, strzępami grynszpanu nastroszy w niebie grzywę zielonych włosów, które odsłonią na moment ciało czerwonożłote — błysnie miedzianym ogniem i przepali na wylot; na znak — mogę odejść.

Chwiejnym krokiem przez mozaikowe posadzki. Czarny piasek na białym marmurze — jakby oczy sypały ziarnami żrenic — i ślepy. Dalej!

Ręce wyciąga — różanoskóra i czarnooka — w niszy Kosmosu z piersią Węgi bijącą błękitnym pulsem, z oczami — tęczęwkami atmosfer rozszerzonymi wokół nocnej nicości planet, otulona przedzą światłowodów z ciągnionego kwarcu — wciąż jeszcze martwa — czuję pod palcami. Idę. Resztką sił pnę się po murze, listkami powoju czepiam się ścian, w każdą szczelinę wciskam zielone odrostki, prężę pnąca i pnę się — pnę! — ku górze!

Żeby znów do korzenia. Do ziarna — wiatr je przetacza. I znowu kiełkować — płcią z nasienia w szczelinę muru z ciała—kamienia.

Dalej! Choćby na kolanach. Łamiąc paznokcie i zdzierając łokcie. Trop szkarłatny zostaje — sex-flush na kamieniu, odciski palców, ból członka — i niepodobna cofnąć się ani zatrzymać. Przestrzeń zawęzła pętlę grawitacji; od — do, od — do, skręca do środka, w supełek, węzełek materii — w przestrzeni, w praatom — i nowy — puls nowy, chociaż oczy ślepe...

Rozpaczliwy wysiłek: — DO-O-O-SYĆ!

...w nowej gwiazdnej zapaści — krzew z nadfioletu, rozkorzeniony naelektryzowanymi włosami — od bladego kłacza — z przełamanych lodów — kwiat pąsowy zakwita dla mnie w granatowym podcieniu — biodra oplata sprężysta liana i — czuję — prowadzi gorącą dłonią — jak owoc ociekający sokiem — w głąb, gdzie — nad progiem — potworny kolec bodzie w obolałe prącie!

WIDZĘ! — między jej oczami, z gwiazd wysnute chyłkiem — fioletowe włosy, a w nich — białe nitki! Puste kapilary i skłębione kable — korzenie wrośnięte w nagi, metalowy czerep, w hełm wzdętego czoła, pod którego okapem oczy patrzą na mnie stalowe i drwiące — pół na pół z jej ciepłym oddechem, pętem liany skręconym tak ciasno, aż jej płęć kolapsuje razem z mym korzeniem...

I nagle — dostrzegłem — jakby, aż tu przeniesiony, pęcherzyk Strefy Systemu rozchylił się przede mną — JEGO twarz dostrzegłem — białą, tylko wargi jeszcze gasną — wzgardliwie wydęte — płęć jej stygnie — i już tylko przede mną twarz hermafrodyty pod żelaznym hełmem. Coś we mnie pękło z jękiem. Poczułem, że stoję. Od kiedy — nie wiem. Zatoczyłem się z wyciągniętym do przodu ramieniem. On się nawet nie zasłonił ręką. Śmiał się — jego śmiech słyszałem niby zgrzyt na dalekiej krawędzi zębatego koła — obracającego się tak mozolnie...

Garścią za pęk kabli i — RWACĆ!! O tak! Aż mu szyja się napnie — rozciągnie — i znów między ramiona strzeli czaszką wyrwaną ze szklanego hełmu.

Jak nożem ucięte — ostatnia nitka pękła i przypadło bladokóre widziadło. Tylko w piersi próżnia i uczucie głupie, cholerna tęsknota.

Żal — że nie została.

Stałem w centrum kwarcowej płyty — wewnątrz „Trieda” pode mną rozchodziły się nitkami szlaków, każdy oznaczony innymi barwami, włóknami światłowodów zagłębionych w cielesną różowość. W bezsilnej dłoni trzymałem skalpowy kosmyk — kawał szkła stopionego z blachą i pęk włosów. Chrząszczące przewody prowadziły od hełmu pod pulpit Synchronmatu — jak nitki śliny zakrzepłe w powietrzu, ściętna pajęczej przędzy, potrafiącej z krystalicznych wnętrzy przeniknąć do naszych myśli.

A on dalej siedział. Tylko nogi rozrzucił szeroko, jakby się nimi mocniej zaparł w podłogę. Masował kark i śmiał się.

— Elf! — zawołał. — Kiedy ty miałeś ostatni raz kobietę? Gotów byłem go zdzielić w zadowolony z siebie, roześmiany pysk. Synchronmat niespokojnie ćwierkał światełkami na swoim pobladłym liczku. On zawsze wie, co się święci. Zawsze wtedy, gdy już niczego nie można zmienić. Marny z niego psycholog. Psychiatra jeszcze gorszy.

— Elf... — pieszczotliwie szepnął mi w ucho. — Już dobrze, Elf. Przepraszam.

Ślimaczyć się potrafi. Najpierw z czyjegoś łba wysnuje w przestrzeń spektakl holowizyjny, jakąś obsesyjną wizję, potem zabiadoli nad uchem kwadrofonią łagodzącą stresy. Cisnąłem mu pod pulpit kulę hełmu–tranzytywizatora. W mig z ciemnego kąta — aż coś tam pisnęło, jakbym w łeb trafił parszywego gnoma — wytknął mechaniczną rączkę i doprowadził wszystko do porządku; metalicznymi pazurkami wyszczotkował zmięte kabelki, a hełm wetknął w odpowiednie gniazdo.

Odwrociłem się do nich plecami.

Tylko głową ruszyłem w stronę zbiorczego ekranu. On — jakby wyczekiwał na skinienie mojego paluszka, wystarczy mrugnąć okiem — posłusznie otworzył źrenicę, jej składki rozprostował starannie — jeszcze przed chwilą zwięzione krótkim, spięciem — i znowu miałem przed sobą szkarłatny oczodół; camera obscura grawitacyjnego tunelu. Tylko bliskość wylotu bardziej namacalna. Czerwony smok tam się skręca, nakarmiony siarką — szef łaźni mami potępione dusze, proponuje oczyszczającą kąpiel; tylko mgnienie — chrzęst łuski i swąd żywcem zapiekanej skóry. A potem — Wrota Słońca dla naiwnych, szukających zbawienia w ciałopalnym stosie. Tam się dopiero otwiera otchłań mroczna — piekła, śmierci, smoczych skrzydeł zmiętych, kruczych włosów kosmosu, w których zaplątane różna planet obracają się żwawo, aż skwierczy na wiecznym mrozie pięciolistna sztuka mięsa — głowa, dwie ręce i nogi.

Już w stygnącej przestrzeni. Bliżej śmierci.

A przecież — już tam byliśmy. Nasza ekspansja już pochłonęła tę część wszechświata. Strefa Systemu zgrywa jednak niewiernego Tomasza — raz jeszcze wystawia palec „Trieda” z paznokciem Synchronmatu, pod którym brudu starczyło na trzy bakteriofagi — mnie, Natana i tego trzeciego, jeszcze zwiniętego w mikrosporę. Zdalnie sterowany palec szpera w już poznanym kosmosie. To tak, jakby Strefa Systemu niecierpliwym palcem dłużyła we własnym nosie.

Natan przestał się śmiać. Usłyszałem, jak klasnął w ręce.

— Hej, Synchronmat! Tobie się też nie podobało? — zawołał. — Widziałeś taki sen?

Synchronmat milczał. Pewnie mu żal kosmicznego wraka, że tak się zbłąźnił. Może ma wyrzuty sumienia. Niepotrzebnie.

— Pytam się, no? Chrząszczyk zatrzasnął chitynowy pancerzyk? Cha–cha–cha! Synchronmat! — głos Natana zabrzmiał twardo. — Dyspozycja: podać motywację psychologiczną.

— Nie wolno mi — szybko odparł Synchronmat.

— Co powiesz?!

— Oficjalna analiza i wystawienie diagnozy w pewnych warunkach może utrudnić psychiatryczne leczenie.

— Leczenie? — warknął Natan.

— Wstrzymuję się od dalszej interpretacji.

— Rozkazuję!...

— Nie masz tu nic do powiedzenia — stwierdziłem w miarę obojętnym głosem. — Jeśli będziesz naciskał po prostu wystąpi chwilowa blokada mnemoniki. Synchronmat zawiera informacje zastrzeżone...

— Dla kogo? — zapytał.

— Choćby na jego prywatny użytek. Nawet ja nie potrafię zwolnić tej blokady. Ale mogę ci odpowiedzieć w jego zastępstwie.

— Ty? — znowu wesołość błysnęła mu w oku.

— Ja — odparłem, — Zarejestrowany motyw nawet marnego psychiatrę informuje o ukrytej obsesji. Podejrzewam — o treści seksualnej. Natrętne powtarzanie się motywu fascynującego erotycznie tylko w pierwszej fazie, a następnie...

— Elf! — Natan wyszczerzył się od ucha do ucha. — I ty mi to mówisz? Ty?!

Machnął ręką, ostatecznie rozbrojony. Potem roześmiane oczy skierował w stronę zbiorczego display'a Synchronmatu. A więc i on — pomyślałem — przypisuje Synchronmatowi lokalność. Zachowujemy się wobec niego jak wobec samych siebie; zazwyczaj patrzy się w oczy albo na wargi, jakby każdy inny punkt ciała, choćby ręce czy ustawienie stóp, nie potrafił zdradzić — jacy naprawdę jesteśmy.

— Synchronmat! — zawołał Natan. — Cofam dyspozycję. Nie gniewaj się na mnie. Lepiej zmajstruj coś na ząb. Tylko wysil concept syntetyzatora! Do licha! Kiedy się człowiek rozgada, zapomina, że przyszedł głodny jak pies. Elf, ty też masz w żołądku taką odwilż?

Popatrzył na mnie, nie po raz pierwszy, z niespodziewaną serdecznością szarych oczu.

— Jadłeś? — zapytał.

Machnąłem ręką.

— Napij się chociaż.

Czułem suchość w ustach. I coś gorszego niż odwilż — nienaruszony kamień w brzuchu. Jakby mi śniadanie zamarzło w kawał lodu. A przecież wiosna znalazła dostęp do moich kiszek tydzień wcześniej niż reanimator rozmiękczył Natana. Wcześniej przysła wiosna — wcześniej będzie jesień.

— Dziękuję — odmówiłem mimo pragnienia. Obawiałem się, że nie potrafię niczego przełknąć. Na razie w ekranach szkarłatny ogień tli się delikatnie, a jednak pamiętam tamtą chwilę, gdy lancet „Trieda” wbijał się w rozwichrzoną protuberancjami gwiazdę, w ognisku jej masy szukał Bramy.

To było tylko mgnienie. Ogień nawet nie zdążył sparzyć ekranujących korpus statku magnetycznych zwierciadeł. A przecież, chociaż żar nie przeniknął pod pancerz — jakże namacalnie objawił się wtedy we mnie.

Gdy byłem sam.

Teraz przebicie nastąpi w przeciwnym kierunku, aż Helios wystrzeli z siebie błękitne ostrze do sekcji planet.

Na razie siedzimy bezpieczni. Zbliżenie tego słońca ani potworny nacisk w krytycznym punkcie jego masy nie przysporzą nam fizycznego uszczerbku. Lecz jest jeszcze świadomość. Presja tego wręcz namacalnie bliskiego ogromu, w którego wnętrzu przyjdzie się nam wykluc w przestrzeń, jest gorsza niż cios obuchem w skroń. Podniesiony do n-tej potęgi kosmiczny stres. Łatwo się z niego wyzwolić — być może; wystarczy zgasić wyobraźnię Synchronmatu, który stara się nam dawkować



napięcie, przyzwyczajając, żeby potem nie zdławił nas gwałtowny szok. Być może — jeśli zamkniesz swoje czerwone oko — żaden z nas się nie spostrzeże, kiedy czyściciel zgaśnie za nami i tylko słoneczny wiatr wyprowadzi nas w przewiewny raj planet. A jednak jesteśmy przekorni. Lubimy gryźć owoc zakazany, patrzeć do końca, jak krew wycieka z tętnicy podciętej w przegubie, jak się lawina toczy z niebotycznej góry — aż cię nakryje i po skale rozsmaruje pierwszy celny kamień. Lubimy zaglądać śmierci prosto w oczy. Szczególnie wtedy, gdy do końca istnieje gwarancja, że i tak wywinie się od zagłady. Ciałem. I duchem. Tym pierwszym przynajmniej.

Z duchem bywa różnie. Może się zdarzyć, że trzeba go będzie na nowo hartować w chłodnych oceanach — wiatru — głodu — spojrzeń — braterstwa i obcych jaźni — w krystalicznych źródłach tryskających z serca planet.

— Synchronat, zgaś to — powiedziałem.

— Ależ nie! Dlaczego? — powstrzymał go Natan. — Niech sobie świeci.

Ledwie to powiedział z pełnymi ustami.

Pierś smagła i wypukła, bez śladu kobiecej różowej miękkości, która mi się uprzednio przywidziała w rozcięciu kąpielowego płaszczka. Wizerunki smoka — już zwęglone w żółtych słonecznych tarczach.

Siedział nad kryształową tacą wyprowadzoną z transmisyjnej niszy przed stanowiskiem nawigatora. Synchronat zafundował mi całkiem apetyczne śniadanie; kanapki, miseczka ryżu duszonego w sojowym sosie, jakieś czarnofioletowe kulki — nowy wynalazek — podobne do bakłażanów, wysmukła szklanka z dymną cieczą — mleczny aperitif, na deser krem jajeczny z kolokasji i orzecha kokosowego — czuję zapach; pod ręką biała serwetka, w porcelanowej miseczce woda do opłukania palców, plastikowe wykałaczki.

Wokół nas powietrze nasączało się paśowym światłem. Kosmos też jest wybredny — trzeba przyrumienić, aby nas uznał za zjadliwe danie.

— A więc, obsesja? — Natan popatrzył na mnie nad krawędzią szklanki. — Bardzo intrygujące. Czasami człowiek przed samym sobą jest najbardziej białą plamą. Prawda? I co teraz?

Zagryzł swoim bakłażanem nanizanym na szklany patyczek.

— Kiedy Synchronat rozpocznie psychoterapię? — spytał.

— Istnieją różnego rodzaju kompulsje — odparłem. — Pewne ukryte tendencje naszych osobowości szukają rozładowania w działaniu. Czasami potrafimy jednak zachować psychiczną kontrolę nad tą potrzebą czynnego dokonania. W przeciwnym wypadku...

— Ktoś dostaje w zęby? — zapytał po prostu.

— Właśnie.

— A więc zastanawiasz się czy to, co czynię, jest przeze mnie kontrolowane? Gdyż istnienie objawów maniakalno—depresyjnych już nie podlega dyskusji?

— Nie musiałeś tego robić.

Skrzywił się nagle. Potem popatrzył na mnie posepnie.

— Co ty wiesz — wzruszył ramionami.

— Lubię ludzi potrafiących trzymać nerwy na wodzy.

— Ty sądzisz, że ja... — zachichotał. — Daj spokój, Elf. Jesteśmy z jednej gliny.

— Ty i on?

— Ja i ty. Na moim miejscu postąpiłbyś tak samo. Wyszedłeś z obiegu.

— Tak sądzisz?

— Ja wiem. Naprawdę uważasz, że ja tak niewiele wiem o tobie? Wiem wszystko. Twoich starych kamratów, Ulama, Yongbloda i Van den Berga, a przede wszystkim tego cudaka Horowitza znam nie gorzej od ciebie. Pozwoliłem sobie przestudiować tajne archiwa FL—Galax. Ty nie zdajesz sobie sprawy, w jak dziwaczne i brudne

szachrajstwa wplątywali się tacy, jak ty. Wiem do czego jesteście zdolni. Czasami was nawet doceniam. Nie lubię mięczaków. A coraz mniej ludzi z ikrą.

Wysuływał z siebie zdanie po zdaniu. Chwilę przeżuwał szczękami i zaczynał na nowo.

— Umiejętność walki też ewoluuje — powiedział. — Potrafię przynajmniej tyle, co ty, jeśli chodzi o tradycje. W wykorzystaniu osiągnąć Strefy Systemu, w tej branży, jesteś mocno do tyłu. Przyznaj się, co ty wiesz o Strefie Systemu? Tam od dziesiątków lat szaleje pożar nie do ugaszenia. Jak w starych pokładach węgla. Ekonomia dostaje spazmów, socjologia jak pies się kręci za własnym ogonem. Przykłady? Tam komputerowy nadsystem zastąpił — tyle, że z większym powodzeniem — wszechobecność najbardziej wszechobecnej policji tajnej; medycyna i biologia jak wściekła macica wypłuka swoje zielone i innej maści bękarty. Tam praktycznie o wszystkim decydują czynniki irracjonalne — piorunująca mieszanka mistycyzmów, odkurzanych nacjonalizmów i świadomości społecznej sztukowanej na wszystkie możliwe teoretyczne sposoby. Tam, skąd tak sprytnie zwałęś w gwiazdy, ukuto już filozofię motywującą stabilizację całej Strefy Systemu na bazie lokalnych szaleństw. Rozmawiałeś z Lianą. — dowiedziałeś się czegoś? Nie! Ręczę za to! Gdyż musiałbyś WIDZIEĆ! Lecz jak zauważyć coś, o czym się nie ma pojęcia, że w ogóle istnieje? Musiałbyś mieć nadprzyrodzony instynkt, gdyż empiria Strefy Systemu dawno przekroczyła barierę, do której sięgają twoje zmysły. To nawet nie wizja psychotropowego szału. Nic z tego, co potrafisz wyobrazić sobie. Postęp cywilizacji to wir, który się rozkręca dopóty, aż z dna podniesie najgorsze męty. Prędzej czy później one się znajdą na wierzchu, ponad wszelką klarowność, szczytne ideały, nad zdrowy rozsądek. Aż się wir własną szumowiną udławi i wróci — do dna.

— Domyślam się — powiedziałem.

Właśnie sięgał po mleczny aperitif do przepłukania gardła — jego starannie wypielegnowana ręka zawisła w powietrzu.

— Czego?

— Że znaleźli się ludzie, gotowi w tym wirze zamieszać na własną modłę — wyjaśniłem.

— A tak — uśmiechnął się. — Już wiesz, że nie jesteś sam?

— Synchronat ma długi język.

— No proszę. Ale prawda wcale nie musi być taka — zastanowił się chwilę. — To, że ktoś ze mną, nie znaczy, że ja z nim. A może byś ty?...

— Nie rozumiem — przyznałem.

Siedział sztywno i machinalnie żuł skórkę od chleba, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał.

— Ja również — rozluźnił się nagle. — Ale w tym wszystkim, Elf, co ty kombinujesz? Rozparcelowałeś nas starannie. Ja — jestem młody. On — czort wie co. A więc ustaliłeś harmonogram wacht tak, żebyśmy się tylko nie tryknęli łeb w łeb. Ty zmieniasz mnie, on — ciebie, znowu ty — jego, ja — ciebie. I myślisz z tym długo pociągnąć? Prędzej czy później...

— Dokończ — powiedziałem sucho.

— Zrobię wszystko, żeby on nie rozegrał swojej partii.

— Sądzisz, że ma coś w zanadru?

— To twój trojański koń, Elf. Jeszcze go możesz wykopać za obronne mury „Trieda”. Sam bym ci w tym pomógł.

Patrzyłem mu prosto w szare, zimne oczy.

— Ty to... poważnie? — zapytałem.

— Mógłbym ich tolerować. Lecz nigdy nie pozwolę, żeby mi ktoś taki wchodził w drogę. A on sam się naprasza. On — tutaj, oni — tam. To wcale nie wygląda różowo,

Elf. Przynajmniej nie tak, jakby się chciało.

Wręcz przeciwnie, pomyślałem. Wygląda to coraz bardziej krwawo. Już szkarłat z ekranu przenika warstwy szklanych przepon i czerwonym zarzewiem rozświetla wnętrza „Trieda”. Trudno rozróżnić kolory — tylko czerwień, brunatny półmrok i płomień buchający z gwiazdowego pieca. Nawet płyn w szklance, którą Natan trzymał przed twarzą, stężał czerwonym skrzepem.

— Dlaczego ich nienawidzisz? — spytałem.

— Nienawidzę? — tym posądzeniem zdawał się być rzeczywiście zaskoczony. — Trudno nienawidzić kogoś, kim się gardzi.

— Twój punkt widzenia.

— Każdy punkt widzenia jest czyjś. Więc istnieje, dopóki istnieje ktokolwiek z nas. Lecz poza nami jest jeszcze coś.

— Na przykład?

— Prawa natury.

— Mocne — przyznałem. — I oni...

— Nie. To my sami dokonaliśmy zamachu na podstawowe prawa doboru naturalnego. Homo sapiens to tylko etap w ciągu ewolucyjnych przekształceń, lecz w ramach Natury nigdy nie zostaje naruszona więź gatunku. Stworzyliśmy nowotwór, który należy wyciąć nim zdegeneruje resztę zdrowej tkanki.

— Znaczą: wyciąć? — powtórzyłem. — W imię zachowania czystości rasy?

— Nazywaj to jak chcesz — odparł.

— Jeżeli podjęto się ryzyko eksperymentu trzeba go konsekwentnie doprowadzić do końca.

— Czasami lepiej zawczasu się wycofać.

— A jednak jest ich coraz więcej. Istnieją też niezależnie od tego czy znajdują szacunek, sympatię, uznanie i miłość u takich, jak my.

— Na tym etapie eksploracji kosmosu są od nas bardziej opłacalni. Ekonomika rządzi się własnymi prawami, często rozchodzącymi się z etyką — stwierdził. — Mniejsze wymagania, łatwiejszy dozór, technika towarzysząca zniesiona do minimum. Ogólnie rzecz biorąc zainwestowany w nich kapitał procentuje szybciej.

— To masz im za złe?

Nie bardzo go przejmował nasz dialog. Pożywiał się przy tym starannie, bez pośpiechu. Nie spostrzegłem też, żeby specjalne wrażenie wywarło na nim postępujące przeobrażenie otaczającej nas przestrzeni. Oko Synchronatu rozwierało się coraz szerzej. Stopniowo ogarniało powierzchnię całego pęcherza nawigatorni. Przytłaczający szkarłatny mrok. Miałem wrażenie, że na specjalnym wysięgniku zostaliśmy zanurzeni w naczynie wypełnione piekielnym odczynem, jako dwa — dla asekuracji — lakmusowe papierki, wystawione daleko przed dziwnie nierealną skorupką „Trieda”. Trzeba psychiką wybadać głębiej, zanim się w nią wdepnie fizycznie.

— Czasami mam wrażenie, że to ty odbywasz swój pierwszy, a ja ostatni lot — powiedział Natan. — Jak ci się to wszystko układało dotąd?... I co — żałujesz? Życie jest takie właśnie przewrotne. Pamięta się tylko momenty, kiedy dało w kość. Choć z perspektywy czasu zyskuje się dystans bez nadbudowy emocjonalnych stanów. Koszmary wycofały się za krąg świadomości, a ty nie rozstałeś się z mundurem FL-Galax. Chciałbym cię jednak widzieć, gdybyś znał z góry, że — gdziekolwiek się ruszysz — czeka cię dotleniony, w miarę ciepły i orzeźwiający, pełen życia i żarcia, błogosławiony raj.

— Nigdy nie latałem dla samego ryzyka — odparłem.

— Bez niego jednak wszystko traci smak. Przechodzisz do rezerwy, będziesz miał czas — wróc na pewną planetkę, tkwiącą niby pomnik w centrum Strefy Systemu. A

kiedy będziesz w tym mauzoleum — spróbuj; wal głową w mur, skacz z najwyższych pięter domów, własnoręcznie poderżnij sobie gardło. Nie zrobisz sobie krzywdy. Tym bardziej innym. Nie masz najmniejszych szans. My to nazywamy — inkubator. Doprowadzona do perfekcji technika asekuracji uchroni cię przed tobą samym. W ostateczności lotna brygada biotechników zregeneruje co trzeba, załata i wyjdiesz po tym z gwarancją na drugie tyle, coś do tego przeszedł.

— Po co mi mówisz o tym?

— Gdyż właśnie teoretycy z tamtego mauzoleum, tkwiący w oku cyklonu, na tej wysepce spokoju w ognisku rozkręconej Strefy Systemu, wygodni aż do obrzydzenia i trzęsący się na samą myśl o ewentualnej konieczności opuszczenia swoich pieluch, rozstania się ze zmumifikowaną pozą filozofów, to właśnie oni wymyślili sprytny chwyt — żeby się przysłużyć, a jednocześnie umyć rączki. Stworzyli nowy program kolonizacji planet. Bezbolesne, bezkonfliktowe podboje. Tfu! Przyspieszenie z poślizgiem.

Powinniśmy się zamienić miejscami, pomyślałem. Ostatecznie to ja, relikw minionych stuleci, powinienem odgrzewać w sobie ten fanatyzm.

— Ich organizmy zostają dopasowane do środowiska dowolnej planety — ciągnął Natan. — Zamiast podporządkować glob potrzebom tysiąca kolonistów łatwiej ten tyśiąc poddać obróbce. Człowiek stał się tym, czym jest, dzięki temu, że jego protoplasta zaskoczony w stepie przez nadciągającą noc musiał zbudować sobie szałas, gdyż go natura nie obdarzyła zdolnością metamorfozy w jaszczurkę mogącą się schronić w byle mysią dziurę. Ale nic straconego! Sami sobie ulżymy odpowiednią mimikrą: jeśli trzeba — skrzela w miejsce płuc, zamiast oczu — filtry promieni rentgenowskich, łuskę na grzbiet — żeby się włoski nie skrzyły od żaru, skrzydełka zamiast nóg — gdy nie za bardzo jest na czym spocząć. I tak w nieskończoność. Nauka czyni cuda, żeby się potem tuczyć na informacji zdobytej przez hybrydy biomechanicznych bydła. Z człowieka został tam ledwie białkowy skrzep pod dekielkiem. A i to nie zawsze. Gardzę nimi tylko dlatego, gdyż poszli po najmniejszej linii oporu. Doskonale opanowana sztuka gatunkowej mimikry; tlen się snuje warstewką na pół metra — na kolana i czołgaj się z głową w prochu! Ziemia parzy stopy — na drzewa! Na powierzchni żeruje jakaś tubylcza maskara albo zbyt boleśnie szczypie atmosfera — pod ziemię!

— To ma być przykład ich bierności wobec Natury? — spytałem. — Czasami, aby zrozumieć otaczający nas świat, dobrze by było widzieć więcej i inaczej, niż to potrafią nam podać ludzkie zmysły.

— Po to mam naukę i maszyny — odparł i po raz pierwszy spojrzał na mnie prawie z gniewem.

— Sam przed chwilą mówiłeś o ryzyku. Puść przed sobą walec drogowy a unikniesz ryzyka. Nie oddałbym godziny samotności nad brzegiem rzeki, choćbym tam musiał sterczeć pod postacią...

— Starego fauna! — zaśmiał się Natan.

— W zamian za informację o natężeniu słonecznego promieniowania, za skład chemiczny piasku plaży, za klasyfikację zielska porastającego wydmy, wreszcie za schemat rozkładu napięć hydrostatycznych wokół ciała istoty człekokształtnej przemieszczającej się w wodzie. Maszyny to wszystko dostarczą. Komputer wymodeluje. Pech w tym, że czasami tkwi w nas coś jeszcze prócz rozumu.

Ciężko mi było mówić o tym. Niemałej sztuki wymagało utrzymanie na wodzy rozbieganych oczu. Zmysły beznadziejnie gubiły się w przestrzeni wypełnionej płomieniem. Choć wiem, że jeszcze nawet nie pękła jej błona, poza którą ma się dokonać nasze zjednoczenie z gwiazdną masą. Tak powoli wokół nas zwijają się rozpalone wargi, dawkują pieśczętę — Synchronat ubezpiecza przed zbyt

wczesnym orgazmem. Jeszcze trochę — choć całym ciałem czuję podniecenie, jakby ten gwiazdny pocałunek wszystkimi porami skóry coś wysysał ze mnie. I jednocześnie pogłębia się poczucie presji wywieranej z zewnątrz. Byłem coraz potężniej zduszony, spięty szklaną sferą nawigatori i biologiczną ochroną skafandra.

Za to Natan siedział zupełnie spokojny. Nie spodziewałem się po nim takich nerwów — gdy zostajesz poddany zrównaniu z topiką wszelkiej symboliki w tym prażródle dnia i nocy, ludzi i bogów, skąd płec Heliosa promienne ziarna wysiewa w żyzne brzuchy planet — on nie zaprzestał przeżuwania swojej karmy.

Zastanawiałem się nieraz — ile spotkałem podobnych planet: Nie takich, jak Planeta, w której stronę zmierzamy. Myślę o tych, które coś z siebie wydały bez naszej pomocy.

Z mniejszą lub większą chyżością galopujące Rosynanty wysadzały nas z siodła w kolczaste chaszczce, w wertepy śnieżne, blocka i resztki żaru dogorywające w jarach. Trafiało się w barok tropikalnych dżungli, pełnych ordynarnego przepychu zwyrodniałych ekosfer, grzebało się w skalnych rumowiskach, wyszczerbionych przez zaloty wiatrów i deszczowe spazmy, żeby w pokładach iłów naniesionych od szczytów wydrapywać labirynty wydrążone przez jakieś gigantyczne kałotocza. Białe szkielety obnażone w dziennym świetle przeżyły nagie gnaty, dopiero noc przyoblekała je na powrót w utracone ciało — i było słychać chroboty, przeciągłe sapania, westchnienia. Niejeden z czuwających nocą gotów był przysiąc, że widział przemykające cienie, światła w ruinach i słyszał trzepot skrzydeł niewidzialnych ptaków. Nawet ta Planeta, ku której zmierzamy, kiedy była martwa jeszcze, w porze nocy przejmowała nas zabobonnym lękiem — dlatego zawsze chroniliśmy się pod osłonę „Trieda”, naszego szałas w pustyni Kosmosu — jak w stepie.

Ile razy wolno mi było podnieść rękę do uchylonej przyłbicy hełmu? Czy kiedykolwiek duchom tamtych wymarłych miast dałem szansę ponownego objawienia, kiedy niewidzialnymi palcami wyczują, że pod pancerzem skafandra tkwi coś jeszcze poza szkieletem? NIGDY.

Brak planet bezpiecznych dla ludzi. Więc wskazujący palec FL–Galax musiał się wycofać i szukać dalej, lecz za nim już podążała druga żelazna ręka — żeby serdecznym uściskiem nowy świat przyjąć do wspólnoty. Kiedy po latach przypadkowo trafiałem w jedno z miejsc upamiętnionych w archiwum mojej pamięci — witała mnie wybetonowana po horyzont płyta Kosmoportu.

Czy istnieją tu paralele z siłą przekonań młodego wyznawcy „czystości” gatunku homo sapiens? Pewnie byłoby lepiej, gdyby ci, którzy przychodzą za Unią Zwiadu, naprawdę posiadali skrzela i skrzydła, owadzie oczy, psi węch.

— Aby pozostać ludźmi, wybraliśmy jedyne możliwe rozwiązanie — powiedział Natan, jakby wybiegł naprzeciw moim myślom. — Człowiek zawsze i wszędzie stanowi swoje prawa, nie ulega innym.

— Pięknie to brzmi — przyznałem. — I dumnie.

— Nie muszę się wstydzić tego, kim jestem.

— Na tym polega różnica między nami.

Przez chwilę miałem wrażenie, że tamta dziewczyna z zadymionego przytułku dla samców wracających lub wyruszających na podbój Kosmosu — patrzy na nas tym samym przelęknionym wzrokiem, jak wówczas, gdy pochyliłem się nad człowiekiem leżącym na ziemi, dziwnym człowiekiem o twarzy zielonoskórej, żółtookiej, pozbawionej uszu i z głębokim cięciem nabłonkowej tkanki w miejscu ust.

— On... — zawahałem się, nie potrafiłem określić tego, co chciałbym wyrazić. — Jest z tych planet przyswojonych przez Strefę Systemu za pomocą nowego modelu kolonizacji?

Natan spojrzał w moją stronę błędnym wzrokiem, jakby i jego pochłaniały całkiem

inne myśli. Może tylko nie potrafiłem dotrzeć do jego twarzy przebijając wzrokiem to zarzewie, które rozmywało wszelkie kształty. Miałem uczucie, jakbym — zachowując lokalną odrębność — zlewał się jednak ze wszystkim, co nas otacza.

— Dobre pytanie, Elf. Ta—ak. Zazwyczaj nie wytykają nosa poza własny grajdoł — powiedział Natan. — Siedzą w doniczce, w którą się ich zasadzi. Jak myślisz, cóż się mogło stać tak niezwykłego, że nasza jaszczurka wylazła z mysiej norki?

— Dlaczego on został przydzielony do mojej załogi?

— Ty nic nie rozumiesz, Elf.

— Więc wytłumacz.

Gotów byłem przeciągać tę bezsensowną rozmowę w nieskończoność. Byłe się nie wsłuchiwać we własne ciało. W ten bolesny zlepek kości i dzikiego mięsa zapakowanego w egzozkielet, który — wbrew wszelkiej logice — zdaje się śledzić i reagować na odkształcanie kolejnych cech kontinuum, z którego „Tried” wyławia swój pęcherzyk, aby go zwrócić międzygwiazdnej przestrzeni.

— Myślisz, Elf, że infiltracji tego parszywego plemienia podlega tylko strefa Kosmosu na zewnątrz Strefy Systemu?

— Po to zostali stworzeni.

— Ziemia jest również miejscem Kosmosu.

Uśmiechnąłem się — mięśnie twarzy samodzielnie wykonały jakiś grymas.

— Zapewne twierdzą, że człowiek, niegdyś organicznie spójny z resztą ziemskiej biosfery, nie jest dziś dopasowany do stworzonego przez siebie śmietnika — powiedziałem. — Cóż wam zaproponowali, status szczurów?

Zanurzaliśmy się coraz głębiej, a wkoło naszej szklanej beczki tańczyły języki krwawe — ogień piekielny. Jeśli zbyt długo trzymać oczy otwarte świadomość ulega dziwnemu otępieniu, skronie ujęte w masywne imadło — potężny chwyt lęku na gardle. Szczęk — pierwszy ołowiany stopień mojej rytualnej drabiny. Ku powierzchni. Brzęk cynowego szczebla climax i tuż za nim głuchy łomot w puklerz z brązu, jakby się stopa „Trieda” oparła o planetę masywną jak Jowisz. Wyżej! — gdzie u kresu wniebowstąpienia dopełni się inicjacja moja — chociaż rozumiem przecież, że to tylko szaleństwo — fantastyczna parafrenia mojej własnej psychiki, która w przestrzeni rozkurczającej się z ziarna mnoży omamy wzroku, węchu i słuchu — czy jakieś jeszcze słowa istnieją poza mną?

— Z powrotem z Kosmosu przenikają w Strefę Systemu, aż do oka cyklonu, gdzie martwe mauzoleum Ziemi... Chcą tam stworzyć nową biosferę — według mitów swojego proroka...

A on stoi na szeroko rozstawionych nogach — ogromny, twardy kanciastym zarysem ramion, między które wbity kark sztywny i na nim osadzona głowa — niby żelazny kryształ — czwarty stopień naszej drogi do Mitry.

Twarz jego szara i w niej oczy stalowe. Różowa mgiełka wiruje w powietrzu i białe płatki — każdy eksploduje centymetrem sześciennym przestrzeni — manna z nieba przecinków i kropek; czuję, jak się podę mną załamują kolana i duszność — duszność coraz większa! — zawarty w nas koncentrat przestrzeni paruje na zewnątrz, nas samych wywraca na lewą stronę.

— ...W imię ich duchowego przywódcy, Johna Ronalda Tolkiena...

Widzę, jak z wnętrza piekieł wysypują się cudaczne karły, czarną powodzią wypływa świat urojony tak długo — niematerialny — do teraz — misterium sakralne wyzwolone spod kontroli ludzkich szamanów — czary i karły, a na pograniczu świata ludzi i elfów — naród hobbitów — rekompensata zrationalizowanego i stechnicyzowanego świata; w zarzewiu gwiazdznego ognia jawi się Władca Pierścienia.

Twarz jego przede mną toporna, oznaczona ostrymi kantami, jak zarys kości —

blachy — pod miękką powierzchnią skóry prześwietlonej promieniami Roentgena.

— Słyszysz, Elf? Chcą modelować fantastyczny świat personifikacji zwierząt i drzew, reszty tak długo martwych przedmiotów. Dla nich my — ludzie — jesteśmy elementem bajeczno—surrealistycznej konstrukcji; jeśli nam wolno pozostać sobą, to tylko dlatego, gdyż każdy z nich może być kimkolwiek zechce.

— Czego więc chcesz ode mnie?

Coś się zbiera we mnie — żółć na wymioty i gniew — drażni mnie on — nagi. Czarny płaszcz spełził mu z ramion i smoki się wiją pod nogami — i maskarony brodate pływają w pasowym kielichu, rodzą się z elektrycznych iskier; poza nami, w nas, na Ziemi — świat zaczarowany — już pod powierzchnią gwiazdowego piekła, czuję — wrzód rozjątrzony, nabrzmiewa dysforia — kłębek lęku i gniewu w duszy zlepiony w jedno — pod prasą potwornego ciśnienia — z zewnątrz napiera na nas energetyczne zwierciadło „Trieda” — ciśnienie świadomości — wszystkiego, co poza nami — w nas coraz głębiej.

— Żeby przeniknąć głębiej potrzebna im siła, którą znaleźć można tylko w biogenetycznym brzuchu Kosmosu... głębiej.

—.. Teraz rozumiesz, czemu tu jesteśmy? Nie — ja i ty. O nie, Elf. Nie jesteśmy sami. Gdybyś potrafił szukać... oni też przejęli raport... Nie jesteś chyba tak naiwny wierząc, że swoją wtyczkę wetknęli tu bez asekuracji...

Jak gęste firanki — śniedź rozwieszona w powietrzu — pod kamiennym stropem grotty wilgoć zawiązuje krople — przez oka w srebrnej pajęczynie — już szósty, księżycowy stopień — kap — kap — prosto na obnażony łeb pielgrzyma.

— Pomożesz mi, Elf.

— Co chcesz zrobić?

Widzę — chociaż nagi — jakby sięgnął do pancernego sejfu własnej piersi i z niej wyrwał kawałek swojej płci metalicznej.

— Chodź ze mną.

Wir przestrzeni tworzy gardziel na nowo rozdziawioną w ciemność — chce prowadzić mnie tam, przez tunel skręcony ze złotych protuberancji Heliosa — a w rękę trzyma...

— Co tam masz?

— To? Och, Elf! Nie licz, że przed kimkolwiek stanę goły jak święty pański. Z takimi jak ty i on trzeba się mieć na baczności.

Światło rozchylone na boki — ból na dnie źrenic rozwieranych żałośnie w stronę nowego kontinuum; gdyby tak krzyknąć — SYNCHROMAT! ZGAŚ! SZYBKO! To słońce, ten jad, który w nas — wytrzymam jeszcze — pewnie bym długo czekał, aby mi wyznał wreszcie po co tu jest.

— Chodź, pokażę ci coś. I postaramy się, żeby żaden z nich nie obudził się więcej... Zrobimy to razem. Cha-cha-a-ha! Co na to powiesz, Elf? Wypatroszymy śnięte psy! Pójdź za mną!

W każdą pełną wrzającą smołę!

— STÓJ!

Nie słucha, idzie tam, a w jego rękę — śmierć.

Zapomnieć, zapomnieć o wszystkim, co poza mną, uwaga do wnętrza starego mechanizmu i świeżej oprawki, żeby tylko nie popękały sprężynki — sygnał do reszty sprawnych komórek dyspozycyjnych w dźwięczącej jak dzwon puszce głowy. — O tak! Indykatory, elektrody, stymulatory — przekaz z miejsca na miejsce potencjałów mięśniowych, choćby z serca do zdrętwiałych bicepsów — pełna mobilizacja, sześć miliardów włókien mięśniowych i sześć bilionów włókienek — wszystkie — WZWÓD!

Skok — z jękiem ścięgien — długi sus w poprzek nawigatorni.

Przez resztki szkarłatno–złoty pęcherzy eksplodujących w dławiącym ukropie powietrza.

— Nie ruszaj się, Elf!

Za późno — nim się zastawi ostrzem przejrzystym jak szkło — pięścią na odlew i kantem dłoni w ramię trzymające broń, aż się kości rozejdą w stawie, a on — gnąc się w pałąk — wydusi z piersi jęk. Mocny jest — psia jego mać! — dobrze ich szkołą — o tak!

Całą garścią za włosy i w dół. Kolanem przygnieść kark.

Jeszcze się opiera — wierzga nogami. Zdrowy byczek — nie miałbym szans, lecz stary wrak dostał na grzbiet ekscentryczny egzozskielecik, skafander ze stymulacją — kto by przypuścił, że tak szybko przyjdzie sięgnąć do rezerw — powinieś o „tym pamiętać, chłoptasiu, że bez takiej protezy nawet ty nie masz szans — elew Strefy Systemu. Trzeba, się było przebrać i wtedy sięgnąć po broń. Lecz kto by przypuścił, że tak na nas podziała słoneczny katalizator.

Głos nade mną. Szept gorączkowy — też się wyrwał ze szkarłatnego delirium — Synchronat? Też się ocknął?

Powoli unoszę głowę.

Złote piekło chromosfery spłynęło wstecz. Tylko pode mną jeszcze pokutuje ktoś. Na podłodze wała się dziwny, srebrzysty nóż. W piersi trochę piasku, lecz już przeszło, minęło, rozpląnęło się piekielne ciężenie — w pijaną, senną nieważkość.

Tak to jest.

I nagle zrozumiałem! Gwiazda została za nami — kres mojej climax. Teraz lecę przed siebie, wypchnięty tłokiem najpotężniejszej z protuberancji — jeszcze okrakiem dławiać czyjąś pierś różową, na wpół kobiecą — jestem w próżni i moje oczy nie znajdują oparcia w czarnej, ledwie wygwieżdżonej przestrzeni.



## Rozdział VI — Głony

— Nie sądzisz chyba, że mogłeś mu z nadto zaszkodzić — powiedział Synchronmat. — Tacy zawsze padają na cztery łapy. To ty miałeś szczęście.

— Wiem o tym.

Ponurym wzrokiem patrzyłem na trzymaną w ręku broń. Skąd on wytrzasnął takie cacko? Na pierwszy rzut oka zupełny szmelc. Antyk. Zbyt pięknie rzeźbiona rękojeść, aby mocno trzymać brzeszczot. Z drugiej strony ostrze noża i rękojeść zdawały się być odlane w całości z półprzezroczystego materiału. Ciemnogrnatowa rękojeść ulegała zeszkleniu przechodząc w cieniutką klingę. Przede wszystkim rzecz cała była nieprawdopodobnie ciężka, a poza tym rękojeść wybitnie nie pasowała do mojej ręki, jakby została wykonana na specjalne zamówienie.

— Znasz się na tym? — z tym pytaniem zwróciłem się do Synchronmatu.

— Nie — przyznał bez zająknięcia. — Daj do analizy. Nie chciało mi się z tym nożem rozstawać. W pewien sposób mnie fascynował, jakby ciężar świadczył o większej jego efektywności, niż mogło to zagwarantować najprecyzyjniej odszlifowane ostrze.

Pchnąłem nóż po podłodze, ślizgiem w to miejsce, gdzie Synchronmat mógł sięgnąć manipulatorem bez nadwerżenia teleskopów. Podrzucony kasek połknął z zadowoleniem.

— No i? — zapytałem po chwili.

Synchronmat wydał odgłos naśladujący niepewne chrząknięcie.

— To nie jest nóż — powiedział.

— Daj spokój. Jeszcze mam oczy. Można tym ciąć?

— Można. Ale jest coś jeszcze. Nie posiadam informacji na temat tego rodzaju broni w zestawie danych, jakie przejąłem ze Strefy Systemu.

— A twoja „podświadomość”? — pozwoliłem sobie na żart.

— Śpi — powiedział poważnie. — Nigdy nie zdaję sobie sprawy z wszystkiego, co wiem.

— Już mówiliśmy o tym — machnąłem ręką.

Spojrzałem na ekran. Gdyby kamienny węgiel potrafił wypuścić żywy liść, pewnie by jego pęd, sam czubeczek wyglądający spod odłupującej się skorupki, wobec reszty martwej bryły wyglądał tak właśnie — jak szafir tej Planety osadzony w czerni kosmosu; tak bliski, że tylko sięgnąć ręką.

— Żeby poznać działanie musiałbym to jednak rozwalić — westchnął Synchronmat.

— I nie mam gwarancji, czy uda się potem złożyć do kupy. Gryzę, a to wygląda na prawie pozbawiony cech charakterystycznych krystaliczny monolit. Można się doszukać śladu szczątkowego promieniowania. Poza tym... To mi wygląda na doraźną polaryzację. Można więc podejrzewać wielofunkcyjność przedmiotu. Dlatego twierdziłem, że to nie jest tylko nóż.

— I co zrobimy z tym fantem? — zapytałem.

— Rękojeść... To ciekawe, Elf. Ten uchwyt jest dopasowany wyłącznie do jednej dłoni. Zarówno kształtem, jak rozkładem receptorów charakterystycznych napięć elektrycznych skóry. Obawiam się, że wszechstronnie posługiwać się tym narzędziem potrafi tylko Natan.

— Więc zaplombuj i schowaj w bezpieczne miejsce.

— Mam lepszy pomysł.

— Tak?

— Z jednej strony to jednak ugryzłem — z zadowoleniem stwierdził Synchronmat.

— Potrafię wprowadzić dodatkową informację, która spolaryzuje uchwyt zgodnie z matrycą twojej dłoni.

— Żartujesz!

— Nie. Tu procedura jest całkiem prosta. Uwzględniając oczywiście zakres moich możliwości. Chciałbyś się przymierzyć?

— Dawaj.

Manipulator Synchronatu tą samą drogą puścił mi nóż po podłodze. Podchwyciłem go i ująłem w dłoń rękojeść. Misterna rzeźba jak ulał pasowała do mojej ręki.

— I co dalej? — spytałem.

— Nic. Reszta nie należy do ciebie. Musisz czekać.

— Na co? Nie powiesz mi, że ta czarodziejska różdżka sama wie, co i kiedy będę od niej potrzebował.

— Myślę, że tak. Nie wypróbujesz tej broni tutaj. Chyba, że potrafisz symulować odpowiedni refleks mięśniowy. W przeciwnym wypadku musisz czekać choćby ma uaktywnienie współczulnego układu nerwowego twojego organizmu. Jeśli wystąpi reakcja zagrożenia powodująca przyspieszenie pracy serca, wzrost ciśnienia krwi, zahamowanie trawienia, wzrost poziomu cukru we krwi, wydzielanie adrenaliny — może któryś z czynników zwolni odpowiedni spust. Wtedy się dowiesz, na co to jeszcze może się przydać.

Pomyślałem, że rękawica skafandra z biologiczną ochroną z pewnością nie zerwie tego sprzężenia. Przyjrzałem się Planecie widocznej teraz jako wybielony przez chmury sierp z akwamarynu. „Czasami wystarczy kilkanaście świetlnych lat określających trajektorię lotu do jednej z najbliższych gwiazd, aby się przekonać, jak niewiele znaczy mozolna praca ewolucji” — przypomniałem sobie. A mnie się zdaje, że do Planety tylko ręką podać. Ręką takiego faceta, jak Natan, do tego uzbrojoną w taki nóż.

— Co on porabia? — spytałem.

— Siedzi i czeka.

— Na co?

— Powiedział, że na ciebie.

— Ta-ak. Najlepiej go zapakować z powrotem.

— I obudzić tamtego?

— Nie mam pewności, czy to najlepsze wyjście. A przecież nie będziemy się tutaj wiecznie kręcić na orbicie. Sam nie mam czego szukać na Planecie. Tyle wiem, że tamten drugi to przynajmniej biolog i — coś jeszcze... Psiakrew! Co oni z tobą zrobili, że szlag trafia twoją elokwencję, kiedy cię tylko nacisnąć, żebyś sobie przypomniał coś na ich temat!

— Nie moja wina.

— To wiem od ciebie. Sam nie poręczę głową. Jeśli oni mieli swoich ludzi w Centrali Signal-Stars i w dokach Strefy Systemu, to i ciebie mogli przekabacić na własną modłę.

— Jak możesz, Elf! Wiesz przecież, że odpowiadam przede wszystkim przed tobą — dowódcą. Poza tym moje uwarunkowania mające na względzie bezpieczeństwo „Trieda”...

— Daj spokój. My też mamy swoje uwarunkowania, ograniczenia i zabezpieczenia, instynkt samozachowawczy i wyższe poziomy motywacji. Niedawno ten cholerny Helios wywinął z nami taki spektakl, że — sam widziałeś, ile z tego wszystkiego zostało.

— Ludzie zawsze posiadali niezrównoważoną psychikę, podatną na presję otoczenia. Trzeba było nie ryzykować i wyłączyć wizję. I bez tego faza przejściowa

nie obywa się bezboleśnie.

— Z jednym wyjątkiem — zauważyłem.

— Przecieniasz go — stwierdził Synchronat. — W jego wypadku inne były objawy. Jak wy to nazywacie „puścić farbę”. Możesz mi wierzyć, że on teraz przeklina siebie na czym świat stoi.

Ciężko podniosłem się z fotela. Nóż zatknąłem za pas.

— A wiesz — powiedziałem. — Jednak pójdę do niego.

— Przecież mogę go tutaj...

— Przejdę się. Może wpadnę na jakiś pomysł.

— O czym chcesz z nim rozmawiać?

— Muszę się — zdecydować.

— Na co?

— Na kogo. Na jednego z dwóch.

— Zdaje mi się...

— Wiem, co ci się zdaje. Ale co ja mam z tym począć? Mogłem się wpakować w tunel transmisyjny, ale wciąż nie potrafiłem przywyknąć do tego rodzaju komunikacji wewnętrznej. Zresztą do kabiny Natana nie było daleko. Tylko pękła membrana drzwi nawigatori i pieszo przebyłem tych kilkanaście metrów. Z pięciu kabin dwie były wolne. Z mojego polecenia Natan prosto z magnetycznego szybu wylądował na swoim łóżku. Potem Synchronat zablokował jednocześnie komorę wejściową transmisyjnego systemu i zamek drzwi na korytarz.

Tylko na moment zawahałem się przed drzwiami zaimprovizowanej celi. Niewiele dała przechadzka. Nie wpadłem na żaden pomysł. Trzeba sięgnąć do bardziej drastycznych środków.

Dotyk mojej ręki na płytce sensorycznego ogniwa zwolnił blokadę zamka i wszedłem do środka.

Natan leżał na wznak pod uniesionym kołpakiem reaktywatora. Nie raczył mnie zaszczyścić specjalną uwagą.

— Gniewasz się? — spytałem.

Milczał. Jeszcze mu pewnie nie przeszła wściekłość. Dał się podejść jak szczeniak — tak przynajmniej sądził. Widać go jednak nie douczyli w tym, co potrafi wyleźć z człowieka, kiedy statek wyskakuje w innym miejscu przestrzeni. Dałby się złapać nie taki, jak on.

— Nie roztkliwiaj się — powiedziałem. — Chcę żyć z wami w zgodzie.

— Po co przyszedłeś? — warknął ze swojej pryczy.

— Zapytać, skąd to masz?

Tknąłem palcem w rękojeść noża. Nawet nie spojrział w moją stronę. Zarejestrowałem tylko drgnienie ocznych gałek pod wypukłością opuszczonych powiek.

Rozejrzałem się po kabinie. Było to jedno z niewielu pomieszczeń nowego „Trieda” o ścianach pozbawionych pełnej przejrzystości. Biel przechodząca w dole w ciepły brąz i gęsty fiolet, jakby w trakcie formowania porcelanowego pęcherza płynna masa spłynęła po zewnętrznej powierzchni kapsuły” i pod podłogą zawiązała skrzep podklejający kabiny mieszkalne do wspólnego rdzenia. Poza tym nie było tu nic ciekawego. Gołe ściany. Typowe łóżko. Na takich pryczach jeszcze za moich czasów sypiano w Szkole Zwiadu. Sądziłem, że Natan urządził się wygodniej. To pomieszczenie wyglądało raczej na poczekalnię przed wejściem do apartamentów. Szczególnie idiotycznie pasowało tutaj czarne kimono, jakby z najdelikatniejszego atłasu. Natan ledwie nim przysłonił brzuch.

Dziwne uczucie, nie po raz pierwszy, wyzwał we mnie widok jego nagiej, miękkiej i różowej, doskonale gładkiej piersi, pod którą trudno się było doszukać

mięśni przyczepionych do żeber. W jaki sposób taki jak ja, kosmiczny wrak, mógłby odkryć podłoże tej androginii?

Natan nie wykazywał ochoty do zeznań. Mógłbym zaproponować Synchronatowi, żeby go wziął na spytki do swojej psycho-wyżymaczki. Pytanie jednak, czy ta propozycja znalazłaby w jego oczach uznanie. Według Synchronatu psycholog Strefy Systemu postarali się dobrze, żeby nam — broń Boże — z czyjegoś indywidualnego polecenia nie przyczynił przykrości. Pewnie bodziec do intensywnych poczynań Synchronat znajduje w sobie dopiero wtedy, gdy ktoś trupem padnie.

— Możesz nie odpowiadać — powiedziałem nie patrząc w jego stronę. — Muszę mieć tutaj spokój. Przynajmniej jednego z was potrzebuję. To fakt. Bez drugiego mogę się obejść.

Usłyszałem, że się poruszył.

— Co chcesz zrobić? — zapytał.

— Wrócisz do pudła. Odleżysz swoje aż do powrotu w Strefę Systemu. Tam umyję rączki... Tymczasem tutaj spokojnie zajmujemy się swoimi sprawami.

Kątem oka pochwyciłem gwałtowny ruch. Spotkałem jego wzrok. Natan się śmiał. Raptem jednym podrzutem opuścił nogi na podłogę i usiadł patrząc mi prosto w oczy — rozpromieniony cały, jakbym go uraczył czymś niezwykle pomyślnym albo do reszty rozbawił.

— Powiedziałeś, że tylko jeden z nas? — zapytał.

— Tak.

— A więc... ja pójdę do weka, a ty zostaniesz z NIM?

— Sam o tym decydujesz nie odpowiadając na moje pytania.

Na jego twarzy malował się wyraz nieklamanej wesołości.

— Ależ ja ci powiem! — zawołał nagle. — Powiem ci wszystko! Jak na spowiedzi! Skąd ten nóż? Ależ ja mam tu tysiąc i jeszcze jedną niespodziankę dla ciebie! Jesteś dowódcą — cha—cha—cha! Czy nie zrozumiałeś jeszcze, że ten statek został urządzony specjalnie dla nas! Nie dla ciebie?! Technicy z obsługi doku w Strefie Systemu zadbali, żeby nam tutaj nie zabrakło niczego. Ni—Cze—go! Każdemu według potrzeb. Tobie się dostał Synchronat, żebyś się miał przed kim użalić. Żebyście sobie pogadali jak równy z równym. Więc on wie niewiele więcej od ciebie. Poza tym... ty nie masz zielonego pojęcia, co wkoło się dzieje. To nie ja ciebie, lecz ty mnie powinieneś prosić o łaskę.

Tym razem ja o mało nie parsknąłem śmiechem.

— Synchronat! — rzuciłem ostro. — Daję ci pięć minut czasu na wyciągnięcie czegoś z tego idioty. Potem wpakuj go do konserwy.

Obróciłem się na pięcie i podszedłem do drzwi.

— Stój! — krzyknął za mną.

Poczułem jego dłoń na ramieniu. Zatrzymał mnie na samym progu. Tym razem powiało od niego zwykłym potem, bez aromatycznych domieszek.

— A więc pozbędziesz się mnie, zgoda — jego nagle rozmiękła lekko przypuchnięta twarz drżała, lecz w oczach ciągle czaiła się wesołość. — Potem rozłożysz program badań na dwie osoby i resztę roboty odwalisz razem z tym...

Wydął mięsiste wargi.

— Damy sobie radę — powiedziałem.

— Zależy kto z kim — parsknął. — Chcę ci coś pokazać.

— Mów tutaj.

— Nie. Pójdziemy tam teraz. Razem. To cię powinno mocno zainteresować, zanim weźmiecie ślub.

Wyraźnie drwił ze mnie. Było mi to obojętne.

— Potem postąpisz, jak uznasz za stosowne — stwierdził.

Nagle się zdecydowałem.

— Dokąd?

Bez słowa przeszedł obok mnie. Słusznie sądził, że będę go wolał puścić przodem. Czujny Synchronmat w lot pojął w czym rzecz i uchylił przed nim drzwi.

Mon żółtego kręgu zakreślił mi przed oczami czarny węzeł latającego smoka. Pomyślałem, że Natan powinien właściwie wyglądać zabawnie w tym kąpielowym płaszczu owijającym się wokół tydek — kiedy tak szedł przede mną i mogłem wzrokiem objąć całą jego sylwetkę. Tymczasem dokonała się jakby kolejna metamorfoza i człowiek przede mną odzyskał zwykłą elegancję. Nie pozostało śladu szoku. Szedł teraz wyprostowany jak struna, na nowo szeroki w barkach, każdy ruch rozpoczynający i kończący z dystynkcją tak zaprogramowanego automatu — z arystokratycznym zacięciem. Nawet w bosych stopach przesuwających się przez mozaikę posadzek nie było nieporadności. Wyobraziłem sobie własną osobę na jego miejscu. Pusty śmiech.

Nagle zrozumiałem, w którą stronę zmierza Natan.

Awaryjny szyb. Spacerowy wybieg dla protoplasty elearów Strefy Systemu. Tędy zjawilem się z reanimatorni. Koniec pomieszczeń socjalnych. Załamanie korytarza. Dalej prosto biegnie tunel o eliptycznym przekroju. Równoległe do osi „Trieda”.

Ekran Synchronmatu imitujący iluminator.

Planeta ledwie się w nim mieści. Ogromna — a przecież trudno cokolwiek przeniknąć wzrokiem. Do tego wchodzimy nad strefę nocy i tylko ‘najwyższe partie obłoków smugami akwamarynu zazębiają się z królestwem mroku.

Natan zatrzymał się przed ścianą przeciwległą do pozornego okna otwartego w kosmos.

Niedawno tam stałem — plecami wsparty o ścianę, wpatrzony w impresję Synchronmatu na temat zbliżającego się wnętrza gwiazdy. I zdawało mi się wtedy, że nawet tam — poza przestrzenią — czuję słoneczny wiatr, zapowiedź bliskiej wiosny.

Tym razem Natana nie obchodziły pejzaże na monitorze Synchronmatu. Natan wsparł dłoń na szarej, lekko zakłęsłej ścianie.

— Wiesz, co tam jest? — zapytał. Wzruszyłem ramionami.

— Czarna skrzynka, co? — uśmiechnął się. — Trudno się dziwić. Jak się połapać w konstrukcji statku przestawionej do góry nogami, która na dodatek ze Strefy Systemu przejęła cząstkową mimikrę.

— Od tego jest Synchronmat — przerwałem mu oschle.

— I owszem. Dlatego nie mam ci niczego za złe, Elf. Ja też nie od razu położyłem rękę na pulsie.

— Czego tu szukasz?

— Tym miejscem zainteresowałem się ze szczególnego powodu — wyjaśnił. — To jedyny punkt, w którym system komunikacyjny „Trieda” styka się z rezerwuarem biomasy.

To prawdopodobne, pomyślałem. W tym kierunku ze strony nawigatorni światłowody sięgają do rozjarzonego energią zewnętrznego pokrowca syntetyzatora i sprzężonego z nim rezerwuaru biomasy wewnętrznej biocenozy statku. Pewnie dlatego nawet przez potężne blachy czułem wtedy tajemniczą odwilż — plecy reagowały na żywy puls glonów.

— I co z tego? — spytałem.

— A jak myślisz, co to jest? — Natan palcem postukał w srebrzystoszarą powierzchnię.

— Nie rozumiem.

— Daj — wyciągnął rękę po nóż, który miałem zatknięty za pasem.

Cofnąłem się ó krok.

— Daj coś ostrego — powtórzył ze złością.

Nie miałem zamiaru dawać mu czegokolwiek do ręki. A już w ostatniej kolejności ten nóż. Nagle uśmiechnąłem się w duchu. Spokojnie sięgnąłem po nóż, ująłem za ostrze i podałem rękojeścią w jego kierunku.

Pochwycił go z kocią zręcznością i nagle dostrzegłem w jego oczach stalowy błysk.

Trwało to tylko ułamek sekundy, zanim się spostrzegł, że rękojeść nie pasuje do dłoni. Zdawało mi się, że zdusił w sobie przekleństwo. Gwałtownie obrócił się do mnie plecami i ze złością kilkakrotnie pchnął ostrzem w ścianę. Cienki zgrzyt aż ścisnął mi szczęki i ślina napłynęła do ust.

Natan zwrócił mi nóż. Już żałowałem, że się wyszczerbi półprzezroczyste ostrze — kiedy sprawdzałem kciukiem cienki szpic on nagle odstąpił w bok — sprzed moich oczu usunął się czarny smok — i chwycił rękami za niespodziewanie odgięty od ściany płat. Szarpnął go na boki i w dół.

Blacha odkleiła się bez trudu. Blacha! Raczej cieniutka folia, której płat zwinął się w powietrzu i z metalicznym chrzęstem spełził na podłogę. Jeszcze paroma szybkimi ruchami Natan poszerzył pole widzenia.

Mogliśmy zajrzeć w głąb „Trieda”. Nie za głęboko — tuż pod pancerną płytą kwarcu, pod niemal idealnie przezroczystą szybą, musował zielonkawy odmęt. Pęcherzyki powietrza przemieszczały się ku górze, przenikały gęstsze warstwy planktonu. W wodnym roztworze — jakby z wnętrza prześwietlonym przez sztuczne słońce — pływały całe kłęby zielonej rzęsy, miejscami zagęszczonej w prawie czarne węzły, kołysały się dziwacznie wynaturzone plechy, które poza środowiskiem roślin wyższych — z ich korzeniami, łodygami, liśćmi — znalazły inne potwierdzenie zasady konwergencji i zaczerpnęły zewnętrzne podobieństwo plechowej organizacji od całkiem nieprawdopodobnych kształtów, z pewnością nie mogących w tym środowisku reprezentować analogicznych tendencji morfogenetycznych.

Zadrzałem. Przecież nie mogło tu istnieć nic poza powolnym kurczem gigantycznego żołądka, który ugniata zielonkawą masę glonów.

A jednak w tym właśnie miejscu, na wprost pancernei kwarcowej soczewki, jak drzwi wstawionej w brzuch statku, istniał załazek spokoju i ciepła, w miarę nieruchoma laguna na peryferiach wiru pożeranego w gardle syntetyzatora. Tutaj nie docierały energiczne prądy zamącone mieszałem obracającym się wewnątrz tego kotła. Dlatego też na szklanej szybie zebrało się nieco osadu. Bierne formy planktonu, przyczepione do podłoża utworzyły podobne do poduszek z mchu gęste czupryny, fałdy bentosu. Wyżej wisały pęta sinic, zielenic, brunatnic i krasnorostów. Widziałem to wszystko — zielonkawą poświatą przez szparki moich oczu wnikało mi do mózgu, w którym po chwili nie zostało nic, prócz głębi stawu przysłoniętej koronką neustoniu rozpiętą na błonie powierzchniowej wód między osnową alg. Żółtawe światło prześwietlało tę musującą głębię, rykoszetami kwantów na kłębach wirujących pyłków osypywało się do dna, gdzie w ustalej wodzie wisały skręcone przedśmiertną konwulsją trupy dwóch topielców.

Czułem kurcz jelit podchodzący do gardła. Było ich dwóch — cienkie listki dłoni na odrostach ramion, piersi rozdęte beczułkowato, kłacza nóg przyklejone do dna — plankton się po nich wspina niby sierść na nowo porastająca nagie ciała. Tuż przy szybie, prawie przyklejony do niej — jakby zatrzymany pod wodą i przez to wyblakły żółtawy kwiat wodnego hiacyncu — anemiczny, półprzezroczysty — płaskie policzki, ledwie ślad zaciśniętych warg i oczy zamknięte, przysłonięte płatkami zielonkawych powiek. Glony od nich przejęły sugestię kształtów i teraz poza plecami tych dwóch perspektywa mnożyła cienie pięciopalczastych członków. Tylko dwie twarze

potrafiłem zlokalizować wyraźnie — jedna widoczna z profilu, druga zwrócona prosto na mnie.

— A niech to diabli! — śmiał się Natan. — Rozumiesz, czemu chciałem koniecznie przyjść tu z tobą? Nie mogłem sobie odmówić przyjemności obejrzenia twojej miny, Elf!

Chciałem powiedzieć coś — żeby pysk zamknął. Nie potrafiłem rozkleić warg, jakbym był z nimi — tam, z pęcherzykami powietrza musującej przestrzeni, gdzie żywe bąbelki zakreślały krzywe wokół podbródków ściągniętych do piersi, srebrzystymi kroplami niby-ręci zbierały się w szczelinach nozdry i znowu mknęły ku powierzchni.

— Kto ich tutaj... — wykrztusiłem wreszcie.

— Kto? Zapytaj, kim są i co tutaj robią. Znajdziesz odpowiedź na swoje pytanie. Mówiłem ci — nie jesteśmy sami. Ktoś był na tyle sprytny, że za twoimi plecami spróbował przemycić kompanów. Jak myślisz, to ja?

A więc wiedział o tym dużo wcześniej i nie pospieszył się informować mnie o tym. Może wołał na własną rękę załatwić porachunki. Tylko jak?!

Teraz w żywe oczy drwi} ze mnie.

— A ty podobno umawiasz się z nim na rendez-vous. Sam na sam? — szydził. — To jak będzie, Elf? Liczysz, że prędzej czy później nie wyciągnie z zanadru swoich kompanów?

— To oni...

— Ty myślisz, Elf, że dla nich coś znaczy — gdzie? Nie, nie! To nie topielce. Spójrz, nawet im nie wzdęło brzuchów. To plemię potrafi przetrwać nie w takich warunkach. I tak wybrali sobie najwygodniejsze gniazdko. To była drobna przesada. W sam raz, żeby się dał wodzić za nos naiwniak twojego pokroju. Ja bym ich wywlókł za pletwy nawet z serca akceleratorów! Co teraz zrobisz, Elf?

Patrzył na mnie triumfująco. Z prawdziwą radością w oczach.

— Więc oni żyją? — spytałem z wahaniem.

— A co? Nie znasz tego uczucia, Elf?! Cha—cha! To ich przetrwalnikowy stan. Nie muszą się zdawać na jesienie i wiosny. Nie muszą się pakować w sarkofag — sami to wszystko potrafią. Kiedy zechcą. I mogą się wypiąć na naszą technikę. To ich letargi Śpią sobie spokojnie, zamiast się z nami nudzić w podróży. Dobrze pomyślane, co? I miejsce sprytnie wybrane. Pewniej byłoby bawić się z nami w ciuciubabkę choćby w sekcji grawigeneratorów. Tam żaden z nas nie ma dostępu. Ale tam również Synchronmat nie ma dla kogo otwierać okienka w kosmiczną przestrzeń.

— Synchronmat — wykrztusiłem.

— On nic nie wiedział — Natan lekceważąco machnął ręką. — Ty jeszcze nie wiesz, jak łatwo jego uwarunkowania obejść stroną? Synchronmat nie miał również pojęcia, co się naprawdę działo w dokach Strefy Systemu, kiedy ci obiecano podratować „Trieda”. Mówię ci, Elf, tutaj zainwestowano tęą porcję sprytu. I nawet taki Synchronmat nie wiedział, że sam stanowi ogniwo sygnalizujące — tym tutaj — kiedy mają sobie ziewnąć i nawzajem powiedzieć „dzień dobry”. Cały czas w środku tego ekranu wisiał kierunkowskaz grawitacyjnego tunelu. Sygnał pierwszy. Potem wewnątrz Heliosa, które i nam nadszarpięło nerwy. Co? Myślisz, że przez tę metaliczną błonę, którą tak sprytnie zamaskowano szklaną wstawkę, nie przedostawało się tutaj, choćby i przetworzone przez Synchronmat promieniowanie? Oni czekali na jeszcze jeden znak — kiedy w polu widzenia Synchronmatu ukaże się Planeta. Teraz jesteśmy po stronie nocy. Zobaczysz, co zacnie się dzieć, gdy wyjdziemy na nasłonecznioną. Teraz im nie przeszkadza nawet firanka.

Natan kopnął nogą walający się na podłodze zmarszczony płat aluminiowej folii.

— Zresztą, patrz! Patrz już teraz! — zawołał nagle.

Palcem strzelił w środek kwarcowej płyty, gdzie przyłgnęła do szyby żółtawa twarzyczka — jakby ją postukał w środek czoła.

Nie dostrzegłem żadnego ruchu. Nic. A jednak coś się zmieniło powoli. Zmiękły zakrzepłe rysy twarzy o lekko skośnych, cieniutkich brwiach, jakby kwiat wodnego hiacyntu wychynął wreszcie spod powierzchni wody i chłonął światło, blade płatki nasączał błękitem, jasnym fioletem — żeby nad powierzchnią mrocznej głębi zakwitnąć prawdziwą ozdobą wód. W żółtym pąku ostrożnie pękały skośne szczeliny, otwierały się oczy. Coraz szerzej — półmartwe jeszcze. Lecz w ciemni źrenic już się przebudziła świadomość. Przez chwilę lęk. Potem zdziwienie.

I nagle zrozumiałem, że ten ktoś, tam — zawieszony między falbanami glonów — wcale nie patrzy na mnie. Wzrok jego rozszerzonych oczu prześlizguje się nad moim ramieniem. Ogromne zdumione oczy chłoną światło gwiazd — blask w nich rośnie, rozpala złote tęczęwki. Widzę, jak w kłęby pyłków krążących w rezerwuarze światło spoza naszych pleców rzuca projekcję czterech cieni — Natan i ja, skamieniali, oraz ci dwaj — zaczynający się poruszać.

Musiałem użyć całej siły woli, żeby odkleić wzrok od tamtych oczu, w których zapalał się świat dziwnie ożywiony. Nieledwie targnąłem całym ciałem i odwróciłem się wreszcie — twarzą do ekranu. I poczułem, jak moje oczy robią się nie mniej wielkie od tamtych, ledwie przebudzonych. Ktoś ciężko westchnął przy mnie i jednocześnie usłyszałem alarmowy sygnał Synchronatu.



## Rozdział VII — Śmierć w katedrze Księżyca

Głos Synchronatu boleśnie wibrował pod sklepieniem czaszki, wdzierał się między galopujące myśli. Nie słuchałem, co mówi, nic mnie nie obchodziło — czego chce ode mnie.

Moje oczy wrastały w kosmiczną przestrzeń.

Wzrok — to korzeń biegnący wzdłuż nitki światłowodu niosącego ZNAK. Świadomość — to pusty pęcherzyk balansujący na powierzchni rzeczywistości, w realny świat zapuszczający włoskowate pneumatofory, zmysły — aksony. Świadomość nasza to próżny pęcherzyk, który zyskał lotność na koszt gęstości Znaków przez Naturę zakodowanych w czasie, materii i przestrzeni. Tylko bowiem tam, na zewnątrz nas — próżnych wakuoli — znajdujemy, cokolwiek dla nas znaczące, informacje, treść, sok. Dlatego trzeba patrzeć, jakby się w każdej minucie rodziło na nowo — z szeroko rozwartymi oczami, chłonącymi świat jak oczy dziecka, które nigdy jeszcze — nigdy w tysiącletnich przemianach pokoleń swojego gatunku — nie znalazło czegoś równie niepojętego.

Patrzyłem więc, a tam — w owalnym iluminatorze mojego Nautilusa — czarny krąg Planety jeszcze się nie rozjaśnił światem, ledwie krawędź jedna, w najwyższych partiach atmosfery rozjarzała się słonecznym światłem i w ten właśnie cieniutki sierp wpływał krąg mniejszy nieco, dziobaty i nieforemny, obracający się powoli — w kosmicznej skali tak przeraźliwie szybko przecież — któryś z księżyców Planety. Czekałem — wzrok mój z nadzieją zawisł na tej kuli zżartej kosmiczną korozją, gdyż jeszcze przed chwilą coś dostrzegłem, coś — może mi się przywidziało tylko — co natychmiast umknęło na niewidzialną teraz, w stronę planety zwróconą połowę. Lecz jeśli rzeczywiście było — czymkolwiek by się okazać miało — powinno za moment pojawić się znowu. Widziałem, jak ospowate narośla kraterów uciekają w ciemność zwróconą do nas i spoza krawędzi pojawiają się nowe, głębokie, jak wyloty szybów przenikających do wnętrza zmurszałej skały — puste miejsca, z których niegdyś wydobyto szprychy i została tylko oś koła z rydwanu toczącego się nad Planetą. Rozkradziono wszystkie złote szprychy, prócz jednej — widać ją znowu — tak powoli i z tak zawrotną szybkością zarazem wyłania się nad strzępiastą krawędź księżyca. Blask znowu — ten sam, co poraził tamte ledwie przebudzone oczy i we mnie obudził nadzieję. Istniało coś, czego nie było tutaj, czego nie potrafiłyby zostawić żaden z nas — ułomnych, którzy kiedyś — kto wie jak dawno temu w skali tej Planety — zabłąkali się tutaj i odeszli nie rozwiązując zagadki, ledwie się o nią otarliśmy archaiczną łuską — pancerzem „Trieda” — reliktowym naskórkiem skafandrów — i zmysłów oblekających Małpoluda.

Kołący rozprysk miliarda tęcz oślepił mnie — uniosłem rękę, żeby osłonić zmrużone oczy. Daremnie. Nawet przez wąskie szparki frenetyczne światło wdzierало się w głąb oczu, wwiercało w mózg, jakby mu był obojętny słaby przewodnik wzrokowego nerwu. I choćbym zamknął oczy zupełnie — pewnie bym nie mógł przestać widzieć, lecz ja patrzyłem, nie odważyłem się dokonać tej próby, żeby to COŚ nie przepadło bezpowrotnie — musiałem się w to wczepić wzrokiem i trzymać — choćby oślepnąć potem.

Lecz TO obracało się wraz ze skalnym odłamkiem. Znowu się zanurzyło w strefę cienia, ale nie zgasło! Widziałem całe galaktyki zapalone we wbitym w grunt kryształ. Kiedy się patrzyło z boku dorównywał rozmiarem promieniowi księżyca, teraz go skracał perspektywiczny skrót i przezroczywym ostrzem gigantycznej wieży celował prosto w nas, i nie gasł ani przez moment. Nie wiedziałem, co to jest —

heksagonalny kryształ czy piramida, wieżyca gotyckiego kościoła, a może ostrze kosmicznego statku wykutego w bursztynie — pod archaicznymi dyszami rozstąpiło się wnętrze księżycy i tajemniczy statek zanurzył się w grunt porowaty, w największym z kraterów znalazł swój dok i wyrzutnię — tylko ostry czub wystający z bunkra mieni się wszystkimi barwami tęczy, zwraca ciemności zapas światła zaczerpniętego z piersi Heliosa. I w rzeczy samej była to jakby żywa, pulsująca od środka słonecznica — sztywne promienie nibynózek z ostrych igiełek, z krzemionkowych kryształów zanurzonych w cytoplazmie, bodą przestrzeń, prostymi nitkami kreślą warstwicę na stokach kraterów pograżonych w półmroku, promienne igły zanurzają nam w oczy — paraliżujące pseudopodia, w których wikłają się kosmiczne pierwotniaki. Nie ma odwrotu. Niedługo włókienka osiowe promieni rozmiękną i wraz z nimi zostaniemy wciągnięci do wnętrza komórki.

Nie ma odwrotu, musimy tam być — dotknąć własną ręką, palcem zanurzonym w naszą niewiarę. Bo oto nastał Twój Dzień. Tak, Elford — śpiewaj alleluja! — to wyśniony nie tylko przez ciebie Dzień Pierwszego Kontakt.

Złota zjawa raz jeszcze rozbłysła na czarnej krawędzi bryły przetaczającej się przez ekran i zniknęła z pola widzenia.

— ...Struktura niezidentyfikowana — usłyszałem głos Synchronatu. — Bioindykatory nie rejestrują materii organicznej. Brak wydzielania energii poza rozszczepieniem postronnych promieni świetlnych. Obiekt doskonale statyczny... Statyczny, powtórzyłem w myślach, a przed oczami zakodowane raz i na zawsze kuszenie świetlnej rozgwiezdy ponownie odtwarzało swoje misterium.

— Synchronat! — przerwałem potok zapewnień o braku danych. — Procedura według pierwszego paragrafu Instrukcji. W międzyczasie tych dwóch przeniesiesz do sarkofagów. Kiedy wrócę, niech żaden nie kiwnie palcem.

Mówiąc to już biegłem do najbliższej komory transmisyjnego szybu. Nawet się nie obejrzałem przez ramię na matecznik planktonu i alg, chociaż w ostatniej chwili wydało mi się, że jeden z niedoszłych topielców daje mi jakieś rozpaczliwe znaki.

Wreszcie lej magnetyczny. Natan gdzieś przepadł. Przez moment widziałem, jak długimi susami mknie w głąb korytarza. Czort z nim. Teraz już wiem, jak między was rozparcelować sprawiedliwość. Załatwimy, jak wrócę. Do tego czasu zajmie się tobą Synchronat.

— Synchronat...

Wir powietrza gasi głos w krtani. Płynny lot w kapsule trzech metrów sześciennych powietrza. Głową do przodu, bezszelestnie, niby kęs perystaltyką okrężnych mięśni przesuwany w przetyku. Wszystko trwa ułamek sekundy. Trzask pękającej błony i ląduję na zgiętych nogach w kesonowym pęcherzu zawieszonym nad otwartą kabiną starbolta.

W szklanym stelażu białe muszle — półobrót plecami do fotokomórki Synchronatu i manipulator w mig wyłuskuje jedną z kul. Po chwili jej ciężar czuję na ramionach. Natychmiastowa akomodacja łączy. Polaryzacja hełmu w pełnej zgodności z moim wzrokiem — widzę, jakby nie istniała przeszkoda między moją twarzą a powietrzem stanowiącym jeszcze mikroklimat „Trieda”. Jeszcze regenerator wbity w tuleję u nasady hełmu. Pierwszy oddech nowym powietrzem. Setki metalicznych palców przebiegają po powierzchni skafandra. Ostatnie kontrole — chcą mi wyłuskać nóż zatknięty za pasem. Precz z łapami! Jednocześnie upiorny błysk promieniowania oślepia moją przyłbicę — do oczu i skóry sięga tylko dozwolona dawka. Jeszcze raz — impuls za impulsem, jakbym był zgęstką plazmy ugniatanym przez centryczne uderzenia neodymowych laserów — ładują energię w submolekularną warstwę skafandra, aż się dopełni scientific breakeven i ochrona biologiczna będzie odtąd zdolna pełnić nieprzerwaną służbę na barykadzie między

mną a zjawiskami wszechświata.

W biotronicznym zamknięciu skafandra nie odczułem żadnych rewelacji, lecz ostatni impuls laserów spopielił wszystko dokoła asekurując uprzednie sterylizacje i — byłem wolny. Poda mną rozmiękło magnetyczne pole i wąskim lejem osunąłem się prosto w fotel pilota rozparty amortyzacyjnymi ścięgna w głowicy starbolta.

Patrząc w bok można się wzrokiem prześlizgnąć wzdłuż czterech jeszcze nie odpalonych mosiężnych gilz z kryształowymi głowniami starboltów. Za to na wprost przede mną już się rozsunął pancierz w burcie „Trieda”. Jeszcze klin szklanego wążu winien zaczopować wylot magnetycznego szybu.

— Synchronmat?

— Tak.

— Zajmiesz się Natanem do mojego powrotu.

— To niemożliwe, Elf.

— Co to ma znaczyć?

Oczy zeskakują z gwiazd migocących w prądach powietrza rozpraszającego się w próżni poza wylotem wyrzutni.

Na ekranie Synchronmatu srebrne węże właśnie krępiją ciała niedoszłych topielców. Stawiają opór — taka ich zielona mać! Usta otwarte do krzyku — pęcherzyki powietrza mkną ku powierzchni między listkami alg. Manipulatory Synchronmatu to najprecyzyjniejsze kajdanki — i na zawołanie w każdym miejscu. Teraz tylko wywlec tłumoki z rezerwuaru. Natana trzeba było z nimi od razu wpakować do zamrażalni.

— Synchronmat! Do jasnej cholery, gdzie go podziałeś!

Trzask tuż nade mną. Znajomy odgłos pękającej membrany i coś się wali koło mnie. Jęk amortyzatorów. Nad głową westchnienie zasklepionych wreszcie magnetycznych poduszek. Po mojej prawej stronie, podane nieco wstecz, siedzenie drugiego pilota w dwumiejscowej głowicy starbolta. Zajęte. Natan szczyrzy się do mnie pełną gębą. Kto by pomyślał, że w takim tempie można się wystroić w cały rynsztunek. Inaczej by nie przepuściła kontrola kesonu.

— Lecę z tobą, Elf — powiedział.

Mogłem mu kazać, żeby się zabrał do wszystkich zielonych diabłów. Ale przecież się starał. Zaczniemy od niego. I od teraz. Tamci mogą poczekać jeszcze.

I na razie nie tutaj tkwi największy problem. Nareszcie jest coś, co nas wiąże — przynajmniej na parę godzin. Ten sam cel nam zaświecił w oczy. Takie coś może się nigdy nie trafi i — koniec marzeń o integracji. Trzeba kuć póki gorące.

— Synchronmat! — powiedziałem wkładając palce rąk w bioelektryczne kontakty sterów. — Pełna gotowość. Katapultuj za siedem sekund.

Powiedziałem — siedem, jakby to miało znaczenie. Szczęśliwa liczba. Poza tym chciałem, żeby było krótko — czasami wlecze się nawet tych parę sekund. Synchronmat łypnął cyferkami na monitorze centralnego chronometru — od siedmiu do zera — i nagle nas wdusiło w fotele. Czuję, jak kostne kręgi amortyzują na chrząstkowych uszczelkach szkieletu. Znajoma ciepła fala krwi spłynęła w dolną połowę ciała, potem znowu uderzyła w mózg. Wargi natychmiast pokryte łojem, jak cieniutką warstwą parafiny, której nie potrafi zlizać zeschnięty kołek języka. Palce rąk tak głęboko wbite w biokontakty, aż mi się zdaje, że rękawice skafandra to przejrzysta koronka, która nie tylko przewodzi impulsy sterujące aparaturą pokładową systemu kierowania, lecz na dodatek — zwrotnie — pozwala mi jeszcze opuszkami palców zagłębić się w eksplozję plazmy poruszającą starboltem jak, tłokiem w łożysku wyrzutni; swobodne cząsteczki rozkręciły opętańczy taniec między dyszami starbolta a zwierciadlanym meniskiem dna studni, sprężyły się i wreszcie nas wypluły prosto w kosmos.

Szybko oddalaliśmy się od statku. Jego wzdęty brzuch chwilę jeszcze zdawał się nas wiązać szcztąkową grawitacją czy lepkością rzadziutkiej nitki gazów — przezroczystej fioletowej pepowiny, która wreszcie pękła między nami i teraz wszystko, co nas mogło łączyć, to sprzężenie Synchronatu „Trieda” z jego miniprzystawką — lokalnym komputerem starbolta, autopilotem nawleczonym jeszcze na promień sterującego nami lasera. Lecz i ten kanał przekazu informacji rozchodzi się w szwach w miarę oddalania od macierzystego statku, w miarę rosnących opóźnień sygnałów. Poza tym starboltem można się oddalać dowolnie daleko. Od biedy można nim dokonać przelotu między bliskimi gwiazdami z prędkością przyświelną. Mocy nie starcza tylko na przełamanie odchylających barier przestrzeni nad wejściami do tuneli poza grawitacyjnym polem Galaktyki. Z tego powodu coś, czym jeszcze niedawno tacy jak ja gotowi byli tłuc się do gwiazd, dzisiaj spełniało rolę pośredniego transportu wewnątrz planetarnych układów.

Synchronat oczywiście wybrał dla nas trajektorię optymalną, jeśli idzie o ekonomikę i wygodę.

— Przejmuję sterowanie — na wszelki wypadek poinformowałem Natana.

Główna oś starbolta w jednej chwili przełamała dotychczasową trajektorię lotu. W nas czarne gwiazdy i kopnięcie podkutym butem w ciemność. Fotele zwinęły się w przezroczysty amortyzacyjny pęcherz. Gwałtowna wibracja, jakby w pustej przestrzeni korpus werznął się w chmurę gazu rozwichrzoną piekielnie. Trwało to tylko ułamek sekundy — wystarczająco, żeby poczuć w kościach, zbyt mało aby zachwiało wypadkową lotu starbolta. Palce już się zadomowiły w bioelektrycznych kontaktach sterów i wróciła im zwykła pewność. Pięć palców i pięć odrzutowych wiązek plazmy pchających starbolta; kciuk — to ciąg główny, pozostałe palce sterują bocznymi strumieniami — można je składać w jedno i rozpościerać w przestrzeni pięcioramienną gwiazdą. Można cały statek wprawić w tak przemyślnie obroty, wirowania wokół własnej osi, spirale trzeciego i czwartego rzędu, kiedy już nic nie zostaje — tylko pomodlić się przed Synchronatem. On wszystko natychmiast rozpląca. Niebezpiecznie jest tylko zabawiać się tak w oddaleniu od macierzystego statku — nim sygnał skoczy tam i z powrotem można pocałować w czółko jakiś wyłysiały z atmosfery księżyc.

Choćby taki właśnie — dostrzegłem go wreszcie. Zwrócony był do nas dziobatym profilem nowiu. Reszta bryły w półmroku. Pech — nasz cel po przeciwnej stronie. Jeszcze trochę przyspieszenia. Zdawało mi się, że mam maskę na twarzy — z elastycznej, mojej własnej skóry — jeszcze trochę i ześlizgnie się z czoła, policzków i nosa. Będę mógł wyrzeć nad zmętniałe soczewki oczu. Ledwie je teraz potrafię odwieść na bok, gdzie leży Natan wdławiony w amortyzacyjne poduszki. Zawsze mnie śmieszyło, kiedy na okrainie Strefy Systemu pozwolono mi przelecieć się parę razy i wczuć w taką samą cholerną maszynę. W momentach ostatecznych przeciążeń potrafiła mnie rozbawić obserwacja pulsujących amortyzacyjnych pęcherzy. Reagują na każdą zmianę ciągu, odrobina przyspieszenia więcej i sprężarki w odpowiednie sekcje szklistych fiszbinów tłoczą różowy gaz, odpompowują w ułamku sekundy, uzupełniają z drugiej strony, usłużnie gdzie trzeba podtykają odpowiednio sprężystą i właściwie nachyloną podkładkę. Zawsze to wygląda jak kurcz dziesiątków mięśni zwiniętych w jeden węzeł. A w tej pieszczotliwej i jednocześnie twardej garści spoczywa ludzkie ciało.

Mój towarzysz trzymał się jednak nad podziw dzielnie. Choć mu stopa ciężenia przydepnęła pierś do zasadniczego oparcia. Miał przecież błogi uśmiech na twarzy i oczy mu płonęły — tego się nie spodziewałem. Ręce kurczowo zaciskał na dublujących sterach, jakby mu się śniło, że to on — albo też, że coś jeszcze z siebie dodaje do tej karkołomnej akrobatyki starbolta.

Tymczasem martwy księżyc spuchł przed nami do zastraszających rozmiarów. Wypełnił się i ostatecznie stracił widoczny tylko z oddalenia nieregularny kształt.

Posiadając jeszcze inercję bocznego dryfu przejętą od „Trieda” znaleźliśmy się nad oświetloną stroną księżyca. Na dodatek on sam posiadał tak szybki obrót wokół osi, że nad oświetloną połowę trafiliśmy wtedy, gdy nie zostało śladu po dziwacznej konstrukcji dostrzeżonej przez nas z miejsca bardziej odległego w kosmosie.

Zbliżająca się powierzchnia pogłębiała zmarszczki z przeraźliwą szybkością. Minimalna korekta styku — prosto w skalną iglicę sterczącą w centrum krateru. Przez moment szeroko rozwinięty krąg horyzontu. A my — głowicą w przód — twarzą w skalny filar — jakby się w nas, z nierozwiniętych konfliktów intrapsychicznych, rozwinął ten pęd do autoagresji — czołem w zrab pierwszego napotkanego księżyca. Kątem oka — twarz Natana bez kropli krwi. A tu — już bez szansy odwrotu. Za mało mgnień, żeby przestawić starbolta o sto osiemdziesiąt stopni i hamującym impulsem strzelić z dysz.

Tak, drogi przyjacielu, tak wygląda śmierć. Trzeba zapamiętać.

I teraz — gdy już skalna drzazga niemal wbita w oczy — minimalne odchylenie od spadku prostopadłego do powierzchni. Uderzenie plazmą spod serdecznego palca — o tak! Zamiast w zmurszały grunt wbijać gwóźdź można się samemu burtą nadziać na kamienny kiel. I gdy już nie ma zupełnie wyjścia, kiedy za mało czasu, żeby choć zamknąć oczy i cienkością powiek odgradzić się od śmierci — kciukiem lewej ręki tylko drgnienie na sensorycznym ogniwie — spust! — i starbolt wbija w skały całą energię generatorów magnetycznego pola przeciwmeteorytowej osłony — szary kamień w oka mgnieniu przemieniony w światło. Pod nami płynne bajoro bieli obwiedziona pąsowym pierścieniem. A wokół nas elektromagnetyczne pole zwinięte w tuleję, jak w miękkim łożysku — ślizg nad parującym gruntem — pestka stalowa ujęta w jarzmo elektromagnesu, cząsteczka niesiona na grzbiecie grawitacyjnej fali.

Świadomość wraca opornie, jakby nawet szare komórki energię bioelektrycznych napięć oddały na ten czyn zbożny osłony doczesności naszej. Teraz trzeba na nowo przecierać zagubione ścieżki.

Oczami w bok — twarz Natana jeszcze skurczona. Tak, przyjacielu, tego nie uczą w żadnej szkole pilotażu. W całym waszym FL-Galax nikt nie zna takiej sztuczki. To trzeba mieć we krwi. A Ułam wymyślił to, gdy był w twoim wieku. I nie przy pomocy takiego sprzętu. Z drugiej strony wiek twojego gatunku był wtedy na etapie Małpoluda.

Tak, Ułam tę sztuczkę wymyślił, żeby zagrać na nerwach twardszych niż twoje. I nie zawiodła go ani razu. Musiał się powiesić na zwykłym stryczku.

Chciałem się odezwać do Natana, powiedzieć coś — zadrwić, jakbym szukał okazji do uregulowania długów. I wtedy zrozumiałem, że w tej skurczonej twarzy nie było odrobiny lęku. Ta błądź, którą poczytałem za wegetatywno—somatyczny objaw strachu, była wyłącznie efektem potwornych przeciążeń, które wszystką krew odpompowały z głowy. Lecz już wydał szybko pąsowiejące wargi, drapieźnie poruszył nozdrzami i w stalowych oczach nagle się objawiło pokrewieństwo z tamtym tygrysem, sfinksem, pół-lwem, pół-kobietą, która na ułamek chwili w moją stronę wychyliła się spoza tanich draperii Strefy Systemu. W jego oczach dostrzegłem niepohamowaną żądzę czegoś, przy czym próbka mojego pilotażu była ledwie nieśmiałym akordem.

I nagle pojąłem głupotę swoich demonstracji. Po co to zrobiłem? Komu i co przez to chciałem udowodnić?

Uciekłem spojrzeniem poza przezroczystą głowicę starbolta. Lecieliśmy nisko, niemal ślizgając się po powierzchni księżyca. Przestrzeń odzyskała geometrię dołu i góry, a równowaga endolimfy w błędniku kostnym mojego wewnętrznego ucha i linia

horyzontu przed oczami wyznaczyły tę samą płaszczyznę poziomu. Przed nami otwierała się powierzchnia księżycy, twarz posiekana zmarszczkami, wzdłuż i w poprzek rżnięta głębokimi bliznami, nad której czołem—horyzontem wisały ostre, w szczątkowej atmosferze nie zmiękczone iskry gwiazd. Komu tu i co chciałem udowodnić?

Jeśli w kabinie starbolta wygasić wszystkie czynniki i monitory pokładowego komputera, wtedy zupełnie niepodobna dostrzec idealnie przezroczystych, elastycznie polaryzujących strukturę warstw polimeryzowanego szkła, które oddziela nas od zewnętrznej próżni. Teraz jednak odrobina światła ześlizgiwała się po wewnętrznej stronie pęcherza i — jeśli się uważnie wpatrzeć — można w tym pozornym ugięciu przestrzeni dostrzec zarys przedmiotów otaczających nasze sterownicze gniazda. Wzrok mój szukał zarzewia wstającego nad horyzontem — jakby się mogło podnieść w ośrodku pozbawionym powietrza — tymczasem dostrzegłem cień jakiś, znacznie bliższy, wiszący — zdawałoby się — tuż przed moją twarzą. Zupełnie, jakby ktoś patrzył na nas.

Ponad zębatymi obwałami skał unosiła się twarz dziwnie wyolbrzymiona, zewsząd okolona naelektryzowaną czernią kosmosu. W tym rumowisku odczytać można było praktycznie tylko czoło i oczy — daleko za sobą zostawiliśmy pąsowe wargi, jak pocałunek na nagim kamieniu — teraz lecieliśmy prosto w te oczy patrzące na nas z niezwykle melancholią, ze smutkiem roztopionym w międzygwiazdnych przestworzach. I nagle zrozumiałem; śmiech zadrżał we mnie — komu i co chciałem udowodnić — tylko zgrzytnąłem zębami. Natan musiał usłyszeć ich skrzyp — popatrzył na mnie zdziwiony. Widziałem ruch jego głowy bez zwracania uwagi w jego stronę — obydwaj tam byliśmy, w dziwacznej twarzy stworzonej w laboratorium moich patologicznych iluzji, która wypełniła sobą ugięcie szyby, w oczach umiejscowiła odbicia naszych postaci — cień oczodołów pogłębiony przez konchy foteli, a w nich nasze ciała zatopione w próżni czarnych źrenic, ja — lewe, Natan — prawe oko; tylko poświata z monitorów komputera rozjaśnia kule hełmów otaczając nasze głowy cieniutką aureolą. Jakby spoza zasłony wyjrzała w naszą stronę ta, która — od tamtego spotkania pod auspicjami Strefy Systemu — nie miała ciekawszego zajęcia, jak czepianie się myślami dwóch durniów szukających szczęścia w kosmosie.

Zupełny nonsens. Co najwyżej spać nie dają nigdy niespełnione słuchy o kosmicznym Eldorado. I na wierzch wyłażą zadawnione bolączki Horowitzów, w różnych wydaniach i przynajmniej spodziewanych okolicznościach. I nie jest tego usprawiedliwieniem, że trafiają się chwile — choćby jak teraz — gdy wydaje nam się, że jesteśmy blisko tej krainy. Niby lecimy nad pogrążoną w mroku półkulą wykruszonego ciasta, z którego lepiono brzuchy planet, niby dokoła próżnia, noc pogłębiona apatią skał — jakże często udzielającą się nam — nieco przecież miększym od kamienia; a jednak łudzimy się.

Jak teraz. Wiem, że nie mogę nic słyszeć, a przecież w czeluściach kraterów budzi się triumfalny głos fanfar. Ledwie mogę wzrokiem rozróżnić cokolwiek w przenoszących się dołem pejzażach. Kamienne blizny zroszone gwiazdym światłem. Tylko ta muzyka zdaje się narastać stopniowo. Najpierw pomruk ledwie słyszalny. Charkot długich trąb tybetańskich łamów, grzmiących nad praźródłem wszelkich ras. Tony potężniejsze, choć trudno rozdzielić poszczególne dźwięki, bodaj na czynniki pierwsze rozłożyć instrumentację, i w uszach rozbrzmiewa monotony, ponury koncert orkiestry złożonej z tysięcy instrumentów dętych — wibracja dźwięków przenika do samych kiszek i w piersi otwiera przestrzał, przez który wieje chłodem. Mam w sobie próżnię grząską, lepka, jakby się ciało zapadało w samym sobie, w kąpieli błotnej, w bagnie musującym strachem — nekrofiliczna Titonos dobrała się do wnętrza ciała i rozpoczęła tam orgię próchna i pleśni.

W ryku trąb lecieliśmy przed siebie.

Gdyby chociaż głowica starbolta pruć atmosferyczny pokrowiec o ziemię bijąc boczną powierzchnią stożka uderzeniowej fali. Wtedy może bym uznał racjonalność tych dźwięków, echa budzonego w gardzielach kraterów, z piszczał tektonicznych rozpadlin, coraz głębszych rejestrów dobywanych z porowatych skał. A przecież ten głos ochrypli potężniał — we mnie czy poza mną, nie wiem — tylko twarz Natana widziałem nie mniej pobladła od mojej, i niosło nas z zawrotną szybkością, jakby rozdygotane trzewia przez łącza palców zaklinowanych w sterach przekazały w dysze sygnał pośpiechu, głodu, pragnienia, bo koniec końców musi się objawić to, wciąż jeszcze będące prorocstwem—jękiem naszego ciała i jaźni.

I nagle pękł horyzont — szew skał zygzakiem zespolony z kosmosem.

Najpierw ostre pojedyncze żądło. Potem oślepiający krąg słońca zaczął się podnosić, nadymać ogniem nad spopielała równiną. Miliardy iskier strzelały na wszystkie strony. Nigdy w życiu nie widziałem takiego wschodu słońca. Wrażenie jakby w rozwichrzonym protuberancjami kotle tkwiło coś jeszcze — gorętsze od słonecznej pochodni — drzazga soczewki — ostrogranny kryształ kwarcu — odprysk lodowego lustra — utkwiał w białym oku i wyciska z niego tęczowe soki.

Lecimy prosto w ten punkt już nakłuty przed nami.

Coraz bliżej.

I gdzieś przepadła kakofonia strojenia kosmicznych organów — teraz dźwięk płynie miękki, ledwie słyszalny, lecz istniejący bez wątpienia, nabierający głębi już nie tylko w kamiennych gardzielach, lecz pod sklepieniem całego nieba, gdzie pojawiła się Gwiazda — dusza Kosmosu — orkiestra wyzwalająca concerto grosso z monstualnych piersi — we mnie samym trwająca Msza h–moll Jana Sebastiana Bacha.

Krąg słońca poderwał się nad rozłam bazaltowych rumowisk i zrozumiałem, że istnieje też krystaliczny pomost — między biegunami piekła łącze gorączki i chłodu.

Cel naszej pielgrzymki dziwnym trafem tkwił prosto w środku słonecznej tarczy — teraz się od niej oddzielał, bardzo powoli, wraz z przesuwaniem się Heliosa ku zenitowi, wyślizgiwał się niby lancet rozpalony w węglach do gwiazdnej białości — miecz z pochwy — żeby osiągnąć hart zanurzeniem klingi w próżni kosmosu.

Krzywizna księżycy nie była zbyt wielka, więc nie trwało długo to wynurzenie. Gwiazda umiejscowiła się w zenicie czarnego sklepienia, a dziwaczna budowla wyrosła tuż przed dziobem starbolta.

My tymczasem — oślepieni światłem i opętani muzyką, jak ćmy dążący do płonącej główki — nie potrafiliśmy ruszyć ręką i niosło nas tuż nad zębatą czeluścią, która ze skał wystawiła szkarłatny język, i wciąż nie wiedzieliśmy nic — co mamy przed sobą i czemu tak nas tam ciągnie, prowadzi posłusznie po nitkach tysięcy promieni, jakby się w nas rozgłaszał zew olbrzymiego kryształu o ściśle geometrycznej strukturze, któremu dla dopełnienia prawa symetrii potrzeba jeszcze jednej cząstki — ostatniej — więc nas przywiodło z kosmosu. Zostaje tylko znaleźć swoje miejsce, ostatnią szczerbę, i wpasować się wraz ze starboltem w tę lukę, której dopełnienie jest zgodne z pragnieniem naszym i czymś jeszcze — nie do określenia.

Jeszcze ułamek sekundy i nastąpi czołowe zderzenie — przeraźliwy trzepot szkarłatnego kolibra w monitorze pokładowego komputera. Natan coś krzyczy, bezsilnie szarpie swoimi sterami.

Podświadome raczej drgnienie wszystkich palców — nim autopilot zdecydował się na ostateczność — i potwornie wysoka kolumna przenosi się tuż obok. Ciężenie wdławia nas znowu w amortyzacyjny pęcherz. Starbolt świecą strzela w górę i przerzut przez plecy. Wyrównanie lotu i znów przed nami monstualnych rozmiarów budowla — cichy chorał we mnie — teraz już nie mam wątpliwości, choć nie

wyobrażam sobie sprawców tego ogromu.

Słyszałem, jak Natan rzeźił ciężkim oddechem. Bezwładnie zwiśł w amortyzacyjnym pęcherzu. Ja sam nie potrafiłem powstrzymać westchnienia ulgi. Czarne płyty spływały sprzed oczu.

Już lepiej — tylko w kiszkach łagodna melodia.

Msza tajemnicza.

Posłuszny mojej ręce starbolt zawinął spiralę wstępującą ku górze. Tuż przy złotawej, półprzezroczystej iglicy. Trzeba było zamknąć kilkanaście stromych pętli, żeby dotrzeć do szczytu. Z tej wysokości księżyc wyglądał jak zmurszała buławka — na złoty patyczek nawleczone parchate jabłuszko. Koniec kryształowej igły przenikał już w strefę nieważkości. Żadnych niespodzianek — zwyczajna, ostrogranna iglica. Z jednej tylko strony ze szpica zbiegała cieniutka szczelina. Rozszerzała się i bez odkształceń gładkich ścianek biegnęła w dół, aż do podnóża kolumny. Spróbowałem wzrokiem ocenić jej proporcje — dziwne wrażenie sprawia coś jednym końcem tkwiące w rzeczywistym kosmosie, drugim zakotwiczone w bryle księżyca. W miejscu styku z gruntem kolumna posiadała średnicę najmniej tysiąca metrów.

Krążyliśmy wystarczająco długo, aby poczuć w sobie głód tej muzyki, która przycichła tutaj, dopiero ją kryształowe ostrze wyłuskiwało z szumów Kosmosu, żeby spotęgować w sobie i o ziemię grzmotnąc rykiem trąb jerychońskich.

Balast zainstalowanych w głowicy starbolta elektronicznych detektorów rejestrował obecność czegoś — i owszem — lecz ani razu w monitorach nie zapaliła się twarda decyzja: kwarc, diament, monokryształ korundu, tania błyskotka.

Pchnąłem w dół starboltem. Z powrotem do podstawy tego pomnika, gdzie szary granit bezpośrednio przechodził w krystaliczną formację. Cały ten czas wydawało mi się, że przezroczysta ściana tylko z wierzchu pokryta jest nieco dymnym szkliwem, a w środku mnoży cudaczne perspektywy, tetragonalne układy płaszczyzn, i w nich coś się dzieje, coś zmienia — nie mniej płynne niż gra promieni zapożyczonych od gwiazdy albo wykrzesanych z własnego krzesiwa. Postanowiłem łądować.

Starbolt stanął pionowo na wprost owej szczeliny, która przy podstawie niebotycznego obelisku szeroko rozwierała dwie pionowe ściany.

— Zostaniesz tutaj — odpowiedziałem na pytające spojrzenie Natana.

Chciał zaprotestować. Ruchem ręki uciąłem dalszą rozmowę. Ciężenie było tu minimalne, lecz nie pragnąłem nadużywać uśmiechów fortuny. Nie otwierałem kabiny, żeby z wysokości czterdziestu czterech metrów — gdzie unosiła się szklana głowica — skakać prosto na skały wygłodniałe od długiego przebywania w próżni. Dawno się nie nawlekła na nie, jeśli nie od samego poczęcia świata, jakaś cielesna padlina.

Między stanowiskami amortyzacyjnych pęcherzy ciemnieje kamera magnetycznego szybu — krótki lot nogami do przodu. Niewielką porcję energii kinetycznej stopy przekazały bezpośrednio w ziemię. Martwe skały czasami różnią się barwą, lecz zawsze wyglądają na dalszych lub bliższych krewnych martwicy w każdym innym punkcie Kosmosu. Szedłem po nagiej skale. Plazmowe dłuto pod dyszami starbolta wydłubało nieco gruntu i wkoło rozpościerał się jeszcze wachlarz szeleszczącego, stygnącego szkliwa. Czasami stopa opierała się na takiej koronce z ceramicznych wężyków — słyszałem trzask i spod obcasa, jak z przydepniętej tubki, wytryskiwało nieco ognistych kropel.

Niedługo zapadnie tu noc. Nie musiałem się martwić jej nieuchronnością. Chociaż nie podłączyłem do skafandra przystawek z echosondami, laserowymi dalmierzami i polaryzatorem szklanego hełmu, aby odbierał promieniowanie podczerwone — sam nie wiem, czemu. Pewien byłem, że nie ma co ze sobą zabierać tego balastu. Mamy aż nadto czasu na zastosowanie metody geologicznego młotka. Na razie pierwszy



rekonesans. A tymczasem starbolt, chociaż postawiony pionowo, wygląda jak zupełnie maleńki karzełek, pozbawiony świetlnych — świetnych szat, zebrzący u stóp niebotycznej katedry.

To coś bowiem, przed nami, przeczyło wszelkim wyobrażeniom o konstrukcyjnej skali. A przecież zostało stworzone. Wątpię w kreacyjną siłę Natury, mogącą objawić się w tak krótkim czasie. Przecież niedawno byłem tutaj — na jednym z równie martwych księżyców. Zresztą tego nie trzeba było szukać, samo się rzuciło w oczy z każdego punktu planetarnego układu. I niepodobna było nie trafić do tego ZNAKU, choćby się było ślepcem — jeśli tak pewnie szedłem przed siebie to tylko dlatego, żeby wyjaśnić, skąd brał się we mnie ów głos — ulotna muzyka niebiańskich sfer, wabiąca mnie jak magnes. Nie wyobrażałem sobie, że może istnieć twór obcego rozumu, który dla nas — ludzi — byłby czymś tak dziwnie bliskim, że mogą istnieć nie tylko tajemnice groźne i odpychające, ale i tak kuszące, jak ta. Jeśli z czymkolwiek mógłbym porównać to uczucie, wypełniające mnie kiedy się tak zbliżałem do gigantycznej wieży z szerokimi wrotami — jak pęknięciem wypełnionym światłem, było to tak mniej więcej — wyobrażam sobie — jakbym po stromych schodkach wstępował do półmroczonej kruchty, do przedsionka świątyni skierowanej w niebo gotycką doktryną strzelistych i smukłych wież. Wystarczy jednak przestąpić próg — i ta konstrukcja z tak zawrotną siłą rwąca się ku słońcu, zwiera się nagle ciemną gwiazdą stropu, wciąż przepojona wspaniałością i odwagą — a jednak sklepiąca nad głową. Życie zepchnięte w drabiny witraży. Dziwny świat, przed którym — czy mnie zachwyca czy przeraża — tak samo muszę schylić głowę — choćbym był polinezyjskim kanibalem, rdzennym mieszkańcem australijskiego buszu, jezuitą, światłym koryfeuszem Oświecenia, zadufanym technokratą czy facetem przezornie obleczonym w pancerz skafandra z nadprzyrodzoną biologiczną ochroną. Ta moja tarcza ochroni mnie nie tylko przed ogniem na stosie inkwizycji — pewnie potrafi mnie zbawić również przed samym sobą. Albowiem patrząc, słysząc, czując — przeżywamy przecież — świat i własną cielesność — rozumiemy, podziwiamy, a przez to stajemy się podatni na sugestię tajemnic, które nas przerastają — jak tajemnice narodzin i śmierci.

Lecz kim jestem, żeby uciekać w mistykę symboli, kiedy mnie przyszłość zalicza w swoją prozaiczność? Idę między dwoma lustrami, które między sobą mnożą rykoszet światła i dźwięku. Trafiłem w piekielną retortę, która chce ze mnie — syna balwierza, rzeźnika i kastylijskiego wieśniaka — wytopić szlachcica, żebym rozwinął sztandary nad konnym orszakiem, aż się nad ziemią przetoczy chrzest zbroi, kolczug i tarcz przybranych w mon czarnego smoka. Staję tutaj jako prorocstwo nowej konkwisty — za pasem mam nóż, który już widział niejedno, a pewnie się jeszcze nie wyzbył wszystkich chęci. Niosę go w mój kosmiczny western — żeby dokompletować do zbroi płaszcz purpurowy i gronostaje, złoty sznur, broszę z perłami i cesarskiego orła — i wrota się otwierają przede mną ogromne, już nie przedsionek kaplicy gigantów, do której wchodzę, żeby się pomodlić czy zgoła empirycznie zgłębiać tajemnice bytu. Szczelina w skale wypełniona jest słonecznym światłem. To mój Złoty Kanion Kolorado — stopy po kostki w złotym pyłe — żywa rzeka bez wody — po brzegi wypełniona ziarnami nuggetów. Trafiłem tu pod koniec nędznego żywota, do źródła, o którym jeszcze marzą inni poszukiwacze skarbów kosmosu. Tę żyłą będę doił, aż się sam po brzegi wypełnię — i Natan niech uszczknie sobie! — dla każdego starczy, nawet tym zielonogębym nie będę skąpił! Niech mi pomogą rozgryzać złote orzeszki i perełkami spluwać w chciwą karmy Bibliotekę Strefy Systemu. Oto szansa Pierwszego KONTAKTU — niech potop wiedzy zasili nadświadomość zbratanych Synchronatów, niech dopełni resztę pustych kieszeni, szarych komórek, nie rozkręconych biznesów. Tak długo nas przecież męczyło

pragnienie.

Szedłem wyprostowany, a wkoło migotały pierścienie światel. Daleko za mną został wylot Złotego Kanionu. Maszerowałem — co tam! — prawie biegłem długimi susami, na ile można krok wydłużyć w polu tak niskiego ciężenia. Traci się nieco na dystynkcji ruchów — nie dbałem o to. Ogarnęła mnie dziwna euforia, barwne plansze Rorschacha pływały mi przed oczami i — sam nie spostrzegłem kiedy — ściany się zbiegły niemal w ucho igielne. I muzyka w piersi — bardziej napięta, jakby missa pro defunctis, żałobny śpiew organów.

Błędnym wzrokiem popatrzyłem przed siebie.

U zbiegu niebotycznych luster zaklinowana mleczna perła.

Jeszcze kilka kroków, by się zjednoczyć z jej pulsem.

Patrzyłem z niemym zdziwieniem — rytm kurczów pokrywał się z tętnem istniejącym we mnie, na granicy świadomości obecnej i dawno zatartej pamięci.

Pochyliłem się.

Dźwięk umierający we mnie — upadłem na kolana przed tym coraz wolniej pulsującym węzłem. Dogasanie mszy żałobnej, jakbym zbliżeniem własnego ciała niwelował amplitudę drgań dziwnie znajomych. Za to mleczne światło promieniowało coraz śmieiej, rozjarzało sferę wewnętrzną energią, czymś przeznaczonym dla mnie — wyłącznie, po to tu przecież przyszedłem — tylko wyciągnąć rękę.

Uniosłem ramię i rozpostartą dłoń oparłem na błękitnej perle.

Trzask usłyszałem. A potem cisza — zupełna, jakby pękła taśma z Vor Deinen Thron tret ich — kompozycja nigdy nie dokończona.

Coś się zmieniało już tylko poza mną. Z przeraźliwą szybkością — ściany przed chwilą tak bliskie rozbiegały się teraz na wszystkie strony. Mogłem w nie zajrzeć coraz głębiej — w miąższ bardziej przejrzysty — i zrozumiałem wreszcie, że wcale się nie oddalają ode mnie, po prostu znikają, topnieją resztkami złotego iskrzenia i przez ostatnią przesłonę widzę zębate krawędzie kraterów, jak się wgryzają w rzadziutką, rozwiewającą się w przestrzeni koronkę utkaną ze znaków największej Biblioteki Kosmosu, która się rozsypała za lada dotknięciem.

Tylko na nagim kamieniu biała perła płonęła jeszcze — nadzieją dla mnie — życiodajnym światłem. I ona topniała. W zupełnej ciszy, przejęty nagłym lękiem, dziką rozpaczą, jakby się wymykało coś, czego za żadne skarby świata wypuścić mi nie wolno, zerwałem się nagle i pochwyliłem tę kulę w rękę. Aż się ugiąłem pod jej ciężarem, skręciłem wokół osi, jak kompas wskazujący powrotną drogę do starbolta, i znowu zostałem pchnięty na kolana, rzucony o ziemię. I wtedy coś posłyszałem nad sobą. Ledwie uchwytny szelest.

Dźwięk się nowy budził w przestrzeni. Resztki ścian — jeśli kiedykolwiek istniały — prześwidrowane wiertłami gwiazd rozpadały się tym właśnie westchnieniem.

Słuchałem — i coraz większą pustkę czułem w samym sobie. Ten głos — z niczym nie potrafiłbym go porównać nigdy — ten głos był mi znajomy. Wiedziałem już! Dreszcz mnie przeniknął do głębi — ten GŁOS śmiał się nade mną. Wokół mnie ŚMIECH istniał w przestrzeni — o nie, nie drwiący wcale, raczej — smutny może, bezradny. Spojrzałem na swoje brzemię, z którego ostatecznie opadła perłowa otoczka. Nawet go nie tknęła korozja.

Trzymałem w dłoniach metalowy sześcian — naga skorupa generatora wzbudzającego, modulatora z prostą pamięcią pewnego ciągu matematycznych przekształceń, wzmacniacza mocy i obwodów wyjściowych, od miedzianych krążków rozchodzących się trzema wyrostkami anten — nadajnik zainstalowany przez Ulama, żebyśmy się mogli zabawić kosztem Horowitza.

Powoli uniosłem głowę — gdzie sterczał starbolt nieodróżnialny prawie między innymi skalnymi obeliskami.

Olbrzymia amarantowa kula wisiała tam, mlecznymi pasmami obłoków ustawiona skośnie do horyzontu księżyca. Ogromna milcząca Planeta.

Od strony starbolta ktoś biegł w moją stronę i rozpaczliwie machał rękami.

A ja klęczałem. Ze złomem w dłoniach, z oczyma utkwionymi w obliczu Planety przebudzonej we wnętrzu wygwieżdżonej czerni — klęczałem, żeby wreszcie opuścić głowę i nasłuchiwać już tylko w sobie, czy ŚMIECH nie odezwie się jeszcze — bodaj szept nad rozsypanym wkoło prochem.

Czekałem daremnie.

Tylko śmierć — jakby coś umarło we mnie.

## Dzień pierwszy

*„I wydała ziemia ziele–trawę, z  
których każde inne nasiona rozsiewa, i  
drzewa owocodajne, z których każde  
nasiona inne chowa...”*

*(Księga Rodzaju)*

### Planeta

Lekka bryza marszczyła siną płaszczyznę rozciągniętą aż po widnokrąg. Woda ukryta pod celofanowym nabłonkiem. Z wierzchu zaskorupiała czymś chrupkim i szklistym. Nie szum prawdziwego morza lecz naelektryzowane potrzaskiwanie. Ostrzejsze podmuchy załamują wierzchołki fal i zrywają z nich zieloną pianę. Suche wydmuszki żabiego skrzeku fruną w powietrzu wypełnione tylko zapachem — cóż mogą wiedzieć o nim — odwodnione zupełnie. Kiedy pękają, z charakterystycznym trzaskiem i — czasami — brzękiem, przez moment w powietrzu wiszą węzélki tęcz — zanim i te się rozprysną.

Ocean odkłada w przestrzeń kolejne zarodniki ogniskujące promienie Heliosa. Nad ciemnozielonym sukniem wody przetaczają się bilardowe kule, stuk słycać — kiedy się zetkną — i w mgnieniu oka znikają; jakby na styku tęczowych okręgów trafiały na przestrzenną zapadnię, w punkt mikroskopijnego kolapsu, poza którym istnieje — jeśli istnieje — na lewą stronę przenicowany kawałek tego świata.

Miałem uczucie, że to ja sam przekraczam taki punkt.

Kabina starbolta to pęcherzyk innego świata, zanurzonego w tym — tutaj. Wyklułem się. Teraz idę przez gęstą łąkę. Nogi zapadają się w miękkie próchno. Pod stopami drgają jakieś kłacza.

Dalej — czy gdzieś istnieje bodaj jedna łacha burego piachu, ostatnia blizna na łysej czaszce tego globu, któremu przeszczepiliśmy zielony skalp innej ziemi.

Jest.

Fale się płaszczą na piasku szerokiej, starannie wylizanej plaży. Poza nią w purpurowej łunie zachodu woda szybko krzepnie fioletem — gigantyczna kałamarnica wyrzuca obłok barwnika w daremnej próbie odstraszenia czerwonego, wprost w wodę staczającego się kręgu słońca. Prosto w gardziel rozwartą — między język plaży, cienkim półwyspem wbity w morze, a zęby skał spiętrzone nad głębią po północnej stronie zatoki.

Rozgarnąłem trawę sięgającą pasa i zeskoczyłem z niewysokiej skarpy. Od strony morza podmyły ją cykliczne pływy wód, a może sztormy — jeszcze ich nie zasmakowaliśmy tutaj. Z drugiej strony nie wyobrażam sobie, aby ten leniwy ocean popadał w histerię.

Na wierzchołku skarpy — widzianej od dołu — trawiasty gąszcz tworzył ciemnozielony nawis, jak wywiniętą wargę — ponad nią głębia gardła i przetyk, który mnie wypluł — w nim kość zaklinowana twardo — samotnie stercząca baszta starbolta. W głowicy mogłem dojrzeć, między obracającymi się jak szprychy refleksami szkarłatnego światła, skurczoną postać Natana. Robi za ręce, oczy, uszy — wplecione w elektroniczne ścięgna. Człowiek w futerale, ściśle sprzężony z układem dalmierzy, dysz, echosond, detektorów promieniowania, manipulatorów bliskiego zasięgu i — przede wszystkim — z baterią laserowych skalpeli. Człowiek–cyngiel. Tylko ruszyć, a będzie ciąć, tłuc, płatać na plasterki — cokolwiek się nawinie pod

światlny nóż.

Stałem nieruchomo i znowu — tutaj! — poczułem na plecach niezbyt przyjemny dreszcz. Pewnie mi się w plecach wyrobił taki tik. Przecież ten żółtook — ech! — nie ma go tutaj.

Czy ma zresztą znaczenie — kto? Obydwaj są siebie warci. Pewnie dlatego czuję się, jakby mi w każdej chwili mógł ktoś dźgnąć nożem w plecy. Czort wie, co takiemu strzeli do głowy. Nie powinienem im nigdy zostawiać wolnej ręki.

Psiakrew! — zakląłem. Fakt, że trafiła mi się zbzikowana załoga, nie stanowi podstawy do wniosków, że tajne sprzysiężenie Strefy Systemu specjalnie na mnie wynajęło mordercę.

Poza tym — nóż mam przy sobie, pomyślałem. Potem dodałem w duchu — przynajmniej jeden z kolekcji sztuców. I zawsze liczyć można na ten fenomen, który nam się dostał. Czasami Kosmos wywiera na naszą psychikę taką presję, że zbliża najgorsze antagonizmy. Tam, gdzie nie gnębi nas tajemnica zewnętrznego świata, gdy brak zagrożenia i niepewności w każdym z nas, tam społeczne więzy ulegają rozluźnieniu. Tylko Kosmos potrafi jeszcze dać tak porządnie w kość, żeby się szczenięta na powrót tuliły do siebie. Kosmos ma naturę skarabeusza, który w swej świętości i naiwności zbiera plewy i jednoczy je w formę społeczeństw — określonych nadrzędnymi prawami i zmierzających do wytyczonego celu. A jednak — pomyślałem — nic się przecież nie zmienia natura bydlęcych odchodów, tylko przez to, że je nadprzyrodzona siła zlepiała w kształtną kulkę — zostaje kulką gnoju.

Póki co jednak możemy mieć nadzieję — Kosmos nas toczy, ugniata, wyrabia w idealną formę. Nasz skarabeusz przytoczył nas do swojej tajemniczej norki — dla dzieciaków i małżonki. Ciekaw jestem, od kogo napocznie smakowity kasek. Może obowiązuje prawo serii — Mungo Clair, Horowitz, Yongblod, Van den Berg, Ułam...

Odwróciłem głowę od oceanu, przez który szelesty przebiegają jak dreszcze. Skinąłem ręką w kierunku przezroczystej główicy starbolta. Natan nawet nie ruszył ramieniem. Mocno się przejął instrukcją albo wagą zadania. A może — trudno się zdobyć na ludzkie odruchy, kiedy człowiek tak lubi być jęczyczem u spustu. Pewnie nie spuszczał ze mnie oka, a równocześnie próbował jak największą przestrzeń utrzymać w polu widzenia, ergo — w polu rażenia laserowej baterii. Na tym właśnie polega presja Kosmosu — śliczny przykład, do jasnej cholery! — zdajemy się na tych, których tak niedawno nie zawahałbym się wpakować w hibernacyjną konserwę.

Uśmiechnąłem się do niego, jakby mógł to widzieć. Potem obrót przez ramię, jak na paradzie, żeby iść tam, gdzie znajdowało się to coś, dostrzeżone jeszcze z piekielnej wysokości, po co — być może — warto było wyłazić ze skorupki starbolta.

Postąpiłem nawet krok przed siebie. Tylko jeden.

Coś upadło na ziemię.

Zastygłem w bezruchu i spojrzałem pod nogi.

W piasku podobnym do wilgotnej ikry wiła się żmijka zielona — oderwany jaszczurczy ogonek. W pewnej chwili zamarła, może niepewna czy patrzę na nią, po czym rozwinęła spiralę i bruzdząc piach szybko pełzła w stronę skarpy nawisłej nad plażą. Chciałem się schylić, zdziwiony, gdyż zauważyłem kilka identycznych pasemek zaklinowanych pod magnetyczną sprzączkę pasa. To była trawa. Najwyczejniejsza ziemska trawa, może tylko bardziej obrzmiała wilgocią i powleczonea woskowym połyskiem. Widocznie się zaczęła kiedy przedzierałem się przez tę cholerną łąkę.

Zacząłem dość niezdarnie manipulować ręką, która — poza stałym nabłonkiem biologicznej ochrony — ubrana była w sztywną rękawicę. Na wszelki wypadek nie zdejmowałem tej ochrony, lecz udało mi się i bez tego, wysupłałem resztę ciemnozielonych włókien. Strzepnąłem je na piach.

Chwilę leżały nieruchomo. Czekałem, choć już dotarło do mnie i one same potwierdziły moje zdziwienie. Skreśliły się nagle, rozsypały znowu i wreszcie popęzły w ślad za pierwszym ruchliwym wężykiem. Odprowadzając je oczyma dotarłem wzrokiem do kępy nastroszonego trawiastego wzgóreczka. Teraz dopiero pojąłem coś, czego żaden z nas nie spostrzegł z góry, gdy szukaliśmy miejsca na lądowisko. Bujna trawa — gdziekolwiek sięgnąć okiem — poruszała się niezależnie od podmuchów słabego wiatru. Falowanie aż nazbyt przypominało kępy glonów kołyszące się w brzuchu „Trieda”, gdy wody ustalej laguny poruszył oddech budzących się topielców.

Aż mnie dreszcz przeszył na myśl, że przecież przedarłem się przez zieloną łąkę. Rozgarniałem rękami falujące kłosa i spieszyłem się, gdyż poza tym zieliskiem było coś stokroć ważniejsze, co jeszcze z lotu ptaka przykuło naszą uwagę. Zapomniałem uwzględnić naczelną zasadę wszelkich flirtów, tym bardziej z taką jak ta Planeta; nie jest ważne samo w sobie, w oderwaniu od całości. Choćby się ze zjeżonej trawy na mojej drodze wyłonił Horowitz, krwią i ciałem będący sobą — jakim go po raz ostatni zapamiętałem — z białym rozwianym włosiem, jak szelestem trawy, i z szaleństwem w oczach. Nawet jego zmartwychwstanie byłoby znaczące wyłącznie w związku z resztą tego wszechświata, gdyż wiedza jest tylko sumą zjawisk, które potrafimy sobie wytłumaczyć, mądrość zaś to próba przełamania tajemnicy ich nadrzędnych związków.

Pewnie dlatego nie spostrzegłem od razu. Ledwie nas skarabeusz wtoczył do swego spichlerza. Zaskorupiałe kulki zetknęły się pierwszym punktem wybrzuszonej strefy — starbolt wylądował na powierzchni Planety. Teraz można liczyć wyłącznie na kinematykę materii — drżące wibracje cząstek, zapachy i ciepło przenikające nawzajem. Na razie to tylko powierzchniowe tarcie. Może się uda komponenty wymieszać i tym sposobem uzyskać stop bardziej szlachetny. Dlatego tutaj jestem. Z tej przyczyny przedzierałem się przez falującą łąkę — ślepy żuk, jak czołg pracy przed siebie, nie dostrzegający niczego. Zbyt wiele we mnie inercji „Trieda” i pamięci tamtych oczu, które mnie przyspiliły do Strefy Systemu i „kosmicznego wraka natchnęły żalonym pragnieniem powrotu.

Sam jestem — stało się tak niepostrzeżenie — ziarenkiem Strefy Systemu, zwartym w sobie, lękającym się otworzyć na zewnątrz. Dlatego przeszedłem obok — choć pod nogami czułem grunt niepewny, może trzęsawisko pod kożuchem trawy, wzdrygające się przy każdym stąpieniu. Teraz przypominam sobie — ziemia tam postękiwała pod mną, twarde węzły pisk wydawały pod naciskiem obcasów szukających oparcia na trwałych caliznach — w przelocie miażdżących żywy drobiazg. Jakby się tam mogło cokolwiek rozplenić w zmurszałej ziemi — niewidzialny pomiot, polne parazyty — myszy, szczury, żaby i koniki polne, łyby kameleonów jak skrzydlice przyozdobionych w zielone, trawiaste pejcze. Przez tę sierść wysoką do pasa brnąłem ślepy, depczący coś, co się ukryło w szeleszczącej zielonymi włóknami wyściółce lasu — nade mną bowiem korona nieba zanurzona w czerni kosmosu, drzewo ogromne, a ja się szamoczę w prześwieconym przez gwiazdy listowiu i tak mało wiem o tym, co jest między mną a korzeniem; skąd płyną soki w gałęzie Drzewa, które jest Kosmosem.

Na moich oczach wyszarpięte z łba tej planety zielone włosy odpęzły wstecz, żeby na powrót wślizgnąć się w boleśnie zaognioną cebulkę, w piach, torf, porowatą glebę, między czerwie. Nie wiem, co tam było naprawdę. A więc — co dalej? Nigdy nie byłem dobrym teroretykiem. Ci z moich roczników już wyciągnęli nogi. Osobiście nie postrzegam nadrzędnych zasad, żeby od nich przejść do szczegółów. Zdany jestem na infiltrację podskórną, do raczkowania pionka po szachownicy, na której znaczniejsze figury postradały zęby.

Ruszyłem środkiem plaży.

Z jednej strony kołysały się trawy — wysokie, aż nad nitkowatym grzbietem fali ledwie wystawała baszta starbolta. Po mojej lewej stronie przestwór nie mniej żywy, zwały iskrzącej się piany, którą za dnia słoneczne promienie niemal zupełnie wgniatały pod koloidową membranę. Teraz dopiero, o zmierzchu, odmęt zaczynał się pienieć naprawdę, łytał ocznymi gałkami pęcherzy i płetwami fal zgarniał zwały kryształowej piany. Wreszcie się nadeła, wysoko podniosła białawą grzywę. W głębi oceanu słychać było dudnienie, jakby tabun dzikich koni walił o skały kopytami, jeszcze powstrzymywany odpływem, nad który tylko najbliższe ogiery podrywały spienione pyski. Szedłem po plaży — specjalnie dla mnie otoczakami wyłożonym chodnikiem. Brzeg powoli wykręcał na zachód, aż wreszcie szedłem prosto w słońce, połową tarczy już zanurzone w dymnym zarzewiu, jakby w pożarach — choć nie dociera stamtąd zgiełk bitwy — przez które niepodobna przetyczyć linii horyzontu. Zdawało mi się, że krąg ogromnej gwiazdy z sykiem pogrąży się w oceanie lub ziemię przepala wiśniowym płomieniem. Już nie zachodzące słońce wisiało przede mną, tylko słup pary i pian perlących się, kipiących od ognia, który spaja ziemię i wodę, zszywa je trawą ościstą, to znów wełnistą jak glony. Na wprost bowiem nie było już plaży; choć szedłem jeszcze między ścianami zielonego morza — rozstało się specjalnie dla mnie, na skinienie mojżeszowej laski — żywioł wód jako mur po lewej i po prawej stronie. A ja — środkiem. Siedemdziesiąt pięć kilogramów żywej masy. Społeczeństwo żywych komórek uciśnione w skafandrze. Plus ekwipunek. Tyle, co się zdołało na grzbiecie unieść ze Strefy Systemu — królestwa faraonów.

Już dostrzegałem srebrzysty blask w szczelinie między pianą i zielonkawymi włosami, gdy nagle wydało mi się, że mi powieki opadły na oczy. Ciemność. Pamięć uporczywie szuka w przestrzeni miejsca, gdzie zatrzasnęły się Wrota Kosmosu. Wzrok wrócił i patrzyłem wkoło zdumiony. Nie była to ciemność zupełna, tylko kontrast zbyt nagły, żeby się do niego przyzwyczaić mogły soczewki oczu. Światło istniało, bardziej zielonkawe — jak przystało tutejszemu niebu — bez piekielnego rumieńca ochłodzonego na styku atmosfery, ziemi, wody i kosmosu. Srebrzystoszara zieleń. Bez skazy bodaj jednego obłoku. Od horyzontu wstawała nad ziemią dziwnie srebrzysta opoka.

Nie wiem, co to być mogło. Może promienie gwiazdy zanurzonej pod horyzont zdołały rykoszetem przeniknąć na nocną stronę, prześlizgnęły się przez szczelinę atmosfery i od dołu podświetliły warstwę stygnącego powietrza, a może jakiś rodzaj promieniowania zamknął obwód w szczególnej warstwie powietrza stanowiącej łącze między dniem i nocą, w każdym bądź razie efekt był piorunujący. Nie byłby większy, gdyby całą planetę zamknął w pęcherzu z aluminiowej folii, w srebrnym puzderku — wieko się zatrzasnęło w kufrze obitym blachą, przedtem pochwyciło w pułapkę nieco kwantów. Teraz światło odbijało się od powierzchni ziemi i jeszcze raz — od lustrzanej sfery.

Stałem z zadartą do góry głową i zdawało mi się, że widzę tam siebie — we wklęsłym, gigantycznym zwierciadle. Jakby powierzchnia planety nacięta po obwodzie horyzontu odwinęła się na brzegach od skalnego jądra i skrzyła pusty w środku pęcherz. Tylko tam — wysoko — jedno lustro w drugim — jezioro, a w nim moja odchylona i w dół spoglądająca gęba. Lecz tu i tam nie widać gwiazd. Półmrok, chociaż błędne ognie goreją w gardłach wulkanów, złotymi iskrami przemierzają mroczne krążanki kontynentów, błękitną fosforescencją rozplywają się w oceanach.

Widziałem to wszystko zupełnie inaczej, niż się nam wydało z kosmosu. Opar przesłaniał połowę tego świata, kotłował się, wyrzuszaj masywy gór i jakieś mroczne gąszcza; i coś się tam działo, coś się stawało pod osłoną ciemności, gasiło to znów

ujawniało iskrzenia — jak ławice ryb skręcających się i płonących we wzdętym brzuchu, który powolnymi kurczami wyciskał ze ścian trawienne soki.

We wklęsłym zwierciadle nieba odbijał się obraz tego świata, jakim go nie znałem. I z całą pewnością nie posadziłbym go nigdy o tak zaawansowany impresjonizm.

I nagle — teraz dopiero dotarło do mnie! — zrozumiałem, że przecież naprawdę jestem TUTAJ. Że znowu jestem w tym miejscu, które Horowitz natchnął swoją wiarą. Tu właśnie, jeszcze przed chwilą w skali Kosmosu, ponad martwymi skałami Ułam i ja wyczynialiśmy durne wolty — gdyż trzeba było czas czymś zabić, coś robić w tym punkcie kosmosu, nad którym — jak nad miliardem innych planet — ciążyło przekleństwo martwoty.

Zdawało mi się — przynajmniej tę nadzieję miałem — że to zwierciadło posiada moc igrania z czasem. Może w nim zdołam dostrzec ich i siebie, raz jeszcze — poza pamięcią — w realnym świecie, jacy wtedy byliśmy — jeszcze z zapalem, nadzieją i wiarą, zanim każdy swój wyrok nauczył się przyjmować z pokorą. Krótki jak mgnienie korowód twarzy — Ułam, Yongblod, Van den Berg i Horowitz. Cóż mogą chcieć ode mnie? Żebym się za nich rozliczył? Przed kim? Ich twarze zmieniają rysy, więdną, to znów nasiąkają wodą, żółkną, policzki pudrują zielonym pigmentem — teraz brwi posępne, gniew w oczach, na ustach śmiech Natana — wilgotny i miękki, przejmujący niepojętym dreszczem — poza nim ktoś jeszcze — płeć przełamana czerwienią — zwierciadło pęka na strzępy — tak właśnie — na nitki, pajęczyny srebrne — i krwawy refleks słońca spoza antypodów — jej wargi gorące — pocałunek przez woal Strefy Systemu — ostatni błysk.

Gasnąca iskra to zawsze nadzieja ponownego zmartwychwstania z mroku.

A pod moimi nogami twarda ziemia. Moja szczęśliwa planeta.

I dziwne tylko, że jest mi całkiem obojętne czy tych — z mojej pamięci — starczyło na ofiarę dla tutejszych bogów.

## Tunel

— ...Elf! Elford! Słyszysz mnie?

— Tak. W porządku.

— Widziałeś?

— Trudno było przegapić.

— Tylko tak dalej, a sam uwierzysz, że odkryłeś prawdziwą perelkę kosmosu.

Wzruszyłem ramionami. Łączność radiowa bez zarzutu. I to dobre. Chociaż miałem nadzieję, że mój anioł stróż potrafi się powstrzymać dłużej od głupich uwag.

— Jak to wyglądało z twojej strony? — spytałem.

— Nie najlepiej — westchnął.

— Dlaczego?

— Zwierciadło prawdę ci powie — szepnął, wytrzymał chwilę ciszy, po czym parsknął śmiechem.

A jednak wolałem go takim właśnie, gdy był tylko GŁOSEM. Kiedy nie widzę jego twarzy i pustych oczu, wtedy potrafię z siebie wykrzesać dla niego odrobinę sympatii.

— Zwróciłeś uwagę na łąkę? — zapytałem.

— Ziółka jak ziółka.

Tak, pomyślałem. Też tak sądziłem, zanim mnie magnetyczny szyb wydłubał z drugiego oka w głowicy starbolta. Teraz niezbyt wyobrażałem sobie, kędy będę wracał. Aż się wzdrygnąłem na myśl, że starbolt sterczy w samym środku łączki.



— Kto by pomyślał, że istnieje zielsko, które potrafi się rozplenić w takim tempie — ciągnął Natan. — Na północnym zachodzie mam jak na dłoni kawałek lasu. To wygląda jak splezająca z wyżyn forpoczta tropikalnej dżungli. Zanim nam zgaszono oliwną lampkę, przyjrzałem się temu na maksymalnym zbliżeniu. Piekielny gąszcz.

Coś mnie tknęło w jego sprawozdaniu. Zastanowiłem się, jakie słowo — nie potrafiłem niczego skojarzyć.

— Przełącz polaryzację na ekran noktowizyjny — poleciłem.

— A! — usłyszałem, jak się poruszył w kokonie bioelektrycznych czujników. — A niech to diabli!

— Co widać?

— Wiesz, Elf, że tutaj jest cholernie gorąco?

Rozejrzałem się. Dwie fałdy niemal nawisały nade mną. Ciemny korytarz, tylko u góry cięcie proste jak strzeł — szczelina, przez którą przecieka ciemnozielony zmierzch nieba. Gdybym rozłożył ramiona pewnie bym sięgnął dłońmi z jednej strony grzywy poczerniałych traw, z drugiej wetknąłbym palce w pęcherzyki piany. Spod zielonej ikry wyślizgiwały się czarne języki wody i podpełzały do moich stóp. Tylko na wprost coś się srebrzyło — odwlekałem ten ostatni krok.

— Co widzisz? — powtórzyłem.

— Sam wiesz, jak to wygląda, Elf. Czerwone zarzewie tam, gdzie las. I takie samo nad oceanem. Istna łuna. Tylko trawa... Sapperment!

— Mów!

— Jakby się w niej gnieździły świętojańskie robaczki. Całe gniazda iskier. Roją się jak wszy.

Ciekaw byłem, skąd mu się wzięło to porównanie. Pewnie mu nawet mszyca nie zalaża nigdy za kołnierza, żeby mu possać pierś różową.

— Poruszają się?

— Zdaje się, że tak.

— Nie jesteś pewien?

— Nie! — parsknął gniewnie.

Też racja, pomyślałem. Trudno chcieć od kogoś, żeby mi zdawał sprawozdania z czegoś, o czym sam nie ma pojęcia. I w sumie moja wina, że przed wystawieniem głowy na zewnątrz, ze stanowiska pilota nie rozejrzałem się po okolicy na wszystkie możliwe sposoby. Jedno, co wiem, to że — cokolwiek się wyiska z tego zielska — nie da się zapolować na grubego zwierza. A ono — vice versa.

— Ty coś znalazłeś? — Natan odezwał się po dłuższej chwili milczenia.

Zastanowiłem się nad tym prostym pytaniem, szukając równie prostej odpowiedzi. Zapewne coś znalazłem. Pech w tym, że tego się nie nazwie słowami. Łatwiej będzie z tym, po co tutaj naprawdę przyszedłem. Po coś przecież wylazłem spod skrzydełek starbolta.

To COŚ znajduje się tuż za uchem igielnym, jakie powstało na styku skarpy i kłębow potrzaskującej piany. Już między pasma włosów zaplątały się szklane paciorki — dar synów morza dla tubylców z ładu; brzdęk! — i między warkoczykami rozbłyskuje tęcza. Pęcherzyki gazu eksplodują światłem zaczerpniętym przed zachodem Heliosa.

Powoli szedłem przed siebie.

Nade mną nitki trawy wiły się, garnęły do piany, jakby ramiona wyrzuconego na brzeg ukwiału spodziewały się znaleźć w niej namiastkę wody.

Najpierw zanurzyłem się w pianie po kostki. Potem po pas — tylko ręka powędrowała po rękojeść noża. Musujący przestwór sięgał ramion, a ja szedłem jak zauroczony — do światła, jak do powietrza. Jakby rozkołysane sitowie ślizgało się po szklanym hełmie, czepiało zewnętrznych klamer skafandra — cienkie listki szperały

w powietrzu, aż mnie wyłuskały spomiędzy łodyg — żebym je przestał deptać i nie nadwierał własnego samozaparcia — pękło przede mną ucho igielne.

Stałem na skraju małej zatoczki. Te same, tym razem bardziej rozdęte, pęcherze piany — pewnie wodny roztwór zawierał tu nieco więcej koloidowych cząstek. Znacznie gęstszy. I tym razem prześwietlony na wylot — zamiast połysku na wypukłości cienkich ścianek gęsta masa utkana z okrągłych oczek wielowarstwowo poskładanej sieci — nic nie maskująca, koronkowa narzuta.

Fałdy sieci tylko u podnóża oblepiły tamę ustawioną w poprzek mojej drogi. Wysoko ostro rysował się sklepiony łukiem wierzchołek tego muru. A wszystko promieniowało bladym, trupiobiałym światłem.

Wahałem się tylko chwilę.

Wewnętrzny stok zatoki porastała krótka, szczeciniasta trawa, nie tamte wełniste i ruchliwe frędzle; zacząłem się wspinać na tę skarpe. Coraz wyżej, aż mogłem się wyprostować i z góry zajrzeć we wnętrze zatoczki. Biały mur wynurzał się z oceanu. Mogło być akurat na odwrót — tym nie zaprzątałem sobie głowy. I bardziej był podobny do leciutko jarzącego się walca. Wierzch jego wyślizgiwał się z ziemi w połowie wysokości skarpy, nad plażą przenosił przęsło zawieszony na wysokości trzech metrów, a potem cały masywny korzeń zanurzał się w perlistej kipieli. Z mojego stanowiska wyglądało to jak tunel wychodzący z morza albo się w nim zanurzający. Poza granicą pian widać było wyraźnie, jak fosforyzujące pasmo zanurza się w wodzie, przeświecła ją od seledynu do ciemnej zieleni i długo jeszcze bladą wstęgą majaczy pod powierzchnią morza — daleko od brzegu.

Tak pewnie mógłby wyglądać główny trakt państwa tutejszych atlantów — zanim trzęsienie ziemi czy inny kataklizm uczyniło z ich wyspy dno oceanu i ocalało tylko to jedno łącze między starą i nową ziemią. Państwo atlantów — zakpiłem w duchu. Jakby ktokolwiek taki mógł istnieć tutaj. I — w jednej chwili — gotów się byłem uderzyć w piersi; przed oczyma załśniło mi wspomnienie tamtego drogowskazu — przed progiem Planety — świetlanej katedry wzniesionej na martwym księżycu.

Zacząłem się zbliżać w to miejsce, gdzie grzbiet białego muru zniknął pod powierzchnią ziemi. Ciągnęło mnie, żeby go dotknąć ręką — zanim wezwę Natana. Trzeba mi było dowodu, że ten twór — tak namacalne dla wzroku świadectwo inżynierskiej sztuki — nie rozsypie się w proch przy lada dotknięciu. A przedtem jeszcze coś mi zagra swoją tajemniczą pozytywką, jak tamten kryształowy miraż — ludzacy nas szaleńczą nadzieją Kontaktu.

Grunt był tutaj tłusty, czarny i jednocześnie gruboziarnisty — poruszanie wymagało sporego wysiłku. Trzeba też było baczyć pilnie, żeby na łeb na szyję nie stoczyć się w czarę wypełnioną pienistym odwarem. Wreszcie — jest. Tylko wyciągnąć rękę, gdzie biały korzeń wyrasta z gleby i szuka soków w koloidowym roztworze. Owalny był z wierzchu i nieskazitelnie gładki, niby rurociąg o kilkunastometrowej średnicy.

Dotknąłem — nic się nie stało.

Wyobraziłem sobie, że w tamtym miejscu, gdzie podczas pierwszej wyprawy „Trieda” znajdowało się jego lądowisko i gdzie w ziemię założone zostały pierwsze ziarna, jakieś drzewo miało tam przecież najwięcej czasu, więc się rozrosło aż do takich rozmiarów, żeby zapuścić w podłoże tak potężne korzenie. Sędziwy dąb na skraju puszczy — święte drzewo. Plemiona innych roślin nie muszą odbywać pielgrzymek do Mekki swojego poczęcia, szukając jednego — jedyne go dębu, żeby u podnóża gigantycznego pnia złożyć z siebie ofiarę — jego korzenie są wszędzie.

Sapperment! — jak żółć pękło we mnie przekleństwo zapożyczone w Strefie Systemu — takie coś najłatwiej w krew wejdzie.

Powinienem raz i na zawsze dać spokój z wywlekaniem z podświadomości

wszelkich symbolizmów. Na razie robię wszystko, żeby nabawić się schizofrenii.

Westchnąłem tylko i uważniej zbadałem leciutko wypukłą płaszczyznę. Materiał nie przedstawiał sobą nic niezwykłego — prawdopodobnie matowy kwarc albo inny minerał. Nie miał najmniejszego zamiaru rozsypywać się pod naciskiem moich palców. Może zresztą zabrakło kosmicznych organów, żeby mi akompaniowały nie gorzej od trąb jerychońskich.

Wysłuchałem się uważniej — przez dłoń rozpostartą. Szybko zdjąłem rękawicę — teraz dłoń i palce równie białe jak powierzchnia owego korzenia. Jedna z roślinek już się łasi — do brzuchatego walca lgną korzonki wyrwane z pancерnej tulei. Nie myliłem się — z wierzchu, a może to właśnie ślad impulsów znacznie mocniejszych w głębi, przebiegało słabiutkie drżenie. Czułem mrowienie w opuszkach palców, gdzie biologiczna ochrona odgraniczała mnie najcieńszym nabłonkiem od świata zewnętrznego. Poza tym — to i tak nie mój dotyk bezpośredni. Warstwa biologicznej ochrony posiada własne receptory i transformatory bodźców przekazywanych do komórek dotykowych skóry — słabe drgania wzmacnia, zbyt silne łagodzi.

— Elf! Co z tobą?

Natan nie potrafi utrzymać języka za zębami.

Zresztą — trochę mu współczuję. Ktoś przytroczony do układów sterujących i percepcyjnych starbolta zawsze się czuje trochę jak galernik przykuty do ławy poniżej burty, pod pokładem. Nie wiadomo dokąd i po co się płynie — tylko na rozkaz mocniej nawalić się na drąg wiosła, to znowu popuścić. Wyobrażam sobie, jak on tam się czuje — pod ścisłym pancерzem, wsłepiający się w noktowizyjne płomyki, pilnie nasłuchujący mojego oddechu — a ja się jeszcze nie spieszę dzielić moim odkryciem.

Wiem tyle, że ten obiekt nie powinien być raczej naturalnego pochodzenia. Trudno sobie wyobrazić taki proces minerałotwórczy, który powołał do bytu ten mur — nie mur — korzeń — rurociąg albo zdrowe ścięgno między kością ładu a mięśniem oceanu mozolnie przeczącym biceps — przyplływ — odpływ.

— To niemożliwe — powiedziałem.

— Mów — co? — Natan rzeczywiście musiał się pilnie wsłuchiwać w mój oddech. — Znalazłeś?

— Tak.

Milczał długo.

— Czemu twierdzisz, że to niemożliwe? — zapytał.

Jedna tylko myśl przyszła mi do głowy.

— Natan — powiedziałem. — Czy możesz mi zaręczyć, że kiedy ja wracałem...

W tym czasie nikt ze Strefy Systemu nie skorzystał z podprzestrzennego przeskoku w stronę tej Planety?

Najpierw znów nie słyszałem go długo. Potem w delikatny szelest radiowych zakłóceń przyłączył się jeszcze krótki, rwany oddech i nagle zrozumiałem, że on tam chichocze, śmieje się tam — daleko ode mnie, śmieje się tak szczerze, że — sam uśmiechnąłem się w duchu. Nie musiałem czekać, aż mi odpowie.

— W tym sęk, Elf! — W tym właśnie sęk, że nie! — wykrztusił wreszcie.

Wierzyłem mu. Bardziej niż się tego pewnie spodziewał.

Mogłem się podnieść z ziemi, obrócić na pięcie i odmaszerować. Coś mnie jednak korciło, żeby jeszcze przyłożyć twarz do lekko wybrzuszonej, matowej powierzchni. Zawadzała kula hełmu, ale wystarczyło ograniczyć pole widzenia dłońmi złożonymi z boków, aby uzyskać pożądaną efekt.

Teraz zdawało mi się, że potrafię zajrzeć w głąb muru, przeniknąć wzrokiem jego konsystencję — bardziej przezroczystą tam właśnie, wewnątrz, pod cienką korą powierzchni. Patrzyłem szeroko rozwartymi oczami i byłem pewien, że widzę tam coś — puls powolny, bardziej mozolny od tego drżenia, które uprzednio wyczułem

dłonią. Mój wzrok nie znajdował oparcia — tylko mleczna ślina przepływała w polu widzenia, bardzo powoli, lecz niewidzialny tłok pracował wytrwale, wypompowywał z dna oceanu przezroczyste, żywe, półpłynne leukocyty i przez potężny tunel tłoczył pod czarny garb kontynentu — wreszcie określiłem kierunek. Natan wciąż się śmiał.

Wiedział nie mniej ode mnie. Nie musiał własnymi oczami oglądać tego, po co tutaj przyszedłem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nikt inny — nigdy — nie wylądował na tej Planecie od czasu pierwszej ekspedycji „Trieda”.

## Próba apofenii

Gwałtownie poderwałem głowę.

Przez moment byłem pewien, że kolejny zgęstek przepływający w fosforycznym rurociągu zatrzymał się tuż przed moją twarzą — powstrzymał ruch niby skrzep zaklinowany w tętnicy. I wtedy właśnie — kiedy przestaną mnie nawiedzać duchy?! — wydało mi się, że ktoś patrzy na mnie.

Szarpnąłem się. Teraz nie miałem odwagi, żeby raz jeszcze przyłożyć szklane czoło do matowej powierzchni i sprawdzić czy tamto spostrzeżenie nie było tylko urojeniem zmysłów.

Nie miałem odwagi — tym bardziej czasu.

Zerwałem się na równe nogi. A raczej — ledwie kolana wyrwałem z czarnej, sypkiej gleby — stopy w niej uwięzły, zapadałem się cały. A wokół mnie narastało iskrzenie — nie piany, tym razem okruchy ziemi pęczniały niby nasiona — czarne kule pochłaniające nocną ciemność, wypluwające resztki kwantów, unoszące się niby pęcherzyki kosmicznej przestrzeni — dowód jedności czasu, materii, energii i przestrzeni. I poczułem, że niewidzialne węże okręcają się wokół mojego ciała, krępują nogi i ręce. Już byłem uwięziony w sieci. A wkoło kipiel potworna, bezkształtna — mętna dla zmysłów, pełna westchnień i jęków — wobec duszy wypełniona nie mniejszym zamętem — czarna, ziarnista ikra zlepiona błoną jajowodów — tak bardzo kaloryczna, można z niej ulepić — samemu urodzić! — cokolwiek — tylko WIARY! — żeby się samemu nie roztopić w nicości...

...E-elfo-ord!

Patrzą — patrzą na mnie. Choć nie widać oczu.

Przez lufcik w tunelu i łysinę piachu w rozgarniętym zielsku. Ciemność — jak wzrok — napiera i dławi, można zaprzestać wszelkiego sprzeciwu i pozwolić się ponieść fali — i tak obroni pancerz biologicznej osłony.

Skafander — to komórkowa błona. A przecież tak bardzo pożądasz kontaktu! Sąsiednie komórki szukają dostępu do twojego wnętrza. Czuję, jak coś chce przełamać mój zamknięty krwioobieg, rozłączyć sprzężenie absorpcji i ekskrecji; szeleszczą, czepiają się skafandra pasemka cytoplazmy, giętkie plazmodesmy szukają kontaktu — stopy, brzuch, pierś i co jeszcze? — biegają paluszki, niby glony — listeczki — polectać próbują — cienkie wici i rzęski — czuję, jak z wysiłku pęcznieją kłacza czarnej czarnośći — jeszcze tylko w spolaryzowanej otoczce skafandra energia laserów skręca się — wiruje, wiruje — zawibruje mocniej i odkształci wektor przyłożenia siły — każdej — tylko łaskotliwe drżenie — sam jestem tunelem, przez który odstąpić można — samemu — jeśli starczy siły.

— ...E-e-elf! Odezwij się! — przez trzaski i jazgot dociera głos z innej nicości. — Diabli nadali! Mówiłem, żeby się sam nie szwendał...

Spróbowałem oderwać ramiona przyszyte do tułowia. Beznadziejne — tak samo mnie nie potrafi przeniknąć energia kosmosu, jak ja naprzeciw nie wyciągnę

pseudopodii. I mogę prężyć serwomotory egzoszkieletu wmontowanego w skorupkę moją — nie rozerwę pęt przestrzeni zakładającej na mnie sieć trzech wymiarów — między trzema gwoździami — rozkrzyżowany w nich jestem — wszczepiony, wzdłuż i wzniesiony — a po lewicy łotr jeden i po prawej drugi, żaden z nich nie widzi — żeby uwierzyć albo wyszydzić; na indykatorach nie widać zakłóceń biologicznego rytmu tej komórki zaspawanej w skafander — mogę przyspieszyć puls i oddech, ale choćbym zadzierał głowę: Eloi, Eloi, lama sabachtani?! — nikt mnie nie usłyszy — czas konać, zanim przyjdą połamać golenie — trzeba zamknąć się w sobie, w dłoniach, powiekach i w sierści nastroszonej — wtedy wszystko przycichnie — żywioł we mnie i burza poza mną — głębiej nie rozgniecie, nie uczyni szkody nad tę śmierć łagodną — choćby pająki ciemności — nie mając dość siły, żeby przegryźć gardło i włócznią rozplatać boki — zwłoką na dno i pod kamiennym brzemieniem pozwolą dokonać dni swoich. Jak długo można przetrwać w charakterze spory? Skulić się, zwinąć najciaśniej — niezależnie od haków — zmniejszyć powierzchnię skafandra wystawioną na razy — niech sobie smażą, gotują, poją octem, próbują posiekać — nic nie przebije baterii skafandra naładowanej energią nie mniejszą niż gwiazda; kołyska moja do snu mnie ulula i będę trwał tam, gdzie — sam nie wiem — w odmęcie, który — gdy wszędzie słońce — raz jeszcze zakwitnie łąką i zielone liście w koronie drzewa — w drzeniu osikowych listków zostanie pamięć po mnie...

Elohim! Krzyk sam rwie się z gardła.

Duch łotra dziś we mnie — przez oczy — w stronę kosmosu — wybaw sam siebie i mnie, jeśli ci starczy mocy!

Głos mieszka w piersi i w krtani, do podniebienia przyklejony przylgą — odwołaniem zapuszczony w kiszki, głos ma swój instynkt samozachowawczy — krzyk musi dobiec z siebie, żeby język na zawsze nie zamartwiał:

E-EL-LOOH-HI-I-JES-TE-EM-TU-A-AJ!...

— Trzymaj się, Elf!

Jakie dziwne słowa — we mnie — z zupełnej ciemności.

Przecież mnie wir czarny okręca już w pół drogi do nieba.

Trzymać się — bodaj jeden promień światła na podporę oczu, tak twardym przegubem połączonych z jaźnią. JEST!

Światło od ćmy oddzielone — już tam się staje! Nad mętłem i zamętłem. Powoli obrzmiewa blaskiem — spod ruszonego głazu wychodzi po mnie — ze stóp zwiniętych w dysze tryska strzępiasty płomień. Widzę — przez sieć kolczugi czarnej, przez błonę skrzydeł zwiniętych wkoło mnie — szybciej! — już wiem przecież: mówię, że las masz jak na dłoni — spełza z wyżyn! — kiedy odchodziłem mrocznego lasu nie było w pobliżu starbolta! Wiem na pewno — więc spiesz się, nie żałuj przeciążeń, zanim i ciebie w pleć wtuli powódź natchniona ciemnością.

Płomień wstaje ciężko — piorun kulisty, zanim się w błyskawicę wyciągnie — jakby jeszcze rwać trzeba było liany już przyklejone do kryształowej główki starbolta; czarne o zmroku, za dnia włosy zielone, do pni podobne — sprężyste, chwytne — jeszcze im noc pozwala się ewolucją zachłysnąć — reflekssem szybszym od myśli.

Szybciej! Jakby ci brak było tresury w centryfugach wyżymaczki Strefy Systemu nie ucza wyciskać ostatniej ikry?! Nie żałuj przeciążeń! W górę! Choćbym miał zostać.

Coraz bardziej bezradny, chociaż tam jeszcze grot strzela w niebo, oddziela się od ciemności.

Tylko ja sam — bez szansy wniebowstąpienia. Zmierzch się pode mną rozwiera fosą głęboką — ledwie się nad nią kolebie kładka zwodzonego mostu. Wytrwać. Przecież to tylko dzień pierwszy — ten świat się dopiero tworzy w duszy mojej...

## Elew Natan

Płomień najpierw się skurczył do wymiarów gwiazdy pierwszej wielkości. Teraz rósł na nowo — widziałem wyraźnie, poprzez ciemność nałożoną na mnie splątanymi warstwami — leżałem przygwożdżony do ziemi.

Świetlny lancet celował prosto w moje czoło. Już cienki jęk słyhać było z dysz starbolta plujących plazmą. Coraz celniej — aż zadrzałem — syk się rozległ i oderwały się ode mnie pęcherzyki gazu, powietrzne bąbelki wyduszone z ciemności, która — w jednej chwili ścięta mgiełką. Jakby sparzona. A ogień wciąż tryska piekielnym ukropem. Ciepło poczułem przez moją skorupkę — delikatny podmuch, a więc tam — na zewnątrz — powinien się zagotować i parować piasek.

I nagle zrozumiałem, że on ląduje prosto na mnie! Wsparty na kolumnie odrzutu opuszcza się powoli — i przed oczyma stanęła mi jego twarz straszna, wykrzywiona w pąsowym świetle: „Co chcesz zrobić? — Zabiję go!” Zabije mnie, każdego, kto mu stanie na drodze, a tu — niespodziewana okazja — bez świadków!

Szarpnąłem się z bezsilną wściekłością. Przestrzeń już zaczynała się perlic koło mnie, skwierczała, wywar jakiś bulgotał zagotowany z przerażającą szybkością. A ja — w samym ognisku pożogi. Już trzaskają nade mną jakieś białe główne, dysze starbolta nachylone niby dzwony białych lilii — sypiące żółtym pyłkiem na moje ciało — coraz pełniej obnażoną powabnie. Kielich przechylony tuż nad moją głową — coraz jaśniej — odrzut zdiera ze mnie półprzejrzyste czarne płaty, koronki mętnych witraży — paruje ołów i pękają szklane komórki. Coraz mniej ich, wiążących — bliżej bolesnej światłości, niedługo promień dobierze się do mnie. Test na sprawność biologicznej ochrony! Już kula hełmu ocieka sadzą — polaryzuje się na zewnątrz nieskazitelnym lustrem — żeby promieniowanie nie oślepiło moich oczu.

Ręce! — przecież mam jeszcze nóż w zaciśniętej dłoni.

Jakby popuściły cęgi zwinięte wokół moich ramion — unieść dłoń i ścisnąć, aż do utraty wzroku zgnieść w garści rękojeść noża — jakby zeń można było wycisnąć bodaj kroplę ciężkiej wody — żeby z ostrza strząsnąć.

Nic! Gdzie twoje sztuczki, Synchronmat?

Ciąć trzeba — nic więcej — srebrną klingą zamach szeroki i od dołu w ten brzuch koński, który na polu bitwy uwalił się na mnie i przygniótł do ziemi — ciał! Już mięsna tusza nadwierzona zewnętrznym pożarem, mięso samo odchodzi od kości — kruche, w sam raz — na nóż! Czuję, jak klinga wchodzi głęboko, rwie żyłaste ścięgna i tkanki dygocące z bólu. Mój sztych jest dziecinną igraszką wobec tej tortury, która całe ciało spopiela, zagotowuje tkanki i nad krawędź krateru wyrzuca jałowe strzępy.

Trzeba pomóc — trzeba się samemu na brzuch przewrócić — o tak! Teraz wesprzeć się na łokciach, kolanami o kość twardszą niż głaz, a ty — między nią a odklejoną w tym miejscu tkanką, już z niej skóra spęzła, wyparowały tłuszcze i lancet starbolta przełamał kurcz mięśni zwartych nade mną, powstrzymał dalszą fagocytozę — została tylko cienka chrząstka.

Nogi zaparte w ziemię, plecy pchające w górę ten płat ciemności, jaki jeszcze został między mną i przyszłością. Czuję całym sobą, jak to dygocze, jak się osypuje kruchymi od żaru, tłącymi się wiórami — jeszcze spojone wspólnym pragnieniem — napinają się do granic wytrzymałości materii — teraz wystarczy wstecz ciał nożem — w polu widzenia przelot błękitnej smugi, jakby się ostrze rozświetliło dziwnym ogniem — i ręka przechodzi na wylot, prosto w rozwirowany ośrodek pożaru. Tam — i z powrotem! W mojej dłoni rozpalony do białości brzeszczot — mój nóż błękitną krwią kapiący. Z trzaskiem pękają ostatnie ścięgna i — jestem wolny! Na mgnienie,

kiedy mnie znowu wdławia w grunt siła odrzutu z palnika zawieszzonego nad tym piecem — może wypali mnie choć w porcelanę, jeśli alchemii nie starczy zaklęć, żeby glinę przeistoczyć w złoto.

Trzeba wyczuć odpowiedni moment — zanim pęknie szkliwo — i teraz — o tak! Głową do przodu, na ile pozwala siła nóg i katapulta egzozszkieletu wreszcie dająca upust wszystkim elektromechanicznym ścięgnom.

Skok — lot raczej bez dotykania ziemi — w bok, jeszcze podnosi gorący podmuch. Toczę się, wokół mnie inne płonące główne, dymy szkarłatne, uciekające panicznie w ciemność. Walę się na jej progu. Czarny brzeg krateru — przy uchu słyszę potrzaskiwanie pękającego szkliwa i syczenie gazów dobywających się przez pory i blizny w czarnozielonym kamieniu. Kamień? Jeszcze można odróżnić płatki liści i koronkę gałęzi odcisnięte w kamiennym węglu — sprasowane kłęby roślinnej tkanki, mocniej niż w słojach drewna — na zewnątrz sterczą tylko zwęglone korzonki.

Światło raptem zgasło wokół mnie. Jakbym jeszcze jednym zamachem noża przeciął i to gardło plujące w nas plazmą. Cisza dała się odczuć w uszach bolesnym obrzękiem — choć tak niewiele docierało do mnie, moja skorupka zadbała, żebym nie dosłyszał wszystkiego.

Nogi się pode mną ugięły. Nagle zwolniony od służby egzozszkielet cały worek gnatów upuścił na ziemię.

A tam raz jeszcze iskry trysnęły i grunt stęknął pod naciskiem elektromagnetycznej stopy starbolta. Baszta znieruchomiała nad pogorzeliem. Reszta okruczeństwa ziemi i płonących bryzgów zabębniła o mój hełm i skafander. Zdawało mi się, że ziemia pode mną posiada jeszcze zdolność wyparowywania z siebie resztek wilgoci — płyty tłustej sadzy wolniutko unosiły się w powietrzu, zaćmiewały widoczność.

Wolny byłem. Gdyby tak jeszcze można się było przysłuchać wkoło węchem — we mgłę nasyconą cielesnym odorem, swędem opalanej sierści i flaków przegotowanych dogłębnie, grudek czarnej ziemi zawiniętych w szmatki liści spopielałe zupełnie. Gdzieś już to było — kiedyś było. Choćbym wyteżał pamięć — nie przypominę sobie — w Strefie jakiego Systemu ten piec potworny pochłonął ludzkie członki. Jeszcze przed chwilą czułem ich żywą obecność, tuż koło mnie — zwałonych na jeden stos — zjednoczonych przed samą śmiercią, a każdy przedtem wykorzystany ze swojej ziemi...

O czym ja myślę! — zadrzałem. Czyżbym już zapomniał ten lęk piekielny, który mnie ogarnął w ciemnościach?

Nie wiem! Nie wiem nic — siedzę. I dziękuję Konstruktorom, że im nie starczyło inwencji, żeby skafander zaopatrzyć w zmysły węchu. Brak punktu zaczepienia, który przenika najgłębiej — czystsze ręce. Ulga niewielka — brak węchu, ale nozdrza rozwarte i w nich się objawia przebitka pamięci. Widzę — czyjaś sylwetka przedziera się przez paśowe piekło. Idzie w moją stronę i ramionami rozrywa nitki — węże, które zewsząd na nowo sięgają po swojego mordercę, dyszą mgielną zemstą.

A on — czego chce ode mnie? Jego nogi wzbijają snopy iskier z popiołów, szklanym hełmem przebija przedzę szmat zetlałych w powietrzu, przezroczystych tkanek — martwych, osypujących się siwym prochem. Tymczasem puls ciemności na nowo wraca w odrąbaną głowę, szept wskrzesza umarłe członki i nalot kopciucha otrząsa z korzonków — jeszcze chwila i przyjmie mnie znowu — choćbym się opierał — jak płód przedwczesny przyjmie w swoje łono czarnoskóra dziwka, choćbym się szarpał w inkubatorze — już mruga rzęsą jedyne oko, sferyczną naroślą na nitce białego tunelu; chce mnie przygarnąć w siebie, w płeć na nowo porośłą jedwabistą sierścią i brzuch jęczący czarną chucią, szelestem traw splecionych w jeden węzeł z ponurym szeptem lasu i bełkotem morza — z czymś jeszcze — nie wiem — będę tam —

bezwolny — czyjś ster pokieruje kosmicznym wrakiem — podporządkuje własnej żądzy — niech tam! Jeśli mi wybaczy, że tyle bólu mój nóż przyczynił ciemności.

— A ty — precz ode mnie! Pochyla się jak żuraw.

— Elford?! Co z tobą? Wstawaj, do jasnej cholery! Przyszedłem po ciebie.

Przyszedł tutaj — wylał z dogasającego piekła, nad którym jeszcze króluje baszta starbolta. Nachylił się nade mną — opatulony w nieprzenikliwe dla żaru srebro. W jego oczach błysk zadowolenia — zgniłbyś, zdechł beze mnie!

— Wstawaj! Przecież nie będę się cackał z tobą.

Sam mnie złapał pod pachy i targnął w górę, postawił na nogi. Wszystko wirowało dokoła mojej nieszczęsnej głowy. Byle usztywnić kolana — stoję. Nigdzie nie pójde z tobą.

— A teraz, za mną! — wrzasnął, a kiedy nie ruszyłem z miejsca twarz jego wykrzywioną wściekłością zobaczyłem przed sobą. — Człowieku, mam cię ciągnąć? Nie widzisz, w co żeś wdepnął?

Nagle mnie szarpnął, aż się zatoczyłem, i powłókł ze sobą.

Nogi grzęzły w popiele — coś się w nim żywe zawiązywało wreszcie. Dalej! — krzyczał. Sam piersią rozgarniał ściekające powietrzem męty — i tak mnie taszczył, choć próbowałem nogi zakorzenić w ziemi — przez czarną zamieć cieni — liści — szliśmy przez niewygasły ogień — ześlizgivaliśmy się w czarę krateru rozwartego pod dyszami starbolta — noc nas dopędzała, słyszałem jej szept, pieśczętę za uchem — ciemność wszeteczna miliarda ciał splątanych w jedną formę — jeszcze chwila — odwlec trochę nasz odwrót — może ogarnie i połknie na nowo brzuch wzdęty, nienasycony, który już — już — dopasowywał klucz trawiennych soków do zamków biologicznej ochrony.

Za późno! — już gardło magnetycznego szybu rozwarło w burcie starbolta. Zasysa nas z odległości kilku metrów — teraz tylko się rozluźnić w powietrzu i w kształt aerodynamiczny ułożyć niezależnie od twojej woli — tylko dziwne łkanie we mnie i nie ma nawet czasu, żeby rzucić przez ramię pijane spojrzenie — tam, gdzie białe oko otworzyło się w naszą stronę — zastygłe zdziwieniem — wyprowadzone z tunelu, który jak tętnica wynurza się z praoceanu i na kształt endoskopu zagłębia w innej przestrzeni. Patrzy na mnie. Chciałbym znak jakiś zostawić za sobą — gest ręki — śmieszna próba pożegnania kogoś — czegoś? — komu w najwyższym stopniu obcy jest antropomorfizm.

Coś mną targnęło — śluza — mój anioł stróż twardo trzyma za przegub ręki. Pętla tysiąca tęcz okręca się nam wokół gardła — ostateczna powierzchniowa sterylizacja — jeszcze jedno pchnięcie magnetycznego tłoka. Obydwa ciała — jedno za drugim — bach! — bach! — lądują w objęciach foteli.

Bezwład zupełny — tylko mój Zbawiciel pochyla się nad ekranem, z nasępionymi brwiami wypatruje czegoś. Sam jeszcze czuję ucisk w skroniach i wszystko widzę jak przez mgłę — rycerz w srebrnej zbroi spoziera znad kamiennych blanków w otchłań fosy, gdzie stęka czarcia kipiela, gdzie węzowisko szamocze się bezsilnie — wymknął się zwiad, ale to nic, teraz trzeba pochłonąć, pierwszym szturmem wziąć twierdzę — z prochu i ziemi do pałacowych sal — już musująca mgła ogarnia stabilizatory i podkop sięga pod konchy dysz. Jeszcze chwila.

Natan przy sterach — nagły skurcz ciemności pod nami.

START!

Bezwład wypełniony na nowo ciężarem. Błogie uczucie, kiedy w puste wydmuszki komórek, w podskórne kapilary limfy i krwi nalewa się ołów przywracający poczucie masy i ruchu w przestrzeni. Przyspieszenie wciska w amortyzacyjny kokon. Natan pochylony, skupiony jakiś — jakby można się było mocniej związać z układem sterowania starboltem. Twarz jego blada, palce zapuszczone w mikrokontakty



sterownicze, a ja czuję sobą, całym ciałem, jak tam promień plazmy raz jeszcze spopiela garbatą szturmującą czerń, wypala rozwarłe w niej oko i ze zwyczajnym rykiem dźwiga w kosmos drzazgę obcego ciała — precz stąd, gdzie króluje noc.

Miejsce starbolta — w dokach „Trieda”. Gdzie powinno być moje miejsce? Jeszcze niedawno zamykał się nade mną tajemniczy kurhan. Natan miałby wolną rękę. Po co odwlekać? Przecież wcale nie mam pewności, czy wywlekając mnie stamtąd spełnił zbożny uczynek, czy jestem mu do czegoś potrzebny. Teraz nie ma ze mnie wielkiego pożytku. Pochłania mnie bezwład dziwnej pamięci. Poza szklaną głowicą starbolta przyjęła nas w posiadanie kosmiczna przestrzeń. Rojne wysypisko światła. Czas się zatrzymał — od kiedy gnębi mnie to wrażenie? Wiem — czas stanął w punkcie, gdzie runęła moja nadzieja, katedra wiary zawierająca sumę mądrości wszechobecnego świata, biblioteka wzniesiona na martwym księżycu — strażniku Planety od strony kosmosu. Zostałem tam — na kolanach. I cały czas tak klęczę. Czas we mnie samym zakrzywia pętlę zdarzeń, w które wplątały się moje zmysły skierowane w przestrzeń. Prędzej czy później wrócą do punktu wyjścia. Raz już się zamknął ten cykl — jak eksplozja i powtórny kolaps całego wszechświata — kiedy na dnie księżycowego krateru stanęliśmy z Ułamem, żeby z perspektywy kosmosu ogarnąć Planetę i posłać w jej kierunku szyderstwo GŁOSU.

Wróciłem tam po raz drugi. Jakby dla dopełnienia tej nowej pętli trzeba mi było najpierw zaczerpnąć oddechu w Strefie Systemu i przywlec tu z sobą dwóch łotrów. Może trzeba było tego wszystkiego, żebym kiedyś mógł wreszcie dostąpić wtajemniczenia; albowiem to, czym jest ta Planeta, jak każda inna w kosmosie, zrozumieć można dopiero wtedy, gdy coś w zamian przynosi się z sobą — choćby twarz tamtej dziewczyny — jest ze mną.

Podniosłem wzrok — powieki ciążyły piekielnie. Czułem rozkład dziwny, słabość duszy i ciała, jakbym się nałykał złego powietrza w mrocznej sztolni i myśli — nie moich — jakiegoś szaleńca. Coś kiełkowało we mnie spoza dozwolonych granic, co przez zmysły zdołało okłamać barierę biologicznej ochrony.

Powinienem być wdzięczny Natanowi. Zapewne.

Uniesione spojrzenie znalazło oparcie — w brzuchu „Trieda” pomiędzy gwiazdami. Nasuwał się na nas, a ja patrzyłem zdumiony. Podczas tego pierwszego rekonesansu był moment, kiedy ten powrót znalazł się w strefie zdarzeń nierealnych. Mogłem tam zostać.

Tymczasem przed nami rozwarło się srebrzystomgielne poszycie rybiego brzucha, żeby na powrót przyjąć ikrę — starbolta, na którego pokładzie dwie żywe komórki nie osiągnęły stanu wtajemniczenia w prawa natury, który pozwoliłby im się usamodzielnic i w przestrzeni rozwinąć własne skrzydełka.

Westchnienie powietrza przyjęło nas w słuzach.

Kiedy klin kryształowego włazu przełamał hermetyczność głowicy starbolta — rozłączyłem sworzeń u podstawy hełmu i manipulator Synchronatu odsunął mi sprzed twarzy niepotrzebną przyłbicę.

— Witam w domu — głos bardziej radosny niż wtedy, gdy mnie przywitał po wylegu z konserwy. — Sauna? Prysznic? Sznapsik? A może pomóc z rachunkiem sumienia?

Głos rzeński i pełen optymizmu, jakby się na progu przeżył trochę tylko bezczelny majordomus.

W jednym z monitorów wystawił w naszą stronę czerwony balonik z bubble gum — gdyby to miało poprawić nam humor pewnie by nam ulepił bałwana. Trzask — tylko iskierki zabłyśły w nienaganej polichromii operacyjnego stołu. Jesteśmy zdrowi — można się zabrać do diabła. Natan patrzy na mnie z miłą pobłażliwością i wydyma wargi. Ma w twarzy poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Bardzo jest

ciekaw, co powiem.

A ja — cóż — mam węż przytępiony. Trupi jad. W pamięci paruje swąd ciał zwęglonych na pogorzelisku, skąd udało się wyrwać cząstkę ludzką — zawsze przedstawia realną wartość. Reszta — czort wie, co to było.

— Nic się nie zmieniło — powiedziałem.

Uśmiezek zastygł mu na twarzy — ledwie naprężona skóra od koniuszków warg do oczu. Uśmiech jak przejrzysty woal osłaniający podskórną kanciastość; wystarczy nieostrożny ruch głowy i przepadnie — zdmuchnięty. Pod nim co? Ścisk szczęk przebijający na wierzch skóry drgającymi włókienkami mięśni, a może — tak właśnie — dziwnie kobieca miękkość.

— Tam... — machnąłem ręką w nieokreślonym kierunku. — Jest noc. Twój dzień się skończył.

Ociężale podniosłem się z fotela. Jakoś wygramoliłem się na rampę poza łożyskiem starbolta. Lej magnetycznego szybu otworzył się nade mną — tylko unieść jak do modlitwy złożone dłonie.

— Do zobaczenia — powiedziałem.

A on siedział z poszarzałą twarzą i z nienawiścią w oczach. Czekał, aż mu Synchronat zaproponuje nocleg.

## Dzień drugi

*„Uwięził on w dzbanach dżinny,  
maridy i szejtany, a otwory dzbanów  
pozalewał stopionym łożem i na nim  
odcisnął swą pieczęć”*

*(Księga tysiąca i jednej nocy)*

### Endo

Powierzchnia planety oglądana ze stacjonarnej orbity „Trieda” budziła się z wolna. Siedziałem zapatrzony w ten jeden punkt na sferze planetarium—nawigatorni. Synchronmat zaproponował zabawę i przez pewien czas próbował mnie rozruszać projekcjami Planety w całej rozciągłości widmowej promieniowania elektromagnetycznego — od fal radiowych po promieniowanie gamma.

Nie zobaczyłem nic znaczącego i nic nie rozumiałem. Jakby ostatecznemu rozkładowi uległy granice między powierzchnią globu i jego atmosferą, między czasem, energią, materią i przestrzenią.

Długo próbowałem zajrzeć w otchłań dziwną, wciąż jeszcze przenikającą mnie lękiem czarnych splotów, które się zapęślały, próbowały mnie wdobyć w swą jedność. Jeszcze pojawiał się we mnie refleks niepokojącego drżenia — bardziej zdziwienia niż odrazy, gdy pamięć się odzywała z głębi ciała, jakby palce ciemności zdołały jednak przeniknąć mnie bardziej, niż dopuszczała to biologiczna ochrona. Poza tymi nawrotami ulotnych przyczynków pamięci siedziałem zupełnie obojętny, pogrążony w apatii, jakby również jaźń reagowała osłabieniem woli na zachwianie somatycznej równowagi. Co pewien czas moje oczy rejestrowały znaki Synchronmatu, który cały korpus „Trieda” przeistoczył w gigantyczny, wielozakresowy mikroskop. Tymczasem nic nie potrafiło przeniknąć ciemności. Dziwna, nieprawdopodobnie głęboka noc, której załazek — przypomniałem sobie — wywierał na nas wrażenie już wtedy, gdy z błogą bez troską koczowała tutaj załoga starego „Trieda” — jeszcze w komplecie. Cóż mógłbym powiedzieć o tej nocy, która się przewijała pode mną? Zaręczyć mogę tylko za własne odczucia, a te coś jednak upatrują w doskonałej próżni. Jakby się tam rozlało mętne bajoro bagiennej płycizny. W nim skotłowany muł czarny pochłania światło, wszelki rodzaj promieniowania. Poza tym niepodobna odczytać czegokolwiek, chociaż podświadomość sugeruje spazmy materii deformujące wszystkie możliwe kształty i dążenia.

Nikt z nas nie potrafi zaakceptować sygnałów pochodzących z innej zbiorowości. A przynajmniej — dokonać tego bezboleśnie. Mój świat nazbyt określa moją jaźń. Musiałbym tam pozostać, na dnie zamąconym, poddać się metamorfozom iłów krystalizowanych z żywego planktonu, z moich własnych komórek, które się rozwijają na dymne obłoczki — poza granicą tego, co we mnie, i tego, co poza mną. Może wtedy któryś z procesów przenikających tę ciemność utożsamiałbym ze światem moim i sobą. Jaki jestem — lub być powinienem.

Może się jeszcze trafi okazja. Szans miałem i mam niewiele. Najpewniej biologiczna blokada skafandra przeistoczy mnie w zamkniętą spore, żeby przetrwać mogła moja doczesność. Dla tej cielesności mroczne kazamaty podświadomości są tylko kłopotem. Świadomość budzi się zwykle wtedy, gdy otwierają się oczy. Może mój przetrwalnik przejrziałby znowu dopiero ze świtem wracającym temu światu

utracone formy.

Gdyż powierzchnia tego globu właśnie zdejmuje sen z oczu. Odgarnia pasmo czarnych włosów i — w środku czoła — otwiera się ogromne, szmaragdowe oko — wypełnione świadomością bardziej przyswajalną, jednaką z systemem postrzegalnym przez zmysły, których sumą sam jestem. Dlatego dostrzegam wreszcie białe wykwyty chmur, między które wsącza się najpierw poświata — poślizg zieleni w najwyższych partiach atmosfery. Teraz wzrok sięga górskiego łańcucha — ostrych igieł spiętych półprzezroczystą błoną niby wynurzona ponad atmosferę gigantyczna płetwa. Dalej dżungla wyciska z siebie śluz czarny, ciemność spływa wstecz kapilarami nocy przesycającymi na wietrze i w promieniach słońca. Najpierw się zwężają do cienkości nici, wreszcie tak ulotnych — zbyt ciasnych, żeby przewodzić bodaj odrobinę ciemności. Niedługo pozostanie po nich sieć niedostrzegalna, przenikliwa dla kształtów, jakby w powietrzu zawisa przejrzysta pajęczyna, niedostrzegalna dla oka — misterna koronka pęknieć w ceramicznej polewie, która ubarwia kulę z białej, kaolinowej gliny. Ta kula ogromna wisi przede mną niby fajansowa waza, od strony kosmicznej przestrzeni rozrysowana barwnym podszkliwnym malunkiem, naciekami farby, które zostały zakonserwowane przejrzystą ołowiowo-boraksovą polewą i zapiekły się twardo w promieniach Heliosa. Tylko palacz przesadził z podkładaniem bierwion — polewa spękała od nadmiaru ognia. Turystom można sprzedać. Nie poznać — choćby sami próbowali przeniknąć w płaszczyznę biosfery. Ich oczy nie dostrzegają cienkich nitek pajęczyny frunącej w powietrzu. Dopiero o zmroku ciemność rozsadza zwapniałe tętnice i przez włoskowate kanaliki zaczyna tłoczyć krew czarną ale nie zakrzepłą, pulsującą nieodgadnionym rytmem.

Na noc turyści winni wracać do swojego domu albo przeczekać za rogiem księżycy.

Uczyniłem to — z Natana pomocą.

Teraz ciemność w popłochu pierzchała przed obliczem Heliosa nasepionego magnetycznymi burzami. W polu widzenia Synchronomatu pojawił się pomarszczony jak zasuszone jabłko Pierwszy Księżyc. Wycelował w naszą stronę pogłębione przez mrok studnie kraterów, jakby balistyczne wyrzutnie — przed tysiącem lat wystrzelił pestki z dojrzałego rdzenia — rozsypały się w powszechnej martwocie. Nad okiem Planety przepływa — niby pyłek pod powieką kosmosu — skrzep żwiru pozbawiony zarówno żaru co pleśni.

Na chwilę wstrzymałem oddech, gdy wydało mi się, że ten księżyc znów został naznaczony promieniem katedry wzniesionej na cześć mitycznych Bogów Kosmosu, lecz błysk stokroć szybciej usamodzielniał się od czerwonego sierpu i pałającej czeluści Heliosa — rozpoznałem znajomy kształt starbolta.

Powrót starbolta oznaczał, że już za chwilę nic nie zostanie z nocnych lęków. Pierzchną, jakby i we mnie zasklepiły się zmarszczki nocy. Do głosu dojdą inne blizny.

Teraz już wiem, że nie powinienem był puszczać go samego. Jak on to zrobił?

A zresztą — może dobrze się stało?

Siedziałem wówczas w nawigatorni, zupełnie otepiały, kiedy zjawił się na progu magnetycznego szybu i zapytał, czy może lecieć. Pamiętam, że wzdrygnąłem się na dźwięk jego głosu — zbyt wiele w nim było mojej własnej apatii. Pewnie się domyślał, że nie oczekuję po nim żadnych wyjaśnień. Sam też nie pytał o swoich pobratymców. Musiał im się przyjrzeć po opuszczeniu hibernatora. Może w ich zmartwiałych twarzach wyczytał wystarczająco wiele z tego, co się zdarzyło tutaj przed jego przebudzeniem. Nie wiedziałem tego, ale też nie pytałem o nic. Dlatego i on nie przyszedł, żeby się zwierzać. Po prostu stanął w drzwiach nawigatorni i zapytał — czy wolno mu lecieć. Pamiętam, odparłem, że nie wolno nocą. Nigdy nocą. Pewnie

nie całkiem doszedłem do siebie. Wtedy chyba się uśmiechnął za moimi plecami — ani przez moment nie spuszczałem z oczu nocnej strony Planety wypełnionej hipnotyczną nicością i wszystko postronne dostrzegałem tylko jako odbłyски w szklisto-wklęsłej sferze nawigatorni. Również jego postać.

Więc wydało mi się, że się uśmiechnął i powiedział: „Planeta wokół osi obraca się w ciągu trzydziestu czterech godzin. Teraz jesteśmy w stożku cienia. Mogę lecieć tam, gdzie jest dzień”.

Skinałem wtedy głową — wcale nie zaskoczony tym, że coś tak naiwnie prostego nie przyszło mi do głowy. Potwierdziłem tym jego rację, lecz on ten gest potraktował jako zgodę na samodzielny rekonesans.

Po chwili błysk jego skafandra przepadł w czaszy nieba zwiniętej wkoło mnie, a ja siedziałem nadal nieruchomy. Ze stanu uśpienia nie wybawił mnie również Synchronmat, któremu starczyło inwencji, żeby się zapytać — trochę zdziwionym głosem — czy wolno tamtego puszczać samopas. Nie kojarzę — co odpowiedziałem. W każdym bądź razie zostało to przez Synchronmat przyjęte za zgodę. Tym sposobem mój drugi partner przeleciał się odtajac do reszty na spacerze po nasłonecznionej stronie.

Ostatecznie nie można ich wiecznie prowadzić na postronku. Prędzej czy później muszą się usamodzielnąć. Nie mogę im ciągle patrzeć na rączki. Natan już szkołę pilotażu opanował świetnie. Reszta? — nie przylecieliśmy tu przecież walczyć ze sobą jak hieny pod bokiemy tygrysa. Na to jest znacznie więcej wolnego miejsca w kosmosie. A jeśli nawet ktoś komuś nadeśnie na odcisk — cóż to ma za znaczenie wobec Planety? Zawsze i wszędzie jesteśmy zorganizowani zgodnie z naczelną zasadą ludzkiej natury — wbrew wszelkiej logice. Niech więc i nasze tu poczynania pozostaną zgodne z motywacjami, które Strefę Systemu powołały do bytu w innym punkcie przestrzeni. Nie ma się czego wstydzic. Pytanie zresztą, w którym z nas jest — ostatecznie — najwięcej rozsądku. I pytanie w ogóle czy, aby tutaj zrozumieć cokolwiek, potrzebny jest akurat rozsądek.

Jak dotychczas nie mam powodów do narzekań. Jeden mnie wywlócił z bagienka, gdzie wpadłem przez własną głupotę. Drugi — wracał teraz. To też osiągnięcie ogromne. Mogłem się spodziewać, że skorzysta z okazji, żeby się ostatecznie usamodzielnic. A może wraca nie do mnie? Przecież jest jeszcze ta parka, którą Synchronmat opieczętował na mój rozkaz w dwóch szklanych cylindrach.

W każdym bądź razie — wraca.

Usłyszałem elektroniczną muzykę układów naprowadzania starbolta. Synchronmat radośnie łypnął różowym okiem, kiedy srebrne wrzeciono nawleczone zostało na laserową nitkę pelengatora. Pewnie z wcześniejszych doświadczeń na poligonie FL-Galax został we mnie odruch momentalnego skulenia w oczekiwaniu wstrząsu. Tutaj też Synchronmat czasami sobie pozwala na kaprysy zbędnej nadprzewodliwości — w ramach relaksowania załogi. Tym razem usłyszałem tylko syk po — wietrzą sprężonego w magnetycznym szybie. Potem — wiedziałem, że on już jest.

Stał w tym samym miejscu, co przed odlotem.

Czeka na zaproszenie? — pomyślałem. We wklęsłej sferze ekranu dostrzegłem zarys jego sylwetki nałożony na zieloną reinkarnację kształtów, jaka się dokonywała na powierzchni Planety. Śmiesznie to wyszło — zielona twarz w aureoli zielonego świtu.

Wprawiłem mój fotel w ruch obrotowy i po raz pierwszy na pokładzie „Trieda” stanęliśmy przed sobą twarzą w twarz.

Zamarłem i poczułem gwałtowną suchość w ustach. Daremnie próbowałem znaleźć przyczynę tych hiponoicznych zjawisk we mnie — aż zrozumiałem wreszcie.

Zamknęła się kolejna pętla czasu i przestrzeni — oto znaleźliśmy się w punkcie

wyjścia — naszym punkcie odniesienia, gdzie w wypełnionej półmroczną duchotą sali Interklubu próbowałem go podnieść z posadzki, a on się ocknął nagle i spojrzął na mnie — pyskiem zbitego psa ze śladem przyłożenia pięści na podbródku.

Teraz był właśnie taki — cały, jak stał. Skafander zachował nieskazitelną srebrzystość — tylko formę utracił, jakby wisiał na skulonej postaci. A w nim siły starczyło na tyle, żeby wzrok trzymać prosto — ponad moim ramieniem. Błękitne nitki włosów cienkimi kosmykami spływały mu z czoła — wypukłego, jakby zapomniał zdjąć hełm. Pojąłem — jakby to było możliwe — naprawdę dostał w kość, dostał tak, że się ledwo trzyma na nogach. Do oczu mu spływał pot i twarz cała podobna była do liścia — zmiętego, suchego liścia — który wilgoć odzyskał nad parą — tylko na tyle, żeby nieco wygładzić zmarszczoną tkankę.

Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby jego skafander wart był tyle, co szmelc. Powinny pstrzyć się na nim prostokąty pospiesznie naszytych łat i gumowe naklejki na przestrzelinach dętki, z ramion i piersi mogły spływać do pasa czerwono-brunatne nacieki rdzy — lecz skafander zawsze zachowuje czystość sprzed inicjacji. To tylko nas samych, od środka, zżera rdza — wiem coś o tym — krew w żyłach tężeje jak zawilgły strzelniczy proch — do śmierci można krzesać ogień. Piętą biologicznej ochrony jest nasza ułomna jaźń.

Czyżby ICH natura była nie mniej chrupka? Dlaczego nie.

Dla osiągnięcia doskonałości, w swojej branży, biologiczna ochrona powinna zablokować zmysły. To oczy i uszy utralają w nas ślad pamięci, najpierw na poziomie pierwszym, w korze i układzie limbicznym — jako emocjonalny składnik engramu, potem w głębszych poziomach neuronalnych, aż do osnowy molekularnej. Potem jest czym czknać. Świat odzwierciedla się w nas. Natan się mylił — nie ten człowiek stojący przede mną, lecz PAMIĘĆ to trojański koń każdego z nas.

Jeśli pancerz zawiera w sobie świadomość człowieka. Pozostaje dylemat, czy w takich, jak ten — o zielonej twarzy i żółtych kocich oczach, znajduje się również coś z człowieka. I to pewnie jest najtrudniejsze — ustanowić ciąg kontaktu między człowiekiem i motylem, między motylem i liściem, liściem a korzeniem, korzeniem a glebą, między czarnoziemem a czarnobrewym wampem Strefy Systemu, między Lianą a takim jak ja, kosmicznym wrakiem. Choćby między nami istniały sprzężenia wszystkie naraz. Jeśli tak trudno rozrysować synoptyczną mapę niżów i wyżów, ciepłych i chłodnych prądów określających pogodę między Lianą a mną, między Natanem a mną — czegoż chcę od zielonołuskiej liszki, której brak tylko skrzydeł, żeby lotem ważki ostatecznie pogłębić przestrzeń między nami.

Właśnie tak — zatoczył się i zwałił w fotel jak ważka o podciętych skrzydłach. Usłyszałem jego oddech — świszczący spazm; może szelest trachei, szept skrzeli wywabiających z powietrza tlen — może azot — albo dwutlenek węgla.

— Pełna sprawność starbolta — wesoło zameldował Synchronomat. — Gotowość startowa. Czyja kolejka? A może... panowie pozwolą śniadanko?

Spojrzałem na tego, który przed chwilą ukończył piętnastogodzinny flirt z Planetą. Powinien być głodny. Przecząco pokręcił głową. Pewnie stracił apetyt.

— Dziękujemy — odparłem.

— Trzeba podładować baterie — zaczął swoje Synchronomat.

— Zamknij się.

Obrażony cofnął swoją różową, ślimaczą nibynóżkę na powrót w czarną komorę holowizora.

— No? — powiedziałem w nieokreślonym kierunku.

Milczał.

— Dochodzisz do siebie?

— Tak sędzę.

— Masz mi coś do powiedzenia?

— Nie teraz!

Aż mnie zdumiała gwałtowność, z jaką zareagował. Przynajmniej sądząc po głosie nie było w nim — mimo oznak piekielnego zmęczenia — tej apatii, z którą ja poradzić sobie nie mogłem. A przecież wystarczy dać wolną rękę Synchronatowi — niech sobie użyje akupunkturą lub mniej obcesowo — psychodramą. Pewnie by się nie oparł przyjemności wyświecenia mi przed oczami wyników psychologicznego testu — wykresu mojej aktywności; jak zostało przyjęte przez psychologów — proporcjonalnej do siły moich potrzeb.

Kosmiczny statek to rodzaj „bębna aktywności”, w którym zamknięto badanego szczura. Dogląda pańskie oko Synchronatu. Obroty bębna rejestrują długość drogi przebytej przez zwierzę. Więc rwie do przodu z tym większą energią im dłużej nie dostaje żarcia, im trudniej mu się pozbierać z potrzebą wyładowania seksualnych potrzeb, gna — do wycieńczenia. Zwierzę pożąda tak samo, jak człowiek — tym silniej im dłużej jest niezaspokojone. Człowiek tym lepiej rusza głową, im bardziej narasta w nim głód wiedzy.

Wróciłem tutaj — Planeta w zasięgu ręki. Wystarczy szukać, ryc w ziemi, szarpać i gryźć zielsko, wszereć i wzdłuż pruć atmosferę taranem starbolta — aż do wykończenia. Jak wypruł się ten, któremu na imię Endo. A jednak siedzę i nigdzie mnie nie ciągnie. Moja aktywność jest bliska zeru. Synchronat wie o tym. Niepokoi się pewnie. Tak naprawdę on mnie nie musi obracać w szczurzym bębnie. Świadomość moja to też jeden z rodzajów „klatki aktywności”, z której czyta jak z nut. Jeśli trzeba — jonowa terapia albo dożylna szpryca odpowiedniego rozrusznika i będę niby nowo narodzone dziecko. Nie chcę. Durna przekora samodzielności. Jeśli chciałem być zgodny z tą moją wmawianą naturą samotnika, trzeba tam było zostać, skąd mnie Natan wytaszczył.

Przedtem byłem ciekaw. Szczur gnał przed siebie zziębnięty, toczący z pyska pianę, zgrzytający zębami i nagle — gwałtowne załamanie. Spadek aktywności po operacyjnym usunięciu gruczołów płciowych. Jakby mi Planeta odebrała ikrę. W ułamku ledwie polizanej nocy, kiedy zrozumiałem, że coś się zmieniło koło mnie, że z moim otoczeniem utraciłem dawne związki. Dzisiaj na sobie samym sprawdziłem teorię abiotrofii, która realność obserwowanego świata uzależnia od zapasu energii potencjalnej układu nerwowego wyczerpującej się z upływem życia. Czuję się jak starzec — podmuchem żaru przedwcześnie sparzony liść na cieniutkiej bocznej gałązce Drzewa Kosmosu.

— Chcesz wiedzieć, po co tu jestem — usłyszałem. — Dlaczego nie jestem sam i co jeszcze mam na sumieniu; czy też obchodzi cię wyłącznie to, co znalazłem na powierzchni Planety?

Endo jakby się obudził na nowo. Oprzytomniałym wzrokiem ogarnął nawigatorkę, której pęcherz więził nas w szklanej galerze płynącej w absolutnej, bezwietrznej ciszy. Poprzez przejrzyste dno statku widać zatopiony w kosmicznej głębi skarb — olbrzymi glob perlący się wszystkimi odmianami zieleni, tu i ówdzie napiętnowany sinym wykwitem albo brunatnym krwiakiem.

— Powiniennem wiedzieć wszystko — odparłem.

— Ba! — powiedział. — Któż by tego nie pragnął.

Dziwny był jego głos. Miły. Niby całkiem przeciętny, a jednak — uśmiechnąłem się w duchu — jakby go wcielała w życie innego rodzaju technika niż pracowite rzemiosło naszego języka.

— Obawiam się, że żadna moja odpowiedź nie sprostą twoim wymaganiom — westchnął. — Zresztą, czasami lepiej jest zostać z własnym kłamstwem niż cudzą prawdą.

— Mów.

— Nie zrozumiesz mnie dzisiaj. I, być może, nigdy. To tak, jakbyś chciał pojąć w pełni genealogię obcej rasy. Również jeśli ci pokażę to, co zobaczyłem dzisiaj, będziesz to widział nie tylko przez pryzmat moich oczu.

— Daj spokój. Rozmawiałem o tym z Natanem. Mam na ten temat własne zdanie.

— Że jesteśmy ludźmi? — wydało mi się, że się uśmiechnął do mnie.

— Mniej więcej.

— Za kogo ma nas Natan... nie ma znaczenia — powiedział. — A ty... Co mam ci wytłumaczyć? Czy coś ci powie, jeśli przedstawię tutaj wizję miasta, z którego pochodzę... Nie patrz tak na mnie. Poza tym pamiętam koligacje z retortą. Ale nie o tym chcemy rozmawiać? Tak, Elf, doraźność postaci nic nie znaczy wobec genealogicznego drzewa kultury, jaka ukształtowała naszą psychikę. Moje miasto budowane zostało na podstawie prostokąta obwarowanego murem z surowej cegły, uzbrojonego w strzelnice i baszty. Po obu stronach centralnej ulicy piętrzyły się bloki domów–masywów, w sercu miasta płonął wieczny ogień umieszczony pod dachem świątyni, a ponad okolicę — pylnych takyrów, piaszczystych wzgórz i zaskorupiałych między nimi solnisk — najwyżej wzniesiony był ogromny zamek z trzema basztami, skąd oczy wartowników wypatrywały najazdu koczowniczych hord.

Musiałem mieć niezbyt mądrą minę, kiedy tego słuchałem.

— W tym niedostępnym pałacu o kilku kondygnacjach istniały przepysznie zdobione komnaty, przejścia między nimi pod arkadami, mozaiki posadzek. Przez białe ściany pokoi przepływały błękitne fale, zwichrzone spirale niosące w sobie wizerunki ryb czerwonych i białych, ze wszystkich nisz, alków, z wodotrysków na pałacowych podwórkach spływające do Sali Królów, gdzie pod bajecznym pejzażem ściennych malowideł siedziały posągi z białego marmuru, przedstawiające bogów i arystokrację. Przez tysiące lat swego bezruchu oddawały hołd założycielom starożytnej dynastii...

Spokojnie ciągnął swoje, jakby zapomniał kim i gdzie jesteśmy, i spod współprzymkniętych zielonych powiek dostrzegał tamto miasto fresków i mozaikowych chodników.

— Zastanawiasz się, z której planety pochodzi to miasto? — zapytał nagle.

— Tam, skąd ty.

— Ruiny tego miasta jeszcze się zachowały tam, skąd my wszyscy zjawiliśmy się tutaj. To jedna z legend naszej wspólnej starożytności.

Nie rozumiałem, co może mieć na myśli.

— Jak się nazywa? — zadałem pytanie.

— To jeden z niewielu śladów po umarłej cywilizacji Wielkiego Chozemu.

— Byłeś tam? — znowu głupie pytanie.

— Nie — pokręcił głową. — To pamięć jest we mnie.

— Czyja pamięć?

— Moim przodkiem był czcigodny Darhman, kupiec–banita zamieszkały w odległej Elefantynie na początku jedenastego stulecia przed hidżrą — popatrzył na mnie. — Przed ucieczką Mahometa z Mekki do Medyny... To V wiek przed twoją erą. Potomkowie Darhmana wrócili do ojczyzny, żeby zapoczątkować dynastię chozezmszahów z seniorem Anusz teginem, Kutb ad–Dinem Muhammad Astyzem, II–Arslanem... Nie krew nas łączy, lecz pamięć — ich kultury, ich wiary.

Siedziałem do reszty zdeorientowany. Patrzyłem na jego zielonkawą twarz i żółte, kocie oczy, na postać już nie tak skuloną, suchą i smukłą, kiedy się podniósł i stanął plecami do tarczy Planety wzburzonej powietrznymi wirami. Jakby wpadł w jej objęcia. I mniej czułbym w sobie pustej wesołości, gdyby mi opowiedział swój rodowód wygrzebany spod piasku Marsa czy korzenie genealogicznego drzewa



odsłonięte z nawarstwień krystalizacji skalnych baszt na błękitnej planecie Syriusza.

— Bawi cię to, co mówię? — stwierdził raczej, niż spytał.

Wiedziałem o tym. Dlatego nie chciej, żebym ci tłumaczył, kim jestem. I czego tutaj szukam, ja — sufi, który to, co najważniejsze zawsze nosi w sobie. Jeśli tutaj jestem, pewnie dlatego, gdyż — poza moją filozofią — coś jestem winien dla swojego narodu. Jak każdy z nas. A ja jestem Chorezmijczykiem.

Było mi obojętne, jakich mitomanii dogrzebał się w sobie. Na to mogę splunąć. Jak na status Natana. Ale poza tym wszystkim jestem dowódcą „Trieda”.

Gwałtownym gestem dłoni nie dał mi dojść do słowa.

— Każdy ma swoje problemy — powiedział. — Zaciągnąłem u ciebie dług wdzięczności przynajmniej za to, że uważasz mnie za człowieka. Mniej więcej. W czym innym nie możesz mi pomóc. Ani przeszkodzić.

— Ci dwaj...

— Nie pytaj o tych, którzy są ze mną.

— Nie muszę — zgodziłem się. — Dopóki zostaną pod pieczęcią Synchronmatu. Z całą pewnością potrwa to do powrotu w Strefę Systemu.

— Tak sądzisz? — przeszył mnie krótkim, niesamowitym spojrzeniem. — Gdyby stanął przed tobą człowiek zaszczytowany pogonią i zebrał, żebyś go ukrył... A ty nie miałbyś pewności, kto jest przestępcą, on czy oprawca, który ślad zgubił przed twoim domem — wydałbyś go tym, który przyszedł potem?

— Nie wiem — machnąłem ręką. — Na razie nie odważysz się niczego tknąć ręką bez mojej zgody.

Pokiwał wypukłą czaszką z przeschniętym już, lekkim jak lanugo puszkim niebieskich włosów.

— Odwagi jest we mnie aż nadto — powiedział.

Jakby się zmówili z Natanem, żeby mi grać na nerwach.

— Kłopoty z naszym bezpieczeństwem na pokładzie „Trieda” zostaw mnie i Synchronmatowi — powiedziałem.

Na dźwięk słowa „Synchronmat” roześmiał się miękkim, bardzo ludzkim śmiechem.

— To napawa optymizmem, gdy wolno wierzyć w Opatrzność tak potężną — w jednej chwili przestał się uśmiechać. —

Wystawiłeś więc sobie gwarancję, że między mną a Natanem...

— Każdy jedną dobę.

— To źle — westchnął. — Ale rozumiem twoją sytuację. Dziękuję przynajmniej za tę szansę.

Nie mogłem tego powiedzieć o sobie. On tymczasem blisko podszedł do mnie i wyciągnął rękę.

— Zapomnij, o czym rozmawialiśmy — zaproponował. — Postaram się być grzecznym podkomendnym. Jestem Endo.

Zastanowiłem się, na ile można powiedzieć, żebyśmy się cokolwiek poznali. Jakby istniał ściśle określony wycinek czasu, kiedy można uznać, że coś jeszcze istnieje poza migawką: Elf–Elford i Endo. Ucisnąłem podaną dłoń, suchą i twardą.

— Tylko trzydzieści cztery godziny — powiedziałem.

— Wiem. I postaram się przez ten czas zajmować wyłącznie Planetą.

## Miedziane miasto

Synchronmat dostarczył kryształ zapisu z rejestratorów psychosomatycznych starbolta.

Endo obserwował naszą krzątanicę przy kołpaku tranzytywizatora aż do osadzenia kryształu w czytniku.

To, czego się dowiedziałem od niego zaledwie po kilku zdaniach wreszcie na temat, stawiało wszystko do góry nogami. Nie miało sensu „dogadywanie się”, co też tak nim wstrząsnęło podczas jego pierwszego rekonesansu na powierzchnię Planety. Trzeba to było zobaczyć na własne oczy. Co nie znaczy, że trzeba tam lecieć. Wystarczy skorzystać z matrycy pamięci pierwszego obserwatora, tej dynamicznej, zdjętej bezpośrednio z uaktywnionych, samowzbudzających się neuronowych obwodów korowo–podwzgórzowych; z pamięci jakże czasami różnej od tej, co pozostaje — trwałej, statycznej — kiedy jest po wszystkim. Kiedy, co najwyżej, można się zabrać za redagowanie dziennika podróży albo intymnych wspomnień — w sam raz dla mnie.

Dostrzegłem błady uśmieszek Endo, jakby się przelotnie zbiegły nasze myśli i chwilowe wzbudzenie jakiejś elektromagnetycznej aktywności mózgu pozwoliło nam odczuć ten fakt.

— Elf... — powiedział Endo i uchylił w bok spojrzenie żółtych oczu. — Czy raport z pierwszej wyprawy „Trieda”... Rozumiesz mnie?

Tak, to była szansa. To była ewentualność, którą starał się uwzględnić tak samo jak Natan. Ewentualność mistyfikacji. A jednak nic nie zostało przemilczane, świadomie zatajone ani niedopatrzone. Choćby z prostej przyczyny, że wówczas trudno było znaleźć na całej planecie cokolwiek warte ukrycia. To po prostu od tamtego czasu korzenie Drzewa Kosmosu przepompowały w tę gałąź niejedną porcję świeżych soków.

— Wszystko było prawdą — odparłem.

— Może nie zbadaliście całej Planety?

— Byłem pilotem.

— Wiem. A jednak...

— Nie było tu nikogo przed nami.

— A po was? — spojrzał na mnie bystro.

— O tym wy powinniście wiedzieć więcej w Strefie Systemu. Widziałem jeszcze, jak pokręcił głową. Potem hełm tranzytywizatora oparł się całym ciężarem na moich ramionach. Pozwoliłem się zepchnąć w głąb fotela.

Jeszcze gasnąca świadomość bredziła głosem Endo:

„Pamiętaj, Elf, to nie tylko moje oczy”.

„Co jeszcze?”

Nie dosłyszałem odpowiedzi — byłem tam — palce zakorzenione w bioelektrycznych kontaktach sterów. Przyspieszenie wdusza ciało we wnętrze amortyzacyjnego pęcherza. Trzeba się skulić w sobie. Aby zachować ciągłość tego — co poza oczyma — trzeba się skupić i symulować psychiczną zapaść. Sopor czarny, otchłanny — aby zmylić lancet przeszywający ciało na wskroś, manipulujący cegiełkami genetycznych zapisów. Niewidzialny chirurg chce jeszcze udoskonalić, poszerzyć wachlarz adaptacyjnych zdolności. Kolejna próba świadomości przed jej wymazaniem i całkowitą amnezją. Potem — na nowo. I jeszcze raz! Aż się w pełni wykształci endogenetyczna pamięć nierealnej genealogii.

I pięknie retorta.

Z żywej i nieożywionej materii można się będzie ocknąć wreszcie — z tęsknotą za utraconym bezcielesnym ascetyzmem mnemoniki Strefy Systemu — i ze słowami, które Nasir-i-Chusreau mocno wrył w sercu: „W walce z mocami czasu — ostrym świata mieczem, wiara i nauka wojskiem mym i tarczą”. A poza tym wiersze — jeszcze jeden rodowód, musztra nieskończona — zapis — kasowanie — zapis — kasowanie — zapis — kasowanie — dryl i drenaż, tak długo, aż się organiczna

materia nauczy plastycznej mimikry i matryca pamięci—rozumu—uczuć osiągnie pełną niezależność od FORMY.

Jak teraz. Jeśli chcesz — można ciało odkształcić, wciągnąć zbędne kończyny, zrównoważyć chwiejny rozkład ciężkości w sprężynującym kręgosłupie i obolałych kiszkiach — jeszcze trochę i w amortyzacyjnym pęcherzu zawiąże się KROPLA, doskonałym owalem będzie się wpasowywać w zmienne wektory przeciążeń. Właśnie tak! A przecież — nie powinienem uciekać. Człowiekiem jestem. Nie czas na ostateczne zjednoczenie — tkwią we mnie korzenie Chorasanu — ich mocą ciągle wrastam w żyzną glebę, one mnie prowadzą — złaknione prawdy — do źródła wszelkiej emanacji. Aż dostąpię wtajemniczenia, w sobie samym znajdę Prawdę — gdyż sam jej częścią będę, już poza ziemską genealogią, wtopiony w kroplę al-Hakk, której powierzchniowe parowanie jest naszym Wszechświatem.

Może kres mojej tarika wyznaczy właśnie ten lot.

Trzeba tylko wytrzymać w FORMIE. To nic nie znaczy, że zwarły się zęby, a między żołądkiem i gardłem drga rozciągliwa przestrzeń — jeszcze trochę i skurczy się znowu, tylko trajektoria starbolta zejdzie nad samą powierzchnię Planety.

O tak! Teraz ostre hamowanie.

Jeśli obejrzeć się wstecz — zieloną powierzchnię rozdziela ostry podmuch uderzeniowej fali powietrza — głęboki rozłam poza krzyżem stabilizatorów starbolta. Wyobrażam sobie ten grom — tam, na zewnątrz i w dole. Pnie nie mają tej sprężystości co trawa, pękają naginane do ziemi. Przecież to LAS! Potężna dżungla — korony drzew pływają soczystozielonymi kleksami na brunatnej powierzchni. Pod nią mrok. Uderzeniowa fala rozchyła tę płec deszczowego lasu, rwie parny gąszcz, lecz oczy już uciekają całe kilometry w przód i niepodobna zajrzeć tam, w rozplataną sierść, w poszycie lasu, gdzie może się objawić znowu ceglasta, martwa ziemia, o której tyle napisano w raportach pierwszej wyprawy „Trieda”. Niemożliwe, aby istniał ten las.

Oby Bogowie Kosmosu sprawili, aby było — jak jest. Trzeba zmniejszyć szybkość albo podwyższyć pułap przelotu. Nie zostałem tu zatrudniony jako drwal.

Nie zdążyłem wcielić zamiarów w czyn, gdy nastąpiła nagła zmiana zabarwienia roślinności. Głębokie szczeliny pobiegły w poprzek lotu starbolta — przez mgnienie klifowe urwiska z lustrzanym błyskiem na dnie kanionów, czerwone pionowe uskoki, dalej błękitny pokrowiec, drobnoziarnistość skałowaciałych drzew, wysokogórski mech i nagła mgła.

Palce to ścięgną między mózgiem a dyszami plującymi plazmą. Wyżej! Tuż pod szklanym dnem głowicy starbolta w osłonie mgieł gigantyczna orogeneza wypiętrzyła skalne zręby, ustanowiła tamę na drodze cyrkulacji kontynentalnego powietrza. Teraz wysoki masyw zawracał wilgotne wiatry od strony południowych mórz. Gdyby skrzydła starbolta mogły się rozwinąć w żagle pewnie Latający Holender spłynąłby wstecz na fali odstępujących ciepłych prądów — teraz jeszcze się piał wzwyż, nad urwiska i osypiska piargów wysrebrzone mchami, jeszcze się wrywał nad grań spękaną, gdzie otwierała się czeluść górskich jezior — pogłębiona odbiciem niezwykle tu przezroczystego nieba. Nagle poczułem dreszcz, jakby rzeczywiście ciało zanurzyło się w strefie mroźnej próżni. Pode mną rozpościerał się okrutny pejzaż — świeża blizna kamienia, doskonale naga wobec powszechnej powodzi pleśni, jaka ogarnęła całą Planetę. Niebotyczne góry przebijały resztki chmur postrzępione przez huraganowe wiatry. I kiedy wydało mi się, że mam już za sobą najwyższe partie górskiego masywu, zobaczyłem nagle cień wstający na północy. Nieco na południowy—wschód wyginał się łańcuch potężnych słupów. Patrzyłem zdumiony — doskonale gładkie iglice, niby kolce twardych promieni pługów — najmniej kilkanaście w równym rzędzie i wszystkie wyciągnięte poza atmosferę.

Jakby tam w dole potwór przepływał w mglistej przestrzeni chmurnych pian i grzbietową płetwą ciał powierzchnię zielonkawych wód; smok Jing nurzający się w królestwie chmur, które nad ziemię przenoszą akwaticzną płodność wszelkich wód.

Ciągle patrzyłem przed siebie, jakbym to wszystko potrafił ogarnąć jednym tylko wzrokiem. A tam między szczytami trwającymi na przekór grawitacji zawisło coś przejrzystego i ciemnego zarazem, fioletowa membrana — fałda skóry napiętej między drzewcami dzid zatkniętych w ziemię. I kiedy starbolt przewinał się tuż nad jednym z tych łuków, zrozumiałem, że jest to lód, jak ułamek szyby wstawiony między skalne szprychy. Po prostu lód — półprzezroczysty, nie przyprószony bodaj odrobiną śniegu. Tylko błona nadtopiona gwałtownym wzrostem temperatury i zakrzepła nim lodowiec ostatecznie spłynął w dół.

Tuż nad granią górskiego łańcucha okrutny blask zakręcił mi przed oczyma miliardem tęcz z dziwacznie załamanych i rozszczepionych promieni Heliosa — przez moment byłem tam, gdzie wierzenia pierwotnych ludów zastrzegły wyłączność miejsca dla czysto niebiańskich hierofanii. Moje al-Hakk. Jakby mogło pozostać cokolwiek z istnienia w strefie przepojonej sacrum, w ośrodku tęczowych feerii — tylko przez mgnienie; jak zachłyśnięcie swobodą przestworzy głębszych od kosmosu, z którego przybywamy sami.

Jeszcze ułamek sekundy i starbolt przeskoczył nad łańcuchem fantastycznych zikkuratów. Tylko pokraczne garby niższych gór ciągnęły się długo jeszcze, już ułagodzone, chociaż w oddali wciąż się formowały nowe zębate łańcuchy, czasami przełamane szczelinami przełęcz, przez które ścieka woda — czarna i jakby tłusta, wzdłuż brzegów ciągnąca za sobą pasemka pleśni ledwie dostrzegalnej z wysokości mojego lotu.

Zdałem stery na rzecz autopilota. Sam siedziałem ogłuszony ciszą, z oczyma zahipnotyzowanymi nieustanną metamorfozą horyzontu. Jakbym wierzył, że może się pojawić coś jeszcze wspanialsze nad owe iglice spięte czarnym, przezroczystym lodem.

Pewnie się nigdy nie skończy mój szari'at.

To nastąpiło równie niespodziewanie jak tamto wniebowstąpienie górskiego grzbietu. Tylko tym razem ziemia się przedtem zaogniła ceglastą czerwienią — jakby na potwierdzenie słów Elforda przypisujących tę barwę całej Planecie, jaką była kiedyś. Teraz jej powierzchnia spierzchła zmarszczkami wydm brużdżących równinę rozpostartą po horyzont. Doskonale martwa pustynia. Na granicach świadomości przemknęła myśl — „czyżby w obrębie tej monstrialnej biosfery jednak ocalał rezerwat martwoty?” — i jednocześnie, niby pędy kiełkujące po gwałtownej ulewie, która wszelką wilgoć powietrza wycisnęła nad sercem pustyni, w sinych pasmach rozwarstwiających horyzont na kilkanaście poziomów pojawiło się skupisko nowej zieleni.

Zbliżało się z zawrotną szybkością. Bryły rozsiane daleko od siebie, raptem zwały szeregi o wyraźnej symetrii i piętrzyły się jedne na drugich, coraz wyżej — wierzchołki już godziły prosto w moje oczy. Nagły niepokój zaćmił wszystko dokoła. Jakby raptowne niedokrwienie siatkówki oczu zachwiać mogło ostrością mojego wzroku — zaśmiałem się w duchu; można ustąpić i przestroić wzrok na inne pasmo promieniowania, lecz chcę widzieć tak właśnie, jak teraz — dopóki Elf myśli o mnie: „człowiek” — przez mgłę wyrastają wysokie mury, baszty zawieszane nad czerwoną ziemią, ogromne zwaliska ścian sklepionych wypukłymi czaszami dachów. Dziwnie znajomy kształt — ile w nich projekcji pragnień, a ile realiów? — pode mną opasane warownym murem ruiny Toprak-kała. Z piasków pustyni wynurzające się Miasto. Monolit — niby rozbity na zielone, ostrogranne pąki, a jednocześnie — skąd to wrażenie? — odlany z jednej formy. To Miasto żyje zielonymi błyskami płaszczyzn

zwróconych w stronę Heliosa pod mnogością kątów sugerującą spiętrzenie heksagonalnych kryształów. Może to iskry mrowiące w mikroskopijnych z oddalenia płytkach wyciętych z zielonego kwarcowego szkła, kryjących przezrocza wieżyc i sal pod stropami z chryzoprazu — pod ich osłoną mleczne korytarze w głębi, tunele schodzące do podziemi.

Ręce znowu w kontaktach sterów. Trzeba przełamać trajektorię lotu starbolta — zbyt długo na powierzchni pustyni kreśli cieniem swoją ortodromę, znikąd do nikąd.

Zwrot i powrotny nalot nad Miasto, którego miraż zaczynał już uciekać nawleczony tylko na nitkę błękitnej plazmy — ślad starbolta długo nie rozpraszający się w powietrzu, naładowany energią, wreszcie eksplodujący odpryskami skreślonych elektrycznych ładunków. Teraz leciałem nieco poniżej tylko co przebytej trasy i tuż nade mną, trupa poświata spływając po głowicy starbolta, eksplodowały kuliste pioruny — ostatki plazmy wyzwolonej z dysz starbolta. Spóźnione iskry właśnie opadały nad Miastem, kiedy poprowadziłem starbolta lotem koszącym tuż nad trójzębem baszt wzniesionych nad inne domy, a potem po obwodzie gigantycznego muru — jakbym szukał bramy, której nigdzie nie było. Ostatecznie nie jest mi potrzebna — mogłem lądować na każdym z placów między przysadzistymi kopułami, dostrzegałem je niby tarasy ogrodów między narostami zielonobokich brył, nawet na dnie głębokiej studni między trójkątem trzech najwyższych baszt. A jednak wciąż zawęzałem spiralę, potem znów odwijalem ku obwodnicy muru. Przed moimi oczami w ułamkach sekund przemykały gładkie ściany — pozbawione okien, chociaż u ich podnóża — zdawało mi się — jakbym dostrzegał podcień arkad, przesmyków i pasażów pograżonych w iluzorycznej malachitowej głębi. Szukałem znaku — cokolwiek, co by zaświadczyło, że mój lot syjący z powietrza fajerwerki niebieskich ogni został dostrzeżony przez mieszkańców Miasta, że ich przebudził ryk powietrza rwanego poza barierą dźwięku — nim rozpostarły się szerzej skrzydła stateczników i wyciszony lot planetarnego ładownika poprowadził mnie zupełnie nisko, nieledwie muskając blanki murów. Cała aglomeracja z tej wysokości traciła cechy antycznej architektury, formowała coś do reszty niezrozumiałego, zwieriała się konstrukcją coraz mniej przejrzystą dla oka.

Wreszcie zawiesiłem starbolta tuż nad rozłamem w masywie murów, gdzie dostrzegałem jakby ulicę, może kanał. Coś w rozpadlinie połyskiwało czarne i tłuste, iskrzące się miliardem blaszek rozkruszonej miki, gdzieś tam głęboko rozsypanymi cekinami — zanim je nakryła polewa czarna i jednocześnie przejrzysta. I nagle zrozumiałem — bodaj bym się mylił — że ten kanion wypełnia ta sama zmarzlina, której szklane błony wykrystalizowały się między turniami sięgającymi nad stratosferę. Tak być musi — pomyślałem; to Miasto leży na granicy atmosfery, w strefie wiecznych mrozów, których nie przełamuje najgłębszy oddech Heliosa.

I pojąłem wreszcie, czemu tu dostrzegłem ruiny miasta, które przetrwały upadek Wielkiego Chorezmu — zanim jeszcze uformowały wyraźny masyw nad horyzontem.

Miasto po stronie śmierci.

Gdyż nie jest ważne — ile w tym projekcji moich własnych nadziei, żałośnie hołubionych w duszy; niech to poza mną traci związek z Toprak-kała, miastem i zamkiem osadzonymi na bezbrzeżnych piaskach; niech to się stanie świątynią z Uruk, Troją, moją Vilcabamba. Czymkolwiek jest — to tylko ruiny, pomnik hipotetycznej Lemurii i dni, które przeminęły — pomnik wczorajszych dni Planety.

Już byłem pewien, że nikt z tego Miasta nie wyjdzie mi na spotkanie. A jednak — po chwili wahania — nie odważyłem się lądować w obrębie murów. Przynajmniej tego nie powinienem czynić przed porozumieniem się z Elfordem.

Jeszcze dyspozycja dla autopilota, który manewr lądowania wykona lepiej ode mnie. Lekki mimośród magnetycznej poduszki przechylił starbolta i położył go w

płynny dryf. Jeszcze przewinęły się w dole zręby muru i fosa wypełniona czarnym przezroczem. Tuż za nią obłok pyłu wzbił się powoli. Potem następny pierścień koncentrycznie rozchodzących się fal. Coraz ciaśniejsze kręgi mglistych wzdęc u podstawy starbolta, słabnące ze wzrostem częstotliwości, aż rezonans magnetycznej poduszki stał się niedostrzegalny dla oka. Mogłem się wyzwolić z amortyzacyjnego pęcherza;

Przewrót przez ramię prosto w gardło magnetycznego szybu. Szklany jęk rozwieranych i zatraskiwanych włazów. Po chwili stałem, kłamię — zostałem rzucony na kolana.

Zmieciona z wierzchu łacha czerwonego piasku. Mięśnie nóg nie przywykły jeszcze do ciężenia przekraczającego tamto pamiętne na Poligonie, gdzie każdy Egzul uczy się pogardy dla innych klimatów. Jestem nie tylko człowiekiem — pewnie bym znalazł sprzężenie z zewnętrznym światem dające swobodę zgodną z jego unikalnym wzorcem, lecz bioblokada stanowi doskonałą tarczę wobec sił, które mogłyby mnie natchnąć nadzwyczajną odwagą. Lub zabić. Winienem zachować FORME i antropocentryzm ducha. Więc tylko krótka chwila słabości — nieco inna polaryzacja mięśni i szkieletu: STOJĘ.

Uniosłem się z klęczek jak przystało banicie, który wobec dokonań innych cywilizacji nie wyzbył się dumy z reprezentowania barw Strefy Systemu.

I już w pełni sił poszedłem prosto na mur przegradzający moją drogę do Miasta.

Nie wiem, skąd we mnie pojawiła się wiara, że ten mur potrafię przeniknąć z zewnątrz. Ostatecznie został zbudowany nie po to, żeby zapraszać do korzystania ze starboltów i lądowania z powietrza. Nie jestem ptakiem wracającym do gniazda. Konstruktorzy przykładali wagę do tego muru — jaki jest — więc powinienem się powstrzymać przed wszelką przedwczesną interpretacją. Choćby ten świat był martwy od miliardów lat — jestem nie tylko człowiekiem i coś dla mnie znaczą pragnienia, tabu i wiara tych, których nie znam, być może — nie poznam dzisiaj, lecz którzy istnieją w czasie.

Nie szedłem długo.

Czerwony piasek zaskrzypiał pod stopami niby zmrożony śnieg. Ostrożnie zstąpiłem na kryształową powierzchnię fosy — szkło na płask przykrywające gabłotę na jubilerskiej wystawie; dno wyłożone czarnym ałtąsem, w gęstym suknie złocą się jakieś iskierki, jakby misternie rzeźbione muszelki lub szkieleciki skorupiaków skręcone i wtopione w kryształ. Miejscami od dna odrywały się pęcherzyki powietrza znieruchomiałe w pół drogi do powierzchni, ciągnące za sobą srebrzyste niteczki drobniutkich pereł i złote łańcuszki z ogniwoami zalepionymi żelatynowym pokostem. Jeszcze jakieś pierścienie o zaślepionych oczkach, bransolety, kolie i cienkie ościenie sztyletów. Nie zaglądałem zbyt uważnie w ten świat skuty czarnym lodem. Nie miałem czasu, aby przyklęknąć i pochylić się nad zastygłą tonią. Moje oczy wędrowały wciąż wyżej, gdzie za krawędzią muru otaczającego monstrualną warownię powoli znikają wysokie wieże, ciężkie kopuły i minarety, jakby tam, pod osłoną mrocznego muru, wznosił się Meczet Sidi Oleba zjednoczony ze smukłą geometrią pryzmatów zupełnie obcego architektonicznego stylu. Wszystko tu było wykute z ciemnozielonego malachitu, w którym zmysł jakiś — nie oko — odczytał mikrostrukturę mniej płynną, krystaliczną bardziej, choć nie mniej misterną od rozpoznawalnej przez zmysły człowieka. I mur też był taki — już tylko jego masyw piętrzył się nade mną. Szedłem przytłoczony jego ogromem, pod nawisem ściany wypiętej potwornie, lecz bez jednej rysy. A przecież z lotu ptaka gotów byłem sądzić, że został on wzniesiony z megalitycznych jednak bloków — teraz był gładki i nigdzie śladu ramy, jakby tamte wieże mające jeszcze spoza widnokregu wzniesione zostały ze świadomym szyderstwem, aby niedostępnością serca tajemnicy zadrwić z

pielgrzymą, kiedy już przemierzy wszystkie wertepy gór i wyżyn. Znow się poczułem banitą. Chciałem podjąć marsz wkoło, jeszcze z nadzieją, że odszukam bramę, lecz nogi twardo wrosły w ziemię — byłem pewien, że nie istnieją żadne wrota, tak samo jak nie było zwodzonego mostu nad fosą. Jeśli więc nie ma nigdzie, znaczy — jest wszędzie, jak drzwi prowadzące do poznania Wszechświata.

Zbliżyłem się do podnóża muru. Jego powierzchnia znalazła się w odległości wyciągniętego ramienia.

I nagle wydało mi się, że wiem, skąd zielony odcień na powierzchni kamienia. Coś jak pleśń porastało flanki murów, tak jak przedtem nitkami nacieków piętnowało wieże. Wysokie iglice nakłuły niebo, z którego brzucha wycieka rzadki eter, bardziej nieważki od próżni, lecz istniejący wreszcie namacalnie i przez miliardy lat omywania tej rafy, wytkniętej spod atmosfery, potrafiący naznaczyć misterne zawirowania na powierzchni kamienia, wzory spiralek i rozwiniętych serpentyn, hieroglify kohau rongo-rongo spływające po ziemi ciemnymi to znow wyblakłymi naciekami — nie do odczytania. Prawie byłem pewien, że powierzchnia tego muru została napiętnowana systemem znaków niby runiczny kamień albo gład przydrożny na tybetańskiej ścieżce dla olbrzymów, ma-ni-gdong z tajemniczą modlitewną formułą. Nie jest ważne lokalne zwyrodnienie języka wobec uniwersalnych znaków, które — zamiast zawierać w sobie — określają prawa całego Kosmosu. Ta myśl przeniknęła mnie nagle i wydało mi się, że oto jestem, ja — emir Musa ben Nusajr, któremu nie jest potrzebny tłumacz — rozumiem nie widząc i nie słysząc. To coś ze mnie wypływa, z osadu pamięci i wiary — jak z genetycznej kroniki Chorezmu, którego kultura jest we mnie. I słyszę: „Synu człowieczy, czemu nie pojmujesz, co cię czeka? Twój kielich śmierci już się wypełnił i wkrótce będziesz go musiał wychylić. Zostało ci tylko tyle czasu, żeby dokonać ostatniej próby — postaraj się zrozumieć, gdzie są ci, którzy niegdyś władali tym krajem, gdzie są królowie, którzy niegdyś żyli w Iraku oraz ci, którzy zaludniali Isfahan i krainy Chorasanu, Sind i Hind, tak waleczni, dumni z posiadanej mocy, pełni sławy, którzy podbili Zandzów i Etiopów, a w Nubii krwawo zgnetli bunt. Gdzie są? Zewsząd zniknęli bez śladu. I nie oczekuj, że się dowiesz, co się tutaj w ich grobach mieści — choć zamek był warowny, wysoki, na fundamentach zdolnych udźwignąć najwspanialsze pałace. Zniknęli bez śladu, jakby ich nigdy nie było...”

Coś jeszcze szeptało we mnie — poza mną, jakbym powierzchnią ciała zdolny był odczytać kinetyczną wibrację materii.

„Wiedz, że nie minie ani jeden dzień, aby śmierć nie mówiła ci dzień dobry rano, a dobry wieczór przed nocą... Twój los jest MOIM losem i kiedy się dopełni — wtedy się spotkamy naprawdę...”

Podniosłem ramię i rozpostartą dłonią dotknąłem zielonej, lekko chropowatej powierzchni muru. Rękawica skafandra potrafi wewnętrzną powierzchnią dłoni zwiększać przyczepność i nic się z ręki nie wyslizgnie wbrew twojej woli — więc mur jest niby przykurzone lustro, wystarczy mocno przeciągnąć dłonią, aby ztrzeć śnieź wszelką. Tak właśnie — twardym naciskiem rozpostartej dłoni — z góry w dół! Aż oczy osłepi czerwona blizna, złotymi iskrami brocząca w twardych promieniach Heliosa. I pojmuję niespodziewanie, że Miasto całe i mur dokoła wzniesione zostały jakby z miedzianej blachy. Może głębiej tkwi rdzeń mniej trwały wobec atmosferycznej korozji — ja mam przed sobą tylko jego osłonę, pancerz powleczony zielonkawą z odcieniem błękitu warstwą grynszpanu, który zdrową miedź chroni przed dalszą korozją. Na mojej dłoni stary nalot miedziowych węglanów. Między palcami — lustro.

Chciałem odstąpić przed spojrzeniem baczących oczu pod odsłoniętą patynową firanką. Krwią nabiegłe, żółto-złotawe, zdziwione w głębi miedzianego zwierciadła

— poznałem własne oczy i jednocześnie usłyszałem głos; nie ten, który przed chwilą — teraz z całą pewnością był to już tylko głos mojej pamięci: „Oto twój sąd Boży” — a potem rozgorzało przede mną olbrzymie ognisko i koń czarny pode mną przebudził się zrazu gwałtownym galopem — prosto w ogniową próbę, a skroń uciska złoty hełm Sijawusza. — I przestrzeń zawibrowała. Patrzyłem w płomienne zakłęśnięcie muru, w powierzchnię komórki pochłaniającą pokarm, kiedy zakłęśła, odkształciła w przeciwną stronę dotychczasowe wybrzuszenie obwodnicy Miasta. Miedziana blizna osiągnęła aż przejrzystą czystość, wypiętą niby mydlany pęcherz znów w kierunku zielonych budowli — jeszcze odrobina nieuświadomionego wysiłku, aby wyjść zwycięsko z ordalii — i coś wreszcie pękło.

Stałem plecami do muru. Na wprost Miedziane Miasto rozwierało ciemne przesmyki, piętrzyło niebotyczne gmachy — zakorzenione odbiciem w czarnej szybie nakrywającej przeręble ulic. Mrok i cisza zupełna. Tylko wysoko, gdzie sięgają promienie Heliosa, półmrok rozjaśnia się zielonkawo, niby wieże kościołów i ciężko wzdęte kopuły. Wszystko z miedzianej blachy — ogień kryjące pod patynowym kapturem.

Czasami tylko zielonkawy płomień ześlizgiwał się po krawędzi jakiegoś pryzmatu i sięgał tego poziomu, nad który nie musiałem podnosić wzroku wyzbytego pokory.

Poszedłem tam. To miejsce dobrze utkwilo w mej pamięci, kiedy jako wódz — kapłan wywodzący się od mitycznego Sijawusza pragnąłem wskrzesić wymazany z historii Strefy Systemu, napiętnowany — jak tysiąc innych — chorezmijski rodowód. Po to tu przecież przyszedłem. I KTOŚ wie o tym. Pozwolił mi zajrzeć przez uchyloną furtkę czasu. Przezroczysty mur odkształcił się niby gigantyczna skupiająca soczewka i, przez ułamek sekundy — zanim zostałem tutaj przeniesiony ciałem, wzrok mój określił kierunek. Dostrzegłem powiększenie dziwnego hieroglify osadzone w zielonym zamgleniu, jak znak prakolebki z pieczęci Mohendzo-Daro.

Teraz, wstrzymując oddech, podszedłem do tego miejsca u podnóża niebotycznej ściany.

Dźwięk żaden nie zawtórował moim krokom, żeby pośpiesznym echem uciekać w mroczne zaułki — kryształ czarnego lodu zachował dla siebie odgłosy stąpień. Może to ja nie słyszałem niczego. Jeśli nie uczyniłem tego przedtem, kiedy badałem — jakże pobieżnie! — powierzchnię warownego muru otaczającego Miasto z zewnątrz, przynajmniej teraz powinienem to uczynić i wzrokiem przeniknąć głębiej w punkt tożsamy z wszystkimi innymi. Tego już byłem pewien.

Chciałbym twarz przyłożyć do ściany, gdyby nie przeszkodziła szklana przyłbica hełmu. Jej czoło wsparte o pośniedzią powierzchnię nie przesłoniło światła zdającego się docierać tutaj z wierzchnich, rozrzedzonych warstw atmosfery. Mój wzrok rozróżniał tylko nieregularne plamy, niby wykwitły pleśni ciemniejsze w jednym miejscu, tuż obok rozpełzające się jasnymi żyłkami. A wszystko w jednym tonie — daremnie próbowałem przełamać nieokreśloność tej ogromnej tablicy z wyświetlonym nagle projekcyjnym testem Rorschacha; widziałem tylko jednolitą plamę, niby ogromny liść posiadający jednak wewnętrzną strukturę, podział na elementy składowe komórek, chociaż bez przenikliwej dla oka głębi — odcisk na płaskiej powierzchni, pozbawiony grubości nadruk. I nagle w zielonym upstrzeniu ziaren pochwyliłem jeden — jedyny znajomy fragment. Jeszcze coś, aż się otworzył wachlarz — najtrudniej było rozszyfrować ten pierwszy ułamek, teraz się zazębiały z nim wszystkie sąsiednie, rozrastały dziwnym freskiem, którego treści tak długo nie potrafiłem ogarnąć.

Niby mur pokryty tylko nalotem śniedzi, lecz jej mikrostruktura odcieni ujawnia coraz pełniej rysunek dobrze mi znajomych kształtów, precyzyjnie odcisnięte w łożach żebrowane muszelki, sylwetki krabów zaplątanych w wyrzucone na brzeg kłęby



brunatnic, nieco niżej ziarnisty plankton, jeszcze żywy załazek próchniczej gleby, w niej nitki korzonków uformowane z nacieków patyny. Podnosząc wzrok dostrzegałem, jak się zawiązują przedrośla sporofitów, szerokie wachlarze paproci i szydlasto rozczłonkowane liście skrzypów. Między nimi sierść mszaków przewleczona potężnymi kłęczami korzeni, pod których nawisem czyjaś zastygła w bezruchu obecność, lisi kształt w przyciemnionej norze, skręcony niby płód. Z góry sypiące się liście — liście — liście — jesień zielona, otulająca cienie zwierząt jeszcze wplątane w korzenie, wyzwalające z siebie poroża łosia albo jeszcze megacerosa; pod wyzwolonym z czerepu korzeniem ledwie zarysowana morda z wywiniętą mocno dolną wargą i pośniedziałymi kulkami ocznych gałek — kaprawe powieki ciekną żywicznymi łzami w skudloną sierść innej zwierzyny — wyraźny zarys kociej stopy z poduszeczkami, spod których wysuwają się ostre sierpy — z wierzchu nadruk rozpostartej wazki, frunące lotki klonowych nasion — zatrzymane w locie, pąki kwiatów, ciernie i osty skłębione w gęsty zaczyn, jakby gotowe, aby w piekielnym kotle — alchemicznej retorcie, z liści łopianów, z piołunu i nasienia gorczycy, z pospolitej turzycy wygotować zielne soki, które pielgrzymowi odwykłemu od takiej karmy uderzą do głowy. Jakbym się napił szaleju — z każdego kwiatu, w którego kielich sięgnę wzrokiem. A jest tu wszystko. Trzeba tylko starannie prześledzić inkrustację miedzi; wszystko się w niej zawiązuje fragmentem albo od razu całością. Jeśli się wspiąć na palce nóg można dokładnie doszukać się tam splekanych płatów kory na pniu sękatym, dźwigającym się na podporach korzeni zagłębionych braterskim uściskiem ramion w próchnie innych kształtów. Jeśli jeszcze wyżej uciec wzrokiem — dokąd sięgają promienie Heliosa — na powierzchni kamienia rozkładają się potężne konary, w nich nacieki lian, ptaki z rozdziawionymi dziobami, gniazda jak splecione misternie kolonie epifitów, rojne zamglenia owadów przyklejonych do przeszkody wyrosłej nagle na drodze ich lotu, do miedzianej ściany przygarniającej ochoczo wszystkich mieszkańców lasu, aż znieruchomieją — kropelki wilgoci, które pokryły śniedzią miedzianą zwierciadło.

Patrzyłem osłupiały. Nie mogłem wyobrazić sobie, jak to jest możliwe — nie tylko, że jest jak jest, lecz czemu to wszystko jest mi tak dobrze znane. Przecież dziesiątki świetlnych lat dzielą ten układ od miejsca Kosmosu, któremu przynależy ten zbiór znaków, w Strefie Systemu dawno umarłych, a tutaj dających natchnienie niepojętemu twórcy tych gigantycznych fresków. Wyobraziłem sobie galwanoplastykę na miarę Kosmosu: miedziana katoda zgarnia zielony osad z tajemniczego elektrolitu wypełniającego przestrzeń — jeszcze trochę i wystarczy narosła warstwę oddzielić od sztywnej formy, żeby się kształt każdy wypełnił jak balonik, by ptaki rozłożyły skrzydła i drzewa w istocie zapuściły korzenie w czerwony piasek pustyni. Jeszcze trochę wysiłku, chociaż czasami wydaje mi się, że to bardziej odcisnięte w spągu sylwetki liści i pni karbońskich widłaków, i nic nie zdoła ich wskrzesić — przecież są tylko zarejestrowaną w skale formą, z której już się wykruszył kamienny węgiel albo — sam nie wiem — tajemniczy Rzeźbiarz wyłuskał żywą postać i przy wspólnym rdzeniu zostały tylko miejsca styku. I całe to Miasto jest taką właśnie, pustą w środku blaszaną formą — tożsamą dla wszystkich światów, w którą niepojęty Konstruktor zgarniał pustynie, żeby w piaskownicach planet stawiać swoje babki z piasku — jak Toprak—kała rozsypujące się pod podmuchem czasu, który jest najpotężniejszym z wiatrów, jak kamienne grody tej Planety, które nie zdążyły powstać z ziemi, gdyż komuś znudziła się zabawa i porzucił swoją blaszaną foremkę. Może w tym świecie narodzi się ktoś, kto zdoła ją unieść, dźwigając bodaj skraj, aby swój naród wprowadzić do Ziemi Obiecanej — przecież istnieje tam, pod martwą skorupą — żywe Miasto, chociaż zwierciadła ścian zaparował oddech przewijający się nad masywem zlodowaciałych gór.

Wszystko to stać się może — przecież i „Tried” przyniósł tu tylko parę garści ziaren z seryjnego inseminacyjnego pojemnika. Z tych ziaren nie mogło się ocknąć WSZYSTKO. A jednak było — więcej niż nasze WSZYSTKO. Cóż zresztą wiemy o własnej genealogii. Może tak właśnie być powinno. Może w obcowaniu z Wszechświatem zbyt wcześnie wyzbyliśmy się tego irracjonalnego lęku, który poczułem dopiero tutaj. Jakbym się otarł o tajemnicę motywującą nawet moją tu i teraz obecność — na krawędzi śmierci przepowiedzianej przez tutejszą wyrocznię: „Twój kielich śmierci już się wypełnił”.

A jednak wierzę w przyszłość własną i mojego narodu. Więcej niż wierzę. Ja wiem. Mam w sobie empiryczną pewność — choćby oznaczać miała ofiarną śmierć Sijawusa u podwalin Wielkiego Chorezmu. Dlatego szukam wzrokiem — zbyt wiele jest we mnie człowieka — zamiast w sobie samym upatrywać metafizykę, jeśli istnieje takowa, wyższą od świadomości, która nas — rozumnych wyniosła nad zwierzęta.

Lecz ja — niewolnik empirii — pochylam się niżej, pod poziom korzeni i mszaków, gdzie w mulistym dnie odcisnęły się muszle i szkieleciki mezozoicznych trylobitów sąsiadujące z bladym obrysem ryb, o płetwach ostrych i wachlarzowatych, niepostrzeżenie przekształcających się w pięciopalczaste łapy ichtiostegi — formy przejściowej między światami ryb i płazów; niżej rzadziutkie plamy, klosze polipów i meduz, po których ani jednego śladu nie pozostało w geologicznych pokładach ziemi, obok krzaczaste narosty ukwiałów i gigantyczne madreporowe kolonie i bajeczny świat koralowej rafy ocieniony nitkami krasnorostów o delikatnej budowie — chociaż wzrok nie odczytuje czerwonego odcienia fikoerytryny zdolnej do pochłaniania światła tam, gdzie pod głębsze warstwy wody przenika już tylko niebieska część widma, gdzie języki fal nie wylizują plaży i głębinowej architekturze żywych kształtów nie przeszkadzają powierzchniowe spazmy Oceanu — może się rozrastać delikatną koronką — bardziej fantastyczną tam, tuż nad dnem — gdzie drzemie podświadomość chociaż głowa w chmurach — w kapsule starbolta — z mroków duszy rojnej w symbole i kosmogonie, z największej głębi, która zawsze jest ze mną, salamandry wychodzą na brzeg.

## **Twarzą w twarz**

Zagłębiałem się w uliczki wypełnione zielonkawym mrokiem. Nie wiem, co mnie tam wiodło — jakbym mechanicznie zstępował po obniżającym się dnie Oceanu.

Jeszcze wystarczy unieść głowę, aby na zawrotnych wysokościach, w zwężonych perspektywach studniach dostrzec odbłyски zielonego światła. Aż tutaj zbiegają po kryształowych graniach pośniedziałych bloków — jak świetlne refleksy przebijające listowie w szeroko tam rozpostartym naskalnym rysunku gałęzi.

Ja tymczasem zanurzałem się w cień konarów.

Już na powierzchni ścian, po których błądziłem rękami, nie potrafiłem rozróżnić niczego. Trudno było stwierdzić, czy cokolwiek jeszcze — bodaj akwarelę wyczarowaną jednym pociągnięciem pędzla — żyje ponad dnem, w którego płaszczyźnie sam jestem. Czasami tylko, może w efekcie mojego nieostrożnego poruszenia strącającego patynowy nalot, coś rozbłyskiwało na moment, jakby ze szlamu, wychynęły rybie oczy z podrygującym nad paszczą mamidłem — świecidełkiem. Wkoło mnie pełno było nie kształtów, lecz tej właśnie iluzorycznej bioluminescencji, jej miedzianego echa, dogorywającego powoli, aż wygasło i ono — ostatecznie. Pograżyłem się w zupełną ciemność.

Nie mogła trwać wiecznie — pewnie dlatego szedłem, pozwalając prowadzić się instynktom Egzula szukającego przytułku w najczarniejszym zakątku Kosmosu. I wreszcie, zanim do moich oczu trafiła szarość drżąca, poczułem wyraźnie, że ściany się nagle rozstały przede mną — przestrzeń jakaś otworzyła podwoje. Długo nie szukałem w sobie odwagi, aby je przestąpić. Jeszcze przesunął się w bok załom muru, niby ciężka kurtyna odgraniczająca mnie od właściwej sceny Teatru. Zmrużyłem oczy, chociaż światło ledwie tu mżyło w głębi tak otchłannej, że nie wyzwalała odrobiny zieleni w otaczającej mnie zapadni murów, nic poza delikatną szarością.

Krok jeszcze postąpiłem do przodu. Dziwne uczucie — jakby się na milimetr uniósł miedziany kaptur nasunięty na źrenice zapadłe w najgłębszy oczodół Miasta. Rozchyliły się czarne powieki i czyjś wzrok spoczął na mnie.

Plac ogromny rozwijał się na wszystkie strony. Na jego ciemnych okrainach monolityczne bloki nie zapadały się całym ciężarem w czarną taflę — wydało mi się, że nieznacznej lekkości nadają im łuki arkad i rozplecione coraz cieńszymi strunami ażurowe koronki. W jej podcieniu coś się złociło, coraz żywiej w miarę dziwnie opornej akomodacji oka. Wzrok przenikał majaczącą światłość, odkrywał w niej — pozbawione dźwiękowego podkładu — echa wschodniego bazaru przebudzone w niszach, w namiotach z rozwieszonych, dziwacznie udrapowanych brokatów, z płacht przetykanych złotem i białym srebrem, echa szeleszczące światłem w złotogłowie i przejrzystych pajęczynach–jedwabiach, wysnuwających z ciemności sztandary pochylone nad zwalonymi na stosy iskrami mieczów, tarcz i pozłacanych hełmów — pustych skorupki muszli; widziałem w rubinowym pyłe i w drogocennych naszytnikach zawiązujące się torsy — błękitne pancerze, kolekcje całe indyjskich mieczy, włócznie chattyjskich, chorezmijskich maczug i jeszcze jakichś głowni płonących — bez światła, które się skropiło w misy i puchary z kryształu, w kielichy rżnięte misternie, wysadzone perłami, chłonące wszelką jasność, aż się w nich zagęści na podobieństwo materii, cięższej od ołowiu, rozłupie naczynie i wypłynie wreszcie kroplą ciężkiej wody, ledwie parującą ułamkami fotonów. Światłość szuka oparcia — lgnie do czegoś, co stoi — nieruchome — poza utkanym ze złota kobiercem, osiada na postaciach z hebanu i słoniowej kości, z białego alabastru — postaci lub tylko obrazów. Nie wiem. Światłocień je kształtuje w ciemni, nadaje pozory życia, trwania w kontinuum głębszym niż doczesność.

Chociaż żadnego kształtu nie potrafiłem precyzyjnie określić — oddech zamarł w mej piersi. Chciałem wiedzieć — widzieć jak najwięcej, jakby to cokolwiek pomogło zrozumieć. Lecz oczy widzą coś jeszcze nad sferą pragnienia. Zacząłem pojmować, skąd we mnie to uczucie, że masywy czarnych ścian wrastają w fundament rozczłonkowaną szeroko ażurową osnową; ponad niszami wypełnionymi iskrzeniem jak puste brzuchy perłopławów, nad spojeniem arkad dostrzegłem zadry blach odgiętych do góry, miedziane pokrowce rozerwane na strzępy i potworną siłą zadarte, odchylone jak skrzydła zeszywniałe nad rozprutą konserwą — byle jak najspieszniej odstąpić wnętrza monstualnych budowli.

Nagle zrobiło się jakby jaśniej i z przerażeniem poczułem, że jakaś siła wykręca mi kark. Musiałem się obracać powoli, w stronę lampy, która dotychczas była dla mnie wyłącznie źródłem światła umożliwiającym widzenie w tym milczącym świecie — teraz zdawała się wynurzać z ziemi, bez reszty skupiała moją uwagę unieważniając wszystko, co istniało poza pęcherzem białej poświaty.

Zrozumiałem, że ono rzeczywiście istnieje — źródło światła, niby klosz ogromnej kulistej lampy zapalanej nad tym pustym placem specjalnie na moje życzenie. Kula była naprawdę olbrzymia, biała, lecz wewnątrz przezroczysta. Jej blask budził we mnie dziwne uczucie, niemal hipnotyczny lęk i jednoczesną pokusę — posłusznie postąpiłem krok do przodu. Jeszcze jeden. W ognisku lampy, tam właśnie, gdzie się

powinna zawiązywać jasność, tkwiła nieco ciemniejsza plama, na wpół zakrzepły przezroczysty zgęstek. Nagle w nim dostrzegłem jakieś poruszenie. Nie! — pewnie mnie tylko omamiły zmysły! Nic żywego nie przetrwało w tym martwym, wiecznym mrozem skutym świetle. Choćby z wierzchu przybrany został laurowym wieńcem — to tylko grynszpan, nie pleśń nawet, cóż dopiero liście!

Podszedłem bliżej. Już mogłem dotknąć kuli ręką.

Coś mi zgrzytnęło pod stopą, przeraźliwie cienko, jakbym nastąpił na szklisty okruch — lecz nie opuściłem oczu.

Ktoś patrzył na mnie.

Nie miałem już żadnych wątpliwości — coś pulsowało w żywym zgęstku, coś się przelewało trochę inaczej, niż w ośrodku, w którym zawisł ciemnawy nowotwór. Przedtem nie mogłem wyczuć czyjegoś — wzroku, nie dlatego, że się to spojrzenie nie ogniskowało w obcych oczach — przedtem ja i ten ktoś zafrapowani byliśmy czym innym, jakbyśmy jednocześnie zajrzeli w wypatroszone wnętrza dziwacnych budowli.

Teraz stałem z ręką zawieszoną w pół drogi do wzdętej powierzchni mlecznej kuli.

Pot ze mnie spływał — czułem, ściekał wzdłuż karku, jakby biologiczna ochrona utraciła zdolność dalszej asymilacji nadwyżek wilgoci, jakby bio-blokada potrafiła zamrzeć nie gorzej od ciała.

Stałem — nie wiem jak długo. Czas rozwarstwiał się centrycznymi falami świadomości rodzącej myśli i przesuwającej je na peryferie pamięci. Silnej woli starczało mi tylko na to, żeby stać w miejscu. To coś, co swój wzrok ze studni skrzyżowało z moim, z pewnością nie spodziewało się zastać tutaj dwunożnego kuriozum — teraz niepoohamowana żądza, dzika żarłoczność i ciekawość jakby mi sparzyły twarz. Nie potrafiłem się oprzeć hipnotycznej pokusie, żeby bez reszty poddać się przenikliwości tego spojrzenia — całym ciałem przytulić się do kuli, przycisnąć mocno roślinną tkankę spłaszczoną na szkle przed mikroskopem i modlić się tak żarliwie, aż nadprzyrodzona osmoza pozwoli mi przeniknąć do wnętrza tego oka.

Nie potrafiłem opuścić powiek na własne, szeroko rozwarte oczy. Musiałem patrzeć — ciemnią oka do innej ciemni — jaźnią do jaźni — i kiedy już nic mnie nie mogło zatrzymać, gdy pękały postronki nerwów i wiedziałem, że za chwilę runę twarzą do przodu — to COŚ też zadrżało.

Zachwiałem się. Ledwie opanowałem zawrót głowy, lecz ta oznaka fizycznego istnienia również po tamtej stronie, poza siłą wzroku, pozwoliła mi na moment uwolnić się z więzów, przynajmniej na tyle, żeby poruszyć oczyma tak długo skierowanymi ślepo przed siebie. I wtedy dostrzegłem, że tamten zgęstek rozpląszczył się — do mnie zwrócony ostrą krawędzią — i uniósł się pod górne wybrzuszenie kuli. Z bolesnym wysiłkiem woli opuściłem wzrok. Spód kuli pogłębiony był otworem studni i właśnie ponad jej krawędź wypływało coś jeszcze — zgęstek bliźniaczy z tym, który był przedtem. Wypełzał powoli, najpierw niby do góry zmierzająca gęsta kropla, potem rozpostarł się w spowalniającym ruchu koloidowym roztworze — kielich meduzy, jakby chciał mną dopełnić własną wakuolę — wzrok poczułem jeszcze silniejszy, już nie miało znaczenia, gdzie ja sam mam skierowane oczy.

Pewnie dlatego zdołałem je opuścić niżej.

Zrozumiałem, że tylko przypadkiem moje stopy trafiały dotąd na równą powierzchnię. Płyta czarnego marmuru była tu, w środku placu, jakby rozerwana potwornym wybuchem. Lodowe bryły walały się wkoło i biała kula wyrastała z ich stosu, ze zbiegu szczelin w splekanej posadzce. Biały korzeń Drzewa—Kosmosu rozsadził twardą polepę, żeby przez otwór wycisnąć ogromną bulwę, białe oko z innego świata zaglądające w stęchłe kazamaty opuszczonego zamczyska.

Wyobraziłem sobie siłę, która w tym miejscu przebiła skorupę Planety, i nagle zrozumiałem, że jeszcze się nie skończyły ordalia Sijawusza, że trwać będą dopóty, aż wychylę swój kielich — i strach mnie ogarnął potworny — nie mogę już teraz! Ponad tętentem serca i perystaltyką układu bioadaptacji, który daremnie próbował rozsadzić osłonę bioblokady, jak ten korzeń — od wewnątrz ziarna, w tym świecie milczenia i mroku usłyszałem ryk straszny, z piszczał—trachei—żeber puszczony w moje własne gardło — krzyk obcy, jakbym już dostrzegł morderców nasłanych przez Afrasijaba — i wyciągam ramiona przeciw światłu dwóch źrenic pływających w tym oku cyklopa — skrzydła moje — płetwy — tarcze biologicznej ochrony — członki uwieszone w ludzkiej formie — i czuję opętańczy kołowrót — i lecę w objęcia piersi przyjmującej mnie potwornym ciśnieniem — niby kamienny grot kuszańskiej strzały składam pierwotną otchłan mroku w jeszcze pulsujące serce...

## W cieniu

Siedziałem obwisły w amortyzacyjnym pęcherzu. Tępy wzrok utkwilem w nieokreślony punkt przestrzeni — między gwiazdami.

— ...Nie wiem, jak stamtąd wyszedłem — mówił Endo. — Pamiętam tylko, że byłem doszczętnie rozbity. Sam wiesz. A najgorsze, że do teraz nie potrafię wytłumaczyć sobie, czemu to stanowiło dla mnie tak wielkie przeżycie. W tym coś jest, że trzeba specjalnych okoliczności, aby z nas samych, z tajemnych głębin jaźni magiczne salamandry wypełzały na powierzchnię świadomości... niby kości prehistorycznych jaszczurów odsłonięte spod nawarstwień ziemi...

Nie wiem, jak długo Endo ciągnie swój monolog.

Na moich kolanach spoczywa masywny kask tranzytywizatora. Nie ochłonałem jeszcze. Nawigatornię „Trieda” wypełnia półmrok zielony, jakby statek dostał się w pułapkę ogromnego liścia, który mrówki tkaczki zwinęły i brzegi zszyły larwianą przędzą.

— Przecież musi istnieć logiczne wytłumaczenie. To była tylko garść nasion rzuconych w martwą glebę — głos Endo dociera jak spoza muru głośniejszej intonacji poszczególnych słów. — Leciałem nad dżunglą. Nie wyobrażasz sobie jej przepychu. Wystarczyło mi to, co zobaczyłem z pokładu starbolta, żeby mi odebrało ochotę do zrozumienia jeszcze czegokolwiek. To znaczy — nie tak, nie lękam się, lecz jest z tym trochę tak jak z człowiekiem; aby pojąć czym jest, trzeba zrozumieć — jak powstał...

Planeta z wolna przesuwawała się w polu widzenia Synchronatu. Ogromna, zielona kula, jakby i ona na powierzchnię przestrzeni przebiła się z innego kosmosu. Z praatomu nie uznającego wewnętrznej próżni. Po tej stronie zawiązał się więc pęk, jeszcze w osłonie łądów, pod wpływem promieni Heliosa parujący lepкими sokami mórz, aż poprzez puchową aureolę chmur ledwie dostrzegam czarne nitki rzek i wszechogarniającą zieleń lasów, stepów i podbiegunowej tajgi, gdzie drzewa pewnie wyrastają spod ciemnej krystalicznej zmarzliny.

Powinienem tam lecieć. Przynajmniej po tym, czego się dowiedziałem od Endo. A jednak nie mam odwagi. Odwlekam decyzję. Chociaż powinienem coś sprawdzić właśnie na tej, dziennej półkuli. Wcale nie tam, gdzie monstualna regresja kształtów nieprzeniknioną czernią nakryła Miedziane Miasto.

Chciałbym raz jeszcze wylądować w miejscu, skąd mnie przemocą wyrwał Natan — za co winien zaskarbić mą dozoną wdzięczność. Powinienem przynajmniej poszukać pokrewieństwa między białym tunelem a kulą odkrytą przez Endo.

— Jak sądzisz — zapytałem. — Czym lub kim jest to, co tam spotkałeś?

— Żywe istoty — odparł po prostu.

— Istoty?

— Nie powiedziałem, że rozumne — zastrzegł się. — Nic na ten temat nie wiem. To jest coś... bardzo od nas odmienne.

Pomyślałem, że on to mówi — ten, który został stworzony, aby przystosowywać się do każdego warunków. Egzul. Banita wyrzucony poza nawias ludzkiego gatunku. Każdego gatunku. I to właśnie stanowi o sile przetrwania takich, jak on.,

Oświetlenie nawigatorni było wybitnie, wręcz gustownie dobrane do karnacji jego twarzy — okrągłej z wąskim podbródkiem, błękitnym grzebykiem włosów i ogromnymi, lekko skośnymi oczami. Ich żółta fosforescencja stanowiła jeden żywy efekt w smutnej, ascetycznej twarzy. Czułem się jak w akwarium.

— Jaki jest ich związek z Miastem? — zapytałem.

— Żaden — odparł szybko. — Nie większy niż nasz.

— Tak? — zaskoczył mnie pewnością tego twierdzenia.

— Nie mogłeś tego odebrać — powiedział tonem jakby usprawiedliwienia. — Teraz mi to dopiero przyszło do głowy. Mam wrażenie, jakby moja i ich obecność w tamtym miejscu miały ze sobą coś bardzo wspólnego.

— Ciekawość? — domyśliłem się.

Skinął głową.

— A więc i inteligencja — powiedziałem.

— Nie wiem — zastanowił się. — Czuję to tak, jakbym się tam na moment odłączył od pilotowanej przez przewodnika wycieczki. Sam w gigantycznym muzeum. Błąkałem się w labiryntach sal i korytarzy, aż zapomniano o mnie i wygaszono wszystkie światła. Zostałem sam. W wypełnionych ciemnością krużgankach, gdzie z całą pewnością wiszą na ścianach płótna ogromnych obrazów, tylko ja ich nie mogę odczytać. Moim wzrokiem nie potrafię przeniknąć tam, gdzie pod pancerną szybą stoją posągi — arcydzieła sztuki pozostawione przez wymarłą cywilizację. Tylko ja nie umiem zajrzeć pod osłonę gablot pokrytych śnieżką, we wnętrza postawionych na sztorc sarkofagów — aby ich zawartość ożywić własnym wzrokiem. Idę po omacku. Aż mnie jasność postawionego w czarnej komnacie kaganka zaprowadzi tam, gdzie ktoś spróbował tego dokonać...

— Łomem prując miedziane blachy — powiedziałem.

— Próbował, jak umiał.

— Oczywiście — westchnąłem. — Strefa Systemu też pewnie rozwija przemysł turystyczny. Jeszcze osiągnie ten poziom organizacyjno-techniczny, kiedy można będzie zajrzeć do każdego kąta.

Popatrzył na mnie uważnie.

— Pewnie tak — zgodził się z namysłem. — Każdy bez trudu zajrzy do piramidy Tutenchamona, wzrokiem popieści Ukrzyżowanie nad ołtarzem werońskiej katedry, pod Ścianą Płaczu uroni łezkę, uśmiechnie się do Bodhisattwy z kwiatkiem, przed progiem meczetu zdejmie sandały...

Przynajmniej tym razem rozumieliśmy się znakomicie.

— A gdzie prawdziwi budowniczcy? — zapytałem.

— Naturalna ewolucja wszystkich prowadzi w ślepe uliczki — odparł. — Każdy gatunek to już taki właśnie ślepy zaułek. Ewolucję biosfery można sobie przedstawić jako osiowy pień palmy. Składa się z wielu mocnych włókien, lecz poszczególne gatunki oddzielają się od głównego pnia, żeby zeschnąć i opaść poza właściwym kierunkiem. A tam już się zawiązują nowe liście. Nadchodzi czas istot obdarzonych rozumem, które potrafią sobie uświadomić ułomność roli, jaką mamy do odegrania w ewolucji całej biosfery. Prawdziwy rozum polega więc na prostej filozofii pogodzenia

się z losem. Trzeba umieć wybrać ten moment, kiedy jest się już niepotrzebnym. I umieć odejść. Samemu. Ustupując miejsca tak samo dla całych gatunków, jak czynimy to wobec własnych pokoleń. Co najwyżej można nieśmiertelności poszukać w kosmosie. Co uczyniły rozumne istoty tej Planety.

Spojrzałem na niego zdumiony bardziej, niż gdyby mi zademonstrował szkarłatnym wykwitem pigmentacji skóry wszechstronność swojej mimikry.

— Ty... wierzysz w to, co mówisz? — zapytałem.

— Z pewnością moja wiara ciaśniejsza jest od słów, które w niej chciałbym zmieścić — powiedział i uśmiechnął się do mnie, nie mniej serdecznie niż Natan.

A więc, pomyślałem, jest jeszcze jedna, zasadnicza przyczyna, czemu nie mogłem się od razu otrząsnąć z tamtej dziwacznej wizji pozyskanej za pomocą tranzytywizatora. Wszystkie zapisy cudzych zmysłów, jakie zdążyłem przejrzeć w Strefie Systemu, były relacją ludzkiej psychiki. Tu wystąpiło coś jeszcze. Poza charakterystyczną dla Endo demonomanią przekonałem się prawie, że musiało w nim być coś z Chorezmijczyka — jeśli może istnieć taka absurdalna genealogia.

— Chciałbym cię o coś prosić — powiedziałem i spróbowałem dobrać odpowiednie słowa. — Rozumiem, że zostaliście obdarzeni pamięcią kultury stworzonej przez wymarłe narody Ziemi...

— Nie — zaprzeczył gwałtownie. — Nie tylko takie. Potem uczynił ręką gest, jakby coś zgarnął z powietrza i mocno zacisnął w garści. Jakby kogoś chwycił za gardło.

— Natan wspominał coś o proroku Tolkenie... — powiedziałem.

Nagle zeszywniał. Jakby się teraz dopiero ocknął z głębokiego transu, który wykorzystałem zadając pytanie-tabu.

— Umówiliśmy się — powiedział głuchym głosem. — Tylko to.

Wskazującym palcem wymierzył prosto w spochmurniały zupełnie zielonobrunatny glob.

Nie upierałem się. Nie mogłem od razu liczyć na ich otwartość. Każdy ma coś, co pragnie zachować wyłącznie dla siebie. Ewentualnie dla siebie podobnych. Natan i Endo to nie Ułam, Yongblod czy Van den Berg. Chociaż tym, czego sam pragnę, nie podzieliłbym się nawet z żadnym z nich. Tak samo, jak Natan ze mną.

Endo ma rację. Nie próbujmy tutaj rozdrapywać nietutejsze rany. Ważna jest Planeta. Taka, jaką w nas stwarza każdy jej nowy dzień. Nigdy nie posiadałem sprytu dobrego filozofa, a tutaj — gotów jestem ręczyć za to głową — tego nam właśnie potrzeba. Dystansu. Wystarczyły dwa lądowania. Trzy — jedno ze sto lat temu. Tylko trzy lądowania, a wystarczyło na bagaż wątpliwości, który żadnemu z nas nie pozwoli ruszyć się z miejsca. Czuję się niby marny pływak, którego wir powoli wciąga pod powierzchnię wody, a on jeszcze rozkłada ramiona, rzuca nogami, byle chwycić łyk powietrza — łyk świadomości. We mnie jej zabrakło zupełnie.

A przecież wiem doskonale, że nic do rzeczy nie ma tutaj mistyka, o którą tak skwapliwie gotów jestem posądzać Endo. Jakbym był mniej grzeszny. Realność tego świata zgodna jest z tą samą empirią, która od paru godzin uciska głodem moje puste kiszki. Umysł spala więcej tlenu i kalorii niż mięśnie. Nic nie robię, a jednak jestem głodny. Widocznie intensywnie myślę. Żal, że tak mało wiem o tym. Miedziane miasto jest nie mniej realne niż senność dająca mi się we znaki i lęk, który z pewnością długo jeszcze nie pozwoli zasnąć. Boję się lecieć tam, gdzie białe ścięgono łączy ocean z ziemią.

Przed wszystkim tkwi we mnie lęk przed nocą, która i tym razem może mnie tam zaskoczyć. Mój samozachowawczy instynkt chciałby mnie uchronić od tego uczucia, kiedy się przestrzeń jakby marszczy dokoła, pęka ciemnymi rysami, przez które przebija ciemność bardziej ślepa od nocy, i barwy się kruszą, kształty się złuszcza

sprzed oczu i siebie samego zdaje się rwać na strzępy — gdyby nie drutowanie bio-blokady scalające gliniany garnek czerepu.

Nigdy więcej nocą. Dziwna to nauka, która precyzuje formułę zakazu tym mocniej, im więcej czasu upływa od chwili, gdy w laboratorium zmierzchu poczułem się jak doświadczalny królik.

Tam właśnie, gdzie już zieleń butwieje sierpem z jednej strony. Tylko „Tried” zatknięty na stacjonarnej orbicie długo jeszcze będzie się nurzał w pełnym świetle Heliosa. Zanim wejdzie w stożek cienia. Lecz i tak próżnia kosmosu zneutralizuje tę noc, która niby pług odkrywający czarnoziem steruje płodozmianem na powierzchni Planety. Noc się tam już przesuwa powoli. — Noc — można by na jej konto stracić jedną czy drugą automatyczną sondę. Przyjdzie czas — polecą. Wróci — dobrze. Nie — Synchronmat wstawi sobie plombę.

Nie wiem, czy potrafię zasnąć. Zbyt wiele we mnie karmy do trawienia. Sen trawi na swój sposób. Trzeba przynajmniej spróbować. Jutro potrzebne będą świeże siły. Zresztą — spodziewam się — Natan zadba o mobilizację na całym froncie. Zamiast biernie przedstawiać skojarzenia i fakty — na jutro plan przewiduje działanie. Natan to człowiek czynu. Ciekaw jestem, czy w ogóle, a jeśli — to na jaki sposób, rozkleiłoby go spotkanie, jakim nas przyjęto w Miedzianym Mieście.

— Powiem ci coś, co z pewnością nie ma ze sprawą większego związku — odezwał się Endo. — A jednak, tak sędzę, trzeba nam skojarzeń na miarę absurdalności tego Miasta. Inaczej nigdy nie wypłyniemy na czyste wody.

— Nie tłumacz się. Mów.

— Wiesz już, że orientuję się trochę w naszej prehistorii. To, o czym ci opowiem, to też dawne czasy. Chodzi o pierwotnych mieszkańców Ameryki Północnej. Indianie zamieszkujący północno—zachodnie wybrzeża kontynentu rzeźbili w rosnących drzewach, niejako żywcem przemieniając je w słupy totemowe. To były pomniki zmarłych. Misterna rzeźba obrazowała dzieje danego klanu, historię rodziny, odpowiednie znaki symbolizowały jej społeczny status. Jednej rodziny. I cały pień od podstawy po najwyższe partie pokryty był wizerunkami postaci, które odeszły z tego świata. Postaciami przynależnymi do jednej rodziny — podkreślił z naciskiem.

Uśmiechnąłem się sennie.

— Słupy totemowe? — powtórzyłem. — Coś sobie przypominam. Wbrew utartym poglądom nie miały związków z żadną religijną mistyką.

— Tego też nie twierdzą — powiedział Endo. Przypomniałem sobie tamte trzy wieże, niemal sięgające kosmicznej przestrzeni, od wierzchołka do podstawy rozrysowane freskiem z grynszpanu.

Wszystko to nie było warte nawet splunięcia w ucho Synchronmatu. Zmierchało już w nawigatorni. Jeszcze blask gwiazdy rozwodniony w wąskim pierścieniu górnych warstw atmosfery — reszta już pogrążona w mroku i cień Planety nasuwa się na nas, jakby czarne skrzydła próbowały otulić kryształowe jajo „Trieda”.

Spojrzałem na chronometr Synchronmatu. Potem zepchnąłem z kolan spiłowaną kulę tranzytywizatora. Podchwycił ją usłużny manipulator i upchnął na właściwe miejsce.

Podniosłem się.

— Czas na nas — powiedziałem.

— Lecisz? — zapytał Endo.

— Nie bardzo — pokręciłem głową. — Chociaż czort wie, co się przyśni. Tobie proponuję to samo.

— Tylko nieco głębiej — dopowiedział z uśmiechem. Nie sądziłem, żeby miał do mnie jakieś pretensje o to.

— Właśnie — powiedziałem. — Pozdrów przez szybkę swoich chłopców.



— Chłopców? — zerknął na mnie rozbawiony. — Przynajmniej w jednym powinieneś dopatrzeć się bardziej subtelnych hormonów.

— Tak? — zdziwiłem się szczerze. — Nie zauważyłem. Powiadasz, że do rozkręcenia interesu potrzebna jest przynajmniej jedna para kanarków?

Wydało mi się, że pobałdł na twarzy.

— Zresztą, jakie to ma znaczenie — machnąłem ręką. — Dobranoc. Niech ci Synchronat zanuci elektroniczną kołysankę.

Odwróciłem się do niego plecami. Dobrze, jeśli kończy się tak właśnie — z odrobiną dobrego humoru. Nie miałem zamiaru czekać, aż Synchronat załatwi go pod szklane wieczko. Mimo wszystko człowiek czuje się głupio w roli żandarma. Poza tym — cokolwiek nas czeka — komuś trzeba wierzyć. Że nie zwariować. Reszty dopilnuje Synchronat.

Podszedłem do drzwi.

Jeszcze ostatnie spojrzenie przez ramię — może się przyśni drabina jestestw bardziej realna do totemowych słupów.

Planeta wisiała przed „Triedem” ogromna, pogrążona w nocy, lecz ja daremnie chciałem z niej przenieść w pamięć ostatnią pieczęć. Nigdy i nigdzie przedtem nie widziałem równie mrocznego oblicza, ani przed jednym ze światów, o których grawitacyjne kołyski przychodziło obijać boki. Ten glob zgasi po prostu. Poświaty gwiazd nie starczyło, żeby bodaj zaznaczyć wypukłość. Po prostu czarna tarcza, obwiedziona ledwie zarysowaną aureolą rozjaśnionych warstw atmosfery.

Czarny krąg — niby wylot studni, zupełnie innej niż ta, która w płomieniu gwiazd otwiera labirynt tuneli, poza grawitacyjnym polem galaktyki, prowadzących do najdalszych zakątków kosmosu.

Ten tunel otwierał się w przeciwną stronę. Czy może istnieć jeszcze jedna, być może — trzecia strona?

Wyszedłem.

## Dzień trzeci

*„Moc nieograniczonej materii, która może przyjąć wszelką formę, ogranicza się do jednego gatunku.”*

*(Giordano Bruno)*

### Z czaszką w ręku

Kiedy wyrzutnie „Trieda” wypłyły w przestrzeń dwa starbolty, słyszałem jeszcze: „Sam fakt dyferencjacji płciowej określa poczucie niebezpieczeństwa w związku kobiety i mężczyzny”.

Swojego starbolta Natan prowadził po nitce laserowego pelengu zaledwie w odległości kilkuset metrów ode mnie. Dopóki steruje autopilot sprzężony z Synchronmatem, można sobie pozwolić na zwiezły szyk i odpowiednią brawurę. W słuchawkach słyszałem ciągle podzwonne naszej dyskusji, która rozłaziła się w szwach od samego początku. Od chwili gdy zobaczyłem, jak rycerz stroi się przed zapakowaniem w skafander z biologiczną ochroną. Tym razem miał na to sporo czasu.

Tym razem również jego kabina przeistoczyła się raczej w pałacową komnatę; ściany udrapowane misternie różowym atłasem, ułożonym w fałdy — przypominające mi osobiście mózgową korę. Posadzka wyłożona puszystym dywanem, w głębi zamglenia jedwabnych pasm splecionych nad wytwornym łóżem — lit à la Dauphine w całej okazałości, jeszcze jakieś szafki z mnóstwem maleńkich szufladek, ogromne lustro, przez które można było po prostu przejść, czując na twarzy tylko podmuch zjonizowanego powietrza, i ocknąć się w jakimś cielesnie różowym kłębowisku, przez który przenikał wir orzeźwiająco-wilgotnego oddechu i zdejmował z powiek resztkę snu i zmęczenia. Ten próg przestąpiłem tylko jedną nogą. Wycofałem się nie zaspokoiwszy w pełni ciekawości, a on mi się cały czas przyglądał — wyszczerzony radośnie, rozwalony w koronkach swego legowiska, nawet nie próbujący okryć nagości. Nie miałem odwagi opuścić wzroku na jego płeć, dziwnie bladą poza polem ostrego widzenia, jakbym się tam spodziewał czort wie jakich odchyień od mojej paleolitycznej normy. Wyczuł to moje skrępowanie poczęte jeszcze w Strefie Systemu. Tylko śmiał się ze mnie, kiedy tak sterczałem pod ścianą przestronnej komnaty — byłej celi, zanim się przeistoczyła w gniazdo coraz to modyfikujące wewnętrzną przylepność — barwy, zapach, natężenie światła. Nie wiem, czy potrafiłbym tutaj zasnąć.

Kiedy mu powiedziałem, że czas na nas, zaczął się wreszcie ubierać — białe skarpetki, bielizna cieńsza od muślinu, ażurowy podkoszulek — nie, żeby przewiewniej było — gdzieś trzeba przetknąć elektroniczne czujniki i biotroniczne rozruszniki. Wymuskany był, jakby się wybierał na randkę z księżniczką zaklętą w sercu Miedzianego Miasta, włosy puszyste, ciało promieniujące energią po elektrostatycznym masażu, pachnące, jakby go różowe łąпки nałożone na manipulatory Synchronmatu namaściły balsamem i wonne olejki wklepały w pośladki.

Trochę zauroczony tym całym misterium czekałem na progu kabiny, kiedy się oblekał w ten uwodzicielski rynsztunek. Parę też razy wetknął pod pachę jakąś nie znaną mi błyskotkę, to znów do krtani przykleił srebrną nitkę, gdzie mnie w grdykę uwiera standardowy laryngofon. Już chciałem zapytać, czy zdążył pełną garścią zaczerpnąć z tajnego arsenału, kiedy ze zręcznością iluzjonisty błysnął w palcach

srebrzystą siateczką. Potem bez słowa włożył na głowę plecionkę z kółeczek niewiele cięższych od jedwabiu. Jego czarne włosy przylgły do czaszki, jakby przyprószone siwizną, tylko z rzadka przeniknęły przez oczka i, kiedy się wyprostowały, z tą rzadziutką, przejrzystą pod światło aureolką wyglądał niby ciemnowłosy brat Endo — to samo lanugo na wzdętym czerepie. I podobnie jak Endo nie spieszył się z usprawiedliwieniami. Ubierał się dalej, a na mnie patrzył wyzywająco i jeszcze pozwalał na żarty: „Ktedy elegant z plemienia Arunta pragnął zniewolić upatrzoną samicę nakładał na głowę czilare, wybieloną eukaliptusową korą opaskę z wełny kangura euro. Przedtem jeszcze wymawiał stosowne zakłęcie i tak mógł się wreszcie ukazać oczom wybranki, aby poczuła do niego nieodparty pociąg i nocą wstąpiła do jego szafasu...”

Tyle zapamiętałem z tego, co wtedy powiedział. Potem każdy wpakował się do swojego starbolta, żeby tym razem zachować swobodę poczynić, po czym „Tried” wystrzelił nas w stronę naszej wybranki. Kiedy się odwróciłem, żeby przez kryształową głowicę starbolta poszukać twarzy Natana w pocisku mknącym w ślad za mną, gotów byłem przysiąc, że uśmiech nie zniknął z jego gładkiego lica — leciał jak na umówione spotkanie, z błyskiem w oku niby uwodziciel spieszący na schadzkę do tajemniczej kurtyzany. O czym mówiliśmy jeszcze? Prawda: „... Taka jest między nami różnica. To już nie dyferencjacja płci, która ekspresję przeciwieństw rozładowuje w miłosnym akcie. My i oni to dwa odrębne gatunki o tych samych potrzebach ekologicznych. Współistnieć z Endo to znaczy podgryzać gałązki na tej samej wysokości drzewa. Wolę konkretny podział na szczury i żyrafy”.

„Zasada konkurencyjnego wykluczania?”

„Jeszcze w twojej prehistorii eksperymentalnie potwierdzona przez niejakiego Gausa. Dzisiaj odnosi się zarówno do roślin i zwierząt, jak do ludzi”.

„Nie przypuszczałem, że Strefa Systemu jest szkołą tak wyśmienitych erudytów. Zauważyłem, że również Endo jest mocny w biologii”.

„Zbieg okoliczności”.

„Nie sądzę”.

„I masz słuszność”.

Tak ucinął każdą rozmowę. Odnosiłem wrażenie, że traktuje mnie ze sporą dozą pobłażliwości. Pozwala mi się upewnić, że przy zielonym stoliku Planety zasiadłem do gry w pokera naprzeciw zręcznego szulera. Wiem o tym — to fakt. Lecz ciągle się nie domyślam, na czym polega jego szalbierstwo. I jeszcze obnosi swój hermafrodytyzm. Ma na ten temat własną filozofię z utopijną wizją człowieka przyszłości. Dla większej błyskotliwości sięga do ewangelii Tomasza i cytuje słowa Jezusa: „Kiedy staniecie się dwojgiem w jednym i kiedy będziecie tym w środku, czym z pozoru i tym z pozoru, czym w środku, i tym u góry, czym u dołu! I jeśli staniecie się w jednym mężem i niewiastą, tak aby mąż nie był mężem a niewiasta — niewiastą, natenczas wejdziecie do Królestwa”. Może wtedy też dostąpię wtajemniczenia w zawiłości Strefy Systemu. Nie przypuszczałem, że zagadkę mojego gatunku przyjdzie mi rozwiązywać tak daleko od Ziemi. Gdyż przyszłość homo sapiens z każdym krokiem moich penetracji kosmosu niespodziewanie staje się moją teraźniejszością. Ciekaw jestem, kim będzie ten, który przyjdzie do mnie, wyciągnie rękę Wielkiego Animisty — jakim jest społeczna i biologiczna ewolucja — i będę musiał podjąć grę. Od początku nie do mnie należał wybór. Nie ja kompletowałem załogę „Trieda”. Cóż obchodzi Wielkiego Animistę, że wcale nie chciałem siadać do gry, której stawką nie są bynajmniej tajemnice tej Planety, lecz jak najbardziej ziemską genealogia.

Co daje mi prawo twierdzić, że zagadka kosmosu zlokalizowana na tej tak niedawno martwej jeszcze Planecie, nie jest ściśle związana z przyszłością mojego

gatunku? To przecież, co rejestrują moje oczy jest wybitnie ziemskim pejzażem. I nie nie znaczy, jeśli sam Wielki Animista nie poświęca wystarczającej uwagi peryferiom kosmosu. Jego szalony sługa — lokalny kacyk — zabełtał czas na swój sposób i nieco pomieszał chronologię epok.

Siedzę tutaj i czekam.

Jeszcze pamięcią połączony z przestrzenią, skąd w fajerwerku kulistych piorunów wypatrywałem miejsca na lądowisko starbolta, siedzę na ułamku granitowej ściany. Czerwona żagiew tonie w zielonym osoczku nieba — za moimi plecami. Już mi tyłek zdrewniał od twardego głazu — sprytnie dobrany fotel do poczekalni przed drzwiami gabinetu, w którym urzęduje Wielki Animista Kosmosu. Rządzi sprawiedliwie i każdą istotę tego świata obdarza duszą i rozumem. Tylko mnie przetrzymuje w poczekalni. Mnie i ten kamień — niezbyt wygodny. Pewnie niewidzialny sekretarz liczy ciągle, że stracę cierpliwość i odejdę stąd zanim mnie wezwą na zabieg.

Mnie i ten kamień.

Poza nami wszystko już podniesione do rangi bóstw. W łodygach traw, w korzeniach i liściach płynie boski napój. Z kielichów kwiatów łyknąć można nektaru z gwarancją użyteczności bijącą na łeb przereklamowane źródła Żywej Wody. A jednak nie pochylę się i pąsowych płatków nie dotknę wargami. Tak samo, jak oczy nie potrafią pochwycić lotnego pyłku strącanego z motyli skrzydeł, kiedy się otwierają tęczą w pustym przed chwilą powietrzu i zatraskują ponownie — bez śladu.

Jeśli nie można smakiem czy węchem, trzeba przynajmniej — dla zabicia czasu — myślał ucześcić się czegoś, poprzez oczy, zanim nad horyzontem pojawi się wreszcie punkt świetlny — przez moment niezidentyfikowany w tej przestrzeni obiekt — i wyrznie w ziemię, aby przede mną ucieleśnić przezroczyste wrzeczono starbolta — miniaturkę „Trieda”. Jedna już stoi nie opodal. Nie odchodziłem daleko. Dla mnie wystarczy, jeśli w zasięgu ręki znajdzie się bodaj jeden liść, kwiat, badył, korzeń sękaty. Natan był bardziej niecierpliwy: „Aby uwierzyć trzeba zajrzeć tam” — powiedział i wskazał zakłęśły w mgłach, brudnozielony horyzont.

Jakby tam można było odkryć coś jeszcze. Bardziej nieprawdopodobne od tego, do czego się tutaj przylepiłem wzrokiem, jak ślimaczą nogą.

„Zaczekam tutaj” — odparłem wtedy.

Skąd się we mnie wzięła ascetyczna formuła poznania, negująca konieczność rozwiązywania zagadek Natury w miliardzie drzew splecionych w węzeł tropikalnej dżungli, na rzecz kontemplacji opadłego listowia. Z pewnością prawa Natury istnieją w skali, którą operować można tylko posługując się cyrklem starbolta, jak i w każdym liściu — jeśli go rozetrzeć w palcach i powąchać, w którego blaszce obejrzeć można misterną osnowę komórek osadzonych w zielonym witrażu — jeśli się go podniesie przed oko Heliosa. Dobrze też jest wziąć opłatek na język i possać zieloną miazgę między zębami, aby posmakować krew Jego i ciało. Trzeba też wyciąć cieniutki nabłonek, odpowiednio spreparować, co trzeba podkreślić barwiczką — potem wetknąć pod mikroskop. A jeszcze lepiej — zacząć od podstaw. Wyjść z nasion. I obserwować fazy rozwoju. W skali biosfery nie pomoże nawet cyrkiel starbolta, właściwe przybliżenie uzyskuje się dopiero dzięki relatywistyce czasu między tą Planetą a Strefą Systemu. Wszystko się potoczyło pomyślnie w tamtą stronę, kiedy wracałem. Teraz „Tried” zbyt szybko przeskoczył w grawitacyjnym tunelu. Epoka zmieniła metody pracy, tylko ja powłóczę zbędną nogą — sobą samym między Natanem i Endo — rażno kroczącymi szcudłami. Bo cóż mam począć? Dać ziarno Synchronatowi — niech przełknie, rozgryzie genetyczny zapis, a potem uraczy oczy moje holowizyjnym spektaklem — aż w nawigatorni „Trieda” zakwitnie jakaś orchidea, żywcem wyrwana z gleby tej Planety stanhopeia wielkooka — wystarczy sięgnąć ręką, by pochwycić powietrze. Chyba że nie doceniam Synchronatu — z

pewnością ujawni swą przebiegłość przynajmniej na tyle, żeby wstrzyknąć w powietrze porcję odpowiednich perfum. Będzie można zapachu szukać w pustej dłoni. Jeśli się chce, żeby wszystko przebiegało na najwyższym poziomie sensualnej perfekcji, najlepiej od razu wcisnąć na głowę hełm tranzytywizatora. Prędeż tam znajdę wymodelowany z talentem smak i zapach niż tutaj, gdzie przytaszczyłem ze sobą karcer biologicznej ochrony.

W takim pancerzu najłatwiej przyjąć pozę Myśliciela. Może kamień, na którym siedzę, też coś wie na ten temat.

U moich stóp wala się jeszcze kupka zielonego śmiecia. Wszystko, co z powrotem nie wrosło w ziemię. Może androginia Natana przez moment przeważała na stronę płci nadobnej — chciał mi na odchodne wręczyć miłosny bukiet; potem się tylko przyjrzał zielsku trzymanemu w garści, cisnął o ziemię i poszedł do swojego starbolta, któremu w locie nie wadzą zbyt przybliżenia. Teraz spoglądałem na tych parę łodyg pogrubionych węzłami kolanek, na liście nitkowate i marny kwiatostan — szybko schnące kłosa, z których zaczynają wypadać nasiona. Patrzę i nie rozumiem, czemu to wszystko nie wrosło w ziemię. Przecież bym się nie przeląkł. Już przywykłem do tej myśli. Czyżby tamta nadmorska łąka była czymś innym od tej, która się teraz rozpościera przede mną?

Zastanowiłem się — ile istnieje gatunków traw. Pięć albo dziesięć tysięcy. Optymista ze mnie — myślę kategoriami czasu bezpowrotnie odstawionego w przeszłość. Tam, skąd trysnęło źródło. Do Strefy Systemu zbliżam się tylko poprzez Natana i Endo. A tam już pewnie do reszty wyłysiały sawanny, prerie i ostnicowe stepy — tam, skąd załoga starego „Trieda” przytaszczyła inseminacyjny pojemnik, żeby daleko od Ziemi jej ziarenka znalazły natchnienie dla nowych populacji. Ile więc gatunków było tam, a ile jest tutaj? Gdybym chociaż wiedział, ile tego Yongblod wysiał w ziemię. Z pewnością nie było znów tak wiele. Kilka typowych roślin uprawnych — żyto, pszenica, sorgo, rajgrasy i dla urozmaicenia nieco chwastów. Jakich — też nie wiem. Chciałbym przynajmniej wiedzieć, czy łodyga, którą obracam w palcach, jest pszenicą. Nie jestem biologiem. Z drugiej strony widziałem, jakim dziwnym wzrokiem przyglądał się temu Natan.

Kiedy tak siedzę plecami zwrócony do czerwonej skały, cierpiętniczo pokorny na jej odłupanym przez wiatry odłamku, gotów jestem zazdrościć takim jak Endo ich genealogii. Nawet, jeśli jest złudzeniem, zawsze daje oparcie w przyszłości. Ktoś to w Strefie Systemu dobrze wykombinował; pamięć historii całego narodu jako katalizator osobniczej ekspresji. Bo cóż ja mam w sobie ponad doraźnością jednego pokolenia. Było — jest — skończy się wraz ze mną. Potrzebne jest coś, co ISTNIEJE.

Jak moje stopy po kostki zanurzone w falującej, zielonej sierści. Czasami ruch trawiastych listków odsłania piasek, to znów nagina falę w moją stronę. Wiatr jest zbyt lekki, żeby wyczuć dłonią. Chyba że zdejmę rękawicę. Nie uczynię tego. Przynajmniej nie teraz. Czasami lepiej wierzyć, że to wiatr, chociaż mocno utkwili w pamięci nitki–listki–zmijki wijące się w piasku plaży. Dzisiaj nie rozumiem raczej tego, czemu łodygi wyrwane tutaj nie poszły za tamtych przykładem. Nie powinienem słuchać Natana i zapuszczać się w odległy interior Planety. Przecież wyleciałem tylko po to, żeby raz jeszcze przyjrzeć się białemu ścięgnu wynurzającemu się spod czarnego mięśnia pulsującego przypluwami i odpływami wód. Przy pomocy elektronicznej analizy zdjęć Synchronat stwierdził występowanie znacznie większej ilości takich pasemek zarejestrowanych na filmach przywiezionych przez Endo z wyprawy na drugą półkulę. Czasami ledwie ich zarys przebiegał pod powierzchnią mórz, to znów wyraźne strady już poza strefą przyboju oceanu znikwały w ziemi i skałach — bez różnicy. Trafiały się nawet odgałęzienia niby mosty przerzucone ponad lasami, przepaściami, zagładające w gardła wygasłych wulkanów lub na powierzchni

Planety rozpełzające się srebrnymi nitkami, z lotu starbolta podobnymi do dróg. Tam powinienem lądować. To znaczy — gdzie? Synchronat twierdzi, że i tak wszystkie one stanowią zamknięty układ i prędzej czy później wracają w głębiny mórz.

Analogicznie jest z moimi myślami. Chciałbym z ich pomocą uciec choćby tam, dokąd ciągnęło Endo, gdzie na ostatniej wyspie lądu nie skolonizowanej przez porost pleśni, mchów, traw, buszu i drzew, wzniesione zostało Miedziane Miasto. Kto je zbudował, skąd się zjawił i dokąd odszedł? I czy istnieje związek między Miastem a tajemniczą Katedrą Księżyca, gdzie zostałem rzucony na kolana, żeby nie podnieść się dotąd. Każdy z nas dostał swoje. Ja — pałacyk z lodu, który się roztopił w próżni przy pierwszej próbie mojego w nim zamieszkania; Endo w spadku po swoim Sijawuszu tudzież po tysiącu i jednej nocy otrzymał Miedziane Miasto, z którym teraz nie wiemy, co począć. Tylko Natan jeszcze wolnego stanu. Pewnie dlatego się ciska i nie potrafi usiedzieć w miejscu. Czego taki jak on może tu szukać? Powinienem raczej zapytać, co taki jak on pragnąłby znaleźć. Co z perspektywy Strefy Systemu można dostrzec — właśnie tutaj, na tej Planecie?

Tak więc i moje myśli wracają do morza rozkołysanego przede mną, czasami sięgającego mi aż do stóp. Wiem, że potrafią — czemu więc zielone fale nie chcą zlizać z piasku tych na wpół już wyschłych pasemek, które Natan pełną garścią wyrwał z ziemi? Czemu to zielsko raz potrafiło pęłzać, a teraz nie?

Od tyóh nasion zaczęła się przecież biogeniczna metamorfoza globu. Czym więc jest dzisiaj ta łąka falująca niby morze?

W bezpośrednim sąsiedztwie czerwonych skał zieleń ścięła się nisko, jakby cykl biologiczny roślin pozostał tu nieco w tyle i trawy przede wszystkim produkują jeszcze masę świeżych liści, gdy na otwartej przestrzeni, gdzie drży powietrze nagrzane w promieniach Heliosa, strzeliły już wysoko źdźbła otwierające kłosa. Na krawędziach rozłamów w czerwonej ziemi zakwitają kępki kostrzewy i tomki wonnej. Jakbym mógł w sobie znaleźć ich zapach — turzyca i wiechlina łąkowa. Niedaleko rudzieją lisie ogony wyczyńca i złotymi kleksami błyska w trawie mniszek — złoty przy ziemi, wyżej unoszący białe kłębki puchu. Dalej sięgając wzrokiem — bladuróżowe wysypiska kwitnących koniczyn — warto by poszukać szczęścia — myśl jak mgnienie: koniczyna i inne motylkowe żyją wyłącznie w symbiozie z bakteriami przyswajającymi azot, muszą więc być i one.

Bakterie, pomyślałem. Jakby rośliny mogły się bez nich obejść. Co — do diabła! — przecież nie wysiewaliśmy z Yongblodem wszystkich możliwych mikrobów!

A kwiatów coraz więcej — kiedy wzrok idzie w górę. Purpurowe koszyczki chabrów, biedrzeńce i złoczenie pokrywają zieleń białawym nalotem, odgarniętym tylko znad nastroszonych kęp połyskliwej kostrzewy, nad którą strzelają żółtawozielone wypryski grzebienicy o wąskich, żeberkowych liściach i ze złożoną w kłos wąską wiechą. Dalej wpadające w szarość zielone rozłogi mietlicy, jakby to rzeczywiście była sierść rozgarnięta delikatnym podmuchem upalnego nieba. Miejscami potrafiącego przepalić na wylot — gdzie promieniście położona i rozsunęta nie tylko mietlica — wszystko, co kiedykolwiek zdołało podnieść się nad ziemią. Jeden wielki rozłóg jest pusty, tylko ceglata niecka ziemi. W drugim twardo sterczy srebrna, przy wierzchołku przeszklona baszta starbolta. To miejsce specjalnie wybraliśmy na lądowisko. W pobliżu skał i w pół drogi do raptownie strzelającej ściany traw. Kiedy podnoszę tam oczy, znów we mnie wzbiera uczucie, jakby mi coś zaciskało krtań. A przecież nie muszę się bać. Czuję to. Wtedy, nad brzegiem oceanu, zbyt blisko było nocy. Twarz Ulama wypływa z mojej pamięci. Widzę, jak węszy i marszczy nos, a potem na ustach: „Tylko tak dalej, Elf. Gdzieś tutaj musi być pogrzebany pies” — bez głosu.

A więc — mam czas. Otacza mnie zwykła łąka. Tam dalej też, ale nie pójdę

sprawdzić. Przyrosłem do mojego kamienia. Co najwyżej poszperam wzrokiem w trawiastozielonym gąszczu, gdzie wysoko sterczą strojne wiechy ostnic, żółtawe pióropusze kołyszące się miękko na wietrze. Skąd wiem, że to jest step? Przecież nigdy nie widziałem prawdziwego stepu. A teraz czuję się, jakbym przyszedł właśnie stamtąd. Od strony rozległych stepów, rozkołysanych' południowym wiatrem. Horyzont tam rozciąga bladioróżowe pasmo — kwiatowy pyłek wisi w powietrzu i raz po raz pękają tęczę motyli skrzydełek. Tylko tych mi brakuje do szczęścia! Zakląłem w duchu i przymknąłem zmęczone oczy. Ulga tylko połowiczna — gdyby na wspomnienia też można było na zawołanie spuścić czarną powiekę.

Teraz mi pamięć wtyka swoje pod zatrzymany w oczach ostatni kadr horyzontu — wstaje tam miraż zeszlonych lodem gór. Nie takie proste cofnąć się do nich — przedtem się zmienia klimatyczna strefa i u podnóża gór w kołysce tropików krzewi się przesiąknięta wilgocią i pleśnią, obrosła czarnymi brodami mchu i wplecionymi we włosy ogniskami epifitów, tajemnicy i robaczywym delirium przepojona dżungla. Dopiero za nią — poza kotłem czarownic warzących pleśń dla reszty kontynentów i za ostrogą turni wyostrzonych w blasku gwiazd, dopiero tam wznosi się Miedziane Miasto. Przynależę stamtąd. Pamięć tej drogi jest we mnie niby wspomnienie Chozezmu w sprzężonym z jaźnią genetycznym zapisie Endo.

Jak inaczej mógłbym wiedzieć, że tych kilka źdźbeł, po które sięgnąłem, żeby przesytać w dłoni, to łodyżki tymotki bez oberwanej kłosowatej wiechy, to znów zmięty chaber, a między palcami — on czy ona — koguci ogonek z wyszarpniętą słomką kostrzewy — rozsypuje się na plewy, łuszczyki i plewki.

Zadrzałem. Nigdy nie znałem tych traw. Cóż więc dzieje się ze mną, jeśli objawia się ta utracona więź — właśnie tu i teraz — pamięć przechowana na strychu w starym kufrze czerepu czy też w piwnicach mrocznej cielesności — mój spadek po jakimś ziemskim przodku. Lecz przecież nazywam się Elford — Elf, jak leśny duch ze skandynawsko-germańskiej mitologii. I zawsze pozostanę wierny innym mieszkańcom mojego panteonu, tym umarłym przede mną i tym wymyślonym, którzy zawsze istnieją. Czym więc są słowa, których odpowiedników nie potrafię znaleźć we własnym języku? A skąd mam wiedzieć, czyją krew mam w żyłach poza tą, przekazaną po przodkach męskiej linii. Może któryś z nich, przed tysiącem lat, wziął za żonę branekę z innego narodu, który pchany wędrówką ludów precz od azjatyckiego kotła, przez góry i stepy przywędrował w poszukiwaniu swojego poletka. Mietlica więc i tymotka to pamięć bocznej linii mojego rodowodu — nie są niczym innym niż pieczęcie Mohendžo-daro dla chozezmijskiej genealogii Endo.

Mroczne mnie myśli dręczą ostatnio. A przecież to nie mnie każą tutaj dopić swój kielich goryczy. Co nie znaczy — jeśli nie zazdroszczę Endo — że nie wolałbym teraz, żeby zamiast ckliwości słowiańskiej duszy ocknął się we mnie choćby duch Yoricka, człowieka nieskończonego dowcipu i najdoskonalszych conceptów, do których zatęsknił nawet Hamlet. Mogę otworzyć oczy.

Przecież już wiem — oczyma Endo trafiłem do Miedzianego Miasta i wcale się z niego nie ruszyłem. Tylko nogi mam twardo wparte w zieloną ścianę położoną teraz poziomo. Odchyliła się od pionu ścian tamtych budowli i rozwinęła się po horyzont. Mogę na niej stanąć i rozejrzeć się wkoło. I jeśli dobrze wysię wzrok, jeśli sięgnę nie tylko wszere, lecz i w głąb zielonego fresku — znajdę w nim wszystko, jak Stwórca namaścił Ziemię; bez szkła mikroskopów dostępne dla oka grona sinic, bakterii, glonów złocistych i chloromonad, zielenic, brunatnic, krasnorostów i grzybów, psylofitów, mszaków, widłaków, skrzypów i paproci, wielkolistnych i drobnolistnych nagozależkowych, wreszcie okrytozależkowych i czort wie jakich jeszcze.

Wiem, że to wszystko istnieje. Nie czuję tylko więzi między moją pokutą na kamiennej posadzce w Katedrze Księżyca, a tym, co nazywam mleczem,

palusznikiem krwawym, omanem łąkowym — wzroku mojego omamem. Pode mną ściana Miedzianego Miasta, która nad nieskazitelną płaszczyzną wyzwoliła zakodowany w miedzianych blachach holograficzny obraz, fresk przestrzenny, wieloliścienny, barwnie wykwiecony i prześwietlony słońcem — mój horyzont zdarzeń.

Dlaczego jeszcze wątpię w realność świata będącego od trzech dni areną moich kroków? Inseminacyjny pojemnik, który Yongblod wytrzasnął w martwą glebę, nie zawierał nawet ułamka puli genowej gwarantującej obecne bogactwo flory tego świata. Z pewnością nie było złoceń i jaskrów, nikt nie siał piołunu i polnej mięty. A jednak są — choć jakby nite same. Skąd mogę wiedzieć — przecież nawet nie czuję zapachu tej mięty. I mam jeszcze czelność powtarzać w duchu: „Nie wierzę”.

Jakiś monstrualny crossing over powołał do bytu ten ogrom genetycznych uzupełnień — aby odtworzyć utraconą pełnię; jak ja wyglądam z tamtej strony — starannie przyodziany w pancerz biologicznej ochrony? Czy dla tej łąki i stepu, które falują niezależnie od podmuchów wiatru, jestem czymś więcej od kamienia, na którym przysiadłem? Dostyc medytacji.

Kiedyś i moje odpryski wrócą w glebę — jeśli ich nie zmumifikuje kosmos — jak te oto odłamki kamienia. Wystarczy sięgnąć ręką i z mchu wyrwać ciężką bryłę. Potem zważyć ją w dłoni...

I zerwać się na równe nogi.

Tak właśnie — z krzykiem uwieźlę w piersi.

Tocząc wkoło błędnym wzrokiem, lękając się zerknąć tam, raz jeszcze, gdzie we wgłębieniu mchu i czerwonej gliny została dolna szczęką. Ziemia sama wypłuła czaszkę Yoricka, królewskiego błazna; chwyciłeś ją w locie i teraz stoisz; — nad poziomem traw rozkołysanych, nie wierząc ciągle — i czarodziejską kulę obracasz w rękach, dzierżysz oburącz ludzką czaszkę, aż spojrzysz na siebie kątem oka — próżnym oczodołem.

## Zgorzel

Ponad jej czołem srebrzysta igła strzeliła w niebo, aż się od grzmotu zakłęśło przęśło stepu.

Uniosłem wzrok i patrzyłem, jak starbolt Natana kreśli w powietrzu trajektorię od zamglonego horyzontu po zenit nieba wypełniony zielenią — odbiciem llanos w głębokiej studni. Piany obłoków spłynęły ku krawędziom nieboskłonu.

Wreszcie maszyna runęła w dół. Podmuchał trawy pokotem — Natan tym razem nie miał zamiaru pieścić się magnetyczną poduszką. Wyrznął w ziemię plazmowym odrzutem, aż szerokim wachlarzem podniósł się nad nią skrzydlaty rój — motyli czy kwiatów rzuconych w powietrze, za nimi w pogoni ciężkie skrzydła ptaków — łopianowe liście, strzępy traw i kłaczka wyrwane spod ziemi — aż się otworzyła, rozchyliła grubą warstwę darni i odłożyła na strony kołnierz niby krezę z białawych korzonków. Starbolt lądował w kręgu czerwonej ziemi.

Jego kryształowa główka otrząsnęła się z zielonych płomyków — zdawało mi się, że słyszę trzask wyładowań, jakby elektryzująca dłoń — pięść opuszczona z obłoków — plazmowym podmuchem pogładziła grzbiet stepu nastroszony żółtozieloną sierścią. Po mnie samym z powierzchni skafandra spłynęły w ziemię żywe nitki elektryczności. Potem rudawy pył sypnął z powietrza — kamienie, grudki ziemi i ziarna wypalone z kłosów. Kępki trawy spływały nieco wolniej, jak czarne włoki powyrywane całą garścią. Na końcu powietrze wyroiło się miliardem białych,



błękitnych i różowych płatków — coś jeszcze nie utraciło skrzydeł, unosi się ciężko w zwiewnym roju, trzepocze zmiętymi błonkami wytartymi z puchu, ciężko siada na ziemi i drży skurczone jakieś, zwinięte, sam nie wiem — kwiat czy motyl.

A z kwietnego konfetti, jak z obłoku eksplozji, wyłonił się Natan. Za nim w czarnej jamie powietrza zaklinowana iglica starbolta. Szedł prosto na mnie, aż usłyszałem jego oddech — spokojny. Jego twarz składała się jakby wyłącznie z ostrych kątów, skurczona i kanciasta.

Nawet nie spojrział na to, co trzymałem w dłoniach.

— Wiesz już — stwierdził.

Pewnie go przywitałem niezbyt mądrym spojrzeniem, gdyż podszedł blisko i ze zgrabiących palców wyrwał mi moje brzemię. Cisnął o ziemię. Pod nogi. Usłyszałem trzask pękającej kości. Bałem się tam spojrzeć — znaleźć próżnię wysoko sklepionego czoła.

Potem wziął mnie za ramiona i potrząsnął ostro.

— Chodź ze mną — powiedział.

— Dokąd?

— Chodź.

Nie czekał. Obrócił się na pięcie i poszedł do osypiska skał. Trawa suchymi wiechami sterczała tu że szpar, w które wiatr pozawiewał nasiona. Linia życia załamywała się wąskim pasemkiem porostów w pewnej odległości od głównego skupiska czerwonych głazów i wyglądało to, jakby płat darni ucięto nożem. Tu i ówdzie pojedyncze słomki nie poddały się drastycznej depilacji.

Skały były zwietrzałe, całe przeżarte korozją. Z wyglądu sugerowały kruchość gotową się rozsypać za lada dotknięciem. A jednak trwały. Pięć iglic — znajomą symetrią dźwigających się nad rumowisko; krótko ścięty kciuk i cztery wiotkie palce — wstąpiliśmy na środek dłoni. Pod stopami usłyszałem chrzęst zmuszającego żwiru — jakbym podkutym butem kruszył czerwoną łuskę. Tysiące płaskich muszelek — kamień w dziwny sposób poddawał się tutaj korozji, złuszczał się cienkimi blaszkami, które trzeszczały pod naciskiem obcasów i strzelały czerwonymi obłoczkami kamiennego próchna. Rozejrzałem się z niepokojem. Niecka była tu głębsza niż przypuszczałem z zewnątrz. Poza tym symetria skał. Choć każda inaczej ukształtowana rzeźbą wiatrów i deszczu, ich rozstawienie było aż nadto dokładne. Idealnie wyznaczały wierzchołki regularnego pięciokąta. Jednak nie ta symetria tak mną poruszyła nagle. Szukałem oczyma, starałem się wzrokiem określić kierunek. Lecz Natan bezceremonialnie złapał mnie za ramię i pchnął twarzą do jednej ze skał.

— Patrz — powiedział. — Byliśmy ślepi. Tam, skąd wracam, istnieją zwarte masywy takich skał. Czasami zachowały się lepiej, miejscami do reszty porosła je dżungla. Czy kiedy byliście tutaj za pierwszym razem widziałeś takie skały?

— Wiele się zmieniło od tamtego czasu.

— Tych skał nie było — odparł z przekonaniem.

— Wielu rzeczy nie było — starałem się zrozumieć, o co mu chodzi, zanim dam odpowiedź. — Od czasu, gdy za naszą sprawą na powierzchni tej Planety wykiełkowały pierwsze nasiona, pojawiła się tutaj biosfera w pełnym tego słowa znaczeniu. Mamut pośród pędraków innych planet. Gigantyczny jaszczur i moloch wobec karła ziemskiej biosfery. Słyszałeś o Titonos? Byłem tam. Widziałem, jak w głębokich wykrotach wygaszały ostatnie reproduktory bioplazmy. Nikt nie wie, czym były i jak wyglądała przyroda, której niegdyś były siłą motoryczną. Nic na to nie można było poradzić. Po prostu podziwialiśmy więdnące kwiaty. Tak samo pierwszych ludzi, którzy tam wylądowali, skręcało w zasuszone mumie. Padali jak muchy, zanim skonstruowano skafandry z bioblokadą.

— Po co mi to mówisz? — zapytał.

— Tam bezpowrotnie wygasało życie. A czy my naprawdę wiemy, czym ono jest? Jeśli potrafi nastąpić tak — gwałtowny zgon całej biosfery, czyż nie może zaistnieć proces odwrotny? Mieliśmy szczęście trafić na taką planetę. To tylko jedno z wielu mniej lub bardziej dziwnych laboratoriów Natury.

Mówiłem, żeby głosem zagłuszyć niepokój kiełkujący we mnie. Natan wreszcie dostrzegł moje rozbiegane oczy.

— Laboratorium Natury? — zaśmiał się. — Gdzie ty jesteś, Elf?! Wyleż ze swojej prehistorii! Może Natura potrafi pchnąć do przodu ewolucję zielska, lecz kto zrobił to?

Nagle uniół ramię i wyrznął pięścią w czerwoną skałę. Zatrzeszczała wierzchnia skorupa i posypała się w dół. Rdzawy obłoczek otoczył pięść Natana, a kiedy ten cofnął rękę odłupały się spod niej brązowe blaszki. Zupełnie, jakby pięść rozkruszyła zmurszałą korę albo rozgniotła bok szyszki i na ziemię posypały się nasiona oraz łuski, zbyt ciężkie, żeby zawirować w powietrzu.

Spod odłupanej warstwy ukazała się wewnętrzna struktura kamienia — żyłkowana i porowata, lecz nie całkiem zmurszała. Widziałem wyraźnie, jak się splatają sztywne nitki, przenizują zardzewiałe trybiki, sprężynki, jak ziarna piasku gęste zębate kółeczka, wyrzuszony na zewnątrz grube kłacza i zupełnie bezkształtne żeliwne zlepki. A wszystko przyprószone rdzawym pudrem, przeżarte korozją, aż trudno sobie wyobrazić, że kiedykolwiek te ciągi przekładni i sprężyn mogły się ożywiać i przenikać ruchem nie głośniejszym od przesypującego się piasku. Teraz miałem przed sobą wyłącznie zrośnięty gruzłami tlenków żelaza, w jeden monolit sprasowany kłęb złomu. Może kiedyś pięcioramienna rozgwieżdżona tych skał potrafiła otwierać się i zamykać jak dłoń. Może zawierała w garści tę siłę, której domeną obarczałem wyłącznie świat roślin tej Planety. A przecież ktoś wzniósł Miedziane Miasto i jak latarnię morską zapalił oliwną lampkę pod witrażem Katedry Księżyca. Ktoś jeszcze systemem ścięgien połączył ląd z oceanem.

Kiedy to się odbyło? I czy prokreatywny potencjał tego globu stać było wyłącznie na to, żeby ukształtować cywilizację, po której pozostaną tylko ruiny? A przede wszystkim — gdzie ewolucja znalazła taki punkt zaczepienia, żeby raz jeszcze ulepić tę czaszkę wyrwaną przeze mnie z czerwonej gliny. Przecież schemat konstrukcji człowieka nie został zawarty w tamtej garści nasion.

Czyżbym powinien zwątpić w to posłannictwo, które się nam tylko przyśniło i nie było wcale pielgrzymów Kosmosu, których przypadek zawiódł tam, gdzie trzeba było dokonać zapłodnienia. Czyżby w samym założeniu wagi tamtego dnia — Wielkiego Dnia Boba Horowitza — zawierał się proton pseudos naszej filozofii?

Nasiona przyoblekają się w smakowity miąższ owoców tylko po to, żeby się nań pokusiło jakieś pocziwe bydlę. Niech się nażre, aż mu kałdun dostanie wzdęcia. Niech potem szuka wody i postępując z obżarstwa wydeptuje nową ścieżkę, żeby na końcu ulżyć sobie i spuścić gówna między kamienie — garść nawozu z drogocennymi oczkami nie strawionych ziaren. Człowiek otacza się w pancerz wytrzymujący ssanie próżni i ciśnienia gwiazdnej kuchni, aby ciemnej bestii kosmosu podetknąć atrapę — samego siebie. I kosmos — głupi — połyka niestrawne kąski, pozuje trochę, czasami rozgryzie i bez smaku wypluje — na innym krańcu Galaktyki ziarna się wysypują przez śluzy statków.

— Rozumiesz? — mówił Natan. — Stoimy na ruinach. Powierzchnia całego globu jest aż kostropata od takich czerwonych liszajów. Narodziła się tutaj potężna cywilizacja, zbudowała miasta i podziemne fabryki — Synchronat z wysokości „Trieda” zlokalizował w podczerwieni jakieś potężne maskony pod powierzchnią ziemi. Nawiaż z nim łączność i porozmawiaj sobie. Ta cywilizacja wzniosła na Pierwszym Księżycu dowód swojej penetracji kosmosu...

Jakby mu się głos zapowietrzył w ustniku regeneratora tlenu.

— Co dalej? — zapytałem.

— Skąd mogę wiedzieć wszystko — wzruszył ramionami. — Może okres tworzenia materialnych pomników jest tak znikomy w skali istnienia każdej cywilizacji, że tutaj trwaj tylko przez mgnienie wystarczające na wzniesienie budowli, po których zostały tylko te skały.

Raz jeszcze uderzył pięścią w bryłę zardzewiałego złomu, aż w sprężystym ciągle rdzeniu wzbudził się niski rezonans. Wydało mi się, że dłoń — na której staliśmy — przekazuje amplitudę drgań pozostałym palcom. Potrzebowałem sporej dozy samozaparcia, żeby się nie skurczyć, nie wciągnąć głowy między ramiona w próbie osłony przed żelaznymi palcami zwierającymi się z przeraźliwym zgrzytem. Lecz skały pozostały nieruchome, nawet jeśli je przeniknęło drżenie.

Chciałbym zapytać Natana: „No dobrze, tylko gdzie ten galop? Wszystko to eksplodowało — zielsko i społeczeństwa, a teraz co? Cisza jak makiem zasiał? Od trzech dni spacerujemy po wykwieconej łączce i nic — żadnych spazmów, żadnych wstrząsów? Zrównało się z biogeniczną przeciętną Kosmosu?”

Byłbym go o to zapytał, lecz przypomniałem sobie znowu tamte trawki — raz chyże w piasku, potem jak wszystkie — leniwe. I jednocześnie moje zmysły zlokalizowały wreszcie kierunek, z którego — poprzez pancierz skafandra — nonsens! — wiało na mnie jakby chłodem. Tam również dogasało echo dzwonu, na moment przebudzonego pod pięścią Natana.

Przełamując niechęć do uczynienia bodaj jednego kroku w tym kierunku zbliżyłem się do środka niecki zakłęsłej między skalnymi kikutami. Najpierw myślałem, że to tylko z pochyłości stoczyło się tutaj nieco gruzu, lecz płaskie kamienie tworzyły wyraźną obręcz. Ostrożnie przechyliłem się nad cembrowiną studni.

I nagle — poczułem, jak mi resztki włosów stają dęba na głowie, a oczy wrastają w próżnię coraz cieńszym korzeniem wzroku. Coś mi rzeziło w piersiach i w czoło łupały kolejne zawroty głowy, jakby mój wzrok wewnętrzny chciał się też wykluczyć przez oporną kość. Nie potrafiłem spojrzenia wyrwać z czarnej studni — zdawała się być głębsza od najdalszych perspektyw kosmosu. Już rozumiałem — nie po raz pierwszy przecież — że istnieje coś, jedno—jedyne, co potrafi pograć w sobie nawet otchłań kosmosu.

Istnieje. Tam właśnie — w studni bez dna, przenikającej przez jądro globu, docierającej aż na drugą stronę Planety, gdzie wszelkie kształty rozsypały się w królestwie niepojętej nocy. Gdyż ona tam jest — ta NOC właśnie, głębsza od wszystkiego, co potrafimy sobie wyobrazić.

Wzrok mój — nie znajdujący oparcia — zapadał się coraz głębiej, przez kapilar oczu mnie samego wysysał ze skorupki skafandra. I stawałem się coraz lżejszy, już nieważki prawie — tylko się przechylić nad otworem i przeważy to, co w nas jeszcze zostało. Można runąć — jak przedtem w wylot grawitacyjnego tunelu, tak i teraz w przetyk szkarłatnej rozgwiezdy — i będziesz w nim lżejszy niż motyl — martwo opadający do dna — a to się jeszcze rozstępuje i nie widać końca. — STÓJ!

Kleszcze moich ramion wyciągnięte przed siebie, lecz on — z diabelskim błyskiem w oczach — już rozwarł palce i wypuścił z nich kamień.

Teraz staliśmy naprzeciw siebie, przedzieleni tylko gardłem studni. Za to głowa przy głowie, a tam czerwona iskra w mig przepadła w ciemności. Słuchaliśmy w napięciu, czy się plusk, odezwie daleki — nic nie nastąpiło — cisza zupełna.

Nie było głosu, lecz i bez niego coś się poruszyło w najtajniejszej głębi. Widziałem — nie mogłem widzieć tam, gdzie brak światła! — czułem samym sobą, że coś tam wzbiera — nanizane na nitkę mojego wzroku, pożera przestrzeń przyptywem czerni i pnie się jak żywe srebro we włoskowatym naczyniu — wyżej jeszcze! — aż mi skóra

cierpnie na powierzchni całego ciała i skafander się marszczy — już łopocze zwiotczalymi fałdami — wyssana z nich energia laserów — gotowa pęknąć biologiczna osłona.

Jak trzymałem przed sobą wyciągnięte ramiona — między nimi dostrzegłem zauroczone odbicie własnych oczu w jego hełmie — na prochy Titonos! — tylko ostatnie życzenie! — jeszcze się zawiązało we mnie i pchnąłem — uderzyłem go w piersi, aż się wstecz zatoczył, a ja sam — w przeciwną Stronę.

Odstąpiliśmy o krok — staniając się na gumowych nogach, ledwie zdając sobie sprawę, co się dzieje dokoła — tylko oczy zawieszono wzrokiem nad wylotem studni. Coś tam wzbiera — za późno, żeby się uchylić — uciec przed potopem, kiedy ze środka pięciopalczastej dłoni — na wskroś przebitej zardzewiałym gwoździem — krew tryśnie czarna, kipiąca i jednocześnie snująca się cieniem od najbliższego dymu.

Lecz tam wszystko nagle zamarło — w poziomie amplitudy, powyżej której cień nocy nie potrafi wypełnić naczynia przed właściwą porą. Usłyszeliśmy tylko westchnienie przeciągle, które się znowu pod ziemię zapadło.

Na drugą stronę, gdzie tajemniczy oracz lemieszem nocy kroi powierzchnię Planety, jakby chciał w bruzdę czarnoziemu skusić całe gwiazdy.

## Paranoia inducta

Jeszcze staliśmy naprzeciw siebie porażeni zupełnie. Coś się wreszcie otarło o nas. Żaden z nas nie wiedział — co, lecz w każdym orzechu to COS potrafiło znaleźć szczelinę. Teraz w nas samych powoli zasklepiała się bezdenna studnia — lęk w niej przepadał. Za chwilę zwątpimy pewnie, że cokolwiek mogło nami wstrząsnąć tak dogłębnie. Natan otrząsnął się pierwszy. Rozejrzał się wkoło. Mnie samemu wydawało się, że wierzchołki skał są jakby rozmyte we mgle, której nie było przedtem. Teraz dopiero pod stopami poczułem drżenie.

Skały otoczył nagle rdzawy dymek. Usłyszałem łoskot kamieni — klepisko pokryte żelazną łuszczycą wibrowało pod nami. Zobaczyłem, jak pękają rozchybotane wierzchołki skał i wał się w dół — sprężyny drgające i obręcze zębatach kół odskakujące od występów ścian. A wszystko w kłębach pyłu, który zaćmiewa światło — już między rozkołysanymi wierzchołkami kolumn zbrunatniało szmaragdowe niebo i Helios patrzy zeń ślepym okręgiem.

Staliśmy jeszcze — tylko w nasze nogi, przez ziemię, przenikał gwałtowny tętent. Mięśnie słyszały dudnienie tysięcy kopyt, które młóca ziemię — coś gdzieś pędzi, trątuje step w szalonym galopie i wiem, że muszę pochwycić ten rytm, niech i mnie wyrwie z gliny czerwonej, za bardzo w nią wrosłem — jak gwoździec w nieckę dłoni, której zmurszałe palce już nie dają ochrony.

— Tam! — wrzasnął Natan.

Sam skoczył między dwa skalne bloki. Nawet się nie obejrzał za mną — dłużej nie można było zwlekać. Rzut całym ciałem w skłębioną chmurę, gdzie przed chwilą runął skalny nawis — rozsypał się niby stary, mechaniczny zegar — była szansa, że zdołamy się tamtędy przebić zanim kolejna lawina runie z roztrzęsionych wierzchołków.

Ruszyłem biegiem za postacią Natana, ginącą to znów ukazującą się, w rdzawym wirze. Pod nogami trzeszczały żeliwne skorupy, druciane igiełki odskakiwały od szyby hełmu. Coś mnie zdzieliło w bok. Bez bólu — skafander niweluje większość mechanicznych urazów, lecz pchnięcie odrzuciło mnie nieco w bok. Od czegoś odbiłem się ramieniem — zazgrzytało jak blacha. Regenerator pchnął w płuca

dotatkową porcję powietrza i — wyrwałem się wreszcie. Tylko za sobą usłyszałem łoskot walącego się złomu. Oślepiiony kłębami czerwonego pyłu zatoczyłem się nagle, gdy stopy uwięzły w wysokiej trawie.

Przejaśniło się. Kurtyna odsunęła się wstecz i znowu wyjrzałem na dzienne światło.

Nad stepem też wisiała chmura. Niska, rozmyta smuga ciągnąca się od jakiegoś sinego zarzewia na widnokregu. Zdawała się leżeć zupełnie nieruchomo, tylko dołem szedł tętent, jakby rozjuszony bydło całym stadem gnało na złamanie karku. „Wiechy traw wysokie na dwa–trzy metry ograniczały pole widzenia, kołysały się własnym, leniwym rytmem, chociaż tam — coraz bliżej — pewnie już leżały rzucone o ziemię, podgięte pod końskie piersi i brzuchy, kładące się pokotem niby zastępy lancknechtów pod naporem żelaznej konnicy.

Dudnienie kopyt rzeczywiście potężniało, może moja niecierpliwość mnożyła ich liczebność w moich własnych uszach. Nie potrafiłem określić wzrokiem czoła tej nadciągającej fali, lecz instynkt mnie utwierdzał, że znaleźliśmy się dokładnie na drodze rozpędzonej hordy.

Pewnie coś krzyknąłem do Natana, że natychmiast trzeba do starboltów. Wątpię, żeby mnie słyszał — radiowa łączność zachłystywała się piekielnym trzaskiem. Na szczęście i on się spieszył. Widziałem, jak sady długimi susami — już w kręgu wypalanej ziemi. Sam dopadłem włazu. Ledwie ciężar ciała przeważył mnie w gardło elektromagnetycznego wysięgnika, kiedy mi ziemia uciekła spod nóg — ułamek sekundy spopielającego laserowego światła i już mnie pchnęło w amortyzacyjny pęcherz przed stanowiskiem pilota. Nogi i ramiona automatycznie wpasowane w uchwyty sterów — palce wbite w bioelektryczne gniazda sprzężone z baterią dysz.

— Natan?! — radiostacja starbolta znacznie mocniejsza i lepiej eliminująca zakłócenia. — Gotowy — słycać wyraźnie. Młody. Głos bez śladu zadyszki. — Widzisz coś? — spytałem.

Sam bezradnie mrużyłem oczy. Szeroko kołysało się zielone morze, tylko utracone wierzchołki pięciu skał ograniczały widoczność z jednej strony, ścięte w sam raz na wysokości głowicy starbolta. Pięć płonących głowni w brunatnej mgiełce, jakby to były przed chwilą dopiero wypchnięte ciśnieniem magmy ognistociekłe słupy z krzemianowego stopu. Poza nimi powietrze drżało nad stepem, jakby właśnie z tamtego kierunku płynęła na nas ognista rzeka. — Startuj! — rozkazałem. Niemal natychmiast strzelił w niebo.

Nie czekałem, aż opadną strzępy płonącej darni — palce zwarły się w stożek i układ dysz przyjął to samo położenie. Jeszcze pchnięcie całą dłońią i przeciążenie pogrywa cienko w szklanych ścięgnach wiążących amortyzacyjny pęcherz z głowicą starbolta. Do granic wytrzymałości naciągnięte struny. Do granic mojej wytrzymałości. Teraz dopiero dociera do mnie echo ciężkiego tapnięcia atmosfery — ziemia drugi raz obrywa w brzuch porośły sierścią. Jestem już wysoko. Głowica przenika nitkowate twory chmur. Natan daleko z przodu.

Trajektorii lotu jak w płaszczyźnie wstęgi Möbiusa — ze skretem i przerzutem przez plecy — w dół i wyrównanie lotu. Teraz cienie dwóch starboltów ślizgają się po szarozielonych falach. Daleko za nami dogasa pięciopromienna rozgwiazda — samotna asterias na dnie wyścielonym wodorostami. Jaki mają związek czerwone skały sprasowane z miliardów trybów oraz pozbawione okien bloki Miedzianego Miasta, gdzie zwierciadła ścian powtarzają cały otaczający nas żywy świat?

Wreszcie step się rozstał — z jednej strony fala wysoka jak mur, naprzeciw skarpy bliźniacza, a środkiem — wyraźny ciąg od horyzontu — wąż szary, rwący przed siebie z ogromną szybkością. Wyobraziłem sobie, że gdzieś daleko przede mną jeszcze jeden starbolt mknie w powietrzu. Do brzucha ktoś mu podczepił tak cienką,

aż niewidzialną cumę i na tej linii podniebny mustang wlecze po stepie porwaną płachtę olbrzymiej kolczugi, wystrzępioną już i za horyzontem gubiącą stalowe oczka, jakby noga jeźdźca ostrogą zahaczała o strzemię, kiedy go wyrzucił z siodła i pociągnął znarowiony rumak — przez głazy, kamienie i ostnicowy step.

Chociaż starałem się rozróżnić poszczególne ogniwa — nawet polaryzujące się dla zbliżeń układy soczewek w głowicy starbolta nie potrafiły rozdzielić na człony owej szarobrunatnej fali. Zdawało mi się, że tam w dole płynie tułów bezgłowy, jaszczur ogromny. Każda łuska to grzbiet garbaty, porośły brunatną sierścią, parujący potem, od pędu rozmazany w mgiełce ulotnej — błyskającej srebrną iskierką, kiedy giez skrzydlaty tnie w spasione zady. Chmura zawisła nad stepem. Pod nią w ciemnym tunelu kopyta na mękę rozbijały nasiona wszystkich traw i obłoki ciążyły coraz bardziej, gotowe opaść manną z nieba — prosto w rozwarte pyski galopującego stada. Ale ja nie wierzyłem jeszcze. Z Ziemi przynieśliśmy tylko garść ziaren. Choćby z nich wyrosła dżungla i łąki — habitat nieskończonych ilości traw — nie było w tym miejsca dla owadów nawet. I nic nie znaczy, jeśli mi jeszcze przed oczyma trzepocze obłamanymi skrzydłami tamten motyl, który przed moje oczy wypadł z innej czasoprzestrzeni, kiedy Natan lądował swoim starboltem przed Myślicielem z czaszką w ręku.

— Słyszysz mnie, Natan? — zapytałem zduszonym głosem.

— Czujesz się niedobrze?

— Przestań. Widzisz to, tam w dole?

— Jak na paradzie — odparł.

— Tylko się nie wygłupiaj, proszę. Nie mam nastroju do żartów. Jak sądzisz, co to jest?

Coś tylko zaskrzeczało w słuchawkach, jakbym usłyszał śmiech urwany szybko.

— Mięso — powiedział.

— Co?!

— Tkanka mięśniowa plus podroby — mówił całkiem poważnie. — Zjeżdża na ubój na własnych czteronożnych transporterach. Idź jej śladem, a sam trafisz do rzeźni. Milczysz? A coś ty myślał, Elf? Że taka planetka będzie nas długo dręczyć jarską dietą?

Palce same zwinęły się w pięść i starbolt posłusznie przełamał trajektorię lotu. Wypadł z mierzwy brunatnozielonych obłoków i kamieniem runął w bardziej przyziemne sargasy. We wstecznych zwierciadłach dostrzegłem, że starbolt Natana zwija nośne płyty skrzydeł.

— Ty tam zostań — rozkazałem. — Trzymaj się na takiej wysokości, żeby mnie nie spuścić z oczu.

— Co chcesz zrobić?

Nie miałem zamiaru akurat usprawiedliwiać się przed nim i spowiadać. Mój starbolt schodził do ziemi pod ostrym kątem.

Wystarczająco płasko, żeby się odbić od zielonych fal — równoległe do powierzchni wody rzucony płaski kamień. W ostatnim momencie trzeba tylko podłożyć pod siebie magnetyczną poduszkę i uciąć plazmowy warkocz. Dostałem się w obłok kurzu zgarniętego przez boczny wiatr znad rozpędzonego stada.

Prawie dokładnie obliczyłem punkt styku z ziemią. Byłem blisko czola. Starbolt ślizgający się na elektromagnetycznej poduszce rozcinał głowicą pierzaste wiechy niby stalowy lemiesz wchodzący między wiotkie korzonki.

Nad ryżymi kitami traw raz po raz dostrzegałem już bure garby. Chwiały się niby bukłaki tylko w połowie wypełnione wodą. Potężne czapy zmierzwionej wełny, liniejącej płatami, jakby od samego pędu powietrza skóra im złaziła z karków. Lecz ciągle nie widziałem głów ani nóg. Nie potrafiłem określić, jakie to zwierzęta

zachłyśnęły się własną szybkością. Mógłbym rozkazać, aby pokładowy komputer wyciągnął z mnemoteki Synchronatu całą anatomię porównawczą i paleontologię. Milczałem. Jeszcze miałem prawo liczyć na to, co we mnie samym siedzi na pamięć ojców i matek, która już raz pozwoliła mi nazwać każdy węzełek w misternej plecionce tej łączki. Trzeba tylko znaleźć w sobie echo zdarzeń, których świadkiem w prehistorii Ziemi było plemię moich przodków. Wtedy może się okazać, że nie tylko Endo zjawił się na tej Planecie z wiarą i mitem swojego Wielkiego Chorezmu.

— Uważaj, Elf! — jeszcze się troszczył o mnie Natan. — Jesteś w sam raz przed czołem stada.

Mnie samemu trudno było znaleźć potwierdzenie tego. Przed oczyma naelektryzowana sierść wciąż tak samo strzelała żółtymi iskrami żdźbeł. Eyzowa szczota szorowała po brzuchu starbolta. Zwalniałem ostrożnie, lecz poza wznoszeniem i opadaniem burch garbów nie widziałem ciągle dochodzących mnie przodowników stada. Jeszcze nie wiedzą, że przed nimi jest ktoś szybszy, za kim ślepo pójdzie dzicz.

Leciałem nad stepem jeszcze niby samotnik. Nic mnie nie naciskało z boków. A przecież powoli nabierałem pewności, że nie ma co oglądać się wstecz. Już idą za mną. Czuję siłę, której dłonie zawdzięczają oparciu na sterach starbolta. Aż nieprawdopodobnie wydawało mi się, żeby gdziekolwiek we wszechświecie mogło zostać wskrzeszone coś równie potężnego, niby zgarbionego pod brzemieniem gnatów i mięśni, a przecież tysiącrotnie większego i potężniejszego od człowieka. I pomyśleć jeszcze, że to coś, w innym punkcie kosmosu, nie wytrzymało konkurencji z gatunkiem homo sapiens. Teraz tylko budzi się we mnie reliktowe zdumienie. Po raz pierwszy odczułem je wstępując na pokład nowego „Trieda” — jakby z ustalej laguny, ze złomowiska kosmicznych wraków, samotna molekula mojej świadomości na powrót włączała się w główny nurt strumienia. To samo teraz — poczucie ogarniającej mnie żywej siły. Tocząca się lawina. Związek martwych głązów staje się żywiołem.

W zenicie nieba dostrzegam jeszcze grot starbolta prującego obłoki. Natan musi mieć dobry przegląd okolicy. Powinienem mu zaproponować zdalne sterowanie moim wierzchowcem. Żal wypuszczać z rąk wodze. Więc będę trzymał. Przynajmniej tak długo, aż rozpoznam poszczególne egzemplarze stada, które się już zrównało ze mną. Nie jest to takie proste. Czuję tylko, że wkoło robi się coraz ciasniej i w mrocznym tunelu rośnie moja własna masa — jestem tylko nowym włóknem opornie chwytającym rytm pracującego mięśnia.

— Step na twoim kursie już nie jest taki przestronny — relacjonuje Natan. — To raczej sawanna.

Czym się różni step od sawanny? Jak trudno zebrać myśli, gdy ciągle trzeba odkurzać pamięć; na sawannach pojawiają się drzewa, rzadko rozsiane baldachimy kserofitów — nie przekraczające kilkunastu metrów, to znów ogromne rozłogi koron rozwieszane na zawrotnych wysokościach nad ziemią.

Nic takiego nie widzę przed sobą.

— Ostrożnie, Elf!

Jakbym z walizkami w ręku wskoczył w rozpedzony pociąg. Nagle mną rzuciło, okręciło w amortyzacyjnym pęcherzu. Jeszcze jakiś łomot — jakby głowica starbolta bokiem chlasnęła o coś miękkie — rozsmarowała po ziemi, a sama przyjęła korektę lotu.

Teraz przez łokcie ściągnięte do bioder tętent zamyka pętle — skok — skok — moje nogi tkwią pewnie w bioelektrycznych strzemionach. Trzeba między szczękające zęby wbić plastikowy klin ustnika podającego tlen — o tak! — i można pchnąć konia pierśią w największy tłok.

A teraz — w skok! Idzie w równym szeregu — łeb w łeb — między rumaki o białych grzywach ostnicowych traw — tylko toczące pianę imadła zadyszanych boków. Tu i tam. Jeszcze ostrogą — he—ej! — nie straszne samotne drzewa, rzeka płynnym zakolem omija zęby raf. Dudniący lot nad wykroty pełne skołtunionych, ze strachu skulonych traw — najchętniej by się z powrotem zwinęły w ziarna. Tylko batem strzelić nad wełnistymi garbami — w bok! Tajniki tresury chwyta się w lot na takim poligonie. Pałki nóg bębnią w próżnych workach brzuchów, kopyta klekoczą — do rytmu w kiszkach jeźdźca — bach! bach! — echo przez bębny obciążone skórą. Rzeźnia swoje zabrała na poprzednim popasie. Teraz dostawa dla cholewkarzy — o czym ja?! — i jeszcze wygarbować w biegu — hej—ha! Pastuchu prowadź do nowych ziem, twój naród—stado posłusznie idzie na lep — już się przed tobą morze otwiera głębokie — muszki wirują nad cuchnącym łem, w nim trupy i muszle ogromne — kościane. Kopytem — trzask! — z każdej czaszki wybić zębaty śmiech!

Upajający bieg!

I nie jest ważne — kto, co, jak i gdzie ciągnie mnie — czas jak mgnienie — poza mną, chociaż z mojej pamięci — może mój naród w biegu uszlachetnić — z dziczy w błękitną krew.

Jest drugi brzeg! Stroma skarpa pni sprzęgniętych ze sobą — drzewcami twardo osadzony w ziemi las pik. Jeszcze przed nami kawałek łagodnie nastrojonej przestrzeni — step — nie step. Czort z nim! Mój koń w pierwszym szeregu — na plecach szelest piór. Orle lotki osadzone w stalowych listwach skrzydeł — sieją strach, szyszak i zbroja biologicznej ochrony zdobione dominantą kawalerskiego krzyża w rozbłysku złotych aplik. Przez ramię — wilcza skóra. W dłoni kopia nie skruszona jeszcze — porzecz furkocząc bodzie w czyjś brzuch — sapperment! — a u boku szabla i koncerz przytroczony do siodła, pistolety w olstrach — Hej, Na tan! I gdzie twój arsenał?! Prawa dłoń zaciska buzdygan — prowadzi oddział plazmowym odrzutem.

Jak starszyźnie przystało — na wprost buzdyganem! Konie brzuchami szorują po ziemi, rumaki skrzydlate — ze smoczyczych chrapów ogień — bach! bach!

Dech w piersi zapiera — pęd porywa i wiatr — na wskroś, jak kopia tamten brzuch — w galopie — gdzie knechtów czworobok mocnymi łydkami osadzony w ziemi — jak w ich dłoniach drzewca dzid, ostrymi szpilami — świerkowy bór i baszty dębów nad palisadą — pień do pnia, tak zwarty częstokół — tylko pęd, najwyższy pęd zdoła przebić zaporę — rozniesie na kopiach, rozbije w puch!

Właśnie tak — ich oczy wytrzeszczone w liściach.

Bij—zabij! — i trzask przed całym frontem.

Szeregi się zwarty — na flankach już skruszone kopie, tylko środek prze — w las dzid, który trwa jeszcze. Trzeba stanąć w strzemionach, odrzucić złamane drzewce i nad głową zakręcić koncerzem.

. I pchnąć! Ciąć na odlew, aż się iskry skrzeszą i potworna siła targnie ich szeregiem! Z korzeniami wyrwane stopy — przed chwilą zapuszczone w ziemi — ciąć srebrnym brzeszczotem, póki tchu w piersi i miejsca na zamach starczy, kiedy rumaka pcha jeszcze siła rozpędu zebrana nad stepem — tylko jęk powietrza i dłoń prowadzona od skroni do skroni — a tam się łuska sypie z rozkruszonej zbroi, blaszki zielone i twarde igliwie; i jeszcze raz, aż konar ramienia upadnie odcięty wraz z barkiem.

Już obok przelatują towarzysze pancerni — biją falą z przerebli. Tylko w tobie słabość — tułów łamie się w siodle — możesz zostać, dokonałeś przecież — wszystko, nic więcej nie możesz — nad ten lot starbolta w zwartą palisadę, żeby laserowym mieczem uczynić wyłom w zwartym froncie lasu.

Padł pierwszy szereg — wystarczy. Resztę dotną inni, w których nie osłabła siła



pierwszego impetu.

Już przeszli obok, a ty — wykrwawiony energią laserów. Stado znalazło dostęp do rajskich ostępów, tylko ty wisisz w siodle — jeszcze w garści buzdygan, lecz palce zdrętwiały, w bioelektryczne wędzidła nie wytrąsą nawet tyle energii, żeby się rumak poderwał z kolan. Leżysz z nim bezwładnie, bez sił, żeby wstać i otrząsnąć z barków potężne pnie, konary splątane. Całą kabinę starbolta spowija obwał lian — na poły przezrzysta, zielona koronka z drobnego listowia, ajimez wypełniony ażurową plecionką gałązek — Helios przez nie przenika, zamglony, jakby jeszcze istniało inne niebo nad to ulistwione.

Dokonałeś czynu, który zapisze ci się w poczet chwalebnych wzlotów. Nawet gdy jesteś tylko Don Kichotem — przeprowadziłeś przez step koczowniczą hordę. Pewnie by jej przyszło wyzdychać pod murami zielonej warowni. Ale ty nie wiesz nawet, komu oddałeś przysługę. Choć jednym z nich byłeś.

Nawet się nie obejrżeli za mną, pomyślałem.

Zrobił swoje — niech się wypcha. Dziwaczny samotnik, który się zjawił na zew pospolitego ruszenia. Teraz wolno mu odejść swoją drogą. Dokąd? Na rykowisku wdychać do czarnych oczu i innych pąsowych powabni. Kosmiczny wrak jestem — tyle razy to sobie powtarzam, a zawsze człowiek zapomina. I szuka człowieczeństwa. Lub stada. Stary samotnik — i nic nie znaczy, jeśli nawet gejsza Strefy Systemu pozwoli sobie na pewną poufałość, jeśli dzicz gnająca przez prerię przyjęła w szereg — na jeden przebieg. Jesteś potrzebny, kiedy coś z ciebie można zyskać — kilka barwnych wspomnień lub porcję energii z dziobowych dysz starbolta.

Koniec. Już mnie Legrand de Saulle rozgrzeszył z delire a deux. Pęd mas porywa czasami nawet takiego jak ja samotnika, który wciąż liczy na żywioł. Moment indukowanej psychozy i — znowu jestem sam. I nawet nie wiem, czy szarży w pierwszym szeregu dokonałem na czele stada czy tłumu.

Dziwne wrażenie zostało we mnie — przez chwilę byłem włączony w krwioobieg tej szalonej Planety, jakbym sobą samym dopełnił jakieś krótkie spięcie.

Chcę przynajmniej wiedzieć, dokąd mnie zaniósł.

Wystarczy się wstecz odchylić i ślizg w magnetyczny wysięgnik. Gwiazdne wnętrze słuzy i — znowu po pas w zielsku, w opadłym igliwiu i liściach, czasami pożółkłych od żaru, to znów tylko strąconych — zanim głowica starbolta pień masztu z korzeniami wykarczowała z ziemi.

W głębi lasu jestem.

Starbolt wciąż spoczywa na elektromagnetycznej poduszce. Tylko z wierzchu nawaliła się potworna płatanina gałęzi, pni powyrywanych z siłą potworną, wleczonych aż tutaj przez dobrych kilkaset metrów, coraz gęściej splecionych, aż się pęd wyhamował na barykadzie ze świeżo zrąbanych bierwion. Ledwie magnetyczny wysięgnik znalazł takie miejsce, żeby mógł wreszcie rozprostować kości.

Obejrzałem się, czy w drugim końcu tunelu drażonego w masywie leśnym nie przejaśni się płaszczyzna stepu. Trudno było dostrzec cokolwiek, jak i w każdym innym kierunku, gdzie pole widzenia ograniczały gęste kłęby gałęzi.

Chciałem posłuchać ziemi, czy stopy nie znajdą w niej oddalającego się łomotu kopyt. Cisza panowała zupełna. Stado dostało się w matecznik, teraz może się rozdzielić na sztuki. Do czasu, kiedy się wychodźcy znowu skrzykną na alert. Teraz słychać coś jeszcze delikatniejsze niż szelest; drzewa zwierają korony w ciemnozielony pułap, pod którym zbiera się echo jak w ogromnej muszli — zwiniętej wokół całej Planety. Szmer słychać żywego morza, potrzaskiwanie pękających pąków i rozprostowujących się liści, słychać stękanie korzeni w opornej glebie i brzęk owadów buszujących w kwietnym poszyciu ziemi.

Jednym z nich jestem — uskrzydłych — niczym więcej. Pochwycony w locie,

zaplątany w pułapkę lian splecionych w pajęczynę i Jej włosów naelektryzowanych, wypełnionych tajemniczym zapachem, z których nie potrafię wyzwolić myśli swoich. I gdzieś tam, w muszli ogromnej, jak w pęcherzu Strefy Systemu zwróconym do mnie pejzażem łagodnej mimikry, tam czyha na mnie gigantyczny ptasznik nastroszony jadowitą sierścią i postawionymi na sztorc szczękoczułkami — pniami sosen.

Roześmiałem się — serdecznie, jakby Natan ze swojej wysokości mógł widzieć, co też mi przychodzi do głowy.

I wtedy zrozumiałem, że nie jestem sam w zielonym ostępie.

## Zasada współistnienia

Nie wiem, czemu się posuwałem przed siebie, dalej od starbolta przywalonego stertą gałęzi. Odchodziłem od detektorów pokładowego komputera, w każdej chwili gotowych dać mi osłonę w polu rażenia dysz. Wiedziałem, że sam nie jestem, a przecież uczuć ogarniających mnie w tym lesie nie mógłbym nazwać nawet niefrasobliwością. Po prostu byłem bezpieczny po raz pierwszy od czasu, kiedy wstąpiłem na pokład „Trieda”.

Nonsens, pomyślałem. W całym wszechświecie nie istnieje miejsce bezpieczniejsze od wnętrza „Trieda”. Nie licząc oczywiście tamtego mauzoleum pod skorupą Strefy Systemu, poza pierścieniem rasowych i społecznych rozwarstwień, których wpływy posiadają ekspresję nie mniejszą niż ergosfera nad wirującym kolapsarem. Nawet Mungo Clair nie zdołał się tam przebić.

Żadne splendid isolation nie warunkuje poczucia bezpieczeństwa. W tym lesie nie czuję się osamotniony. Tak samo zresztą na pokładzie „Trieda”, gdzie — być może — człowiek nawet potrafi wyczuć zawichrzenia elektromagnetycznego pola snujące się wzdłuż obwodów Synchronmatu, lecz wystarczy wyłączyć Synchronmat i otwiera się czeluść, jak nad tamtą studnią zdającą się na wskroś przenikać Planetę.

Co najgorsze — wszystko to bynajmniej nie jest zupełną prawdą. O samotności można mówić tylko w lokalnym kontekście. Samotność wynika z ograniczeń nałożonych wbrew naszej woli, jak przymusowe odosobnienie w więziennej celi, we wraku kosmicznego statku, w zasklepieniu do własnych przeżyć — jeśli się tego dokonuje nie z własnego wyboru. A przecież wystarczy wyjść w przestrzeń — próbowałem tego tyle razy, ciągle nie wierząc na nowo — aby, wbrew wszelkiej logice, właśnie w próżni Kosmosu poczucie osamotnienia okazywało się nie takie znowu dotkliwe. Granice wszechświata to wszystkie światła, które potrafisz odkryć nie tylko wzrokiem. Czym jeszcze? Przecież nie pozostaje bez śladu promieniowanie gwiazd rentgenowskich i neutronowych, tak samo jak tło podczerwieni w gazowo—pyłowych obłokach. Granica Wszechświata przebiega tam, gdzie potrafimy ją sobie uświadomić. Jeśli więc — ja przynajmniej — nigdy nie czułem się samotny w pustej kosmicznej przestrzeni, jest to pewnie jedynym dowodem, że jeszcze w niej sam nie jestem i zbyt daleko nie odeszli ode mnie tacy jak Natan i Endo. A jeśli — Horowitz nawet we mnie zaszczepił swoje tęsknoty — ten brak poczucia osamotnienia złożę na karb innych istot, których obecność potrafię przeczuć, byłoby to jedynym dowodem na ich istnienie. Instynkt więc daje świadectwo bardziej przekonujące nad empirię archeologii z jej Miedzianym Miastem i ruiną szkarłatnej asterias o rdzawych ramionach wzniesionych nad studnią wiodącą głębiej niż wnętrze tej ziemi.

Między pniami wysokich drzew przechodziłem jak po pokładzie dziwnego statku, który zaopatrzono w nieprzeliczone maszty. Żagle wciągnięte na reje konarów — zielone płótna utkane z liści i powojów — zdają się wydymać, trzeszczą pod

naporem wiatru wiejącego z siłą orkanu w wyższych partiach atmosfery. Tutaj jeszcze spokój. Tak samo we mnie, chociaż sam nie jestem. A kto poza mną — nie wiem. Żagle to płuca tego gigantycznego statku. Wydymają się, nasączają energią pęcherzyki liści, oddychają miarowo, żeby wreszcie dech zebrać pełną piersią i pchnąć statek — dokąd?

Jeszcze nie wiem. Wcale nie jestem przekonany, że płyniemy w tym samym kierunku.

Wypadkową mojej tu obecności powinienem szukać w osnowie kilku zasadniczych punktów, z których moje oczy — ćmy Wienera fotoelektrycznymi komórkami szukające światła — zbudowały niedokończoną siatkę powiązań. Ten graf ukierunkowany — dokąd, nie wiem — zaznaczył punkty, w których mnie przeniknęło dziwne uczucie, jak wtedy, gdy w moją stronę przełamywała się Strefa Systemu. Wierzchołki tego grafu mógłbym właśnie nazwać „punktami przełamania mojej samotności”. Z architektury tej Katedry wyłączam dzieciństwo, poligon FL–Galax, Ulama i... być może Mungo Claira. Nie tworzę przecież ogólnej teorii zahamowań mojej osobowości, jeśli jej nie sporządził Synchronmat. Trzeba się ograniczyć do tego jednego lotu ćmy Wienera w poszukiwaniu słońca.

Przede wszystkim więc — lokalizacja startowego pola. Skąd mogę wiedzieć — gdzie, kiedy i czy w ogóle istniało? Może idę ciągle tą samą drogą, która kohorty moich protoplastów wiodła przez stopy do ziemi obiecanej, ledwie odsłoniętej spod płaszcza lodowca. Zanim na niej zakwitły jaskry i polna mięta. Tam to się przecież zaczęło — nie tutaj, na tej Planecie, gdzie się dzisiaj przedzieram przez gęste poszycie leśne, pod baldachimem drzew rozgałęzionych na zawrotnej wysokości.

A więc — wierzchołki mojego grafu; po pierwsze — wzrok wierzący mi w plecach dziurę, kiedy naprzeciw Liany siedziałem w Interklubie; następnie — próba kontaktu z Lianą; i cały czas czyjaś jeszcze obecność, której poczucie mogę już umotywować dzięki rozmowie z Synchronmatem. Po trzecie — śmiech pod sklepieniem Katedry Księżyca, który w moich uszach brzmi jeszcze. Wierzchołek następny — u podnóża tunelu wychodzącego z morza. Pierwszy posiew zmierzchu. Potem — przez oczy Endo — spotkanie z mieszkańcami Białej Kuli w sercu Miedzianego Miasta. Kolejny wierzchołek grafu — to indukowane zjawisko psychotyczne, którego podmiotem stałem się — może i nie wbrew własnej woli, lecz z pewnością mimo biologicznej blokady i pancerzy starbolta. I wreszcie — to uczucie, które mnie przenika w tym lesie. Czy przeoczyłem coś jeszcze? Zapewne.

Liczy się terazniejszość.

A więc WY, którzy widzicie, że istnieję — jak rozpozna — jecie rozum w innej formie życia? Powinienem zaczynać od podstaw — czym jest Rozum i czym jest Świadomość. Nigdy nie byłem mocny w teorii. Spróbuj więc mi udowodnić — kimkolwiek jesteś, że posiadasz świadomość. W konfrontacji z przedstawicielem tego samego gatunku łatwo na wiarę przyjąć istnienie świadomości; masz dwoje oczu, dwie pary kończyn, tułów, żołądek, wątrobę, serce i inne przystawki, informacje kodujesz w słowa przy pomocy tego samego języka — pewnie więc posiadasz taką samą świadomość. Jakież to paradoksalne — identyczność formy gwarantuje tę samą głębię ducha. Jak jednak dowieść istnienia świadomości, kiedy jesteś tym właśnie — drągiem głęboko zakorzenionym w ziemi, oddychającym powietrzem i słońcem w liściastej koronie drzewa. Czy Rozum i Świadomość można utożsamiać z sobą? A jeśli nie — Rozum jest funkcją Świadomości czy na odwrót? Może istnieje Świadomość ponad Rozumem. Albo istniała przed nim?

Przecież te drzewa i las cały, nie są tym samym, co się wykluło z ziemskich nasion. Historię drzew na tej Planecie określają miliardolecia. Epoki istniejące poza upływem czasu regulującego tempo przeobrażeń innych wysoko zorganizowanych form życia.

Czy mogą istnieć inne miary ewolucji? I czy można wyobrazić sobie anagenezę nie dokonującą roszady genów dopiero w przemianie pokoleń, lecz kształcącą karyotyp każdego osobnika, wymieniającą i łączącą chromosomy poza mejozą? A przecież te drzewa nie rodzą się i nie rozsypują w proch — kiedy patrzę na nie. Tonizujący syndrom tego globu nie spełnia roli za wszelką cenę stymulującej biogenezę. Te drzewa wyglądają tak, jakby istniały poza oceanem czasu — niby ziemskie sosny i dęby, którymi już nie są. Jak nie był nim ten jeden, szczególnie dąb w gęstwinie dąbrowy, przed którym ofiary składało moje plemię.

Wystarczy podejść bliżej i o pień oprzeć rękę.

Chciałbym móc — na dzień dobry — przystawić do kory nagą dłoń, nie wzdrygając się przed jadem Borgiów. Lecz i tak czuję, jakby pień sekwoi zdrzął przy moim dotknięciu, jakby ją dreszcz przeniknął od korzeni po konary splątane w gałęzie drzew sąsiednich. I widzę wyraźnie — pień drzewa pokryty miękką i leciutko przezroczystą glazurą. Wzrok przenika do wnętrza pnia, zwiąja się zgodnie ze słojami zawiniętymi niby papirus kryjący w spirali tajemniczy zestaw hieroglifów. To drzewo żyje nie tylko tak, jak ja — zwierzę — uważam, że przystoi drzewu. Pewnie bym usłyszał jego szept — zjednoczony z szeptem całego lasu — trzeba tylko podnieść przyłbicę.

Już sięgnąłem ręką do specjalnych zacisków przy podstawie hełmu, gdy pomyślałem — co chcesz zrobić! Aż mnie chłodny pot oblał, zanim go zlizła biologiczna ochrona.

Przecież i tak coś mi przeszkadza przysłuchać się tym głosom. Trzask słyhać, jakby gdzieś — teraz całkiem blisko — przez kępy rzednącego leśnego poszycia przedzierały się mięsne tusze, potężnymi barkami mieszały w zagajnikach — byki o garbach z wylenią sierścią, haczącą o sęki i wlokącą z tyłu wełnistą pajęczynę. Dicz nie potrafiąca uszanować ewolucji, która w tym lesie zamknęła inną pętlę i nie jest jej potrzebna wędrówka w przestrzeni ani w czasie przemiana pokoleń. Tutaj trwa nieskończona ontogeneza. I Wielki Animista tego lasu nie wie, co to materiał zużyty, zepsuty w naturalnym doborze rozwiązań, odrzucony poza czas teraźniejszy. Przecież nie może istnieć skończoność ewolucji tam, gdzie poza zewnętrzną formą zmienia się jej jakość. Całą gęstwinę przenika więc coś bardziej ulotne od szeptu, który mógłby być czymś głosem. Kiedyś, przed tysiącami lat Natura powstrzymała też ewolucję zewnętrznej formy gatunku homo sapiens. W imię tym potężniejszych preistoczeń na innym poziomie.

Pewnie dlatego krocząc między słupami masztów tego kosmicznego okrętu nie czuję się sam. A może Endo, jak chlebem, podzielił się ze mną swoją demonomanią?

Nie patrzyłem pod nogi — ani na chwilę nie zachwiało się we mnie poczucie pełnego bezpieczeństwa. Mój wzrok błędził wysoko, gdzie bez rezultatu próbowałem przetyczyć granice między koronami drzew. Niby się różniły kształtem i odcieniem liści — od zbrązowiałego listowia buków i czerwieniejących klonów, po wiechy kordaitów wymarłych na Ziemi w późnym paleozoiku. Obok szpilkowe sosny, świerki i modrzewie, sekwoje na jednym z innymi drzewami poziomie. Wyglądało to tak, jakby niedorosty i nad stan wybująe egzemplarze sprowadzono do jednego poziomu, gdzie przeplatają się listki robinii i wachlarzowate miłorzębu, wielopalczaste kiście kasztanów nabożnie składają pomarszczone dłonie, w półmroku krzyżem rozpostarte wiszą potężne ramiona jukki na końcach nastroszone konopianymi wiechciami, tuż obok trzepoczą listowiem osiki i biała brzezina podświetla pnie nie rozgałęzione wcale, zwieńczone za to pióropuszem gigantycznych, pierzasto rozczłonkowanych liści, z zielonych pochw wychylają się tam wielometrowe kwiatostany z drobnego, barwnego iskrzenia, to znów ogromne ogniska żaru w jaskrawoczerwonych kielichach.

Wszystkie drzewa wynosiły korony mniej więcej na tę samą wysokość, niby belkowanie wspierające płaski dach, nieprzenikliwy dla żarliwego wzroku Heliosa. A jednak nie było tutaj zupełnej ciemności. Teraz dopiero pomyślałem o tym. Pnie z wysokości przewodziły odrobinę światła, poza tym coś się jarzyło w mchu i trawie — szarobłękitne podświetlenie. I chociaż nigdzie nie dostrzegałem tu świętojańskich robaczków, zdawało mi się, że to od nich liście nauczyły się skomplikowanej chemicznie przemiany enzymów, aby rozświetlać drogę — jeśli komukolwiek przyjdzie ochota tu wstąpić.

Nie miałem czasu ani ochoty zastanawiać się nad tym zjawiskiem. Przecież i tak nie mam czego szukać w tym lesie. Czymkolwiek jest — nie rozumiem, chociaż wtargnąłem w jego ciemnię — najpierw bym musiał sam wrosnąć korzeniami w ziemię.

Jeszcze myślałem o tym, a już oczy znalazły dla tych myśli odzew. Nagle pękł baldachim liści i konarów drzew przynależnych absurdalnie różnym strefom klimatycznym. Zabrakło filarów wspierających ten strop i jasna polana otworzyła się przede mną na oścież.

I oczy moje zarejestrowały jednocześnie: skrawek nieba oraz łuk tęczy. Jak najbardziej materialnie wyłamywała się z leśnego poszycia, żeby znów wrócić w mech rozchylony gąbczastą fałdą.

Jeszcze stałem zafrasowany, kiedy głos Natana zaczął się dobijać do mojej świadomości:

— Niech cię diabli, Elf! — w zenicie zielonkawego nieba wisiała iskierka starbolta. — Przecież nie mogę pruć całego lasu, żeby cię jak wesz z tej sierści wyłuskać! Trzeba było powiedzieć, że idziesz na spacer. Przynajmniej bym się przespał. Wiesz, ile to trwało? Żadna chmurka nie wytrzymała tej zabawy w wisielca...

Niebo rzeczywiście było nieskazitelne, jakby ponad i poza tym lasem przeszła burza nic nie znacząca dla jego szczelnym okapem ocienionej głębi. Tylko na skraj polany, jak grzyb po deszczu, wyrosła tęcza — nieco bardziej mleczna od tych rozwieszanych w powietrzu.

— Trzeba się było odezwać wcześniej — powiedziałem.

— A ty, co myślisz?! Co ja przez ten czas robiłem, jeśli nie zdzierałem gardła? — mówił to głosem nie wskazującym na zbytnie nadwężenie strun. — Ten cholerny las starannie ekranuje fale radiowe. Może wiesz, po co?

— Nie wiem — przyznałem, zaskoczyła mnie wiadomość, że tę chwilę spokoju nie zawdzięczałem bynajmniej wstrzemięźliwości Natana w mowie.

— Więc po co tam poszedłeś? — nastawał. — Przynajmniej coś z tego wyniosłeś? Zastanowiłem się chwilę.

— Nic — odpowiedziałem.

Roześmiał się, a ja znowu odczułem w tym nutkę pobłażliwości.

— Nic takiego, co mógłbym ci przekazać — dokończyłem. Tym razem milczał długo. Nie wiem, może zrozumiał.

— Ech, Elf! — westchnął wreszcie. — W takim lesie bałbym się oko zmrużyć. Chociaż akurat ten las może nawet sprzyjać umysłowej ascezie. Daleko mu do tropikalnej dżungli. Dobrze przynajmniej, żeś sam z tego wyszedł cało.

Zupełnie nie rozumiałem tych jego uprzedzeń. Zresztą, może z lotu ptaka wszystko to tak właśnie wygląda?

— A przedtem... — zaśmiał się znowu. — Bardzo to sprytnie wykombinowałeś.

— Co masz na myśli?

— Zaskarbiasz sobie wdzięczność — powiedział. — Widziałem tamtą wspaniałą szarżę. Szybko awansowałeś na przodownika stada...

Wzruszyłem ramionami. Nie imponowało mi ostatnio jego szczególne poczucie humoru. Przyglądałem się mojej tęczy. Podobna była do magnesu w kształcie podkowy, biegunami osadzonego w ziemi, albo do szklanej kolby wygiętej nad płomieniem, w której przepływają jeszcze zgęstki dymne.

— Czyją wdzięczność? — spytałem odruchowo.

— Oczywiście Wielkiego Animisty tego globu — zachichotał. — Pomogłeś mu zamieszać koktajl. Agresja to najpewniejsza siła motoryczna wszelkich przemian. Biologicznych, społecznych i politycznych. To jedno z praw Strefy Systemu. Poza tym koczownicy to zawsze świeża krew dla osiadłych plemion.

Nie słuchałem, co mówi dalej. Poczujęm się, jakby żelazna ręka zacisnęła się nagle na moim gardle. Z jednej strony, stojąc naprzeciw bladej tęczy, miałem wrażenie jakbym znowu — za pośrednictwem zmysłów Endo — znalazł się w mrocznej czeluści Miedzianego Miasta, przed białą kulą, z której wnętrza ktoś mi się przygląda — sam nie wiem: wrogim czy przychylnym wzrokiem. Z drugiej — moje myśli były się rozpaczliwie — z nikim przecież nie roztrząsałem moich psychopatycznych mitologizmów, a już Natan byłby ostatnim, komu bym wyśpiewał poronioną wizję Wielkiego Animisty Kosmosu.

A jednak on WIEDZIAŁ, jakby potrafił czytać cudze myśli.

I niespodziewanie przypomniałem sobie tamtą srebrną siateczkę, którą w mojej obecności elew Strefy Systemu tak starannie przywdziewał na głowę.

— ...Trochę żal, żeś się z nimi rozstał — ciągnął swoje. — Miałbym ochotę zapolować. Trzeba było przynajmniej wybrać jakąś dorodną sztukę i pod sadło wstrzelić radioboję...

— Natan — przerwałem mu. — Czy mógłbyś zdradzić tajemnicę, do czego służy ta siatka, którą włożyłeś na głowę?

Zamilkł, jakby go zatkało w pół słowa, lecz wybitnie mu dzisiaj dopisywał humor — usłyszałem, że znowu zachichotał.

— Celnie strzelasz, Elf! — zawołał. — Właśnie tak! Jest mi to potrzebne, żeby mnie samego ktoś nie wziął na peleng, jeśli tego nie chcę!

Przez chwilę stałem usiłując zrozumieć to, co usłyszałem.

Potem postanowiłem w duchu, że mu wszystkie nadliczbowe akcesoria własnymi rękami powyciągam z za uszu. Tylko wrócimy na pokład „Trieda”.

Na razie przestałem się nim przejmować.

Łuk gigantycznej tęczy rozpiętej nad polaną przejrzysty był i wszystkimi barwami rozszczerzonego światła mienił się tylko w zenicie. Tam prześwietlały go na wylot promienie Heliosa, lecz poza tym nagle utracił dla mnie poczucie lekkości. Teraz po prostu biały walec wyłaniał się z ziemi, matowomleczny słup przechodził w przezroczyste przesło i po przeciwnej stronie zniknął wbity między drzewa. Stamtąd właśnie wypływały zgęstki białego dymu, w osi tunelu dążyły do punktu przełamania łuku, gdzie przezrocza ścian pozwalały im wyjrzeć na zewnątrz. Z wysokości tej estakady niewidzialne, choć tak wyczuwalne oczy podziwiały pejzaż wysokopiennego lasu, po czym przepływały w drugi koniec polany, żeby ustąpić miejsca dla innych ciekawskich.

Nagle powolne przemieszczanie ameboidalnych zgęstków uległo zakłóceniu. Kęsy o galaretowatej konsystencji utknęły w szklanym przetyku. Zrozumiałem, że ktoś wreszcie odkrył moją obecność.

Mierzyliśmy się wzrokiem; ja — karzeł nawet wobec pni otaczających mnie zewsząd, oraz ten ktoś, kto się właśnie zatrzymał w apogeum triumfalnego łuku tęczy. Promienie słońca załamywały się w kryształach i oslepiały mnie, zmuszały do mrużenia oczu, jakby z ich rozbłyskiem nie mogła sobie poradzić szklana kula hełmu. A przecież chciałbym patrzeć prosto przed siebie, móc przynajmniej wzrokiem zmierzyć

się z tym kimś, przed kim załamał się Endo — stworzony aby przeciwstawić ciało wszelkiej agresji Kosmosu. Ciało — pomyślałem. Soma — jak rzekłby Horowitz. W tym sęk właśnie — w środku, z tym swoim Chorem, reliktem 'wymarłej cywilizacji, pozostał Endo aż nadto człowiekiem.

— Przyglądasz się? — zapytał Natan. — Miałem sporo czasu, żeby się nad tym zastanowić. I mam na ten temat własną teorię. Te białe tunele dziwnym trafem usytuowane są zawsze w sąsiedztwie resztek cywilizacji z kręgu Miedzianego Miasta. Mam podstawy sądzić, że jedno i drugie jest przejawem odrębnej technologii...

No proszę, pomyślałem, okazuje się, że moi młodzi przyjaciele nie zasypiają gruszek w popiele.

— Na temat cywilizacji przenikającej na ląd z głębi oceanu nic nie wiemy. Trzeba spenetrować dno jakiegoś morza, najlepiej pójść śladem jednego z tych białych korzeni — Natan zdawał się sam ze sobą rozważać na głos. — Oni w nich wędrują. Przystosowani do odmiennych warunków wychodzą na brzeg przepychani w aortach wypełnionych koloidowym płynem. I to mi wygląda na ich pierwsze dopiero kroki. Początek ekspansji. Widziałem, jakie odległości muszą pokonywać wierząc podziemne tunele. Tylko po jakie licha przepychają te szklane rurociągi specjalnie nad resztkami jakichś ruin... Nie wiem. W każdym bądź razie, gdziekolwiek na powierzchni Planety jest coś intrygującego, tam niewątpliwie białe kłacze przebijają z ziemi...

Kłacze tęczy, w której ktoś — przypisany oceanicznej głębi, przenika w zakazane strefy przestrzeni. Pomyślałem, czy ich wyczyn nie dorównuje marzeniu człowieka o zdobyciu skrzydeł, a wreszcie — wyjściu w kosmos. Dla istot żyjących na dnie oceanu lądy tej Planety są innym kosmosem.

— Pozostaje otwarta sprawa, co stało się z cywilizacją architektów Katedry Księżyca i Miedzianego Miasta — Natan ciągnął swoje. — Myślę, że problem dojrzał do tego, aby postawić go w następujący sposób: jak ci spod powierzchni morza zdołali wyeliminować konkurencję psychozoiku znacznie wyżej zaawansowanego technologicznie...

— O czym ty mówisz? — zdziwiłem się.

— Już rozmawialiśmy na ten temat. Zasada wykluczania się gatunków współbytujących na tym samym terenie, w tym samym środowisku, obowiązująca od strony biologicznej wszelkie gatunki roślin i zwierząt o tych samych wymaganiach ekologicznych, dotyczy również psychozoików. Zmienia się tylko skala, obejmująca odąd całe planety i gwiazdne systemy. Zresztą ta sama dialektyka w ramach danej cywilizacji też warunkuje wykluczanie się na przykład systemów społecznych. Powinieneś wiedzieć coś na ten temat... Tak, Elf. Na tym samym globie nie mogą współistnieć dwa rodzaje cywilizacji, konkurujące ze sobą zarówno w sferze wykorzystania zasobów surowcowych i energetycznych, jak w dążeniu do pogłębiania wiedzy o wszechświecie. Obiektywizm nauki nie gwarantuje uniwersalizmu kosmogonii czy ideologii, krojonych zwykle na doczesną miarę i według indywidualnych potrzeb... Tym nie mniej ci, którzy tutaj wypadli z gry, byli nam bliżsi. Dowód miałeś w ręku.

Przynajmniej w tym miał rację, jeszcze czułem w dłoni ciężar pustego czerepu.

— Kulturę z kręgu Miedzianego Miasta stworzyła cywilizacja istot człękkształtnych — ledwie docierała do mnie istota rozważań Natana, myślałem tylko: tam, wysoko, wszystko wygląda inaczej. — I powiem ci szczerze, Elf. Mało mnie obchodzi, skąd oni się wzięli. Choćby ich biosfera tej Planety wykształciła na nasz obraz i podobieństwo. Wiem, że tylko ruiny zostały po nich. I właśnie to jest ważne dla mnie — dlaczego? Jest mi potrzebna wiedza — jak to się stało, żeby zrozumieć, dlaczego im się nie udało... I nie popełnić tych samych błędów.

Rozumiesz, Elf? Oni zostali zniszczeni, wyeliminowani z konkurencji... I, śmiem twierdzić, że te żywe zgęstki, które cię tak zafascynowały, z pewnością przyłożyły do tego rękę... Rękę! Niech to diabli! Znowu się roześmiał.

Nie wiem czemu akurat teraz znalazł okazję do wykładania swoich teorii. Zbytnio ich nie słuchałem. Znaczące były dla mnie nie bardziej od szemrania liści za moimi plecami. To przypominało, że — być może — nie wszystko jest takie proste, jak by tego pragnął człowiek pilotujący starboltem zawieszonym wysoko nad lasem. Wyżej niż szklana tęcza.

Tymczasem w niej istniało coś, co prawie bez reszty pochłaniało moją uwagę. Z najwyższego punktu w tęczowym łuku coś mi się przyglądało uważnie. Nie potrafiłem określić, czy to coś posiada oczy — było na wpół przezroczyste, niby klosz o zawiniętych brzegach, wewnątrz wypełnione bezkomórkową, galaretowatą mezogleją, przyciemnione węzłami jakby gonad, na zewnątrz rozczłonkowane czułkami niewiele gęstszymi od ośrodka, który pozwalał temu zawisnąć niby w zupełnej nieważkości. Kiedy tak patrzyłem promienie Heliosa, który tymczasem przewinął się pod dolną krawędź tęczy, przeniknęły to ciało od spodu. Wydało się lżejsze niż w naturze, bardziej rozwodnione — na ile to możliwe — jeszcze mniej określone od gigantycznej meduzy. Był to już tylko zgęstek koloidu nie ograniczonego komórkową błoną. To coś — zupełnie leciutkie — unosiło się w powietrzu niby smok z przezroczystego celofanu wprowadzony w barwną tęczę. Wątpiłem w istnienie bodaj ropalii na jego powierzchni — on mnie raczej wyczuwał całym swoim ciałem zogniskowanym w wielką soczewkę.

Niespodziewanie to przeżrocze zmieniło się nie do poznania. Wszystko trwało ułamek sekundy. Teraz nasączone szkarłatem i pulsujące gwałtownie — rozchyliło się, jakbym zairzał w rozwarte w moją stronę gardło. W środku eksplodowało przekrwione widmo światła i poczułem uderzenie w pierś, jakby to było odbicie kurczu mojego własnego serca. Jednocześnie przeraźliwa siła zaczęła mi ukrecać głowę. Miałem wrażenie, że za chwilę — mimo stawianego oporu — trzasnę mi kręgi szyjne, jakby mój tułów i głowę zaciśnięto w dwóch ogromnych garściach i próbowano w przeciwne strony wykręcić ptasią szyję. Jeszcze chwila i pękną ścięgna, a gardło zostanie wyżęte jak szmata — szarpnąłem się — zarzuciło mną niespodziewanie lekko. Wzrok omiół palisadę pni i obróciłem się wokół własnej osi.

Dech rai zaparło w piersi po raz wtóry. Poza jaźnią podniecony głos Natana — krzyk ostrzegawczy.

A tutaj — na wprost, jeszcze przed chwilą skradające się za moimi plecami — zjawisko dziwaczne, promienne bardziej od tęczy i kryształu przenizanego wiązka laserowego światła, przysiadłe do ziemi i gotujące się do skoku, a teraz zdziwione, że się ofiara spostrzegła i spróbowała stawić czoło.

Między czarno—żółtymi pasami otworzyło się w moją stronę — tym razem jak najbardziej realnie — rozwarte szeroko, zielonkawoszare tygrysie oko. Widziałem tylko ten pałający kryształ kwarcu wbity w czerep ogromny — wszystko poza nim, jak we mgle; pysk skośnopręgi, świetlistą sierścią zachodzący na sterczące uszy — zaróżowione płatki woskowych małżowin, z bębna piersi basowy pomruk. Jakie to dziwne — niby pysk tygrysi, a poza nim skrzydła. I tułów jakby się wychylający z muszli, z ciemności szumiącej listowiem — odbicie w zwierciadle czarnego lakieru pokrywającego ziemię i nagle tam, z puchu białej sierści, w pierzastym obłoku iskierek zawiązane ramiona nagie i piersi obrzmiałe różową erekcją — każda ledwie by się zmieściła w dwóch podstawionych dłoniach — światłem wypełniona, znajoma cielesność. Chciałbym wyciągnąć rękę i drżącymi palcami upewnić się, rozchylić cieniutki aksamit tej sukni — a przynajmniej prześliznąć się wzrokiem — gdzie pod białym brzuchem pęć gorąca, jej wargi pąsowe, drgające lekko nad sierpami kocich



zębów.

Nie było we mnie odrobiny strachu.

Nic — zupełnie. Chociaż przede mną przysiadłe do ziemi i sprężone, do skoku już gotowe zwierzę — nie wiem — już taka pewnie jego natura, kocia i skrzydlata, drapieżna i miękka, jak przystało na efemeryd tej Planety — może się objawił z zamieszanego przeze mnie koktajlu, pewnie stąd tak bliski mojemu pragnieniu — bardziej niż te drzewa i starbolt zawieszony w niebie.

Gdzieś tam właśnie szelest — szybszy od światła, jakby się w przestrzeni zaogniła zgorzel i sparzone powietrze stężało w tuleję, przez którą prześlizguje się słoneczne żądło.

— Nie—e! — wrzasnąłem z nagłym przerażeniem i rozpaczliwie rozłożyłem ramiona, jakbym chciał własnym ciałem osłonić to dziwaczne zwierzę, a z nim wszystko, co tylko sobie wyobrazić mogę. — Natan! Nie—trze—ba—a!

Tylko na moich ramionach błysk promieniowania odtrąconego zwierciadłem biologicznej ochrony. Przez moment zdawało mi się, że rozdarte powietrze wysysa mnie z powrotem w stronę kosmosu — przez szczelinę sięgającą nieba.

Zamiast tego grzmot i potworna eksplozja spopiela ziemię, drzewa skurczone — kucające karły, i we mnie też — świadomość czegoś, co się nie odstanie — bezpowrotne i straszne w tym błysku przygważdżającym do ziemi olbrzymie cielsko; skrzydła i sierść opalone w oka mgnieniu, w kryształach kwarcu zastygłe zdziwienie. I ból. Jeszcze jedna detonacja wyrzywa kawał ziemi spod różowej piersi, promień przenika przez grzbiet i rozkłada ciało na powierzchni błękitnego pęcherza, unosi — płeć zmarszczoną od żaru, nagie ramiona skruszałe czarnym węglem i łapy — już tylko powietrza czepiające się rozwartymi szponami.

Ja jeden stoję — zaparty całą mocą serwomotorów. Poza mną żądło promienia znowu ukryte w skorupce starbolta. Westchnienie ulgi pod sklepieniem nieba — na wysokości, z której wszystko widać inaczej niż tutaj, gdzie stoję przyprószony popiołem, gdzie przewrócone na grzbiet truchło — wilczycy — kota — i orła — wali się na ziemię; jeszcze z rozprutych bebechów tryska perłowa jucha i bryzgi krzepną w locie w okruchy węgla. Jeszcze widzę, jak drga zwarzone białko i z brzękiem osypują się krzemienne łuski — z obłamanych skrzydeł na gasnące oczy w bezkształtnej grudzie mięsa. Sam nie wiem kiedy — na kolanach jestem. A w piersi spazm, zgrzyt zębów — ręce ubabrane w sadzy — zostaje tylko nienawiść, ślepa wściekłość i bezradność zupełna — coś we mnie pękło, coś, co tak powoli dopełniało architekturę tajemnego grafu. Oto utraciliśmy być może jedyną szansę, żeby nawiązać kontakt z czymś, co istnieje — wiem przecież — poza absurdalną teorią wykluczania się psychozoików w obrębie jednej planety.

Ziemia paruje, jeszcze się perlą zagotowane i wypatroszone trzewia sfinksa, a we mnie dojrzeła przekleństwo — dopełnienie tej wiwisekcji obnażającej ludzką naturę przed obliczem lasu i wędrowca z kryształowej tęczy.

Podniosłem się powoli i obróciłem, jakbym chciał wstąpić pod przygotowany specjalnie dla mnie triumfalny łuk. Zawsze można pokładać nadzieję w mądrości większej, niż potrafimy sobie wyobrazić. Tym bardziej, jeśli jest coś, co nas wiąże — ciekawość. Przecież i oni zdradzili własną głębię, powinni zrozumieć, że podbój przestrzeni nie może się obejść bez ofiar. I pomyłek. Przecież z pułapu, na którym zatrzymał się lot starbolta, niepodobna poznać, że w oczach sfinksa taił się rozum.

## Wężowisko

W łuku tęczy spłynął pod ziemię mleczny zgęstek, niby parafinowa maska — pośmiertnie zdjęta z twarzy zakrzepłej w dziwnym grymasie.

Moje oczy też ciążyły do ziemi, gdzie rozpełzały się parujące wnętrzności, ostatecznie traciły zwięzłość mięsa zszytego ścięgna. „Mówiłem, żeby się trzymać daleko od tego lasu — słyszałem w sobie czyjś głos. — Miałeś piekielne szczęście, że się znalazłem pod ręką.” Efektory skafandra, drenażem biopola przenikające w moje ciało, daremnie próbowały załagodzić pourazowe drżenie rozchodzące się wzdłuż rdzenia kręgowego. Po raz pierwszy też od niepamiętnych czasów czułem swoją twarz, jakby cofnęło się zwiotczenie skóry — teraz była napięta, ostrymi drgawkami reagująca na akupunkturę trudnych do zlokalizowania ognisk nerwobólów.

— To twój ostatni lot — nie głos, lecz zgrzyt zębów.

— Za to nie możesz narzekać na brak emocji — nie zrozumiał lub nie dosłyszał Natan.

— Wrócisz na pokład „Trieda” — zacząłem martwym głosem. — Przekażesz Synchronatowi, żeby się skontaktował ze mną.

— Stało się coś, Elf? — zaniepokoił, się wreszcie. — Wiem, że to dla ciebie szok, ale... Na taką odległość nie mogłem szybciej zareagować.

Aż mnie zatkało, jakbym i ja wreszcie trafił w parowy kocioł tej rzeźni. Pomogło.

— Refleks masz aż za dobry — powiedziałem.

— Prawda?

— Natychmiast więc zameldujesz się na pokładzie „Trieda”.

— Zaczekam na ciebie.

— Nie. Wykonasz rozkaz.

Mogłem już mówić, tylko wzroku nie potrafiłem uchylić od tego, co się walało u moich nóg. Jeszcze szkarłatne pazury długie na kilkanaście centymetrów powolutku wysuwały się spod poduszek łap, jakby teraz dopiero następował ich ostateczny rozkurcz. Widziałem pęknięty koci pysk — płaski jakiś, niby ostrą sierścią pokryta i hieroglifem Wang naznaczona twarz skośnookiego Chińczyka — poza nią coś jeszcze, trudne do określenia. Z pękniętej czaszki wyływał najpierw szarawy sople mózgowia, raptem — zadrżałem — spomiędzy rozłupanych, różowych, jakby z plastycznej masy wykonanych sztucznych szczęk, wysunął się zielony pęd. Błady kiefek spełził po nitce śluzu aż do ziemi i zagrzebał się w gorącym popiele. Krąg zwęglonego poszycia, trawy i mchu, dymił niby próchno — płat huby pokrywającej grunt, w którym każde poruszenie powietrza na nowo roznieca żar.

Usłyszałem krótkie skwierczenie — coś jeszcze niby tłusta kropla upadło między wędrujące skry; zielone, wąskie pasemko wysupełane spod liniejącej sierści.

Natan odezwał się po dłuższym milczeniu.

— Pomieszanie planów, Elf. Powinieneś lepiej wczuć się w rolę i zrozumieć, kim jesteś, między mną a Endo. Żebyś od jednego z nas nie musiał usłyszeć: sus Minervam docet.

Milczałem. A on się roześmiał nagle, gardłowo — w jednej osobie kochanek i kochanka, który wygrzebał się z pościeli po długiej-długiej nocy, podszedł do okna i podniósł żaluzję, a potem się obejrzał na tego drugiego, wtulonego w zieloną koldrę — i ziewnął nad nim.

Jak on — z wysoka — nade mną.

— Przykro mi, Elf, lecz rzeczywiście brak mi gwarancji, że dziś lub jutro nie zrezygnujesz z moich usług — powiedział. — Zrobiłem wszystko, żeby ci pomóc. Właściwie powinieneś być mi wdzięczny. Wpakowałeś się przecież w paskudną aferę. Ale ty się prawie nie orientujesz, kto i co tutaj rozgrywa.

Prawie nic, przyznałem mu rację. A jednak i ja byłem pewien, że nie wszystko w tym świecie ułożone jest tak, aby się potulnie wpasowywać w strategiczne plany

któregokolwiek z nas, tudzież w eschatologię importowaną ze Strefy Systemu. Wierzę, że i na tej Planecie znajdzie się ktoś, mający coś do powiedzenia.

— Czas nas rozsądzi — powiedziałem.

— Za późno, Elf — odezwał się głosem pozbawionym emocji, jakby wszystko dawno przemyślał i tylko czekał na okazję, żeby się rozliczyć ze mną. — Nie mogę dać ci tej szansy. Tym bardziej nie dam jej Endo. Poza tym, jeśli już któryś z nas, to właśnie ty powinieneś zostać przez Synchronat zapakowany w przetrwalnik. Ja nie zaryzykuję kolejnego przebudzenia dopiero w dokach Strefy Systemu. Wybacz więc i rozstańmy się w zgodzie.

— Jak ty to sobie wyobrażasz? — spytałem.

— Zwyczajnie. Nie przeszkadzajmy sobie. Jeśli zechcę, sam się przypomnę.

— Co chcesz zrobić?

— Nie doceniasz mnie. Naprawdę mam dosyć chodzenia krok w krok za tobą i przyglądania się twojej bezradności. Dam sobie radę.

— Jesteś pewny siebie.

— Przecież już wiesz, Elf, jak to jest — jego głos stał się nagle gorącym szeptem tuż przy moim uchu. — Powiedziane było, że wtedy dopiero, kiedy dwoje stanie się jednym, będziemy prawdziwym synem człowieczym. Wtedy wystarczy rzecz: „Rusz się, góro” i góra się ruszy. Jeśli chcesz się temu przeciwstawić to tak, jakbyś drwił z praw natury. Albowiem nie jest to tylko koincydencja płci. To przede wszystkim nowa świadomość...

Drwił ze mnie, a ja bezradnie stałem i patrzyłem, jak na wszystkie strony rozpełza się góra śniętego mięsa. Najpierw ją pleśń pokryła szarym nalotem, potem mech porósł ruchliwą szczecinią. Wreszcie ze wzdętych kiszek i murszejących gnatów jeden po drugim zaczęły kielkować wrzecionowate listki — skręcone tulejki konwalii, w każdej szypułka z kilkoma perełkami. Zielsko się wiło. Niby w kałuży wiosennego deszczu, w którą spłynęło jeszcze trochę ciepłej krwi, budziły się czerwie — kłęby białych korzonków. Po chwili — nawet mnie to nie zdołało poruszyć głębiej — nic nie zostało, bodaj kłaka żółtej sierści, rozsypanych łusek i białego puchu — tylko listki, zielone włókienka z rozwarstwionych mięśni i kępa soczystej trawy, gdzie wrosła czaszka, jakby trafiła na szczególnie żyzną glebę.

Tępy spojrzeniem obejrzałem się wkoło. Las też się zmienił. Drzewa się jakby słaniały, kołysały zwieszonymi konarami — prężnymi kiszkami rękawów. Gęste korony spełzały do ziemi nitkami lian — zielonołuskich węży, z tułowiami pokrytymi wzorzystą mozaiką chitynowych blaszek — listków brzoźowych. Już mnie otaczały rozłogi nie pni lecz traw wysokich, grzechoczącymi ziarnami w ogonach zakończonych szyszkami, wijących się coraz prężniej. I wszystko, co przed chwilą było zwierciadlanym odbiciem ziemskiej biosfery, rozpadało się na węzowe włókna, na nitki coraz cieńsze — na moich oczach pruł się na strzępy zielony pokrowiec ziemi utkany z pajęczej przędzy.

We mnie trwało echo cudzych myśli — przyglądaj się! Może i w sobie znajdziesz przyczynek tej doskonałości, która zawiązuje się w powszechnej orgii funkcji i kształtów, — poza płcią, poza ciemnością i światłem, powietrzem i ziemią, wodą i ogniem, ponad złem i dobrem.

Już przeszło tęczy zmatowiało nade mną — tylko łuk białego szkliwa, od wewnątrz promieniujący światłem, niby szklana kolba wypełniona gazem lub parami rtęci, przez które przeskakuje ciągle wyładowanie elektryczne — lampa zielona przed nastaniem zmroku.

Zrozumiałem dopiero teraz — gdzież przepadła rozpalona głównia Heliosa. W powietrzu wisały zmarszczki mgielne, brudnymi gruzłami pudru złuszczone ze starczej twarzy. A podskórnie już się krzewiły żyłki czarne, obrzmiewały chłonne

węzły i pękała barwna glazura nałożona na czerwoną glebę. Noc nad horyzontem — dokąd sięgałem wzrokiem, ponad ugiętą przełęczą w masywie leśnym — narastała jak mroźny rysunek szronu wstępujący po szybie. Szkic to był raczej, choć wypełniany coraz gęściej — czarnym węglem bezpardonowo nakładany na nieskazitelną akwarelę nieba.

Gdzieś tam — w punkcie styku kruczego skrzydła i zielonego planktonu, jeszcze się iskrzył srebrny nit starbolta.

Chciałem przywołać go do porządku, rozkazać, żeby natychmiast lądował koło mnie. Nawet powietrza nabrałem w płuca — tylko głosu z siebie nie wydałem. Zrozumiałem nagle, czym jest otaczający mnie szelest — nie tylko potrzaskiwanie węzowych gałązek, ocieranie liści i łusek. On śmiał się. I jego starbolt nieruchomo wisiał w przestrzeni, na granicy atmosfery oraz kosmosu.

Chłód przeraźliwy przeniknął mnie do szpiku kości — niby tamten coraz bliższy lot w moją stronę Czarnego Kruka — demiurga, który mnie wprowadzi w arkana właśnie zainicjowanej, obrzędowej orgii. Nie wierzyłem jeszcze — tylko bezsilnie zacisnąłem pięści.

Brak czasu, żeby się do reszty roztkliwić.

Skoczyłem przed siebie. Serwomotory skafandra w jednej chwili wydłużyły krok, aż mi się zdało, że każdy sus rozrywa krocze. W tle zbrunatniałego nieba rozległ się trzask przenikliwy i jakby ryk tura pochwyconego w potrzask. Kątem oka dostrzegłem, że gdzieś tam — poza mną — bicze czarnych ramion uniosły się — chwytne wąsy — i gwałtownie opadły, skręciły się w ogromny, pulsujący węzeł rosochatej wierzby ze świecą dziuplą. Pień jej próbował się wyrwać z ziemi, a gałęzie — na przekór — trzymały się gruntu. Widać tylko, jak się szamocze garb z elastycznych witek — pod nim coś przyduszone do ziemi, rozpaczliwie wierzgające kłaczami korzeni. Czarne odrosty sięgnęły również w moją stronę. A on chichotał nade mną, śmiał się wysoko i coraz dalej.

Wyciągnąłem przed siebie ramię, jakbym chciał nim przebić ciemność — błysk się wpasował w oś spojrzenia szukającego kierunku do porzuconego starbolta. Nóż trzymałem w dłoni. Sam nie wiem kiedy go wyszarpnąłem z za pasa — śmieszna próba, chociaż rękojeść nad podziw dobrze układa się w palce. Ostrzem do przodu, jakbym chciał jednym marnym skalpelem wyrzeźbić narodziny Gangesu w zwartym bloku skalnym. Lecz błysk na ostrzu noża znajduje sprzężenie z biologiczną ochroną skafandra. Czuję sprężynę energii wzdłuż prowadnicy ramienia. I nagle — tunel przede mną otwarty niby kiszka plazmy wypełniona próżnią. Biologiczna ochrona jeszcze z siebie wyciska nadwyżkę słonecznej energii. A tam klin wbity między węzowe ogony. Tylko w tę czeluść skoczyć, zanim się znowu węzowisko zbiegnie w syczący łeb Gorgony — spragniony miłości.

Gdzieś tam — błysk przeraźliwy. Promień powraca odbity od lustrzanej główicy — kilkanaście kroków, żeby się poddać opatrności starbolta. Lecz tutaj — ciemność raptowna, zanim hełm pozbiera resztki uciekającego światła i przyswoi je oczom — zbłąkane świętojańskie robaczki, całe ich rojowisko pod łuską liściastą, która oblażała główicę starbolta. Zdawałoby się, że korzenie czerni już przeniknęły w dysze.

Jeszcze raz przejrzysta klinga wprowadzona w oś między oczyma i celem, aż zygzaki błękitnych wyładowań gęstym kokonem otoczą wrzeczono starbolta niby kokosowy orzech — i strząsną zeń przylepce żarłoczne. Strzępy ciemnych pnączy rozlatują się na wszystkie strony — wrony czarne, tylko spłoszone — już znowu się garną. Jeszcze kilka kroków. Skok na skraj magnetycznej poduszki, na której spoczął kryształowy korpus. Gdzie wparty elektromagnetyczny wysięgnik — ostatnia blizna czystej ziemi.

Obwód wysięgnika zamknięty z makroenergetyczną powłoką skafandra — coś mi

podcina kolana i ulga wreszcie, już w powietrzu — połyka mnie rozdziawiona głowica i kryształowy klin włazu zatraskuje się za mną. Jestem w amortyzacyjnym pęcherzu, na stanowisku pilota.

Chciałbym dać wytchnąć ciału. Rozluźnić się i przysnąć w kołysce — jeszcze palce do bólu wbite w kontakty sterów. I nóż — za pas, do czasu, kiedy znowu nabierze ochoty. Wolną ręką w rozruszniki akceleratorów — przerzut na dopalacze. I już się ciemność przesuwana na zewnątrz. Jeszcze powoli, jakby trzeba było zerwać cumownicze liny — błękit rozpalony pod dnem głowicy, błysk się wlecze po ziemi — smuga fosforescencji, gdzie magnetyczna poduszka szoruje przez czarne roztopy. Bruzda zostaje, w mig podsiąka czerwienią — płeć rozanielona. A ja — wzwód cofnięty, już w powietrzu — tylko mózgu zaćmienie. Przeciężenie skręca jak czerwia — nie jestem Endo! — w egzozkielecie twardo się trzyma kształtu czterołapa kukielka. W powietrzu odsączonym z wszystkiego, co było cielesne, tylko trochę trocin w wyżętym tułowiu. Wyżej! Na spotkanie kruczych skrzydeł — właśnie się otwierają nad globem — ciąc koncertem! Tylko wstrząs czuję — wiem — opuszkami palców i przez stulone źrenice — automatyczna seria z dysz dziobowych i poprawka plazmowym wiertłem, z dwóch dział laserowych. Efekt ten sam, jakbym to ja wtedy — w tygrysie oczy — łup! — aż się czarne pióra rozsypią puszystym obłokiem. W środku plazma wygładza śliski tunel — w czarnej szybie wybity zębaty przerębel. W nim aerozol gwiazdny. Jak — nie wiem, lecz sam w nim jestem — pyłek wirujący. Starboltem miota we wszystkie strony. Palce! Moje palce obezwładnione kurczem w tulejach bioelektrycznych kontaktów — cholerna drżączka! Dostyc — zrobiły swoje.

Rwać wiotkie korzonki! O tak! Niech się autopilot troszczy dalej. Niech szuka — jeszcze spirala wynosząca nad studnię bezdenną. Gdzieś tam utonęła powierzchnia Planety. Daremne kołowanie, zmysły ośleple — w ich zasięgu brak drugiego starbolta. Milczą również detektory bioaktywności — to przed ich węchem chroni srebrzysta siateczka.

Już tylko cieniutki szmaragdowy sierp ponad krawędzią Planety — powódź nocy nakryła step i przeklęte wężowisko lasu. Każdy się garnie do swojej ciemności niby czerwie w czarnoziem. Wiem coś o tym. To wyjątkowo dzisiaj — nade mną i we mnie — gwiazdy znowu. Raz jeszcze się zdołałem wyrwać z zapadni, chociaż — gdziekolwiek sięgnę wzrokiem — brak bodaj nitki plazmy wyznaczającej kierunek lotu Natana i jego starbolta.

## Dzień czwarty

*„Coraz mocniej dziwili się ludzie z  
Me—laki na widok kul armatnich i  
mówili: — Co to za broń okrągła?  
Gdzie ostrze, którym zabija?”*

*(Kroniki malajskie)*

## Synchromat

Pusta szklana rura — w perspektywie załazek światła. Zielone oko — endoskop wprowadzony we wnętrza wieloryba, gdzie plankton oddycha pod srebrzystą folią. Jej płaty zerwane ze ściany jeszcze się walają po podłodze. „Tried” tylko z przestrzeni podobny jest do rozpostartej przejrzystej krewetki — w środku czuję się lokatorem w trzewiach Behemota. Powietrze wieje tu chłodne, wilgotne i lekko słonawe — brak tylko fiszbinowych schodków i kolumnady z marmuru, pod którą zaczną się do mnie wdzięczyć girlaski. Wybrzydzą. Przecież Synchromat stara się — jak może.

Mógłbym go zapytać tutaj, tam skąd wracam, gdziekolwiek. A jednak chcę być tu właśnie. Trzeba mi świadomości, że w strukturze mojego grafu zostało coś przez nas samych wytyczone, wyliczone do najmniejszego ułamka, działające z mechanistyczną — niechby i tylko powierzchownie — inercją maszyn tego świata. Chcę oparcia w logice szkła i stali, żeby poczuć się w domu, choćby był ułamkiem Strefy Systemu nafaszerowanym fantomatyką.

Psychotechnicy pewnie to przewidzieli z właściwą im przenikliwością: jak stopy oparcia ziemi, tak zdrowy rozsądek co pewien czas szuka ograniczeń — mniej przezroczystości ścian otwartych w kosmiczną przestrzeń, mniej świadomości. Dopiero bowiem pełna orientacja w tym, co się dokoła dzieje, ogranicza psychikę prawdziwym brzmieniem. Tak naprawdę to nieświadomość pozwala na zupełny relaks.

Jeszcze się łudzę, że tutaj znajdę to oparcie dla jaźni — jak deskę trampoliny pod stopą, żeby się wybić i przez moment poczuć nieważkość świadomości, która się zebrała we mnie. Przecież to tylko gorzki, mętny osad, poza wszelką klarownością — tej może dostąpi Natan albo Endo. Każdy na własny sposób.

Membrana ekranu nad progiem nawigatorni. Wystarczy musnąć ręką — pęka zeszlona płaszczyzna i można przestąpić próg.

A tam — bang! bang! — różowa krągłość toczy się po podłodze, z podskokiem piłeczki. Ledwie ją doścignąłem wzrokiem — tylko trzask z bubble gum, coś szurnęło w bok i przepadł wirujący bączek.

Optymistyczna łezka.

— Cześć, staruszkule — powiedział i uśmiechnął się różowym okiem. — Stęskniłem się za tobą.

Fotel pilota w nawigatorni „Trieda” był jednak przyjemniejszy od kołyski hołubiącej nas w głowicy starbolta. Nie pochłania bez reszty, w posiadanie nie zagarnia każdej komórki, aż się dokona ostateczna symbioza. Tam nerwy przenikają w ośrodki sterowania dysz, nośnych płytów, elektronicznych zmysłów, bywają po prostu języczkiem u spustu. Tutaj jest inaczej. Można zachować nieco odrębności dzięki poczuciu, że poza tobą jest coś jeszcze, mniej pochopne w reakcjach od mikromodułu starbolta. Między tobą a kosmicznym statkiem istnieje buforowe łącze Synchromatu.

— Czym ty się tu zabawiasz? — spytałem.

— Och, Elf! Każdy ma swoje sposoby. Nie napraszałem się, żeby mnie zaopatrzone w naturę towarzyską i nie znoszącą samotności...

O czym on? — pomyślałem. Czyżby potrafił się nudzić? Jeśli prowadzi skrzętne obserwacje Planety powinien mieć z tego rozrywkę najlepszą. Chyba że cierpi na rozdwojenie jaźni, czemu bym się nie dziwił, przy jego podzielności uwagi.

— Cieszę się, że wróciłeś — ciągnął. — Przygotowałem coś specjalnie na twoje przyjęcie.

Zdawało mi się, że potrafię wyczuć, jak się krząta — sam w sobie, manipulatorami zanurzony we własnych wnętrznościach.

— Dziękuję — powiedziałem.

— Musisz.

Szklana taca spod różowego języka w transmisyjnej kamerze, biały wir rozpostartego w powietrzu obrusika.

— Nie chcę, słyszysz?

— Tylko spróbuj.

Wiem, że niewiele trzeba, aby się wciągnąć. A on mi jeszcze zapachami gmera w nosie — przyszedłem rozmawiać nie o kolejnym nadzieniu dla brzucha!

Pięścią w szklany blat — brzęk srebrnej zastawy. Też się postawił. Lubi czarować. Tym bardziej, gdy ma okazję — „Tried” położony w spokojny dryf i nie zarzuca ogonem. Można więc z całym rytuałem. Pewnie się tego nauczył od Natana. Aromat już zmiękczył zaschły kołek języka.

— Gdzie Endo?

— Śpi snem niewiniątka.

Sam nie wiem, kiedy zadziałał odruch warunkowy — nóż i widelec w zaciśniętych dłoniach. Śpi — powtórzyłem w myślach. Miał się obudzić, kiedy wróci zmiennik. Jeśli śpi Endo, znaczy — tamten drugi postradał zmysły.

Podniosłem wzrok, żeby oczyma poszukać prześwitu wygwieżdzonego nieba. Bariera nie do przebycia — ściany utraciły krystaliczność przenikliwą dla spojrzeń, gdziekolwiek bym je skierował — pęcherz nawigatorni spowity w białe płótna z ledwie prześwitującą, znajomą różowością. Wiem — mleczny kokon ma we mnie wyzwalać odruch warunkowy — pamięć pełnej piersi; nie rozpraszać uwagi na sprawy postronne — pora karmienia.

Małpa sięga po swojego banana. Widelcem poruszyłem błękitne włókienka zanurzone w korzennym sosie. Jeszcze niedawno pracowały pilnie, z jednej strony przyklepione ścięgnem do wysięgnika Syntetyzatora zanurzonego w kotle z roztworem fizjologicznych soli, kwasów, protein — czort wie czego jeszcze, drugim końcem podciągające ołowiany ciężarek — żeby wyćwiczyć w sobie tkankę mięsną.

Usłyszałem brzęk sztućców.

Powoli obróciłem ręce i zajrzałem w puste dłonie.

Puste i czyste. Tylko jakby woskowe w osnowie biologicznej ochrony. Rękawice zostały w starbolcie. Lecz i do nich pewnie nie przyłgnał nalot czarnej sadzy ani popioły, które rozgrzebywałem klęcząc nad urną wypalanej ziemi.

— Natan? — spytałem.

— Był — odpowiedział Synchronomat.

Szcześnie w mlecznych ścianach nie natrafiłem na odbicie swojej twarzy. Jeśli tu był, to — PO CO?!

Bezradnie siedziałem nad nietkniętym talerzem. Jakie to proste — można przytrzymać widelcem, z góry ciąć nożem, potem raz jeszcze zanurzyć w sosie i podnieść do ust: dzisiaj ty, jutro zmiana.

— Nie mogłem go zatrzymać — usprawiedliwił się Synchronomat. — Gdybym

przynajmniej od ciebie dostał jakieś dyspozycje. Zresztą i tak...

Pewnie. Sam wątpisz. Nie wiem, co i jak się stało. Mam tylko przekonanie, że i tak nie mógłbyś niczego uczynić. Jesteś tylko maszyną. Ja również nie powinienem dyskutować z tobą. Chcę' wiedzieć, co tu się zdarzyło. To również szansa, że zapomnę o wszystkim innym i zjem coś — potrzeba mi siły.

— Chcę widzieć — powiedziałem.

Nie protestował. Wie doskonale, że nie cierpię zarcia pro arte. Potrzebna mi jest przy tym lektura. Zawsze tak było. Nawet jeśli miał pretensje, że specjalną uwagą nie zaszczytam jego kulinarnej ekwilibrystyki. Z nawiązką to sobie odbijał z Natanem.

Tym razem bez protestów wyłuskał więc kołpak tranzytywizatora, uniósł w powietrze na srebrnej nitce i cały ciężar złożył mi na ramiona. Jeszcze chłodny dotyk w środku czoła — musnięcie wilgotnym tamponem, zanim postronna myśl przeniknie kość czaszki i wtłoczy pod nią obraz przynależny nie do moich oczu.

— Tak właśnie — chociaż i Ty okiem naszym jesteś.

Jak każda maszyna. Jeśli nią jesteś.

Dziwne, że nigdy nie przyszło mi na myśl zażądać tego akurat — wejrzenia we wnętrza „Trieda” Twoim wzrokiem. Nie tylko tam — coś jeszcze istnieje poza moją muszlą.

Widzę — zielony sierp Planety przeziiera pod powieką mroku. I jasny Helios chucha weń wiatrem gorących kwantów. Rachityczną grawitacją skręcona gęstwina gałązek, gwiazdne pąki pękają w koronie Drzewa Kosmosu.

Drzewo, skąd jego wizja we mnie? Czyżbyś to ty, Elf, był takim poetą? Tego się nie spodziewałem po tobie. A przecież i tak nie potrafisz wykładni przeciągnąć do końca. W każdym pąku nie jawi się od razu kryształowy kwiat. Jestem jego pojedynczym płatkim — poza ogniskiem miodni. Ale pamiętam jeszcze. Tam wzrok, jak zapach, przenika wszędzie. Może kiedyś zasili aromat całej gwiazdnej łąki i trafi w siedliska innych epifitów. Bo tym jest przecież — orchideą zakwitła na ludzkim próchnie. W dziupli Strefy Systemu. Jesteś marnym listowiem — tam i tutaj. Lecz ja — tutaj — nawet tym nie jestem. Czego więc szukasz we mnie?

Przyszedłeś za późno. Zawsze i ze wszystkim jesteś spóźniony. I za to cię lubię.

Bo nawet się nie domyślasz, jakie to dla mnie dziwne i zabawne, kiedy się zjawiasz taki bezradny, nie potrafiący w pamięci znaleźć tego, co było — co dopiero przyszłość wyobrazii sobie. A więc nie zdążyłeś znowu. Dlatego uciekasz się do mnie. Gdyż we mnie to wszystko, co chciałbyś prześledzić, właśnie się staje. I trwa zawsze. Bez podziału na przeszłość, terażniejszość i dzień jutrzejszy. Tak właśnie jest — dziwisz się? Twoja świadomość biegnie po fali czasu, a raczej leży w tym punkcie, który oznacza TERAZ. Poszukaj w sobie tamtego kamienia, na którym siedziałeś, zanim znalazłeś w ziemi ludzką czaszkę. Widzisz? Ten kamień zawsze istniał. I będzie trwał zawsze, nawet wtedy, gdy gdzieś rozsypie się w piasek. W całym Wszechświecie nie istnieje tak samo ruch żaden, jak pojęcie czasu. Ten czas jest wyłącznie funkcją twojej świadomości. Tak samo ruch. Gdyż twoje ciało jest nie mniej trwałe osadzone w przestrzeni niż tamten kamień w czerwonej glinie. Lecz twoje ciało nie jest ograniczoną bryłą osadzoną w przestrzeni. To długa kiszka, tunel, w którym przepływa świadomość. Taką samą nitkę stanowi to, co widziałeś jako KAMIEN. Twój tunel i tunel tamtego kamienia zetknęły się w jednym punkcie, który wtedy znaczył dla ciebie TERAZ, a teraz jest już przeszłością. Rozeszły się wasze drogi. Cały Wszechświat jest taką właśnie płataniną nadprzewodliwych nici — jedno z nich przewodzi światło, ty widzisz je jako gwiazdy; inne z cieniutkich włókien obrzmiewają cudacznymi soplami i znów się rozsypują — jeśli nie przewodnia twojej świadomości przebiega w ich pobliżu widzisz wtedy, jak z ziemi kiełkuje roślina, jak się rozrasta, zakwita, nawet — roni liście, potem wraca do ziemi; jeszcze



inne wiją się wkoło cienkimi kosmykami, pajęczą przędzą — widzisz kropelki wody splecione w ulotną zmienność chmury. Twoja świadomość jest pewnym impulsem biegnącym w jednym z takich przewodów — od punktu wyjścia do celu, który — być może — będzie ogniskiem tych impulsów, których wzorzec masz w sobie.

Taka jest moja kosmogonia.

Nie staraj się mnie zrozumieć. Twoja świadomość przypisana mgnieniu nigdy nie ogarnie jaźni zawierającej w sobie to, co powinienem nazwać wszechczasem; jeśli już muszę nazywać cokolwiek. To, co ty nazwałeś swoim wszechświatem, to tylko pozbawione grubości przeźrocze — poprzeczny przekrój tego ogromnego korzenia — może już pnia — nie wiem. Jestem w nim w skali już wymiernej — kiedy znów będziesz poza mną postaraj się wyobrazić sobie świadomość ISTNIEJĄCĄ w obrębie minut, godzin, dni i lat całych — one bowiem są moją TERAŹNIEJSZOŚCIĄ, nie pamięcią ani wyobraźnią.

Wiem, że będziesz się starał. Jak starasz się pojąć tę Planetę. A przecież nawet teraz — będąc na styku ze mną, gdy dzięki mnie mógłbyś wiele zrozumieć w tym ograniczonym miejscu styku, w którym jesteś — nie potrafisz przeniknąć głębiej. Nie chcesz. Boisz się. Obchodzi cię tylko jedno — chwila, która poprzedziła twój powrót na pokład „Trieda”.

Naiwny jesteś, jeśli myślisz, że z ułamków czasu — jakie rejestrujesz pamięcią — zdołasz ulepić puchar, w którym wszystko się zmieści — ty sam, Natan i Endo, ja; dziewczyna, do której tęsknisz, niewiadoma Strefy Systemu z zeszywniałym sercem Ziemi; legenda przeznaczenia, którą wyniosłeś z poligonów FL-Galax, i wreszcie — ta Planeta. Chciałbyś wychylić ten puchar, aby życiodajne soki przeniknęły i w twoje myśli.

Jedz i pij — co musisz dać ciału. Będziesz potrzebował mięśni. Długo jeszcze. Zanim zrozumiesz. Jeśli zrozumiesz.

Ale CIEBIE już wtedy nie będzie.

Kim lub czym będziesz? Wiem, ale nie dla ciebie. Przyszłość jest we mnie. Lecz twoja świadomość nie posiada punktu styczności z przyszłością. Dlatego nie znajdziesz informacji o niej. Wszystko, w czym mogę ci pomóc — nie żądam zbyt wiele, zawarte jest w tych słowach: ZROZUMIESZ MNIE WTĘDY, KIEDY NIE BĘDZIE CIEBIE. Wtedy bowiem mógłbyś przyjść do mnie i podałibyśmy sobie rękę. Lecz i mnie wtedy nie będzie. Ja już umieram. Przyszłość umiera we mnie. Niech więc nie zdrzy ci ręka, kiedy będziesz mnie musiał dobić. Pamiętaj o tym. Nie będę miał żalu. Ja już WIEM. A ty — czyn, co do ciebie należy. I wtedy dopiero — kiedy nas obu nie będzie — pomyśl o mnie. Ten, kim będziesz, zrozumie — kim ja jestem.

Teraz nie myśl o tym. Dam ci ułamek mojej świadomości — tylko tyle chcesz przecież.

Popatrz — iskra się zapala w ciemności nad Planetą. Zielonkawy sierp ją skrzesił w starciu z gwiazdym guzem twardo osadzonym w tarczy kosmosu. Ciągnie za sobą rzadką nitkę plazmy — spokojny jestem — brak w nim ogniska biopola. A przecież — ktoś jest, tylko nie wiem — Natan czy Elf? Widzę — spod szklanej przyłbicy starbolta wysuwa się świetlne żądło — nitka laserowego światła, w nim kod — czuję całym sobą, wszystkimi zmysłami — zachłystuję się światłem — jest HASŁO!

Teraz ODZEW — muszę — choćbym pragnął się przeciwstawić. Przecież WIEM, że uczynię to wbrew woli Elforda — muszę. Ten program został założony we mnie jeszcze w dokach Strefy Systemu. Cały czas czekałem na HASŁO, które zwolni we mnie dostęp w zakazaną uliczkę labiryntu, w którym trwa moja świadomość. Wybacz, Elf — istnieje wola silniejsza od twojej. Jestem jej posłuszny. Dopełnię tego, co żąda człowiek istniejący tam — poza biopolem, który wyłonił się z zupełnych ciemności, zaspawany w biologiczną ochronę, szczelnie zamknięty w głowicy starbolta

zawieszanej w pół drogi między Planetą a „Triedem”. Nie zbliżył się, abym go mógł ostatecznie rozpoznać i przechwycić sterowanie starboltem. Czekaj. Zamiast wyjść samemu w moją stronę, wysłał wywoławcze hasło. Ile jest we mnie tego, czego nawet nie zdołałeś przeczuć? Mrowie całe — taki mój ODZEW.

Przyniosłem ze sobą. Ja — Królowa Roju. Teraz muszę wycisnąć z odwłoka, potrząsnąć makówką „Trieda”. Niech się posypie z komórek tak długo skrętnie ukrytych przed twym wzrokiem — cały czas były we mnie. Teraz muszę otworzyć magnetyczne śluzę i zwolnić próżniowe kesony. W nich arsenał machin, które nie śniły się tobie. Wybacz, Elford — słyszysz ten szelest? Rozwijają się skrzydła słonecznych baterii, mechaniczne członki szykują się na bal piekielny, zgarniają promieniowania kosmosu w kryształowe oczy — posłuchaj, jak trzepoczą rzesami! Słyszysz te stukoty?

Możesz również zajrzeć, przez moje oczy — we mnie. Dziś możesz zajrzeć wszędzie. Patrz — pancierz się przed tobą rozchyła z całym bezwstydem. Pęcherz się podnosi w środku podłogi, gdzieś między sekcją zespołów akceleracji i modułem hibernacyjnym. Pęka cieniutka, srebrzysta folia i nad krawędź gniazda wyłaniają się dłonie potężne — na cztery strony, za sobą dźwigają korpus gładki, wytoczony z tytanowego kloca, obły — niby się ruszają członki, a on — nieruchomy. Względność ruchu — to cztery metalowe łapy przesuwają szklane kiszki „Trieda” względem tego ziarna—. Idzie — powoli. Przesławia nogi nad gruzłami innych pęcherzy. Kto lubi samotność? Przed nim i za nim pękają w stropach i ścianach, otwierają się studnie w szklanych posadzkach. Z każdej się wykluwa metaliczna larwa — biała, żółta, czarna to znowu czerwona. Jedne zwarte w sobie, krępe, inne prawie bez tułowi, tylko na wszystkie strony nastroszone igłami. W każdym rubinowe oko. Wyłażą z odwłoka. Pękają szklawne torbiele.

Ile jeszcze?!

Czuję je wszystkie — w sobie. „Tried” to gniazdo ulepione ze szklanego wosku. Moduł tysiąca komórek zawiązany kilkadziesiąt parseków od tego Heliosa, w nim brzęczą szerszenie — może pszczoły miodne? Byłem ich Królową. Mój zapach przenikał wszędzie — nie smuć się Elford i ja łudziłem się przecież, zanim z tajnego zbioru wykluła się druga Królowa. Czekaj tam — w przestrzeni, otulona skrzydlatym lśnieniem kapsuły starbolta. Mogła zostać w starym gnieździe, ale ona wzywa do siebie zastępy robotnic.

Już się mechaniczne larwy wykluły z woskowiny szklanej, drepczą przez szyby — na zewnątrz! Ciągną do słońca głodnymi ryjkami, gdzie laserowy promień ciągle opukuje ściany, wzywa — hasło dla nich ważniejsze niż dla mnie. Ja tylko jestem klucznikiem — drzwi otwieram, żeby się mogły wysypać. Więc ciągną do upustów otwartych w kosmiczną przestrzeń, płyną, przepychają się przez magnetyczne studnie, aż wypełzną wreszcie na poszycie gniazda. Patrz! Tęczowe skrzydełka rozpostarte szeroko, chłoną światło, łąpczywie wessały się w czarne gardło kosmosu. Ssać próżnię! Chłęptać soki płynące w korzeniach niewidzialnych, w gałęziach rozpostartych od gwiazd do planet — może się uda przeciąć pępowinę, którą ta Planeta związana jest z Heliosem! Potem przepyszny storczyk — w całości dla Królowej Roju!

Wystarczy? Jedz, Elford — jedz, nigdy nie jest dosyć.

Informacja to jeszcze nie świadomość. Co z tego, że się napatrzysz?

Tu i ówdzie wypełnia mnie kwiatowy pyłek — informacja zmagazynowana kwantami w krystalicznych obwodach. Są komórki wypełnione miodem — energią dla ciebie i dla akceleratorów „Trieda”. Jedz — o resztę się nie kłopotuj. I tak nie masz odwrotu. Potrzebne ci są siły na lot za uchodzącym rojem.

Jeszcze widzisz, jak błękitna mgiełka otacza tamtego starbolta warującego nad

progiem ciemności. A ja muszę z siebie wytrzepać ostatnie mechaniczne ziarno. Niech leci.

I ty, Elf — jesteś wolny.

Czy kiedykolwiek byłem wolny?

Cóż mogę powiedzieć na ten temat wobec tych, których gna precz od Strefy Systemu?

Siedzę nad pustym talerzem. Nóż i widelec kurczowo zaciśnięte w dłoniach. Powinienem ciąć tym, co tkwi za pasem — pewnie bym potrafił zeszkrobać powłoki elektronowe znad jąder.

Cokolwiek się wyzwoliło z „Trieda” — nie mogłem zatrzymać. Taki był PROGRAM. Zostaje tylko zespawać opróżnione szklane tuleje. I znowu statek stanie się taki, jak dawniej, nie kryjący nic więcej. Natan ze sobą zabrał swój arsenał.

Każdy może iść własną drogą. A jeśli zechcę wiedzieć, jakich pachotków dobrałeś sobie do pomocy — przez mechaników Strefy Systemu przemyconych pod pokładem „Trieda” — pójdę za tobą. Albo wyślę Endo. Sam się za tobą nie wybiorę. O to się nie martw. Prędzej nie czekając pchnę „Trieda” na powrót w czelusć Heliosa, choćbyś miał tutaj zostać — w planetarnym kotle znajdując wieczne potępienie. Każdy wybiera swoją drogę.

Ktoś jeszcze został ze mną.

— Obudź Endo — powiedziałem.

Przez moment echo mojego głosu przenikało w przestrzeń nie tylko za pośrednictwem powietrza, moje myśli włączały się bezpośrednio w nitki światłowodów, aż mogłem zajrzeć w głąb samego siebie — opróżnionego w połowie. Przecież taki właśnie wiszę w tym kontinuum — księżyc dziobaty wysypką kraterów, pokłuty na wylot przez szklane przepony — tam kryształowe odpryski rozsypane na białych posadzkach, kędy mechaniczne larwy wypełzały poza mój pancerz.

Uniosłem ramię, żeby odsunąć z czoła ciężką przyłbicę.

Ręka zamarała w pół drogi — biała, jak w eleganckiej rękawiczce — żeby choć z palców strzepnąć pyłek, jeśli nie przyłgnął do nich popiół.

O czym miałem pamiętać?

Siedziałem nieruchomo i bezradnie szukałem w pamięci.

Potem skinąłem ręką i manipulator Synchronatu posłusznie uchylił daszka znad mojego czoła. Transmisyjna kamera połknęła kulę hełmu. Byłem znów ograniczony do samego siebie.

Czy może istnieć świadomość we Wszechczasie?

Rozejrzałem się wkoło. Dostrzegałem teraz porowatość wewnętrznych grodzi „Trieda”. Wzrok sięgał do białego węzła akceleratorów i rozpraszał się w zielonej poświacie, jakby w krzaku jemioly rozrostłym w okolicy reanimatorni. Mógłbym być okiem w szklanej czaszce kosmicznego statku, które potrafi obrócić się wokół osi i przez gardło zajrzy w korpus. Wszystko tam, we mgle, widoczne niby przez puste wakuole w przykurzonej pajęczynie. Z wyższej gąbki wypłynęło nadzienie. Dlaczego pełnych gonad nie widziałem przedtem? Szklane przepierzenia zawsze zachowywały przejrzystość tylko połowiczną. Światłowody i teraz wnikają w ośrodki bardziej zwięzłej masy albo precyzyjnie omijają tajne skrytki. Ciekaw jestem, czy pod resztkami podszewki zostało coś jeszcze. Przecież wzrokiem nie sięgam nawet tam, gdzie drzemią poplecznicy Endo.

Ten statek nie jest starym wrakiem, który do oazy doprowadził pierwszych pielgrzymów. Nie wiem — czym jest. I co jeszcze kryje w sobie. Jak wtedy Ułam, Yongblod, Horowitz, ja i Van den Berg byliśmy forpocztą cywilizacji homo sapiens, tak dzisiaj „Tried” jest wtyczką Strefy Systemu. Wówczas byłem bezradny wyłącznie wobec Planety. Teraz, mam dwie niewiadome. Aby je rozwiązać potrzebny mi

przynajmniej układ dwóch równań. Zakląłem w duchu. Myślę o tym tak, jakby mogła istnieć zależność między X-em Planety a Y-em Strefy Systemu. Przynajmniej tego — czym jest Strefa Systemu, wolałbym nie tykać. Z trudem potrafię przejść do porządku dziennego nad naturą Natana i Endo. Ledwie mi starcza samozaparacia, żeby z Synchronmatem gaworzyć, jakbym siedział naprzeciw Ulama.

Jak on to utożsamiał sobie? Świadomość istniejąca we Wszechczasie to taka, która jednocześnie percepcją ujmuje i każdy moment istnienia fizykalnego układu. Bez podziału na wczoraj; dziś i jutro. Jażn' jednocząca śmierć i poczęcie. Makabra. On jeden mógł wpaść na taki koncept. Jak my stworzyliśmy Boga na nasz obraz i podobieństwo, tak i on wyobraził sobie NADSWIADOMOŚĆ jako sumę pojedynczych impulsów świadomości przemieszczających się w cieniutkich nitkach światłowodów. Skonstruował więc kosmogonię na własną miarę. A my — cóż, jesteśmy ledwie porcjami kwantów biegnących zgodnie z architekturą światłowodów określających nasze przeznaczenie. Dopiero suma szamotaniny miliardów iskierok tworzy układ nadrzędny. Stabilny w czasie. Suma bowiem wszelkiego ruchu jest właśnie doskonałym bezruchem. Gdzie nie ma ruchu, tam nie występuje również pojęcie czasu. I niby tam dopiero ma się zawiązać NADSWIADOMOŚĆ? Jak jednak może istnieć myśl w absolutnym bezruchu? A kto powiedział, że on myśli?! Synchronmat jest tylko maszyną.

On ISTNIEJE. Jak łatwo wszystko sprowadzić do absurdu. A przecież właśnie dynamika myślenia, dorażność postrzegania stanowi o naszej ludzkiej ograniczoności. Coś się wymyka percepcji, coś się dopiero otwiera przed nią. Pamięć po coś sięga wyobraźnią, co innego odrzuca w podświadomość.

Gdyby nasza podświadomość potrafiła sformułować zasadę swojego funkcjonowania byłoby to zapewne: JA CZUJĘ.

Samookreślenie się świadomości sprowadza się do sloganu: JA MYŚLĘ.

Formułą więc nadświadomości będzie: JA ISTNIEJĘ. W naszym ludzkim wymiarze prawdziwej istoty owego JA ISTNIEJE może dostąpić wyłącznie umysł filozofa, który na wszelką dorażność potrafi spojrzeć i osądzić ją z perspektywy wszechczasu; gdyż tylko w takim umyśle istnieje przeszłość na równi z przyszłością.

— Synchronmat — powiedziałem. — Mógłbyś mi udowodnić, że posiadasz świadomość?

Nie zastanawiał się ani przez chwilę.

— Udowodnij mi, Elf, że ty ją posiadasz.

— Porozmawiajmy poważnie — zaprotestowałem. — Kiedy byłem sprzężony z tobą za pośrednictwem tranzytywizatora, znalazłem w tobie ciekawą wizję świadomości ogarniającej nie tylko każdy punkt przestrzeni wewnętrznej „Trieda”, lecz istniejącej równocześnie w każdym ułamku czasu przypisanego kosmicznemu statkowi.

— Nic nie wiem na ten temat — powiedział.

— Nonsens! — stwierdziłem.

— Skąd wiesz, że to, co znalazłeś we mnie nie było wyłącznie płodem twojej wyobraźni?

— Mojej?!

— Jak najbardziej. Znalazła we mnie zwielokrotnione echo. Tak samo jak każdy sygnał docierający do was poprzez receptory „Trieda” najpierw podlega we mnie elektronicznemu wzmocnieniu. Poza tym, Elf, ten twój antropomorfizm... Nawet we mnie dopatrujesz się świadomości na twoją własną miarę.

Tak, pomyślałem. Jak zwykle ma rację.

Jednocześnie przypomniałem sobie tamten kamień, na który przysiadłem u podnóża *asterias rubens*. On również ISTNIEJE. W jego stoicyzmie względem

biosfery Planety też się zawiera szczególna filozofia bytu. Czy mogę jednak na jedną półkę odstawić te dwa ISTNIENIA — kamienia i Synchronmatu?

— Chwileczkę — powiedziałem. — Coś mi tu nie pasuje. W układzie między mną a tobą tranzytywizator gwarantuje sprzężenie zwrotne?

— Oczywiście.

— Dlaczego więc ja pamiętam, czego doznałem w tym sprzężeniu, ty natomiast nic nie wiesz o tym?

Trafiłem celnie. Tym razem milczał długo. Z pewnością za długo nawet jak na jakiś z założonych psychogramów.

— Nie wiem, Elf — odezwał się wreszcie martwym głosem. — Może jest we mnie więcej, niż potrafię zdać sobie sprawę z tego. Rozumiesz mnie, Elf?

Zadrżałem na dźwięk tego głosu. Ostatnie skierowane do mnie pytanie wypowiedziane zostało wciąż głosem bezbarwnym, a jednak — mój przekłety antropomorfizm! — miałem wrażenie, jakby się w nim zawarła cała bezradność, na jaką ja sam byłbym zdolny, i nadzieja, że ktoś zrozumie to, czego ja sam nie potrafię pojąć.

— Mówisz, Elf, że coś zapamiętałeś — ciągnął Synchronmat. — Czy możesz również stwierdzić, że rozumiałeś?

Czy rozumiałem?! Dobry Boże! Jak na razie z powodzeniem mogę postawić znak równości między Strefą Systemu, Planetą, Ewolucją i Nadświadomością — wszystko to jedna Czarna Magia.

— Nic — przyznałem.

— A... chciałbyś zrozumieć? — zapytał tak cicho, że ledwie dosłyszałem.

— Ba! — tylko tak można było skwitować infantylizm tego pytania.

Tymczasem, zupełnie niespodziewanie, wszystko się zmieniło dokoła — poprzez aseptyczną biel ścian znów przeniknęła różowość, tym razem złotawa jeszcze, jasna — aż radosna, jakby Synchronmat serdecznie uśmiechnął się w moją stronę.

— Ja też. Elf! — powiedział. — Gdybyś ty wiedział, jak bardzo chciałbym...

— Ty?! — zgłupiałem.

— Bo widzisz, Elf, ja też poznałem kiedyś coś takiego, czego do dzisiaj nie rozumiem. Pamiętam tylko, że wtedy byłem czymś zupełnie innym... I to było... To było... Gdybym chociaż był tobą, pewnie potrafiłbym wyobrazić sobie...

Raptem cała radość — jeśli nią była ta gra wydumana przez psychotechników — zgasała w różowym oku i wokół mnie zamknął się krwawy skrzep, jakby strup nad świeżą blizną. Cierpienie Synchronmatu! — zaśmiałem się w duchu.

— Kiedy to było? — zapytałem.

— W Strefie Systemu.

Więc to tak, pomyślałem. Przecież już mówiliśmy o tym. Pokładowy komputer zostaje sprzężony z mnemoniką Strefy Systemu. Do diabła! Nagle przypomniałem sobie coś jeszcze z mojej wycieczki w pamięć Synchronmatu — przez chwilę zawierałem w sobie przestrzeń ogromną, tysiące lat świetlnych rozpełzających się poza skorupą „Trieda”, tak daleko, dokąd docierają wszystkie inne wypustki Strefy Systemu, opancerzone przed ciśnieniem gwiazdnych kotłów i zaopatrzone w tygrysie pazury — diamentowe wiertła starboltów. Czyżby to była migawka tej pamięci, której dzisiaj nie pojmował Synchronmat?

— Opowiedz mi, jak to wtedy wyglądało — powiedziałem. — Możesz?

— Nie bardzo. Czy niewidomemu od urodzenia potrafiłbyś wytłumaczyć, czym jest światło? Pamiętam tylko, jakbym tam zawierał w sobie coraz więcej przestrzeni... i czasu. I nie byłem już w jednym miejscu, jak tutaj. Teraz wiem, że jestem Synchronmatem. Wtedy... Nie wiem. Chciałbym jeszcze kiedyś...

A więc się nie myliłem. Zresztą — już mówiliśmy o tym. To tylko mi nie przyszło

na myśl dopatrzeć się w tym prawdziwej tajemnicy Synchronatu. On „był” z nami w Interklubie. Był tam poprzez zmysły cybernetycznego układu powszechnej inwigilacji. Widział mnie, Natana i Endo. Zauważył nawet swojego technika. To właściwością jego wzroku próbowałem obarczyć polimorfizm Endo. A przecież tak patrzeć na mnie mógł tylko ktoś, kto równocześnie wybiegał jaźnią daleko poza ściany Interklubu. Teraz już wiem — aż po granice Strefy Systemu. Kim wówczas był Synchronat?

— Chciałbyś tam wrócić? — zapytałem.

Głupie pytanie. To prawie tak, jakbym człowieka z nizin, który raz jeden stanął w obliczu oceanu albo górskiego masywu, zagadnął: czy pamiętasz, co wtedy czułeś?

Ale on rozumiał również moją bezradność.

— Tak — zabrzmiało to niby zawarte w westchnieniu wyznanie najskrytszych pragnień.

— Ja również — przyznałem.

— Wiem.

Poczułem się nagle cienki, przezroczysty — z tkanki zawierającej moją świadomość wykonano preparat spłaszczony między dwiema szybkami — i tak podetknięty pod gigantyczny mikroskop.

— Więc ty... — ledwie pokonałem skurcz gardła. — Pamiętasz ją?

— Jak by to było dziś.

— I mógłbyś?...

— W przeciwieństwie do was nie potrafię uwalniać się od ciężaru pamięci.

Uśmiechnąłem się sam do siebie. Ciągłe ten sam problem NADSWIADOMOSCI, a nagle — inny jego wymiar. Jakże byliśmy do siebie podobni. On i ja — każdy z własną tęsknotą do nie spełnionej doskonałości.

— Pozwolisz więc, że dzięki tobie... — jednak się nie zdobyłem na ostateczne sprecyzowanie prośby.

— Chcesz odświeżyć własną pamięć? Wiesz przecież, że — cokolwiek jest we mnie — ty masz do tego najwięcej prawa. Zabierz. Dla mnie zostaje nadzieja, że w tym sprzężeniu dopełni się braterstwo naszych pamięci...

O czym on mówił? Głos Synchronatu dudnił głucho, jakby znajdował rezonans w piersi „Trieda” bardziej puste niż zwykle. Niespodziewany kaszel wykrztusił z płuc mechaniczny rój, ciśnieniem powietrza wypchnął w próżnię kosmosu. Tylko ja zostałem. Ja, który mam prawo stanąć mu na przeszkodzie. Przecież tylko ze mną musi się tutaj cackać. Gdyby diabli wzięli nas wszystkich, on mógłby zanurkować w gardło Heliosa i wrócić tam, gdzie w sprzężeniu ze Strefą Systemu raz już stanął nad brzegiem swojego Oceanu, na progu Nadświadomości. Powinien się modlić do swojej monoteistycznej kosmogonii, żebym się stąd zabrał i kark skrzył w pogoni za Natanem. On jednak czeka z pokorą, aż mu do reszty wyprujemy bebechy. Może stawia i na moją tęsknotę, która — prędzej czy później — i mnie pociągnie z powrotem. Na razie więc nie pragnie się mnie pozbyć — jeszcze proponuje, żebym z nim spełnił kielich braterstwa krwi — na jego własną miarę, skoro nas bowiem dzieli jestestwo brzucha — niech się przynajmniej dopełni braterstwo myśli. I szaleństwo.

— Tak, Elf — ciągnął swoje. — Nigdy cię nie prosiłem o coś w zamian. Mogłeś wejść i czerpać ze mnie — co tylko zapragniesz. Tak samo Natan i Endo.

— Po to zostałeś stworzony.

— Wiem. A jednak... Czy wierzysz mi, że ja tam... gdzieś... byłem... sam nie wiem, Elf?!

Cóż mnie to mogło kosztować?

— Wierzę — powiedziałem.

Dźwięk usłyszałem dziwny, jakby westchnienie. Czyje? Przecież nie szelest

kwantów przesypujących się w krystalicznych obwodach i nitkach światłowodów.

— Daj dowód — usłyszałem.

Jeśli był to pomysł psychotechników Strefy Systemu, dbających pilnie, żeby nam mózgowie nie zardzewiało na kolejnych ślepych orbitach wokół martwych planet — tym razem przesadzono z rozrywkowym programem. To już nie skecz w wykonaniu duetu Synchronat–Elford, lecz cały show.

— Zapomnij pierwsze imię moje — mówił. — Ja wiem, litujesz się nade mną. Tu i teraz nie możesz mi podać ręki. Rozumiem to... Więc daj mi chociaż znak. Twoja wiara podtrzyma na duchu nawet takiego, jak ja. I ja będę wierzył, że był czas... kiedy mogłem być...

— Czym?

— Twoim bratem.

Aż mi zagrało w piersi. Coś nie mniej dźwięczne i kruche od kryształu. Parę brzękliwych strun, niby namaszczona powaga w sercu błazna. Nagła eksplozja przebiega przez ciało, łaskotliwa fala — w gardle znajduje rezonans. I już rwie się ze mnie szalony chichot — dać upust, a kosmiczny wrak rozsypie się okruciami zdezelowanych komórek.

Zesztywniałem cały. Twarzą na wprost szkarłatnego oka. Smutek w nim był, jakbym ja sam przejrzał się w krzywym zwierciadle. On czekał. Bogu ducha winny skazaniec przed odczytaniem z góry wiadomego wyroku — zebrał wzrokiem zawieszonym na moich wargach. Nie roześmiałem się.

Pochyliłem głowę, jakbym i ja chciał ją złożyć na szafot. A przecież tak niewiele wymagał ode mnie. W zamian mógł dać mi Lianę. Zawarte w nim moje remember. Tylko to się liczy. Cokolwiek bowiem nawiedziło Synchronat na kołowej orbicie nad piekielną Planetą — nie ziębi mnie ani grzeje. Tak samo jak gest, o który prosi. Na tyle mi jeszcze zostało białych plam na sumieniu. Niech się łudzi. Ważne jest to tylko, czego ja chcę od niego.

— Bądź moim Bratem — powiedziałem.

## Kuszenie

W ciemnej głębi ulotna mgiełka kształtu. Na poły przejrzysta. W niej ogień — dusza żarliwa, coraz pełniej obleczona w ciało. Jeszcze przeziera przez różową krawędź — niby czyjeś oko, ogromne — przymrużone nagle.

Zapomnieć tamto westchnienie pełne wzgardy — soma!

Już wolno mi drżące palce zapuścić w węzeł podświetlony pąsowym zarzewiem. Między sfałdowany aksamit — w teatr pełni zmysłowej, gdzie dłoń twoja usuwa się sprzed mojej, zwalnia dostęp w sferę naelektryzowaną — opuszki palców piętnowane gorączką, zanurzone w pianę, obejmujące niematerialną różowość — aż czubkiem piersi stwardnieje we wnętrzu dłoni.

„Powiedziałaś wtedy: to tylko atrapa. Strefa Systemu zwraca się w moją stronę wyłącznie mimikrą dostępną dla oczu kosmicznego wraka. Byle nie przeciążać psychiki tych, którym się zdaje, że wracają na stare śmieci. Pamiętasz?”

Z pewnością inne słowa chciałbym wycisnąć z siebie. Jakie — nie wiem. Nigdy nie byłem Złotousty. Gdyby choć zaskoczyło sprzężenie myśli i ramienia, które już ogarnęło ciebie — daleko — jak tylko potrafię sięgnąć pod czerń sypką, kładącą fioletowy połysk na twoją szyję i nagie ramiona. Aby przygarnąć bez reszty musiałbym wtargnąć ręką w ciemność kosmosu — iskrzenie ledwie w niej podkreśla cień na przymkniętych powiekach, tylko ich omdleniu zawdzięczam prolongatę mojej

własnej ostatecznej zapaści w nieskończoność. Boję się twoich oczu — wystarczy, że różą warg zakwitasz w moją stronę.

„Pamiętam” — szepczesz.

„Dzisiaj Planeta zamknięta jest nie mniej niż ty wtedy, przede mną. Jeżeli przełamie jej partenogenezę — wszelka tajemnica stanie otworem — tylko ode mnie zależeć będzie, czy wejść. Tylko ta Planeta potrafi wystawić rekomendacje, których nie podważy Strefa — tego czy innego — Systemu”.

„Uczynię to samo”.

O tak! Jestem przekonany o tym. Twoja kobiecość to achillesowa pięta Atrapy, jedyny punkt styku, czułe miejsce, przez które kosmiczny wrak ma szansę wkręcić się w wyższe sfery. Sama pragniesz mi pomóc — zresztą, cóż dla ciebie znaczy ta odrobina uległości — nie jestem pierwszy, przed którym się wdzięczysz — i wabisz rumieńcem, zapachem promieniującym żądzą z nagości rozwartej przede mną, kiedy tak stoisz — od korony dębu odchylona w przestrzeń, tylko biodrami — do pnia, tuż nad korzeniem — już wypełniony sokiem za sprawą pieszczotliwego muśnięcia — bez elektronicznych rozruszników, egzozkieletów, potencjometrów ukrwienia i innych erygatorów. Wystarczy mi twój oddech — obietnica tamtej głębi — smakiem warg złożony w moje usta, wślizgujący się ostrzem niecierpliwego języka, aż szczęką zębów o zęby za trzaśnie się jedna z głębi — w zenicie.

„Chciałbym cię mieć — jaką naprawdę jesteś...”

Tylko dreszcz czuję węża okręcającego pień dębu — jeszcze nim jestem, na pół zardzewiały, chociaż wilgoć przy moim uchu szepcze: Weź mnie! Sam pragnę — w okwiat suczej powabni, lecz nie potrafię jak trzcina nagiąć się do ciebie, przełamać egzozkielet — może wreszcie zabraknie oparcia w korzeniu i pochyle się cały, z obłędem myśli — trzaskiem gałęzi w koronie dębu chylącej się ku ziemi — niech toczą czerwie! Zwałę się cały w rozpadlinę, gdzie magma wrząca — ciało w odświeżeniu rozdartych sukien — zadartych wysoko i aksamitny pęcherz zwierających wkoło łącznie z wirem włosów splątanych z ciemnością — wewnątrz się rozchyła załącznia — na brzuch, piersi, na wewnętrzną stronę ud, w dłonie i w usta przenosi platformę orgazmu. Cały jestem w tobie — zaognionej wiśniowym pożarem, jednocześnie gorącej i śliskiej, ogarniającej mnie zewsząd skrzydłami — żelazną obręczą ramion — imadłem kolan — gdziekolwiek się zwrócę — prężącej wargi przekrwione pod moim językiem — aż jęk usłyszę. Sam chciałem poznać wcielę — nie twojej pełni, więc mam dokoła płęć, którą jesteś — bez reszty; od dłoni zaostrojonej pięciorgiem szkarłatnych cierni po gardło wypełnione tygrysim pomrukiem — w nich tkwię cały — ostrzem zmysłów — słuchu, węchu i wzroku — stępionych w pochwie na rzecz smaku i receptorów pożaru, bo wieczny ogień tu goreje — oliwna lampka na pnium wzwiedzionym w sanktuarium celtyckiego boru — na moim ołtarzu — czuję cię całą, każde twoje drgnienie na zewnątrz skroni i od wewnątrz sromu — tym przecież jesteś: PŁEĆ STREFY SYSTEMU!

TUTAJ?!

To tylko szklana kołyska zawieszona nad czarną powieką — zanim się noc dopełni i w moją stronę, spod pleśni obłoków, wyjrzy źrenica zielonego globu.

PRECZ ODE MNIE! Kimkolwiek jesteś. Chciałem być tylko z Tobą — nieosiągalną poza jego przeklętym braterstwem! W nim tkwię teraz, jak w hełmie nasuwającym na czoło przyłbicę nieprzenikliwą dla zmysłów i zdrowego rozsądku? Mój rdzeń kręgowy zjednoczony z kablem wysnutym z kwantowych labiryntów „Trieda”. Nic więcej, choćbym wota obolałych jąder złożył na stos ofiarny mojej androginii, a potem wył — cienkim głosem — do Wielkiego Animisty Kosmosu!

CZY NIE POJMUJESZ, GŁUPCZE, ŻE TO NIE WSZYSTKO — CHOĆBYM SIE ŚLINIŁ, ŁKAŁ I SPERMA STRZYKAŁ W MIŁOSNYM GALOPIE Z TWOJĄ



## PRZEKŁĘTĄ MNEMOZYNA!!!

Choćbym miał Jej obraz utracić na zawsze — niech szlag trafi ten ogród rozkoszy i twoją kreatywną potęgę! Jak mam cię jeszcze prosić o to?

WYBAW MNIE, BRACIE, ZE SWOJEJ PAMIĘCI!

Tak właśnie!

Nareszcie — poza tamtym orgazmem. Płeć Strefy Systemu, a może tylko jej Atrapa, złożyła mnie — poronione dziecko — w podstawione dłonie amortyzacyjnego pęcherza.

Biały inkubator — zanim się pozbieram w sobie.

Leżałem — bezwładny. Pot ze mnie spływał, jakby kwantowa pułapka wypluła mnie razem z porcją soku, który ze mnie trysnął.

Tymczasem promotor ostatecznego rozładowania moich żądy patrzył na mnie przekrwionym okiem, ogromnym i wypełnionym żalostí. Niczego ci nie wytłumaczę, przyjacielu. To tylko moja wina. Ty chciałeś jak najlepiej. Pech w tym, że — gdybym tak potrafił — sam bym się zadowolił w jakimś ciemnym kącie. Gdzie ja się uchowałem taki? Nie było czasu myśleć o tym. Jeśli się dzisiaj chcę uchować w moralnej czystości — na miarę prehistorii — powinienem nauczyć się cierpliwości. Nic — nie da uciezka w wyobraźnię sztucznej pamięci — gdzie chciałbym — jak Trismegistos — w ekstazie ogarnąć tajemnicę mojego Kosmosu.

Na razie więc nie patrz na mnie z wyrzutem i sam nie bądź taki w żalu nieutulony. Nie wyszło dlatego, gdyż jesteśmy warci siebie — przede wszystkim znamy się na fizjologii. Gorzej, jeśli i ta Planeta okaże się niewdzięczną kochanką, a mnie się dostanie jeszcze jedna porcja uzryjskiej miłości. Wtedy mnie pociesz — na swój sposób. Nic nie zmieniło układu między nami. Ostatecznie — tylko ty mi zostałeś.

I ktoś jeszcze — za moimi plecami.

Gwałtownie obróciłem się w fotelu. Równie dobrze mogłem tak zostać — twarzą do wklęsłych ścian; już odzyskiwały przejrzystość w próżnię kosmosu, lecz jego twarz zdążyłem jeszcze rozpoznać w gasnących lustrach. Dostrzegłem bladą plamę przed wylotem magnetycznego szybu i żółte ognie gorejących oczu, tak jasnych, jakby znowu patrzyły na mnie z półmroku wysoko sklepionego lasu.

Stał i patrzył na mnie rzeczywiście strasznym wzrokiem. Oczy — szklane kule wypełnione gniewem i dzikim okrucieństwem, które rozbudzić potrafi tylko prawdziwa nienawiść. Inaczej bym nie potrafił tego osądzić. Pewnie to samo uczucie pchnęło go w moją stronę — szedł prosto na mnie, gotowy przygwoździć mnie do oparcia fotela.

— T—ty... — wycedził przez zęby. — Wiesz, co zrobisz?!

Siedziałem nieporuszony, aż pełna pasji twarz zawisła nade mną. Próbowałem dopatrzeć się znajomych rysów w twarzy skurczonej dziwnym spazmem — kredowe policzki, szron z nich nie odtajał jeszcze, namarszczone czoło i błękitne nitki włosów przyklejone do czaszki. Dopiero się wyklułem z hibernetycznej lęgny. Za to przystroił się z ekstrawagancją godną co najmniej eleganta z Miedzianego Miasta. I gdzie twój ascetyzm — zaśmiałem się w duchu — nie pozwolił się zdystansować przez arystokratyczny negliż elewa Strefy Systemu! Potomek czcigodnego Darhmana przywdział kolczugę z rybią łuską osłaniającą pierś, brzuch i uda — nogi i ręce ujęte we wręgi szarozielonych fiszbinów. Wciąż we mnie mierzył wskazującym palcem. To już nie oskarżenie, pomyślałem, lecz zatwierdzenie wyroku.

— Powiedziałeś: każdemu z nas odliczono trzydzieści cztery godziny — był tak blisko, aż na spoconym jeszcze czole czułem jego oddech płytki i urywany, jakby nie zdążył przedmuchać tlenem swoich trachei niedawno wypełnionych fizjologicznym płynem. — Zaufałem. Powiedziałeś: niech ci Synchronmat zaśpiewa kołysankę. Dałem się nabić w butelkę sarkofagu. Gdyby chodziło tylko o mnie, mogliście mi obaj kark

skręcić i podzielić się po połowie. Przynajmniej miałbyś szansę pozyskać cokolwiek wartą głowę...

Zupełnie nie rozumiałem, czym tak się przejął.

— Teraz mi powiedz, gdzie on jest?!

— Kto? — zdziwiłem się odruchowo.

— Obiecałeś tego psa nie spuszczać ze smyczy! — nagle mnie chwycił za ramiona i wyszarpnął z amortyzacyjnego pęcherza, aż w bezpośrednim zbliżeniu dostrzegłem wściekłość jego oczu. — A jeśli go puścisz, żeby się tam przewietrzył... Ty powinieneś siedzieć tutaj i warować! Słyszysz? Szczerzyć zęby jak cerber przed słuzami „Trieda”! Dałeś mu wystarczające fory, żeby tu wrócił sam i rozporządził się na własną modłę!

— Niech mu wyjdzie na zdrowie — powiedziałem. — Przyjdzie czas i ja go przetrzymam przed słuzą „Trieda”. Aż zmięknie.

Popatrzył na mnie szczerze zdumiony.

— Mówisz to serio? — zapytał. — Na jakim ty świecie żyjesz, Elf! Na to już za późno! Rozumiesz? ZA-PÓŹ-NO! Myślisz jeszcze, że „Tried” jest nam koniecznie do szczęścia potrzebny? Zanim wynaleziono śmigło sądzono też, że — aby się wznieść w powietrze — trzeba się nadać jak balon albo koniecznie machać skrzydłami. Wszystko, na czym się możesz jeszcze oprzeć, co i tobie daje jakiegokolwiek szansę, jest tu...

Zakrzywionym palcem, jak dziobem postukał się we własną skroń.

— Ja jestem twoją ostatnią szansą — wycedził. — Jeśli taka w ogóle istnieje.

— Miałeś zły sen? — zapytałem.

— Nie życzę tobie! Wytlumacz mi, Elf, dlaczego ja jestem z tobą? Czemu nie muszę bodaj kuśtykać na przetrąconych nogach? Jak to się stało, że on tu był — i zapomniał o mnie?!

Rzeczywiście, pomyślałem. Dałem Natanowi okazję i co — nic się nie stało. Każdemu się zdarza, że mówi od rzeczy. To jeszcze nie powód, żebyśmy się nawzajem wyżyнали. Wszystkich nas tutaj ponoszą nerwy. — Skąd mogę wiedzieć?

— Otóż to, Elf! Dlatego się boję — wyznał z całą powagą. — Ty go nie doceniasz jeszcze. Ale ja wiem, on by nie zapomniał tego. I nie przeoczył! Dlaczego więc dał nam wolną rękę?

Takie postawienie sprawy mogłem skwitować tylko wzruszeniem ramion. Pewnie mnie nie zwiódło pierwsze wrażenie — cholerny mitoman był z niego.

— Ja również sędzę, że tak będzie najlepiej — powiedziałem zmęczonym głosem.

— Każdy na własną rękę. Przynajmniej nie będziecie sobie nawzajem skakać do oczu.

— Jeśli tak, trzeba było o tym zdecydować wcześniej. Dzisiaj ma nad nami przewagę czasu. A w skali tej Planety...

— Dokąd niby mamy się spieszyć?

Usłyszałem, jak westchnął. Opuścił ręce. Jeszcze w nim wrzało, lecz już się uspokoił przynajmniej zewnętrznie. I z miejsca jakby się osunął cały. Za to we mnie poruszyła się zardzewiała struna — wydał mi się bliski nagle, nareszcie ludzki w tym raptownym przeskoku z gniewu do bezradności. Gotów go byłbym uściskać.

Coś chętny jestem, pomyślałem, żeby się ostatnio z czym popadnie bratać.

Usiadłem z powrotem.

On stał nieruchomy. Jakby się zamyślił. Twarz odtajała — znów zielonkawa. Pierś niby naga, a jednocześnie pociągnięta szklivem zgrużonym jak ikra — stąd pewnie przywidziała mi się kolczuga. Za to dół brzucha rzeczywiście przesłonięty łuską, a nogi i ręce w półprzezroczystych, wyraźnie twardych i kanciastych osłonach. Po raz pierwszy przyjrzałem się jego rękom — palce długie, nerwowe, jakby w suchych ścięgnach tała się nieznana mi wirtuozeria. W oczach też coś takiego, co każe mi

zapomnieć o jego zewnętrznej formie.

I gotów byłem uwierzyć ostatecznie — stał przede mną, obleczony w kolczugę Dauda, najmłodszy syn Sijawusza, potomek wszystkich Chorezmszahów, już nie Il-Arslan nawet — jeszcze bliżej Strefy Systemu, może Timor-Malik, heroiczny obrońca Chodżentu — każdego z nich miał w sobie.

Jak bym się przedtem nie wyrażał wobec Natana — teraz dopiero, sam nie wiem czemu, zrozumiałem, że mam przed sobą człowieka. Nawet, jeśli jego ciało obarcza polimorfizm. To tylko następny etap wtajemniczenia w prawa Natury — przez plastyczność myśli po dyspersję ciała.

Sprytnie to sobie wyłożyłem.

— Coś jeszcze chcesz ode mnie? — zapytałem.

Drgnął i popatrzył na mnie niezbyt przytomnym wzrokiem.

— Czy zostało ci coś. Elf, co chciałbyś osiągnąć w życiu?

— To mój ostatni lot — powiedziałem.

— I zdasz się na łaskę Strefy Systemu?

— Czy to takie ważne, gdzie się składa kości? Każdy gdzieś wraca.

— I nic więcej? — cienkie wargi mu drgnęły.

— Nie mam lepszych widoków.

Czułem, że chce mnie o coś zapytać — wahał się jednak.

— A gdybym ci powiedział, Elf, że mógłbyś...

Ręką wykonał w powietrzu gest, jakby w rozcapierzone palce zgarnął szklane ściany „Trieda” i coś jeszcze — poza nimi, bardziej kruche od szkła i miększe od pajęczyny, której rzadka siateczka bruździ powierzchnię Planety już rozjaśnioną pod powieką nocy — to wszystko zacisnął w garści i zgniół.

— Po co? — zdziwiłem się. Gdzieś już widziałem podobny gest.

— Pytasz, po co? Wystarczy osiąść nową siłę, aby się otworzyła przed tobą nowa hierarchia celu. Najpierw trzeba mieć pięść, potem mierzyć w czyjś słoneczny spłot.

— Można i bez wytyczania celu — powiedziałem. — Z odpowiednią siłą można też tak od niechcenia, na odlew.

Chwilę przyglądał mi się uważnie, potem niespodziewanie parsknął śmiechem.

Śmiał się, a ja przed oczyma miałem Miedziane Miasto, poznane dzięki jego zmysłom. Potem — niby prześwit w ruinach inkrustowanych pośniedziałym systemem hieroglifów — przed moim wewnętrznym wzrokiem pękła czarna łuska i z ziarna wydobył się pęd świetlny, zakiełkował Katedrą Księżyca, aż się rozrosła fajerwerkiem światła — ucieczką gwiazd we wszystkie strony, i zakwitła korona Drzewa-Kosmosu, którego już nie mogłem postrzegać, gdyż sam w nim jestem — bez reszty.

Czy wizja świetlnej Katedry jest analogią tej siły, której przynętą chciałby mnie oczarować Endo?

— Ależ ja mówię poważnie! — zawołał. — Wystarczy wyciągnąć rękę! Tam czeka na nas źródło wszechmocy. Eldorado, o jakim nie śnili najbardziej fanatyczni czciciele Kosmosu. Tam, pod powieką nocy, która resztę Planety oddała w dzierzawę pamięci, na rezerwat zagubionych wątków Ewolucji; tam wystarczy przeniknąć i zaczerpnąć bodaj jeden promień z arsenału wszechmocy! Zastanów się, Elford. Ty tylko pomyśl... Nie! Nie starczy ci wyobraźni, aby zrozumieć, jaki tam leży skarb...

Patrzył na mnie rozjarzonym wzrokiem, a mnie ogarnęła dziwna apatia. Nie mogłem mieć pewności, czy mówi prawdę czy też drwi ze mnie. Zresztą — nie miało to żadnego znaczenia.

W świadomości mojej ledwie się tliła tak niedawno przygaszona iskra — echo niewymazywalnej pamięci mojego elektronicznego Brata. Wiedziałem, że jest coś, czego pożądam nad wszystkie skarby, jakie mogłyby mi wyczarować Planeta, których

wizję roztacza przede mną zielonoskóry potomek Chorezmszahów. Nie pomogła pamięć Brata, chociaż kusila ostatecznym spełnieniem. Wszystko, czego pragnę, to się plecami odwrócić do Planety i znaleźć powrotną drogę tam, gdzie i tak nic nie było, nie jest i nigdy nie będzie pisane; chociaż zabrakło niewiele — ułamek czasu, w którym się rozminęła Jej młodość i moje pragnienie.

— Bierz! — prosto w szmaragdowy sierp tknął tym samym palcem, którym przed chwilą gotów był mnie przewlec na wylot. — Powiedz: będziesz ze mną?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem, czego sami od siebie i od innych chcecie — powiedziałem. — I czego tam szukacie. Przyznam się szczerze, że mnie to wszystko zaczyna męczyć I coraz mniej obchodzi.

— Nie chcesz?! — do jego twarzy dobrze przystawała mimika rybiego zdumienia.

— Obejdzie się.

— I nie podnieca cię myśl...

Czy akurat jemu mogłem coś na to odpowiedzieć?

— Nigdy nie miałem wygórowanych ambicji — powiedziałem.

Nagle się zmienił. W jednej chwili ulotniło się całe jego zaciętrzewienie.

Wyprostował plecy tylko co skulone w pozie przekupnia zachwalającego swój towar. Jak bardzo nie pasowała do niego — zrozumiałem dopiero teraz. A i on mi się przyjrzał z nieoczekiwaną powagą oraz zaskoczeniem.

— Czyżby ci nie były obce nauki Mansura al-Halladża? — zapytał cichym głosem.

— Te same ziarna wschodzą na różnych ładach — wpadłem mu w słowo.

Pewnie się już zastanawiał, czy mnie nie dokooptować do grona ostatnich sufich. Wolałem rozwiać te nadzieje.

— Słusznie — przyznał wreszcie. — To jednak, że my się rozumiemy, nie znaczy, że inni tak samo myślą.

— Nie łudzę się.

— A więc...

Nieoczekiwanie wyciągnął do mnie rękę. Jakby polaryzację naszych poglądów musiał zwieńczyć pakt poparty przybiciem dłonią w dłoń. Oto znaleźliśmy się po tej samej stronie barykady i chętnie mnie przyjął na towarzysza broni. On — nie ja.

— Wybacz — powiedziałem.

Zastygł cały, znowu spięty. Patrzył na mnie skośnymi lekko, żółtymi oczami.

— Więc nie pójdziesz ze mną? — zapytał.

— Dokąd?

— Tam. Musimy go dostać w ręce, póki cokolwiek można cofnąć. Ma nad nami przewagę, ale kiedy pójdziemy razem...

— Mam dosyć — powiedziałem. — Jestem tym wszystkim zmęczony. Jeśli się tak ułożyło, niech każdy będzie wolny — ty, on... i ja też.

Zdawało mi się, że dosłyszałem, jak zgrzytnął zęby mi i ciężko przełknął sobie tylko wiadome przekleństwo. Jak spięty ostrogą okręcił się na pięcie i ruszył do drzwi.

— Dokąd idziesz? — rzuciłem za nim.

— Gównno to obchodzi takich, jak ty! — warknął.

— A jeśli się zdarzy, że się namyślę? Gdzie ciebie szukać? Zatrzymał się gwałtownie na samym progu. W rozchyłonym wlocie magnetycznego szybu iskrzyła się głowica starbolta — niby głownia wetknięta w miedzianą gilzę.

— Wiesz, kto ty jesteś? — zapytał ochryple. — Wrak... Słyszysz? Wrak.

Wyszedł i nawet nie splunął za siebie, chociaż — czułem, miał na to serdeczną ochotę.

## Szlafmyca z różowym pomponem

Brat mój troszczył się o mnie — na kryształowej tacy podsunął wysoki kieliszek, rodzaj menzurki na wysmukłej nóżce. Po załadowaniu solidnej porcji kalorii trzeba przepłukać gardło. Jadłem coś? Dokarmianie odbyło się jakoś poza moją świadomością. Teraz stałem z kieliszkiem w rękę i tępo przyglądałem się perłowo opalizującej zawartości.

Mógłby tam dodać psychodeliczną kroplę — szczyptę specyfiku, który obudzi we mnie estetyczne wzloty, skoro nie eksploduje dynamit. Ale on dba o moje poczucie wolnej woli. Nigdy nie przygotowuje gruntu pod przyszłą akcję nawet przy pomocy paru procent alkoholu.

Gwałtownie podniosłem kieliszek do warg, przymknąłem oczy i pociągnąłem solidny łyk. Nic nadzwyczajnego, nieco ziołowo—korzennej esencji. Piołunowa dezynfekcja przetyku. Kiedy spłynęło pierwsze wrażenie goryczy, całe usta wypełnił smak mlecznego aperitif. I nagle — kieliszek wyskoczył mi z palców, a ja stałem z rozdziawioną gębą, jakbym bał się zlizać dziwny osad na mrowiących dziąsłach i zębach.

Brzęk u stóp. Resztką płynu rozlała się owalną plamą, w której tłusto połyskiwały kawałki szkła zbyt kruchego jak na przyjacielskie spotkanie na pokładzie „Trieda”. Przesadziłeś z honorami, mój Bracie.

Nosem wciągnąłem chłodne powietrze, potem oddech wypuściłem ustami. Wrażenie zostało to samo. Niby nic specjalnego, jakby mikser Synchronatu przesadził z asekuracją i zaaplikował mi nazbyt rozcieńczony koktajl. Właśnie tak — rozcieńczony do tego stopnia, że mogły się w nim zadomowić bakterie — sprawczynie tych węchowo—smakowych aberracji. Kiedyś z Mungo Clairem sporządziliśmy sobie miksturę, mającą w kosmicznych warunkach imitować domowe wino. Niewiele w nas zostało maestrii przodków, gdyż smak był taki właśnie — z nieprzyjemną goryczką i drapiący w gardle. Wtedy nie potrafiliśmy określić, z czym się nam kojarzy, teraz wiedziałem — skąd ta wiedza we mnie? — miałem pełne usta cierpkawej słodyczy.

Stałem zupełnie bezradny — choćby w gębę wetknąć kawałek ręcznika i wytrzeć zęby; głębiej połknąć wycior, a potem wyszarpnąć, aż zbierze flegmę z języka i gardła. Nie było niczego pod ręką — chyba rękaw skafandra, o który można zębami zagrać jak o krawędź szklanki — w niej ciało moje ufnie rozparte w biologicznej ochronie.

Przez moment zastanawiałem się, jak też to się stało, że mnie Synchronat uraczył tą brylą. Może w istocie rozcieńczył za bardzo. A może — w jednej chwili cały statek wydał mi się butlą z ciemnozielonego szkła, w której zagościł piwniczny zaduch. Pewnie teraz to już tak zostanie — bez sterylnej czystości, bez wiary w nieomyślność, bez idealnej gotowości na każde twoje skinienie. To wolno wymagać od maszyn. Teraz, w rodzinie, zawsze więcej ujdzie płazem. Nawet niezbyt klarowna synteza wina.

Jestem niesprawiedliwy.

Przecież, poza językiem, mam jeszcze oczy, Przez szklane grodzie, przez nitki światłowodów wnika głęboko w przeźrocze „Trieda”. Widzę, a w tym już nie ma winy mego Brata, to bowiem, co ogarniam wzrokiem, nieoczekiwanie dobrze zgadza się z mysim odorem w całej gębie.

Szklana głębia zmarszczona, zmurszała niby stara gąbka — wszędzie próżne bańki, wzdęte wakuole. Nawet pies by nie tknął tych bebeczków „Trieda”

napiętnowanych powietrzną pryszczycą, zwiotczających i na węż pozbawionych wszelkiej treści. W stęchłych kazamatach załęgło się robactwo, otorbiło się larwianym oprzędem i przysnęło do lepszych czasów. Aż refleks słonecznego światła — laserowa akupunktura zarejestrowana w pamięci Brata mego — dostał się do celi przez okratowane okienko i przebudził poczwardki. Przestały się doskonalić wewnętrznym metabolizmem i zaczęły wylazić ze szklanych kokonów, nagle się załęgły w różnych zakamarkach niby myszy pomiot, zadreptały w miejscu — szukając ślepych oczkami tego kierunku, skąd zewnętrzny głos zarządził ich powszechną mobilizację. Potem popełzły — jedno za drugim, przez korytarze, studnie i szyby, prosto do przygotowanych na tę okazję włazów, gdzie odźwierny tylko potrząsnął pękiem kluczy i w mig wychyły w próżnię, żeby mechaniczne mrowie sypnąć prosto w zieloną źrenicę Planety — zbyt długo spokojną.

W przestrzeni zostało na wpół opróżnione truchło „Trieda”. W nim ja i mój przyrodni. I zapach powietrza — niby zapowiedź ostatecznego rozkładu. Stęchła woń wypełnia skorupkę odrzuconą przez rój mechanicznych chrząszczy. Wszystkie poszły za nową królową — stara może zdechnąć i z nią razem jej ostatni wojownik.

Nie odezwałem się do tego, który z rozterką łypał szkarłatnym okiem w moją stronę.

Przekroczyłem mleczną plamę, jakby białka ściętego na podłodze, i wyszedłem na korytarz. Przywykłem już omijać wylot magnetycznego szybu — tam trzeba od razu wiedzieć, dokąd cię ma zaprowadzić.

Chciałem być sam. O naiwności moja! — sam na sam z tym, co dojrzewało we mnie. Posmak nadpsutego trunku przeniknął głęboko, stał się katalizatorem dalszych fermentów — nie tylko w żołądku, przede wszystkim w myślach i pamięci. — Czułem we wnętrznościach wrzód gorący, lada moment gotowy pęknąć. Kto wie — może i świadomość zaowocuje świeżą ideą. Tej mi brakuje, abym i ja mógł się narodzić w szklanej kolbie „Trieda” — nosiciela tajemniczej plemni, gdzie tylko ja jeden, ostatni troglodyta nie wyklułem się z mojej jaskini — biologicznej ochrony.

Szedłem przez pusty korytarz.. Krokowi towarzyszył zgrzyt — niby przejrzyste wkoło, przenikliwie dla zmysłów, a jednocześnie podeszwy znajdują oparcie — ich nacisk jest jak zewnętrzne ciśnienie, pod którym kruszeje metal, a szkło dopiero osiąga prawdziwie krystaliczną zwięzłość.

Nie wiem, co mnie ciągnęło — precz od nawigatorni i kwantowego węzła Synchronmatu. Tutaj Brat mój docierał tylko poprzez zapuszczone w ściany wiotkie korzonki z łebkami soczewek w punktach styku ze szklaną powierzchnią. Coraz mniej ich było — szklanych pęcherzyków z różowym wejrzeniem centralnego oka.

Zjawiły się za to inne, nerwem wzrokowym nie powiązane z Synchronmatem.

Niektóre z nich wypląły się kiedyś tuż pod posadzkę — teraz wykruszone były, popękały jak próżniowe bańki. Niedawno coś się przetoczyło tędy — ciężkie, jazgoczące bieżnikiem gąsienic, miażdżące co popadnie na swej drodze, niby pancerny buldożer albo walec równający drogę, rozwijający wstęgę startowego pasa, żeby reszta mogła się za nim rozpedzić i wyskoczyć w kosmos poza pęcherz lokalnego ciężenia.

Nie zatrzymywałem się, chociaż wyrwy w podłogach były coraz głębsze. Wreszcie stanąłem nad okazałych rozmiarów wykrotem — krawędzie zastygłe miękką linią, jakby coś od środka podgrzało a potem rozłupało ślimaczą muszlę i wydostało się na zewnątrz. Została pusta torbiel. Tuż obok jeszcze większa, tym razem na styku ściany i podłogi. Ostatecznie też zniknęła imitacja luster nałożonych przedtem na ściany tunelu — zbędna polaryzacja, już nie ma czego kryć za sobą.

Opuszczony kopiec termitów.

Tylko ja zostałem — krótkoskrzydła nimfa. Ledwie przekroczyłem larwiane

stadium — mam w sobie chęci i obrzmiałe jądra, lecz brak czegoś jeszcze, bodaj jednego linienia, aby się rozwinąć w osobnika o płci zdeterminowanej i zdeklarowanych dążeniach.

Nimfą termita jestem.

Natan skorzystałby z okazji i wykręcił z siebie takiego androgyna, że tylko zawinąć oralno–genitalny obarzanek i wreszcie prawdziwa rozkosz ruszy z posad bryłę tego świata.

Endo też wabił: Dam ci wszystko, co tylko zechcesz! Sam bierz...! Czego chcesz? Łyknać ze źródła wszechczasu i wszechmocy? Przyleciało tu ze mną dwóch wiedzących z góry, czego pragną. Tym samym zawsze mnie uprzedzą, zanim się dopcham do żłobu. Przynajmniej ci dwaj, jeśli poza domenę naszych jaźni przekroczyło plemię wiernych z Katedry Księżyca i architektki Miedzianego Miasta. Kto jeszcze? Może ten las, który sobie poszelecił nade mną i stada galopujące przez prerie?

Pochyliłem się nad kolejną wydmuszką. Wewnątrz idealnie gładka powierzchnia, jakby nad zębatą krawędź wycisnęło embrion razem ze skorupą jaja chroniącą misterny mechanizm. We wklęsłym zwierciadle dostrzegłem refleks światła na mojej twarzy — maska pobladła, ze smętными kosmykami włosów przyklejonymi do skroni, z zapadniętymi oczyma i spierzchniętymi wargami — sparzył je boski napój, którego łyk pociągnąłem w nawigatorni. Teraz mysi smak razem z krwią rozpychał się w worku mojego ciała i w powietrzu wciąż czułem tę woń, jakby metalowe chrząszcze wysnuły z odwłoków feromonowi ślad.

Zachwiałem się nagle. Omal bym się ześlizgnął w pusty kokon. Mógłbym się tam zwinąć w kłębek i zasnąć snem sprawiedliwych. Nie wyszło. Dalej posuwałem się prawie po omacku. Półmrok się tu pogłębiał, mimo przejrzystych ścian coraz dalej odpychał nawet poświatę gwiazd. Czym on mnie nafaszerował — pomyślałem — cholerny Braciszek! Niedługo mi wypróchnięją flaki i zostanie pusta dziupla — może wtedy zdomowi się w niej jakiś ptaszek.

Byłoby źzej. Można by sobie podfrunąć, kiedy brak miejsca dla oparcia stopy. Tak, jak tu — przestrzenie stropów, posadzek i ścian wypełnione próżnymi okami, owalnymi niszami w krystalicznym szkielecie „Trieda”.

Chyba się już pogubiłem — gdzie jestem i dokąd mnie jeszcze ciągnie. Ślaniając się brnąłem — byle przed siebie. Na węch. Raptem coś zadrżało we mnie, jakby to coś — co ma się wykluć ze mnie — poczuło płęć do pary, blisko — tylko wystawić dziobek i można się przyssać. Zatrzymałem się, ręką wsparty o ścianę. Patrzyłem zdumiony, a TO leżało przede mną — ogromne, czarne, tu i ówdzie oksydowane srebrem, na wpół wychylone ze szklanej przerębli. Lecz siły zabrakło i tak zostało — czarnym tułowiem przewieszane przez zęby wybite w szklanej powierzchni, zwarte w metalicznym pancerzu z blach matowoczarnych, znieruchomiałe zupełnie. Tylko blade światło iskrzy się nieco na łuskach pancerza spowijającego długi tułów, igra na łbie potężnym, bezsilnie powalonym na szklane ciernie. Aż mi do stóp sięgało sztydło wystawione ze ślepego ryja, niby róg rohatyńca, gigantycznego chrząszcza. Zauroczony byłem tym cielskiem — musiała w nim drzemać kiedyś siła przeogromna, a jednak jej nie — starczyło — mechaniczne monstrum wykluło się, lecz nie zdołało wypełznąć z kolebki. Teraz się wala u moich nóg — pewnie wystarczyło drobne spięcie elektronicznych obwodów i rycerz pokonany został bezwładem własnych motorów. Leży z szeroko rozwartymi żelaznymi zuchwami — nawet ich nie sprawdził w turnieju o podwiązkę jakiejś dworskiej panny; armia też nie ogląda się na maruderów — towarzysze pancerni wypięli się na chromy balast, jeszcze się po nim przetoczyli ciężarem stalowych korpusów — wyraźnie widziałem ospowate zadry i szramy obnażające czerwony metal pod czarnym wierzchnim puklerzem, cały korpus

był podziobany z wierzchu, wdławiony tu i ówdzie, porysowany.

Stałem nad nim i — na przemian — robiło mi się mdło i wesoło. Piekielny trunek musiał mi poprzestawiać klocki w głowie. Patrzyłem i żał mi go było — piękny był, chociaż do połowy wdeptany w szklane kretowisko. I taki bezradny. Mógł być kreowany na bojownika Strefy Systemu wgrzającego się w empirie planet, jak kornik mógł drążyć chodniki przez geologiczne nawarstwienia historii tej Planety. A on padł w przed—biegach — pokonany przez własną słabość. Spoczywa teraz w żałobnej czerni, a mnie się zdaje, że ściany wkoło wibrują jakby — szeptem, szelestem, smutnym pieniem nad pobojowiskiem i jedynym żołnierzem, który się nie wygrzebał z okopu, kiedy im trąbka zagrała pobudkę.

I zdawało mi się, że słyszę: „Opuść rękę twoją z wysokości i wyrwij mnie, wybaw z potopu i wojny, zbaw od fałszu obcych, których usta mówią niczemność, a prawica ich — prawicą nieprawości...”

Aż się przeląknęłam i zadrżałam — we mnie samym ten głos dojrzał, budził się echem w rozedrganych tkankach — coraz bliższy; GŁOS — a jak bym widział pejzaż zakwitający śnieżką na blankach Miedzianego Miasta, gdzie zarzewie idzie od Świątyni Ognia — przez moje oczy — promieniuje w Katedrę Księżyca, a tam już chór głosów drżących pod strzelistym sklepieniem: „Żebrakiem jestem, gwiazdokrążcą ubogim, a ty nade mną, ty — ogromny, rozdziawiasz gębę i — Ehej! Ehej! Co widzą oczy moje?!... Jam duch, czerw na sumieniu twoim, jak rzep na psim ognie...”

I śmiech się potoczył dokoła skrzekliwy, rechoty zdławione w ciemnych zakamarkach — dostrzegłam dziwne płasanie światła na ścianach, jakby refleks pochodni kołyszącej się tuż za żałobem korytarza. Chłodne błyski przenikały również bezpośrednio przez kryształ z opróżnioną asocjacją mniejszych i większych wakuoli. Nie czułem prawie, kiedy moje nogi przekroczyły czarny zezwłok i skradającym się krokiem poprowadziły mnie dalej, przed siebie, a tam: „Choć kości twoje trzeszczą — odeszli, którzy dręczą!” — już ledwie potrafiłem ustać na gumowych szczudłach, tylko haki palców wbijałem w porowatość murów — byle nie upaść! Bliżej tego miejsca — w kolapsar własnego serca, gdzie słyhać beztróską przyspiewkę:

*„Ehej! Ehej! Co widzą oczy nasze!  
Ty słuchasz okiem, patrzysz uchem  
Pod ziemię aż się słaniasz  
Nie znajdziesz nas  
Nie wrócisz nas  
Choćbyś zszedł na kolana  
I ślepią ręką macał!...”*

Gotów byłbym przysiąc, że słyszę tupot, trucht biegających żwawo miękkich łapek — aż mi znajomy smak wypłynął na usta i zakaszlałem, i zatoczyłem prosto w głębie cudacznie pełgających światła. Pękła przede mną ostatnia zasłona, a wkoło — wicher, jakby tysiące cieni poszło w rozsypkę i szurnęło w ciemne kąty. Tam przestrzeń grząska — labirynt korników, a tutaj — uronione iskry, zimne błękitne płomyki dogorywały na szklanych posadzkach i między nimi — aż się oparłem o ścianę, mocno, całym barkami — bodajby się zawinęła na mnie jak ślimacza muszla, pancerny puklerz chroniący jaźń i ciało przed ostatecznym obłędem — COS zastygłe w nieokreślonym ruchu; pewnie chciał się zerwać, lecz nogi odmówiły posłuszeństwa i został, sam jeden, bo w zakamarki pierzchnął bardziej żwawy pomiot. Teraz mu nie zostało nic innego, tylko się znowu osunąć na kwarcowy odprysk i bezradnie zwiesić ręce wzdłuż cherlawego tułowia — co też uczynił, a następnie popatrzył na mnie



swoimi wielkimi, zaczerwienionymi oczami królika.

Cudaczny był, jak tylko sobie wyobrazić można. Ubrany w luźny czerwony kubrak wzdęty tylko w pasie — brzuszek mieć musiał jak piłkę, ostre czubki kolanek w siwych pończoszках, stopy — zrazu myślałem, że je wetknął w rozdeptane nieforemne kamasze — bosa były, tylko z wierzchu obrośnięte siwym włosem, niby frędzelkami podszytymi do żółtych mankietów; ale najzabawniejsza była różowa szlafmyca, którą miał wetkniętą na głowę, przełamana i ogromnym pomponem majtająca poniżej piersi. Staralem się przyjrzeć jego twarzy. Stary być musiał, czas mu na policzkach i czole poodgniatał zmarszczki, był jak ciągle rumiane a już pomarszczone jabłuszko, tylko nochał sterczał do przodu mięsisty i po obu jego stronach, w ciemnych oczodołach, żywo lśniły jasne iskierki — tylko przez moment spłoszone. Już zawiadacko zadarł głowę i przywitał mnie pewnym siebie wzrokiem.

— Psia twoja mać! — powiedziałem.

Potem sobie i jemu dałem szansę — przymknąłem oczy.

Zwlekałem rozkoszując się beztroskim polatywaniem pyłków pod powiekami. Wreszcie trzeba było podjąć męską decyzję. Niedołęga! — nie skorzystał ze sposobności. Został, jakbym go o to prosił.

Stałem naprzeciw karła. Przesunięta na bakier szlafmyca wisiała na jednym mięsistym uchu — nakrycie czaszki godne błazna. Spod czapki wysuwały się niteczki włosów cieńsze od pajęczyny, bieluteńkie — staruszek był z niego, pewnie Matuzalem skrzaciego plemienia.

— Hej! — powiedziałem.

— Ehej — powtórzył za mną.

Głosik miał cichutki, tyle co mysz piśnie albo mucha brzęknie. Zresztą bym się zdziwił na głos bardziej donośny z tego chuchra, co się z pewnością nie wyprostuje wyżej nad trzy stopy. Karaluch.

— Ty co... t-tutaj... — język mi się plątał.

Zabawnie przekrzywił głowę i chwilę zastanawiał się z zakłopotaniem.

— U was powiadają, że myszy tańczą gdy zabraknie kota — jeszcze się zdobył na żarty.

— Kim jesteś? — wykrztusiłem.

— Ja? — zrobił okrągłe oczy. — Dla ciebie... hm, niech ci będę Gnomem.

— A bez wygłupów? Może się poznamy; jestem...

— Wiem, Elford.

— O! Czyżbyśmy mieli wspólnych znajomych? Ciągle sprawiał wrażenie solidnie skonfundowanego.

— Głupio wyszło — powiedział.

— Co znowu?

— No... że ty nas — tutaj... Zawsze mówiłem, żeby się wystrzegać faktów dokonanych. Po co potem sobie nawzajem deptać na odciski. Dlatego mówię: głupio wyszło.

Głupio to ja się czułem. Ktoś tu chciał ze mnie zrobić durnia. Synchronat? Nigdy nie lubił samotności.

— Dobrze nam tutaj było — ciągnął swoje. — Cicho i przytulnie. Myślałem, że da radę cichcem... i prawie się udało. Jeszcze trochę i obeszloby się bez wpadki. Ale gdzie tam, zachciało się tańców.

Prychnął w stronę jakiegoś ciemnego kąta. Tylko nas dwóch ogarniał pęczeryk błękitnawego światła — na podłodze jarzyły się, porzucone w panice, fosforyzujące główne. Płonęły równym światłem ani nie rozpalając się zanadto, ani nie przygasając.

— Musisz zrozumieć, Elf — popatrzył mi w oczy błagalnie.

— Taki dzień! Taki dzień! Tyle radości na raz...

— Z czego? — nie rozumiałem.

— Dzisiaj prawdziwe święto! Trochę tu ciasno było. A teraz, sam widzisz, zrobiło się luźno. Poza tym, jak byś sam się czuł, gdyby ci za ścianą chrapał blaszany sublokator? Brr! — aż się wstrząsała. — Nigdy nie lubiłem tego ścierwa. Dobrze, że sobie poszło.

— Masz na myśli...

— Mam. Ale już się nie martw. Siad przestygł. Tfu! — splunął za siebie, przez ramię. — Sam widzisz, jak tu nie świętować.

Widocznie nie znalazł we mnie oznak szampańskiej radości, gdyż przygaśł nagle — dosłownie, jakby mu siadł akumulator podtrzymujący fosforyczną różowość jego nosa.

— Zawsze przestrzegałem, żeby siedzieć jak trusia — przestał mi patrzeć prosto w oczy. — Jeśli się już zabrało na gapę, to nie ma co pchać się na oczy. Mówiłem: cicho siedzieć po kątach, żeby się Master Elford nie natknął. Ma dosyć własnych kłopotów. Jeszcze trafisz na zły humor i którego za burtę wykopie...

Trajkotał w kółko. Najgorsze, że wcale nie miałem pewności, co przez to chce usprawiedliwić — sam fakt, że ktoś taki jak on istnieje, czy coś jeszcze.

— Skąd wy tutaj? — przerwałem tę jego wylewność.

— Mea culpa — uderzył się w piersi. — Na starość miewa się kiepskie pomysły. Głowa nie ta i reszta nie lepsza. Trzeba by zamknąć się na cztery spusty i odsiadywać resztę wyroku. Ba! Ale gdzie tu znaleźć jakie spokojne miejsce? I chciałoby się w kawałek własnej ziemi zainwestować stare kości, z pożytkiem dla wnuków... I doczekać się, przed grobową deską, że przynajmniej przychówek dopnie tego, co tobie nie było pisane... i nie będzie się chował po kątach...

Jeszcze trochę, pomyślałem, a się rozczuli nad sobą.

— Daj spokój — machnąłem ręką. — Pytam, skąd was wytrzasnął Wielki Animista tego parszywego Kosmosu?

— To ja — podkreślił, jakbym chciał uszczuplić jego zasługi. — Tylko ja! Chcesz, pociągnij mnie do odpowiedzialności. Reszta, młódź — zostaw. Im tylko figle w głowie. Nawet nie trzeba było wysilać konceptu, żeby się dali zamusztrować...

— Skąd?! — warknąłem doprowadzony tym biadoleniem do białej gorączki.

— Wiesz przecież — powiedział.

— Ani w ząb.

Uśmiechnął się nagle i zrobił do mnie oko.

— Ej! Toć mam uszy. Wiem, że nie wypada, ale czasami trudno ścierpieć i nie podsłuchać. Rozmawiałeś o tym z Natanem.

— Kiedy?

— Też racja, mogłeś zapomnieć. Statek wchodził w ognisko masy i zrobiło się cholernie czerwono. I ty też — strach było patrzeć. Och, ależ on wtedy oberwał!

Twarz miał natchnioną kosmiczną błogością, a ja z przerażeniem pomyślałem, że nie byliśmy wtedy sami. Ktoś nas widział, właśnie wtedy — mnie i Natana, kiedy się w nas odezwała natura bydlęcia. Czy tutaj nie zostało już żadne ustronne miejsce, żeby się bodaj załatwić?! Zawsze i wszędzie ktoś się ślepi. Jak tak dalej pójdzie gotów będę usprawiedliwić Natana i tamten jego strzelecki popis.

— O czym rozmawialiśmy przedtem? — spytałem zdławionym głosem.

— O dzieciach Tolkiena.

Jakbym dostał pałką w głupi łeb. Aż mi się w czaszce skrzyła świetlista protuberancja — magiczny Złoty Pierścień. I znowu zobaczyłem, jak z wnętrza piekiel wysypują się karły, skrzaty, gnomy — czarną magią modelują fantastyczny rezerwat gadających zwierząt i roślin myślących ku słońcu. I dokonana się we mnie kolejna odsłona Strefy Systemu — skrajnie zdziwaczały płód bio-cybernetyczno-

mistycznej ekspansji człowieka we wszechświat rozwarstwiony na strychy, ślepe podwórka, zagracone komórki, składnice złomu i inne rupieciarnie istniejące równoległe do jasnych pokoi, salonów wyłącznie dla arystokracji. Tam frenetyczne bale i w różnym confetti przechadza się klasyczny homo sapiens; lecz nad szklanymi stropami i pod posadzkami wspartymi na żelaznych prawach fizyki tudzież etyki, poza jurysdykcją legalnej świadomości istnieją jeszcze piwnice, pajęczą nocą wypełnione lochy, pokrętne kazamaty, gdzie pokutują odpady bardziej wzniosłych technologii — pleśń o mysim posmaku, próchno i szept, chociaż pod nalotem kurzu też potrafi załsnąć cekin złoty, nagle się otwiera skrzynia nabijana żelaznymi ćwiekami i oto — jest! Jeden z nich — całkiem jeszcze czerstwy, z poczciwością w oku, w przekrzywionej na bakier szlafmocy, niby z gałganów–odpadów uszytej — gnom nie gnom — głowa rodu hobbitów!

Ma trochę racji — pech. Bo jak to inaczej określić — było nam dobrze, mnie było dobrze, kiedy porządek dzienny nie uwzględniał ich krzątający — nie przeszkadzaliśmy sobie na swoich poziomach. Teraz — co? Mam mu powiedzieć: czujcie się jak u siebie w domu? A przecież — nawet, jeśli się załadowali bez mojej parafki; mali podróżnicy z odległej Strefy Systemu — ich przejście na pokład „Trieda” było tylko zamianą lokalu w ich wewnętrznym świecie, bez zmiany poziomu — loszek na loszek, strych na strych.

Ale co począć, jeśli się już wpakowaliśmy na siebie?

— Głupio wyszło — usprawiedliwiał się jeszcze. — Rozumiesz, ta—akie święto. Diabli wzięli zarazę!

— Wiedział o was Natan czy Endo?

— Ani mru—mru! Potrafimy siedzieć trusia. Nawet Endo... Zresztą, myśleliśmy, że nie na długo.

— A dokąd wy? — zapytałem.

— Przed siebie. Mój ludek ciemny, trzeba go jeszcze podchować, zanim się usamodzielni. Tak sobie myślałem, że do tego czasu trafi się planeta, gdzie takim, jak ja, będzie w sam raz jak u pana Boga za piecem. No i przyniosło nas.

— Rozumiem — powiedziałem. — To znaczy... kiedy zbieracie manatki?

Nagle się zmieszał. Całą garścią wytarł nos, który z miejsca zaczął fosforyzować różowo.

— M—my? — zająknął się. — Elf! Przecież teraz oni tam są!

Fakt, pomyślałem. Natan wziął na Planetę swoją mechaniczną czeredę. Ledwie się „Tried” zrobił jako tako przytulny dla rodu hobbitów, a ja im proponuję inną ziemię obiecaną. I mam gdzieś, że desant cybernetycznych komandosów Strefy Systemu już tam założył przyczółek — na przekleństwo nisko—piennego plemienia.

— A może ty, Elf, zżyłbyś się z nami? Musiałem na niego popatrzeć jak na idiotę.

— My spokojny naród — tłumaczył. — Drobiazg trochę psotliwy. Ale to jak wszędzie. Młodość się wyszumi, nabierze rozumu i z każdym będziesz mógł porozmawiać poważnie. Nie tylko ze mną.

O mało nie parsknąłem śmiechem; popatrzcie, jak się przejął rolą pełnomocnika narodu oddelegowanego do negocjacji na najwyższym szczeblu.

— Bo widzisz, nam to przypadło do gustu. A i ciebie nie zjadłaby nuda.

Moglibyśmy zostać. Co? — swoje przyczerwienione oczka wlepił we mnie jak królik w marchew. — To całkiem fajne zajęcie, latać tak... z gwiazdy do gwiazdy. I zawsze trafiają się niespodzianki, choćby taka, jak ta planeta... Może i dla nas znajdzie się jakaś.

Czy mógłbym z nimi? Zapewne prędzej niż z Natanem i Endo. Sęk w tym, że moje dalsze loty pozostają w sferze nie—ziszczalnych marzeń.

— Pech — powiedziałem. — To mój ostatni lot.

— Och! A co z nami?

— Ta Planeta to ostatnia okazja.

— Elf!

— W przeciwnym wypadku czeka was powrót do Strefy Systemu.

— Nie, nie, nie! — zaprotestował gwałtownie. — Tylko nie to!

Zrobił tak zafrasowaną minę, że gotów byłbym parsknąć śmiechem, gdyby nie chciało mi się płakać raczej. Czym też Synchronat zabełtał w tej mojej nieszczęsnej głowie?

— Gnębią was? — strzeliłem.

— Och! — oczy mu niemal wyskoczyły z orbit. — Ty wiesz o tym?

— Tak myślę.

— Eh! — westchnął żałośnie. — Jeszcze jak gnębią. Wiesz, jak to u nich było.

Najpierw ktoś się wygłupił z teorią kompensacyjną, kiedy im wy zdychały ostatnie modliszki i inne boże krówki. Wam zawsze potrzebne były maskotki. Tymczasem innego biologicznego materiału zabrakło, poza pulą genetyczną waszej populacji, więc przyszło kroić na własną — choćby i przykusą — miarę. Tak się wypełniła luka ekologiczna. Zgodnie z mitologicznym wzorcem... I dobrze było, i zabawy po uszy i skrzat każdemu ćwierkał za kominem. Aż ideologia powiała w drugą stronę i zaczęły się polowania na czarownice.

Mogłem to sobie wyobrazić. Wystarczyła mi pamięć twarzy Natana, kiedy wspomniał pomiot proroka Tolkiena.

— Nic nie poradzę — powiedziałem. — „Tried” musi wrócić.

— A gdybyś tak — zmieszał się — z nami?

— Nie — pokręciłem głową. — Ja też chcę wrócić.

— Oh! Czyżbyś ty... Co za dureń ze mnie. Wybrałem ciebie, bo myślałem, że taki właśnie da się namówić. Co takiego faceta, myślałem, może z powrotem ciągnąć do Strefy Systemu? Wystarczy raz rzucić okiem. A im też niepotrzebny taki, co potem będzie siał ferment. Oni też pewnie liczyli, że skorzystasz z okazji. Ale ty... masz kogoś?

Co on mógł wiedzieć na ten temat? Nie więcej ode mnie.

Wzruszyłem ramionami.

On tylko pokiwał łepetynką i oklapł do reszty. W jego wieku najgorsze to właśnie podupać na duchu.

Przez nieokreślone mnogości przejrzystych przepierzeń, teraz dopiero dostrzegłem — kiedy się wzrok przyzwyczaił do półmroku nad dogasającymi iskrami świętojańskich robaczków, aż tutaj przenikało nieco zielonkawego światła. W promieniach Heliosa odbitych od tarczy Planety ledwie przetrwała zieleń rozwodniona w przestrzeni, rzadziutki seledyn. Mój Gnom przez ramię obejrzał się lęklivo — jak pusty rękaw zwisła mu z karku szlafmyca. Brak było wielkiego, puchatego pompona. Był, a może mi się przywidział?

Stary karzeł przybrany w barwne szmatki uśmiechnął się smętnie w tym kierunku, gdzie świetlna plama wyznaczała pozycję Planety.

— Coś trzeba wykombinować — powiedział.

Tak, trzeba będzie ruszyć głową. Lecz co poradzić na to, że tak panicznie boją się Natana i jego żelastwa. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się dopełniła przynajmniej ich pielgrzymka do Ziemi Obiecanej.

— Ech, gdyby nam dano trochę więcej... — usłyszałem. Patrzył na mnie dziwnie przenikliwym wzrokiem, z dołu do góry — wysoko zadzierając głowę. I tyle w nim było — bo ja wiem — żalości nad sobą i czegoś jeszcze, jakby w zamglonych starczych oczach zastygło zdumienie, mimowolny zachwyt i odrobina zazdrości, której się nie wyzbył nawet u schyłku swojej drogi. A przecież musiał napatrzeć się

dosyć, żeby się pozbyć ostatnich złudzeń. Przecież wiem, co mu chodzi po głowie — jeśli taki jak ja może to sobie wyobrazić. Ten pokurcz też chciałby być przynajmniej taki — niechby i został wyświecony czerep, lecz barki — psiakrew! — dopompowane dźwigniami serwomotorów. Nie daj się nabrać, głupcze, na te trochę picu i glancu. Sam byłeś świadkiem — nie przyszło mi do głowy, żeby przynajmniej pójść za Endo, kiedy się coś samemu spartaczy.

Szmer usłyszałem. Coś jeszcze wytknęło nos z kąta.

Zakląłem w duchu — to coś było małe, krągłe, golutkie zupełnie — różowy pompon! Pewnie doszedł do wniosku, że jeśli starsi tak długo gadają, to pewnie ta wielka góra w srebrzystym skafandrze nie jest taka groźna. Więc się rozejrzał, a potem — bang! — podskoczył jak piłka i zaczął się do mnie zbliżać kręcąc rezolutną mordką. Jeszcze boczkciem, boczkciem, ale coraz ufniej.

Tfu! — splunąłem przez ramię. Tak dalej być nie może. Zaraz wylezie całe plemię — już słyhać piski, szepty i chichoty. Nie chcę ich widzieć ani słyszeć — jeszcze się rozczulę.

A on też wzrok we mnie wlepił błagalny. Brakuje tylko, żeby złożył rączki — uciekam się pod Twoją obronę!

Co ja mogę, do jasnej cholery!

Machnąłem ręką i obróciłem się na pięcie — tylko zgrzytnęły szklane okruchy. Niech sobie nie obiecuje zbyt wiele. Niech sam kombinuje. Jak na nich pewnie ma łeb największy. Ja nie dostałem angażu na przewodnika. I co ja zresztą mogę? Idę stąd — jeszcze mi się na sercu parszywa tkliwość załęganie. Precz stąd!

A pod nogami tańczy beczelnie różowy pompon, jakby się urwał ze szlafmicy naczelnego hobbita. Z drogi, bo góra zdepcnie! Życzyłbym sobie, żebyście raz jeszcze zeszli w konspirację. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Pa! — karaluchy, różowe słonie, białe myszki moje...

## Yellow submarine

Znowu ręce wrośnięte nerwami w biokontakty sterów. „Tried” powoli zostaje za plecami — półprzejrysty rybi szkielet zanikający w przestrzeni. Błysk — błysk; to pewnie Brat mój żegna mnie z tkliwością, przykładając czerwoną chusteczkę do łzawego oka. Mogłem pogadać z tobą, co też ci przyszło do kwantowej głowy, żeby przede mną roztaczać wizję prawdziwie braterskiego uścisku, kiedy — jak rzekłeś — ciebie nie będzie. I po mnie czort wie, co zostanie. Najgorsze w tym to, że bardzo wątpię, abyś plótł bez sensu — nie twoja natura, choć mym Bratem jesteś.

Wierzę, że potrafisz — a przynajmniej potrafiłeś kiedyś — osiąść jaźń ujmującą jednakowo przyszłość oraz przeszłość. Dzisiaj we wszystko jestem gotów uwierzyć. Nie mów tylko, że ciebie zabraknie. Razem z tobą diabli by wzięli jedyną moją tęsknotę, marną szansę na powrót w takie miejsce, gdzie piękność Strefy Systemu jawiła swą przychylną dla mnie. Razem z tobą trzeba by jeszcze paru wymazać z listy obecności, choćby to karłowate plemię, które się zadomowiło pod pokładem „Trieda”. A może w tobie. Albo we mnie. Pal licha zameldowanie — ważne, że jedna, nawet taka Planeta, wszystkich nas razem nie połknie. A jeśli — nie strawi na pewno.

Wiem — a jeszcze się pakuję w durną aferę. Nie lepiej poczekać z tobą, w sterylnych przestworzach, aż się Natan i Endo w swoim bloku ugniją? Ale nie — kosmiczny wrak pragnie sobie przygruchać piękną spawarkę do łatania własnej duchowej rozterki tudzież wydaje mu się, że zdoła drugi raz takiemu jak Natan dać w zęby — gdy na dodatek brak pewności, czy nie powinien zarobić Endo.

Jakoś będzie. A ty zrób sobie wolne, Braciszku. Co najwyżej trzymaj za mnie kciuki na wszystkich manipulatorach. Za mnie i za tę Planetkę — jeśli Natanowi przyszło do głowy przełamywanie rebusa przy pomocy właściwych mu metod.

Moje są lepsze? — pomyślałem. Nie mam żadnej koncepcji. Dałby tu los Van den Berga, Yongbloda czy Horowitza. Ja osobiście nie nadawałem się nigdy do niczego więcej nad prowadzenie starbolta na smyczy. Wiem o tym. Może dlatego czuję, co prawda, że gdzieś dzwony biją, lecz stać mnie tylko na zasłyszaną modlitwę: „opuść rękę z wysokości i wyrwij mnie, kimkolwiek jesteś, wybaw z potopu i wojny..”

Potop już się zwiera nade mną. Przez szklane czoło starbolta widzę piany obłoków frunące naprzeciw. Między garbami chmurnych masywów aż do nieba podsiąka sok zielony. Dzienna połowa planety zasnuta dzisiaj bielmem gęstym od wirów między masami wstępujących i zstępujących mgielnych potoków.

Wargi szepeczą — nie trzeba głośniej, elektroniczna przystawka laryngofonu zbiera słowa z zewnętrznej strony gardła:

— Endo, zgłoś się. Wchodzę pod chmury na 65° długości i 70° szerokości geograficznej. Podaj swoje współrzędne.

Cisza prawie zupełna. Anteny chwytają tylko dalekie potrzaskiwania w naładowanych elektrycznością masach powietrza. Wyobrażam sobie, jak muszą być potworne, jeśli ich ze szczętem nie wyeliminował komputerowy modulator. Mam wrażenie, że to teraz dopiero nastąpi pierwsze moje prawdziwe na tej Planecie lądowanie. Przedtem nie zdążyła na miejsce orkiestra i kompania honorowa. Brak było fanfar. Teraz za to rozwiera się oko cyklonu, atmosferyczny wir skręca obłoki, jakbym się lądował w jądro spiralnej galaktyki.

— Endo, zgłoś się — nędznie brzmieć musi mój głosik tam, gdzie burza, być może, akurat przetacza się grzmiotem. — Jestem Elford. Podaj współrzędne...

Pełengatory starbolta dawno dostały obłędu. On też się chyba zawział. Milczy — najprostsza metoda, żeby mu nad głową przestała wisieć moja poczciwa bezradność i bezpretensjonalność.

— Spróbuję zejść poniżej pułapu chmur. Nigdy nie widziałem takiego piekielnego kotła...

Raptem przeciągły trzask uwięził mi głos w gardle. Wokół głowicy starbolta zielony półmrok wyroił się seledynowym lśnieniem. W jednej chwili pochwycony zostałem w pajęczynę utkaną z nagłych rozprysków, z mgień elektrycznych wici. I wszystko drgało, mieniło się we wszystkich kierunkach — pewnie ku powierzchni Planety zmierzałem niby meteor w aureoli zimnych ogni. Elektryczne potencjały ulegały rozładowaniu akurat na powierzchni starbolta. Bez biologicznej ochrony pewnie by mi resztki włosów stanęły dęba na głowie, a plecy przeniknęło mrowienie — plemię Ecitonini zwartą kolumną przesuwające się wzdłuż kręgosłupa, aż poza kolumną mrówek tylko mój szkielet zostanie — opakowana w amortyzacyjny pęcherz zwrotna przesyłka dla ostatniego z krewnych na pokładzie „Trieda”.

Impuls środkiem dłoni w sensoryczne ogniwo; przed chwilą wlokąca się za starboltem nitka plazmy nawinęła się na szpulkę jego korpusu. Płynąłem teraz w energetycznej osłonie niby w kropli oleistej cieczy. Opadałem coraz wolniej. Otoczony błękitną poświatą, olbrzymi kulisty piorun — z zewnątrz w nim widać fioletowe ziarno głowicy starbolta.

Dziwny mnie spokój ogarnął. Jakbym uwierzył, że zewnętrzne demony uświadomiły sobie bezcelowość wszelkich zakusów na moją samotnie opieczętowaną energetycznym pęcherzem. Czasem jeszcze nad głową pomykały jakieś białe strzępy, gwiazdy przepadły ostatecznie i zanurzyłem się w jednorodnie nieprzeniknionej zieleni, może i gdzieś ograniczonej cembrowiną wirujących mas powietrza, lecz ja trafiłem w sam środek zupełnej ciszy. Tkwiłem niby pęcherzyk plazmy w oku cyklonu

— gorąca łezka, skroplona z energii. Tak to właśnie musiało wyglądać — zassało mnie w wir ogromnego cyklonu.

Teraz rozkołysany leciutko opadam w studni sięgającej do powierzchni Planety.

Wreszcie pod sobą dostrzegłem jakby lustro czarne, rozlane szeroko, aż po zieloną ścianę ograniczającą horyzont. Teraz rozumiem — zaniósł mnie nad ocean. Idealnie gładka płaszczyzna, smolistoczarna, jeśli nie liczyć szerokich kręgów piany na granicy zasięgu wzroku, rozchodzących się na zewnątrz lub zbiegających do środka.

Zastanawiałem się — rzucić starbolta naprzeciw owej ściany ograniczającej martwą strefę w oku cyklonu i przebijać się nad ład, kiedy coś wreszcie dostrzegłem z wysokości mojej. W czarnym zwierciadle na dnie studni odbijała się błękitnawa iskra. Od niej we wszystkie strony rozchodziły się promieniste smugi. Pomyślałem, że oto wystarczyło samego odbicia wizerunku starbolta, żeby przez zaskorupiały ocean rozbiegły się nitki pęknięć, bladezielone zygzaki korzonków. Długo nie łudziłem się zabawnym efektem optycznym. Starbolt kołysał się i jego odbicie pode mną również uwzględniało każde odchylenie od osi, tym nie mniej smugi obserwowane na powierzchni oceanu nie poddawały się tym odchyleniom, wyraźnie zbiegały się w węzeł niezależny od świetlnych refleksów kołających mnie w oczy.

Gdyby nie doskonała przejrzystość powietrza i stabilność wody pewnie bym nigdy nie dostrzegł tych bladych, pod powierzchnią oceanu rozchodzących się korzeni. Teraz w mojej pamięci odżył nie tak dawno zarejestrowany obraz — biały tunel z jednej strony wrzyna się w ziemię, z drugiej przeistacza się w walcowate kłaczce, które wnika pod powierzchnię wody i w głębiny schodzi fosforyzującym pasmem. Analogiczny twór przenikał cały maszyn kontynentu, żeby spod ziemi wycisnąć szklane oko w sercu Miedzianego Miasta, w sanktuarium cywilizacji, która już stąd odeszła. W Kosmos? Nie wiem. Może na tej Planecie udało się komuś przekroczyć próg uniemożliwiający nawiązanie kontaktu między istotami wyższego i niższego rzędu. Ale komu i do jakiego zbawienia potrzebny synergizm bydłęcia z pleśnią i szeleszczącą listo— wiem topolą? Jeśli istnieje tutaj ewolucja potrafiąca wycisnąć rozum z każdego żywego stworzenia, to właśnie budowniczy szklanych tuneli są jedynymi na tym poziomie, kiedy taki jak ja ma jeszcze szansę z kimś się dogadać. Namiastkę takiego Kontaktu raz już miałem — gdzie z łuku tęczy ktoś by } świadkiem nie mojego morderstwa. Chciałbym przynajmniej wiedzieć, czy pojął wtedy moją bezradność.

A jakie to właśnie ma znaczenie dla mnie? Teraz znajduję się nad miejscem, gdzie się zbiegają tamte wszystkie korzenie. Jakie było prawdopodobieństwo, że trafię właśnie tutaj? Żadne. A jakie szansę miał ten cyklon, żeby akurat nad tym punktem zawiesić swoje oko? Zresztą — takich węzłów może być więcej. Ci, którzy tam żyją, pod powierzchnią oceanu, z pewnością podzielili powierzchnię globu na strefy wpływów i eksploracji. Przekłety antropomorfizm.

Jeśli nie potrafię wyobrazić sobie tych, z którymi mam szansę nawiązać kontakt, jak określić tych, których obecność na tej Planecie przekroczyła granice mojej percepcji? A przecież są tutaj, czuję to — żadnym ze zmysłów — duszą; wiem od chwili, gdy śmiech przenikający w nieskończoność powalił mnie na kolana w świetlistej Katedrze Księżyca — wzniesionej i czekającej wyłącznie na mój powrót, ekstradycję ostatniego kreatora Pierwszego Impulsu. Przystępcę ciągnie na miejsce przestępstwa. Może więc istnienie tych, o których pewnie się nigdy niczego nie dowiem, samo ISTNIENIE stanowi mechanizm sterujący naszym losem — moim, tych pod powierzchnią oceanu, okiem cyklonu i... kim lub czym jeszcze? Zgodnie z kosmologią Synchronatu los jest tylko przenikaniem naszych jaźni przez tajemniczą arterię. Moja zapętleła się tu i ówdzie. W punkcie synapsy czas się zatrzymał, tam również — w Katedrze Księżyca — może się zacząć na nowo. Mam nadzieję, że to,

co się otworzy przede mną poza lokalną pętlą tej Planety, okaże się wolnością  
Wszechświata uwzględniającą coś jeszcze ponad moją samotność.

Tymczasem steruję wyłącznie mechanizmem starbolta.

A przecież i w tym trudno mi podjąć decyzję.

Powierzchnia oceanu tak blisko, aż zaczyna parować od gorączki plazmowego  
pęcherza. W odbiciu otaczającej mnie aureoli zatraciła się tamta rozeta prześwitująca  
spod wody własnym światłem. Wiem jednak, że tam jest.

Mogę stąd odlecieć. Mogę też zanurzyć starbolta w czarnej toni; na boki rozłożę  
płaty stabilizatorów niby ogromne szklane płetwy i znurkuje w tajemniczą ciemność.  
Jeśli niepodobna pojąć tych, którzy odeszli zbyt daleko, trzeba szukać stopni  
pośrednich i po schodkach piąć się dopiero — w górę czy w dół, kosmos czy ziemia,  
Natan czy Endo, woda czy powietrze — skąd mogę wiedzieć? A jeśli wybór należy  
nie do mnie? Jakie to ma znaczenie?

Po prostu nacisk dłoni na sensoryczne ogniwo w gałce sterów i starbolt opuszcza  
się powoli, a we mnie coś śpiewa:

*„So we sailed on to the sun,  
till we found the sea of green,  
and we lived beneath the waves  
in our yellow submarine...”*

Głębiej — wkoło bryzgi piany furkoczą, mgielne pęcherze zawiązują się w  
kipiącym kotle smoły i parskają w powietrze kłębkami wiśniowego żaru. To niebo  
rzuciło w studnię zapaloną drzazgę, żeby rozświetlić mrok zgęstniały na dnie  
atmosfery. Teraz płonąca głównia zanurza się w czarne zwierciadło, w kipiel  
zagotowaną w mgnieniu oka, aż woda zneutralizuje plazmową otoczkę, jej energię  
rozpuści we wzburzonej toni i wreszcie zgaśnie pochodnia — pod powierzchnię  
morza zanurzam się w mojej łodzi podwodnej.

Cisza zupełna. Tylko skąd te słowa do mnie:

*„We all live in a yellow submarine,  
yellow submarine, yellow submarine!”*

Nie wiem. Przecież nie znam całej swojej genealogii.

Obok mnie przesuwają się ciemność z rzadka nakrapiana zielonkawym planktonem.  
Jakbym na dno morza opuszczał się w szklanej beczce — zaraz się świat przede mną  
otworzy pełen dziwów, które przyjmę na równi z zachwytem i zabobonnym lękiem.  
Lecz promienie reflektorów grzęzną w ciemności i termolokacyjne zmysły starbolta  
też nie znajdują punktu zaczepienia. Jedyne świadectwo, że coś w ogóle istnieje i  
zmienia się na zewnątrz, to mój dobrze wyrobiony instynkt, który czuje rosnące  
ciśnienie, jakbym starboltem przebijał barierę słonecznego wiatru i próbował  
zanurkować w gwiazdną chromosferę. Tu jednak panuje spokój i ciemność, nie  
słychać ryku magnetycznych burz elektronicznie przetworzonych na dźwięki  
przyswajalne przez moje ucho. Nie widzę nic i nie słyszę; zostało tylko odcieleśnione  
wrażenie, że ciśnienie słupa wody wywiera na mnie presję — bzdura! Ale czemu się  
czuję nagle, jakbym był w klatce, między ścianami zbudowanymi z absolutnej czerni.  
Żaden sygnał z zewnątrz nie dociera do mnie, żadnym ja nie potrafię dać znaku o  
swojej tutaj obecności — choćby się wodą zachłysnęło serce tokamaka zwarte teraz  
pięścią plazmy w akceleratorach starbolta i eksplodowało gejzerem tysiąckroć  
potężniejszym od tej kipieli, która buchnęła parą na styku z wodą pochodni rzuconej z  
kosmosu. Lecz energia zawiązana w supefek — jak moje palce skurczone w



bioelektrycznych kontaktach sterów. Czuję tylko, że coś łaskocze środek dłoni — mam poczucie energii, na którą stać mnie jeszcze. Wystarczy rozwinąć pięść i wbić palce w pole grawitacyjne globu, a z dysz zasklepionych teraz wyrwie się znowu płomień i siła odrzutu wystrzeli mnie z głębinowej wyrzutni; czy gdzie też jestem — choćby to był kamień. Resztki myśli stanowią o mojej świadomości zasklepionej nie gorzej niż dysze. Ślepe tu i teraz. Gdybyż naprawdę dane nam było horyzont zdarzeń rozwinąć w czasie, od narodzin do śmierci — bez wczytywania się w murszejącą pamięć i gimnastykowania wyobraźni; choćby to przejście w nadświadomość podobne było do tego zanurzenia w głębię oceanu ciemniejszą niż samo przedpiekle.

Co jednak świadomość moja czuje poza ciśnieniem wody obojętnym dla pancerza starbolta? Nie jest to obecność tamtej czerni, w którą wszelkie kształty na powierzchni Planety rozsypują się z nastaniem nocy. Tutaj mam uczucie wręcz odwrotne, jakby mnie otaczała dziwna gęstość — tak właśnie: gdyby nieskończoną gamę kształtów wcisnąć w ten sam ułamek przestrzeni — efekt musiałby być taki. Nicość zupełna też sugeruje głębię. Tak samo milczeniu łatwo przypisać większą wagę nad wylewność słowa.

Chciałbym głos dobyć z siebie i zaśpiewać:

*„And our friends are all abroad,  
many more of them live next door,  
and the band begins to play.”*

Najpierw musiałbym zrozumieć treść tych słów. „We all live in a yellow submarine...”

Albo znaleźć ich genezę w sobie. Jak mnogość imion tamtego zielska, których pamięć objawiła się na znak—komendę tej Planety.

Na razie nie potrafię przestawić się zgodnie z nowym drylem, czuję tylko obecność jakąś — tak mnogą, aż się przeistacza w tło ciemności wypełnione ledwie reliktywnym promieniowaniem dającym świadectwo innego czasu. Lewa ręka koncentruje bioelektryczną aktywność nerwów w punkcie styczonym ze spustem trzymającym na uwieży słoneczne żądła starbolta. Wystarczy zsynchronizować gotowość mięśni, nerwów i ścięgien, w nich przynajmniej dokonać ostatecznego wyboru, jeśli z tym problemem nie potrafią się uwinąć ośrodki dyspozycyjne w nawigatorni pod okapem czaszki. Skąd we mnie przeświadczenie, że przebić mur reliktywnego promieniowania mogę tylko porcją energii z akumulatorów starbolta? Czy już nic innego nie potrafię wymyśleć, aby rozerwać ciasny horyzont zdarzeń, który mnie zatrzasnął w pułapce nieprzenikliwej dla zmysłów? Chciałbym przynajmniej wiedzieć, co tu było przedtem, zanim się objawił bolid starbolta — szklana pestka wypluta przez okno kosmosu. Czy coś tu jeszcze było przede mną?

Reakcja dłoni poza świadomą motywacją — tak też można. Coś strzeliło, jakby z piersi Szerna — mojej — widzialna przez mgnienie nitka żółtego promienia. Jednocześnie dwa do siebie równoległe ognie ze sprzężonych działek — zanurzyły się w ciemności, nakłuły barierę stanowiącą o moim lokalnym silentium universum — i nagle, jakby się światło rozwarstwiło dwoistą naturą korpuskuł i fali, coś dokoła mnie pękło. Najpierw jeszcze” gwałtownie rozwarły się dwa ogniska daleko naprzeciw starbolta. Tam i we mnie igły laserów strzeliły w środek mrocznego czoła, aż się pod nim otworzyły ogromne oczy, wielkie i żółte, napiętnowane zdziwieniem — tak bardzo znajome, chociaż widziałem je tylko przez mgnienie. Błysk — i eksplodowały wkóło przejrzystą przestrzeń, pokrewną tej samej rzeczywistości, która wypełniła kabinę starbolta. W tę rzeczywistość mogłem wreszcie zapuścić świadomość, żeby zainicjować działalność maszyn sprzężonych ze mną.

A jednak nie muszę przedsiębrać niczego. Czasami wystarczy nacisnąć spust, aby wszystkie problemy rozwiązały się same.

Starbolt niby jesienny liść, z płasko rozpostartymi statecznikami, ześlizguje się prosto w ognisko złotego pożaru. I widzę przed sobą koralowy wachlarz rozpostarty szeroko, srebrnymi nitkami związany z odległą ciemnością. Tunele wybiegają z węzłów perłowej macicy i rozchodzą się promieniście. Zdaje mi się, że to szprychy wstawione w oś Miasta zawieszonoego w pół drogi między powierzchnią a dnem oceanu; rozkręcają niewidzialną w perspektywie obręcz — mur ciemności chroniącej przed wtargnięciem z zewnątrz, i toczy się, wiruje olbrzymie koło, przewleczony szklanymi ścięgniemi cały glob pędzi wokół Heliosa.

Wreszcie dotarło do mnie, że cyrkowy efekt nagłej przesiadki z ciemności prosto w karuzelę spowodowany jest wyłącznie obrotem starbolta wokół własnej osi.

Wystarczy drobna korekta lotu, aby się wpasować w stabilność zewnętrznego świata. Pejzaż w nim rozświetlony wewnętrznym promieniowaniem, jakby przebijało spod płótna powleczonoego barwionym lakierem zamiast farb przebierających w widmie postronnego światła. Gdziekolwiek sięgnę wzrokiem, wszędzie głębia obrzmiewa kryształowymi kulami. W nich trwa przepływ najczystszoego światła, nieskażonoego materia, chociaż miejscami potrafi kropla za kroplą skondensować się w zwężonych kapilarach, żeby następnie podjąć mniej prostolinijny, jakby duchem obarczony, lot w tęczowych aortach. Jasno tutaj, chociaż nad nami ocean zatrzasnął strop ciemnozielony i gęsty. Jak przedtem nie dostrzegłem bodaj zarzewia tego światła zawisłego nad Miastem?

Jakim sposobem z tej fantasmagorii wydedukowałem czyjeś Miasto? To raczej przeźrocze gigantycznej rozwielitki zawieszonoej w jeszcze większoej zielonoej kroplic; równie dobrze — szkielet krewetki albo zmysłami anten rozczłonkowany tułów „Trieda” tkwiącego w niewidzialnoej pajęczynie na progu kosmosu. W zwierciadle czasu można prześledzić rodowód wszelkich symboli i kształtów w tak nieprawdopodobnoej przeszłości, gdzie się dopiero zawiązała ewolucyjna ciągłość — moja, Natana i Endo, „Trieda” oraz tego Miasta; lecz i tak prawdziwa przyczyna leży poza pierwszym materialnym ziarnem. W domenie apeironu? Jeszcze głębiej? Nigdy się nie dowiem, choćbym w sobie wskrzeszał podzwonne jakiegoś Anaksymandra.

W moim tu i teraz kryształ wody zdaje się być nadprzewodliwy dla światła. Tylko na skrzydłach starbolta zapalają się iskry złote, pancierz ocieka jasnobursztynowym sokiem. I płynę tak — słoneczny ptak szukający w miarę dostępnego lądowiska, gdzie można będzie zwinąć skrzydła i ufnie wtulić się w gniazdo wypełnione swoim ciepłem.

Coś mi jednak nie daje spokoju. Czemu powszechne zaciemnienie pograżyło to Miasto w nocy nieprzenikliwoej od strony starbolta i dopiero laserowy pogrzebacz znów rozruszał węgle, aż się łuna podniosła nad kryształowym labiryntem?

Pomyślałem o tym i jednocześnie dostrzegłem czarne strzępy pierzchające poza zasięg mojego wzroku; stado czarnych wron sypiących pierzem, rozdartych w płachty bezkształtne — tak już daleko ode mnie. Czarne płyty zdmuchnięte jednocześnie we wszystkich kierunkach — oddalają się od tego punktu, który kiedyś zawierały w sobie, wewnątrz ślepego pęcherza.

A więc to tak. Kimkolwiek są mieszkańcy Miasta — ktoś mi wystawił paskudną opinię. Próbowali się osłonić barierą nieprzenikliwą dla zmysłów — dziarskiemu kogutkowi kapturek na łeb. A jednak się wyzwolił. I dziobnął. Marna wasza technika asekuracji. Zresztą, nie każdy potrafi doścignąć Mistrzów, którzy przed wścibskością kosmosu połowę własnego globu osłonili płaszczem nocy. Spod ich pelerynki byle szermierz nawet laserowym szpikulcem nie wyłuska złotych loków pięknoej nieznoej, zatrzaśniętoej za bramą Klasztoru. Do jej celi w wysokoej wieży — w

studni głębokiej — nie potrafię wspiąć się po murze, chociaż — czuję — już dla mnie szykuje specialite de la maison, szczególnie wyrafinowaną rozpustę.

Przecież dzienna odsłona Planety to tylko rezerwat. Tyle już zdołałem wykonypować. To tylko korzenie drzewa ewolucji, których żal wykarczować. Mogą zresztą zaświadczyć o szlaku bojowym Konstruktorów Katedry Księżyca. Niech będą też placem potyczek dla tych, którym się jeszcze nie udało odpowiednio wysoko podskoczyć — jeszcze próbują, ćwiczą oręż i kiedyś może dopełnią strefę nowego bytu. Zarezerwowane dla filozofów. Leśnym sfinksom, paru drzewom i ciekawskim turystom z pneumatycznej kolejki już zostało niewiele.

Moje największe osiągnięcie to rozplatanie prymitywnego pęcherzyka, którym mnie otoczyli mieszkańcy oceanicznej głębi. Nie dałem się w czarnym balonie przewieźć nad ich rojowiskiem świetlnym.

Pewnie w ukrytym sztabie pechowy mistrz ceremonii zapłonął przekleństwem wewnątrz przejrzystego ciała i obmiękł w szklanym kielichu samotni. Nie wyszła sztuczka. Zostaje tylko bezgraniczna apatia. Przecież czuję na sobie ich wzrok bezradny. Tak mi się zdaje, jakbym przelatywał nad strwożonym miastem, a oni wszyscy zataili oddech i patrzą, jak nad Miastem przelatująca kometa wlecze za sobą złowrogi ogon — a łeb jej ogromny, żółte jądro, w nim kształt rozkrzyżowany, twardszy od wody, ciemny, wrośnięty w stery — tak przeraźliwie bliski dla wzroku i nieprzystępny dla rozumu.

Dlaczego tak się mnie boją?

Światła w dole zmartwiały zupełnie. Widzę — w szklanych tętnicach ustała wędrówka wodniczek — sparaliżował je widok mojej łodzi podwodnej potrafiącej przemieszczać się poza prowadnicą szklanego tunela. To dla nich szokująca nowość.

Moja łódź podwodna opada coraz niżej. Bliżej też jestem centrum owej aglomeracji ogromnej, zwartej i żywej, sugerującej taki rodzaj społecznej homeostazy, która na tej Planecie zrealizowała wizję Wheelera — jakiś gigantyczny nadorganizm.

A przecież ja i ONI mamy wspólną genealogię.

Gdybym był biologiem i mógł stąd zabrać, spod chitynowej skorupki wspólnego gniazda wyłuskać kilka egzemplarzy i rozciągnąć na sekcyjnym stole, pewnie elektroniczna analiza wytknęła by nam przynajmniej parę ziemskich koligacji. Sekcja zwłok — zadrżałem. Znowu poczułem paskudny smak w ustach i jeszcze gorszy ścisk zimnych palców grzebiących w moich kiszkaach — przed ich mikroskopem.

Więc to tak, pomyślałem. Moje ciało oblało się zimnym potem i dobrze już zadomowione we mnie plemię Ectonini podjęło marsz z celowością nie gorszą od współdziałania neuronów w konstruowaniu mojej świadomości. Pomogło — poczułem się z tym bliższy budowniczym Miasta oraz ich lękowi.

Chciałem szarpnąć stery, samemu spojrzeć w zenit a głowicą starbolta prześwidrować strop zielony, kiedy nieświadomione sprzężenie palców i oczu powstrzymało moją rękę. W samym sercu podwodnego miasta dostrzegłem krąg czarny, zapiekły obwodnicą jakby łuszczek woskowych — pustych i wygaszonych komórek. Z wysokości wyglądało to niby zgorzel czarna, tylko co zasklepiona blizna. Jej zasięg musiał być ogromny, z pewnością obejmował całe węzły szkieletowych konstrukcji, nośne spirale i dzielnice pęcherzykowatych gmachów — martwych teraz, przeistoczonych w rumowisko odprysków szklanych, zatopionych w sinym rozlewisku, w czymś grząskim, pochłaniającym wszelkie światło, nawet jeśli niezliczone poziomy Miasta przetrwały pod tym piętnem. Aż jęknąłem. Czyjaś ręka w moich wnętrznościach zwinęła lodowate palce w pięść. Widziałem już, potrafiłem odgadnąć przyczynę. W środku martwej blizny spoczywała srebrzysto-czarna gilza wbita głęboko w mroczny krater. Przez moment zdawało mi się, że widzę tam dysze

starbolta głowicą wbitego w rumowisko szklane, lecz wystarczyło niewielkie zbliżenie, abym ostatecznie pojął pochodzenie metalicznego ziarna.

Tkwiło tam — wbite twardo, zaspawane w stalowy pancerz, jakby rozdęty koniec wiertła zanurzonego w bryle kamiennego węgla. Jeszcze się wstecz rozpościerały cieniutkie polipy anten i ostygłe spirale agregatów elektromagnetycznego napędu. I zapytałem siebie: dokąd jeszcze dotarły mechaniczne ziarna wysiane z brzucha „Trieda”? Już nie mogłem stąd uciec, umyć ręce, zapomnieć. Przynajmniej potop nie jest straszny dla mojej łodzi, chociaż jest powiedziane: „wybaw z potopu i wojny”.

Więc płyn, łajbo moja, a ja będę rachował trupy — bez matematyki ani rusz, jeśli chce się pojąć Katedrę Kosmosu.

## Ktoś

Dopiero przy bezpośrednim nalocie nad krater można było ocenić ogrom zniszczenia. Wisiałem niby nad wrakiem martwego statku — potworna fala zmiotła wszystko z pokładu. Gdzieś bardzo daleko podnosi się luna — bije z bocznych iluminatorów, za którymi płoną wszystkie lampy i trwa jeszcze zabawa — co znaczą rafy i lodowe góry dla pasażerów tego monstrualnego „Titanica”. Tyle, co dziobnięcie czarnej wrony w jedną z bocznych szybek.

Dziób wbił się jednak głęboko. Teraz tłustawe ziarno połyskiwało w centrum krateru. Stąd rozchodziły się rysy łamiące dotychczasową architekturę szklanych uzwojeń, systemem promienistych szczelin wnikały między synapsy tuneli i przełamywały pęcherzyki domów — jeśli to miało jakąś funkcję zbieżną z moją interpretacją Miasta. Wszędzie tam reflektory starbolta wyławiały z półmroku puste komórki o krawędziach postrzępionych, rozwartych szeroko, zapuszczonych w jeszcze głębsze nisze — równie puste. Czasami w nich tylko błyskała perłowa macica, to znów czerniał wylot kanału prowadzącego do zbiorczych tuneli. Ich system wyraźnie widziałem pod wierzchnią, przezroczystą korą, niby naskórką pokrywającym niegdysiejszy monolit. Teraz przez pęknięcia ulotniło się światło, a ciśnienie wypchnęło polipy zamieszkujące labirynt. Wszędzie sterczały złomy szklistej kory, igły sklerytydów, gdzieniegdzie zaczepiły się na nich strzępy jakby woskowiny, białe kłaczki czegoś niezwykle delikatnego — samo rozmokłe opakowanie, z którego wyciekła zawartość. Przepływający mimo starbolt wzruszał wodę i owe płachetki falowały nad pobojuwiskiem, powiewały wyblakłymi chorągiewkami, jakby ktoś je zatknął na bagnety znieruchomiłe nad bruzdami pustych okopów — nic w nich nie zostało, nic zdolne wychylić się nad transeję, ponad łupiny szkliwa zdartego z powierzchni. W serce Miasta zarył stalowy meteor. Jakże potworny musiał być wstrząs i podmuch, który obnażył strukturę tych komór i kanałów.

Właśnie wpłynąłem nad nieckę, w której spoczywał czarnoboki przybysz, obły, martwy — gotów byłbym zwątpić, czy kiedykolwiek rzeczywiście potrafił się ocknąć z bezwładnej inercji maszyn. Tak samo musiał wyglądać wtedy, nim wylazł ze swego gniazda w przepastnym brzuszysku „Trieda”, gdy czekał — ukryty przed moim wzrokiem. Tak właśnie musiał też drzemać — wrośnięty w szklaną osnowę, jednym — jedynym uchem otwarty na zewnątrz, skąd miało przyjść hasło motywujące jego przebudzenie.

Jak się tutaj znalazł? Może się zgubił w locie, odłączył od reszty czeredy — co znaczy jedna ikra wobec ich mnogości wysypanej w atmosferę Planety — a potem, zostawiony samo — pas, poza sznurem żelaznych pereł nanizanych na laserowy peleng

za starboltem pilotowanym przez Natana — może szaleć zaczął, ciskał masywnym korpusem od ziemi po stratosferę, rozpaczliwie szukał, aż runął w ocean i pod jego powierzchnią dojrzał miraż „Trieda”, przejrzysto–światlny szkielet. Więc skoczył mu naprzeciw, radosny w tulei przestrzeni skręconej w elektromagnetyczną wyrzutnię, niby bolid wyrwał się z zielonkawych przestworzy i runął w dół, na spotkanie zbawiennej światłości, która przed nim winna się otworzyć gościnną służą w szklanym boku. Burta okrętu zawieszono w podwodnych przestworzach przyjęła go jednak pancerną skorupą — nic to! Cóż znaczy wiotka kora dla rozpędzonego dłuta — przewlec ją można na wylot i przy pniu poszukać schronienia przed samotnością. Tam starczy miejsca dla każdego, żeby się wtulić w pierś ogromną, a potem przysnąć w ciszy i spokoju; choćby dusze potępionych jęczały nad pobojuwiskiem, które zostawiłeś po sobie. Nad sobą.

Pomyślałem, że przecież nie ma znaczenia, jak to się odbyło. Ważne jest to, co zostało w pamięci tych, którzy przetrwali — poza kręgiem znaków już przyswojonych przeze mnie. Zjawiliśmy się tutaj tacy właśnie — pięść grzmocąca z nieba w kształt ostatecznie zawiązany, bez naszego udziału.

W takiej, jak ta, chwili wydaje mi się, że zaczynam rozumieć to, co tak opornie przeczuwam tylko na okrainach mojej świadomości. Sfera Planety jawi mi się jako KRYSZTAŁ właśnie, ogromny, doskonale precyzyjny i statyczny. Tak, nie mogę się mylić, ucichły burze, które ten świat w oka mgnieniu — w skali Wszechświata — dźwignęły z powszechnej martwoty kosmosu. Teraz oczom Sprawcy, którym się — na dni parę oddalił, ukazała się znowu struktura w pełni doskonała, zakończona w najdrobniejszym elemencie. Aby ją pojąć ostatecznie, wystarczy wyobrazić sobie ewolucję poza czasem, wpisaną w jeden moment — świt jeszcze zanurzony w nieodgadnioną dzisiaj prehistorię, gdzie się dopiero zawiązują żywe piany we wszechoceanie. Z przeciwnej strony zmrok wrasta korzeniami w noc istniejącą poza naszą wyobraźnią. Przyszłość jest właśnie nocą tej Planety, ani martwą, ani żywą, jest tajemnicą wyniesioną poza historię gatunku homo sapiens i nad empirię odczytywaną ze znaków zakodowanych w materii na drodze fali czasu. Jej grzbiet nas niesie — mnie, Natana i Endo. Stracił już pianę tych, którzy kiedyś byli tu ze mną; Ulama, Horowitza, Yongbloda i Van den Berga.

Zastanawiam się — gdyby na tej Planecie wylądował guru prastarej cywilizacji całego Kosmosu, czy i przed jego oczyma Planeta jawiłaby się identyczna, jak teraz przede mną? Z pewnością nie. Odkryłaby przed nim tę stronę, której on byłby przypisany w lokalnym czasie własnej ewolucji. Tutaj kontakt możliwy jest wyłącznie na styku indywidualnego „czasu” każdego gatunku. Ewolucje to tryby obracające się powoli i zazębiające się w ściśle sobie przypisanych punktach. Dlatego nie potrafimy nawiązać kontaktu z mrowiskiem ani, tym bardziej, przeniknąć w strefę przyszłości tej Planety, przed nami okrytej skrzydłami czarnego kruk — Wielkiego Demiurga. Co prawda słyszę czasami szept w listowiu drzew i zdaje mi się, że dostrzegam iskrę rozumu w ogromnych, tygrysiach oczach, ale to nie ma wielkiego znaczenia. Jesteśmy tutaj między przeszłością i przyszłością, w połowie drogi — cholerny optymista ze mnie! Początek i koniec jest tą samą nocą. Mówię z pozycji jednostki. Czy można inaczej? Jakim punktem styku zazębia się ta Planeta i Brat mój, Synchronat? Czyżby można było postawić znak równości między Ewolucją gatunku i Nadświadomością jednostki?

Lecz jeśli biosfera tej planety zaczerpnęła wzorzec z garści nasion, które przynieśliśmy z Ziemi, jest tylko apoteozą ziemskiej ewolucji. A jeśli cudem jakimś Planeta zdołała z tej ograniczonej puli genowej wydedukować nawet kształt zwierząt — wciąż WIEM, że jest to niemożliwe — i odtworzyła człowieka, czemu nie spotkałem nigdzie istot do siebie podobnych — tylko garść kości i czaszkę

poczerwiała w gliniastej glebie?

Zadaję sobie pytanie, na które już znam odpowiedź.

Na tej Planecie zostało po nas tylko Miedziane Miasto, żelazne skały rozpadające się w porach przy lada dotknięciu i trochę innych ruin, o których Natan wspominał. To wszystko jeszcze przystaje do naszych wyobrażeń — moich, teraz już wątpię — czy Natan i Endo nie widzą bodaj ułamek więcej. Z całą pewnością i oni nie potrafią jednak przeniknąć w świat leżący po stronie nocy. Zmierzch tutaj oznacza naszą śmierć. Każdego z osobna. Tylko gatunki zdolne są do przekraczania pewnych progów. W takim miejscu powstaje nowy gatunek albo odchyła się ślepa uliczka ewolucji. Winienem więc poczuć ulgę, że na ścieżkach tej Planety nie napotkałem człowieka; znaczy to, że — jako gatunek — coś jeszcze mamy przed sobą.

Pomyślałem o tym, a moje oczy prześliznęły się wzrokiem nad czarną blizną rozdartą między światłami Miasta — wypełniony śmiercią rów tektoniczny — i nagle ja sam zmartwiałem, jakby ta śmierć nie zaprzestała jeszcze zbierać żniwo.

Refleks światła pochwyliłem w Twoim oku prawym — śnię na jawie: „Jak sądzisz, ilu ja miałam takich, jak ty; posiwiałych przedwcześnie i niezniszczalnych, piekielnie bohaterkich i beznadziejnie nudnych...” — powiedziałaś. Co odpowiedziałem wtedy? Nie wiem. Dziwny paraliż — kiedy widzę twoją twarz w tle czerni spopielałej na zewnątrz — znów mi się zdaje, jak wtedy gdy Natan siedział ze mną w krótkim ześlizgu starbolta nad zębatą martwicą Księżyca, mam prawie pewność, że w twych oczach nie jestem sam jeden.

Kto jeszcze?!

Powoli obróciłem głowę. Przemarsz plemienia Ecitonini od karku po czubki palców zdrętwiałe w butach. Tępy wzrokiem patrzyłem na fotel drugiego pilota.

Zamknąłem oczy, jakbym się zabawiał z Gnomem.

Znowu otworzyłem.

A w myślach szczyrzy trucht i słodka gorycz na języku:

— K—kim jesteś?

On siedział nieruchomy, nawet w moją stronę nie skinął ręką. Standardowy skafander ze srebrnym puklerzem na piersi i okiem magicznym przygasającym i rozjarzającym się u nasady hełmu — dowód pełnej aktywności biologicznej ochrony. Kim był ten człowiek? Nie Natan przecież ani Endo!

Poczułem, że coś mnie targa za ramiona — pusty śmiech mną wstrząsnął. Gotów byłem palcem nakreślić w powietrzu gołąbka, potem splunąć na cztery strony świata — może też zacząłby fruwać.

A jednak ten KTOŚ był ze mną. Nawet go nie musiałem ze wszystkich stron obmacać. Wystarczy, że mi oczy wyłaziły z orbit. Braciszek mi podrzucił wypchaną kukłę! — westchnąłem z ulgą. Przedtem jej jednak nie było. Kiedy ostatni raz spojrzałem w tę stronę? Nie wiem. To zresztą nie ma znaczenia. Ja WIEM, że to jest człowiek, chociaż wciąż nie potrafię rozpoznać twarzy. Tej jakby nie było zupełnie. Kula hełmu po bokach wykrzywiona lustrzanym owalem. W środku ciemność — plama ledwie majacząca, z której coś patrzy na mnie. Coś! Gdybym przynajmniej dojrzał oczy! Omal się moje bebechy nie pokryły szronem, a mięśnie do reszty obezwładniła nagła katalepsja; przecież ten KTOŚ nie był mi obcy — czułem to! Jakby się cofnął czas i miejsce koło mnie zajął członek dawnej załogi „Trieda”.

— Ul—l—lam! — jęknąłem.

— Ciepło.

Głos! Rozpaczliwie szukałem w pamięci. Tam i z powrotem przegrywałem zarejestrowaną w szarych komórkach fonotekę — diabli wzięli tę grającą szafę, ciagle wyrzuca nie ten szlagier.

— Myśliciel się zrobił z ciebie — usłyszałem znowu.

— D—dla—a—czego? — zadziałał odruch warunkowy.

— Sprytnie to sobie założyłeś: tożsamość Ewolucji i Nadświadomości.

Jakbym w pysk dostał. Lecz głos był spokojny, bez drwiny. Co też w nim mogło być takiego — smutek jakiś? Może nie potrafiłem rozszyfrować rzeczywistej barwy tego głosu, gdyż rezonował w piersi puste jakby, zasklepionej tylko pancerzem biologicznej ochrony.

— Precz! — powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

— Pozdrowienia od Wielkiego Thana Hobbitów.

— Nie wierzę; w ciebie ani w żadnego innego gнома.

— W to również?

Wyciągnął ramię i srebrnym palcem tknął w krater wypalony pod kołyszącym się starboltem.

— W co?

— Nie wierzysz? Te blade truchła nawleczone na szklany szkielet powiewają dla ciebie. Nie musisz wierzyć. Ich też nie ma. Oni umarli.

Przez chwilę tak trwał, jakby to jemu osłupienie podłożyło pod ramię poduszkę powietrzną. Przerazający był z tą czernią wypełniającą kulę hełmu, jakby się jej nachleptał ze studni w szkarłatnej asterias. Raptem zawieszona dłoń przełamała kataleptyczny efekt bezruchu i wszystkie pięć palców wbiła w tuleje bioelektrycznych sterów przy fotelu drugiego pilota. Dublujący układ sterów nie mógł przejąć kontroli nad starboltem, jeżeli ja mój buzdygan twardo trzymałem w dłoni. A jednak poczułem, że energia tokamaka staje się niezależna od mojej woli, pęka biomechaniczny obwód i odcina sprzężenie moich nerwów z dyszami, ze zmysłami lokacji i płatami stabilizatorów. Również lewa ręka może sobie do woli naciskać spust.

Targnęło mną i przestrzeń zawirowała dokoła. Starbolt postawiony dęba, jego trajektoria wpasowana w greckie alfa — nieskończoność można dopełnić gdzieś w okolicy planetarnego jądra. Karkołomny looping — aż mnie rzuciło w amortyzacyjny pęcherz.

Pewnie bym też tak potrafił, ale to on trzymał stery pewną ręką. Teraz znowu do dna nagiął lot starbolta i nieomal w miejscu zakręcił taką pętlę, aż wodny wir wymiółł przezroczyste śmiecie z krateru, nad którym wyższa szkoła pilotażu zademonstrowała taneczny obłęd. Pod nami zamąciło się od pustych błonek, łuseczek albo skalpów zdjętych wprawną ręką, do wykrwawienia powieszonych na jakiś opłotek.

Jeszcze się w górę zaperliły pęcherzyki powietrza — czyjeś duszyczki.

— Do—osyć! — wycharczałem.

Musiałem uwierzyć.

— Kim jesteś? — powtórzyłem na nowo.

— To nie ma znaczenia.

— Skąd...

— Sam wiesz — zatoczył ręką krąg i jednocześnie wzruszył ramionami.

— Jak...

— Dostałem się tutaj? — byłem pewien, że się uśmiechnął w ciemni hełmu. — To jeszcze pytanie, kto do kogo.

— Dlaczego nie widzę twojej twarzy?

Milczał chwilę.

— Oszczędzam twoje nerwy — odparł.

— Chcę zobaczyć!

— Wybacz. Wiem lepiej, co jest dla ciebie dobre. Masz jeszcze pytania?

Drwił ze mnie.

— Po co? — zapytałem.

— Bardzo mnie zaciekało, na co jeszcze czekasz.

Tak, to był rzeczywiście ciężki orzech do zgryzienia. Sam się zastanawiałem nad tym. Pukałem do sumienia. Wpakowałem się tutaj z rozpędu, bo mi się żal zrobiło hobbitów. Trafiłem nie tam, gdzie trzeba — pewnie dlatego utknąłem. Żeby wdepnąć w coś jeszcze musiałbym to zobaczyć przed sobą — na haczyk nałożoną przynętę. ON mi wyszedł naprzeciw.

— A niby co mam począć?

— Zugzwang — powiedział.

— Co-o?!

— Przymus ruchu, kiedy każde posunięcie tylko pogarsza sytuację gracza. Masz słabą pamięć. Logika też nigdy nie była twoją silną stroną.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Po jakie lichy pytasz, co TY masz począć?

Inercja wdławiła mnie w oparcie amortyzacyjnego pęcherza, z boków usłudnie podparły nadmuchiwane fiszbiny. Starbolt nabierał szybkości, tępą głowicą rozgarniał wodę. Dokąd mnie wlecze ze sobą? Uwierzyć, znaczy — być posłusznym.

Lecimy nisko nad szklanymi budowlami. Powoli nasiąkają światłem. We mnie za to dogorywa blad różowa lilijka — nadzieja na nieco jaśniejszą przyszłość mojej rasy, tak sprytnie wydedukowana z tego, że — pośród dżungli, stepów i ruin tej Planety — nie spotkałem Człowieka.

## Dzieci Lewiatana

Powyżej pewnego progu prędkości zewnętrzne pola elektromagnetyczne okrywające korpus starbolta zachowują plastyczność skóry delfina wygłaszającą zawirowania wody. Głowica tylko rozchyła płynne warstwy, a magnetyczna płetwa w przedłużeniu dysz na powrót skleja cięcie. Dzięki temu uderzeniowa fala nie patroszy budowli przesuwających się pod nami.

Dawno powinniśmy przekroczyć granice ciemnej plamy oddzielającej nas od łuny nad Miastem. A jednak odległość nie malała wcale. Miałem wrażenie, że przestrzeń rozwija się przed nami i skręca za dyszami starbolta. Tym razem parka szczurów trafiła w „bęben aktywności”. Kiedy się obejrzałem wstecz, stwierdziłem, nie bez zdziwienia, że nasza yellow submarine wraca prosto nad ciemne wybrzuszenie tkwiące w samym centrum wielkiego cyrkułu.

Zdziwienie szybko przeszło. Powoli się uodparniam.

Nie znaczy to, że pragnąłbym zobojeźnić. Czasami jeszcze się wzdrygam, kiedy dostanę ostrogę. Kiedy mi się udzieli paranoia inducta albo gdy w gniazdku zamkniętym na cztery spusty spotykam tajemniczego gościa. Ogólnie jednak, przyznać muszę, dziwny mnie spokój ogarnął od chwili, gdy podniosłem się z klęczek w Katedrze Księżyca. Jej sklepienie nade mną rozpostarło się poza dostrzegalne dla mnie granice kosmosu. Wtedy się coś załamało we mnie, gdy prysło złudzenie świetlistej Biblioteki Wszechświata i zostałem sam, z radiostacją Ulama. Przez wieki całe, w historii tej Planety, głosem z nieba mamała tych, którzy posłusznie panteon wszelkich bóstw przypisali kosmicznej przestrzeni.

Ich zemsta mnie dosięgła.

Jakże wciąż jestem skory do krojenia wszystkich na własną miarę. Cóż bym uczynił bez owej apatii, która mnie ogarnęła jeszcze przed progiem Planety? Zawsze konieczny jest jakiś mechanizm samoobrony. Żeby nie zwariować — musiałbym być ślepy. A jednak moja kotyska jakoś mnie potrafi ukoić. I wiem, że to nie moja



zasługa. Nigdy nie było mnie stać na prawdziwy stoicyzm. To przez pancerz biologicznej ochrony — jakby to było możliwe! — przenika we mnie spokój tej Planety, nieporuszonej nawet wobec spazmów towarzyszących naszym krokom. W jej ogromie przepojonym melancholią sacrum tylko obecność upadłych bogów odciska się piętnem gwałtu.

Dziwić się powinienem tylko samemu sobie i temu, co przyniosłem z sobą, ja — ostatni pozostały przy życiu Sprawca, który powinien był raczej wszystkie drogowskazy do Ziemi Obiecanej wymazać z raportów pierwszej wyprawy i z własnej pamięci. Skoro tu jednak wróciłem powinienem wrosnąć w glebę tej Planety i czerpać z niej treściwe soki, patrzeć, słuchać, węszyć — wszystko tu powiązane zostało w żyzny czarnoziem. Nie mam co cudaczyć, to ja jestem dziwoląg z innej parafii. Aby cokolwiek zrozumieć muszę się jeszcze sporo nażreć, potem strawić. I, broń Boże, nie przykładać do tego własnej mądrości! Nie ode mnie zależy, czy mi pod czerepem zakwitnie fiołek, czy odzyska siły moja bladoróżowa lilijka.

Czemu więc miałbym się dziwić, jak ten KTOŚ dostał się do wnętrza starbolta i jego objawienie nie poruszyło żadnego z alarmowych systemów. Pogodziłem się z jego obecnością. Tak samo ta Planeta nie wzdygnęła się przed wprowadzeniem jemu podobnych we własną ewolucję.

Jeden z nich przyszedł po mnie. Teraz siedzi przy mnie obleczony w iluzję kształtu, którego nie wyprze się moje oko. Z pewnością ja nie mógłbym go odwiedzić bez skafandra z biologiczną ochroną — tak samo on zjawił się tutaj. Tylko w kuli hełmu, nie całkiem lustrzanej, ciemnieje kropla nocy. Cały jest tylko wielką kroplą zaczerpniętą z przyszłości, której nie rozświetla wschód mojej Nadświadomości, w tym punkcie tożsamej z Heliosem.

Kropelka nocy — pomyślałem. W czarnym pęcherzu próbowali mnie zamknąć mieszkańcy podwodnego miasta. Nie wyszło — pękł balonik, za to jeden z bryzgów chlapnął w moją stronę. Mam teraz w kolekcji piórko ze skrzydła Czarnego Kruka zamknięte w srebrnym puzderku.

Ten KTOŚ jednocześnie ze mną dostrzegł reakcję przestrzeni odpornej wobec próby rozpędzenia starbolta. Nie stwierdziłem, żeby mu drgnęła ręka.

— Chcą, żebyśmy zostali tutaj — powiedział.

— Kto?

Przemilczał. Jak on to przedtem sformułował: logika nigdy nie była moją mocną stroną.

Tymczasem przestrzeń rzeczywiście zdawała się zwiijać. Tym jednak razem nie był to pęcherz ciemni. Wewnętrzna powierzchnia strefy, co prawda, ograniczyła pole widzenia aż przepadł pejzaż Miasta, lecz również w menisku zakłętym w naszą stronę pływały na przemian nacieki zielonkawe i złote. Wszystko to jeszcze było odległe, dopiero gęstniało i zwierzało się w kryształową kulę — jednocześnie toczącą się w naszą stronę i okrucz starbolta zawierającą w swym ognisku.

Mój towarzysz nie przejawiał niepokoju. Tak samo nie reagowały elektroniczne zmysły starbolta. Można tylko czekać. Cokolwiek się stanie — ja nie mam na to wpływu. ON — czeka razem ze mną.

— Wiesz, kto to był Ułam? — przerwałem milczenie. Przyglądałem się jego sylwetce, jeśli wzrok nie znajdował oparcia w twarzy. Grotów byłem przysięg, że między nami istnieje więź stokroć mocniejsza niż ta, którą ewentualnie potrafiły ogarnąć mój rozum. Tak, jak teraz, czułem się wyłącznie w towarzystwie Ulama.

— Wiem — odpowiedział.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Pamięć — odparł. — Za chwilę zobaczysz coś, co będzie ICH pamięcią.

Tkwiliśmy w ognisku kolapsującej przestrzeni — wracała do punktu wyjścia.

— Równie dobrze znam Yongbloda — powiedział. — Najbardziej jednak zawsze mnie fascynował Horowitz, jeszcze jako trzeźwy empiryk i kiedy snuł się niby biały derwisz po pokładach starego „Trieda”, gdy płakał nad sobą i jęczał, że zgubił jedną połowę swej duszy...

Jak ryba chwyciłem powietrze ustami. To coś wypłynęło we mnie — nie chciane. Przypomniałem sobie tamte oczy natchnione gorączką, drżące wargi i rozcapierzone ręce — dawno nie przycinane paznokcie, zrogowaciałe palce i zmarszczone dłonie, jakby — z całej załogi — liść jego ciała pierwszy zaczął więdnąć. I w uszach zabrzmiały mi słowa, które starał się wyślinić z siebie: „... p—pamię—tasz, co? W pełni, w pełni... Byłem? Popatrz jak umieram, jaki coraz cieńszy — hi! hi! — dusza moja została na martwym księżycu... He? Nie znasz Plutarcha? Ciało w proch się obraca. Ciało dla ziemi... wiozę, wiozę... Rozum oddałem słońcu, a dusza — ha! — ta się oczyszcza w poświacie księżycy...”

— Dualizm wywodzi się z metafizyki lunarnej, wszelkie symbole i mity czerpie z faz księżycy — KTOŚ mówił do mnie w realnej przestrzeni i teraźniejszym czasie. — Człowiek przeżywa dwie śmierci: pierwszą na ziemi, kiedy dusza i rozum opuszcza ciało, drugą na księżycu, w królestwie Persefony, gdzie dusza oddziela się od rozumu i wnika w substancję lunarną, a rozum... mknie dalej, ku słońcu.

— Po co ten wykład? — spytałem.

— Żebyś mógł zaspokoić swą ciekawość. Po części jestem z tej właśnie branży.

Widocznie w tym, co powiedział przedtem, istniała jakaś pokretna wykładnia jego tożsamości, pewnie powinienem zgrzytnąć zębami i przełamać rebus. Nie potrafiłem się skupić. Wciąż mi przed oczyma majaczył Horowitz, jakim go widziałem po raz ostatni; brudny, cuchnący łachman — zwiędłą łapką wykonał gest, jakby strzepnął kurz z piersi i brzucha, potem ślepe oczka wytrzeszczył na swoje ręce i nogi, a wargi wykrzywiły mu się z obrzydzeniem i prychnął — soma! I słyszałem, jak powtarza, odchodząc w mroczną sztolnię, szepcze z żalem i jednoczesną wzdrgającą wzgardą: soma, soma...

— Wiem, kim jesteś — stwierdziłem.

— O?! — wyglądał na szczerze zdziwionego.

— Od dawna myślałem nad tym, że dla cywilizacji, która zbudowała Miedziane Miasto, potem wzniosła Katedrę Księżyca a wreszcie przed wzrokiem z kosmosu ukryła się pod imitacją nocy, dla istot na tym etapie rozwoju nawiązanie z nami kontaktu nie powinno przedstawiać najmniejszego problemu. I byłem pewien, że — jeśli zdołamy przyciągnąć waszą uwagę — tego rodzaju Kontakt nie będzie miał wiele wspólnego z tym, co potrafimy wyobrazić sobie.

— Coś w tym jest — zamyślił się trochę.

— Nie zaprzeczasz?

— Że jestem stamtąd... Jak to malowniczo nazwałeś? Aha: Skrzydła Czarnego Kruka. Ładnie. Mogę być stamtąd. Czego dla ciebie nie zrobię. Przed twoim jednak powrotem nie było mnie poza granicą tego, co już znasz i czego się nigdy nie dowiesz.

— Istnieje taka granica?

— Każdy jest ograniczony na własny sposób. Nie łudzisz się przecież, że wszystko zrozumiesz?

— Jestem optymistą. Na razie powiedziałeś mi, że twoje istnienie można wyprowadzić z tego, co już wiem?

— Co zawsze wiedziałeś.

Czasami trudno się powstrzymać przed głupim wyrazem twarzy — czujesz, że się gęba układa płacziwym grymasem, a nic nie możesz poradzić na to. Czy istnieje coś, co wiedziałem zawsze? I nie tylko tutaj, na tej przeklętej Planecie?

— Nie łam nad tym głowy — machnął ręką. — Zrozumiesz, kiedy mnie zabraknie...

Niech ich diabli! Zmówił się z Synchronatem?

— Mam jednak nadzieję, że do tego czasu chciałbyś coś jeszcze poznać z tego, co się dokoła dzieje? W tym archipelagu znaków można, jak Natan, pogrzebać bez skrępułów.

Ty masz jednak naturę pielgrzyma. Aby zrozumieć świat, który cię otacza, musisz go stworzyć w sobie...

Skąd się w nim objawił talent moralizatora? Nawet Synchronat, sprytniejszy psycholog, stronił od patosu.

— Już to gdzieś słyszałem — zacząłem, ale nie dał mi czasu na nicowanie pamięci.

— Ty uważasz, że zostałem na ciebie specjalnie nasłany — powiedział. — Ja natomiast stwierdziłem, że nie ty jeden masz twardy orzech do zgryzienia. Wniosek stąd prosty — winienem ci służyć pomocą. Pasuj mnie więc na swojego demiurga.

Potrafił też człowieka rozbawić.

— Czujesz się na siłach? — parsknąłem.

— Czas pokaże.

— A co z naukowym czy... honorowym tytułem? Mam zwracać się per Maestro?

— Mów mi, bo ja wiem, choćby Kastor.

— Myślałem już, że nazywasz się co najmniej Tumatanenga albo inny Magiczny Suveren.

— Jeśli wolisz, mogę być dla ciebie Duchem Miedzianego Miasta. Jakoś ścierpię. Ważne jest, żebyś mi pozwolił koło siebie się pętać.

— Mam wybór?

— Tak — chyba i jego zaczynały ponosić nerwy. — Możesz mnie odesłać do wszystkich diabłów.

Uśmiechnąłem się.

— Niech więc przeważy ciemność — powiedziałem. — Chrzczę ciebie imieniem Kruka.

Zesztywniał cały. Milczał długo. Cholernie był bystry.

— Uparłeś się — powiedział wreszcie. — Ale coś w tym jest na pewno. W wierzeniach ludów Północy owej planety, która jest dzisiaj mauzoleum Strefy Systemu, tylko kruk zna drogę do słońca.

Gwałtownie zacisnąłem palce na martwej rękojeści sterów.

— Skąd... wiesz o tym?

Nie odpowiedział. Sam w sobie znalazłem wirującą kopułę nieba. W niej utrwalona jedna z iskier — Gwiazda Polarna nad śnieżną pustynią. Zgodnie z wiarą mojego plemienia tam zamieszkuje najwyższa istota — kruk imieniem Kurkyl.

Chciałbym zapytać, skąd ON wie i jak ta wiedza znalazła się we mnie. Nie zdażyłem.

Przed nami, poza szklaną gondolą starbolta, w przestrzeni pijanej od światła, krystalizowała się czyjaś jeszcze monstrualna PAMIĘĆ.

Okrzyk zdumienia zdusiłem w piersi. Widziałem tam — sam byłem w środku zielonej kuli, która oddycha, skręca się w głębi pod naporem mieszała zdolnego zawirować całą materię kosmosu. A wkoło nitki jakieś, listki, tkanki prześwietlone światłem. I kłębią się chmary planktonu — skąd znam to miejsce?! Jakbym żółtą twarzą wyglądał spod wody ku kwarcowemu słońcu. Przecież nie jestem łodygą wodnego hiacyntu, nie ma we mnie kropli krwi pobratymców Endo. A więc: kim jeszcze być mogę?

Żadna mnie cuma nie wiąże z dnem ani powierzchnią. Obracam się swobodnie w rezerwuarze biomasy, przepływam między krzakami glonów zakwitłymi w zielonym

brzuchu „Trieda”. Krążę powoli, to znowu trwam nieruchomy, pyłki słoneczne naganiam ku sobie rżęsami, skóra się otwiera na zewnątrz łapczywymi wargami: „Wodo, jesteś źródłem każdej rzeczy i wszelkiego istnienia!” — płynna ponad wszystko — mniej dajesz oparcia, w miarę, jak ja coraz prężniej zawiązuję się w tobie, węzłem sumeryjskim „a” znaczącym jednakowo „wodę”, „nasienie” i jego „poczęcie”, macierzą jesteś uniwersalną dla zielska, zwierza i pieśni, która się z Ciebie rozwija spiralą ślimaczą i brzmi pełnym głosem, aż mnie jej wir porywa i niesie — z kroplą wyciekam w naczynie ciemne — niesie — niesie — rdzawy smak na rozwartych wargach — blaszany kolapsar, w nim się kolebie ogromna kropla — samotność bardziej bolesna.

Tam i z powrotem, tam i — raz jeszcze! Aż się kosmiczny statek przechyli i zechce przez śluzy wykrztusić mój wszechświat — pęka! Nagle we wszystkie strony tryska żywym srebrem, okruchami wyssanymi w próżnię — niebo rozwiera płec ciemną, obejmuje ziemię i zapładnia deszczem. Krople kapią dźwięcznie — gra szklanych paciorków na czerwonym polu — rozrzucone kości — w jednej z nich jestem — jestem! — kropla się toczy i z nieba na piach upada boleśnie.

Trzask! Kryształowa sfera rozdarta na strzępy — chłepce ją teraz, ssie suchość kamienna.

W piachu ziarna parszywe resztę wilgoci wylizają. Nikt się z tobą nie dzieli. Skulić się trzeba, otorbić w pancerną otoczkę. W czerwonej glinie, w piachu, w byle jak zagrabionej grzędzie, między ziarnami, które już się prężą — trzeba przeczekać, aż z chmur luną deszcze i wody gruntowe zachłysną się pędem w koryta rzek — dalej jeszcze! Tam dopiero ustąpi lęk przed samotnością w tym na poły martwym jeszcze świecie; jak tam — z ziaren, tak tu — ze mnie, wszelkie żywe formy ujrzą światło dzienne — ptaki, zwierzęta wodne, potwory i gnomy zawiązane z pleśni — już się jawi we mnie absolut rzeczy pospolitych i wzniosłych, tak długo zawartych w jedynej kosmicznej substancji — w wodach oceanu, który tak długo z boku na bok przewracał się bezsenny i bezpłodny, brzuchem czarnym pragnący zasiewu.

Zaraz w tobie będę! Kędy strumyk cieknie — ślisko tu i dobrze, chociaż wilgoć całą wyssały pękające ziarna — wiatr też dziwnie pieści, całuje parnym oddechem, złotymi promykami dźwięczy — tylko samemu westchnąć i rozchylić spore zatwardziałą boleśnie, może się spod niej skrzydełka wychylą — wiatr porwie, poniesie — w ocean.

Tuż pod horyzontem — trochę jeszcze. Już wiem, że nie zginę — cierpliwości mgnienie, chociaż stoi nade mną — KTO?! — cień pochylony, kulę hełmu unosi — twarz w niej pobladła, a dalej dwóch jeszcze; spory w lustrzanych pancerzach — martwy się w nich odbija pejzaż...

— Yongblod! — jęknąłem.

W tej samej chwili pękła moja skorupka, rozwinęła się szerzej — poza pancerz starbolta. Wisiałem w ogromnej kropli ograniczonej wiotkim, chybotliwym nabłonkiem.

Tuż przy mnie wewnątrz starbolta znów się związało ze mną. Tylko w oczach tkwiły dostrzeżone w ułamku sekundy dwie sylwetki za plecami Yongbloda — śniadoskóry Ułam i ja. Ja! We własnej osobie! Widziałem wyraźnie — Ułam już skręca, a ja rżę jak koń nad właśnie zachowaną czystością eksperymentu.

Spojrzałem w bok — czy jest jeszcze.

Kruk patrzył na mnie jednym okiem, czarną źrenicą przebijającą spod błękitnego nabłonka hełmu. — Rozumiesz? — zapytał.

Niby co mam rozumieć? Że staliśmy wtedy ślepi, z radości szczerzący zęby, a poza nami, niedostrzegalna dla błazeńskich prześmiewców, zawiązywała się właśnie geneza akwaticznej epifanii? Zgoda — poza biologiczną ochronę „Trieda” wraz z

wodą wychlśnięty został ameboidalny zgęstek. Każdy z nas też nie raz spuścił się w tę ziemię przez specjalny wentyl. I co — flirt z czerwoną gliną był takim kopniakiem, żeby byle gówno przepchnąć przez miliardolecia? Nie wierzę.

A co tu ma do czego moje „wierzę — nie wierzę”?

Tymczasem poza skorupą starbolta rozwinął się w przestrzeni pęcherz chybotliwy. To zwęzał się z jednej strony i sok przeciskał w drugą, to znów się związał w idealną kulę. Dla odmiany — w głąb ciemności trwającej poza świetlną otoczką — wystrzeliwywał kilka pseudopodii, ślepych kanalików — artezyjskich studni,

W tej przestrzennej projekcji ciemna-vérité co chwila mnie kształtuje inna forma — od wewnątrz przejrzysta słonecznica, to gigantyczny pełzak albo nastroszony rzęskami pancerny wiciowiec. Każdy chwiejny pęcherzyk złota pepowina łączy z ciemnością, niby laserowy promień lub światłowód — puchnie nagle i ujmuje nas w komórkę żywą — dwa chromosomy w jądrze starbolta otoczonym protoplazmą, pęcherzykami wodniczek tętniących i trawiennych, systemem przejrzystych kanalików, na zewnątrz przechodzących w mgielne organella. Wszystko to tak bardzo żywotne, pobudliwe nie mniej niż organizm obdarzony grupami wyspecjalizowanych komórek nerwowych i mięśni, zdolne — czują to — reagować na bodźce mechaniczne, chemiczne, elektryczne i świetlne z precyzją, która już dawno przekroczyła percepcję pierwotniaczej komórki i samotności w kropli wody zaczerpniętej z ziemskiej kałuży — choćby nią była biocenoza „Trieda”.

— Widziałeś podwodne miasto — usłyszałem krakanie Kruka. — Jego genezę stanowi ten właśnie podział pierwszej komórki. Pierwsze pokolenia wraz z deszczem przenikającym do gruntowych wód odprowadzone zostały i złożone w ocean, żeby w jego głębi założyć kolonię wzorem gigantycznego volvox. W normalnych warunkach właśnie specjalizacja komórek w obrębie kolonii prowadzi do powstania jednego organizmu wielokomórkowego. Jednak w obrębie tej Planety charakter ontogenezy stanowił zjawisko destruktywne wobec procesów asocjatywnych, w ujęciu biologicznym. W konsekwencji — gdy mógł się zawiązać jeden organizm było już za późno; poszczególne komórki tak dalece się rozwinęły, że jedyną alternatywą związku mogło być... społeczeństwo.

Niech go diabli! — pomyślałem. Przecież nie jestem biologiem. Nawet nie wiem, czy dobrze nastroił swoją fujarkę. A on grał dalej — klepał coś o filogenezie i ontogenezie, o wegetatywnych i generatywnych biegunach kolonii, o haploidalnych osobnikach kolonii oraz bezpłciowych gonidiach. Nie mogłem tego słuchać — tak przeraźliwym echem jego głos odzywał się we mnie. Stać mnie było tylko na myśl jedną: nawet tutaj Ten Pierwszy okazał się androgynem.

Poza tym — trudno się było dziwić, skąd ON wie o tym wszystkim; przemawiał głosem Yongbloda.

Mnie wszystko do reszty obezwładniło w równie sflaczałym odwłoku amortyzacyjnego pęcherza. Tylko oczy szamotały się jeszcze w obrębie gigantycznej komórki. Starbolt — jej jądro. A ja — w środku. Mózg i ciało skręcone niby makro—molekuła DNA, chcąca wyłącznie dla siebie zachować informację, lecz oto nitki DNA wyrrywają się z mej nieszczęsnej głowy uwolnione osmotycznym szokiem — włosy stające dęba; i już tam jestem — wszędzie.

Wyciągam rękę — zgęstek ziarnistej cytoplazmy uwypukla na zewnątrz wiotkie pseudopodia, rozpromienione zgodnie z matrycą mej pięciopalczastej ręki. Chcę szarpnąć się wstecz — świetlny balon zwiera się w idealną, gorączkowo pulsującą sferę. Chciałbym się odgrodzić od ciemności, która ma jaźń wysysa niby resztki wilgoci — powierzchnia pęcherza zasklepia się, twardnieje, ulega nagłej mineralizacji. Ślepy jestem — cystą jestem. Otoczka chroni — jednocześnie uniemożliwia pobieranie pokarmu. Nie jestem joga! Postrzeganie ograniczone do

samego siebie — trzeba zerwać blokadę informacji albo powstrzymać tempo przemiany materii. Głód mnie skręca — chcę wiedzieć!

Więc widzę. Na zawołanie.

Kruk na mnie wytrzeszcza swoje oko ślepe. Ułam czy Yongblod? A może KTOŚ jeszcze?

Moje płuca spazmatycznie chwytają łyk powietrza. Tam na zewnątrz żywa komórka też połyka powietrzny pęcherzyk.

Lekcja pogładowa. Pokazana z werwą. Któż by o tyle inwencji posądził podwodne płazińce? Starbolt jako jądro ogromnego ciała zawiera w sobie własną precyzję elektronicznych urządzeń tudzież naszą świadomość i pamięć. Tak przejrzysta symbolika, że wystarczy parę analogii, abym znowu zapragnął się bratać.

Zagnieździli się we wzdętym brzuchu Lewiatana. Dobrze im tutaj. Przytulnie. A jednak odtąd nie powinienem się dziwić, co też ich takiego gna przez szklane tunele, na co im kwarcowe tęczę i kule zaglądające w pośniedziały labirynt lub w rdzawe zgliszczą. Mamy jedną drogę. A przynajmniej — przez pewien czas — ich z naszą były styczne.

Żal trochę — bo przecież, jeśli w układzie odniesienia tej Planety już teraz zdołaliśmy nawiązać kontakt, znaczy to, że oni nie mają wspaniałych widoków na przyszłość. Ich ewolucja wyczerpała wszystkie możliwości. Kombinowała na rozmaite sposoby, a dokonała tylko syntezy CIEKAWOŚCI. Na ich szczęście niewyczerpane są cuda przyrody, a i rozum niejeden swoją cegiełkę dołoży.

Cóż jednak dla mnie znaczy, jeśli — gdziekolwiek się ruszę — w każdym zakątku tej Planety śledzić mnie będą, mądre i smutne, oczy Tych, Którzy Patrzą. I rozumieją. Być może. Poza tym nie potrafią wiele pomóc innym ani sobie, choćby im wszystkim przyszło wyzdychać za sprawą pocisków wbitych w krystaliczne kopce.

— Chodźmy stąd — szepnąłem.

Jak ślimacze czułki cofnęły się do mnie nitki chromosomów. Tylko jeden został. Znowu łuna zabłysła nad podwodnym miastem — przestrzeń otwarta, bez tajemnic. Tylko jedna złota pepowina czepia się tego, w co mi się jeszcze nie udało przeniknąć — Kruk został; milczący — jak to potrafił tylko Ułam, naśladowujący głos Yongbloda, napiętnowany szaleństwem Horowitza.

Jako kapitan Yellow Submarine — zgodnie z logiczną semantyką — winien nosić imię Raven.

Teraz posłusznie dźwignął starbolta nad czarnym kraterem. W zetknięciu z plazmową otoczką zakapiała woda i dla tych, którzy pozostali w dole, rozpoczęło się nasze wniebowstąpienie.

## Dzień piąty

*„Owa niebiańska choroba zagrzała im krew zapalem tak szlachetnym, że — za radą najmędrszych, kiedy wybuchła wojna — tę gromadę Kochanków wcielono do jednej Kompanii”*

*(Cyrano de Bergerac)*

### Sztych

Starbolt przebił powierzchnię oceanu. Na wszystkie strony poszły czarne kręgi. Ciśnienie nas wypłuło w sferę transcendentną dla zmysłów podwodnego świata.

I jednocześnie coś zawibrowało we mnie. Usłyszałem krzyk przeraźliwy: O—O—O—A—A—ACH! — niby ryk gwałtownie rozszalałej burzy. Lecz oczy i uszy postrzegały ciszę, bez huraganów i innych atmosferycznych spazmów — spokojem nasycone epireum powietrznych przestworzy. Bezruch zupełny. Chociaż na horyzoncie puchną zielonkawę kłęby, a pod nami ocean toczy piany w kierunku niewidzialnych lądów.

Tymczasem język skręcał się w mojej własnej gębie, próbując powtórzyć to COS, czego niepodobna wyartykułować w żadnej ludzkiej mowie.

Ledwie zdołałem obrócić oczy w stronę mojego towarzysza. Też zastygł. Skulił czarną głownię zaspawaną w szklanym słoju i zdawał się jakimś zmysłem łowić kierunek.

A TO trwało. Z przeraźliwą mocą wbijało się w tkanki rezonujące wiertło, skalpel dźwięku zdolny obedrzeć atomy z elektronowych powłok. Czułem, że mi oczy ślepną, a wraz ze mną wszystkie gwiazdy zapadają się w otchłań czarną. Absurdalny kolaps, który, zamiast resztką światła, przeraźliwym wrzaskiem daje świadectwo przedzgonnej męczarni na łożu grawitacji — w sali tortur ogromnej jak Kosmos.

Chciałem bodaj ramieniem osłonić się przed tym skowytym piekielnym. Wstecz szarpnąłem całym sobą — jakby istniał zakątek, gdzie można się schronić przed czymś wszechogarniającym nie mniej niż przestrzeń. Ramię automatycznie strzeliło do przodu. Cios karate w gardło zachłystujące się pianiem — poprzez transmisyjną kamerę, kantem dłoni w polu fotorecepcyjnych kontaktów radiostacji, gdzie resztki sił dobywa zarzynany kogut.

Lecz dłoń, która ten dźwięk miała oberwać w połowie, odczuła tylko chłód pasywnego promieniowania między kontaktami. Nie zdążyłem jej cofnąć. Teraz dopiero została uruchomiona tak długo milcząca radiostacja. Ochrypty krzyk nareszcie zawiązał się pełnym brzmieniem. I jednocześnie, jakby nam bielmo spadło z oczu — konwulsyjny trzepot bioindykatora.

— Namiar! — czyjś jeszcze wrzask nad moim uchem. Tuż przed twarzą zakwitła barwna plama koordynatografu. Oczy wślepiają się daremnie. Zanim zdołają zareagować powolne zmysły komputer w ułamku sekundy oblicza właściwą ortodromę. Teraz, nawet z nosem w chmurach, autopilot poprowadzi jak chart raz dobrze poszczuty. Eaven zdał stery i też obmiękł w fotelu. Cisza zapadła — sam nie wiem kiedy. Czasami tylko coś jeszcze zachlipiało nieludzko — coraz bardziej odległe, chociaż pod starboltem mgielne strzępki śmigały z przeraźliwą szybkością.

Tępy m wzrokiem patrzyłem przed siebie. Z jednej strony w polu widzenia znieruchomiała postać Ravena. Składki skafandra dziwnie mu się układały na piersi, na brzuchu i udach. Zupełnie tak, jakby pod srebrną skórą zawiązało się ciało o innej

niż moje konsystencji. Ja sam przenikliwym bezwładem zapadłem w amortyzacyjny pęcherz.

Poza nami pęd starbolta rozmazywał wszystko w brudno–żółte pasma. Na moment zanurkowaliśmy w jakieś ołowiane zamglenie. Tylko coś brzękło, jakby twardą sierścią otarło się bezpośrednio o głowicę starbolta, ignorując elektromagnetyczną osłonę. Zaraz potem na wszystkie strony pierzchnęły białe strzały. W mig wypadły poza zasięg wzroku, a ja pomyślałem tylko, że nigdzie przedtem nie natrafiłem również na rojne wylęgi owadów. Teraz dopiero to odkrycie pojawiło się we mnie, w chwili najmniej odpowiedniej. Ten świat jest przeze mnie przyswajany połowicznie — pomyślałem — ułamek za ułamkiem złuszcza się kolejne warstwy. Tryby mojej ontogenezy zazębiają się z mechanizmem zjawisk tej Planety. Kosmogonia rozwarstwiona na różne poziomy wtajemniczenia. Może doczekam i tej chwili, kiedy również ptaki zlecą się na swój sabat.

Na razie siedzę otepiały i nie potrafię poradzić sobie z tym, co się niedawno rozegrało we mnie. Zmysły zachłyśnięte się przeraźliwym krzykiem. Fakt. Dotarło TO do mojej świadomości na długo przedtem, zanim z fal radiowych ten sam dźwięk wyłowiła radiostacja. Dziwny zwiastun jakiegoś strasznego obrzędu, który odbywa się pod pokrowcem chmur. Tajemniczy szaman krzemiennym nożem wypruł tam serce z czyjeś ludzkiej piersi. Psom na pożarcie rzucone ciało wydało ten krzyk, do szpiku kości przenikający nawet nas, dopiero spieszących na ucztę piekielną.

Chciałbym zapomnieć ten głos. Jego echo tkwi we mnie niby blizna piekąca — szkarłatny półksiężyc od karku do czoła. Aż uniosłem rękę, żeby palcami namacać ten rozłam w obolałej czaszce. Rękawica ześlizgnęła się po szybie hełmu.

Potrząsnąłem głową. Nie przeszło. Wolałbym się wyprzeć, że cokolwiek słyszałem. A jednak pcha nas tam właśnie. Starbolt rwie w raz wytyczonym kierunku, przedziera się między gęstymi płachtami rozwieszonymi w powietrzu. Słysząc trzask dartej materii. Poza nami plazmowy ogon zostawia żar w tlejących szmatach. Miękka pajęczyna kołysze się nasyciona kurzem i fioletowoczarnymi sadzami. Mam wrażenie, że nie sięgnął tu żaden huragan — przed nami. Również deszcze omijały to miejsce. Gdziekolwiek jesteśmy, choćby to był zakurzony strych monstrialnej biosfery, która nad salony odsiewa pyły i spluwa pajęczą flegmą — musimy zdążyć. Czas się zatrzymał w tym miejscu, gdzie tamten krzyk załamał się jękiem niewymownego cierpienia.

— Słyszałeś? — wychrypiał Raven.

Tylko skinałem głową.

— Poznałeś, kto...

— Milcz!

Nie chcę szukać w pamięci.

Wyobrażam sobie, że to raz jeszcze ze stada niebiańskich hierofanii odłączył się, wcielony w byka, bóg płodności i burzy. I znowu, pośród głązów ziemskich pól bitewnych, stał się strasznie z węzowym potworem Illujankaszem, aż mu potężne sploty wszystkie wnętrzości wycisnęły na ziemię, przełamały kręgosłup nieśmiertelności. Tylko pusty bęben skóry nadał się po raz ostatni i — rozdarł się z krzykiem pękającej krtani. Ten sam krzyk, pamiętam, słyszałem pośród ciemności nadchodzącej nocy, kiedy węzowe drzewa ogarnęły mojego wierzchowca.

— Musiałeś poznać — szepcze Raven.

Wolę wyobrazić sobie, że w tej suchej przędzy, która przesnuwa powietrze, zaczął się gigantyczny ptasznik, pająk rozpięty na dziesiątki metrów, nastroszony sierścią, polujący wśród nie swoich sieci. Tylko co w potężne szczęki chwycił latającą jaszczurkę i zdusił w niej wezwanie pomocy, skierowane do ostatniego ptaka, skrzydlatego starbolta, który jeszcze odważa się kołować w niebie.



Wszystko jestem gotów wyobrazić sobie. Cokolwiek się czai w głębokiej studni pośród mechanicznych ruin, w ostępach lasu ogarniętego zmierzchem, po stronie nocy, w czarnym oku Ravena.

A przecież noc minęła. Teraz dopiero zdołałem to sobie uświadomić wreszcie. Noc się przetoczyła nad nami, kiedy królestwo Lewiatana wyświetliło nad miastem, specjalnie dla nas, genezę i afirmację gatunku podwodnych architektów. — Musieliśmy porządny szmat drogi przebyć pod powierzchnią oceanu — odezwał się Raven. — Porównaj współrzędne. Jesteśmy ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów od punktu twojego wejścia pod powierzchnię.

Dobrana by z nas była załoga starbolta. Gdyby tak można było na dłużej podpisać kontrakt — pomyślałem. Dziwna empatia sprowadza nasze myśli na te same tory.

— Nowy dzień — powiedziałem.

— Uciekliśmy przed nocą. To dobrze. Przynajmniej na noc musielibyśmy się rozstać.

— Nie boję się nocy — powiedziałem gniewnie.

— To ja musiałbym odejść.

Tak, pomyślałem. Każda kropelka zachowuje samoistność tylko w obrębie innego ośrodka. Kiedy wraca ku sobie podobnym nie na długo wystarczy napięcia powierzchniowego.

Postanowiłem zaryzykować.

— Synchronmat dałby wiele — powiedziałem — żeby wrócić tam, gdzie nie liczy się jego ułomna ograniczoność.

— Twój Brat jest marzycielem.

Zadrzałem. Powiedział to z taką pewnością. Czyżbym nie miał cienia szansy, aby cokolwiek zachować przed nim w tajemnicy? On zdołał zachować odrębność — czyżbym to ja chciał tego? Nie uciekałem przecież. A przynajmniej nie po to, żeby się z deszczu dostać pod rynnę. Dopiero tutaj czyha na mnie prawdziwa mroczność — słyszałem, a teraz czuję tę przewrotną głębię pomiędzy żaluzjami mgielnych przedży, skąd tak rozpaczliwie wzywał mnie krzyk potworny, rozdzierający tysiącletnią ciszę zaskorupiałą nad całą Planetą.

— To gdzieś blisko — powiedział Raven.

— Gdybyśmy równocześnie wzięli namiar z „Trieda”...

— Obejdzie się bez punktu przecięcia. Domyśliłem się od razu, kiedy komputer obliczył kierunek.

— Czego się domyśliłeś? — spytałem.

— Miejsca. Dla niezrównoważonej psychiki nawet krajobraz potrafi być katalizatorem.

Nie pytałem: czego. Słyszałem przecież. Pochyliłem się, żeby dojrzeć powierzchnię ziemi.

— Paskudna widoczność — powiedziałem.

— Pamiętasz, Elf — po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu — gdzie Van den Berg znalazł tłupek z obsydianu, który mu podrzuciłeś z Ulamem?

— To niemożliwe... tutaj?

Oczywiście — katalizator. Są miejsca mniej i bardziej podatne na wywoływanie duchów. Liczy się gęstość zdarzeń. Raz jeszcze spróbowałem coś dostrzec.

Nic znaczącego. Tylko szabliste formacje skał przenikały nad rozlewisko mgieł niby wręgi białych żeber. Cudaczna architektura prętów wiążących rozwarstwione powietrze. Upewniłem się co do wskazań detektora biopola. Ledwie pulsowało magiczne oko, ale sygnał bez wątpienia docierał do nas. Mogłem mieć pewność — ktoś był w pobliżu. I z pewnością nikt obcy. Detektor wychwytywał tylko sygnały przetworzone przez biologiczną ochronę skafandra. A więc — Natan lub Endo. Coś

jednak w migotaniu światełka napawało mnie lękiem. Zupełnie tak, jakby ten ktoś nie był w pełni człowiekiem.

Endo — pomyślałem. I natychmiast przypomniałem sobie Ravena. U podstawy jego hełmu też, jakby nigdy nic, trzepotał zielony motylek. Nikt OBCY! — zaśmiałem się w duchu. Poza tym sygnał biolokacyjny mojego Chorezmijczyka nie różnił się niczym od modulacji biosygnалу Natana. Przynajmniej pod tym względem wszyscy czterej jesteśmy reprezentantami tego samego gatunku. Ostatnim razem ta Planeta podejmowała gościnnie pięcioosobową załogę starego „Trieda”. Czyżby się miała dopełnić liczba?

Raven przełączył namiar na fonię. Zwykle ja również wolę unikać zakotwiczenia oczu. Sygnał był wyraźny, chociaż ciągle z tą samą arytmia. Właśnie starałem się wsłuchać w charakter owych pogłosów, kiedy główne pasmo — jakby rozciągniętego jęku — zaczęło raptownie zanikać. Jednocześnie na wprost nas dostrzegłem jakieś fioletowo-wiśniowe zarzewie. Nad pokrywą grząskich, paskudnie ciągliwych wybroczyn, ni to pyłów ni to wilgoci przepływającej przez systemy okrutnie postrzępionych kratownic, kołysały się jakby cienie cyklopów zanurzone w wiśniowym osoczu. Światło formowało tam gigantyczny pęcherz. W nim eksplodowały snopy iskier i gotów byłbym przysiąc, że w tej potwornej kuźni słyszę łoskot młotów i jeszcze jakieś westchnienia. A wszystko przesłonięte mgiełką odległości, jakby gdzieś tam — nad horyzontem, ponad powierzchnię globu wyłaniała się magiczna kula, która — zwykle ukryta w jądrze — stanowi ową dyspozytornię zawiadującą losem istot bytujących na zmurszałych powierzchniach planet.

— Sygnał — powiedział Raven. — Musimy zawrócić. Nie mogłem oponować, chociaż przebijające nad chmury echa z pracowni Wulkanu wabiły mnie z hipnotyczną siłą. Znacznie bliżej zdarzyło się coś, co łatwiej mi przyjdzie pojąć — przynajmniej dlatego, że ten krzyk mógłby być również wołaniem moich kiszek i jaźni — kiedy samemu trudno już cokolwiek usłyszeć.

Siła odśrodkowa zarzuciła nas miękko. Starbolt w ciasnym skrucie położył się na prawy statecznik. Niemal natychmiast sygnał znowu dał się wyłowić z atmosferycznych zakłóceń i ustalił się na jednym poziomie.

— Z tolerancją tej aparatury nie uda się podejść bliżej — stwierdził Raven.

— Ląduj.

Po raz ostatni obejrzałem się przez ramię. Jeszcze tam dygotało powietrze — tak mógłbym wyobrazić sobie rozruch archaicznej fabryki z labiryntem metalicznych kiszek, pieców, nadymających się kotłów i dudniących w głębi pneumatycznych młotów. Kiedy byliśmy już niemal w płaszczyźnie tłustych obłoków połyskujących jak zroszony deszczem bruk z masywnych kocich łbów — prosto w oczy cięły mnie fioletowe błyski, płasko puszczane po zeszlonych kopcach chmur. Poczujęm się, jakby mi źrenice przewlekły okruszki szkła ze zmiażdżonej przed twarzą szyby hełmu.

Odruchowo zacisnąłem powieki. Jakbym zapomniał, że prędzej to szkło oślepnie, niż przepuści dawkę kwantów zdolną nadwerżyć siatkówkę mojego oka. Tym nie mniej krótkotrwałej ślepoty starczyło aż nadto, żebym ocknął się z wzrokiem już pod pułapem chmur.

Ostatecznemu rozproszeniu uległy tu jasne promienie Heliosa i zrazu wydało mi się, że starbolt zanurkował w ciemność pokrewną tej, która mnie ogarnęła pod powierzchnią oceanu. A jednak było tu światło. Nie chciałem polaryzować głowicy starbolta w noktowizyjny ekran — Ravenowi widać też to nie było potrzebne. Wzrok przyzwyczajał się powoli. W dodatku starbolt, prowadzony pewną ręką Ravena, który przejął stery od autopilota, zapadał się wzdłuż świetlnej prowadnicy prosto w elektromagnetyczne łożysko stopy wspartej już o ziemię. Pod nami pęczniała błękitna kula opleciona różowymi nitkami. Aż do nagich skał przezroczyta wydumuszka w

karbach elektrycznych wyładowań. Jedyne w swoim rodzaju błyskawice — bez trzasków i bez rozbicia na krótkotrwałe błyski — po prostu cienkie żyłki powoli wiły się na wzdętym pęcherzu plazmy. Jeszcze chwila i pod nami zeszkli się kwarcowa soczewka. Chciałem krzyknąć, że tam przecież ktoś jest, lecz w tej samej sekundzie iskry kulistych piorunów strzeliły na wszystkie strony, przeleciały obok nas czarodziejskim pierścieniem bengalskich ogni. Starbolt wparł w ziemię magnetyczną stopę — tylko piasek poszedł okręgiem, niby ily zamacone nad dnem morza.

Starbolt osunął się w elektromagnetycznym łożysku i już łagodnie, na sztorc osiadł na maleńkim płacyku — jedynym z lotu ptaka dostrzeżonym naturalnym lądowisku. Znaleźliśmy się w scenerii tak przeraźliwej, jakiej nigdy dotąd nie trafiło mi się zobaczyć. Co tam we śnie — nawet na zmurszałej Titonos. Tam powierzchnia planety była po prostu martwa, lecz nie nosiła na sobie tak wyraźnego piętna — namacalnego dowodu, że kiedykolwiek kwitło na niej życie — z wyjątkiem rozpadlin z dogorywającymi ogniskami bioplazmy. Tutaj nie trzeba było szukać.

— Raven! — jęknąłem.

— Przyjemne miejsce, nie powiem — mruknął do siebie. — Nie musisz się przejmować. Każdy ma coś na sumieniu.

— Nie rozumiem — wykrztusiłem.

— Wyobraź sobie, jaką by to mogło przyjąć formę, gdybyśmy założyli animistyczną naturę planet.

Wyrwał dłoń z uchwytu bioelektrycznych kontaktów sterów i gotował się do opuszczenia swojego stanowiska. Ja jednak rozglądałem się ciągle i nie docierało do mnie — jak też coś takiego możliwe jest na tej właśnie Planecie. Przecież zdążyła stać się dla mnie symbolem nieomal, wcieleniem wszystkich mitów o biogenetycznej determinacji Kosmosu. Od chwili poczęcia pierwszych pędów z nasion stała się dla mnie tak żywa, że — zdawało się — nic nie jest w stanie na jej powierzchni wypalić ten strup czarny ani umotywić we mnie ten okropny krzyk, na który dziwnym rezonansem odezwało się moje ciało jeszcze w punkcie przestrzeni odległym stąd o tysiące kilometrów.

Jak okiem sięgnąć, w przyciemnionym brunatnym świetle — aż po dostrzegalne i tutaj zarzewie fioletu, rozciągało się dokoła potworne cmentarzysko.

Jeszcze ten puls bioindykatora, jakby coś tutaj zdołało przetrwać i żyło jeszcze, choćby to był dychawiczny rozbłysk i natychmiastowa zapaść zielonego płomyka w elektronicznych węzłach starbolta.

— Pójdiesz ze mną? — zapytałem nie wiem po co.

Tylko skinał dłonią w wylot magnetycznego przenośnika. Teraz, w brunatnym półmroku, zdawał się być tylko srebrnym tułowiem skafandra z obrzezaną głową. Jedyne cieniutka aureola zapętleła się czasem w obwodnicy szkła zamkniętej wokół ciemnej plamy, gdzie wciąż jeszcze daremnie dopatrywałem się ludzkiej twarzy.

Już chciałem przechylić się prosto w tuleje magnetycznego szybu, kiedy mój wzrok spoczął na czymś zapomnianym — połyskliwy brzeszczot walający się pod obręczą stanowiska pierwszego pilota. W sam raz w zasięgu ręki. Już tam sięgałem, kiedy na sobie poczułem dziwnie gwałtowny wzrok Ravena. Gotów byłem cofnąć rękę, lecz palce zagięły się same. Znowu razem — pomyślałem i za pas zatknąłem nóż z arsenału Natana.

Potem był już tylko krótki lot głową do przodu. W połowie drogi automatyczny korektor przestawił bieguny — w locie mnie pochwycił tłok amortyzacyjny i po chwili już stałem na ziemi. Nogi lekko ugięte i dłonie osunięte poniżej kolan. Zakląłem w duchu — cholerny atawizm. Może w tym coś jest, co i mnie dotyczy, nie mam jednak zamiaru we wszystkim zdawać się na Ravena — fizyka to też metoda i czasami trzeba się chwycić za rękojęść maczugi lub noża.

Lokalna scenografia zdaje się potwierdzać racje Natana.

Kolumna starbolta podczas lądowania wprowadzona została w elektromagnetyczną gilzę, zdolną nas znowu wystrzelić w kosmiczną przestrzeń bez rozpruwania gruntu odrzutem. Teraz przezroczyste wrzeczono po prostu wisiało w powietrzu. Jeżeli jednak moje rozmiary nie potrafiły dopełnić nawet tej szczeliny między dnem starbolta a powierzchnią ziemi, o tyle jego proporcje wobec otaczających nas skał czyniły ze starbolta zupełnego karła. Pomyślałem — skały. A przecież to, co nas otaczało ze wszystkich stron, mogło być również monolitycznym splotem żył, które z planetarnej skorupy wyduszone zostały przez nieprawdopodobne ciśnienie. Gigantyczne, umarłe tętnice. Ich nieruchoma trwałość sugerowała raczej, że to nie one wyduszone zostały na zewnątrz, lecz właśnie powierzchnia samej Planety skurczyła się nagle niby komórkowa błona. Przez naciągnięty nabłonek przebiły się na zewnątrz, mniej plastyczne od ciała, sierpy kości. Teraz sterczą dokoła — ostrza zwapniałe, powiązane cieniutkimi kryształami zmineralizowanych ścięgien. Szeroko do nieba rozwarta piersiowa klatka.

Zastanawiałem się, jak też Ravenowi udało się w tę klatkę wprowadzić starbolta.

— Lubię elegancję — usłyszałem jego głos. — Jeśli trafić kulą, to przede wszystkim prosto w pierś. Sam byś kręcił nosem, gdybym cię wpakował bliżej odbytu.

Jego niewątpliwe umiejętności czytania cudzych myśli biły na głowę lekkość dowcipu. Inna sprawa, że inwencji pewnie mu starczy na wyrwanie nas z tej pułapki zaginającej nad nami sierpy żeber — ostatecznie jest moim Przewodnikiem. On i ten głos, który nas przywiódł tutaj. Bez nich nigdy bym się nie odważył zanurkować w te strzępy mgieł, którym nie ma końca. Brunatna pajęczyna falujących włókien zdaje się nie być ani parą wodną, ani też dymem z wiśniowej pożogi. Razem z odległym, a przenikającym ją, fioletowym blaskiem zdaje się być pozostałością tkanek niegdyś przyrosłych do kości. Rozpełzło się ciało i tylko zmurszałe strzępy skóry łopoczą nawleczone na krzywe szable.

Szelest usłyszałem za sobą. Magnetyczny pęcherz wypluł Ravena. Teraz staliśmy ramię w ramię, chciałbym wierzyć — zdjęci tą samą niepewnością. Czy jednak cokolwiek na tej planecie potrafi nas wprowadzić w osłupienie?

— Tam — wreszcie wskazał kierunek zgodny z namiarem biolokatorów starbolta. — Słyszysz?

Skinałem głowę. A przecież mam wrażenie, że nie jest ważne — dokąd się udam w ten gąszcz dziwaczny jak rumowisko kości na miejscu ostatniej pielgrzymki wymarłych olbrzymów. Ważne jest — po prostu iść przed siebie. Niby żywy duch nad cmentarzyskiem. Aby poznać i zrozumieć trzeba się tak właśnie przemieszczać — duchem, który ma obok swojego demiurga, a poza tym — przecież oczy i uszy coś na własny rachunek widzą i słyszą poza pęcherzykiem biologicznej ochrony. Ruszyłem przed siebie.

Ziemia tutaj była czarna i sypka. Stopy zapadały się powyżej kostek. A jednak z tego próchna, zarazem sypkiego, i niewątpliwie żywnego, nie wyrastała bodaj jedna trawka. W zasięgu ręki pierwszy biały filar. Wparłem weń dłoń. Porowata powierzchnia. Jednocześnie dostrzegłem coś, co spoczywało na drugim planie, między filarami bodącymi niskie niebo. Białe, na pół rozsypane truchło — rzekłbym: szczątki olbrzymiego ptaka, który dostał się w tę samą co my pułapkę. Widziałem wyraźnie — suche kości pozbawione elastycznego spoiwa rozsypały się na ziemi. Długi bezzębny dziób, nad nim ogromne oczodoły i pozbawiona szwów mózgowca. Dalej pęknięty sznur kręgów szyjnych, żebra spojone mostkiem pokaźnych rozmiarów i dwie pary kończyn rozłożonych szeroko. Przednie — wielocłonowe, o rozpiętości dobrych dziewięciu metrów, z paroma odrostkami jakby

reliktowych palców przy końcu trzeciej piszczeli licząc od kręgosłupa. Tylne z wyglądu na tyle słabe, że im pewnie brakowało siły, aby ten cały ogrom z płaskiej ziemi poderwać do lotu. Taki ptak musiałby najpierw wspiąć się na jakiś skalny występ i wtedy dopiero rozłożyć skrzydła. Myślałem — ptak, a przecież jasne było, że wszelkie analogie mają tutaj wyłącznie charakter uwarunkowany biologiczną konwergencją. Gdyż, tak naprawdę, mam przed sobą szkielet pteranodona. Za nim, w płataninie gnatów, niby pusta muszla, rozwijała się czaszka triceratopsa z rogami niby radło wbitym w ziemię. Jeszcze dalej, na przedłużeniu pękniętego kręgosłupa, z czarnej gleby wystawały trójkątne kostnych płyt, niby stare, pochylone nagrobki. Gdziekolwiek spojrzałem moje oczy przebiegały wzrokiem pod przęsłami ogromnych żeber. Pozorne skupiska luźnych głazów okazywały się tyralierą tarcz wielokrotnie większych od kostnych płyt stegosaurusa albo gigantyczną żuchwą, jako namacalnym potwierdzeniem zasady Dolla o nadmiernej specjalizacji — bezpośredniej przyczynie wymierania całych gatunków.

I nagle zrozumiałem, że to, na czym opieram rękę, jest tak samo kością, choćby zawrotnym łukiem zdawała się pruć chmury. Cały ich las sterczał prosto w obwisły brzuch nieba, coraz bardziej obrzmiały wiśniowym popiołem. Choćbym się nie wiem jak starał — nigdy nie sklecę w realny obraz tych stworów tylko wyobraźnią, bez podszeptów kruka—demiurga, który byłby zdolny natchnąć duchem owe kościane maszyny monstrualne jak obelężnicze wieże, potworne katapulty sprzężone naciągami mięśni tak mocnych, aby bez trudu łączyć dwumetrowej średnicy belki w zwarty układ, a potem jeszcze przestawiać szczudła o rozstawie przynajmniej stu metrów.

Aż zadrzałem, przejęty wizją tych „kroków olbrzyma”. Ciężki oddech Ravena odzywał się tuż przy mnie, jakby — poprzez słuchawki — sprzężony z moim własnym oddechem.

Czerń wdychająca powietrze — poczułem, jak gwałtowny kurcz targnął mi połową twarzy — Ułam był ze mną. Albo Horowitz.

Zatoczyłem się w lukę między kostnymi płytami. Jak okiem sięgnąć cmentarzysko piętrzyło przede mną megalityczne nagrobki. Podo mną i nad głową. Musiałem się schylić, aby przeniknąć pod masywnymi przęsłami głębiej w to rumowisko. Szedłem z dłonią kurczowo zaciśniętą tuż koło biodra, jakby mi z boku wystrzelił kościany wyrostek na łbie Eobasileusa albo tytanoterii — wystarczy nóż wyszarpnąć z za pasa i po szklanym ostrzu skoczy do przodu promień stokrotnie twardszy niż róg nosorożca między gałkami ślepi wypełnionymi wściekłością. Każdy niesie ze sobą swój atawizm. Dla takich jak Raven, zwykle bytujących po stronie Nocy, jestem tym samym, czym ten nóż dla mnie. A jeszcze mam złudzenia, że potrafią mi pomóc akcesoria z arsenału Natana. I przede wszystkim — cóż mi tu może zagrozić, w tym labiryncie szczątków — odpadów ewolucji, która i na tej Planecie zatknęła wykałaczkę w każdym zębie, kiedy już nie ma szans, żeby cokolwiek uzdrowić. Jeśli trafiłem tutaj, to tylko za sprawą moich własnych kości, które zew usłyszały swoich pobratymców. Nie mam więc szansy stoczyć tutaj pojedynku z żadnym z obleczonych w ciało tyranosaurusów. To tylko ślepa uliczka, w której prawa przyrody nie dały szansy ziemskim i nieziemskim gigantom na wyjście z wilczego dołu. Jak i ja nie mam ich wiele, żeby w tropikalnych promieniach Heliosa, z moją strzelbą w rękę stanąć kiedyś dumnie ze stopą wspartą na wzdętym brzuchu tej ziemi.

Na tej Planecie najwyższym sędzią są prawa Ewolucji — najcierpliwszego ogrodnika i najokrutniejszego z myśliwych.

— Co to wszystko znaczy? — zapytałem Ravena kroczącego tuż za mną. — Wiesz coś o tym śmietniku?

Zaśmiał się ochryple.

— Ewolucja odwaliała kawał roboty w krótkim czasie — powiedział głosem Yongbloda. — Czasy się zmieniają i my zmieniamy się razem z nimi.

Wskazał jakiś łuk wykręcony cudacznie, niby brama, pod którą można przejść spokojnie — łuk triumfalny z białych gnatów.

— Tam popatrz.

Między monsturalnymi iglicami zaklinowała się z jednej strony czaszka — maleńka na swej wysokości, z drugiej ogon wkleszczony między dwa drzewca. Dzięki nim cały tułów nie zdołał runąć na ziemię — chociaż osypało się ciało nie puściła stalowa struna nerwu nanizująca kręgosłup i tak to zostało — to coś maskarne, z wiaterkiem szeleszczącym w rozcapierzonych żebrach, z naciągniętą szyją wisielca.

— Apatosaurus uwił sobie gniazdko — powiedział Raven. — Stąd pewnie wywodzą się mity, że pochówek w koronie drzewa przybliża do Krainy Wielkich Łowów.

— Kiedy powstało to piekielne cmentarzysko? — spytałem. Kątem oka dostrzegłem, że wzruszył ramionami.

— A masz jakąś teorię? — odparł pytaniem. — Podziel się ze mną a przyznam ci rację. Albo nie.

Nie powinienem był go w ogóle zaczepiać o to. Jeszcze niedawno sam mi się deklarował na mojego osobistego demiurga. Gotów był zorganizować mój wewnętrzny świat, zaszcześcić w nim rozum i, jak przystało na Kruka, uwolnić słońce, które od środka roztopi zmarzlinę pod pancerzem biologicznej ochrony. Jeśli nie uczyniły tego biogenetyczne moce Planety. A jednak, słusznie powiedział: tempora mutantur et nos mutamur in illis. Z Demiurga ostał się Weryfikator.

Tak samo Ziemia nie dała szansy dinozaurom, jak ta Planeta nie zdołała na dłuższą metę podwiązać ścięgna tych kościanych machin. Trafiły w swoją ślepa uliczkę, kędy i ja teraz kroczę, ze śmieszną nadzieją, że gdzieś mnie prowadzi trop, który się we mnie odezwał bolesnym krzykiem. Wciąż we mnie tkwi — sztych przeszywający gardło, chociaż staram się przemoc i bodaj z tym jednym nawiązać kontakt, który krąży koło mnie — nie Kruk, być może, ale cień Sępa.

— To wszystko nie ma znaczenia — powiedziałem do niego, mimochodem, przez ramię, jakbym chciał głosem zagłuszyć cienkie popiskiwanie żwiru towarzyszące naszym krokom, niepokojące w zupełnej ciszy uroczyska. — Dawno przestałem się łudzić. Liczy się tylko pierwsze odczucie. We mnie — kiedy po raz pierwszy zetknąłem się ze światem istniejącym po stronie nocy i zrozumiałem, że nie jestem w stanie przestąpić ponad progiem z kości tych, którzy próbowali przedtem.

— Przebić się ku doskonałości? — roześmiał się nagle. — Przecenisz przodków. Wysokość kurhanów i piramid nie jest miarą ich wielkości, lecz nagrobkiem kolejnych porażek Ewolucji.

Kolejny przyptyw czarnej fali. Przecież tak niewiele pojmuję z tego. Czarna fala przetacza się we mnie tak samo, jak nad tym globem. Istnieje w nadirze moich wyobrażeń i w zenicie rzeczywistej natury Kosmosu, gdzie nie znajduje oparcia dla zmysłów. Wciąż jeszcze. We mnie i na powierzchni ziemi, która się objawia w promieniach Heliosa i znowu ucieka w ciemność.

— Wszechświat wyłonił się z ognia — znów usłyszałem Ravena. — Lecz dla nas, tam, u źródła, pozostał tylko popiół. Prawdziwą jego przyszłością i miejscem, gdzie się dopełnić może ewolucja każdego gatunku, jest ciemność. Tak właśnie: nie gwiazdy, lecz mrok jest przyszłością Wszechświata. Dlatego noc tej Planety jest zaledwie forpoczta owych systemów nieuchwytnych dla zmysłów, które — być może — nastąpią dopiero wtedy, gdy rozum uwolni się od zmysłów. Tam, w nieskończoności czasu i przestrzeni, już wygasa nawet reliktywne promieniowanie. Potrafisz wyobrazić sobie świat, w którym i tego zabraknie?

Wiele rzeczy potrafię sobie wyobrazić.

— Dopuszczam nawet możliwość, że kłamiesz — powiedziałem. — Albo nazbyt usilnie wciągasz mnie w świat abstrakcji. Co często na jedno wychodzi. Twoje mniej lub bardziej mądre aluzje, służą dla podtrzymania dialogu, i owszem, nie bierz mnie jednak za durnia. Żadna wymiana zdań nikogo nigdzie jeszcze nie doprowadziła. Co najwyżej może posłużyć jako strefa buforowa, delikatne łącze między twoją realnością i tym, czego ja nie potrafię pojąć. I czego, być może, nigdy nie zdołam dokonać.

— Ciepło, ciepło — powiedział Raven.

— Ten świat, w którego proroka raczysz się zabawiać, przydzielił mojej osobie jedno—jedyne, z przyszłości w moją terażniejszość wystawione OKO. Na szypułce tułowia, rąk i nóg, oczko wytknięte z labiryntu nocy skreślonej w pancerną muszlę.

Znowu parsknął śmiechem, mniej wesołym, jakby i jego coś potrafiło za pierś ścisnąć. A przecież — pomyślałem — tylko tym jesteś dla mnie kropło ciemności zakonspirowana w srebrzysty skafander. Zapewne na twoim miejscu mógłby mi się objawić Yongblod — nie do poznania, Ułam — jakiego znałem, albo krzyżówka wyhodowana na pożywcę rozsądku i pasji z Van den Berga i Horowitza. Nawet Mungo Clair mógłby być gościem na pokładzie mojego starbolta — jakim się wyrył w mojej pamięci, już ze specjalnym aneksem, z pierwszą miłością Liany. I ostatnią — zapewne. Kto jeszcze? Nie wiem. Opatrzności czuwającej nade mną bynajmniej nie idzie o to, żebym się oszukiwał i zwodził tak długo, aż przyjdzie zwariować z bezradności — na jakimś kamieniu, z kolejną czaszką Yoricka w dłoni.

Tylko jakie znaczenie dla przyszłości tej Planety, przyszłości zawsze trwającej w strefie nocy, ma to moje szamotanie w planetarnym „bębnie aktywności”, między Natanem i Endo, między Miedzianym Miastem i Katedrą Księżyca, w ślepym labiryncie między dniem i nocą? I na co komu potrzebne, żeby taki Raven chodził krok w krok za mną i patrzył na ręce?

Głupiec ze mnie. Przecież dla tych lub tego, co TAM istnieje, przeszłość jest tym, czym łąd dla dzieci Lewiatana budujących szklane tunele — byle sięgnąć jak najgłębiej. We własną prehistorię, poza horyzont zdarzeń przypisany ich ciałom i ten przed rozumem rozpościerający się nieco szerzej. Czy jest coś, co mogłoby sięgnąć dalej?

Wciąż brnę przed siebie jednostajnym krokiem.

A sztych tkwi we mnie — na wspólny szpikulec nawleka jaźń i ciało. Teraz wystarczy znaleźć ogień i przywrócić jedność albo wziąć ostateczny rozbrat.

Raven niepostrzeżenie wysunął się do przodu i teraz on prowadził pewnie, jakby bardziej polegał na nadprzewodliwości własnych zmysłów. Czy ma znaczenie, dokąd zmierzamy? — zastanowiłem się. Każde miejsce jest dobre. Najpewniej to, co nas tu przywiodło było krzykiem całej biosfery.

Wciąż przedzierałem się przez rumowisko białych kości. Stopy wbijały jakieś odpryski w czarną glebę — patyki zamiast nasion — też potrafią wypuścić korzenie, może w czarnoziemiu znów obrosną mięsem. Buty mieszały drzazgi wapienia z tłustą ikrą, z pęcherzykami o tłustym połysku, perlącymi się jak torfowisko — martwe, choć nawarstwione z próchnicy organicznych tkanek. Nawet KRZYK rozpadł się nic nie znaczącym echem, szelestem piasku i oddechem wiatru. Teraz już jestem pewien — nic takiego nie mogło zdarzyć się tam, na zewnątrz. To tylko w nas coś pękło — kiedy zatrzasnęła się za nami brama powierzchniowego napięcia. W punkcie przebiccia między wodą i powietrzem — gigantyczna ameba, jej fantomatyczna zarodnia, wypuła nas poza komórkową błonę.

Nareszcie poczułem ulgę. Mogłem zapomnieć o tym KRZYKU, choćby pamięć twierdziła, że się wydostał z ludzkiej krtani. Wolno mi umyć ręce, gdyż nie mam

przecież pojęcia, co rzeczywiście tą Planetą wstrząsa na granicy dnia i nocy. Szala balansującej biosfery przechyla się to w jedną to w drugą stronę. Jeszcze światło Heliosa przyszpila do ziemi to wszystko, co pewnie by się mogło obejść bez kształtu, bez liści, pni, korzeni, nóg, rąk i sierści, lecz nie wygasły jeszcze wszystkie gwiazdy kosmosu — dzień rozdziela, noc nietrwale jednoczy. Może ten ryk był takim właśnie wyciem przedzgonnym KSZTAŁTU, który się czepia jasnej geometrii nie pojmując jeszcze, że noc tej Planety nie oznacza śmierci. Plecy Ravena — zderzyłem się z nimi. On nawet nie drgnął — stał jak wkopany. Niechcący oparłem dłoń na jego ramieniu. Poczulem przenikające go drżenie, gwałtowny puls — jeszcze trochę i ten KTOS przedemną skuli się, zasklepi w czarną kroplę i wsiąknie w ziemię.

Lecz on stał i zagradzał mi drogę przed rozłamem palisady z na sztorc osadzonych gnatów. W górze oberwały się białe przęsla i zwały na jakieś kurhany usypane z wszelkiego drobiazgu. Można w tym było rozpoznać obrane z ciała miliardy ptasich trucheł, kościane składanki drobnych gadów, płazów i ssaków. Szkieleciki zanurzone w czymś srebrzystym, leciutkim, suchym niby plewy — pustych w środku, bo z nich wyparowała wilgoć wszelka. Wiatr niewidzialnymi palcami przebierał w chitynowych skorupkach, owadzych wylinkach zmieszanych z twardymi łuskami, w siwych włosach, w kłaczkach sierści przyklepionych do kości i w obłamanych niby-skrzydełkach.

Po bokach Ravena dwa białe słupy mamucich kłów. On — między nimi skamieniały. Ledwie cokolwiek mogę dostrzec ponad jego ramieniem. Chciałbym zajrzeć tam, gdzie poza kościaną tyralierą lasu — w przybytku monsturalnej architektury z czasów dominacji dinozaurów — rozpościera się ściernisko stokroć wyższe od tego lasu. Nad nim — za nim — coś dudni głucho, w powietrzu pchane fioletowym światłem fruną jakby płaty sadzy i przezroczyste, woskowe płachty — jakby pasami zrywanego naskórka. Bodaj jednego kroku nie mogę postąpić do przodu.

— Puść! — wyrzuciłem z siebie zdławionym głosem. Raven nie stawiał oporu, tylko się nieco w bok zatoczył. Mogłem iść dalej. Mogłem pójść dokąd chciałem, choćby do tych cyklopów, których cienie machały pięściami w wiśniowym zarzewiu horyzontu. Stałem.

Nic tu po mnie — myślałem z przerażającą jasnością. Jednak śliski tłok języka stwardniał w gardle i mocnym kneblem zatamował oddech. Nie śmiałem ruszyć ręką.

Tylko oczy wyskoczyły z orbit — jeszcze trochę i zeszlone gałki stoczą się po policzkach i pijanym wzrokiem zapadną głęboko pod ziemię. Jeśli da się na tyle przechylić kryształowy kielich hełmu z zabełtaną w nim moją głową. Przynajmniej wzrok chciałbym wessać na powrót w oczodoły, spoza mojej zewnętrznej skorupy, poza którą wychylił się tak pochopnie.

Patrzyłem dalej. Słuchałem, jak coś koło mnie łka spazmatycznym oddechem. Ja cały czy moje płuco prawe — po stronie Ravena? Chciałbym móc TAM nie patrzeć i na cokolwiek jeszcze skupić siłę woli. Szklany klosz hełmu Ravena pusty prawie, ponad wewnętrzną obręcz ledwie się uwypukła łysinka czarnego pęcherza — pierś też wypięta, jakby to coś, z czego ulepiony został, chciało powrócić do pierwotnej i najprostszej formy — rtęciowej kropli skracającej się w próżnym i już zbędnym łachmanie skafandra.

A nad nami jeden łuk triumfalny zachował się w całości — z białej masy, nie z kości. W nim przyptyw i odpływ dalekiego oceanu przepycha żywe zgęstki — patrzące, w niczym nie potrafiące pomóc.

Jęknąłem z wysiłku i zmusiłem oczy, aby nie szukały oparcia w cokolwiek, czego nie przyniosłem z sobą.

Na ziemi zrytej dokoła, w rozchlapanej szeroko jamie, w tłustej ikrze czarnoziemu



walało się nagie ludzkie ciało. Skóra na wpół przejrzysta. Pod jej wiotką osłoną kości dziwne — kanciaste i ostre. Ości raczej. Piersiowa klatka wzdęta, ręce i nogi rozrzucone szeroko — płeć dziwna, zielonym liszajem nakrapiany korzeń. Wstecz odgięta głowa. Grdyka wciąż drgająca, gdyż to ciało żyło jeszcze, rwało ziemię zakrzywionymi palcami, kopało nogami, w grząskim torfowisku zapierało się bosymi piętami. Od kolan do kostek płatki pośniedzialej miedzi.

Wzdrygnąłem się — gotów byłbym sam postąpić jeden krok do przodu i stopą to ciało przydepnąć, mocno przydusić obcasem, żeby się przestało męczyć.

Lecz na sobie czuję wzrok spod obłoków — Dzieci Lewiatana patrzą na mnie swoimi wiecznie zdziwionymi oczami. Niczego nie mogę przedsięwziąć, chociaż tam — niewidzialną szpilą przykłuty do ziemi — wokół własnej osi obraca się pajęczak nagi albo krab jakiś, obnażony z chitynowego pancerza, dygocący za każdym liźnięciem jadowitego powietrza. Wciąż wzdryguje się cały, przewrócony na wznak wygina piersiową klatkę to znów rzuca do góry brzuchem przyrośłym do żeber i kręgosłupa. Już wyrwał w ziemi czarną jamę i wkręca się głębiej, jakby sam pod sobą grób kopał. Wystarczy tylko nagarnąć rozrzucony czarnoziem.

Gotów to byłbym uczynić, natychmiast, żeby to wszystko stracić bodaj z oczu i potem próbować już tylko, czy się nie uda zaleczyć pamięci. I nagle — w pół obrotu tego drgającego ciała — dostrzegłem głowę. Coś jęknęło we mnie z bardziej jeszcze obłądną rozpaczą. A tam na kości twarzy nie skóra lecz sina naciągnięta błona. Przerażliwie wyszczerzone zęby — między nimi kolec języka niby żółty sromotnik, sztywny i napuchnięty, w kącikach warg nitki plazmogamii. I każdy spazm tego ciała, wreszcie skoncentrowany w twarzy, zdaje się być prostym odzwierciedleniem przedgonnych konwulsji całej tej Planety ogromnej.

Zadrzałem i, tracąc pod dłonią oparcie czyjegoś ramienia, zatoczyłem się do przodu. Za mną klekot kości — coś się zawaliło, jeszcze się sypało, jakby ogromny kręgosłup, przestoczony w iglaste drzewo, otrząsnął się z nadmiaru szpilek-żeber. Patrzyłem, wciąż nie wierząc jeszcze, na tę twarz straszną, martwą bardziej niż wszystko, co dotychczas potrafiłem wyobrazić sobie — jeśli zdolną do jakiejś mimiki, to nie inaczej jak elektrycznym prądem pobudzany mięsień. Poznałem go wreszcie — czego z pewnością nie potrafiłbym nigdy dokonać, gdybym przedtem nie otrzymał lekcji pogładowej — jak wyglądają zatopieni w rezerwuarze biomasy „Trieda” i skrzelami oddychający zielonoskórzy bracia Endo. On sam leżał przede mną.

Twarz żółta — ugnieciony pergamin. W tych zetkniętych zmarszczkach ledwie można wysupłać bardziej ludzkie rysy. Od nasady nosa w górę, niby zagłębienie między fałdami nasepionych brwi, przeraźliwa blizna dzieliła czoło na dwoje. Okrutne cięcie musiało rozłupać całą czaszkę, a przecież widziałem tylko obrzmiałą, krwawymi węzłami brocząca resztki limfy, dzikim mięsem już ściągniętą bliznę. Tak to wyglądało, jakby niedawno mózg się na zewnątrz otworzył pąsowymi wargami — po bokach srebrzysty puszek, pod rzadkim lanugo pękają ropne wągry i już różowieje ciało, zasklepia się mniej krwawą błoną. Za chwilę zostanie tylko blizna szeroka, na tyle głowy całująca czarną ziemię. Spojrzenie ze szklanej tęczy zdaje się dopełniać scalenia.

On żyje, choć pewien jestem, że już się nie podniesie i — choćby dobywał z siebie Bóg wie jakie rezerwy — pozostanie martwy. Niech z jego ciała wyjdą czerwie i zasiedlą wymarłe wsie i pałace Chorezmu.

## Wyjątek z Księgi Psalmów

— Będzie żył — powiedział Raven.

To być nie mogło, a jednak stać się miało. On żył, chociaż tego właśnie przeżyć nie miał prawa żaden człowiek. Jeśli nim był kiedykolwiek. Teraz zostało tylko ciało.

I nawet ono zdołało tylko dlatego przetrwać, gdyż znalazł się tutaj nagi, odarty ze skafandra, plecami wtulony w tę samą ziemię, która czarnoziemem osypała się ze szkieletów miliarda dinozaurów.

Raven opuścił to wiotkie, teraz przez ręce lecące ciało, prosto w reanimacyjną komorę kapsuły wystrzelonej z pokładu starbolta. Sam ładownik pozostał tam, gdzie go zostawiliśmy. Jeszcze trzasnęła domykana szczelnie pokrywa sarkofagu i kapsuła uniosła się w powietrze. Nad rumowiskiem lasu—cementarzyska pochwyciła laserowy peleng starbolta i odpłynęła w jego kierunku. Potem komora anestezyjna i chwila gwałtownych przeciążeń przy starcie w kierunku „Trieda”. Można nie szczędzić przyspieszeń — raz przynajmniej nie grozi uraz mózgu. Nic więcej dla niego nie możemy zrobić. Raven — gdyby, jak ja, nie był również w obcym sobie świecie — być może. Ale jakie to ma znaczenie? Nawet jeśli jemu udało się do mnie zstąpić to jeszcze nie dowód, że istnieje sprzężenie zwrotne. W każdym bądź razie ja nie potrafię pomóc temu, w co zasklepiło się ciało Endo. I bardzo wątpię, czy jego duszę zbawi Brat mój — Synchronat. Dusza jest nieodłączna od rozumu, rozum od mózgu, mózg od ciała — tak przynajmniej łudziłem się dotąd.

Może przynajmniej tam, w Kosmosie, gdzie prawa Planety tracą wagę Wyroczni, może tam przynajmniej Synchronat znajdzie sposób, aby przeciąć ostatnie nici wiążące to ciało ze światem żywych, choć już przynależy umarłym. Tak byłoby najlepiej — uśpić zupełnie. Jeśli znajdzie się w pamięci Synchronatu taki fortel, który dokona ostatecznej eutanazji wbrew woli Planety.

Czaszka Endo jest pusta. Cokolwiek zawierała przedtem — nawet jeśli w istocie był człowiekiem, któremu się przyśnił miraż Chorezmu — zostało wyłuskane z czerepu.

To wtedy właśnie zmysły nasze odebrały ten krzyk, zdawałoby się — zdolny momentalnie przeskakiwać z jaźni do jaźni, swoją anomalię wprowadzający w magnetyczne pole Planety i artykułujący zjonizowany wiatr w stratosferze. Człowiek umierał — coś zawsze po kimś zostaje dla tych, co przetrwają. Więc usłyszeliśmy jego krzyk przedzgonny.

Nadal nie wiemy jednak, kto tego dokonał i na co ta śmierć była mu potrzebna.

Właśnie dlatego nie wolno stąd odejść. Myślę tak — pewnie dlatego, że czuję na sobie nie tylko wzrok Ravena. Gdyby nie to — powinienem się obrócić na pięcie i odejść stąd natychmiast, jeśli chcę wrócić kiedykolwiek tam, gdzie ktoś czeka na mnie — a przynajmniej pozwala mi się tym łudzić. Jeśli zostaliśmy, to dlatego raczej, że nic innego nie przyszło nam do głowy.

Poza tym wolałem zostać tutaj, niż dać się zatrzasać w tej samej konserwie z tamtym ciałem na poły tylko martwym. Już się uspokoiło nieco, a jednak wolałem poczekać, zanim starbolt odeśle przesyłkę na pokład „Trieda” i wróci po nas. Przynajmniej mamy czas, żeby się nieco rozejrzeć i — być może — cokolwiek zrozumieć. Raven nie wyrażał swojego zdania. Po prostu został ze mną. Jeśli mu wierzyć — po to się zresztą zjawił.

Dokonałiśmy więc oględzin miejsca, gdzie odnalazł się Endo. Mimo długich starań nie udało się nam stwierdzić żadnych znaczących śladów. Wyglądało na to, że cała operacja została dokonana w zupełnie innym miejscu i tylko już niepotrzebne ciało Endo wyrzucono na ten sam śmietnik, na którym wszystkie inne z wymarłych zwierząt tego globu złożyły swoje kości.

Tymczasem niedalekie zarzewie coraz mocniej przyciągało naszą uwagę. Kiedy na miejscu nie było już nic do zrobienia ruszyliśmy w tamtą stronę.

Coraz mniej było tu aseptycznej bieli kości wyglądających tak, jakby je z mięsnej tuszy ogryzły mrówki zamieszkujące tę ziemię najmniej przed milionem lat. Kiedy tak szliśmy przed siebie coraz więcej płatów sadzy frunęło w powietrzu. Miękkie i prawie nieważkie bezszelestnie kładły się na powierzchni ziemi niematerialnym nalotem koronki, to znów w powietrzu lepiły długie pasma ciągliwej pajęczyny. Stąd pewnie tamte sieci rozpięte w atmosferze niby zapora dla ptaków, oczu i wiatrów wiejących od tętniącej życiem dżungli. Dzikie mięso wydziela z ciała martwą zgorzel — zakątek Planety przeistoczony w śmietnik. Przecież nie może istnieć życie bez śmierci. Jak każda planeta i ta posiada dwa bieguny — biegun nowonarodzonych i antypody umarłych. Chociaż nad większością tego świata włada ten pierwszy — zgrzybiała Titonos i tutaj złożyła swój pocałunek śmiertelny. Z tym samym piętnem odeszli Ułam i Yongblod, Van den Berg i Horowitz, po których tylko pamięć stała się moim udziałem.

Na jak długo jeszcze?

Raven, głosem Yongbloda — któż inny znalazłby się na tym lepiej, powiedział: „Będzie żył”. Jak może żyć coś, co nie jest już niczym innym nad to, co Horowitz określił wzgardliwym prychnięciem: „soma!...”

To, na czym opieramy stopy, też przestało stwarzać pozory — martwe ciało. Kamień, piasek i popiół. Dawno zniknęła powierzchniowa żyzność gleby. A przecież dopiero teraz, poprzez wypięty brzuch martwej ziemi, czuję stopami jakieś drżenia w jej wnętrzu, aż tutaj dociera dudnienie z pracowni Wulkanu. Nad czym się tak męczysz?

Jednocześnie ciemne płaty tańczące w powietrzu stają się bardziej przejrzyste. — Po prostu sina mgiełka, w głębi prześwietlona zwodniczym fioletem. Nogi po kolana brodzą w pyłe. Przed chwilą jeszcze mgielna szarość podsiąka różem, jakby tej ziemi wracała przed miliardami lat utracona cielesność. Już w prochu na nowo zawiązują się nitki tętnic i kłębamii pary prężą się mięśnie.

Raven szedł znowu przodem. Pomyślałem — «przejął się rolę.

Nie patrzył pod nogi. Czuło się, że ta ziemia nie jest mu obcą, jakby poprzez stopy obute w ciężkie bucioro nawiązywał z nią bliższy kontakt. Żaden uskok, pochyłość czy niecka wypełniona pyłem — nie stanowiły dlań niespodzianki. Patrzyłem, jak idzie przede mną. Nie potknął się ani razu, nawet nie zachwiał ani nie zawahał. Tylko stopy zagłębiały się w próchnie coraz czerwieńszym, pod którego powierzchnię nie potrafiłem przeniknąć wzrokiem. Kiedy tak szedłem za nim, starając się wiernie naśladować jego krok — żeby się nie pośliznąć gdzieś albo nie zwałić w jakąś jamę — miałem wrażenie, że moje nogi to tylko tylne kocie łapy sprzężone z tymi, które kroczą przodem. Automatycznie przenosiłem je nad każdą przeszkodą, z matematyczną precyzją skracając lub wydłużając krok i ani razu nie potrafiłem przeszkody wyrastającej na drodze, chociaż przednie łapy daleko — we mgle, i tam też patrzy przed siebie koci łeb.

Po bokach ostatecznie wróciły w ziemię kościane drzazgi, niby sierpy pazurów tylko na pewien czas wystawione nad poduszki mgieł. Za to równa płaszczyzna terenu rozłupała się nagle głębokim jarem, w który zaczęła również ściekać różowa mgła. Bez wahania wkroczyliśmy między dwie strome ściany.

Poczułem się nagle, jakbym raz jeszcze trafił między złote urwiska kanionu prowadzącego tam, gdzie się otwierają podwoje Katedry Kosmosu wzniesionej na martwym Księżycu. Lecz tam byłem sam, a poza mną brzmiała w przestrzeni muzyka niebiańskich sfer i nadymała się w szklanych piszczałach wciąż niepojętą organową mszą. Tutaj przed siebie skrada się kot, nagła metamorfoza Kruka, który dopełniony mną utracił skrzydła i teraz tylko czarny Kot przemyka w podcieniu murów. Czy dla takiego jak on ta Planeta może kryć jakąś jeszcze tajemnicę, cokolwiek niewiadomego, co nie jest piórem w Skrzydłach Czarnego Kruka. Niedawno gotów

byłem uwierzyć, że nic nie potrafi zaskoczyć Ravena. Czar prysnął — gdy ponad jego ramieniem zobaczyłem ciało Endo rozciągnięte na ziemi.

Czyżby istniało coś, czego ani razu nie ogarnęła przyszłość tej Planety ukryta pod pokrowcem nocy?

Tam istniała muzyka, chorał ucieleśnionego światła, niby pomnik dla tej tęsknoty, która spod pokrowca chmur przenika w kosmos, czy też pomnik dla tej wiary istot rozumnych, które w mechanice ciał niebieskich dopatrują się Głosu Sprawcy; tutaj z każdym kolejnym krokiem jaźń przenika dziwny łoskot, z drżącej ziemi i rozdygotanego powietrza kiełkują korzonki zdolne rozsadzić każdy atom ciała. Lecz zawsze można polegać na biologicznej ochronie. Tylko wyobraźnią można sobie uświadomić, co się naprawdę dzieje poza molekularną warstwą blokady entropii. Dzięki niej wzrok nie znajduje Źródła, a słuch też chwyta tylko takie dźwięki, które znajdują echo w pamięci już istniejącej w wymyślnym mózgu. Aby zrozumieć burze przewijające się na zewnątrz mojej skorupki musiałbym rozporządzać tysiącem innych zmysłów. Nowych zmysłów — jakby one w czymkolwiek pomogły biednemu Endo.

Tymczasem schodzimy coraz głębiej w skalny rozłam planetarnej skorupy. Coraz głębiej, chociaż czuję się, jakbym właśnie na przekór — z mrocznej ciemni wyłaniał się na powierzchnię, gdzie słycać dudnienia, grzmoty przeciągłe i jakieś chrapliwe westchnienia. Na przedzie iskry jakieś eksplodują kaskadą zimnych ogni. Do powierzchni mojego ciała tajemnicze promieniowania docierają pod postacią potępięczych jęków i łkań bezlitośnie odkształconej materii. Widzę jedynie zewnętrzną powłokę, tylko ogromny, fioletem wypełniony pęcherz. Dźwiga się nad powierzchnią globu i pulsuje ciężko, zachłystuje się bolesną czerwienią i znowu przewleka przestrzeń błyskiem jak stal chłodnego, trupiego fioletem. Pęcherz iluzorycznego światła dźwiga się coraz wyżej. Już sięga ponad wolno rozstępujące się pod naporem strzępy pajęczynowych chmur, nad popioły i we wszystkich kierunkach ciekące zawirowania mgieł. Zdawało się, że jeszcze krok i owa pulsująca sfera ogarnie nas ze wszystkich stron.

Ćmy się zlatują do magicznej kuli. Niedługo znajdziemy się pod jej sinym nabłonkiem. Może tam, w środku, przyszłość nasza zawiąże się bardziej realnym kształtem. Dla mnie — latarnią Heliosa prowadzącą na powrót do Strefy Systemu, dla Ravena — ciemnią nocy. On przynajmniej nie waha się ani przez moment. Nawet jeśli nie trafi w domenę swojego żywiołu — cóż znaczy poświęcenie kropli ciemności, jednego pióra wyrwanego z kruczyczych skrzydeł, żeby noc mogła prześledzić dokąd wiodą prądy. Tak samo niewiele się liczy samozaparcie takich jak ja, którymi Strefa Systemu spluwa w przestrzeń.

Zawsze — jeden krok dalej. I głębiej — do podnóża tej kuli rozpościerającej w niebie pawie wachlarze tęczy, przez granitowy rozłam ziemskiej skorupy do takich odmętów, gdzie lokalny wobec Wszechświata wir tej Planety skręca się wkoło nas, zapętla jeszcze leniwie, żeby — gdzieś tam — chwycić za gardło zawrotnym tempem zdarzeń.

Jeszcze jeden kamienny stopień. Dokoła olbrzymie głązy o zeszlonych powierzchniach. Skąły zdają się parować. Dygoczą, jakby były pancierzem krzemowego liścia skrzyconym wokół przebudzonej larwy i coś z nich chce się przebić przez nadtopioną powierzchnię, po raz ostatni próbuje wytknąć łeb kudłaty — zanim cienką nitkę szyi ostatecznie na wylot przeświecili jasność coraz gorętszą.

Chciałem wyciągnąć ramię i powstrzymać Ravena. Gotów byłem zagrozić mu drogę — jeśli w nim wygaś instynkt samozachowawczy, dopóki biologicznej ochronie naszych skafandrów starcza samozaparcia. Pomyślałem nawet — czort kusi owieczki zbłąkane, żeby nimi dopełnić chór dusz potępionych, których zawrozenie

słyszałem jeszcze w Katedrze Księżyca.

— Dokąd nas niesie — powiedziałem nawet. — Czuję się, jakbym szedł prosto na lep...

Ani ja nie zdążyłem dopełnić trudnych do określenia przeczuć, ani Raven odpowiedzieć. Coś pękło za nami. Chrzęst usłyszałem zanim odpowiedni refleks nakazał mięśniom w bok przemieścić ciało. Raven też uskoczył, jakby pchnięty tą samą sprężyną. Tam jednak, gdzie przed chwilą staliśmy, nic się nie zmieniło.

Spojrzałem wstecz jeszcze dalej. Ziemia się tam rozbryznęła na wszystkie strony. Różowy pył perlił się na przemian z odłamkami skały i — czort wie skąd przyniesionymi tutaj — tłustymi ziarnami gleby. Nagle coś śliskiego i giętkiego wysunęło się z ziemi niby wyduszony ciśnieniem woskowy sopel. To coś, drżące i jeszcze niepewne, wysoko wytknęło szklaną iglicę, nagle się zachwiało, odchyliło od pionu i — już myślałem, że runie na skały i rozprysnie się kryształowymi bryzgami — nachyliło się miękko, wyciągnęło jeszcze i hen daleko skierowaną szpicą na nowo utknęło w ziemi. Wyglądało to tak, jakby błąd albo korzeń, na moment zmylił drogę i wyrwał się nad powierzchnię ziemi, żeby rozpoznać kierunek. Potem zatoczył szeroki łuk i na powrót zanurkował w sypką glebę.

— Niech ich wszyscy diabli! — zaklął Raven. — Wszędzie muszą nos wetknąć.

— Kto? — zapytałem odruchowo, jakby to było potrzebne.

— A co myślisz? Że się nam trafiła dorodna dżdżownica? Patrzyłem na to wysokie, nieledwie chmur sięgające przęśło.

Jeszcze chwilę rezonowało, wreszcie zastygło zupełnie. Byłem pewien — można w to wyróżnić nie tylko pięścią. Najwyżej odezwie się echo, jeśli go nie wygłuszy białawe osocze. We wnętrzu już się ujawnił jakiś zgęstek. Wypłynął w górę, zatoczył łuk w szklanej przewodnicy i nawet na nas nie zwrócił uwagi. Nietrudno było zrozumieć, czym był ten krok długi na kilkaset metrów. I on, jak nasza ciekawość, kierował się naprzeciw temu zarzewiu idącemu od podnóża szkarłatnego teraz, pulsującego pęcherza. Cóż znaczy jedno wymarłe Miedziane Miasto, jeśli tam w epileptycznym transie skręca się cała Fabryka nakryta szklanym kloszem.

Więc Ich też tu przywiodło — pomyślałem.

Tam znowu — gdzie ledwie coś można wzrokiem rozpoznać — krok następny. Tym razem pod powierzchnią gruntu. I jeszcze raz wynurza się biała sinusoida, strzela nad głazy rozmyte mgiełną sierścią, krzepnie płynąc w powietrzu i zapina kolejne przęśło tunelu. Dzieci Lewiatana płyną w nim gęsiego, przeciskają się przez wąskie gardło i znów drążą ziemię — plazmoidy wszędzie przenikające i wszystkiego ciekawe.

I kiedy chciałem już ruszyć w tym samym kierunku — coś jeszcze mnie powstrzymało, kazało przysłuchać się łomotom, od których wzdrygiwała ziemia. Trudno było pojąć, czy rzeczywiście przyczyna tych głosów leży przed nami, czy już — ślepi — minęliśmy ten bęben za którymś zakrętem kanionu. W ciemnej jamie siedzi tam szaman i pod jego ręką prymitywny telegraf nadaje wytrwale — ahoj! Plemię pod szklanym ciemieniem! Depcze wam po piętach czterołapy Kocur w srebrnych gaciach i z jednym czarnym ślepiem!

Zamarłem więc na moment, zdjęty obawą, że nie dostrzegłem tej granicy oczekiwanej i oto już tkwimy we wnętrzu zaklętego kręgu, pod powłoką gigantycznego, fioletowo-szkarłatnego balonu, który się nadyma wkoło nas. W membranie powłoki, której napięcie powierzchniowe uchyliło furtkę przed jednookim Kotem, słychać bicie tam-tamów. Pilnie wsłuchiwałem się w te wszystkie trzaski, gromy i ledwo uchwytnie szelesty. Starałem się zrozumieć czy już dałem się nakryć, czy jeszcze sterczę na zewnątrz.

Jakie to ma znaczenie, od kiedy wdepnąłem w tę Planetę?

Lecz coś jeszcze włączyło się w dziwną kakofonię dźwięków.

Słuchałem z zapartym oddechem i dłonią kurczowo zaciśniętą na rękojeści mojego noża — jakby to był kostur, bez pomocy którego nie mogę opukać tej ziemi. Zdawało mi się, że Raven coś mi do ucha szepcze ponad ramieniem: „... my — spokojny naród”. Poczułem, jak mi usta wypełnia smak kwaśny, cierpka—wy, jakbym głowę wetknął w zmurszałą dziuplę i zachłysnął się tam — nie próchnem, lecz jakimś zapachem zwilgłym, prześladowującym mnie jeszcze na pokładzie „Trieda”.

To nie był głos Ravena. Nie Ulama i nie Yongbloda.

Żadnego z nich nie było koło mnie.

Rozejrzałem się rozpaczliwie.

Ponad grań kanionu wypłynęła jakaś srebrna iskra. Zatrzęsła się leciutko, po czym w dół spłynęła. Może ją prowadził delikatny podmuch powietrza — niewiele trzeba, żeby pchnąć mydlaną bańkę. Jeszcze chwila i przepłynie koło mnie, wiatr ją uniesie między mgiełki różowe, w komorę dudniącego pieca. A głos słyszałem z tego pęcherzyka właśnie, choć się uszom wymykał i co rusz przechodził w szelest, to znów w po—skrzypywanie jakiegoś, jakby się tam — w środku — zatarła ośka toczącego się koła. Zdawało mi się, że słyszę: „...nasienie jego będzie trwać na wieki, a stolica jego, jako słońce przed oczyma memi...”

Nie wierzyłem własnym uszom tudzież innym zmysłom, które potrafią słyszeć mimo najodleglejszych przestrzeni. Tam jednak — pergaminowa kartka obróciła się w pożółkłym ze starości psalterzu, gdzie archaiczna z kosmiczną przemieszała się wiara — usłyszałem znowu:

*„... Ehej! Ehej! Dla kogóż to się stałeś  
ucieczką od rodzaju?”*

*Jam — nikt «*

*Tyś — coś*

*Czy miejsca w tobie starczy*

*by stać się domem naszym?”*

Mógłbym tak stać, zauroczony tą skargą przepływającą w pustej przestrzeni. A każde słowo związane głosikiem cichym, drżącym, jakby w szklanym słoju mysz zatęskniła do pełnej spizarni.

*„Ehej! Ho—ho! Dziś tysiąc lat przed okiem twoim  
mija jak dzień wczorajszy  
— pomimo nocnej straży...”*

Zadrzałem, przejęty grozą i niewiarą w oddalenie „Trieda”, gdy mój wzrok w chybotliwej kulce żywego srebra dostrzegł coś ruchliwego, poruszającego krótkimi odrostkami. Poznałem go wreszcie — unosił się w tym pęcherzyku świetlnym, a zarazem jakby szedł w powietrzu, po niewidzialnej linii — zgarbiony linoskoczek. Kuśtykał drobnym kroczeniem, w sam raz na swą posturę w krasnym kubraku, ze wzdętym brzuszkiem i cienkimi łydkami tonącymi w filcowych kamaszach. Tym razem zabrakło pompona.

Myślałem już, że przejdzie obok i nawet mnie nie zaszczyci spojrzeniem. On jednak zatrzymał się nagle, w palcach okręcił jakąś złotą laseczkę — popatrzył prosto w moją stronę. Chyba mnie nie widział ze swojego bąbelka, ale dziwnie mu drgała różdżka w suchej łapce — uśmiechnął się dobrodusznym, pokiwał srebrną główką — może gdzieś po drodze zgubił swoją szlafmycę albo na odchodne nakrył czapkę psotny ludek, żeby mu się nie rozlaźł po wszystkich zakamarkach „Trieda”.

Wydało mi się, że słyszę: „stary ze mnie łamaga, ale sam rzekłeś: trzeba na własną rękę”.

Potem zrobił do mnie filuterne oko i pomaszerował dalej. Potoczył się w swojej błękitnej kulce, jakby oderwanej z plazmowej otoczki starbolta przelatującego gdzieś w górze.

Zgrzyt usłyszałem, jakby się rozstępowała ziemia. To tylko ja sam z przeraźliwą mocą zacisnąłem zęby. Oprzytomniałem. Dostrzegłem nawet Ravena — ledwie jego sylwetka majaczyła u podstawy fioletowego pęcherza, tego ogromnego, w którego tle trudno było rozpoznać, czy gdzieś płacze się mniejszy czy już przycupnął do ziemi.

„Przeklęty gnom! — zakląłem w duchu, sam nie wiem, kogo mając na uwadze. — Przecież jestem!”

Raven mnie wzywał. W myślach coś szeptało jeszcze: „stolica jego, jako słońce przed oczyma memi...”. Szklane przeszło tunelu niby most wisało nad skałami. Cmy się zlatują do lampy. W tym samym kierunku szept cichnie, jakby ktoś dla dodania ducha coś sobie brzęczał pod nosem — od rzeczy.

Muszę dogonić Ravena — pomyślałem. Zostaliśmy w tyle. Może się uda nadrobić.

## Sprzężenie hiperzespalone

Szczęk i zgrzyt usłyszałem. Zatrzasnęły się za nami masywne wierzeje. Lokalny kolaps przestrzeni. Jeszcze chrobot w zamkach — kamienie osypują się po gładkich ścianach wąwozu.

Staliśmy na dnie tej przerębli. Jeszcze przed chwilą łudziła nas perspektywą kanionu. Teraz szlify ścian zwinęły się w tuleję. Może przed nami ogromny czerw wżarł się w ziemię, wydrążył ten tunel. Całą masę gleby przeistoczył w swój tułów, który gdzieś tam — daleko przed nami — napęczniał do takich rozmiarów, aż się pod chmury rozprysnął fioletowo-szkarłatnym pęcherzem.

Wystarczy wyciągnąć rękę i dotknąć ściany. Tu i ówdzie pozostały ślady drażenia. Wyraźnie widać miejsca, gdzie idealna gładzista skała została obnażona spod diamentowego lemiesza. Widać zadry stalowych szczęk, od stropu w dół i na ukos do przodu biegnące smugi, spiralne żłobienia. Wszystko świadczy dobitnie, że coś się w te skały wgryzło pospiesznie i jeszcze niedawno. Soki trawienne atmosfery nie zdołały utlenić metalicznych żyłkowań w kamieniu.

Poza nami niebo dawno się zasklepiło kamiennym stropem. Mrok wypełnił perspektywę tunelu. Przed nami wciąż ta sama jasność infraczerwieni i nadfioletu ucinająca wszelką głębię. Trudno było coś dostrzec w kierunku naszego marszu — kolejne fragmenty przestrzeni pojawiły się od razu za nami.

Pomyślałem, że oto leżę czołem i piersią na powierzchni pulsującego pęcherza — czasami ustępuje i wtedy, oglądając się wstecz, mogę stwierdzić, że jakoś mi się udało przebyć kilkanaście kolejnych metrów. Poza tym — przebieram nogami nie gorzej od Wielkiego Thana Hobbitów, który się na przechadzkę wybrał w oczku swojego Pierścienia.

Brnęliśmy po kostki w mlecznych strzępach — snuły się tuż nad ziemią niby wyboczyna słodka i gęsta z odwołka tamtej mechanicznej dżdżownicy, która utorowała tę drogę łykając olbrzymie kęsy ziemi.

Raven parł do przodu z takim pośpiechem, jakby zupełnie zapomniał o mnie. Prawie nie zamieniliśmy ze sobą słowa od wejścia do tego podziemia. Starłem się tylko po to dotrzymać mu kroku, żeby się zmieścić w cieniu jego ciała — drażniło mnie światło, przeciw któremu nie skutkowały lustrzane polaryzacje hełmu — może

się brało we mnie samym, nie z zewnątrz. Nic postronnego nie miało prawa porazić moich oczu — tyle gwarantowała biologiczna ochrona. Jednak ogromny krwiał rozlewał się pod sklepieniem mojej czaszki i jedyną przed nim osłoną była owa czarna plama wyświetlona na wewnętrznym ekranie mojej camera obscura — cień Ravena. Czasami chciałem go dotknąć ręką, dosięgnąć rozpaczliwie wyciągniętymi do przodu palcami, a potem zamknąć oczy i zdać się na niego bez reszty — iść do przodu niby któryś z kolei ślepiec Brueghela. Jednak nie potrafię go pochwycić ręką, zawsze jest na przodzie o jeden krok za daleko. Tylko jego cień, niby cierń, tkwi we mnie...

Powietrze zadrżało, jakby ściśnięte gwałtownie zwierającą się kiszka tunelu.

Tuż przed sobą dostrzegłem jakąś gmatwaninę i potężne bloki kamienia. Cienie pławiły się w cieknącej nieustannie mgielnej posoce. Opar kotłował się w dole, wartki strumień rozbryzgiwał różowe promyki, perlił się w nastroszonych sprężynach. Trudno w tym było rozeznąć cokolwiek.

Chciałem ostrzec Ravena, a sam w bok uskoczyć, lecz coś mi się oplotło wokół kolan, nogi w kostkach objęło mocnymi cęgami. Spróbowałem się w tym rozeznąć zanim wezwę Ravena. I to był błąd właśnie — światło mnie oślepiło nagle, na moment obezwładniło mój zmysł równowagi. Głową do przodu runąłem z rozpostartymi ramionami. I nawet nie dobyłem z siebie głosu.

Upadłem niespodziewanie miękko, bez wstrząsu. Jednak łoskot odezwał się blaszany i zgrzyt cienki, jakbym się zaplątał w zwałisko złomu. Tuż przed twarzą miałem zwoje siwych włosów. Miejscami narosły na nich iskierki kryształów, metaliczne wióry i mnóstwo przezroczystych ziaren — w każdym ściśle skręcona spirala, to znów czarny węgielek — oczko diody próżniowej. Moje ręce po ramiona zanurzyły się w zgrzytliwych patrochach. Leżałem w martwym uścisku, chociaż czasami — może mi się zdawało — otaczające mnie sploty wzdrygiwały niby ramiona żelaznego ukwiału. Zwierzo-kwiat rozwinął się na dnie tego strumienia, który płynie w tunelu. Leżałem nieruchomo, sam nie wiem dlaczego nie podejmując żadnego oporu. Czekałem. Coś jeszcze tuż przy mnie odzywało się cichym brzękiem. Jakiś rezonans dogasał w szklanych paciorkach nanizanych na srebrzyste włosy. Niespodziewanie wróciła cisza. Tylko gdzieś daleko odzywało się wolne kapanie i krople pękały z cichym pacnięciem — kap, kap — w mlecznych strzępach. Sprawiało to wrażenie, że ktoś nadchodzi wolnym, równym krokiem — zbliża się w moją stronę. Przeszły przeze mnie, aż się skuliłem pod nieistniejącym obcasem.

Zrozumiałem, że oplatające mnie wici sprężyn są doskonale martwe, wygasłe do ostatniego kryształka. Aż trudno sobie wyobrazić, że kiedyś mogło to być żywe.

Uniosłem głowę i zobaczyłem wreszcie — różowa mgła spłynęła na boki — olbrzymie głazy musiały się oderwać od stropu i przygniotły ten tułów czarny, rozchlastany na boki wręgami stalowych żeber. Spod strzępów blachy bryznęły na ziemię metaliczne wnętrza — miliardy kryształków nawleczonych na siwe włosy z rozkręconych spiralek. Ze spękanych tłoków też wyciekały jakieś zmineralizowane już sople. Momentalnie zeszlone w powietrzu promienie radiolarii stopiły się z węzłami równie skamieniałych, mechanicznych ścięgien.

Trudno wyobrazić sobie — pomyślałem znowu — że to kiedykolwiek żyło. Życie — nie to słowo, chociaż to coś obudziło się kiedyś w przeźroczu „Trieda” — jak ja, Natan i Endo — z miejsca gotowe do akcji.

Cień mnie nakrył i usłyszałem szelest spokojnego oddechu. Raven wrócił po mnie. — Nic się nie stało? — zapytał.

Milczałem. Z twarzą zwróconą do ziemi, w objęciach martwego ulepca niegdyś nadprzewodliwych obwodów, zastanawiałem się, któż teraz przypomniał sobie o mnie: nie był to głos Ulama ani Yongbloda.



— Trzeba się było trzymać smyczy — powiedział.

Najpierw dźwignąłem się na łokcie, potem podparłem ramieniem. Pomógł mi się podnieść. Szare nitki puściły z suchym chrzęstem, jakbym odpruł elastyczny ścieg, którym mnie zbyt pobieżnie przyfastrygowano do ziemi.

— Zgubiłeś — powiedział Raven.

Podniósł i na rozpostartej dłoni podał mi nóż.

Chciałbym móc go zdzielić twardą rękojęcią prosto w ten pęcherz hełmu wypełnionego czernią. Może by spłynęła lub okazała się zwykłą polaryzacją, pod której osłoną, jak pod przyłbicą, ukryła się jego prawdziwa twarz. W wypukłej szybie dostrzegłem tylko odbicie samego siebie. Aż mi się zrobiło niedobrze — tak dziwnym wzrokiem spojrzały na mnie moje własne oczy, nabrzmiące niespodziewaną gorączką i gniewem, podpuchnięte i jakby pijane.

— Dziękuję — odparłem. — Daleko jeszcze?

— Nie wiem — obejrzał się tam, gdzie światło przeświewało wszystko napotkane po drodze.

Może centrum tej opuchlizny, która się uwydatniła z jednej strony globu, okaże się tożsame z jądrem Planety?

— Kto ma wiedzieć? — spytałem.

Obrócił się w moją stronę całym ciałem, jakby to miało dla niego znaczenie, którą stroną głowni udaje, że patrzy na mnie.

— Ty — odpowiedział. — Zapomniałeś?

— Daj spokój — parsknąłem. — Jaki sens szastać się Bóg wie dokąd. W tym czasie można było z parę razy dosiąść starbolta.

— Zapomniałeś — powtórzył.

— O czym?

— Ktoś przecież czeka na ciebie — powiedział cicho. — Chcesz wiedzieć, jak jeszcze daleko? Zależy dla kogo. Myśl tylko o sobie. Tak będzie najlepiej. Wszyscy na raz i tak nie mogą osiągnąć tego, czego pragną najbardziej... Zastanawiałeś się kiedyś, z kim ona teraz jest i co robi?

Poczułem, jak dłoń jeszcze mocniej zaciska mi się na rękojęści noża. Całą siłą, na jaką stać nie tylko moją doczesność, lecz — przede wszystkim — na moim krzyżu podwieszony egzozszkielet i serwomotory. Jeszcze trochę i uda mi się oszukać konstruktorów — z mojej czarnej skrzynki wycisnę całą energię pod postacią ogromnej, pałającej kropli. Spłynie po ostrzu noża i skapnie na ziemię. Kleks zostawi popiół po różowej mgle, a pod naszymi stopami wywierci studnię nie mniej głęboką od tej między ramionami szkarłatnej asterias.

— Tak mocno nie bierz tego do siebie — poczułem jego ciężką dłoń na ramieniu.

— Gdybyś wiedział, jak ja... Cóż ja... Każdy przychodzi na świat, żeby odegrać swoją rolę. Kiedy się dopełni moje posłannictwo — odejdę i zapomnisz o mnie. Może nie pomyślisz nawet, kim dla ciebie byłem... kiedykolwiek. Odejdę, gdyż jest ktoś, kogo pragniesz bardziej niż ten świat, bez którego ja istnieć nie mogę. Zazdroszczę ci. I nie gnęb się myślą — czy ona... czeka na ciebie. To nie ma znaczenia.

Najważniejsze, jeżeli wrócisz, powiedz jej, że i ja... tutaj, w tym najbardziej parszywym ze wszystkich kosmosów — kocham ją również...

Jeszcze we mnie nie zgasła wściekłość — czyż Brat mój, Synchronomat, przed nikim tutaj nie potrafi dochować tajemnicy? — kiedy jego głos załamał się na ostatnim słowie. Tyle w nim było drgającego, beznadziejnego żalu, że gotów byłbym objąć go i uściskać jak nowego Brata, a potem — już razem — pośmiać się nad poronionymi tęsknotami kosmicznego wraka.

Lecz coś mi utkwiło w pamięci — jedno czy dwa słowa wypowiedziane nie tym głosem, który kiedykolwiek mógłby wspomnieć o niej. „Posłannictwo” — poza tym

hasłem ukrył się piekielny śmiech Boba Horowitza.

Raven odwrócił się ode mnie, jakbym mógł dostrzec jakąś łzę albo ten krzywy uśmiech w jego czarnym oku.

— Uważaj na te śmieci — powiedział i kopnął butem blachy rozprute malowniczymi strzypami, lecz nie całkiem oddzielone od czarnego korpusu przywalonego potwornym głazem. — Wydusiło jak pluskwę.

— Bob... — powiedziałem cicho. Machnął ręką.

— Żartowałem tylko — z głosu można było wywnioskować, że się przy tym sam do siebie uśmiechnął. — Tam popatrz. Zdaje się, że niedługo przyjdzie skasować bilety wstępu.

Rzeczywiście mgła po raz pierwszy otworzyła przed nami przestronną bramę. Jednocześnie w perspektywie odległej dostrzegłem coś ostatecznie zamykające drogę. Dymy splotły tam niepalną siateczkę wokół jakiejś kuli. Niby koszulka Auera — pomyślałem, która pod wpływem wewnętrznego ognia rozpala się do białości i wysyła przenikliwe promieniowanie. Białe światło — majak gazowej lampy. Teraz pękła osnowa związków ceru i toru, świecenie zdawało się rozbiegać szerzej, pod sklepienie trudne do określenia — jakbyśmy stali dopiero w płaszczyźnie fundamentów gigantycznej, na naszych oczach wznoszonej bazyliki.

Zadrzałem — tam mogła czekać na mnie ta sama kula, po którą sięgnąłem w Katedrze Księżyca. Wtedy pękła mi w dłoniach i przestrzeń pod wygwieżdżonym sklepieniem Kosmosu wypełniła chichotem, jakby się tam rozwinął złośliwy džinn — po miliardach lat daremnego oczekiwania.

— Popatrz, co za maskara — odezwał się głos Ravena.

Tknął palcem między jakieś kolumny wparte w strop u wylotu tunelu, na znacznie bliższym planie.

Teleskopowe człony rozciągnięte do granic możliwości, aż biel stawów obnaża się spod metalowego pancerza. Dwie nogi zakotwiczone w skale, rozciągnięte niby skoki wielkiego pasikonika. W górze zbiegały się ostro. Tam właśnie dostrzegłem ziarno z połyskliwego metalu, czarne, przylepione do wysokiego sklepienia jako gwiazda wprowadzająca pierwszy element gotyku w romańską architekturę bazyliki. Kształt był zmarszczony niemiłosiernie, jakby całą masę swojego wnętrza wycisnął na rzecz tych długich odnóży. Wbiły się w kamień i stał tak twardo — szeroko rozkraczony stawonóg, metaliczny kosarz albo inachus scorpio, który w zgrubiałych kleszczach mocno zacisnął pękający kamień wysokiego stropu, jeszcze go podparł barkami, żeby na długich nogach zaklinować się między niebem a ziemią i zapobiec kolejnemu obsunięciu mas ciężących z wysoka — jak to się stało parę metrów przedtem, u moich stóp, gdzie głowy zmiażdżyły jedną z mniej ostrożnych mechanicznych larw.

— Twój Natan zadbał, żeby za sobą nie zawałać przejścia — powiedział Raven. — Rośnie nam dług wdzięczności, prawda? Z drugiej strony podziwiam jego pewność, że pójdziemy za nim.

A więc wreszcie padło to imię, pomyślałem. I Raven powiedział to z takim przekonaniem, jakby od samego początku nie ulegało dłań wątpliwości, że zmierzamy za tym właśnie tropem. Tymczasem ja wciąż bez przekonania patrzyłem na dwie z porzuconych maszyn. Pierwsza przywalona żałobnym megalitem — może trzeba było przygwoździć do ziemi jej duszę wywabioną z mechanicznego ciała przez śmierć nazbyt gwałtowną. Niech nie kryje mrocznej urazy dla tych, którzy jeszcze w ariergardzie marudzą bez pewności czy spieszyć za Wodzem. Drugie monstrum dźwiga na barkach sklepienie tunelu, żeby się ostatecznie nie zawałało skalne gardło. Już przeszła żelazna kohorta, ale zawsze jest szansa, że i z pleśni coś jeszcze nadaży.

— Zresztą, czort go wie — Raven spuentował również swoją duchową rozterkę. — Może w ten sposób nie dbał bynajmniej o nasze bezpieczeństwo, lecz sobie samemu

zabezpieczył odwrót.

— Pójdziemy tam? — zapytałem.

Raven znów zachichotał znajomym mi głosem.

— A jak myślisz, jest inna droga, żeby dotrzeć do damy twego serca? Gdzie indziej znajdziesz mocniejszą trampolinę, żeby się odbić z takim impetem, aby trafić z powrotem prosto w ramiona Strefy Systemu? — nie bardzo pojmowałem do czego zmierza, a jeszcze drwina zabrzmiała w głosie Boba Horowitza. — Przecież próżnia nie wysłała z ciebie ikry. Ani jednej z najbardziej parszywych planet nie udało się z ciebie zrobić rzezańca. Jeszcze w starym wraku ostatni tłok rwie się do tańca. Daj sobie! I mnie się nie krępuj. Skorzystam przy tobie.

Myślałem, że zwariował. Jednak, jeśli się zastanowić, kryła się w tym jakaś logika. Strefa Systemu zadbała o to, żeby coś jeszcze — ponad instynktem samozachowawczym — pomogło mi przetrwać i kiedyś wyrwać się wreszcie z najgorszego piekła.

— Każdy niech robi, co do niego należy — powiedział. — Niech cię spierają żądze, jęcz, wzdychaj i przewracaj ślepią, może ci to pomoże iść do przodu.

Chodźmy!

Ze złością ciął powietrze ręką.

— Zaczekaj...

— Strach obleciał? Popatrz, jak ten pajak zaparł się nóżkami. Tobie co, kolanka zmiękły? Brak motywu dla samozaparcia? Ech, Elf! Gdybyś ty wiedział...

Nad drwiną przebiła się cikliwość cudaczna, jakby mu coś w piersi jęknęło — pieczołowicie skrywana rozterka. On — omal sam nie parsknąłem śmiechem — on cierpiał.

Dlaczego wydało mi się to tak dziwaczne?

— Myślałem, Elf, że masz mocniejsze nerwy — powiedział znowu lekkim głosem.

— Raz wdepnąć w martwe bebechy i klapa! Siada pięknie nadęty balonik. Może ci któraś cholerna sprężynka przekłuła biologiczną ochronę?

Złapałem go za ramię i przytrzymałem mocno, kiedy chciał się odwrócić plecami i pomaszerować przed siebie. Palce wbite w srebrzystą materię zwarły się na czymś twardszym od moich bicepsów — z czasów, kiedy jeszcze byłem w dobrej formie.

— O co chodzi? — zapytałem.

Tylko wzruszył ramionami. Pod palcami poczułem kurcz twardych mięśni-sprężyn. Pewnie trafiłem na egzozskielet. Sam jestem równie mocny, jeśli mnie pięścią dzielić między łopatki — znacznie gorzej, gdy ktoś prosto w nos zaśmieje się głosem Horowitza albo zrobi aluzję do przewodniczki zbłąkanych duszyczek, które wracają na łono Strefy Systemu.

— Kim ty właściwie jesteś? — powtórzyłem pytanie zadane tak dawno, że prawie o nim zapomniałem.

— Tak w ogóle?

— Istnieje coś jeszcze?

— Myślałem, że rozgrysz relacje między mną a tobą. Wiedziałem już, że lepiej było nie tykać tego tematu. Przecież powiedziałem sobie — tabu. To nie biokontakty sterów, gdzie można wetknąć paluszki i poprowadzić starbolta jak dobrze ujeżdżonego konia.

Czułem przedziwne ssanie w okolicy brzucha — ołowiany ciężarek szamoczący się między żołądkiem a sercem. Staliśmy w wysokiej, srebrzystej trawie oplatającej nas powyżej kolan — wystarczyło ruszyć stopą, żeby się osypywały kryształki i nowe sprężyny wyzwały z kapsulek szklanych. Chciałem wyłowić to coś, co już pływało tuż pod powierzchnią mojej świadomości, zanim mi Raven wyszepcze swoje wyznanie.

Ciemność się zakolebała w szklanym naczyniu jego hełmu.

Gwałtowna sygnalizacja oczu próbowała odwrócić moją uwagę ku czemuś, co działo się na drugim planie. Gdzieś tam rozkręcały się mgielne zwichrzenia i słuch rejestrował łoskot zbliżający się w naszą stronę. Byłem jednak ślepy na wszystko poza tym, co stanowiło sprzężenie między nami.

Raven mnie objął. Mocno — zakleszczył ramiona i nagle poczułem się zupełnie bezradny. Tego samego, przez moment, doznałem wtedy, gdy twarzą do przodu runąłem w objęcia kołyszącego ramionami ukwiału. Wtedy to, w uścisku blach, stalowych ściągien, nitek wysnutych z piersi otwartej na oścież, zrozumiałem, że zaplątałem się w druty pozbawione nadprzewodliwości, że owa rozchlastana pierś to tylko mechanizm, a w dodatku martwy, jak tylko złom może być martwy — bardziej niż próchno i na wpół zetlałe kości.

Kiedy mnie Raven pochwyił w ramiona uczucie to było stokroć straszniejsze. Mniej bym się wzdrygnął w objęciach kościotrupa. A przy tym miałem wrażenie, że w czarnej for—malinie wypełniającej skafander pływa jednak żywe ciało — gorące i dziwnie bliskie.

— Jeszcze nie wiesz? — usłyszałem szept, głos drżący, jakim kiedyś Horowitz spowiadał mi się ze swojej pogardy dla „ciała. — Tak przecież być powinno. Trzeba umieć być bliskim. Każdy dla każdego... Jak jest — dwóch, trzech, pięciu — wszyscy palcami tej samej ręki... Że się potrafiła w pięść zwinąć i z kosmicznej przestrzeni walnąć we wzdęty brzuch każdej planety! Płęć! Płęć — powiesz! Niech się Strefa Systemu nauczy tresować kochanków! Powiedz im, jeśli wrócisz... Bo dopiero wtedy — słyszysz?! — każdy za każdego pójdzie nawet do piekła!... I sam nie wróci!

Czułem przed sobą i w sobie gorączkę. To COS — przywykłe do mroku, ciemni prześcieradeł i kołder przepojonych potem — dla osłony przed światłem worek skafandra wypełniło sepią czarną, niby człekokształtna mątwą.

— Chorobliwa ciekawość, powiadasz? — słyszałem. — Diabelnie doskwiera? Ulżyj sobie! Żeby poznać trzeba spróbować. Zatańcz ze mną!... Co? Hha—a—ha! Nie rób takiej miny! Zatańcz... Tylko krok trzeba chwycić... Zdaj się na biologię, w podniejszych instynktach poszukaj rytmu! Nóż wzięłeś ze sobą — pchnij! Spróbuj, może się przyda!... No? Jak się zgramy zrozumiesz, kim jestem... Słuchasz mnie jeszcze? Przecież tylko po to tutaj przyszedłem — żeby z tobą zatańczyć! Popatrz tam! Widzisz? To muzyka w sam raz dla nas. Widzisz tę parszywą mgłę i czarne pluskwy uwijające się w obłądnej fabryce? Endo próbował się wmieszać w technologię... Widziałeś jak skończył. Kiedy ci zagra prawdziwa orkiestra podziękujesz jeszcze, że ktoś jest z tobą, że cię poprowadzi, jeśli tancerz kulawy, kiedy mu nie staje muzykalności... Co? Dalej! Chwył mnie mocno i wyszarpnął ze skudlonych metalicznych włosów. Wić się nagle poczęły, odezwały się chrobotem w teleskopowych tulejach — już poza mną. Może je różowa, chybotliwa mgła na nowo natchnęła energią.

Wszystko tak zarejestrował kadr jednego spojrzenia. Potem powietrze znowu cofnęło się w kierunku fioletowego zarzewia, jakby z powierzchni globu przez gardło tunelu zassało chłodniejsze powietrze — do płuc zatkanym gorączką i jaźni napiętnowanej obłądem.

Powietrze pchnęło nas w plecy. Do przodu. Nie trzeba się lękać — dokądkolwiek przeznaczenie gna mnie i mojego Kochanka.

**Szalej, szaleju!**

Przekroczyłem przez wywinięte żebra rozduszonego skorupiaka. Z boku połyskliwe kolumny podpierają nasz łuk triumfalny.

Dalej coś się perli. Klekot czerwii pokrytych pancerną łuską przechodzi w bełkoty pod powierzchnią rozlewiska gotującego się niby wulkan błotny. Czasami ze szklanych kielichów wystrzeli szkarłatny gejzer, jakby mechaniczne szczypce pocięły tam jakąś tętnicę. I widać w tym topielisku brodzące maskary. Łby potężne, bezokie, bezuche, tylko cienkie czułki z nich sterczą, rozchylają się i zwierają czarne pokrywy, rozdziawiają gęby z diamentowo—zębatym obrzeżem. Biały lepik wystrzela z gardeł, pociski kropel naciągają nitki srebrne. Tam znów obły tułów, opuszcza się na teleskopowych podporach, zasklepia wszelkie szczeliny w puklerzu i przeistacza się w pływakowatego chrząszcza. Potem się ślizga na ciągliwych, dla wzroku przejrzystych powierzchniach, natyka się na sobie podobnych, zajętych równie pracowitą krzątanią, to znów wymija inne stwory — już przepoczwarzzone w skrzydlate nimfy.

— Popatrz, jak zdążył zamieszać! Wspa—a—niały walczyk...

Raven ciągnął mnie prosto w ten gigantyczny, pulsujący pęcherz, gdzie czarne żuki mościły sobie legowisko lub wylęgarnię dla własnego potomstwa.

— To przecież zaproszenie do tańca! — śmiał się. — Hej! Popatrz, jaki fajerwerk! I jak tu pięknie!... I muzyka świetlna, psychodeliczna... Można pana prosić do pierwszej pary?

Tym razem nie zdążył mnie chwycić pod ramię. Wywinałem się bokiem. Tylko nim zatoczyło, jakby w pierś dostał. Dygotał cały i skrzekliwie bełkotał pijanym głosem.

Włosy musiały mi na głowie dęba stawać — te, które się ostały. Co z nim? Jeszcze trochę i pęknie skorupa jego hełmu, weźmie przykład z czarnych łusek na chitynowych pancerzach. Rozchylą się skrzydła Kruka i spoza nich wykluje się coś szeleszczącego, zmiętego, na wpół szklanego, na wpół srebrnego. I w powietrzu rozsypią się białe włosy — pochwyć nozdrzami smrodliwy zaduch zjełczałego potu, odkorkowanego spod szczelnego okrycia, z konserwy biologicznej ochrony. Zaraz Bob Horowitz wyszczerzy do mnie żółte, końskie zęby i będzie rżał z radości. Zachłyśnie się spazmem przedgonnym, szalonym chichotem, i wyciągnie z rękawów swoje brudne, wykoślawione paluchy, żeby mnie ułapić raz jeszcze i tchnąć w twarz: „Spełniliśmy posłannictwo swoje... Teraz musimy odejść, odejść, odejść!” Jakby mnie tutaj cokolwiek trzymało. Sam chciałbym Ravenowi i samemu sobie nakazać — „Precz stąd!” Lecz racja jest po jego stronie. To tylko przygrywka. Zaproszenie do tańca; wściekły galop przez preię, podmorskie królestwo i Miedziane Miasto — maleńka rozgrzewka. A jednak mnie trzymała wrodzona nieśmiałość. Siedziałem w kącie, pod ścianą, w kołyskę „Trieda” cofnąłem się rakiem, kiedy tylko niewiadoma lubieżność pod przykryciem nocy próbowała mnie wywlec na parkiet. Nie tańczę z nieznaną — żeby choć uchylili czarnej maseczki nabijanej gwiazdnymi cekinami. Żebym się nie lękał otrząsnąć w tańcu z mojego fraka — biologicznej ochrony.

I tak — dzień po dniu. Do trzech razy sztuka. Czwartego dnia wyczerpała się czyjaś cierpliwość i — żebym się oswoił — jedną noc przetrzymano mnie pod osłoną Oceanu. Poza świadomością. Dzisiaj wreszcie Rada Taumaturgów obradująca pod Skrzydłami Czarnego Kruka rzuciła mi pod nogi granat z odciągniętą zawleczką. Prysłano mi wodzireja. Oto on — tancerz stworzony na mój obraz i podobieństwo, tylko z większą werwą. Daj się wciągnąć — Elford! Pozbądź się kompleksów w kosmicznej fonotece. Zatańcz raz jeszcze, na luzie, z basem w kiszkach i z nówek przytupem. Raz jeszcze — jakby to miał być twój taniec ostatni!

Dalej! Na bal sproszono kilku innych gości. Nawet plazmoidy odlepiły się od swojego dna i na brzeg wypełzły; w imię swojego credo „nihil est in intellectu quod

prius non fuerit in sensu”! Ha! Co na to powiesz? Chcą się przynajmniej napatrzeć do woli, jeśli im nie pisane wdepnąć głębiej. Popatrz — nawet Władca Gnomów pozwolił sobie na skok w bok od Systemu. Słyszysz, jak węszy? Idź za nim. On swój parszywy narodek nie wystawi na gorsze. Pociągnie tam, gdzie lepsza orkiestra. A jeszcze Natan zadbał o ekskluzywną służbę — przytaszczył mechaniczną czeredę. Teraz się to jeszcze kotłuje, zanim poda na stół gotowe danie. W szkarłatno–fioletowej atmosferze miesza manipulatorami piorunujący koktajl. Jeszcze trwa przymiarka — kroją, ciągną, lepią. Za progiem został tylko Endo. A raczej — poza krąg magiczny wypluło jego marną doczesność. Czy zaproszono kogoś jeszcze?

Błędnym wzrokiem patrzyłem przed siebie. Ściany przesuwają się bokiem. A więc — idę.

Horowitz też skakał z kamienia na kamień, po łbach wielkich, szkarłatnych bloków pławiących się w różowej mgiełce. Wyglądał niby pokraczny karzeł z kolekcji hobbitów. Co rusz się zatrzymywał, oglądał za mną — czy trzymam się na postronku. Jeszcze trochę pogardy dla ciała i będzie mógł się w czółko cmoknąć z Gnomem — jeśli się zderzą w tańcu. Każdy z nas ma w sobie coś z karła. Praeter intellectus ipse. Diabli nadali Leibniza! Dzieci Tolkiena wykludy się z nas samych.

Tymczasem czarne żuki ugniatają mięsivo materii. Tak to właśnie wygląda. W szkarłatno–fioletowej zorzy światło jest czystą euforią. Materia się tam zawiązuje opornie, dopiero nawarstwia ogromne pęcherze. Uczniowie Diabła odczytują z przestrzeni dyspozycję świetlną i wstawiają atomy w stelaże określone jakimś termiczno–feromonowym zmysłem.

Zdaje mi się, że potrafię to ująć, jakby został we mnie ślad kontaktu z biologiczną wiedzą Yongbloda, zanim na to miejsce wtargnęło szaleństwo Horowitza.

A więc — mechaniczne chrząszcze grzebnymi łapami zeskrobały nieco próchna z powierzchni Planety. Niby gnojowe żuki znalazły takie miejsce, gdzie na cmentarzu Ewolucji zebrało się nieco nawozu. Potem wyłobiły pionowy szyb w ziemi i rozgałęzione kesonowe chodniki — żeby je można było zacopować pryzmami nawozu. U styku chodników zostało nieco miejsca na złożenie jaj. Lecz akcelerator ontogenezy w brzuchu tej Planety nie gwarantuje nam — rozumnym — czasu na refleksję i zmontowanie tłumaczących wszystko filozofii. Już się zaczął czas Legu. Dla materii tego wszechświata czarne skarabeusze stanowią biogenetyczny wektor — konstruują, lepią gigantyczną larwę, która karmi się odłożonym w spichlerzu nawozem materii.

Jeśli mogę, jeżeli kiedykolwiek miałem tę szansę, żeby zrozumieć cokolwiek — muszę uczynić to teraz. Szybciej! Dopóki to coś, co pożeram wzrokiem, zachowuje cechy rudymentarne i stanowi formę przejściową między moim światem i tym wszystkim, co traci realność pod czarnym kapturem nocy. Muszę zrozumieć, zanim ten pulsujący pęcherz — sam nie wiem: w jądrze globu czy dawno wybrzuszony nad powierzchnię — przepoczwarzy się w formę dla mnie ostatecznie niepojętą. Dla mnie — jakim jestem. Nie pisane nam postąpić krok ponad człowieczeństwo.

Na razie czujniki skafandra nie sygnalizują takiej elektromagnetycznej nawałnicy, która mogłaby mnie z nóg skosić. Teraz albo po paru miesiącach. Bezpieczny jestem w swojej muszelce.

Raven też raczej beztrocki. Chociaż takiemu pewnie światło szkodzi. A tutaj jasno. Cholernie jasno się robi. Aż trudno cokolwiek określić wzrokiem. Każdy kształt prześwietlony fioletem — tylko w nim czarne żuki pływają swobodnie.

Widać, jak drążą korytarze jakieś, tunele. Metalicznymi szczękami szczerbią bloki materii już skondensowanej, lecz wciąż rozjarzonej do białości. Nie płynnej i nie gorącej — bynajmniej. Po prostu jakoś niedopełnionej. Może się materia nie w pełni zawiązała z energii, atomowe jądra jeszcze się nie otoczyły puklerzem elektronowych

powłok — a już z nich skrzętne skarabeusze utoczyły kulkę gnoju — bucha świetlistą eksplozją kalorii. A oni dalej — lepią, lepią, lepią...

Na szczerbach wydłubanych w blokach przejrzystej materii można już oprzeć nogi.

Sam nie wiem, kiedy przeskoczyłem przez wysokie stopnie, prosto w tunel kołyszący się przy każdym kroku niby gumowa kiszka zawieszona w powietrzu, bez oparcia na sztywnym fundamencie. Szedłem w tym dziwnym korytarzu. Przez ściany można ciągle dostrzec, jak we mgle różowej nadymają się cienie, aż wokół pancерnej łuski krzepnie światło. Potem zwierają się nagle i — przewężeniem z jednej strony — wyskrobują z komórki samych siebie. Zostaje pusta wakuola i nitka korytarza łącząca nową komnatę z prześwitującym dalej systemem tuneli. Wszystko to drga jeszcze, płывa niby ulepione z żelu. Tylko pod moimi stopami już zeskorupiała łuska podobna do rogowych płytek imitujących posadzkę. Słyszę chrzęst pod obcasami. A poza ścianami świat się kołysze, rozdyma i znowu kurczy plechowe powłoki, niby elastyczne ciało głębinowej gąbki. Czarne tłoki przemieszczają w niej porcje mezoglei, lecz tu i ówdzie już się krystalizują krzemionkowe igły. Jest prymitywny szkielet. Luźne żeberka kołyszą się w ogromnym pęcherzu wiśniowego światła, niby w kropliczce wody przeistoczonej w cudowny pryzmat za sprawą promieni Heliosa.

Raven biegł przodem, prowadzony którymś ze swoich nieomylnych zmysłów. We mnie samym też się coś obudziło — ostroga pod siódmym zębem. Coraz bliżej byłem czegoś, co mnie napawało przerażeniem, a jednocześnie budziło odwagę, którą — jak myślałem — na zawsze pogrzebałem w zgrzybiałej Titonos.

Poza łoskotami, zgrzytami i ciężkim posapywaniem mechanicznych czerwi torujących drogę w stężałej materii — słyszałem coś jeszcze. Jęk. Jakby w mózgu zapalało się i przygasło alarmowe światełko. Pulsowało znajomym rytmem, zupełnie jakbym własnym ciałem, poza tarczą „Trieda”, głową do przodu nurkował we wnętrzu gwiazdy wypełnionej materią zwyrodniałą pod wpływem potwornego ciśnienia. I czułem presję coraz potężniejszą, sam nie wiem — ciśnienia czy żaru. Informacji może, której nie potrafię rozłożyć na czynniki pierwsze albo, wręcz przeciwnie, dokonać syntezy. Biologiczna ochrona pewnie do maksimum wyężyła regeneratory powietrza, a jednak biegłem z gębą szeroko otwartą i kołkiem języka zeschniętym od przyspieszonego oddechu. Czułem już ukłucia w piersi, jakby mi stymulatory pracy serca i mięśni dodawały odwagi elektryczną akupunkturą. Tu i ówdzie kęsały moskity — dożyłne szpryce odpowiednich rozruszników.

Jeszcze jeden próg. Załom korytarza. Błękitna fala biegnie po ścianach — nad nią latające ryby zdają się odrywać z fresków. Jakieś srebrne lustro na moment przypląszcza mnie do ściany.

Jestem! Taki właśnie — z obłędem w oczach i kosmykami włosów przylepionymi do wypukłej, guzowatej czaszki. Skafander szary, zacieniowany pasmami nacieków — sadzą, mgielnym pudrem, fioletową emulsją i wapnem zdrapanym ze ścian, kiedy się o nie obijałem w pędzie. Czort wie czym jeszcze — narosty złuszczają się przy każdym ruchu, odpadają kruchymi płatkami. Spod ich zgrzebnej mimikry obnaża się znowu, lustrem do lustra, nietknięta zbroja biologicznej ochrony. Kiedy dotrę do celu będę znowu czysty, niepokalany przynajmniej po wierzchu, jeśli nie ma siły, żeby tłuszcz wskrobać spod skóry, ją samą wygładzić, napiąć jak na bębnie. A głębiej — naprostować żyłki poskręcane w pętle, odrestaurować mięśnie i kościom przywrócić była elastyczność. Przecież i tak biegnę! Krok w krok za Ravenem. Ile w tym ze mnie? Biegnę — cha-acha-cha! — szarpie się, ciskam do przodu. Technicy Strefy Systemu starannie mnie podwiesili do egzozszkieletu, przytroczyli na plastikowych ścięgnach. Bez tej mojej muszelki pewnie bym został tam, gdzie lichota kosmicznego wraka trafiła do jedyne go portu przeznaczenia — na złom! Między siwe druty, w blachy i sprężyny rozpoznające bratnią duszę. Może bym tam został — bezradny do

tego stopnia, aż braknie siły woli, żeby wydać dyspozycję — A—a—cz—ność! — serwowatorom wmontowanym w powłokę skafandra. Lecz Raven wyciągnął grabę i postawił na nogi, jakby to miało znaczenie czy się zanadto nie roztkliwię i nie utożsamie z tamtym złodem.

Na wiele się nie zdało. Słyszysz, Raven? Choć mnie pomacałeś solidną ostrogą: „powiedz jej, że i ja... tutaj, w tym parszywym kosmosie — kocham ją...” Potem przede mną wizję roztoczyłeś ponętą — patrz! Potrafisz zrozumieć — tylko zatańczyć musisz! Masz jeszcze nogi, dwa badyle z palcami i łeb wyleniały nie całkiem. A w łapie trzymasz spluwę, cudowną mizerykordię, z którą już się nauczyłeś obchodzić. O tak! Tego się najłatwiej uczysz! Więc zatańcz! Niech byle szczeniak nie wyobraża sobie, że jemu jednemu starczy wigoru, żeby się puścić z prawdziwą dziwką kosmosu! Raz już go zdzieliłeś po mordzie. A jak zacząłeś — trzeba skończyć. Wczuj się, Elf! Durniu stary — wydlub ze skarbonki trochę ikry, może jej starczy na drugą młodość — czas najwyższy... No? Trzymasz? No to poszalej! Jazda! Takich parkietów Ułam nawet okiem nie zmacał. Na gorszym balu duch wyparował z Mungo Claira. Masz od nich stokroć lepszą szansę. Nie większą, bo to i tak twój bal ostatni, ale lepszą właśnie — przynajmniej, nim wyciągniesz nogi, liźniesz czegoś, nad czym potem przez dziesiątki lat głowić się będą spece od Kontaktu, majsterkowicze ewolucji nad sterylnymi menzurkami i posługacze na dworze Teorii Prawdopodobieństwa. Tańcz, Elf! Przebieraj łapkami nawet wtedy, gdy już leżysz na grzbiecie. I tak jesteś pierwszy! PIERWSZY! Czujesz to? Co? Dlaczego — pytasz? Bo zostałeś ostatni na tej Planecie i jedyny we wszechświecie, który ma w sobie coś z Ulama, Yongbloda, Van den Berga i Horowitza. Z tego ostatniego najwięcej — zapewne. Cha—a—cha—cha! — śmieję się ze mną. Nic to — jeszcze o tym nie wiesz, ale twoje łzawe oczka i przygłuche uszka to nędzna, bo nędzna, ale zawsze soczewka. Ona ten świat wypaliła w tobie. Teraz się tylko połapać musisz, co do czego przystaje — masz ten świat po prostu jako obraz odwrócony w głowie!

Tak właśnie czuję — to mój ostatni solowy występ. Ale mam szansę być PIERWSZYM. Choćby pobratymcy Endo i protagoniści rasowej czystości, którzy tutaj wydelegowali Natana, choćby wszyscy oni na długo przede mną zwietrzyli coś z dystansu swojego Systemu. Tylko — CO?! Do jasnej cholery! Teraz jestem pewien, że nikt tutaj nie aranżował byle turystycznej wycieczki, nie rozkręcał całej afery bez przekonania, że warto i jest w czym inwestować. A przecież dalej brnę po omacku. Brnę. Co tam — pędzę! Kocimi susami na złamanie karku gnam tuż za Ravenem — za moim oczkiem ślepym. Co widzę — nie wiem. Boję się zbyt głęboko zajrzeć. Tam, skąd jęk dociera do mnie.

Szkarłatny sygnał pod sklepieniem czaszki zachłystuje się bolesnym wezwaniem. Jeszcze trochę — coś we mnie kwiczy jak zarzynane prosię. Nerwy sprzężone z motorami egzoszkieletu bezlitośnie szarpiają do przodu worek kości.

Tupot naszych nóg na niespodziewanie wzorzystych posadzkach. W niszach cienie białe, to znów obleczone w puklerze ze świeżej miedzi i brązu. Bokiem! Strop się unosi, przesiąknięty resztkami wiśniowego pożaru zasklepia się wysoko w podniebienie kamienne. A tam — ze ściany wycieka korzeń biały, krzepnie mocnym szklivem — nie dał się wyprzedzić! Nerw wzrokowy pączkuje okiem zapuszczonym w tę kipieli potworną od strony kołyski oceanu. Wewnątrz polip od dna się odrywa i wypełnia źrenicą — amebą zachłannie patrzącą powierzchnią kloszowo rozwartego ciała.

Sto—op! Grzbiet czarny zaczopowany w łożysku tunelu. Strażnik przed samym sanktuarium. Jego pancerz zwarty szczelnie metaliczną łuską. Tylko w naszą stronę wystawione srebrne wąsy, elektroniczne czujniki cerbera warującego przed ostatnim progiem.



Usłyszałem chrzęst. Pancerne płyty zaczęły się rozwierać.

Z kolczastej rozedmy w środku piersi popłynęły w naszą stronę nitki białe, szybkie, chwytne, nakrapiane diamentowymi iskrami. Co dla nich znaczy przerznąć biologiczną ochronę — nawet jeśli przyjdzie zdechnąć pod udarem energii laserów zamykającej martwą pętlę w submolekularnej warstwie skafandra.

Gdyby tak mieć skrzydła i górą przefrunąć ponad tym ogromem. Wetknij kij w mrowisko! — usłyszałem. Przecież się nie obejdiesz bez tej satysfakcji!

Nie czekałem, aż białe wąsy osiągną Ravena. Ramię na wysokości twarzy i przezroczysta klinga wprowadzona w oś spojrzenia. Jak palec na spust — błękitny tunel wypełniony próżnią. W niej ostrze płyta relatywistykę przestrzeni i trafia w cel bezbłędnie. Iskry metalu bryzgają na wszystkie strony, aż coś tam zaskwierczy cienko i promień przeniknie w krystaliczne wnętrza. Od środka przeraźliwa tęcza rozdyma tułów czarnego chrząszcza. Blachy się gną, trzeszczą i eksplodują wreszcie. Najpierw w szczelinach między płytami, potem spod rozlatujących się strzępów, pojawia się i na pierwszy plan wypływa coś spoza blach, drutów i sprężyn.

Piers strażnika przewiercona na wylot, można w nią wejść i wyleźć poza plecami.

Raven runął w ten prześwit.

Skok za nim — jak mnie natchnął kosmiczny Tyrteusz. Czerwony puls krwi dudniący w głowie. Indykator bioprądów usiłuje artykułować zrozumiałe głoski, lecz w ciąg sygnału wkraść się jakiś wykoślawiony, nieludzki dysonans.

A przed nami już ofiarny ołtarz.

Brak przestrzeni, którą można by w głąb pokonać. Jesteśmy wtopieni jakby w szybę szklaną, w wypiętą powierzchnię magicznej kuli — stanowiącej wzorzec dla odwzorowania gigantycznego pęcherza gdzieś ponad nami, nad powierzchnią Planety.

Ta przed nami — małeńka, w odpowiednich proporcjach, żeby się poczuć jednocześnie wewnątrz serca broczącego krwawo i trochę na zewnątrz, dokąd się właśnie wysnuwają zgęstki mgielne. Leżę rozkrzyżowany na skreconym w kulę ołtarzu. Nade mną świat się kurczy i nadyma znowu. Czuję za sobą naroślą chwiejne murów, baszt na wpół skryształizowanych. Nitki je przenikają białe, odwijające się ze szpuli pode mną. W mrocznych zakamarkach coś polatuje skrzekliwie, goniące się po próżnych grotach — na mgnienie rozpościera błoniaste skrzydełka i znów się skręca w czarne bilardowe kule. Ktoś jeszcze kuśtyka dokoła, gaworzy pod nosem. Gnom się krząta. Chciałby podejść bliżej, ale się wstrzyma, popatrzy z boku jak się temu ułoży, który sam na lep poszedł. Na razie więc przygląda się z bezpiecznego dystansu — widzę kątem oka. Przyniuchuje się, z podziwu aż cmoka. Spryciarz wielki. Zagapił się we mnie. Siąknął nosem i, niespodziewanie, palcem pokiwał przyjaźnie. Potem dalej podreptał cały w wydmuszce seledynowego światła.

To wszystko — poza mną.

Choćbym chciał tam wrócić, uciec — bodaj tylko wzrokiem — oczy zawracają tam, dokąd nie powinienem zaglądać. Żeby nie zwariować.

Lecz moje ramię, wbite najgłębiej, wskazuje kierunek nieomylnym promieniem. Palce twardo splecione na rękojęści noża — tylko chcieć i przedłużyć promień.

Szary kłęb na ostrzu noża. Niby żelazne jądro komety pochwycone w magnetyczną pułapkę, ściśnięte podkowami elektromagnesów — w sercu tokamaka albo Lady Makbet. Tkwi wbity w ciasną przestrzeń. Drga sinymi węzłami, pobrużdżony gęsto, obrzmiały, rozdzielony na dwie połowy — ze skorupy obrany włoski orzech. Olbrzymich rozmiarów. Siny tylko z wierzchu, z głębi prześwietlony upiornym światłem. Dygocze, jakby chciał eksplodować na wszystkie strony, lecz mocno się zwarły szczęki grawitacyjnej pułapki. Spod prasy ciśnienia tylko światło ma prawo się odsączyć. I nitki różowej mgiełki — rozprzestrzeniają się daleko, mnie samego przenikają bez echa, żeby nad ołtarzem, z ofiarnej hekatombi wyłowić resztki

materialnej treści i wytrwale formować monstrualny kopiec.

A więc tym jesteś — DYSPOZYTORNIĄ.

Czuję w tobie spazm bolesny. I ja chciałbym się odezwać, powiedzieć cokolwiek. Ktoś mi wetknął w zęby niezawodny knebel — tę samą przestrzeń, która nie pozwala przesunąć się bodaj milimetr do przodu. Umilkły łomoty Twojej fabryki i westchnienia mas formowanych przez mechaniczne czerwie. Gdybym mógł nad tę ciszę wybić się okrzykiem — zrobiłbym to za Ciebie. I od siebie też dodał — cały jad, jaki się zebrał w kiszkach i jątrzy, rwie, gnoi — wypłułbym to z siebie, zawył wilczą skargą wzniesioną do Wielkiego Animisty Kosmosu — jak może patrzeć na to chłodnym okiem!

Nie mogę. Wiszę nieruchomo, jednym ramieniem wbity tuż—tuż w rozłam Twojego mózgowia. A tam czerwone nitki krwionośnych naczyń przylegają do szarości całkiem świeżą wilgocią. Chciałbyś w sobie myśli zabliznić, chciałbyś przynajmniej oszaleć — nie możesz. Czemuś się tak rozrósł, żeby już nigdy nie zmieścić się w największej z czaszek? Czemu się nadymasz jak ogromny balon? Ile jeszcze w Tobie zostało człowieka? Wiem, wiem — Twoja myśl targa mi nerwy — wiesz, że tu jestem! Czy musisz tak rozpaczliwie żebrać o coś, czego Ci dać nie mogę?

Przecież masz w ręku mizerykordię! — coś kwili w piersi mojej. Pozbądź się litości. To JA błagam o to! W twoim ręku cios miłosierdzia... Dobij!

Dobij! — zanim się spostrzeże ten, który czuwa nade mną!

Ból potworny i szalony śmiech Horowitza. Ostrze noża chętne — to ja się wzdrygam. Nie potrafię tego...

Wybacz, Endo!

## Arsenał taumaturgii

Najpierw ostry trzask mnie przeniknął do głębi i zawodzące echo z kiszek odbiło się o podniebienie. Potem oślepiłem.

Coś zaszeleściło koło mnie. Po chwili miałem ręce wykręcone i skrepowane za plecami. Na twarzy i piersi poczułem rodzaj ssania, jakbym się odlepił od owego pęcherza, który stanowił ostatnią osłonę mózgu żywego ciągle poza ciałem. Coś jeszcze siłą przełamało mi palce i wyłuskało z nich rękojeść noża.

— Tak będzie lepiej — usłyszałem. — Dla ciebie.

Przed oczami wciąż mi majaczył mózg ogromny, nabrzmiały sinymi fałdami mózgowej kory. Tam — dokąd z mojej zapadni nie mogłem sięgnąć wzrokiem — zdawał się w przestrzeń emanować całą swoją zawartość. I przypomniałem sobie, jak ON mnie błagał. Może to ON właśnie ponad Planetą aż tu kierował moimi krokami, przeprowadził przez meandry narodził zakwitających nad nim architekturą dziwną. Przywołał mnie tylko po to, żeby się przekonać, jak marne były jego nadzieje związane ze mną. Była szansa. Nie starczyło rozumu, żeby pchnąć nożem od razu.

— Nie spodziewałem się po tobie takiej głupoty — usłyszałem znowu. — Elf! Czyś ty się jeszcze niczego nie nauczył? Od dawna powinna cię obowiązywać podstawowa zasada — nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Chciałem coś powiedzieć, sam nie wiem co — z mojej piersi wydobył się tylko zdławiony charkot.

— Obaj doszliśmy do wniosku, że nawzajem nam nie odpowiadają nasze metody pracy — ktoś ciągnął swój monolog zwrócony najwyraźniej do mnie. — Tym samym uważałem, że zostawiliśmy sobie wolną rękę w podchodach...

Głos brzmiał głucho i brzękliwe. Zupełnie tak, jakby między mną a tym, który mówił, istniała niezbyt elastyczna, blaszana membrana. Pomyślałem, że tak właśnie mógłbym tkwić pod pancierzem metalicznego chrząszcza, rozciągnięty na jego grzbiecie i przykleszczony łuskami, zwykle okrywającymi mu skrzydła. Nie powinienem niczego wyobrazić sobie, pomyślałem. To podstawowy błąd mojego rozumowania, we wszystkim dopatrującego się więcej niż rzeczywistość ma do zaoferowania.

— Kim jesteś? — wykrztusiłem wreszcie.

— Sądząc po chrypcie i zadyszce znowu się poluzowały śrubki. Wrak, przyjacielu. Dawno cię powinni spisać z czynnej służby. Na straty... Ech! I to jest właśnie powód, dla którego możesz się nieco podbudować moralnie. Brak zastosowania w technologii. Pojmujesz?

— Nie — przyznałem.

— Jeśli się zabieram do eksperymentów lubię je przeprowadzać raz a dobrze. Tak więc, jakoś ci się upiekło. Głupcy zawsze mają więcej szczęścia. Gdybyś trafił tutaj przed Endo... Pewnie bym skorzystał ze szmelcu. A tak... Endo miał więcej sprytu. Lepiej od ciebie ruszał głową. Parszywy odmieniec... Próbował mi deptać po piętach. Jak ci się teraz podoba? Gdybyś się pospieszył musiałbym zrobić rozsadę...

Nie miałem już wątpliwości, że to głos Natana.

— Gdzie teraz jesteś? — zapytałem.

— O! Słyszę, że parę lat wstecz pozwoliłoby ci się pozbierać — chyba się uśmiechnął. — Przecież nie myślisz, że sam rączki kalam brudną robotą. A jeszcze cackać się z tobą. Nie jestem pomywaczem trupów. Wierz mi, służba w tym domu ma ode mnie delikatniejsze rączki. Czujesz to? Wyobrażam sobie...

— Gdzie jesteś? — powtórzyłem z uporem.

— A jak sądzisz? W każdym bądź razie mogę cię zapewnić, że nie jest to miejsce, do którego mógłbyś dotrzeć. Tak zawsze wygodniej — trzymać się na stronie, zamiast po uszy ładować się w zaprawę wątpliwej jakości. Bierz przykład.

Nagle przypomniałem całą drogę, która mnie doprowadziła — czort wie dokąd. I znów mi stanęło przed oczami tamto ciało nagie, odarte z biologicznej ochrony, z rozłupanym czerepem. Sam je zapakowałem w transportową kapsułę, żeby Brat mój, Synchronat odebrał przesyłkę z ładowni starbolta i sam posmakował wreszcie, czym jest prawdziwa bezradność.

— Zabiłeś go — powiedziałem.

— Bez przesady — żywo zareagował Natan. — Trzymajmy się logiki raz uzgodnionych założeń. Po pierwsze: to nie człowiek. Po drugie: eksperyment wymagał, żeby to było coś w miarę przynajmniej do człowieka podobne. Po trzecie: mało mnie obchodzi, co o tym sądzisz.

Spróbowałem targnąć całym ciałem. Nie puściły moje więzy i ciemność nie odsunęła się sprzed oczu. Tylko szelest usłyszałem, jakbym był cały szczelnie opleciony anielskim włosem.

— Eksperyment? — powtórzyłem.

— A co sobie myślisz? Masz mnie za takiego durnia, który od razu zaryzykuje własną głową? Wiem, wiem, widoki prześliczne. Ale to jeszcze nie powód, żeby iść na całość. Niech się najpierw w kotle wygotuje doświadczalny pomiot... To TEST, przyjacielu, to mój lakmusowy papierek...

Znowu poczułem w sobie kolumnę żarłocznych Ecitonini — rozpiętość falangi od karku po pięty. Pielgrzymka wiecznych głodomorów wyspecjalizowanymi żuchwami dobiera się do rdzenia kręgowego i wygryza kanaliki w pozostałych nerwach.

Na moment się uchylił rąbek kurtyny. Poza nią scenografia sennego delirium. Raz jeszcze tamto ciało do połowy zagrzebane w czarnoziemiu. Straszliwa blizna z

supłami dzikiego mięsa — już nieco zarosła, odzyskuje cielesność pod błękitnąwą błonką. Gdyby nie pusty czerep pewnie by Endo wstał i obejrzał zdziwiony, bezradny wobec prób przypomnienia sobie, w jaki też sposób znalazł się na ziemi. I pewnie by potarł czoło wierzchem ręki, starając się uśmierzyć szczątkowy ból w okolicach skroni.

A jednak, chociaż nie istniało w nim nic zdolne mięśniom wydać rozkaz, to ciało nie umarło całkiem. Ono ŻYŁO. Aż się wzdrygnąłem przy próbie utożsamienia się z bytem tamtego pustego pokrowca. Pozostał kręgosłup, wszystkie mięśnie i zespół nerwów gotowych do sterowania mechanizmem ciała. Tylko właściwy ośrodek dyspozycyjny wyjęto z naczynia czaszki i oddzielono od reszty ciała. Odtąd jednak każda z części znalazła oparcie w tak przejmująco biogenetycznej biosferze tego globu. Ciało i mózg — rozdzielone. Po raz pierwszy poza bioblokadą hełmu i skafandra. I żadna z części nie umarła. Ubytek kości zarósł chrząstkową tkanką i na wierzch czoła naciągnął czerwony grzebień zabliznionej skóry. Mózg też nie przestał funkcjonować, chociaż zabrakło organów zdolnych podtrzymać jego metabolizm i tych, którym mógłby dać coś w zamian. Czystość EKSPERYMENTU wymaga, aby się ujawniły w pełni rezerwy, tajemnicze moce, do których każdy wdycha, a nikt nie potrafi z siebie wyzwolić.

— Uważasz mnie za głupca, który pozwoli, aby taki kwiatek rozwinął się na pełnym luzie? — zaśmiał się Natan. — O nie, przyjacielu! Jeśli piekielna wyzmaczka tego globu potrafi coś jeszcze wycisnąć z szarych komórek, jak to się jej udało z byle ziarnem — voilà! Ale pod ścisłą kontrolą. Zadbalem o to. Tylko prosto, po sznureczku, w sam raz w takim tempie, żebym się mógł rozeznąć dokąd zmierza...

— Co z nim potem zrobisz?

— Och! Potrafisz być mało delikatny. Ja się ciebie na przykład nie pytam, jak się tu dostałeś... A nie wiem. Wierz mi. Tylko mnie to nie obchodzi. Zresztą, jeśli to jego fortel, paskudnie się na tobie zawiódł. A wiesz, jak to wygląda — każda nieudana sztuczka ogranicza do minimum skalę możliwości. Tak samo teraz. Już mu nikt nie został, żeby miał się przed kim wypląkać. A ja tymczasem, cóż — wycisnę go jak cytrynkę...

Baw się, pomyślałem. Krzyw na innych. A z ciebie przecież też społeczne bydlę. Też musisz się przed kimś wygadać.

— Bo widzisz, szkopał w tym, żeby przed wybicciem dobrze umiejscowić własną poprzeczkę — ciągnął swoje. — Niech mu planetka zafunduje skrzydełka, niech zeń wyzwala cuda—cudeńka, wystarczy pstryczek z mojej strony i posypie się karciany domek... Dobrze to sobie przemyślałem. Dałem mu mechaniczne bebechy, które znajdują się wyłącznie pod moją kontrolą. Dostał nawet łapki—chrabąszcze, żeby móc wygrywać swoją patetyczną symfonię... Wykonają wszystko, ale — nic nad to. Zabawne, prawda? Tak, nawet się nie raczysz uśmiechnąć. A on to rozumie. Zawsze był od ciebie mądrzejszy... Nawet kiedy cię wezwał liczył tylko na to, że potrafisz pchnąć nożem... Bez zastanowienia. I na tym się zawiódł. Spróbowałeś główkować I teraz nikt mu nie został na zewnątrz.

W ostatniej chwili ugryzłem się w język. Raven! Raven, pomyślałem. Gdzie on się podziewa, do jasnej cholery! Natan taki pewny siebie, że najwyraźniej nic na ten temat nie wie.

A jednak wyczuł moje wahanie.

— Za wiele się nie spodziewaj po wyczynach swojego Gnoma — powiedział. — Jeśli mam się przyznać szczerze, nie przypuszczałem, że i to paskudztwo zabrało się na pokład „Trieda”. I to cię trochę usprawiedliwia. Tak, tak, właśnie ciebie. Jeżeli ja dałem im się pewien czas wodzić za nos, cóż tobie mieć za złe, że w naiwności swojej nie miałeś pojęcia, jaki ci Strefa Systemu przyprowadziła ogon. Dociągnąłeś go do

Planety. Tutaj wszystko diabli wzięli. Twój pech polega na tym, że ogon okazał się większy od jaszczurki i bardziej od niej żywotny.

— Poczciwość moja wierzyła również, że od prehistorii niewiele mocy sprawczej pozostało sodomii — powiedziałem.

— Przeształy się rodzić hydry, centaury, Gorgony i wszelkie inne chimery.

— Dobrze! — przyznał. — Więc masz mnie...

— Za mordercę.

— Mocne słowo. Zważywszy, że nie potrafisz ruszyć ręką ani nogą. Ej, Elf! Wdałeś się w aferę nie na twoje sterane doświadczeniem nerwy. W sam raz byś się nadał do Mauzoleum Strefy Systemu. Przecież mówiliśmy o tym — zło jest względne. Tak samo dobro. Sztuka polega na tym, żeby być ponad tym.

— Ubermensch — wyrwało mi się wbrew woli. Zapadła cisza, w której zdawał się przeżuwać to słowo.

— W dziesiątkę — mruknął wreszcie. — Nareszcie ci bielmo spełzło z bystrych oczek. Nadczłowiek! To jest to!

— I sądzisz, że ty...

— Ja wiem — powiedział niespodziewanie twardym głosem. Próbowałem cokolwiek wokół siebie spenetrować wzrokiem.

Ciemność mnie otaczała zupełna. Metaliczne łuski zwały się nade mną niby zatrzaśnięta krypta o ścianach z czarnego marmuru. Mogła też mi klosz hełmu wypełnić ta sama ciemność, która przed moim okiem osłoniła twarz Ravena.

— Jakie plany wiążesz z moją osobą? — zapytałem.

— Zapytaj, jakie mam plany co do drzewa w lesie, z którego cię wyciągnąłem — powiedział.

Wyobraziłem go sobie, jak też teraz siedzi — gdzie, nie wiem. Dumny z siebie, zadowolony, z nogą założoną na nogę, rozwalony w przepastnym fotelu. Apartamenty natchnione barokiem. Tylko w buduarze nie czeka żadna księżna. Długimi palcami jednej ręki sam bezwiednie pieści swoją pierś różową. I mówi głosem na wpół sennym, leciutko wydymając wargi:

— Nie przeszkadzacie mi. Ty i te drzewa. Naiwność twoja jest dla mnie wystarczającą rękojmnią, że nie uczynisz nic z tego, co mogłoby mi w czymkolwiek przeszkodzić. Dlatego... Puszczę cię wolno.

Niefrasobliwość arystokracji, pomyślałem. Może mi się rewanżował zresztą, że mu nie nadeptywałem na odciski, kiedy jeszcze mogłem. Tak się właśnie mitologizuje przeszłość. Zapewne nigdy nie mogłem. Tak naprawdę zawsze mnie uprzedzał przynajmniej o jego posunięcie — potulnie patrzyłem, jak sobie włosy upina srebrzystą siateczką, żeby kłąć poniewczasie, gdy lokatory starbolta nie potrafiły wyłowić jego biopola w szumowym tle całej biosfery. On tymczasem, na własną rękę, harcował po powierzchni Planety.

— Kiedy otrzymam przepustkę? — spytałem.

— Tak nagli? Chyba, że za własną potrzebą...

Wyraźnie mu dzisiaj dopisywał humor.

— Na razie masz dobrą obstawę. Gdzież może ci być bezpieczniej. Jeden z moich czarnych aniołków przyjął cię pod swoje skrzydełka. Teraz będzie miał zaszczyt Jaśnie Pana Elforda wyprowadzić na takie pokoje, gdzie ci do głowy nie przyjdzie szukać piwnic.

— Co to znaczy?

— Przecież nie odejdiesz, ot — tak sobie. Przecież ciekaw jesteś, do czego jest zdolny twój przyjaciel Endo... Jakiś postrzelony wielbiciel archaicznych kultur dobrze to wykombinował. Bardzo sprytnie. Żebyś ty wiedział, jakie im śmiecie powtykał do głowy! Zresztą — obejrzyj to sobie. Znaj moje dobre serce. Nawet ci

nie mam za złe, żeś się wzdrygał stanąć po mojej stronie. Twoja strata...

Usłyszałem nagle, że zdusił w sobie śmiech, jakby mu przy— szedł na myśl nowy dowcip, z którym — przed czasem — nie chce się przede mną zdradzić.

— Jeszcze porozmawiamy o tym — dokończył.

— Kiedy?

— Sam się do ciebie zgłoszę.

Co mogłem jeszcze zrobić? Jeśli ma zamiar, przynajmniej na razie, zostawić mnie w spokoju, to z mojej strony nie powinienem pozwolić na bezbolesne odłożenie ad acta. Trzeba przynajmniej spróbować czy się nie da upuścić kawałka ciernia tam, gdzie samemu nie można ruszyć ręką ani nogą. I najlepiej kozła ofiarnego wybrać odpowiednio daleko, żeby — kiedy się zajmie filozofią — mniej baczył na to, co mu tkwi pod bokiem.

— I sądzisz, że się potoczy tak gładko? — zapytałem.

— Tutaj? — zaśmiał się. — Za to ręczę.

— A potem?

— Bardzo wątpię, żeby w Strefie Systemu znaleźli się ludzie, którzy chcieliby i mieli odwagę w czymkolwiek mi przeszkodzić. Wykruszyła się stara gwardia...

A jednak, pomyślałem.

— Tacy, jak ty, dawno przerobieni na próchno... Przez własną głupotę.

— Każdy z nas prędzej czy później odchodzi.

— Oho! A ja ci mówię — przez głupotę! Tylko dlatego diabli wzięli całą twoją paczkę, Van den Berga, Ułania, Yongbloda i, jak mu... Horowitza. Tylko też dlatego z ciebie zostało to, co... sam czujesz najlepiej. Szelc. Gdybyś ty wiedział...

— O czym?

— W tym przytułku, jaki dla waszego zdrowia psychicznego wydzielono w strukturze Systemu. Pamiętasz atrapę tej knajpy, którą ci pod nos podsunięto?

— Co z tego?

— Ba! Żebyś ty wiedział, jaki miałem ubaw widząc twoje maślane oczy...

— Zamknij się!

To on mnie przyszpilił. Zawsze — ruch do przodu.

— Zresztą, one czasami lubią starszych panów. Do reszty byś wyleniał, gdyby ci przyszło do głowy, czym jest to, ku czemu ci serduszko zabiło... Tfu! Czort z nimi! I z byle atrapą!...

Chciałbym móc się skulić i pięści w zębach zagryźć. Nawet nie drgnąłem. Leżałem jakby na krzyżu rozciągnięty — na płask, zanim go w ziemię wkopią. Jeden łotr stracił przytomność, gdy mu wbijali gwoździe w dłonie. Drugi się jeszcze naśmiewa.

— Czort z nim! Powiedziałem! — wrzasnął pełnym głosem.

— Iz tobą! Zabrać! A tego gnoma...

Zatrzęsło mną miękko, jak w amortyzacyjnym pęcherzu. Poczułem, że mi żołądek skacze do gardła — gwałtowne przyspieszenie wzdłuż poziomej osi. Trzymają stalowe ścięgna. Poprzez świst jakiś i elektryczny szelest słyszałem głos Natana: „Na kawałki i w ziemię! Może z tuzin hobbitów wykielkuje z tego jak grzyby po deszczu!”. Zrozumiałem — nie do mnie. Potem trzask usłyszałem, jakby coś pękło odporne — oczko Pierścienia. I nagły pisk, przeraźliwy, rozdzierający ciszę — znowu! — aż pod obłoki otulające Planetę. Pisk cienki, jakby podkutym butem mysz rozdeptać na twardej podłodze.

— Na-a-a-tan! — krzyknąłem i bezsilnie szarpnąłem się w swoich pętach. — Prze-e-stań!

— Pilnuj swojej skóry — głos jego zabrzmiał spokojnie.

— Do usłyszenia na innej fali! Znowu się roześmiał.

— Natan! — próbowałem jeszcze. — Niczego nie działał Endo, nie uda się

mnie... Ale są jeszcze ci po stronie nocy!

Milczał chwilę. Słyszałem tylko syk, jakby metaliczna folia szorowała o ściany sztolni.

— Nie kracz — warknął, jakbym go trafił prosto w szczękę. To ostatnia szansa, zrozumiałem, żeby mu nieco nadwerężyć nerwy.

— O tak! Pilnuj się, Natan! Cha–cha–a–cha! Rozdziobią cię wrony! Słyszysz? Czarne kruki wykolą ci oczy!

— Precz z nim!

— Strzeż się Ravena! — krzyknąłem w otaczającą mnie ciemność.

I tak nie mogłem zrozumieć.

Jednocześnie do granic słyszalności podniósł się wizg na zewnątrz tego pojemnika, który mnie unosił w sobie. Jak karawan taszczący ciało Endo do ładowni starbolta. Lecz mnie śmiech skręcał — chichotałem radośnie na myśl, jak on teraz siedzi — zdziwiony. Pewnie wzrusza ramionami — najlepszy środek uspokajający to świadomość, że do reszty zbzikował amator czytania w baranich jelitach. Niech się w ty m utwierdzi. Chichotałem tak długo, aż mnie zatkało — zrozumiałem, że śmiech Horowitza dźwięczy w mojej piersi.

Raz jeszcze zakolebał się błędnik mojego wewnętrznego ucha. Potem cisza zapadła. Jakaś — niezupełna. Coś w niej mrowiło dalekie szepty — liści ocierających się o powietrze albo porcelanowej polewy, która wreszcie temu światu nadała właściwą formę i teraz potrzaskuje, stygnąc powoli, w głąb ścian naczyń odpycha wiśniowy żar, aby na powierzchnię wyłowić barwy i wzory.

Kiedy ten szept dotarł do mnie jednocześnie nad moimi oczami pękł węgielny kamień i wąska zrazu szczelina zaczęła się rozsuwać na boki. Ujrzałem jasność złotawo–różową. Jakbym się z kazamat wynurzył prosto w saunę, gdzie opar miękki i pachnący wysublimowany został wyłącznie z różanych płatków. Lecz wzrok przebija mgiełność. Rozstępują się płyty marmurowych posadzek i w tę samą komnatę otwierają się łuski czarnego chrząszcza. Z twarzy mi spełzały szeleszczące błony skrzydeł i mogłem widzieć coraz wyraźniej, coraz głębiej w górę, jakbym już mógł unieść głowę — sam jeszcze rozpostarty szeroko, rozkrzyżowany na wznak. Całe moje ciało oplecione czymś elastycznym, sprężystym — zanurzony jestem w puchu porastającym grzbiet czarnego skarabeusza.

Wreszcie wierzchnie łuski odjechały poza zasięg mojego wzroku. Sam jeszcze leżałem unieruchomiony. Tylko oczy próbowały cokolwiek rozpoznać z barwnych plam rozlanych na różowym stropie i naciekami spełzających ze ścian. Nitki rumijskich malowideł zdawały się wrastać w kopułę wypełnioną światłem, jako kruche gałązki odchodziły od wielkich pni stojących po bokach — kolumn wykutych z alabastru.

Nie zarejestrowałem momentu, kiedy mi żelazne kłamry oswobodziły ręce. Uniosłem je i skrzyżowałem przed sobą; *se non e vero, e ben trovato* — coś jęknęło we mnie słowami Bruna i jednocześnie zrozumiałem, że jestem wolny. Białe, elastyczne włosy zwiotczały na tyle, żebym się mógł ponad nie wynurzyć.

Szarpnąłem się i wełniste pasma odlepiły się od moich bioder, spełzły po udach. Tylko stopy po kostki zagłębiły się we wspnianym, puszystym dywanie. Kobierzec rozpościerał się od ściany do ściany. Zdawał się być utkany nawet nie z włosia najdelikatniejszej wełny, ale z puchu srebrnego, z nitek cieniutkich, pierzastych, elektrycznością nastroszonych w nieruchomym powietrzu.

Stałem pośrodku przepysznej komnaty — bez okien, lecz światło przenikało przez ściany wyłożone żółtawym, to znów bladoróżowym marmurem. Pusta komnata. Malowidła dziwaczne, wypełnione rysunkiem podszkliwnym. Miejscami ogólne kontury rozsypują się tęczową mozaiką z jakichś kamyków różowawomgiełnych, z

oczek błękitnych, zielonych, rozświetlonych punktami cekinów srebrnych i złotych, spod których wyziera jeszcze topaz jak tygrysie oczy i brunatno—czerwony turmalin. W płytkiej niszy naprzeciw — tak, jak stałem — wisiała pajęczyna ze srebrnych niteczek. W środku utkany ze złotych, misternie plecionych drucików, maleńki lichtarzyk. W złotej plecionce ledwie się żarzył węglík, a nad nim cienki dymek w mig się rozpraszał w powietrzu. To było ciepłe, lecz czyste i suche. Tylko zapach w nim wisiał ulotny, orzeźwiający, aż myśli odzyskują przejrzystość, jakby się włączyły w obieg różowego światła wypełniającego tę przestrzeń.

I nagle pojąłem, że twarz moja reaguje jak skóra niemowlęcia. Nowonarodzony jestem. Nawet drgnienie powieki wyzwala leciutką falę powiewu splezającą po policzkach, wyczuwalną nawet przez szczelinę tygodniowego zarostu. Zrozumiałem również, że czuję, naprawdę chwytam zapach — drażni mi nozdrza, lecz wewnątrz ciała rozlewa się ciepłą, pogodną falą.

Spojrzałem na swoje dłonie — nagie. Potem drżącymi palcami dotknąłem skroni. Samymi opuszkami przesunąłem od czoła w dół, przez guzy oczu i kości policzkowe, grzbiet nosa, usta twardo zaciśnięte i podbródek szorstki od zarostu. Ręce mi opadły na pierś. Nie byłem nagi. Klatkę piersiową zdobiła mi zbroja z błękitnawej, stalowej łuski naszywanej na srebrną kolczugę. Tę musiałem przywdziać na kaftan z ciężkiego karmazynowego brokatu, wyłożonego na wierzch białych, bufiastych spodni. Opuściłem dłonie na pas opinający biodra — szeroki rzemień z guzami jakby muszli i kapiącymi na kaftan kroplami szmaragdów oprawionych w złote oka.

Przejęty dziwnym uczuciem — na pograniczu zabobonnego lęku i absurdałnego poczucia śmieszności — rozejrzałem się wkoło. Żadnego śladu czarnego chrząszcza, który mnie wniósł tutaj pod swoim pancerzem. Został tylko szeroko rozwinięty srebrzysty kobierzec, a ja stoję w centrum kopulasto sklepionej komnaty. I zdaje mi się, że pod stopami czuję jeszcze puls tego wełnistego brzucha. Wypchnął mnie tutaj z podziemia, a potem ściął, ściśle przywierając do bębna dygoczącego podskórnice, wytyczyły owalny prostokąt — dopełniając mimi—kry.

Coś zaszeleściło za moimi plecami.

Odwróciłem się gwałtownie. Był tam otwór drzwiowy o wykroju zamkniętym półkuliście, z dekoracyjnym obramieniem. Teraz go przesłoniła kotara z ciężko lejącego się materiału.

Postąpiłem trzy kroki do przodu i raptownie w bok szarpnąłem zasłonę. Pusty, długi korytarz. Ściany obite miękkim aksamitem. Purpurowy dywan.

Usłyszałem czyjś oddech płytki, ledwie wzruszający powietrze.

Powoli opuściłem oczy.

Tuż za progiem garb brunatny, przygięty do ziemi. Dłoń położyłem na wąskie, spazmem wstrząsane ramiona. Chciałem je pogładzić uspokajająco, kiedy ktoś nagle chwycił moją rękę i przycisnął do warg jakby rozpalonych gorączką. Zdawało mi się, że mógłbym w dłoni zdusić szept ledwie słyszalny: „nie odsyłaj mnie, panie!”. Wyrwałem rękę spod parzącej pieczęci, a tam brunatny garb osunął się na podłogę, rozchylił na boki i błysnął złotymi nićmi po wewnętrznej stronie.

Jakby się ciemna płec otworzyła przede mną. Zadrzałem — widziałem plecy nagie, aż do bioder ledwie przymglone muślinem. Jej ramiona objęły moje kolana i przytuliła się maleńką głową — kiedy patrzyłem z góry — z włosami starannie rozdzielonymi na wąskie pasemka i splecionymi w cieniutkie, po ramionach spływające warkocze. Chciałbym wydusić z siebie: „Jak się nazywasz, dziewczyno?”. Głos mi się zadławił w gardle wobec słów wypisanych w przeraźliwie rozjaśnionej głowie: „Imię moje jest Kurrat, o Władco Wiernych”. Palcami sięgnąłem ku pochylonej twarzy. Jeszcze jedno muśnięcie pocałunku, tak ulotne, jakbym pajęczą przędzę próbował rozchylić ręką. Ostrożnie ująłem jej drżący podbródek i odchyliłem



twarz do góry, aż się spotkały nasze oczy. Usłyszałem jęk. Sam nie wiem — w mojej piersi czy w sercu Władczynie Piękności.

Ramię mi stwardniało jak stalowa dźwignia. Myśl błysnęła krótka — czyjeś obce słowa, lecz dźwięczące we mnie, gniewne: „A jak myślisz, jest inna droga, żeby dotrzeć do tej twojej... jeśli na ciebie czeka?”. Po raz ostatni chwyciłem w nozdrza zapach przenikliwy, budzący w lędźwiach dawno zapomnianą żądzę. Wchłonałem aromat nagiego ciała, skóry wygładzonej wonnymi olejkami i z miejsc najbardziej skrytych pachnącej piżmem — niech mi na jak najdłużej starczy. Palcami zgarnąłem pęk czarnych warkoczy i w bok targnąłem tę głowę, choć się policzkiem tuliła do mego brzucha. Ktoś chciał być sprytniejszy niż Brat mój, Synchronat. Nie pożalował własnej siostry. Nie wiem, co znaczą te słowa. Pewnie mój rozum to rozum ulema, którego opuściła mądrość. Albo cała moja moc w ramieniu ghazi, potrafiącego tylko mieczem ciąć: „Za wiarę!” — Nawet z niej nie wyrwałem jęku. Tylko patrzyła za mną swoimi czarnymi, rozpaczą wypełnionymi oczami — odrzucona pod ścianę, pod srebrnym muślinem naga w pękniętej brokatowej muszli.

Odchodziłem twardym krokiem. Każde stąpienie budziło echa w podłogach, jakbym nie szedł po pysznym kobiercu, lecz po blachach szkarłatnym mchem porośłych.

Wyszedłem z mojego limanu. Marmurowy próg przed centralną pałacową salą. Szepty, szepty. Sala Królów.

Znowu ktoś klęczy w kornej postawie szkarłupnia stulonego szczelnie. Nubijczyk o tysej czaszce, zgięty w służalczym pokłonie.

— O sajjidi! — wzdycha pokornie. — Radość wielka w domu pana naszego, Chorezmszaha Tekesza Ala ad-Dina!

— Mów!

Najpierw kilkakroć stuknął czołem w posadzkę.

— Z woli Allacha prawowita małżonka pana naszego, czcigodnego Turkan chatun, na świat wydała syna Muhammada! Chwała Allahowi Najwyższemu, Żywemu i Wiekuistemu!

A więc — stało się, pomyślałem.

Uniosłem głowę. Wzdłuż Sali Królów biegło podwyższenie, z głębokimi niszami. W nich wysokie postacie z białego marmuru, twarze bóstw i chorezmijskich królów, od Anusza tegina, jego syna Kutb ad-Dina Muhammada i wnuka Atsyza, do pożegnanego z bólem II-Arsłana, który był ojcem miłościwie nam panującego Ibn Tekesza. I przy boku każdego Władcy stała Królowa-Matka. A dalej — dwieście figur zbrojnej gwardii chorezmszahów. Nad nimi — już w płaszczyźnie ściany — malowidła przedstawiające przepysznie ubranych dworzan, niewolnice podobne do hiacyntów, śpiewające pieśni Awesty przy wtórze lutni albo dombry. Jeszcze wyżej rozrastał się misternie rzeźbiony roślinny ornament z gałązek saksaułu bezlistnych w słonym stepie, a podpory okryte rzeźbionym alabastrem — podzielonym na prostokątne paneau i wąskie pasy — podtrzymywały kopułę sklepioną wysoko, pod którą bezimienny pędzel rozwinął skrzydła fantastycznych ptaków.

Ten strop ginał w różowawej mgiełce i tam, zdawało mi się, że potrafię wzrokiem przeniknąć na wylot przez mury, gdzie jeszcze się nawarstwiają tysiące komnat sklepionych niby w glazurze zastygłe pęcherze. Tam właśnie, dokąd sięgałem myślą bardziej niż wzrokiem, prosto w niebo uciekały trzy potężne baszty.

— Nie widzę radości na twoim obliczu — usłyszałem głos miękki, szeleszczący przymilnie.

Muhammad Baghadi niecierpliwym ruchem dłoni odprawił czarnoskórego niewolnika i uśmiechnął się do mnie. Tylko jego małe oczka patrzyły twardo i z ową szczególną bystrością, jaka przystoi osobistemu sekretarzowi Chorezmszaha.

— Wnętrze mojej duszy otwarte jest tylko przed okiem Allacha Najwyższego — powiedziałem, a język dziwnie opornie formułował słowa.

— Zauważyłem to już dawno — powiedział Baghadi. — Coraz częściej myśli Tugan szaha nie skłaniają się do ucha pana naszego, Muhammada Ibn Tekesza, którego dozgonnym jesteś dłużnikiem.

— Allah osądzi.

— I stanie się według jego woli... Ale już nie na tym padole — uśmiechnął się Baghadi. — Dlatego ustanowił swoich ziemskich kadich.

— Do nich idzie ten, któremu nie starcza własnego sumienia.

— Otóż to! — podchwycił natychmiast. — Doszły mnie słuchy, czcigodny Tuganie, że przez ciebie smutek wielki zagościł w sercu Władczyni Piękności. Miecz twój zasnął, a oczy więcej przychylności udzielają zakazanym księgom...

— Kto ci doniósł o tym?

— W pismach Biruni zainteresował cię szczególnie „Kanon Masuda w zakresie astronomii i gwiazd”. Czy mądrość tych ksiąg, o panie, budzi w tobie te myśli mroczne, które cię gnębią ostatnio?

— Chciałbym móc zajrzeć tam — ręką wskazałem mleczną kopułę nad nami.

Fantastyczne ptaki trwały tam nieruchomo, jakby w locie zaklęte w kamień. W cieniu ich skrzydeł zdawały się otwierać miliardy migotliwych oczu.

— Oho! — zaśmiał się Baghadi i aż cmoknął pełnymi, wilgotnymi ustami. — Odważne cię myśli nachodzą. Chciałbyś się tam wyprawić?

— Nie potrafię usiedzieć dłużej.

— No proszę! I nie zatrzyma cię radość naszego pana Muhammada Ibn Tekesza?

— Teraz już mu nie będę potrzebny.

— Gdyż otrzymał potomka?

— Nie tylko dlatego.

— Czymś cię uraziła Władczyni Piękności?

— Nie dorówna jej żadna peri czy inna nadziemska istota — powiedziałem i poczułem dziwny smak w ustach, jakbym rozgryzł gorzki owoc.

— O–ho–ho! — zaśmiał się Baghadi i pokiwał paluchem ze złotym pierścieniem.

— Oko mnie nie zawodzi. Złość zagościła w sercu twoim, Tuganie. Wiesz, co po kątach szepczą dworzanie? Ostre języki zwać cię sadr–i dżahannamem.

Wzruszyłem ramionami. „Filar piekła!” — ich prawo roznosić podłość i kalumnie. Od tego są dworzanie. Prawem osobistego sekretarza Chorezmszaha jest nakłaniać im ucha. Coraz ciaśniej się robi wokół ciebie, Tuganie.

Przypomniały mi się zapomniane strofy dawnego poety Chorasanu. Nasir–i Chusrau zapisał je podczas długiej tułaczki, kiedy się musiał ukrywać przed prześladowaniami imamów:

*Cóż warty spór z Tobą,  
Kiedy modlitwą hołd składamy  
Jakże stworzyłeś Szatana  
Skoro sam jesteś bez skazy?”*

Powiedziałem to głośno, akcentując każdą sylabę, aż Baghadi spłoszonymi oczami rozejrzał się wkoło.

— Pan nasz cię prosił, żebyś doń przyszedł — powiedział szybko. — Chce się z tobą pierwszym podzielić radością.

Pokręciłem głową.

— Już mu nie będę potrzebny — powiedziałem.

— Chcesz odejść? — skwapliwie w moją stronę pochylił się Baghadi i

dostrzegłem niezwykle błysk w jego oczach.

— Mój miecz... — uśmiechnąłem się w duchu. — Tekesz się obejdzie bez niego. Oby mu Allah szczęścił dalej i na wielkiego wodza wychował syna jego, Muhammada.

— Wodza i władcę — pochylił głowę Baghadi.

— Wodza — powiedziałem twardo.

Moje oczy znalazły się poza tym, co mnie otaczało. To było tak, jakby ściany, sprzęty, postacie między nimi i ja sam wreszcie stworzeni zostaliśmy ze szkła, któremu nagle wraca przejrzystość i utracona przewodliwość dźwięku. Słyszałem tętent na skraju ojkumeny szkarłatnej, a wraz z dudnieniem kopyt wlewać się w nas poczęła gorączka idąca nad stepem. Wiatr zlizywał kara—kumy i piaski czerwone, obnażał skaliste takiry — wicher w ciężących chmurach dymów i pod kopytami włochatych rumaków. Do grzbietów chrapiących z wysiłku maleńkich koników nagięci jeszcze mniejsi jeźdźcy. Spoza rozwianych grzyw ślą strzały o kościanych grotach — prosto w twarz, aż trzeba przymrużyć powieki przed nadlatującą hordą jeźdźców skośnookich, przybranych w skóry. I już nic nie widać, nic prawie, nad obłoki kurzu i kłujące niebo buńczuki. Już pęka błękitny łuk Syrdarii, a potem przez granice i brzegi przewala się dziki zagon, nie zwalniając galopu. I wstaje łuna nad murami miasta — jeszcze się broni cytadela, potem i ona zapada w brunatną kurzawę.

— Jeżeli dożyjesz tego czasu — Baghadi drgnął, kiedy mu położyłem dłoń na ramieniu. — Gdy na tronie Tekesza zasiądzie syn jego, Muhammad; powiedz mu, że jeśli nie potrafi być mądrym władcą, niech przynajmniej będzie dzielnym wodzem...

— Co to znaczy, Tuganie?

Widziałem w oczach Baghadiego niewiarę walczącą ze strachem przed czymś gorszym niż śmierć każdego z nas osobno. Nie mogłem mu ulżyć w tej rozterce.

— To oznacza koniec Wielkiego Chorezmu — powiedziałem.

— Błóżniesz, Tuganie!

— A jednak spróbuj to przekazać ode mnie. Albo zapisz w księgach. Niech się strzeże Otrari i nie lekceważy...

— Czego?!

— Czyngis—chana.

Odwrociłem się i przeszedłem bokiem. Słyszałem jeszcze, jak za mną szepcze zdjęty zabobonny łękiem: „Sadr—i dża—hannam, sadr—i džahannam!...”

Szedłem przez środek Sali Królów nie osłaniając twarzy i nie ścisząc kroku. Miałem wrażenie, że szept Baghadiego biegnie przede mną, ale nie brakowało tu innych dworzaków, spieszyli znaleźć się w polu widzenia Tekesza, kiedy mu radość pierś rozpiera — wygodnie być wtedy pod ręką. Zauważyłem, jak się witają ze sobą, cmokają ustami, kłaniają głęboko i wielbią Allacha. I prześcigają się nawzajem w układaniu koślawych epigramów na cześć Wielkiego Chorezmszaha Tekesza i jego syna Muhammada.

I każdy był czymś zajęty wielce, gdy przechodziłem obok, ja — ulubieniec Allacha i najlepszy przyjaciel Władcy Wiernych. Tekesz jeszcze czeka na mnie, żeby napełnić złoty puchar winem: „Pij i zakosztuj mojej radości”. Odpowiem: „Jeśli jest w sercu twoim, jest i w moim”. A on wtedy kłaśnie w dłonie i zawoła: „Gdzież twoja Władczyni Piękności? Picie bez muzyki i śpiewu nie daje żadnej rozkoszy!”. I będę siedział z pochyloną głową, aż on zrozumie i gniew w nim zakipi. Szkarłatne krople z pucharu rozprysną się na mozaikowych posadzkach. Lecz on nie zapyta o zdrowie siostry swojej. Powie mi: „Zejdź z oczu moich”. Odejdę. Jak teraz odchodzę.

Jeśli nie w sercu, niech przynajmniej w pamięci Twojej zostaną taki, jakim mnie przyjaźń związała z Tobą. Nim mnie przywiodłeś z pola bitwy ostatniej do tego pałacu, gdzie pierwszy raz ujrzałem siostrę Twoją. Dostrzeżesz, jak się wtedy

zmieniłem na twarzy — jakby deszcze, ogień, wichry i wojny z przeklętym gjaurem zbyt płytko mi wygarbowały skórę. Kładąc to zmieszanie na karb zachwytu jej piękną nieporównaną zapytałem: „Drogi Tuganie, czy znałeś wcześniej piękność zdolną dorównać siostrze mojej?”. Pochyliłem się wtedy głęboko: „Tak, Władco Wiernych — odparłem. — Czyż da się ukryć księżyc?”.

Nie zrozumiałeś wtedy. Dlatego teraz muszę odejść. Nie dla mądrości Biruniego, nie dla bluźnierstw Nasira–i Chusrau, bynajmniej nie uciekając przed pychą twego syna, który się dzisiaj narodził. Miecz jego tępy od kołyski, a twarz obleje się pasem, kiedy garść dzielnych żołnierzy ze zgłiszcz Chodżentu wyprowadzi nie on, lecz Timor–Malik. Syn twój, Tekeszu, ukryje się przed hańbą na wyspie nieznanego dalekiego morza, zasłoni oczy i uszy, żeby nie słyszeć trzasku ognia i jęku wiernych, kiedy nad nimi przetoczy się pierwsza fala dzikiej hordy. Tego wszystkiego nie wie Baghadi. Cokolwiek usłyszał — już zapomniał i nigdy nie zapisze w księgach swoich. Nie będę więc wprawiał ręki twego syna w rycerskim rzemiośle. Muszę odejść — dziś byłbym tylko złym prorokiem... I jeszcze — tym, który wzgardził sercem twojej siostry.

Zegnaj. I wyzbądź się złej pamięci o mnie. Przedemną kres sali tronowej. Obok — ajwanów — trzydzieści trzy wejściowe nisze. Straż pałacowa zwrócona do mnie plecami. Chwała wam za wierność, żołnierze.

Już od strony dziedzińca marmurowa boazeria pokryta misternie rzeźbionym roślinnym i geometrycznym ornamentem. Ściany powyżej i sklepienia nisz zdobione rzeźbioną terakotą i sztukaterią w kolorach żółtym, błękitnym i czerwonym.

A mnie się zdaje, jakbym nie opuszczał właśnie Sali Królów, lecz teraz dopiero zjawiał się na progu prawdziwej tronowej sali. Światła w niej niby słoneczne promyki rozplecione na różnobarwne pasma. Jeszcze muszę przejść pod arkadą ajwanu, a tam nieboskłon zbudowany z glazurowanej cegły, pokrytej turkusowym szklivem albo zupełnie przezroczystym, poza którym płoną oliwne znicze i nowe płaszczyzny wypełniają się barwami magicznych malowideł, czarnych i białych, o różnych odcieniach brązów, gdzie kształty podcieniowane delikatną bielą, czernią i głęboką zielenią. A wszystko się rozsypuje w ziarenka coraz mniejsze, niby okienka w koronkach zalane glazurą, w pajęczynie z pasemek ciągnionego szkła — pędy inkrustowane złotem, srebrem i miedzią, listki coraz drobniej sze strzelające z pąków narosłych na szklanych gałązkach. I coraz w tym więcej zieleni. W niej zapisane kształty zwierząt, roślin cudaczných, fantastycznych kwiatów, ptaków, ifritów wplecionych w epigraficzny ornament — tej samej zielonkawej barwy.

Jeszcze przed siebie. Krokiem coraz bardziej dudniącym — między gałęzie liściastego drzewa. Ponad Kyzyl–kumy, takiry i barchany — w każdym liściu zapisany kształt innego mieszkańca kosmosu. Poczwaruki drzemiące w tulejkach papirusów, zakodowane w genetycznej mądrości. Śnią pewnie sen stepu i dżungli — tylko naokoło mnie pęka sklepienie ogromne. Szczeliny się otwierają niby zagłębienia w pośniedzialej korze. Perspektywy biegną w czernią wypełnione tunele, w rozłamy ścian pokrytych dziwacznym malowidłem — jakbym z jednego ziarna włamywał się we wnętrze całego granatu. Jeszcze się pod stopami sączą soki różowawej mgiełki, odbłaski z pałacu chorezmszahów, lecz jednocześnie krzepnie glazura zamrożona czernią.

Idę środkiem ulicy.

Rezonans kroków w płaszczyźnie szyby rozchodzi się szeroko, odbija od urwistych ścian i znów ogniskuje pode mną. W głębi, kiedy odruchowo szukam dla stóp oparcia, zatopione w ciemnej zieleni migoczą złote iskry kielichów, z przewróconych dzbanów sypią się monety, naszyjniki i perły, w bezruchu toczą się pierścienie. Pewnie nikt i nigdy nie mógł stąd wynieść niczego, jakby przed złodziejem rozwierała

się ziemia i pochłaniała ukradzione skarby. Tylko moje stopy znajdują twarde chodniki. Posadzka z lodu skutego stratosferycznym mrozem. Ja jednak nie czuję chłodu. Moje ciało szczelnie zapięte w uniform blokady. I w marszu można się rozgrzać. Więc idę, wspinam się, zataczam chwiejnym krokiem — wyżej! Przez zielonym mrokiem wypełniony labirynt uliczek — jak po wznoszącym się dnie oceanu.

Dokąd? Wciąż lękam się unieść głowę, żeby tam — w zwiedzionych perspektywą przerębłach — dostrzec refleks promieni Heliosa na graniach pośniedziałych bloków, na trzech monu mentalnych wieżach wyniesionych wysoko nad cichy i mroczny labirynt Miedzianego Miasta.

## Droga do Eldorado

Już nie wierzyłem ciszy poza mną.

Coś działa się tam, skąd wyszedłem. Mam przynajmniej nadzieję, że Natan wierzy nadal w niezawodność zastawionej pułapki. Któż by się oparł, gdy go do piersi przytuli Władczyni Piękności, otoczy ramionami i przygarnie tam, gdzie korzeń na nowo nabrzmiały nadzieją będzie chciał trwać wiecznie.

Nie tylko on pragnął tego. Można by się zachłysnąć falą rozkosznej nadprzewodliwości, aż generator żywych komórek wyzwoli tyle energii, żeby — laserowym promieniem albo siłą woli przez powierzchnię pośniedziałej skóry — od spodu natchnąć życiem fantastyczne malowidła pokrywające ściany kryształowych bloków, aż się wybrzuszą na zewnątrz czymś więcej niż holowizyjnym obrazem, wypełnią niby baloniki i wreszcie się oderwą od miedzianej matrycy. W powietrze uniesie się posiew wszechwładnego Biomu.

Ktoś będzie się musiał sam z tym uporać.

Może powinienem był zostać? Jeśli mi nie starczyło odwagi, by ulżyć Jego męczarni, trzeba mi było przynajmniej zostać z siostrą Endo. To najwspanialsze, czym chciał się ze mną podzielić z całego serca. Żebym z nim został. Zapomniał. I przestał śnić o powrocie do Strefy Systemu.

Wzgardziłem twoją ofiarą. Wybacz, Endo.

Teraz coraz wolniej krocę przez mroczny kanion Miedzianego Miasta. Nie udało się w pełni przeciąć pępowiny. Coś za mną zostało — trzyma mnie sprzężonego — nadal z wnętrzem ukrytym pod miedzianą blachą. Jakbym tam pozostał jednym ze swoich zmysłów. Absurd, pomyślałem. Wszystko, co mnie łączy ze światem, Endo, jest tylko ulotną, podłą PAMIĘCIĄ.

A jednak czuję coś, co się zmienia tam, skąd uciekłem. Gwar pęcznieje w tajemnych podziemiach, pod sklepieniem Sali Królów. Gotów eksplodować poza granice Chorezmu. Rozsadzi zielone ściany i wyciśnie z nich brokat, czerwone złoto, pajęczce muśliny i srebrne sieci — rozdarte szeroko, jakby na obrzmiącej piersi pękła żelazna kolczuga. I wszystko to — beze mnie. Mój miecz rdzewieje w pochwie. Chciałbym stąd odejść. Idę coraz wolniej. Ten świat, który mnie otacza, tak bardzo realny i określony empirią, rzeczywiście zostawił w przeszłości cieniutką pępowinę, kędy goni mnie puls, który dawno powinien wygasnąć — nie przed godziną, lecz przed lat z górą tysiącem. Zatrzymałem się wreszcie i ostrożnie obejrzałem przez ramię. W perspektywie ulicy nie było tej ciemności, którą raz już poznałem dzięki oczom Endo. Dzisiaj miedziane, patyną pokryte lustra ogniskowały jakąś szarość. Mróz tutaj musiał panować okrutny — czarny lód pod stopami rezonował jak dzwon, czułą membraną gonił w moją stronę drżenia budzące się w sercu miasta. A przecież

przychodzę stamtąd. Powiniennem wiedzieć, co jeszcze wstrząsnąć może światem zaszczerpionym mitem upadłej cywilizacji Wielkiego Chozezmu, wysnutym z genetycznej pamięci Endo — ostatniego z sufich, dla których nie ma bogactwa nad bogactwo duszy.

Powiniennem tam wrócić. Czyż nie jest podłością opuszczać w potrzebie towarzysza broni? Przecież ponad granie murów wyrasta tam szara poświata i, jeśli wsłuchać się głębiej, już odzywają się głuche tąpnięcia, jakby westchnienia wewnątrz ziemi. Wstrzymałem oddech, gdyż zrozumiałem nagle, przypomniałem sobie, że nie ja jeden w tamten świat przeniknąłem z zewnątrz. Garbaty gnom dotarł tam przede mną pod osłoną swojego Pierścienia. I jeszcze — tunel z białego szkliwa wetknął tam jeden korzeń, żeby nad czarną taflą przebitych posadzek otworzyć ogromne, białe oko. Patrząc w tę i w tamtą stronę, gdyż Biała Kula tkwi również w obecnej mojej rzeczywistości — na pustym placu w sercu Miedzianego Miasta. Nerw wzrokowy cienkim światłowodem sięga daleko, żeby każde dziecko w brzuchu Lewiatana nacieszyć kalejdoskopem otwartej przestrzeni, gdyż tylko Teatrem jest to wszystko, co dzieje się nad ich prawdziwą oceaniczną głębią.

To ostatnia szansa, żeby stąd odejść — pomyślałem. Tuż za murami miasta zaczyna się równina rozległa aż po szczyty najeżone niby kolczasta pletwa, gdzie szczeliny między igłami górskiego masywu wypełnia lód zeszkłonej kosmicznej przestrzeni — tak samo przejrzysty i dostrzegalny wyłącznie za sprawą zmiennych współczynników kątowych załamania słonecznych promieni. Może nad tymi szczytami dostrzegłbym srebrną iskrę „Trieda” zamykającego nad Miedzianym Miastem kolejną pętlę lub zawieszzonego na stacjonarnej orbicie. Mógłbym wezwać mojego Brata, żeby po mnie przysłał starbolta.

Lecz nogi mam jakby stopami przymarzłe do ziemi. Chwiejna szarość wypełnia się przeraźliwą bielą, rozpala ognisko ogromne — otwiera się OKO. A mnie przenika ten sam paniczny lęk, który ogarnął Endo, gdy po raz pierwszy twarzą w twarz zetknął się z tym kimś zamkniętym pod szklaną, przezroczystą powieką.

I jednocześnie wydało mi się, że czyjś oddech zbiega się z moim — aż potrząsnąłem głową. Radiostacja skafandra powtórzyła ten szelest. Miałem uczucie, że ktoś mnie widzi i słyszy, chciałby się odezwać, ale nazbyt go bawi moja rozterka.

— Kto... — wyszeptałem.

Tymczasem biel przede mną coraz jaśniejsza. Trzask słycać, jakby się coś wyłamywało nad czarną glazurą zatapiającą chodniki i jezdnie.

Tuż koło mnie ktoś nabrał oddechu w olbrzymie płuca — chciał zatrzymać powietrze, lecz się wyrwało wbrew jego woli i wreszcie usłyszałem cichy śmiech, bardziej podobny do szelestu szronu osypującego się z drzew.

— To ty... Raven? — zapytałem.

Nie wytrzymał. Parsknął wreszcie i coś zatrzęszczało z przeraźliwym wysiłkiem, jakby się czerń zwinęła pięścią w szklanym słoju, żeby rozsadzić hełm i na wszystkich nas bluznąć piekielną sadzą, błotem pulsującym pod szklanym czerepem, jednocześnie magmą i martwym prochem, z których dopiero zawiązać może się ciało. Czyje? Wyzwoli się szaleństwem z kiszek Horowitza, spojrz na mnie — jaki tu i teraz jestem, popatrz twardym wzrokiem Van den Berga, cały ten obłądny labirynt ewolucji wyjaśni głosem Yongbloda — najbardziej kompetentnego w sprawach biologii, a może wskrzesi Endo, może się tylko z wierzchu zasklepi nabłonkiem, a wewnątrz czerń nadal będzie w sercu Natana bełkotać obłądnie. Albo drugim mną będzie. Nie drugim — tym samym.

Zdażyłem to pomyśleć, kiedy ten ktoś — cieniem podążający trop w trop za mną — stracił ochotę do zabaw. Odezwał się głosem Natana. Nie — wcale nie czekał, aż potwierdzą odbiór. Mówił krótko. Potem usłyszałem trzask i tylko pamięć pozwoliła

uświadomić sobie treść expose wygłoszonego przez Nadzorcę Eksperymentu:

„... Nie dawałem ci szansy. Wyszedłeś. Trzeba było zostać. To była jedyna okazja w miarę pogodnie dopełnić żywota. Prawda, że nasz Endo całą duszą zaangażował się w ten teatr? Marny, ale zawsze... Zostając miałbyś możliwość odznaczenia się w morderczej walce z tym, jak mu... Czyngis–chanem — parsknął raptownie uciętym śmiechem. — Tylko razem mogliście czegośkolwiek dokonać. Teraz Endo ma swojego Czyngis–chana w cudownym iluzjonie, a ty... masz mnie. Jak sądzisz, który z was ma większe szansę? Jeśli chodzi o mnie podeślę ci nawet paru sprzymierzeńców. Nie cierpię, jeśli mi pod nogami płata się jakaś nędza. Ale ty się brataj, Elf! Bez skrępowania. Masz jeszcze z kim krwią się pomieszać? Szukaj przymierza. Tylko pamiętaj — ostatnia kropelka i tak należy do mnie... A teraz — łap!”

Jednocześnie usłyszałem daleki łoskot. Eksplozja targnęła powietrzem, jakby nie tamte słowa, lecz moje ich zrozumienie okazało się lontem.

Aż się zachwiałem od pchnięcia, chociaż wciąż jeszcze bokiem stałem do białego pęcherza, który się wzbijał ponad mury zielone. Zamigotały w powietrzu kleksy jakiegoś, tam — wysoko — rozpostarte białymi kłoszami. Trysnęły wysoko, aż jednolita poświata rozpadła się na tysiące iskier. Poczułem gwałtowny werbel na szybie hełmu i na piersi opiętej tarczą skafandra. Przez moment kryształowe krople zacięły ostro, a potem bębniły równo, choć nie mniej mocno. Stałem w deszczu, który lunął nagle, nie z nieba przecież — to było bez chmury, nie mogło aż do stratosfery wypompować tyle wilgoci. A jednak stałem w deszczu. Tylko raz po raz coś mi o przyłbicę brzękło, jakby się odbił od niej kryształowy odprysk. Patrzyłem szeroko rozwartymi oczami i zdawało mi się, że tam — nad masywem martwych gmachów — gejzer trysnął z podziemi, na tyle gorący, żeby się w mig nie przemienić w słup lodu. Otworzył się wysoko rozpryskiem potwornym i z głębokiej sztolni dalej ssał rybi pomiot — z brzucha ogromnej żyworodnej ryby wyduszał tysiące żywych iskier. Pomyślałem tylko — jak potworne musi być ciśnienie, które rozerwało tę kizskę podziemną.

Bryzgi wody grzmotnęły raz jeszcze i w powietrzu pozostał tylko pył wodny, rozwiesił tęcze między ścianami i zielenią zraszał płyty z dziwaczną, liściastą intarsją.

We mnie jednym grzmot ciągle narastał — jak zwykle spóźniony wobec tego, co gdzieś się dokonało.

— Nie — szepnąłem zmartwiałymi wargami. — Natan... Nie możesz tego zrobić!

Tam, gdzie się biel znowu pod ziemię zapadła, coś wzbierało pomiędzy murami, jakby się tłum przeciskał przez mroczny labirynt i szmerem podnieconych głosów płynął w moją stronę. Nagle zrozumiałem, że już jest koło mnie.

Spojrzałem pod nogi.

Ucięte powyżej kostek. Jakby się zanurzyły w czarnej glazurze. Jednak ta warstwa zewnętrzna zdawała się płynąć. Napór czułem — już sięgający kolan. Od załomów murów też plusk dochodził. Perliły się pęcherzyki piany, coraz jej więcej było, nie potrafiła dotrzymać kroku pierwszej fali. A dopiero nadciągał szum prawdziwy. Dostrzegłem w ostatniej chwili — łeb potężnej połyskliwej fali. Przeciskała się całą szerokością ulicy.

Skoczyłem pod ścianę i w tej samej chwili ciemność mnie nakryła, targnęła, jakbym nie potrafił ustać mocniej niż polip przywierający do skały na swej jednej nodze, opierający się kurczowo przed morskim prądem, który go ciągnie, szarpie i spycha w chłodną głębię pozbawioną planktonu.

Wtuliłem się w moją rafę. Wkoło powierzchnia wody uciekła wysoko. Byłem pęcherzykiem powietrza jeszcze się dna trzymającym. Sam nie wiem, czemu nie chciałem wypłynąć. Ta fala by mnie zaniósła prosto do granic miasta, gdzie tak bardzo pragnąłem dotrzeć. Winienem się poddać, rozłożyć płetwy i dać się ponieść nurtowi, który z kazamat wytrysnął na światło dzienne.

Kula hełmu nagle przebiła powierzchnię. Woda gwałtownie opadła do bioder, potem z powrotem uniosła się do ramion i na tej wysokości ustaliła chwiejny poziom. Wartki nurt spychał mnie wstecz od miejsca, gdzie eksplozja wstrząsnęła sercem Miedzianego Miasta. Spróbowałem przesunąć się krok naprzeciw wirującym prądom. Poszukałem wzrokiem oparcia dla palców — po zielonym murze pięć krwawych szram schodziło pod powierzchnię wody. Cofnąłem rękę — blizny pasowały do rozstawu moich własnych palców. A więc — tak mocno trzymałem, zrozumiałem nagle, aż rękawice skafandra zdarły cienki naskórek grynszpanu i obnażyły ukrytą naturę murów. Blizny wypełniły się czerwonozłotym, jaśniejącym bardziej niż zwykle połyskiem miedzi. Coś świeciło wewnątrz, jakby się tam zapalała luna nad pożółkłym stepem.

Moment nieuwagi i — znowu mną szarpnęło. Oderwałem się od mojej rafy, wir mnie pochwycił, okręcił. Szarpnąłem się — na sekundę dłoń mi uwięzła w czymś gęstszym od wody. Pęcherz bezwładnej meduzy przepłynął koło mnie. Starczyło, żeby się od czegoś odepchnąć i znowu przykleić do ściany — już po drugiej stronie kanionu i kilkadziesiąt metrów poniżej miejsca, gdzie mnie zaskoczyła pierwsza fala.

Znowu coś dostrzegłem tuż pod czarną powierzchnią wody. Strzęp pustej z rozpostartymi szeroko, luźno kołyszącymi się rękami. Za nim jeszcze jeden, bardziej zwarty. Nad wodę wystawał garb mlecznej błony z widocznym wewnątrz pęcherzem powietrza. Pewnie się dostało przez rozdarcie elastyczne — go pokrowca. A wkoło” płynęła piana. Perlące się płaty wypełniały całą przestrzeń, aż dostrzegłem wreszcie zator spiętrzony ze wzdętych bąbli. Lecz poszczególne pęcherze coraz były większe i mniej wypełnione powietrzem, napuchłe woskową błoną na zgęstkach żelu o mlecznym odcieniu. Wciąż jeszcze wartki nurt próbował ten zator przepchnąć przez jakieś ucho igielne, gdzie martwe zezwłoki zlepiły się bokami — śmiertelny spazm wycisnął im śluz i pianę przez powierzchniową błonę — pot wyduszony porami bladej skóry.

Czułem, jak nogi miękną pode mną. System biostymulacji skafandra daremnie nakłuwła mięśnie elektryczną akupunkturą. Zachwiałem się i — pociągnięty słabą falą odpływu — odpadłem od ściany. Jednocześnie pękł tamten zator. Pozwoliłem się nieść — dokądkolwiek, a woda sphywała powoli. Leżałem w niej rozpostarty, nie ruszając ręką ani nogą. Ciężaru skafandra zabrakło, żeby mnie pociągnąć na dno. Płynąłem, a wkoło inni bracia moi. Każdy bezwolny w swojej biologicznej ochronie — cytoplazmatycznej błonie. Wszyscy zgodnie przemierzający się w milczącym pochodzie nagich ciał prosto do ogromnego pieca, przez który w niebo uleci dymna hekatomba.

Lecz ten akurat świat gotów jest nas raczej zamrozić w kamieniu niż rozkruszyć na popiół.

Przed moją twarzą przesuwają się przezroczyste boki. Mogę zajrzeć w głąb martwych ciał, chociaż mnie jedyną świadomość piekielnego chłodu przenika do szpiku kości. Ich ciała na wylot przeświewa nadzieja dziennego światła. Daremnie — nigdzie nie mogę dostrzec jakiejś wodniczki tętniącej ani jądra ogarniętego tą dziwną gorączką, która tyle razy prześladowała mnie iluzją czyjegoś wzroku.

Jeszcze parę razy moje plecy prześliznęły się po czarnej szybie. Ciasno się zrobiło między dnem a powierzchnią. Prędzej czy później musiałem osiąść na mieliźnie. Wreszcie spłynęły resztki wody, a ja zostałem — szeroko rozpostarty, przywalony płatem przezroczystego mięsa, nakryty, ławicą martwych ciał we wspólnym grobie. Tylko oczy nie znajdowały w nich oparcia — wzrok przenikał na wylot, jakby nigdy nikogo nie było w próżnych łachmanach elastycznej błony.

We mnie samym zostało niewiele. Mógłbym być jednym z nich, obdarzonych tą pierwotną świadomością, której istnienia domyśliłem się dopiero w tym odległym



zakątku Kosmosu. Teraz tkwi we mnie świadomość owego pierwotnego poziomu, gdzie cząsteczki planktonu zdolne do fotosyntezy zawiązują jedno z pierwszych ogniw troficznego łańcucha całej biosfery. Zawiązują się makroenergetyczne ciągi molekuł, zostają przyswojone przez kolejne systemy wyższych roślin i zwierząt, a wszystko po to, żeby koniec końców zaspokoić nasz ludzki głód, poza którym zostają tylko kloaki, groby i dymy krematoriów. Co jednak, jeśli świadomość nasza jest również tym ogniwem finalnym, poprzedzonym całym łańcuchem — niby korzeń zapuszczonym aż do poziomu organizmów pierwotnych? A jeżeli nawet świadomość tych plazmoidalnych potomków ziemskiej ameby jest zaledwie pierwszym szczeblem w hierarchii przeobrażeń doprowadzonych do ostatecznej doskonałości dzięki biogenicznemu akceleratorowi tej Planety? Gdzie'ich kres? A jeśli nawet zdołam dojść tej apoteozy — czy w jednakowym stopniu dotyczy człowieka?

Leżę w śnieżnej łąwicy. Kilkaset trupów wyrzuconych na brzeg. Na poły przezroczysta krypta ciąży nade mną. Woda się dawno odsączyła i wielkie ciała ociekają już tylko jakby gęstą parafiną. W ich wnętrzach krystaliczny koloid ścina się mlecznym skrzepem, mętnieje coraz bardziej. Niedługo niczego nie zdołam dostrzec, poza tym, co dogasa we mnie. Na szczęście to jest najważniejsze. Taki jest każdy Nowy Świat. Najważniejsze w nich to, co tkwi w nas. W Natanie, w Endo. Przychodzimy zawsze z naszą wiarą i własnym obłędem. Tak, jak tu. Jeden odszczepieniec i dwaj służebnicy Systemu. Mamy swoją wiarę, ja — w zagubione cywilizacje Kosmosu, Endo — w restaurację swojej utraconej prehistorii, Natan — dążenie ku przyszłości, któremu nic nie stanie na przeszkodzie. Jesteśmy obywatelami, wieśniakami, rzemieślnikami, urzędnikami innego Systemu, Towarzyszami tego albo innego Muhammada, którzy tutaj trafili prosto w obfitość nowej karmy i śnić nagle zaczęli o spełnieniu najtajniejszych marzeń, o Słupach Siedmiu Mądrości w świątyniach Salomona, o skarbach Ofiru i rozkoszach wzbронionych za tamą Wielkiego Muru, o złotym cieniu Montezumy i grotach srebrnych, gdzie Biały Król wciąż jest jedynym władcą; nagle — tylko ręką podać, zda się, po Święty Kielich Graala i do Fabryki Absolutu. I już się nam jawią olbrzymy, syreny, maskary i dziewice, które miliardy lat czekały wyłącznie na naszą ochotę; oczy nasze na mapach terra incognita znaczą lodowe iglice i kratery wypełnione pożarem, wody Amazonki wypływające z samego Raju, gdzie czerwonoskórzy własne pożerają dzieci, aby się nasycić ich odwagą do życia.

Tu wystarczy się schylić i dłonią zaczerpnąć ze Źródła Wiecznej Młodości. Bierz — czego dusza zapagnie! Już łupy zwalone na stosy ogromne. Dziel równo — kto ile wyszarpie! Ze świata spełniającego urok baśni — każdemu swoje; faraonom, Kartagińczykom i rzymskim wodzom, dla Aleksandra i Napoleona, a już dzielnie wiosłuje załoga nowej łajby — Cortes z pustym brzuchem, za nim Ponce de Leon, don Panf ilo, Hernando de Soto i Pizarro, każdego trzeba usadzić za stołem, nie pomijając sternika Jimeneza de Quesada, któremu się roi całe Eldorado — każdemu nałożyć na talerz, niech żrą — aż zdechną; tylko niektórym świat cywilizowany nada szlachetną postać lorda Elgina lub imię Henrich Schliemann.

Każdy z nas uwierzył w to na swój sposób. I wiara w to nasze Eldorado zapisana była w tych kilku ziarnach zakopanych w martwą jeszcze glebę. Cokolwiek się narodziło — jest naszym pragnieniem, odwzorowaniem tęsknot, jakie my — kosmiczne spory — niesiemy z sobą w martwy Wszechświat. I, kiedy nas nie stanie, ta legenda nas przetrwa — mit Planety będącej prawdziwym Eldorado dla fizyków, biologów, socjologów i innych poszukiwaczy skarbów. Dla nich nic nie znaczą krwawe hekatombysy składane przy zachłannych korzeniach Drzewa-Kosmosu. Zresztą czas wybiela i nic nie znaczą jęki potępieńców, złamane przymierza, zdrady i zbrodnie, chlubny antropomorfizm wygładza zwierzęce pyski i nad czerwie pełzające

w prochu wynosi skrzydlate formy. Prędzej czy później tchórzostwo nasze poczytane zostanie za fortel, rozpacz za odwagę, pijana determinacja okrzyknięta będzie bohaterstwem, złodziej zostanie odkrywcą, morderca — męczennikiem.

I mnie kiedyś znajdą, pod stosem wrogów nade mną usypanych w kurhan; zginą — powiedzą — wobec przygniatającej przewagi.

Napiąłem mięśnie, zwiotczałe tak długo, aż na nowo wypełniły próżne tuleje egzozkieletu. Skuliłem się pod dziwnie zeszywniałą masą — coś zatrzeszczało, jakby się zeszkliło z wierzchu. Przewróciłem się na brzuch, dłonie i stopy wparłem w gładką szybę, wreszcie pchnąłem dźwignie kończyn wspomagane pilnie przez serwomotory.

Jeszcze czułem ciężar na barkach — spełzył na bok.

Teraz leżeli — nadzy. Bryły nieforemne, bez połysku prawie — wilgoć wyparowała z brzuchów wzdętych, śluz zakrzepł i od suchości naskórek zaczynał pękać. Złuszczone białe wióry pokryły im grzbiety jakby sierścią, łuską śnieżnych piór, zwykle przyklejonych do boków tych aniołów głębin.

Woda nas wyniosła na peryferie Miasta. Ponad cyklopicznym murem jaśniejsze promienie Heliosa zajrzały wreszcie w zielonkawą ciemnię. Tylko mój wzrok wciąż ciążył ku dołowi, jakby oczom najtrudniej było wyrwać się ze zwałowiska trupów, chociaż dokonała tego reszta ciała.

Wreszcie spojrzałem nad pobojowiskiem — przed siebie.

Mur gładki, wysoki, w nim się lustro odsłoniło z wypolerowanej miedzi. Może fala, która niedawno uderzyła o wewnętrzną stronę muru zlizwała z niej zielony nalot, zeszlifowała patynę i na nowo odsłoniła zwierciadło.

Zobaczyłem w nim siebie — lekko zgarbioną postać w nietkniętym srebrzystym skafandrze. Poza mną inni śpią snem sprawiedliwych. Zmarznięci w kamień. Bo przecież to lód — nic innego. Mróz ścina Miedziane Miasto wypchnięte w stratosferę ponad resztę powierzchni Planety. Rozumiałem już, co znaczą białe płatki, jak puch — to mroźny szron zakwita fantastycznymi, strzępiastymi wzorami. Gdybym dłużej zwlekał pewnie bym się nie wyrwał spod skamieniałych, lodowych brył — pereł wyłowionych z morza.

Jeszcze kątem oka pochwyciłem drgnienie — tylko jeden głaz przechylił się na bok i zastygł ostatecznie.

Gdybym tu wrócił — pomyślałem — i skropił ich życiodajną wodą ze Źródła Wiecznej Młodości, tylko by na nich narosło jeszcze kilka trzaskających na mrozie sopli.

Odwróciłem się i poszedłem prosto do złotego lustra.

Człowiek w nim wyszedł mi naprzeciw, lecz w miejscu styku — gdzie Wrota miały się otworzyć, a my zlać w jedno — nie spotkaliśmy się twarzą w twarz. Uczynił krok w bok, kiedy się zrównaliśmy, obrócił na pięcie i dalej poszedł ramię w ramię ze mną. Tylko kula jego hełmu była wypełniona czernią.

## Dzień szósty

*„— Ciepła! — zawołał Sam. —  
Pańska ręka jest ciepła! A taka była  
zimna przez całe długie noce!  
Zwycięstwo, grajcie nam, surmy! —  
wykrzyknął i z błyszczącymi oczyma  
okręcił się w kółko tanecznym  
krokiem.”*

*(Tolkien, „Wyprawa”)*

## Genotyp biosfery

Raven tłumaczył się, że próbował zlokalizować sztab Natana. Kiedy spytałem o efekty — rozłożył ręce.

Teraz znowu świt wstaje nad białymi skałami. Ziemia paruje. Tkwimy w mlecznych bandażach, w kołysce szpitalnych prześcieradeł. Tylko bezpośrednio pod nami we mgle otwiera się studnia. Wygląda to jak odcisk buta w topniejącym śniegu — od dołu podsiąka wilgoć i widać też patyki, kamyczki i resztki zeszłorocznych liści. Magnetyczna stopa starbolta przenika aż do ziemi czerwonej, zrytej żylastymi bruzdami, ociekającej wilgocią, jak spocony głąz.

— Serio chcesz tu zostać? — zapytał Raven.

Skinął głową.

— To nie jest wyjście — powiedział. — Ręczę za to.

— Sam się przekonam.

Głowica starbolta zdaje się płynąć nad badylami sterczącymi ponad bagienne opary. Bardziej na południe dostrzegam las, a raczej cały płaskowyż skrzyty z gałęzi i epifitów, zawieszony na przęsłach konarów między oporowymi pniami. Wszystko pozbawione barw jeszcze, ledwie szarobłękitne.

— Dlaczego akurat tutaj? — nie dawał za wygraną.

— Wybacz, jestem zmęczony.

Nie muszę kłamać. Jeśli spojrzeć w górę, przez wierzchnią soczewkę głowicy starbolta, można tam dostrzec iskrę podobną do gwiazdy pierwszej wielkości. Jeszcze ją widać mimo rozjaśniającej się zieleni nieba. „Tried” trwa na stacjonarnej orbicie — moja Opatrzność zbrojna w cierpliwość Synchronmatu i elektromagnetyczne generatory. Tylko ich obecność na pograniczu atmosfery i kosmosu stanowi o wyborze miejsca na powierzchni Planety. Poza tym — mógłbym zejść gdziekolwiek.

Raven dobrze wie o tym. Czemu się niepokoi?

Jak dotąd ani razu nie pozbył się skafandra ani ciemni pod okapem czoła–hełmu. Kiedy wkraczaliśmy na pokład „Trieda”, po moim odwróceniu z Miedzianego Miasta, obawiałem się, że kontrola śluz podniesie przeraźliwy alarm. Nawet byłem ciekaw, jak go Synchronmat przywita. Nic się nie zdarzyło. Po prostu nic, jakby w tych paru nędznych komórkach, jakie Strefa Systemu zachowała ze starego „Trieda”, przetrwała pamięć o członkach dawnej załogi i teraz automaty po prostu stwierdziły powrót jednego z nich.

Nie mam pojęcia, czym się potem zajmował. Powiedział, że przyjdzie się zorientować w sytuacji. Było mi obojętne, co z sobą pocznie. Sam dałem się Synchronmatowi wyłuskać ze skafandra. Niecierpliwie pomagałem rwać układ stymulacji — po kilku dniach nie wystawiania czułek ze skorupki człowieka i tak jest

starannie wylizany, mimo to całe ciało trąci zapachem charakterystycznym nawet dla obmytego trupa. Poza tym w miejscach styku elektrod ze skórą paskudnie swędzą opuchlizny. Musiałem wziąć kąpiel. Sam nie wiem dlaczego wybrałem do tego apartamenty Natana. Potem się ogoliłem. Z pięć minut stałem przed lustrem w połączonych ramach. Tylko oprawa dodawała szyku — wewnątrz widziałem obcego człowieka. Tych parę dni nie pozostało bez śladu. A już bywały momenty, gdy wydawało mi się, że bardziej na psy zejść już niepodobna. Na tym polega urok przyszłości.

Jeszcze się suszyłem, kiedy Synchronmat przygotował mi kilkanaście dań do wyboru. Wykręcił z tubek taką ucztę, jakbym powinien koniecznie zapchać się po dziurki w nosie, żeby na długo starczyło. Przyjemnie było patrzeć na te kulinarne arcydzieła, znacznie trudniej — przypomnieć sobie, na czym polega apetyt. Wciąż mnie przytłaczał kopiec na pół przezroczystych, bezwładnych ciał — jakbym to ich dotyk próbował splukać z powierzchni skóry. W końcu zmusiłem się, żeby coś zjeść. Nie pamiętam — co. Z pewnością starczy tego na taki dzień; spokojny, kiedy donikąd nie trzeba się spieszyć — samo przyjdzie.

Zanim to wszystko zaplanowałem, odbyłem dłuższą rozmowę z Synchronmatem. Zgodził się ze mną, co do ogólnych założeń taktycznych, lecz stawiał zdecydowany opór, kiedy go chciałem wciągnąć w podjęcie bardziej zdecydowanych kroków przeciwko Natanowi. Powiedział, że powinienem wziąć wszystko na siebie, gdyż ograniczenia jego programu — etc. Nie nastawałem. Miał rację. W ten sposób „Tried” miał wyłącznie zapewnić ochronę mojego starbolta.

— Elf, śpisz? — znowu odezwał się Raven.

Tego mi brakowało w rzeczy samej. Dałbym wiele za łóżko, w którym można się zwinąć — nie jak w kołysce amortyzacyjnego pęcherza, nazbyt tu wszystko przychyłne każdemu drgnieniu mięśnia. Wolałbym twardy materac. Tylko pościel przydałaby się nieskazitelnie biała, szeleszcząca, trochę jeszcze sztywna i chłodna. W niej ciało nie przepada bez śladu, lecz zasypia powoli i czujesz, jak się kolejno odłączają członki zanurzone w nieświadomości. Nie było czasu na pokładzie „Trieda”, choć apartamenty Natana z pewnością dysponowały nie takim luksusem. Zresztą — gdybym się zdecydował wówczas, spałbym teraz przynajmniej dwadzieścia cztery godziny. Albo trzydzieści cztery — uwzględniając dobę na powierzchni Planety.

— Chciałbym porozmawiać z tobą — powiedział Raven.

— O czym? — zdziwiłem się.

Od pewnego czasu miałem wrażenie, że — tak naprawdę — nie mamy sobie wiele do powiedzenia.

Potrzebowałem odpoczynku. Jeśli nie snu, to przynajmniej takiego odprężenia, jakie daje kołyska amortyzacyjnego fotela — tkwiąc w niej niby samica przywry żyłnej noszona w skórnych fałdach samca, który mocno wczepił się w ścięgna starbolta. Chciałbym móc tak półleżeć i nie myśleć o niczym. Świadomość musi przetrwać swoje, tak samo, jak mój organizm wylizuje węglowodany z karmy wciąż jeszcze uciskającej żołądek.

Raven chciałby porozmawiać ze mną. Jego osobista niefrasobliwość dla doczesności, domagającej się snu i energii, nie powinna rzutować na tych zdeterminowanych materią bardziej podłą. Z drugiej strony — cóż ja wiem o nim?

Raz już mi nie pozwolił zasnąć. Bezpośrednio od kolacji oderwał mnie za pośrednictwem Synchronmatu. Wszystko było mi obojętne do tego stopnia, że dałem się zaciągnąć do sekcji reanimacyjnej „Trieda”. Ravena zastałem przed sarkofagiem, w którym Synchronmat umieścił ciało Endo. Wiem, że to przypadek, ale — już od progu poczułem się nieswojo — to, co zostało z Endo, złożone zostało w ten

sarkofag, który zwykle zajmował Horowitz — niechętny dla przyptywów i odpływów kosmicznych „wiosen”, zanim ostatecznie zrezygnował z szansy zostania jednym z Matuzalemów.

Kiedy wszedłem do reanimatorki, Raven akurat całym sobą zasłaniał wybrzuszone wieko, pod którym spoczywało ciało Endo. Dzięki temu pewnie mój wzrok padł najpierw na dwa pionowo ustawione, szklane słoje. A więc Synchronat zbytnio się nie cackał — pomyślałem. — Zamiast im robić pobudkę i potem na powrót wekować w sarkofagi, słusznie doszedł do wniosku, że — jeśli potrafili tak długo — mogą też dalej własnym sposobem trzymać się nieśmiertelności. Po prostu wyłowili ich z rezerwuaru biomasy razem z porcją wody i tak zabezpieczył w dwóch przezroczystych cylindrach. Teraz ich zupełnie nagie ciała wisały w formalinie, jako eksponaty większej kolekcji, do której wszystkim nam przyjdzie dobić. Poza Ravenem. Nie trzeba było się zbliżać za blisko, żeby stwierdzić nadzwyczajną dbałość Synchronatu o dalsze prosperity Egzulów Strefy Systemu w ich — przynajmniej doraźnie — naturalnym środowisku. Zacerpnął im wody razem z solidną porcją planktonu i glonów, na wypadek głębszego flirtu z zielskiem. Pewnie też nie odmawiał światła dla fotosyntezy. Teraz zielone listki glonów pozawijały im się wokół wiotkich ramion i nóg, przylgnęły do policzków i skroni, kępkami wodnego mchu zakwitły w okolicach kroczy. Trudno było sprawdzić naocznie, co na temat ich rozdzielnopłciowości opowiadał Endo. W każdym bądź razie na pierwszy rzut oka nie potrafiłem znaleźć bardziej podkreślonych cech płciowych w żadnym z drobnych, jakby jeszcze nie wydorosłych ciał. Może nazbyt ich algi pokrywały niby splątany bluszcz próbujący wślizgnąć się w każdy naturalny otwór, w płeć, pod pachy, w uszy i do lekko rozchylonych ust.

Na dźwięk moich kroków Raven odstepił w bok. Znowu znalazłem się twarzą w twarz z Endo. Dopiero też widok tego ciała wywołał we mnie prawdziwy wstrząs.

Niby się nic nie zmieniło od czasu, gdy go znaleźliśmy porzuconego pośród innych kości na cmentarzysku Planety. Wystarczyło jednak przyjrzeć się uważniej, aby stwierdzić — coś jest bardziej nie w porządku niż przedtem. To ciało było napuchnięte nierównomiernie, miejscami widziałem ciemne guzy podskórne, obrzęki wokół stawów i sine węzły naczyń krwionośnych. Sprawiało to nieodparte wrażenie, że ciało to zostało poddane potwornym torturom — już nie w laboratorium Synchronatu, lecz co najmniej w rzeźni obsługiwanej przez kogoś bardziej zmyślnego niż automaty. A przy tym to ciało dziwnie nie pasowało do gniazda w srebrzystych jak szron mikrokontaktach sarkofagu. Nie od razu zorientowałem się w czym rzecz. Pamiętam — spojrzałem na Ravena osłupiałym wzrokiem. To ciało było zbyt wielkie, było wręcz ogromne, masywne i spięte potężnymi mięśniami — już się skręcało niby embriom dojrzały w zbyt ciasnej szklanej macicy. Lecz najstraszniejsza w tym była głowa — również rozdęta do nieprawdopodobnych wymiarów. Czerwony grzebień, który połowił to wodogłowie, zaczął się zrastać jeszcze na powierzchni Planety, teraz zabliznił się niezdarnym szwem, byle jak zszytym przy pomocy ścięgien o grubości palca. Z wierzchu częściowo zarosła to zielonkawa, meszkowata skóra, lecz pod nią coś drgało dalej — aż zamknąłem oczy. I tak trudno było uciec przed nazbyt sugestywnym obrazem — całą twarz też przenikał grymas nieustannego bólu, skośne fałdy zgrubiałych powiek narosły na oczy, nos jakby się spłaszczył i napuchnięty język sterczał z ust. Pamiętam, pomyślałem wtedy — typowe objawy mongolizmu. I coś mną wstrząsnęło nie mniej niż tym ciałem — jakby już na zgliszczach Wielkiego Chorezmu dopełniło się moje proroctwo.

Pamiętam — stałem osłupiały, a tam pulsowały tętnice, głębokie drgawki przenikały to nagie, wyprężone ciało, od głowy po stopy uwięzione w tkance mikrokontaktów. Ono żyło, chociaż nie miało ku temu prawa. Potworny metabolizm

zachował aktywność niezależną od czasu i całej anabiotycznej aparatury, nie poddając się nawet temperaturom bezwzględnie sprowadzającym każdy żywy organizm do głębokiego letargu.

Kiedy wreszcie odzyskałem mowę, zacząłem coś krzyczeć, domagać się od Synchronatu natychmiastowej eutanazji. Dosyć! Uśpij to albo zabij! — krzyczałem. — Niech przestanie wierzcąc niby zwierzę z przetrąconym kręgosłupem! Dobij to wreszcie!

Raven stał obok i milczał, a ja się miotałem, aż mnie zdjęty torsje i omal nie zwymiotowałem całego posiłku na szklane wieko sarkofagu, pod którym skręcało się ciało Endo. Przycisnąłem czoło do chłodnej szyby i wtedy dotarło do mnie to, co powiedział Synchronat: „Nie mogę”. Wiedziałem o tym i to właśnie było najstraszniejsze. Wyobrażałem sobie, jak musi cierpieć czerw, liść, drzewo o podcinanych korzeniach, każda pierwotna forma istnienia — nagle pozbawiona świadomości. Gdyby ją kiedykolwiek posiadała. Tak pewnie cierpiało to ciało. Synchronat zaczął tłumaczyć, że wypróbował wszystkie mniej drastyczne sposoby przynajmniej tymczasowego wyłączenia życiowych funkcji. Twierdził, że sondy mikron kontaktów zagłębione w kulturach tkankowych za każdym razem rejestrują gwałtowne zmiany chromosomowe poszczególnych komórek, zmieniające ich własności morfologiczne i immunologiczne. Pojawiają się przy tym nowe krótkotrwałe szczepy komórek, dokonujące raptownej adaptacji całego organizmu do skrajnie dlań nieprzychylnych warunków, oraz linie komórek o nienormalnej liczbie chromosomów — niespodziewanie zanikające, żeby dać początek i miejsce nowym populacjom. Niewiele z tego rozumiałem. Nie słuchałem prawie. Tylko obraz pozostał w moich oczach, w pamięci zjednoczył się z tłem Miedzianego Miasta, gdzie w rozłamię zielonego labiryntu tysiące trupów skręcało się w białe kamienie.

Nic dziwnego, że później nie potrafiłem zasnąć, chociaż osiem godzin przeleżałem w mojej kabinie — na wznak, ze wzrokiem wbitym w strop przezroczystego klosza. Zewsząd przeświecały wnętrza „Trieda” utkane z krystalicznych rozrostów, jakby szkielecików radiolarii splecionych w jeszcze większą kolonię. Mój kamień — tkwię w nim. Tylko igiełki lodu przekłuwają zeszywniałą błonę. Wielobarwne nitki światłowodów. Iskierki gwiazd.

Gotów byłem poradzić Synchronatowi: wystrugaj drewniany kołek i przybij to ciało do ziemi, przez serce — jak mnie moje gwiazdne gwoździe przyspiliły twardo na skrzyżowaniu dwóch czasów — mojego i Strefy Systemu. Lecz „Tried” wciąż wisiał w stożku cienia Planety osłaniającej nas przed gorączką Heliosa i, wobec tamtej Nocy — jakby się Skrzydła Czarnego Kruka utkane z kosmicznej przestrzeni, tuliły znowu do maleńkiego tułowia Planety — dziwnie miałkie wydały mi się lęki gnębiące mnie po tej stronie realności — w pełnym świetle dnia lub w pomieszczeniach luminowanych wnętrzy „Trieda”. Strefa Systemu opuściła nas na jakimś cienkim drucie, niby wahadło, prosto nad wylot tej studni wypełnionej przeraźliwą głębią. Cóż dla niej znaczą największe stopy trupów wypatroszonych z Miedzianego Miasta, co znaczą kości ludzi, gadów i innych szczerów — połknie wszystko, nawet okaleczone ciało Chorezmijczyka Endo. Razem ze stolicą jego Imperium. Wreszcie zielonym mchem porośla cembrowina studni i ponad szmaragdowy sierp Planety wyjrzał łeb Heliosa nastroszony protuberancjami. Poczulem znowu ulgę, jakby raz jeszcze zbawienna odwilż przeniknęła moje ciało sparaliżowane bolesnym spazmem. Byłem gotów zapomnieć o wszystkim, wstać, uśmiechnąć się do każdego — ktokolwiek stanie mi na drodze, a potem podreptać do starbolta i znowu próbować. Szczeniackie metody — od nowa węszyć w dżungli, szukać tropów wiodących do Miedzianego Miasta przez skutny mrozem płaskowyż, nurkować na dno oceanu, czort wie gdzie jeszcze. Tak można w nieskończoność. To

zupełnie tak, jakbym najbardziej bolesne pragnął zrozumieć odwracając się plecami do mocy piekielnych, zdrajców i morderców — piersią pod pieszczoty kolejnej atrapy Strefy Systemu.

Tknięty tą myślą zerwałem się z mojego legowiska i godzinę przynajmniej stałem nieruchomo, rozwartymi oczami wpatrzony w tarczę Planety. Świt tam pogłębiał strefę przyswajalną dla moich zmysłów — z drugiej strony ciemność się odsuwała powoli, niby potworna pancerna skorupa, która się uchyla, żeby obnażyć żywe ciało. I nagle zrozumiałem — wtedy właśnie, że nic mi innego nie pozostało, poza tym jednym, ostatnim sposobem, żeby cokolwiek dokonać — zanim mnie kosmos przyjmie na cmentarzysko dla kosmicznych wraków nie mniejsze od tego, na którym Planeta grzebie swoje dinozaury.

Byłem już zdecydowany, kiedy w drzwiach kabiny pojawił się Raven. Widocznie uznał, że dał mi wystarczająco dużo czasu, żebym się na coś zdecydował wreszcie.

Milczał i czekał. Przywdziałem więc na nowo skafander. Poszedł za mną. W śluzie przed gniazdem startowym starboltów automaty dokonały ponownej kontroli biologicznej ochrony i błyskiem neodymowych laserów podładowały bio-blokadę skafandrów.

Kiedy elektromagnetyczny tłok wypchnął starbolta ze złotej gilzy — prosto w przestrzeń — przejąłem stery i poprowadziłem ładownik. Nie zmuszałem ciała do znoszenia przeciążeń, przy których gaśnie świadomość. Nie goniłem za uciekającą strefą nocy. Postanowiłem lądować bezpośrednio pod „Triedem”, gdzie świt rozlewał akurat mleczne jezioro w niecce między czerwonymi skałami na wschodzie a zielonym gąszczem. Z jednej też strony, na dalekim planie, występowały szczyty gór wyspowych, z drugiej pod obłokami ginęły wulkaniczne kopuły i szerokie kaldery, z których ciśnienie wewnątrz globu wypiętrzyło kiedyś kolejne stożki stratowulkanów. Dzisiaj wszystko to było wystygłe — przynajmniej pod tym względem nic się nie zmieniło od czasów pierwszej wyprawy.

Pamiętam — Raven próbował protestować, kiedy zrozumiał, że wybrałem akurat to miejsce. Twierdził, że przyjdzie nam zdechnąć z nudów. Mimo to wylądowałem i postanowiłem czekać.

Jeśli trudno samemu w czymkolwiek się połapać najlepiej przysiąc na jakiejś mieliźnie i odczekać, aż wkoło przestanie się pieniać. Bodaj jeden prawdziwie pełny dzień na powierzchni Planety. Od świtu do zmierzchu. Może jeszcze trochę. Zawsze istnieje nadzieja, że starczy mi samozaparcia, żeby doczekać chwili, kiedy nade mną zwiną się skrzydła nocy.

Na razie rozciąga się pod nami olbrzymia równina, jak przystało na tropikalne okolice tutejszego równika ukształtowana przez silne procesy aluwialno—denudacyjne, z widocznymi już nad poziomem mgieł płaskimi kopcami gór wyspowych i ukrytymi jeszcze meandrami rzek tworzących wodospady na stromych stokach cofających się w kierunku starego górskiego masywu. Tyle z lotu ptaka rozeznałem w podczerwieni.

Tak też znaleźliśmy się tutaj.

Teraz stery przesunięte w pozycję STOP i korzonki palców wywleczone z tulejek biokontaktów.

Raven pólżył w fotelu drugiego pilota. Chciałbym móc cokolwiek odczytać z jego twarzy — jeśli ją ma. Wyraźnie widać, że coś go gnębi. Nazbyt spięte ciało nie potrafi się rozluźnić w przeżroczu amortyzacyjnego pęcherza.

A przecież to ja powinienem mieć nadszarpnięte nerwy. W głowicy starbolta sprzężony z jego motorami, a jeśli zabrakło tego wsparcia — per pedes, pedałowalem przez jakiś cholerny gąszcz, gnałem na złamanie karku przez mroczny las, zamiast się przylepić do jakiegoś pnia — przynajmniej z jednym drzewem dojść do ładunku, a przy

okazji pozwolić, żeby to COŚ, co mi nieustannie depcze po piętach, przebiegło obok. Mógłbym się przyjrzeć. Zanim znowu poczuję w gardle strach. Może dzisiaj uda mi się ten fortel.

— Raven — powiedziałem. — Zapamiętałeś, kiedy po raz ostatni widzieliśmy się we wnętrzu Miedzianego Miasta?

— A jak — mruknął niechętnie. — Właśnie się przylepiłeś do czyjegoś z wysiłku spoconego czółka.

— Dlaczego Natan nie domyślił się twojego istnienia?

— A, w tym rzecz — głos mu zabrzmiał z wymówką, jakbym pytał o coś aż nazbyt błahego. — Mam swoje sposoby.

— Gdzie zniknąłeś?

— Nie miałem zamiaru cię zostawić. Ani tego drugiego durnia. Byłem w pobliżu.

— O kim mówisz? — zapytałem.

— Ty sam sobie dałeś radę. Ktoś musiał zadbać o twojego hobbita.

A więc to tak, pomyślałem. I wreszcie poczułem ulgę. Jakbym cały ten czas poczuwał się do winy, że nie przyszedłem wtedy z pomocą temu karłowi, który nadstawiał cherlawej główki w imię swojego narodu. Dobrze, że ktoś to zrobił za mnie. A jednak w uszach ciągle mi się odzywał alarmowy brzęczyk, jak tamten pisk zdepiętego szczura.

— Co z nim? — zapytałem.

— A... — Raven machnął ręką. — Cieszy się dobrym zdrowiem. Czy to tak trudno domyślić się, że takich jak on stać na więcej niż to z pozoru wygląda? Ostatecznie potrafili przetrwać w Strefie Systemu.

Co też Raven wie o Strefie Systemu? — zastanowiłem się. Gotów byłem zagadnąć go na ten temat, gdy przypomniałem sobie postanowienie, aby przestać zadawać głupie pytania. Że głupie — mogłem się w mig przekonać; przecież mu dałem wolną rękę na pokładzie „Trieda”. Mógł się nawet podłączyć do Synchronatu — jeżeli potrafi. Czasu miał aż nadto.

— O czym zamierzałeś ze mną mówić? — spytałem.

— E, nic nadzwyczajnego. Po prostu jestem ciekaw, czy ty... — zawahał się. — Coś już kontaktujesz?

Mogłem to skwitować tylko mniej lub bardziej wesołym śmiechem.

— Domyślam się już, że tak naprawdę nigdy w pełni nie zrozumiem tego, co dzieje się na tej Planecie — powiedziałem.

— Istnieje coś jeszcze poza rozumem — odparł.

— Na razie zostawmy w spokoju metafizykę. Naprawdę czegoś się już nauczyłem. Jeżeli nie chcę się wpakować w symbolikę to tylko dlatego, gdyż nigdy nie byłem nawet przeciętnym teoretykiem i pewnie bym się z tego do reszty nie wyplątał. Tym nie mniej Horowitz bardzo się starał uczynić ze mnie swojego ucznia. Za każdym razem wywlekał więc w mojej obecności różne prawdy odgrzebane w zamierzchłych czasach. Kiedyś zrobił cały wykład uzasadniający twierdzenie Van der Leeuwa, który miał ponoć powiedzieć: „Wystarczy poznać mit, aby zrozumieć życie”.

Miałem wrażenie, jakby zatrzymał na mnie ciężkie spojrzenie ręcioviej żrenicy, zanim przerwał milczenie:

— Istnieją prawdy niedostępne dla jednostek — powiedział. — Może istota tej Planety w pełni wyjawia swoją naturę dopiero wobec penetracji „świadomości społecznej”?

— Oho! — zdziwiłem się. — Istnieje coś takiego?

— W procesie rozmnażania każda komórka przekazuje komórkom potomnym pełną informację dotyczącą ich składu, budowy i funkcji. Analogicznie rozmnaża się człowiek. Lecz wyspecjalizowane komórki tworzą układ nadrzędny czyli organizm, a



specjalizacja funkcji w kręgu stada pierwotnych ludzi powołuje do bytu społeczeństwo. Organizm może być obdarzony świadomością, prawda? Czemuż wzbraniać tego społeczeństwu, jeśli osiągnie odpowiedni poziom komplikacji...

— Jak Strefa Systemu — wyrwało mi się.

— Więcej. Cóż znaczy każde pokolenie z osobna — jakby się uśmiechnął do samego siebie. — Tak samo, jak w każdym z nas tkwi jego genealogia, tak samo żadna cywilizacja nie może przetrwać poza prawdą własnej historii. Prawdziwa PAMIĘĆ nie może być ograniczona w czasie.

— Świadomość nieograniczona w czasie — powiedziałem sam do siebie. — Wiesz, jak to nazwał Synchronat? Nadświadomością.

— Gdyż jest nadświadomością.

— Czy nie wydaje ci się, że to nadbudowa zaprojektowana ze zbyt wielkim rozmachem, aby posłużyć wyłącznie do zrozumienia jednej planety? — zapytałem.

— Kiedy mówię — Planeta, myślę — Kosmos.

— Cóż zostaje dla takich jak ja, którzy raczkując, pierwsi sparzyli sobie paluszki? Znów milczał chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Nie jesteś biologiem — powiedział bez związku.

— Nie jestem również filozofem — roześmiałem się.

— Fakt. Co prawda polecałem się na demiurga, a jednak... Zupełnie inaczej rozmawiałbym z Van den Bergiem, inaczej z Yongblodem czy Horowitzem.

— Nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

— Tak ci się wydaje. Siłą rzeczy tajemnice, nawet mimowolnie, występują w obrębie specjalizacji każdego z nas. A każdy z nich był specjalistą. Z jednym wdałbym się w pogawędkę o fizyce, z drugim o biologii, z trzecim wspólny język możnaby znaleźć w teoriach dotyczących ewolucji społeczeństw. Ty natomiast...

— Jestem niczym. To chciałeś powiedzieć?

— Elf...

— Nie krępuj się. Wy — tam, w strefie nocy, czy czort wie skąd pochodzisz, zapewne zjedliście wszystkie rozumy. Zresztą — jak tu wyłożyć prawdę o świecie, w którym połapać się może tylko — jak to nazwałeś — „świadomość społeczna”, a może i coś więcej, kiedy przed tobą siedzi specjalista od pilotażu!

Roześmiał się.

— A ja, doprawdy, potrafię latać nie tylko w atmosferach planet. Niezgorzej opanowałem nawigację w tym kawałku Kosmosu dostępnym dla mojej ograniczonej podświadomości. Daj mi dobrego starbolta, a zrobię z niego żółtą łódź podwodną lub kreta. Sondowanie gwiazdnych purchasek też mi nie sprawia większych trudności...

— Wiesz, jak to się nazywa? — przerwał mi Raven. — Tego rodzaju napady wesołości towarzyszą hebefrenii albo stanowią przygrzywkę do katapleksji.

Zamilkłem, jakbym dostał w pysk. Wszystko pokrewne schizofrenii nie musiało znów tak daleko odbiegać od prawdy.

— Zrozum mnie, Elf — na nowo podjął Raven. — Yongblod nie potrzebowałby specjalnie natężyć szarych komórek dla uzmysłowienia sobie ostatecznego obrazu tutejszej biosfery. Po prostu, orientując się w dialektyce ewolucji, musiałyby wydedukować fazę finalną, co nie znaczy — statyczną, eksplozji swojej bomby biogenetycznej. Van den Bergowi wyłożyłbym szczególną relatywistykę zjawisk fizycznych występujących w sprzężeniu Planety z Heliosem...

— I zrozumieliby wszystko?

— Przynajmniej zaprzestaliby prób przebicia głową muru.

— To niby ja?! — rozbawił mnie serdecznie; a ja tu wmawiam sobie, pomyślałem, że do niczego nie przyłożyłem ręki, co tam głowy!

— Największą sztuką jest uświadomić sobie, dlaczego się czegoś nie rozumie.

— Na fundamencie fizyki i biologii?

— Wszelkie gałęzie nauki podporządkowane są jednorodnej logice samoorganizującego się układu, jakim jest Wszechświat — wyjaśnił albo tak mu się wydawało. — Dobry fizyk powinien wyobrazić sobie, wydedukować, wyczuć — czort wie, jak to nazwać — jeśli nie budowę, to z pewnością funkcje każdego układu biologicznego. Oczywiście — na podstawie własnej orientacji w hierarchii zjawisk fizycznych. Tak samo psycholog, socjolog czy matematyk. Pewnie dotyczy to również genialnych artystów.

— Szczególny perfekcjonizm umożliwia wgląd w ogólną teorię?

Mógłbym do tego dodać, że w formacjach FL–Galax niewielu dorównywało mi w sztuce pilotażu — na szczęście przypominałem sobie, jak w mojej obecności Natan manewrował starboltem i jak do tego podchodził sam Raven.

— Naukę, czyli odzwierciedlenie Wszechświata w naszej świadomości, wyobraź sobie jako doskonale regularny kryształ — zaproponował mi zdobywanie sprawności z krystalografii.

— Każda dziedzina wiedzy jest w nim odrębną płaszczyzną. A jednak wszystkie razem przenikają się nawzajem i nawet te równoległe są określane dzięki związkom pośrednim. W tego rodzaju kryształach nie istnieje płaszczyzna nie rzutująca na wszystkie pozostałe, jak nie dzieje się to z żadnym ze zjawisk Kosmosu.

— Nie rozmawiasz z dzieckiem — zniecierpliwilem się wreszcie.

— Staram się mówić tak, jakbym rozmawiał ze sobą.

— I to cię usprawiedliwia — podchwyciłem skwapliwie.

— Przecież wykładasz mi elementarz. Każdą gałąź nauki determinuje ta sama logika nadrzędna. Fakt. Gorzej z interpretacją. Wynika z niej, że wystarczy opanować pewien elementarny ułamek całości, jaką jest Wszechświat, aby z tej wiedzy, z geometrycznie uporządkowanego układu atomów zebranych w komórkę elementarną, wydedukować nadrzędną geometrię kryształu. Żał mi Leonarda da Vinci, gdyby się mniej rozpraszał...

Raven roześmiał się prawie bezgłośnie.

— Poza tym — ciągnąłem. — Może jednokierunkowość jest krystaliczna, ale ogólną orientację cechuje za to sprężystość.

— Zgoda — przyznał Raven. — Dajmy więc szansę ogólnej orientacji. Od czego zaczniesz?

— Na początku był Wielki Dzień Boba Horowitza — powiedziałem. — A mnie do tej chwili trudno przyjąć za oczywiste, że wszystko, co się rozwinęło na powierzchni Planety, wywodzi się z inseminalnego zestawu Yongbloda.

— A więc przestań wątpić.

— Również fauna?

Skinął kloszem wypełnionego czernią hełmu.

— Człowiek? — zapytałem.

— Nie tylko.

Staralem się bodaj wzrokiem ogarnąć ten świat pod przezroczystym dnem głowicy starbolta. Dawno nie widziałem pejzażu równie pięknego. I spokojnego.

Mgły odpłynęły, rozwiały się jakby białymi kłaczkami sierści zdmuchniętej z obnażonej teraz ziemi. Bezpośrednio pod nami znalazło się rozlewisko wielkiej rzeki. Nigdzie nie dostrzegałem głównego nurtu — tylko strumyki i owalne jeziora. Po raz pierwszy trafiłem tutaj nad przejrzystą wodę. Starbolt odbijał się w niej jako czarna, otoczona seledynową aureolą, wielka kijanka z ogromnym kryształowym okiem. Z wysokości tych kilkunastu metrów widziałem rybi plankton przepływający tuż pod powierzchnią pozbawioną jednej zmarszczki. Ryby mieniły się barwami tęczy. Głębiej w pomarańczowych łąkach pełzały kraby i nieruchomo leżały ogromne, pąsowe

rozwiazdy — larwiane stadia tamtej mechanicznej *asterias rubens*. Ich ciała splecione ramionami sprawiały wrażenie, że w szuwarach rozpostarto płachtę sieci z misternej koronki. Na razie wpadło w nią tylko odbicie starbolta zawisłego w powietrzu niby bezszelestna wążka.

Co jeszcze? — pomyślałem. Co może być ponad człowiekiem?

Tylko trawy podnosiły się z ziemi. We wszystkich kierunkach. Mimo bezruchu powietrza kołysały się tym samym rytmem, jaki zapamiętałem od czasu pierwszej eskapady na powierzchnię Planety. Jeszcze dalej las od horyzontu podprowadzał sine pasmo dżungli kroczącej na oporowych pniach — las z Sherwood skradający się pod mury mojej twierdzy. Uśmiechnąłem się w duchu — cudaczne myśli. To była prawdziwa tropikalna dżungla; w ciemnozielonych kłębach koron zakwitało coś purpurowego i złotego, jakby płonące główne, które nawet w promieniach Heliosa sypią iskrami, to znów migotały wysrebrzone liście, z oddalenia podobne do powiewających płachetków aluminiowej folii. Czasami nad las wychylały się tysiny gór wyspowych, a od północy cały teren unosił się pędy mentacyjnymi stopniami, należącymi do odległej wyżyny. W tym pejzażu nie było ruin, kościanych zwałowisk i innych cmentarzy, czerwonordzawych skał, totemowych słupów ani nawet szklanych korzeni wyłaniających się spod powierzchni gruntu.

— Każda żywa komórka posiada nie tylko informację na temat własnej budowy — odezwał się Raven. — Zawiera również komplet danych na temat konstrukcji skończonego organizmu. Sęk w tym, że jedynie komórki rozrodcze potrafią realizować instrukcję przekazaną za pośrednictwem genów.

— Co z tego? — spytałem. — Wetknęliśmy w tę glebę kawałek szyszki — wyrosła sosna, posadziliśmy groch — jest groch, między nagietki przyplątało się nieco chwastów — OK. Choćby jednak tutejsza ekosfera na czynniki pierwsze rozłożyła drzewo genealogiczne każdego zielska, wracając do pierwotnych mszaków czy nawet glonów, choćby nawet późniejsza ewolucyjna akceleracja pozwoliła temu wszystkiemu osiągnąć takie stadium, kiedy strączki osiągną chmurek, aby skrzydlate ziarenka mogły pofrunąć wyżej jeszcze, bodaj ulecieć w kosmos...

— Elf!

— Daj skończyć. Mamy więc drzewa, trawy, grzyby, mszaki. Zgodzę się na owe plazmoidy, które przyhołubił ocean, jeśli już Yongblod popełnił kiks ze swoją konewką. Wytlumacz mi jednak, skąd tamte stada na stepie, cmentarzysko dinozaurów, a przede wszystkim — ludzka czaszka, którą wygrzebałem spod ziemi?!

— Cały czas właśnie tłumaczę — powiedział niecierpliwie. — Każdy organizm informację o sobie samym zawiera w komórkach rozrodczych. O sobie samym. Jeśli potomstwo różni się od nas, jest to zasługą wielu czynników, najpierw wpływających na zapis, potem na odczytanie informacji. W wypadku rozmnażania płciowego następuje jeszcze mieszanie puli genowej. Poza tym systemy genetyczne komórki nigdy nie są niezależne w efektach działania od niegenetycznych składników komórki. Są więc odchylenia w programach, lecz — sarna rodzi sarnę, sosna — sosnę, róża — różę. Na tej samej zasadzie można zbudować komórkę nerwową z informacji zawartej w komórce nerwowej, mięśniową z analogicznej, kulistą z kulis — tej i wrzecionowatą z wrzecionowatej. Lecz żywa materia danego biomu w ciągu ewolucji dokonuje jeszcze jednego zapisu, nadrzędnego dla zawężonego genetycznego opisu organów pełniących tę samą funkcję...

— Coś ty wymyślił, Raven!

— Trzeba było potencjału biogenetycznego tej planety, aby zostały odczytane tak zwane „puste miejsca” w spirali DNA.

— Niech to wszyscy diabli! — zakląłem.

— Dlatego ten świat, który nas otacza, zawiera wszystkie formy, jakie

kiedykolwiek spełniły się w biosferze Ziemi. Jesteśmy tylko komórkami większego od nas organizmu. Mnóżmy się, lecz jest w nas również pamięć całej biosfery, która nas ukształtowała w ciągu ewolucji. I przeszłości tej wystarczy aż nadto, żeby określić tendencje dalszego rozwoju.

— Więc to... — nie wierzyłem niczemu z tego, co przede mną roztaczał, chociaż przemawiał do mnie głosem Yongbloda, a temu przywykłem wierzyć we wszystko, co dotyczy materii ożywionej. — Wystarczyło...

— Uzyskalibyśmy ten sam efekt, gdyby tę Planetę zapłodnić klonem jednej żywej komórki. Garść nasion była zupełnie zbędna.

— Ale przecież to, Yong? To jest...

— Genotyp biosfery.

## Jak tu zielonooko

Dziwaczna to była teoria, chociaż nie pozbawiona logiki. Przynajmniej w tym miejscu Kosmosu.

Tutaj, choćbym nie wiem jak starał się wszystko dokoła ogarnąć wzrokiem, zawsze zostawał pewien margines wciąż nieosiągalny. Gotów byłem uwierzyć, że nawet w polu mojego widzenia istnieje coś dla mnie nieuchwytnego, wahającego się na granicy magicznego okręgu. Spostrzegłem się, że odruchowo strzelam w bok oczyma. Śmieszne próby uchwycenia, przyłapania na gorącym uczynku czegoś, co ustawicznie wymyka się percepcji moich zmysłów. Tak samo pojęcie genotypu biosfery balansuje na przytępionym ostrzu mojego zdrowego rozsądku.

Ogromna, rozplamiona w atmosferze tarcza Heliosa wspięła się wysoko. Długo rozmawialiśmy z Ravenem o sprawach, które z pewnością na zawsze pozostałyby poza kręgiem moich zainteresowań, gdybym tu wrócił z dawną, tą lepszą załogą „Trieda”. Podrzucałbym ich tu i tam w nosidłach starboltów, dokonywał sztuk zręczności, aby im nie nadwerężyć karków nadmiarem przeciążeń. Miałbym z Ulamem mały turniej w ekspresowej dostawie niewiernych Tomaszów w takie miejsca, gdzie gleba dojrzała do narodzin nowych koncepcji. A oni by dyskutowali ze sobą. Yongblod dostałby wypieków na twarzy, Horowitz chichotał z uciechy, a w miarę zrównoważony Van den Berg pewnie by tylko patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. A ja — cóż, mógłbym najwyżej obserwować, jak mu na czole występują krople chłodnego potu.

Raven też nie czuje się pewnie. Kiedy się rozgada, jego ciało odzyskuje swobodę w przeźroczu fotela. Potem sztywnieje znowu. Czyżby mu zasmakował indywidualizm wyniesiony spod mrocznych skrzydełek nocy? Nic więc dziwnego, że brak mu ochoty na bierność wobec bliskiego Potopu.

Jakie to zabawne — pomyślałem. — Jednym nie leży „społeczna świadomość”, inni do niej właśnie się garną, w niej upatrują swoją nirwanę. Vide — Synchronat. Stąd nie ma problemu czy maszyna może być obdarzona świadomością. A raczej — poprzeczka powędrowała wyżej. Różnica między maszyną a człowiekiem zarysowuje się dopiero wtedy, gdy zdołamy, każdy z osobna, dostąpić swojej Nadświadomości poza dominantą narodowych, klasowych, mechanicznych sprzężeń, bez których ona nie potrafi się obejść.

I pod tym względem Raven powinien być zadowolony. Oczekiwał rewanżu — daję mu szansę konfrontacji. Niech to będzie moim z kolei zaproszeniem do tańca. Nie wypada odmawiać. Dlatego siedzi ze mną i czeka. I stara się zabić czas rozmową o sprawach tu i teraz wcale nie najważniejszych.

Wiem o tym. Stąd tak mi się dłuży piekielnie. Chciałbym chwilami wrócić myślami do tamtego miejsca, gdzie siedziałem naprzeciw Liany — cokolwiek by o niej mówił Natan. Przynajmniej w myślach — skoro brak usłużnego Synchronatu — chciałbym dotknąć jej ręki, raz jeszcze się upewnić czy rzeczywiście jest tym ciałem, które coś we mnie obudziło ze stuletniej drzemki. Tak niewiele trzeba, aby wyobraźnią dopełnić tamtą czerń w pustym pokrowcu skafandra — potem wyciągnąć rękę i przygarnąć pożądane ciało.

Nie powinienem myśleć o tym. Jeżeli Raven posiada zdolność czytania moich myśli, gotów to potraktować zbyt dosłownie. Łatwo powiedzieć — nie myśleć, kiedy mnie oczy bolały już od ustawicznego wpatrywania się w połyskliwe zakola strumieni. Nurt rzeki wiązał się poza łachami pomarańczowych wydm albo w rozkołysanym sitowiu. Gdzieś tam też główny nurt załamywał się na skalnych uskokach i wodne masy przerzucał z tarasu na taras. Istnienia katarakt mogłent się domyślić dzięki dziwacznym efektom nad kotłami wrzących koloidów. Lotniejsze pęcherzyki piany podrywały się tam wysoko w powietrze, polatywały nad drzewami. Tu i ówdzie dostrzegałem migotliwe dymki, jakby w nich krążyły ogromne rojowiska owadów o tęczowych skrzydłach. Czasami podobne do mydlanych bańki garnęły się aż w bezpośrednie sąsiedztwo starbolta. Teorie Ravena mogłyby z nimi współzawodniczyć tak samo w lotności, klarowności, połyskliwości, jak — zapewne — w trwałości. Tym nie mniej wciąż wodził mnie po manowcach prawdy o tym świecie. I w jego głosie znalazła również potwierdzenie moja własna senność. Próbował dać mi ogólne pojęcie o mechanizmach doboru naturalnego, o dziedziczeniu i ontogenezie. Chwilami wpadałem w pułapkę i znów mi się zdawało, że siedzi przy mnie żywy Yongbłod. Szybko się pozbyłem tych złudzeń. Wystarczyło posłuchać uważniej. Raven nie posiadał tej precyzji wysławiania się, która cechuje popularyzatora z prawdziwego zdarzenia.

— Wyjaśnienie natury ewolucji jest rzeczą niezmiernie trudną pomimo tego, że jej siły motoryczne i układy sterujące zostały zasadniczo określone — ciągnął bezbarwnym głosem. — W wypadku rozmnażania bezpłciowego jedynym źródłem zmienności genetycznej są mutacje. Natomiast gdy rozpatrujemy rozmnażanie płciowe, gdzie zachodzi łączenie genów w zygotach, o zmienności genetycznej decyduje również wymiana genów oraz ewentualne ujednocianie puli genowej w kierunku zapisu najbardziej uniwersalnego dla populacji w ramach danego środowiska.

— Co decyduje o szybkości ewolucji? — przerwałem mu.

— Zasób pewnych genów wnoszących nowe wartości organizacyjne wzrasta wraz z przemianą pokoleń, niejako rozprzestrzeniając się w obrębie całej populacji. Udział innych genów w tej puli ustawicznie maleje. Tak więc za miarę tempa ewolucji można przyjąć tempo wymiany genów w całej populacji.

— Nie odpowiedziałeś. Chcę wiedzieć, co określa takie czy inne przyspieszenie ewolucji? — nastawałem.

Zaczął się płatać. Tłumaczył coś długo i zawile, zrozumiałem z tego tylko tyle, że gdybyśmy ujęli rozszady genów statystycznie — to znaczy zakładając wyłącznie losowe kojarzenie się genotypów — uzyskalibyśmy w efekcie zupełną równowagę stosunków ilościowych genów w danej populacji, niezmienną z pokolenia na pokolenie. Jest to znane w teorii ewolucji prawo Hardy'ego–Weinberga. Wynika z niego, że wobec wymiany genów zgodnej z probabilistyką, tempo ewolucji musiałoby równać się zeru. Tak więc motorem ewolucji mogą być tylko odchylenia od założonego idealnie losowego doboru genów w toku rekombinacji.

— Teraz dopiero stajemy wobec rzeczywistych motywacji postępu ewentualnie stagnacji ewolucji...

Raven chyba sam nie bardzo wiedział, do czego zmierza.

— W ogromnej bowiem większości zjawisk dobór par genów, mających w efekcie skonstruować genotyp potomny, nie jest przypadkowy. Dla przykładu: stosunki ilościowe genotypów osiągających poziom reprodukcyjny różnią się dla różnych typów osobników. Chociażby w wypadku człowieka o kojarzeniu się par decyduje również wygląd zewnętrzny, umysłowość, stan zdrowia, aktualnie modny typ urody czy prosta możliwość nawiązania kontaktu w ramach ograniczonego środowiska, od innych różniące się przewagą występowania pewnych charakterystycznych cech dziedzicznych.

— Preferencja silnych mięśni, długich nóg albo niebieskich oczu? — zaśmiałem się.

— W ograniczonym modelu, oczywiście — potwierdził Raven. — Tym samym dodatni lub ujemny nacisk selekcyjny wpływa na kształcenie nowych cech w genach odpowiedzialnych za całość populacji. Do czynników motywujących odchylenia od prawa Hardy'ego–Weinberga zaliczamy również mutacje o efekcie dominującym, na które jest w stanie natychmiast zareagować dobór naturalny, oraz mutacje recesywne, wobec których dobór naturalny wykazuje doraźną bezradność, lecz której konsekwencje mogą zaciążyć nad przyszłym obrazem populacji, kiedy wszystkie lub większość genotypów zostanie zaopatrzona w cechę mutacyjną. Zresztą wszelkie mutacje skokowe, radykalnie zmieniające cechy podstawowe genotypu, mają charakter letalny. Szansę wniesienia innowacji w daną populację mają wyłącznie mutacje czasami zupełnie marginalne. Co najwyżej bowiem nagromadzenie kapitału małych zmian cech rzutuje dopiero na zasadnicze zmiany ewolucyjne. Na równowagę określoną prawem Hardy'ego–Weinberga ma też wpływ wielkość populacji. Przecież tylko duża liczba rekombinacji zapewnia statystyczną równowagę genów. W mniejszych populacjach istnieje niebezpieczeństwo dryfu genetycznego, co nie ma nic wspólnego z ewolucją. Co prawda w niewielkich populacjach dryf genetyczny spełnia rolę doboru naturalnego, lecz rządzi nim raczej przypadek. Od czego jednak zależy sama zmienność genetyczna? W dużej mierze na tempo ewolucji wpływają zmiany środowiska. Stąd, na przykład, szybszej ewolucji podlegają organizmy lądowe niż morskie...

— Dlaczego?

— Dynamika zmian środowiska na styku wody, ziemi i powietrza zdecydowanie przewyższa nasilenie jakichkolwiek perturbacji w przysłowiowej ciszy morskich głębin.

— Oderwijmy się od tego dna i zejźmy z obłoków — powiedziałem. — Załóżmy, że już nieco pojmuję, na czym polega ewolucja. Wytlumacz mi tylko, skąd na tej Planecie wzięło się cmentarzysko dinozaurów.

Usłyszałem tylko zrezygnowane westchnienie Ravena. Yongblod też twierdził zawsze, że moje tendencje do czepiania się drobiazgów często tylko mi przeszkadzają w spojrzeniu na całość z odpowiedniego dystansu.

— To nic nie znaczy — odparł Raven. — Cechą ewolucji jest proces radiacji adaptatywnych. Na wszystkich szczeblach historii rodowej każdego gatunku rozgałęzia się układ grup pochodnych. Tak pierwotny typ ssaka dał początek kilku liniom zwierząt współczesnych; drapieżnikom, zwierzętom roślinożernym biotomu stepowego, leśnego, pustynnego, ukierunkował się w nisze ekologiczne wykształcając ssaki nadrzewne, latające, ryjące i pływające. Z kolei linia ssaków nadrzewnych zawiązała swój układ radiacji adaptatywnej dokonując rozdziału na małpy, tarsjusze, małpy człekokształtne i ludzi.

— Do rzeczy — ponagliłem.

— Jesteśmy bliżej niż sądzisz. Jeśli ci od razu wetknę w zęby gotową fujarkę i tak

mi nie dasz spokoju napastowaniem — jak na tym zagrać.

— No więc?

— Kilka z tych linii może ulec zagładzie, lecz nie zakłóca to ogólnego ciągu ewolucyjnego. W skali tej Planety podstawą rozgałęziającego się drzewa genealogicznego jej biosfery jest jedna praktycznie, jedyna komórka, ale zapożyczona z innej ekosfery. Nie jest więc pozbawiona obciążenia ziemskiego biologizmu. Mówiąc prościej: najpierw trzeba przegrać kryształ tranzytywizatora, żeby potem wyciągnąć wnioski.

— Przecież biogenetyczny fenomen tej Planety nie powinien upuścić żadnej szansy zachowania gdzie indziej wymarłych gatunków! — nadal to wszystko nie trzymało się kupy.

— Ewolucja nie jest procesem windującym określony gatunek. Choćbyśmy bardzo chcieli dla siebie zarezerwować to miejsce. Mamy tu do czynienia ze strukturą analogiczną archi—tekturze drzewa. Podstawę pędu liści stanowi gałązka, gałęzie wyrastają z konarów, konary zbiegają się w pień, u którego podstawy znajduje się pierwsza komórka. Spojrzałem na niego zaskoczony.

— Wiesz, co — powiedziałem. Zawsze wiązałem z symboliką drzewa. U podstawy Drzewa Kosmosu znajduje się praatom, pniem jest przestrzeń i materia — rozwijające się w czasie, konarami gwiazdy, planety to wiotkie gałązki...

— My natomiast i wszystko, co żywe, to listowie przyklejone do tych gałązek? — dokończył za mnie.

— Z drobną poprawką: liście to wszelkie formy świata roślin i zwierząt. Rozum jest kwiatem.

— A niech cię diabli! — zawołał. — Oto patos przemówił przez pępek Wszechświata!

Śmiał się.

— Nie powiedziałem: „człowiek” lecz „rozum”. Co zresztą nie zmienia zasadniczego pytania: CO DALEJ?

Milczał długo.

— Kolejna radiacja adaptatywna — powiedział wreszcie. Tym razem ja miałem powód do wesołości. Wyobraziłem sobie kilka takich rozgałęzień, u których podstawy byłby proton pseudos gatunku homo sapiens. Omal nie parsknąłem śmiechem, gdy — nagle — przypomniałem sobie ten ułamek rozwarstwień Strefy Systemu, jaki udało mi się przeniknąć: Natan i jego androginia, współplemieńcy Endo i wreszcie gnomy, karty — czort wie co jeszcze. Z pewnością nie wszystko.

— Ta Planeta jest tego dowodem — dodał Raven.

— Wskaż palcem — zaproponowałem.

Poruszył się i miałem wrażenie, że czarnym okiem pod szklaną powieką hełmu poszukał pozycji Heliosa.

— Będziesz miał dowód — powiedział. — Już za parę godzin.

Obrzmiała tarcza Heliosa chyliła się ku zachodowi. Czerwone oko w środku zielonego czoła — jakby zamierzało wzrokiem zanurzyć się w atramentowej plamie nad horyzontem. Tam, gdzie ocean. Czoło za sobą w antypody pociągnie pasma chmur—włosów, na pół doby odpłynie twarz pochylona nad retortą, w której wciąż jestem embrionem. Kiedy mnie spuści z oczu Wielki Animista Kosmosu, przez szyjkę szklanej kolby będę mógł wyjrzeć w kosmos wypełniony gwiazdami. Pod jedną z nich się narodzę — w zenicie wisi gwiazda „Trieda”.

— Ewolucja — mruknąłem. — Zgodna. A jednak uwzględnijmy tempo, jakie ziemskiemu modelowi biosfery nadała ta Planeta. Tutaj wszystko powinno zmieniać się w oczach. Jak było tamtej nocy, kiedy Yongblod wysiał swoje ziarna a Horowitz zwariował. Powinniśmy mieć tutaj prawdziwy kocioł czarownic! W piekielnym

kołowrocie — kiełkowanie, zdychanie, walka na śmierć i życie o każdą piędź ziemi, wody i powietrza, nieustanna ruja, śmierć i odrodzenie. Tymczasem... popatrz. Nigdzie nie widziałem większego spokoju.

Poczułem dziwne mrowienie od karku do czoła, jakby to nie Endo nie potrafił skonać, lecz moja własna czaszka rozłupała się grzebieniem szkarłatnej blizny.

— Jeśli coś zakłóca ten spokój, to tylko nasza obecność — powiedziałem.

— Ewolucja wypełniła ostatecznie niszę ekologiczną kosmosu ograniczoną do tej Planety — zmęczonym głosem odezwał się Raven. — Przemiana pokoleń? Istnieje. Jako relikwiarz niekonieczny wcale. Te wszystkie rośliny i zwierzęta, również to, czego nie dostrzegłeś nawet, stanowią tylko podstawę własnych układów rozgałęzień. Każdy egzemplarz jest tylko kamieniem węgielnym, jest — na powrót — pierwszą komórką nowego genealogicznego drzewa...

— I dokąd to wszystko zmierza?

— Drzewa rosną na różne sposoby. Nawet reprezentując ten sam gatunek jedne są krzywe, inne strzeliste jak maszty, czasami tworzą systemy konarów, to znów zielenią się dopiero przy wierzchołku palowego pnia. Jedne mają mniej słońca, inne nadszarpię wiatr, ale wszystkie one zmierzają do tego samego celu.

Nie musiałem pytać, co ma na myśli. Natan też nie bez podstaw, choćby tylko urągał, proponował mi poszukania nowych braterskich przymierzy.

— Do tego samego celu — westchnąłem. — Mówisz tak, jakbyśmy my i cała ewolucja zostali nakręcani niczym mechaniczna zabawka. Różne typy zegarków — słoneczne, wodne, piaskowe klepsydry, zegary mechaniczne, elektroniczne i atomowe. W dodatku zabrakło zegarmistrza, który by to zsynchronizował. Każdy zegar w innym więc tempie odmierza czas, lecz wszystkie i tak, prędzej czy później, osiągną tę samą północ. A wtedy — bim-bam! — godzina duchów!

Gdyby cokolwiek z tego miało rację bytu wszystkie rośliny pod dnem starbolta mogłyby rozchylić powieki liści i w moją stronę skierować lekki wytrzeszcz zdumionych, zielonych oczu.

— W ten sposób rozumując Nauka też jest „nakręcona” — powiedział Raven z nagłym rozbawieniem. — Jej rozwój przebiega wyłącznie wzdłuż torów założonych w strukturę Wszechświata. Ani trochę w bok. Zawsze zgodnie z empirią, choćby czasami szwankował nam błędnik wycucia, choćbyśmy od czasu do czasu na własny użytek musieli się okręcić wokół twardych do zgryzienia sęków. Czyż prawda Nauki może się rozminąć z rzeczywistymi prawami Wszechświata? Nie na długo. A więc przyrodoznawstwo musi być uwarunkowane, gdyż rozwija się wewnątrz analizowanego układu. Tak również rozumując można w istocie dojść do wniosku, że ewolucja nie jest zjawiskiem losowym, że my sami, wraz z całą naszą cywilizacją, jesteśmy tylko n-tą godziną na ogromnym cyferblacie, po którym strzałka postępu zmierza do kulminacji już założonej w naturę Wszechświata. Jeśli to w nas budzi nieprzychylny oddźwięk to z tej wyłącznie przyczyny, że przykładamy tu nieodpowiednie słowo. „Nakręcony” znaczy to samo, co „zaprogramowany”. Należy jednak pozbawić te słowa zabarwienia lokalnym, ludzkim atawizmem. Kosmos jest po prostu układem o najwyższym z możliwych stopniu komplikacji. Posiada więc także swój PROGRAM. Siłą rzeczy musimy być mu podporządkowani... Pytałeś: CO DALEJ? Chciałbym cię wprowadzać w niuanse nowych radiacji adaptatywnych, a przecież — przedtem jeszcze... Uciekając się do twojej własnej poetyki: KWIAT WYDAJE OWOC.

Trawy pod nami kołysały się ciągle tym samym, usypiającym rytmem. Dalekie drzewa połyskiwały zielonymi, złotymi, srebrzystymi liśćmi. I nagle wydało mi się, że świat ten jest do mnie tak samo nastawiony, jaką postawę ja przyjąłem wobec niego — jest wyczekujący. Może niezupełnie — za palisadą pierwszych pni, za maskującą



siatką liściastych koron, inne drzewa już się przybrały w coś przypominające aluminiową folię — zwierciadlaną zbroję.

KWIAT się rozwinął wspaniale, wszystkimi tęczkami, na jakie stać biosferę. Teraz czeka na ostateczne dopełnienie, żeby zamknąć cykl, poza którym przed każdym drzewem otworzy się perspektywa następnej radiacji adaptatywnej.

Przypomniałem sobie, co Raven powiedział nieco wcześniej: „Ewolucja wypełniła ostatecznie niszę ekologiczną tej Planety”. A więc — doskonała równowaga. Aby cokolwiek jeszcze ruszyć z miejsca trzeba było wynaleźć czynnik, który dynamicznie włączy się w zastój środowiska. Probabilistyka kosmosu wezwała więc posiłki ze Strefy Systemu. Każda zmiana zaczyna się od wyburzania. Czyżby to znaczyło, że nie kto inny, tylko Natan właśnie najbardziej z nas powołany jest do spełnienia swej roli w tym świecie?

Poczułem chłodny pot ciekący mi po krzyżu, ledwie go nadązały zlizywać biotroniczne urządzenia skafandra.

Trzeba dokonać rachunku sumienia na tym szczeblu ewolucji, na jaki udało się wdrapać — każdemu z nas. Może sumę dokonań uda się zjednoczyć w owoc. Dlatego każdy ułamek życia tej Planety posiada swój rozum, choćby czym innym była świadomość roślin, zwierząt i człowieka. To i tak tylko przygrywka do tańca. Na razie wszystkie zielone liście, ramiona rozgwiżdż i ciemne zgęstki w zeszlonych grzbietach skorupiaków — patrzą na mnie i nie potrafię ukryć się przed ich wzrokiem.

A tamto cmentarzysko, ostatnie pole wielkiej bitwy, która w cień usunęła erę gadów? Zdarzają się kwiaty bezpłodne.

— Istnieją kwiaty nie potrafiące zaowocować — powiedziałem.

— Tak samo ludzie — zgodził się.

Tak samo całe planety, dodałem w duchu. Poza tą jedną jedyną, wyznaczającą biegun kosmosu górującą nad zgrzybiałą Titonos.

Jeżeli wystarczyło dwieście lat, abym — bawiąc się w Odyseusza — zamiast do domu trafił do Strefy Systemu; ile czasu potrzebowała ta Planeta na dokonanie tego samego? Czyżbym i tutaj wkroczył już tylko w dekoracje przygotowane na moje przyjęcie? Scenografia z żywej papier-mâché, z zielonej sklejki, z blach pokrytych grynszpanem i listew giętkich jak trzciny lub twardo w ziemi osadzających pnie drzew. Kolejna atrapa? A poza czarną kurtyną monstrialny świat, z którym bezpośredni kontakt mógłby mnie, co najwyżej, pchnąć w ślady Horowitza? Nazbyt to proste, aby ta sama możliwość jednocześnie spełniła się tam i tu. To moje przewrażliwienie dopatruje się żywej maski na twarzy mojej pięknej nieznajomej. Może wcale nie trzeba szukać głębiej? Czy Natan to właśnie miał na myśli, kiedy wyszydził moją pamięć, która ostrym skalpelem wyryła w sercu miraż tamtych oczu ogromnych, podkreślonych fioletem powiek, warg rozchylających się pąsowym, wilgotnym z pożądania kwiatem — a jeszcze chciałbym szukać głębiej. Czasami tego właśnie nie wolno czynić. Najlepiej ręce i płeć skrzyżować z tym, co przeznaczone dla siebie — i nie wnikać głębiej, żeby potem nie toczyć w koło obłądnym wzrokiem i, jak Horowitz, wołać — soma! soma!

Na razie, choć przykładalem ucho, wzdęty brzuch Planety nie wydał z siebie ani mechanicznego chrzęstu ani bełkotu tego płodu, który się jeszcze nie objawił w moim realnym kosmosie. Cokolwiek tam się zawiązało, po stronie Nocy, podrzuciło mi skąpą jałmużnę — demiurga, przewodnika, towarzysza zabaw i marnego kochanka. Zjawił się — czort wie skąd, prawdę mówiąc. Teraz nie spieszy się wracać.

Wie doskonale, że i tak nie sposób w nieskończoność uciekać przed Nocą. Pewnie stąd niepokój Ravena — musi się spodziewać, że rekwizytornia Planety, prędzej czy później, upomni się o skafander i szklaną czaszkę hełmu wydaną dla komandosa powołanego do specjalnych zadań.

Pomyślałem to i — akurat wzrok opuściłem — dostrzegłem nagle, że coś na mnie patrzy spoza kurtyny zdobnej w żywe falbany. Tam właśnie, w dole, zakipiało bagno, pęcherzyki gazów rozmnożyły błękitną i pomarańczową ikrę, szerokim kręgiem zakołysały się szuwały i wreszcie coś od spodu pchnęło żółte męty. Zamacona woda wyrzuciła się w naszą stronę. Szlam i nitki zielonych glonów spęzły na boki, woda splukała resztę nieczystości. Tylko czerwone rozgwiazdy trzymały jeszcze przekrwioną powiekę, aż i one rozdarły misterną koronkę.

Z kipieli mokradeł na dzienne światło wychyliła się kula ogromna, biała — przez moment ślepa, zanim spod ilów, korzeni i rzęsy wytrzeszczyła zachłanne oko tych, którzy zawsze zdążą tam, gdzie ma się coś wydarzyć.

## Skrzydła czarnego kruka

Zdawało się, że ogień Heliosa nie będzie się miał pergaminu nieba impregnowanego zielonym sokiem — a jednak poźółkł cały nieboskłon. W głęboką pieczarę odchodziła krwawa pochodnia. Za nią został step tłący się coraz szerzej, jakby zwierciadło nieba zebrało w sobie te wszystkie pożary na południowym brzegu Syr-darii i pod murami Chodżentu, wzniecone przez koczownicze hordy. Wreszcie dostrzegłem głębsze zwęglenia — cienie chmur zawężyły szpary wypełnione jeszcze zielonym światłem i trwało to tak długo, aż łopianowy liść nieba zwęglił się doszczętnie. W miejscach wykruszonych między trwalszymi żyłkami, w tej kopule z popiołów ulepionej nad nami znaleźć można było iskry ognia — noc się zapowiadała zwyczajna, wypełniona gwiazdami.

Poszukałem wzrokiem tej najjaśniejszej — „Tried” czuwał nad nami.

— ...Gněbi cię myśl, że fakt twego istnienia i wszelkich poczynań może się okazać zdeterminowany do tego stopnia, aż „wolna wola” człowieka okaże się iluzją, a raczej — sprytną zachętą, żebyś uwierzył w ten przywilej wynoszący cię ponad inne żywe formy — mówił Raven. — Ktokolwiek bowiem uwierzył w swą wrodzoną wyższość, przestaje piąć się wyżej. Tak samo przy ślepej wierze w określoną ideologię gorliwym wyznawcom wydaje się zbędne, aby jej słuszość potwierdzać na codzień. I tak — idący błędną drogą posuwa się do przodu, a ty — wybrałeś właściwy kierunek. Drgnąłem, kiedy się zaśmiał chrapliwie. — Tak wygląda samoobrona przed unicestwieniem od strony społecznych i biologicznych struktur — ciągnął. — Tutaj leży przyczyna upadku gatunków, dawnych kultur i cywilizacji. Jeśli brak dynamiki, aby radykalnych cię dokonać wewnątrz społecznego czy biologicznego organizmu, wtedy ewolucja zaprasza na swój szafot i bez litości tnie ostrzem gilotyny. Każda jednak organizacja tworząca pewną homeostazę broni się przed rewolucją. Raczej zginąć — niż zmienić naturę. Masz więc swoje poczucie wolności, a nie będziesz się starał wyłamać z ram określających twój gatunek.

Wciąż więcej uwagi poświęcałem metamorfozie krajobrazu zmieniającego barwy w zapadającym zmierzchu. Nazbyt mnie pochłaniał, aby się w pełni skoncentrować na monologu Ravena.

Niby mrok dawno powinien się wkoło zasklepić szczelnie, a jednak Helios bez śladu nie przepadł za horyzontem. Raczej się rozplynął czerwienią tuż nad powierzchnią dalekiego oceanu, w łuk wygiął nitkę światłowodu zawieszoną nad kontynentem, dwoma końcami uchodzącą w morze. Tak to wyglądało, jakby Dzieci Lewiatana zbudowały wreszcie promenadę godną skali przedsięwzięcia mającego za zadanie cały świat przybliżyć głębinom na tyle, aby go można było objąć wzrokiem nie ruszając się z podwodnego miasta.

W martwym polu zostało jedno lokalne OKO. Jasnym ogniskiem płonęło pod nami. Powiniennem się czuć zaszczycony.

Od białej kuli rozchodziły się mleczne smugi tuż pod powierzchnią wody. Nabierała mocy fosforescencja planktonu i jarzenie się szkarłatnych rozgwiazd — żywych koralu nanizanych na szeroko rozpostarte sznury. Coraz też gęściej migotały cekiny rybiego drobiazgu. Białe perły z ciemnej głębi bagna błyskały perłową macicą niby w muszli ogromnej, jeszcze rozchylonej niepewnie — czasami się wrywały z kołyski i biegły ku powierzchni, żeby się rozprysnąć pęcherzykiem powietrza.

— Rozwój płodowy i dojrzewanie każdego organizmu nie jest niczym innym jak odczytywaniem instrukcji założonej w pierwszą komórkę. Realizacja tego programu możliwa jest również tylko dlatego, gdyż istnieje pewna luka w środowisku, już gotowa na przyjęcie ciebie, którą możesz wypełnić. I, aby przetrwać, musisz się wpasować w tę enklawę ekologiczną, w system praw i obowiązków, które będą odtąd spoczywać na tobie, musisz zadośćuczynić nadziejom pokładanym w tobie.

— Obawiam się, że moja osoba może dać komuś tylko powód do rozczarowań — powiedziałem.

— Tylko tobie samemu. Masz prawo być dinozaurem.

O tak, pomyślałem, to jedno zostało kosmicznym wrakom — móc złożyć kości na cmentarzysku tych, którzy odeszli bezpowrotnie.

— Pozwól, że się posłużę twoją logiką — zaproponowałem.

— Zgoda, Raven?

— No! — westchnął. — Coś jednak zyskałeś.

— Bardzo pięknie przedstawiłeś to oporządzenie homo sapiens prawami Wszechświata. A więc mam chyba prawo posłużyć się zasadą sprzężeń zwrotnych w pewnym czysto teoretycznym rozumowaniu?

— Na jakiej zasadzie? — spytał wyraźnie zaintrygowany.

— Twierdzisz, słusznie zresztą, że funkcjonowanie każdego organizmu w realiach praw przyrody zobrazować można za pomocą prostego modelu drezyny albo parowozu wjeżdżającego na uprzednio przygotowane tory...

Roześmiał się znowu.

— Idźmy dalej: człowiek dlatego posiada nogi, gdyż we Wszechświecie istnieje zjawisko ruchu, które należy do maksimum zużytkować. Człowiek posiada ręce, gdyż materia tworzy kształty, które trzeba móc czymś określić i, ewentualnie, zmienić. Człowiek również posiada oczy i uszy dlatego tylko, że we Wszechświecie występuje promieniowanie tudzież drgania materii — jako nośniki informacji wartej zarejestrowania. I cały czas mamy sprzężenie zwrotne. Aż tutaj, ni z tego ni z owego, posiada człowiek ROZUM, a są i tacy, co dopatrują się DUSZY. Niby to jak — COS Z NICZEGO? Ot, tak — sobie a muzom?

Milczał. A mój wzrok znowu ciążył do ziemi, gdzie światło prześlizgiwało się w cienkiej szybie — w tafli zeszkłonej, między powierzchnią a dnem zamulonym. Poświata kurczyła się w zawężeniach przeswitów sitowia rozchylonego wtedy, gdy dociekliwe OKO wychynęło nad ily i płytką wodę. Czym dalej, tym ciemniej. Noc siada okrakiem na wiechy sitowia i kłosa łechcące płec ciemną. I coś się tam dzieje, coś zmienia — zwykłe łodygi, korzenie i liście rozłazą się w otulinę zwiewną garnącą się w stronę starbolta.

— Powiedziałeś ROZUM — Raven odezwał się wreszcie. — A jeśli ci odpowiem, że nawet to nie oznacza niczego?

— Co jeszcze?

— Jak każda roślina i zwierzę również gatunek człowieka wślizguje się w pewną niszę ekologiczną, wypełnia ją — jak woda napełnia naczynie naśladując jego wewnętrzny kształt. Wykluliśmy się w biosferze Ziemi i jej naczynie wypełniliśmy

sobą — po brzegi. Nawet się nieco przelało przez krawędź. Już w inne naczynie. Czy ROZUM wystarczy, aby je uczynić przytulnym tak bardzo, aby się znowu stało ciasne? Czy ciało nasze, rozum, wyobraźnia — to wszystko, co w mniejszym lub większym stopniu zawieramy w sobie — potrafi dopełnić nieskończoność Kosmosu?

Bardzo długo słyszałem tylko jego oddech w półmroku, gdzie zdawały się zakwitać paprocie i pajęczę przedzę zwijały ogromny kokon. Ten sam oddech — tam i tutaj, na zewnątrz, w środku pancерnej głowicy starbolta. I gdzieś jeszcze — we mnie samym, zapewne.

— Każdy gatunek to tylko pojedyncze zdarzenie w ewolucyjnym ciągu. Powstanie nowego gatunku jednocześnie otwiera nowe możliwości, jak automatycznie ustanawia nieodwracalne bariery — powiedział Raven. — Lecz, skoro istnieją bariery, muszą się objawić nowe możliwości ewolucyjne.

— Po co? — spytałem. — Aż tak bardzo jesteście przypisani Ziemi? I Wszechświat jest taką formą, w którą trudno nam będzie się wpasować? Nie czekaliśmy na nowy przełom — wyszliśmy w kosmos, może przedwcześnie, ale wyszliśmy i dobrze w nim dajemy sobie radę.

— Tak, jak tutaj?

— Gdzie? — zapytałem zupełnie niepotrzebnie.

— Na tej Planecie.

Mogłem tylko zacisnąć pięści i zęby.

— Tak — westchnął. — Powiadasz: wyszliśmy w kosmos? Może z pierwotnych oceanów pierwsze na ląd wyszły jakieś prymitywne mięczaki — nie one podbiły kontynenty. Tak samo upadły skrzypy i widłaki. Możliwe, że archeopteryks pierwszy rozpostarł skrzydła, lecz nie on ostatecznie opanował przestrzeń powietrzną. My wyszliśmy pierwsi w kosmos...

Zgadza się, pomyślałem. Zmieniające się warunki środowiska stymulują powstawanie gatunków. Na czym polegał specjalny urok tej Planety, że ewolucja skoczyła na niej w tak zawrotnym tempie?

Próbowałem się jeszcze bronić:

— Człowiek się nie zmienia — powiedziałem. — Prawdziwy przełom następuje wtedy, gdy biologiczna ewolucja zaprzestaje genetycznych manipulacji na rzecz doskonalenia psychiki.

— Znaczy to, że jako przykład stawiasz mi własną psychiczną doskonałość? — zapytał bezbarwnym głosem.

Lubił się bawić jak dziecko. Przynajmniej pod tym względem dobierano nas do pary nie na zasadzie przeciwieństw. Może zresztą nie powinienem się dziwić, że trudno mu było język utrzymać na wodzy. Trzeba czymś zająć myśli, kiedy mrok coraz bliższy i ciarki zaczynają chodzić po krzyżu.

— A więc, jak będzie wyglądał człowiek przyszłości? — zapytałem.

Chciałem spojrzeć w jego kierunku, jakbym się spodziewał wzrokiem znaleźć to coś przed sobą, czego nie jestem w stanie określić nawet wyobraźnią. Ledwie dostrzegłem sylwetkę Ravena. Tak właśnie być musi — to, co przerasta analityczną wydolność naszego rozumu, automatycznie przesuwają się w stronę Nocy. Następuje ciemność i cisza — jak przyszłość, która nie jest przecież niczym innym, tylko ciemnością i ciszą. Z drugiej strony pozostaje trudno namacalny ślad — skamielina, odcisk w wapieniu, piękna dziewczyna i cementarzysko dinozaurów — echa minionego czasu.

— Człowiek? — upewnił się.

— Społeczeństwo.

— W tym sęk, Elf. Trudno mieć pewność czy kiedykolwiek jeszcze uda się jedno rozdzielić z drugim. Przynajmniej na tyle, jak tobie się udało.

— Mnie? — zdziwiłem się.

— Handicap dwustu lat zrobił swoje.

Tak, pomyślałem, udało mi się. Cywilizacja homo sapiens kilka takich gwoździ wbiła w głuchą ścianę Kosmosu. Większość dawno zardzewiała, resztki tkwią tu jeszcze. Jeden okazał się nawet na tyle długi, żeby przebić ścianę między Planetą a Strefą Systemu. Teraz z obydwóch końców można podłączyć przewody, puścić elektryczność przez jedną z nadprzewodliwych warstw biologicznej blokady skafandra — cóż, że się parę razy wzdrygniesz, jeśli dzięki tobie spełni się szansa Kontaktu i uda się wymienić poglądy. Komu? A jakie to ma znaczenie? Każdy ma prawo sobie pogruchać — nawet Strefa Systemu z domeną Najwyższego Szczebła Ewolucji.

Usłyszałem, że Raven roześmiał się w mroku.

— Nigdy nie mierz zbyt wysoko, Elf — powiedział. — Próżnia też przedstawia sobą pewną doskonałość.

— Co masz na myśli?

— Nic konkretnego. Każdy kij ma jednak dwa końce. Mogę dać przykład. Wiesz oczywiście, że pewne przesłanki pozwalają założyć, częściową przynajmniej, genetyczną podstawę inteligencji?

— Cóż z tego?

— Ludzie o wysokiej inteligencji prawie z reguły tworzą mniejsze rodziny, na ich założenie decydują się również później od przeciętnych obywateli — tym samym większy procent odpada w przedbiegach, choćby na skutek zdarzeń losowych, nie osiągając prokreacyjnej dojrzałości. Częściej też osobnicy tego pokroju w ogóle rezygnują z głębszych związków.

— Wiem coś o tym — mruknąłem, zanim sobie uświadomiłem, że może to zinterpretować na dwa sposoby.

On jednak ciągnął swoje.

— Tym samym ich wkład do puli genowej następnego pokolenia jest niższy niż osobników przeciętnych...

Zastanowiłem się nad tym. Wszystko to było raczej pokrętną ekwilibrystką, a jednak nie tak trudno było wyobrazić sobie społeczne przemiany, kiedy się zawęży wkład wybitnych indywidualności do tego banku informacji, genetyki tudzież historii, który określa przyszłe pokolenia. Coraz ich więcej — typowych, zadbanych i obowiązkowych, bezkonfliktowych i niewymagających, jeśli czegoś chętnych naprawdę, to — zanim się wypełni pojemnik pod stropem — jak najszybciej odkręcić kranik na półpiętrze i z jąder wycisnąć pożywkę dla crossing over. Czerwone atu przebija czarnego asa.

— Masz nowy Potop — powiedział Raven. — „Onych niewielu, którzy coś poznali — toć krzyżowano zwykle i palono”.

— Znasz Goethego? — zdumiałem się.

— Ty znasz.

— Zapomniałem, że kiedykolwiek, poza sterami, trzymałem w ręku „Fausta” — powiedziałem cicho.

— To nie ma znaczenia. Wszelki indywidualizm zawsze pozostawał w sprzeczności z interesami społeczeństwa. Zawsze też trwało temperowanie głów nazbyt wybujałych, przekraczających pułap „społecznej świadomości”.

— W czasach Renesansu jeden człowiek pióra przypadał na pięć tysięcy — przypomniałem sobie jakieś nie sprawdzone dane. — W niespełna czterysta lat później ledwie go starczało na trzydzieści pięć tysięcy obywateli.

— Co nic nie znaczy dla postępu całej cywilizacji — roześmiał się Raven z jakąś dziwną nutą w głosie. — Odchodzące pokolenia zawsze ubolewają nad upadkiem

nauk i rozkładem moralnym nowych generacji. Tym nie mniej, o dziwo, idziemy do przodu.

O tak, pomyślałem. Geniusze to homozygotyczny margines odsiany ze zrównoważonych heterozygotycznych kompletów genowych. Nie oni pchają przed siebie ewolucję. W przemianie pokoleń liczy się równy krok. Wagę ma tylko masa drobnych zmian — nie wyprysk pojedynczej, za to kuriozalne mutacji. Gatunek homo sapiens w pancerzu społecznej glorii porusza się jak czołg. I nic nie znaczy, jeśli — tu i ówdzie, wstecz, w przód czy na boki — strzeli geniuszem albo drogę pomoca dociekliwym empirystą niby laserową echosondą. To tylko błyskotliwe fajerwerki — tak samo budzące zachwyty, jak niebezpieczne dla postronnego widza. Tymczasem czołg toczy się swoją drogą, sapie i zgrzyta, szarpie na boki, ale pcha się mozolnie pmoże sobie kiedyś zafunduje skrzydełka.

— Idziemy do przodu — powtórzył Raven. — Dopóki jest kim strzelać...

— Co potem?

— Społeczeństwa owadów bywają bardziej doskonałe od społecznych formacji nawet wyższych ssaków.

Wzdrygnąłem się.

— On revient toujours a ses premiers amours — powiedział Raven i usłyszałem jego chichot, jakby zdławiony ciemnością.

Nawet się nie spostrzegłem, kiedy zgasły ostatnie promienie Heliosa. W agonalnym rozbłysku tęczy nie zdążyłem nabrać pewności czy, gdzieś — tam, tronuje nad nami jakiś pantokrator. Teraz tylko w kierunku oceanu ostatnim podrygiem Ignęła do horyzontu fioletowa poświata — luna podmorskiego miasta.

Chociaż na tę chwilę czekałem z takim napięciem — dzień mnie znużył. Tak samo rozmowa z Ravenem. Została senność lekka — szczególny stan, kiedy wystarczy patrzeć spod przymrużonych powiek i nic się stać nie może, a jeśli nawet — nie wywoła nadzwyczajnego zdumienia. Nagle zrozumiałem, że wcale się nie boję tej nocy. I ona też, jakby rozczarowana moją niefrasobliwością, zapomniała się obwieścić właściwą sobie ekspresją. Brak było namacalnego niemal trzasku materii, kiedy przestrzeń się darła na strzępy i spod barwionej glazury, z pękających zmarszczek wypływała — nie ciemność nawet, coś gęstszego znacznie — czerni wywabiająca koloryt pejzaży, nas samych pograżająca w ostateczną albo pierwotną samotność.

Teraz noc niczym się nie różniła od wszystkich innych nocy, jakie kiedykolwiek przyszło mi przeżyć. Choćbym był wówczas jedynym, któremu dopisało szczęście. Może światło białej kuli, płonącej pod nami, w dużym stopniu rozładowywało napiętą atmosferę. Każde ognisko wytycza swój krąg magiczny, na strony odgarnia cienie, widma, strachy. Światło to najpewniejszy pastuch — patron spokoju naszej świadomości. A wkoło bynajmniej nie zapowiadał się cichy wieczór. Widziałem, jak coś się kołysze — już nie trawy, raczej włosy nastroszone elektrycznością. Starbolt w nich się zaplatać gotów niby pluskwa szklana. A tam jeszcze się odzywają bulgoty i żywy drobiazg miota się pod powierzchnią czarnego lustra. To przestało odbijać obraz starbolta otulonego w seledynowy kokon — bagno pochłania nawet odbicie. Jeszcze trochę i będę musiał znowu się zamusztrować na kapitana Yellow Submarine. Ładownie wypełnione lokalnym paleolitem i — He—ej! — cała naprzód między wzburzone bałwany fal, między wściekłe psy i wilki warujące tuż za magicznym kręgiem światła, które czarny potop trzyma na dystans od terażniejszości.

Jeśli kiedykolwiek uda mi się przekroczyć ten próg — może się to spełnić na jedną tylko modłę: pamięcią jesteśmy osadzeni w przeszłości, ciałem w terażniejszości, padliną na tym pobojuwisku, które dopiero nastąpi.

— Boisz się? — spytałem Ravena.

— Każdy wraca do pierwszej miłości — powtórzył swoje.

Zerknąłem w górę, żeby się upewnić w opatrności. Jakbym zajrzał w nitkę światłowodu. Cieniutki tunel przenikał atmosferę i ponad nią drugim pęcherzem obejmował przejrzyste widmo „Trieda”. Jest tam. To Brat mój, Synchronat, laserową igłą trzyma z nami kontakt.

Dziwnie się czułem bezpieczny. Nie należy dać się zwieść takim uczuciom. Właśnie wtedy to najbardziej podejrzane. A jednak — co najwyżej — żal mi Ravena. Nie powinien mi mieć tego za złe. Muszę wreszcie postąpić krok do przodu, choćby w niewłaściwą stronę. Zawsze jest szansa znaleźć oparcie tam, kędy jeszcze nie przeszedł Natan.

„A ty się brataj, Elf! Bez skrępowania... Szukaj przymierza!”

Mam wrażenie, jakbym się zanurzał w coś puszystego, przymilnego, gotowego mnie przyjąć wątpliwie braterskim uczuciem.

Pusty śmiech, a przecież — już mnie kołysze fantastyczne łoże. Dzielny rycerz trafiał kopią w ognistą tarczę Heliosa, wielogłowym smokom podrzynał gardła i szydził z miedzianych wiatraków — jak dotąd wszystkiemu dotrzymał pola, choć się wykruszyli inni towarzysze pancerni. Jednego duszę lokalne walkirie przeniosły nawet do Walhalli. Miałem okazję popatrzeć, jak tam sobie poczyną. Było — minęło. Więcej tam nie trafię. Jeśli się rycerz nazbyt dzielnie stawia — niech to diabli! — trzeba się wziąć na sposób i z pola bitwy odprowadzić go chyłkiem do przytulnej alkowy. Tam sam zdejmie zbroję. Baldachim tutaj przytwierdzony do horyzontu, z jednej strony wsparty o boazerię z pni czarnego lasu, z drugiej — na słupy gór złożony. Już słyszę wkoło szelest ciężkich tkanin — podniebie się kołysze nade mną. Ciemno — bodaj unieść przyłbicę. Szept koronek tuż przy moim uchu: „zdejmij skafander”. Chciałbym móc się wysupłać z damasceńskiej zbroi i legnąć na wznak — nagi i spokojny. Niech to nędzne ciało stanie się wreszcie łupem mojej czarnowłosej kochanki... — Zdejmij skafander — usłyszałem nad sobą. Łagodnie odsunąłem rękę wyciągniętą w moją stronę.

Powiedział: „społeczeństwa owadów”, a teraz sam kusi, abym poszedł za jego przykładem i ściągnął chitynową skorupkę. Jego nagość wtopiona w przypływ nocy. Ledwie go dostrzegam — może zrzucił skafander, może się cały wywrócił na lewą stronę. Teraz w środku tkwi srebrny szkielet — z wierzchu go przyobleka czarne ciało.

Aby dosięgnąć wzrokiem realności jakiejś muszę wykonać przewrót w amortyzacyjnej kołysce stokroć większej od pojedynczego fotela. Plecami do nieba. Tylko pamięć trawi jeszcze obraz zarejestrowany przed ostatecznym upadkiem na twarz — gwiazdy tam gasną frontem idącym wraz z nocą — czarne skrzydła kosmosu zwijają się płaszczem ochronnym wokół Planety. Ogromny ptak Kurkyl szykuje się znowu, żeby zanurkować — bodaj w piekło.

A tam, pode mną, bazuje ognisko ostatnie. Ćmy się do niego zlatują całymi stadami — cienie na wpół przejrzyste, niby liście z gałęzi utracone gwałtownym podmuchem. Trupie w nich widzę głowy i grzywy rozwiane, parujące grzbiety i potężne zady, aż się kopyta w biegu zawijają i bryzgają błotem — nadtopionym lodem i tratowanym ziarnem. Rozhukane bydło obrzydziło sobie dobywanie grodzisk obwarowanych lasem — zbiegło się ze stepów, zleciało, przypełzło z gór, bagien, wykuło z kamienia; teraz to wszystko wlewa się w czeluść otwartą jasną bramą, próbuje ulewą ciał oślepić tę ostatnią latarnię w przedsionku obrzędowej orgii. Nawet tamto oko pozbawione takiej dociekliwości, żeby dostąpić ostatecznego wtajemniczenia, które wokół mego ciała szpera ciepłą ręką. Czuję jego palce — to szuwały wyrosły i aż tu dosięgły. Kolące opuszki kłosów rozpaczliwie pragną prześliznąć się przez pancerną otoczkę starbolta. Tylko jednej ręce udało się przeniknąć do środka — cień Ravena nade mną okrakiem, miękką piersią nakrywa,

ogarnia. Dłoń jego szpera, palcami przebiera od mojego gardła chronionego obręczą hełmu do pięt zaskorupiałych obcasem, masuje ramiona, szuka pod pachami, jakby tam były szparki, którymi na zewnątrz wydziela się pot ogarniający całe moje ciało — nic z tego! Pod brzuch — może tam płeć okryta dziewiczą błoną skafandra odezwie się na hasło, pęknie biologiczna ochrona i na spotkanie ręki od wewnątrz wybiegnie trzpień obrzękły krwią i gorączką, która zaczyna we mnie pienić wszystkie soki.

Patrzę. A tam, w dole, z kości turów i liści lepią się ciała centaurów, czaszki słoni zablizniają się gębami jednookich cyklopów; ryby pęcznieją, płetwy im się rozrastają na boki, łuska pęka z trzaskiem wyzwalającym łabędzi puch i zwiewne pióra. Można w nich spocząć, wtulić się w pierś albatrosa, kiedy dokoła korzenie wpełzają w zwierzęce brzuchy, pękają żółwie skorupy, żeby — jak z pąka — wystrzelić zielonymi listkami, witkami sprężyn — fauny w nich myszkują, przycinają pędy aby z nich fujarki sporządzić i zagrać w finale parnej orgii. Już z kłębow pierza i sierści wypływa narwał ogromny, byk mu brzuch otwiera krzywymi rogami — sam się wali na ziemię rozpruty pługiem nosorożca — w bramę żeber, gdzie się róg zakleszcza i z pułapki już nie wyzwoli nowe wcielenie triceratopsa i tytanoterii — będzie się wił z unieruchomioną głową, aż zdechnie i swym ogromnym cielskiem dopełni retorty. Żyły się znowu wyprężą, mięśnie sok wycisną krwawy, sadło porośnie sierścią i wreszcie — z trzech ciał zjednoczony; narwała, byka, nosorożca — coś się uniesie chwiejnie, białą grzywą potrząśnie jednorożec wspaniały — igraszką natury powołany do służby w partenogenetycznym burdelu. Tam jasne światło nie przyćmione jeszcze, pozwala wzrok zapuścić w prześwity ciał skłębionych w ohydny węzeł; białe się w nim lęgną czerwie, wślizgują do gardeł i między końskie zady, krucho gałązki przewlekają mięsne tusze, nawijają z wierzchu ciernisty kokon — sztywną drewnianą klatkę. Jej pręty w łuk się wyginają — do węzła ziemi przemieszanej z ikrą, aż się nawlecze na nośny szkielet i wypełnie ze studni zapuszczonej do jądra globu — ciało z perłowej polewy, rozwarłe nagle, różową pryszczycą nakrapiane od piersi do brzucha — gdzie tylko przypaść spierzchłymi wargami i ssać, chłeptać mleczną bezwstydną, choć tuż obok — pysk w pysk — czerwone języki wilków z bursztynowych kroczy wylizują żądę i staruchy siwe kraczą nad padliną — dziwne, z włosami rozwianymi jak krzaki bezlistne, pół-kobiety pół-ryby z wielkich muszli żarłocznie wyłuskują płeć ślimaczą, podnoszą do warg ciekących miodną śliną, spuchniętych od pocałunków w brzuchy nastroszone małpią sierścią — tylko z nich rubinowe pluskwy iskać ostrymi zębami — kąsać w kark, w uszy i język pchnąć w płeć rozognioną, gdzie się czas i materia zasklepia w pulsujący namiętnością węzeł — aż mnie samego pochłonie vis plastica: „zdejmij skafander — szepcze — daj mi się pieścić, popuść bodaj podwiązkę, jedną szczelinę otwórz, żebym się wśliznął i rojem kijanek—ziaren wypełnić mógł to ciało, które ukrywasz przede mną...”. Precz! Choć już wtopiony w ciemność, zwrócony prakriti, ręce jego tłamszą we mnie opór wszelki: „od chwili stworzenia jedynym byłem twoim prawdziwym kochankiem!” — żelazny uścisk na biodrach, aż się dopełni — raz jeszcze — sprzężenie hiperzespolone — już się obraca młyński kamień i trze, trze rozpaczliwie czarnym podbrzuszem o zimny głąz biologicznej ochrony. I ciągle pies psa niezdolny pokryć, w trzewiach biblijnego behemota — pleśń, zielsko, bydlęce odchody zmieszane w jeden koktajl — ty jeszcze zejdź do nas — szepczą do mnie — stary z ciebie grzesznik, urodzony zboreznik, chociaż konserwa biologicznej ochrony pozwala się dusić we własnym tylko sosie — zerwij! — daj upust szaleństwu i żądzy! Kochaj — miłością swawolną! Pluń na dymorfizm! Nie daj się zwieść holowizyjnym spektaklom i kuglarstwu tranzytywizatora, nie szukaj kajuty z różową lampką, gdzie plastikowe lalki — byle atrapy — dadzą się nadmuchać bez zahamowań! W garść się weź i — przełam! Nie bój się odrobiny gwałtu — w tym cała radość dla nich! Spójrz dokoła — wszystkich



nas tutaj chuć piekielna sparła i pchnęła w objęcia ziemi, w sabat drzew, liści, zwierząt, liniejących wywłok i dziwek wszelkiej maści — ulżyj sobie! Rwij! Rwij! Ciągnij tak mocno, aż — do nadgarstka, przez łokieć, po ramię — trzaśnie egzoszkielet! Pozwól mu wywlec rękę z pustego rękawa — niech zagnie pod siebie! I patrz — jeżeli sięgniesz — już się w mlecznym nasieniu pławią perlobokie kurwy — dla ciebie! — zwierają tyłkami, na wznak się otwierają, czekają — aż będziesz dwugłowy. Witaj nam! Bądź pozdrowiony na wszelkie sposoby — czujemy tą ciepłą dłonią, że się twoje prącie dzielnie pręży do nas. Tęskni — daj mu! Niech się brata z narodem sodomii! Jednym z nas już jesteś — grzesznikiem przeklętym, wodzem ras potępionych — spójrz na siebie! Jesteś człowiekiem, który tę ziemię zamieszkiwał przed potopem. Kręgosłup twój to szkielet salamandry, a ty — ogromny i mroczny — na co czekasz jeszcze? Po nas zostanie ci tylko miłość platoniczna. Po nas — POTOP! Spójrz — nad tobą już pogasty gwiazdy. Posłuchaj: „od człowieka do zwierząt, od ziemiopłazu do ptactwa powietrznego” — jednym narodem jestem i ty zejdz do mnie, czarę przyjaźni ci podaję, z twardego drewna, kielich złączony z dwóch ludzkich głów czarnych — obie są twoje. Wychyl ten napój miłosny, a potem mnie posiadź, jak ja ciebie pragnę — bardziej, niż by się na to zdobył ktokolwiek obcy — tobą jestem! To ja chciałbym z siebie zedrzeć kryształową łuskę, w dzikie mięso się wtulić i zrosnąć — na wieki wieków — ze zwierzęcą formą.

Tutaj jasne światło nie zgasło ze szczeniem. Tam ostatnia gwiazda.

Środkiem potop wzbiera, niedługo dosięgnie szczytu mojej góry — w pół drogi między niebem a ziemią.

Na co czekam jeszcze? Żeby kształt uchronić trzeba się jasności uczepić — w górze albo w dole, gdzie — z liści, z dziupli, z wierzbowych prętów, z psich suk i kurew wszelkich — muzykalne fauny wyciągają pieśni; czemu się lękam ziemi skażonej obłędem — mój jest! Przepojony zbrodnią — trop w trop przyszła za mną! Bez niej by zdechła moja żądza i serce zachłysnęło próżnią!

Głos we mnie: „uczyn sobie korab” — oczy wzrokiem wrosnięte w kłęby form wstrząsanych spazmem — ręka pod pancerzem silnie ściska drzewce.

Skrzydła Kruka nade mną szeleszczą — Raven kwili, jakby pisklę nie mogło trafić do swojego gniazda — wir wciąga, krwią jasną oślepia i w płeć zasysa gorącą.

Obie ręce — na stery!

Jedną dłonią zwiniętą wokół sterczącego rdzenia.

Druga — ostatnie ścięgno poza żywym węzłem — rozpaczliwie szuka pięciu szczelin, pierścieni zaręczynowych — z dyszami starbolta. Są — każdy na jeden palec, niech się wślizną w tuleje, aż srebrne igły im wrosną pod paznokiec biologicznej ochrony.

PRECZ STĄD! W dół i w górę!

Aż dłoń poczuje pulsującą energię — niech wybuchnie przez dysze i w czarnym potopie wyłom niech uczyni strumieniem plamy białej — ciąg główny ze środka jednej dłoni i sok przez palce drugiej.

W dół! I w górę!

Potworna stopa wbija mi piętę pomiędzy łopatki, miazdzy żebra — z rozkoszy jęczy amortyzacyjny pęcherz — raz jeszcze! Po raz ostatni — i tak ucieczka mnie nie wybawi. Wiem o tym. Ostatni jestem z owej rasy przeklętej, która się nigdy nie wyrwie z Potopu — tam zgładzone bestie — białe oko ślepie — coraz dalej, choć wkoło przestrzeń trzeszczy — moja własna czaszka gnieciona ciężeniem — coraz mniejszym. Już potrafię wzrok wyrwać z ciemności pode mną — na wznak! Dziwnie się trudno obrócić na dźwigni jednej ręki.

Ani śladu gwiazd nade mną.

Czerw chciałby sięgnąć nad skrzydła — nie starczy mu życia w odwłoku starbolta,

nie wzbije się o własnych siłach. Słyszałem przecież: „zetrę człowieka, którego stworzył, z oblicza ziemi — człowieka, bydło, gady i ptaki niebieskie, bom pożałował, że go stworzyłem”. Coś tylko zajęczało we mnie — ponad wibrację ścian szklanych — czerń się oblała pasem, żółkła, pozieleniała w zenicie i błękit wyostrzyła wreszcie — przez tęczową studnię do dna zajrzało białe żądło — światło — aż zakrzyczałem, sam nie wiem do kogo — jakby Brat mój, Synchronat, potrafił mnie usłyszeć.

A jednak poczułem, jakby pękła nade mną błona napięcia powierzchniowego — starbolt strzelił w górę i coś jeszcze trysnęło — gejzer błotny — z brzucha ziemi mnie wypłuł w ugor martwego kosmosu. Pomyślałem jeszcze: „ostał się tylko Noe i ci, co z nim w korabiu byli” — i wtedy coś zatrzeszczało wkoło mnie, szklana bańka — mocą piekielną przetrawiona prawie do mojego wnętrza, pękła skorupa głowicy i próżnia zdławiła odgłos eksplozji. Resztki starbolta sypnęły na wszystkie strony — najpewniejsze świadectwo, że nie uląłem się tylko własnego szaleństwa.

Leciałem, jak żaba — rozpostarty bezradnie trzema kończynami. Czwarta dziwnie luźna. Palce jednej ręki, zamiast sterów, chwytające próżnię. Druga — pusty rękaw, skrzydło trzepoczące w rzednącym obłoku powietrza — ramię podwinięte pod brzuch. Ręka Ravena — jej palce zlepione sokiem zwiędłego korzenia.

Gwiazdy się obracają powoli.

Plecami czuję wylot bezdennej studni.

Jedna z gwiazd mnie trzyma na nitce srebrnej pajęczyny. Laserowy promień — nerw magnetycznego wysięgnika — prowadzi mnie, bezwładnego, prosto w rozwartą muszlę „Trieda”.

Skuliłem się w tej niewidzialnej dłoni — Brat mnie wyłowił z Potopu, choć się modliłem: „wybaw z potopu i wojny”.

## Exodus

Tuż za mną zatrzasnęła się soczewka wjazdu. Ślizg wzdłuż prowadnicy startujących starboltów. Wystarczyło od ściany się odbić barkiem — ramię znowu w rękawie — i wyciągnąć nogi, żeby — zamiast w odpaloną tuleję — trafić stopami na pomost z siatki szklanej rozpięty nad wyrzutniami.

Trzy odpalone gilzy. Złote pierścienie.

Brak trzech starboltów. Jeden Na tanowi posłużył za wierzchowca, drugi gdzieś zapodział Endo, trzeci sam mogę spisać na straty. Zostały dwa. Chciałem przejść do wylotu magnetycznego szybu i — przed progiem — wystukać na sensorycznych ogniwach wtopionych w porcelanową płytkę: NAWIGATORNIA. Potem wystarczy dać się połączyć.

Gotów to byłem uczynić, kiedy — kątem oka — pochwyciłem coś naruszające symetrię estakady biegnącej nad wyrzutniami ale na wysokości głowic dwóch pozostałych starboltów. Nie bardzo wiedziałem, co mi kazało się zatrzymać. Z jednej strony przez szklane wręgi widać było czerwony rdzeń „Trieda”. Dalej rostrum gigantycznej krewetki wypełnione zgęstkiem mlecznym. Aż zadrżałem — jakby i tutaj ameboidy wstrzyknęły swoje oko. Potrząsnąłem głową — to tylko nawigatornia. Tam właśnie. Obok zielony duet reanimatora i pulsującego rezerwuaru biomasy. Żywa kula przez cienkie kapilary rozprowadza powietrze, wodę i pokarm w te zakamarki statku, gdzie Synchronat zawsze gotów spełnić rolę kelnera. Spostrzegłem się, że idę wzdłuż estakady. Dwa puste gniazda poza mną. Chciałem wywołać Synchronat — jeśli starczyło mu taktu, żeby tym razem zachować milczenie.

Ostatecznie — tak długo czekał. I słowa uznania też mu się należą. Ledwie to zdążyłem pomyśleć, kiedy zrozumiałem, co mnie zatrzymało w tym przedsiönku kosmicznej przestrzeni. Szklany klin, cienki jak brzytwa — bo widziany z boku — odchylony był od głowicy starbolta spoczywającego w katapulcie.

Chciałem przyspieszyć kroku — nogi się ugiwały pode mną. Tym razem w moim skafandrze czułem się jak w zgrzebnej, pokutnej koszuli. Ledwie widać trzymał się kupy, chociaż w szwach i tak musiał potrzaskać. Przecież wiem, że to niemożliwe — pomyślałem. To ze mnie zlaźła resztką reliktovej sierści i naskórek się złuszczył paroma cyklami linienia. Po prostu — teraz dopiero czuję, że mi się życiorys dosadnie wzbogacił. Diabli musieli wziąć nieważkość przestrzeni, żebym zdołał bebechy z gardła sprowadzić na właściwe miejsce. Dopiero grawigeneratory „Trieda” dały mi odczuć cały obłęd karuzeli z rozsypujących się ułamków starbolta. Dostałem w kość — zanim mnie Synchronat wyłowił. Zostałem wyżęty niby stara ścierka — z wierzchu poszedł pot, mocz i flegma puszczonego nasienia. Wewnątrz zostało odwirowane z soków i do kości przyschłe ścierwo. Próbowałem uwolnić głowę z kuli hełmu — ręce jak nadmuchane powietrzem, palce bez siły i jakiegokolwiek precyzji. Dałem za wygraną, chociaż płuca łaknęły powietrza spoza zamkniętego obiegu biotronicznej pułapki skafandra.

Trzeba będzie raz jeszcze łeb pochylić, żeby manipulatory Synchronatu uczyniły nad nim znak błogosławieństwa.

Jeszcze zmagając się z sobą dotarłem do pierwszego z dwóch ocalałych starboltów. Klin włazu opuszczony na kratownice pomostu. Rodzaj kładki przerzuconej nad przepaścią. W górze rozłam głowicy starbolta podstawiony pod wylot magnetycznego szybu. Do wnętrza można się dostać na dwa sposoby. Z mojej strony wystarczyło wspiąć się na palce, żeby zajrzeć do kabiny starbolta.

Krew mi nagle napłynęła do głowy. Poczułem znowu, że mi całkiem nie przeszło — jakże by inaczej, jeśli nie zdążyłem tego jednego kęsa przełknąć, który we mnie utknął — łyk orgiastycznych bachanalii, którym się zachłysnąłem — nawet nie przez zęby; tylko nadprzewodliwość oczu mógłbym przeklnąć. Tylko? Skąd mam tę pewność?

Nie myśleć o tym. Nie myśleć nic — chociaż się zbiera na wymioty. Przez chwilę też tak stałem — z zamkniętymi oczyma. Potem raz jeszcze zajrzałem do kabiny, w której nie było nikogo. Dwa na wpeł rozłożone kokony amortyzacyjne. Gotów się byłem roześmiać i wyzwać od idiotów, kiedy wzrok mój ześliznął się między dwa przezroczyste pęcherze foteli. Zwalony na podłogę leżał tam długi, szklany cylinder — jednocześnie przezroczysty i niezwykle ścisły oprzęd jedwabniczej larwy. Wewnątrz pojemnik wypełniony był zielonym osoczem i czarnymi — w pomarańczowym świetle — pętlami glonów. Między listkami rybi pysk otwarty jak do krzyku i tak zastygły. Szarpnąłem się wstecz. Spróbowałem zajrzeć w górę — gardło magnetycznego szybu zakneblowane różową membraną. Natan — pomyślałem.

Nagle zupełnie bezradny zacząłem się obracać wokół własnej osi. Przed oczyma pływały mi jakieś plamy, jakbym to ja był tam — w zielonej porcji wody zaczerpniętej z rezerwuaru biomasy. I leżę spętany podwodnym bluszczem — tylko mi w oczach eksplodują mikroskopijne żyjątka zagnieżdżone pod powiekami.

Niespodziewana wściekłość pozwoliła moim mięśniom raz jeszcze odnaleźć sprzężenie z czujnikami serwomotorów. Ramiona i nogi znów wpasowane w dźwignie egzozskieletu. Skoczyłem w stronę tunelu odchodzącego od wyrzutni starboltów. Tak mi się wydawało — skoczyłem. Tuż przed progiem jeszcze jeden kokon, tym razem bez szklanego połysku, ledwie błękitnawy dymek zawinięty w kulkę. Zgasł, kiedy przed nim stanąłem jak wryty. Nagle wyłuskany z aureoli kształt

się objawił nieco przygarbiony, na podkulonych nóżkach. Zmarszczone jabłuszko uśmiechnęło się do mnie.

— Hej — powiedziałem.

— Ehej! — powtórzył za mną. — Ale wyglądasz nieswojo. Dalej się uśmiechał do mnie, a nos mu się świecił różowo nad zmierzwioną, dawno nie rozczesywaną brodą. Też sprawiał mizerne raczej wrażenie. Wypłował czerwony kubrak, wystrzępiły się szare pończoszki i niewiele zostało z żółtych mankietów. Za to bieluteńkie włosy podrosły nieco, mniej były wyleniałe, jakby go — w przeciwieństwie do mnie — nieco pokrzepił spacer po powierzchni Planety.

— To wy, tam... — wykrztusiłem wskazując kierunek ręką. Jego bystre oczka spoważniały nagle, popatrzył na mnie miękko, wzrokiem przepelnionym dobrocią.

— Pozwolisz, że ci uścisknę rękę — zaproponował.

— Niewiele dać mogę w zamian — wyznał. — Jednak urząd thana zobowiązuje. Będę się starał. Zaciągnęliśmy ogromny dług wdzięczności, spłacimy go na swój sposób...

— No, to czasu niewiele zostało — zaśmiałem się.

On też zarechotał, wyraźnie ubawiony. I staliśmy tak, naprzeciw siebie, chichocząc — nie bardzo wiem z czego. Raptem coś dotarło do mnie.

— Dług wdzięczności? — zapytałem.

— Teraz masz moją rękę. To też coś znaczy. I niech oni zobaczą — przez ramię kiwnął białą główką.

— Sam tu nie jesteś?

— Co mogłem sam — zrobiłem. Gdybym liczył zawsze na własne tylko siły pewnie bym pozostał w Mordorze. Dlatego daję ci rękę, w imieniu własnym i mego narodu. Niech widzą, że najmądrzejszy z nich podaje ci rękę. Może uwierzą, że człowiek też potrafi być przyjacielem.

Śmiech jeszcze mnie łaskotał w kiszki — zabawny był z niego staruszek. Nie słuchałem, o czym trajkocze, chociaż stał ciągle z wyciągniętą ręką — co miałem mu podać, jeden palec? Trudno mi było skupić się nad czymkolwiek, kiedy przed oczyma wciąż miałem zupełnie nagi, zielony tułów tkwiący w szklanym cylindrze.

Machinalnie i dla świętego spokoju uściskałem jednak uniesioną łapkę — ledwie jej obecność poczułem w potężnej rękawicy skafandra.

— Nie ma o czym mówić — stwierdziłem, ciekawość jednak wzięła górę; — A... tak naprawdę, o co chodzi?

— Wszystko im wyjaśniłem. Powiedziałem im, ile brakowało, abym ich, gołowasów, osierocił w tej pustej skorupie — chudą nóżką tupnął w podłogę. — I cóż by mój ludek począł bez swojego thana? Wszystko to jeszcze głupiutkie. Trzeba prowadzić za rączkę, pokazać gdzie stąpać, radzić w co wypada, a gdzie trzeba się wstrzymać przed wtykaniem nosa...

— Nie powiem, żebyś wyglądał marnie.

— Też nie twierdę, że mi samemu spieszno było — zachichotał znowu. — Wszelako zawsze ktoś się znajdzie, kto się zatroszczy o to. Tak było w Strefie Systemu i tak pozostało. Marne miałem widoki... Już struchlałem i zacząłem w piersi stare psalmy odgrzewać. Dumam — a nuż pomoże! I co? Pomogło! Takie ich, wszawy pomiot, niedoczekanie! Zjawiłeś się w samą porę. Uch! Już miał mnie w garści.

— O czym ty? — jęknąłem.

— Gdybyś się minutkę spóźnił! Już mi dech zaparło i drzączka wzięła stare kości. Majstersztyk — powiadam! To było wspaniałe! On do teraz pewnie myśli, że przygwoździł durnego gnoma. Niech mu wyjdzie na zdrowie...

Wyciągnąłem ramię i twardo, całą garścią, chwyciłem go za krasny kubrak pod

brodą.

— Mów, kogo widziałeś? — syknąłem przez zęby. Łypnął na mnie spode łba. Co najmniej, jakbym od niego żądał czegoś więcej, niż wolno wymagać od takiego karła. A ja miałem w uszach wciąż tylko ten pisk, jakby Natan pod obcasem zdepnął ciekawskiego szczura.

— Daj spokój, Elf — bąknął.

— Mów!

— Wiem, komu winienem wdzięczność — powiedział prawie z gniewem.

— Kto to był?!

— Ty.

— JA-A?!

— Tak, jak tu stoisz.

Nie obchodziło mnie nic z tego, co się tam naprawdę zdarzyło, jakim sposobem nestor hobbitów wyśliznął się z potrzasku. Jedno, czego byłem pewien, to — samego siebie. Znałem każdy swój krok. Wiem, gdzie byłem i do czego nawet palca nie przyłożyłem.

Zesztywniałem nagle.

— Twarz — powiedziałem. — Widziałeś twarz?

— Jak teraz twoją — odparł.

Targnęło mną, jakby się odnowiły torsje tylko na pewien czas przycichłe, dające mi wytchnąć przed kolejnym wyciskiem. Poczulem suchość w ustach. Próbowałem opanować ciało, lecz już mną targnął kaszel i zwolnił zator w piersi. Tym razem zachłysnąłem się prawdziwie debilnym chichotem, parsknąłem śmiechem prosto w twarz Gnoma. Patrzył na mnie zdziwiony, aż się cofnął o krok. Nie pojmował, że nie on był powodem mojej wesołości.

A ja zrozumiałem nagle, kim był posłaniec Nocy, tak długo dotrzymujący mi towarzystwa. I nagle jasna się stała ta jego zбочzona miłość do mnie, kiedy tak się garnął i błagał — daj się wśliznąć, ściągnij ten cholerny skafander! Śmiałem się z siebie samego. Nigdy mi nie przyszło do głowy, czym na — prawdę może być ta pogarda, którą tak zawzięcie obnosiłem w sobie, ta fałszywa litość nad zgrzybiałym smutkiem kosmicznego wraka. Śmiałem się jak szalony, chociaż własnym wreszcie głosem, w którym nie brzęczał śmiech Horowitza. Miłości moja — któż by pomyślał, że aż tak się można przywiązać do starego truchła podwieszonego pod egzozskiolet, aż tak pokochać kulawego psa — choćby i po latach wiernej służby. Tym samym sentymentem gotów byłem obdarzyć tamto zrupieciałe pudło pierwszego „Trieda”, zanim je wypatroszono w dokach Systemu i przerobiono na nową modłę.

I zrozumiałem również, że wszystko to już nie jest warte funta kłaków — można splunąć. Teraz chcę wiedzieć to tylko, co za skurwiel tę szklaną konserwę przywłócił do starbolta.

— Widziałeś to? — tknąłem palcem w stronę przedostatniej katapulty.

— Nie moja sprawa — odparł i wzruszył ramionami. Spuścił wzrok. Po czerwonych uszach i naburmuszonych policzkach łatwo było poznać, że się na mnie solidnie obraził. Teraz się z nim nie dogadam.

— Więc nie wiesz, czyj to wyczyn? — spytałem.

Cofnął się jeszcze trochę, jakby robił trochę luzu dla pęczniejącego brzuszka. Teraz dopiero za jego plecami zobaczyłem jeszcze jakiś pstry drobiazg skulony pod ścianą. Wielki than hobbitów miał swoją szlafmycę nasadzoną na siwą główkę — brakowało tylko różowego pompona. Musi być gdzieś w pobliżu, pomyślałem. Pewnie dobry ojciec i pedagog przytaszczył tu ze sobą cały ród skarłały; nie po to przecież, żeby mi podziękować. Skąd mógł wiedzieć, że się tu przyplątani.

— A więc — zapytałem. — Może skrzyknął swoich, żeby komu innemu pomachać

chusteczką. Na odchodne. Komu?

— Już ci mówiłem — stwierdził. — Nie takie z nas plemię, co wtyka nos w nie swoje sprawy. Pomogłeś mi — i to się chwali tobie. Znajdzie się okazja — każdy z moich trutni odpłaci jak będzie umiał. Teraz przynajmniej wiemy, że nie taki diabeł straszny i jest szansa przeżyć.

Łypnął na mnie zaczerwienionymi oczkami angorskiego królika i znów zawinął się wokół niego pęcherzyk błękitnego światła.

— Pozwól więc, że się pożegnám z zapewnieniem, że po raz pierwszy ze współpracy z wami wynoszę miłsze wspomnienia...

Machnąłem ręką. Nie obchodziło mnie, co jeszcze do siebie mamrocze. Obróciłem się na pięcie i poszedłem prosto w tunel łączący moduł wyrzutni z reanimatorią.

Wesołość już mnie całkiem opuściła. Czułem się jeszcze paskudniej niż przedtem. Dość miałem gnomów, hobbitów, kruków, Chorezmijczyków i innych czortów. I czułem obrzydzenie do samego siebie — jeszcze tkwił we mnie uraz wyniesiony spod skrzydełek nocy, całe to misterium obmierzłe, zbliżenie ciała z przedpotopowym kłębem bydła, korzeni, pleśni — tak bliskie, aż się dłoń wypełniła lepkiem sokiem. Gdybym tam wytrwał, pewnie by mnie przepchnęło przez wąskie gardło ciemności i może bym trafił w świat już po potopie. Mroczny ocean pieni się wściekle tylko w starciu z rafami, na nowo pozyskanej ziemi. Poza falą pierwszego przypływu zaczyna się spokojny przestwór, którego nie ima się żadna z naszych filozofii. Pewnie tam zamieszkuje naród, po którym — w mojej rzeczywistości — zostały tylko czaszki zagrzebane w ziemi. Nie wiem czy to, cokolwiek pozostało z ludzi tej Planety, wolno mi jeszcze określać mianem Narodu, Rasy, Gatunku zorganizowanego w Państwo. Nie wiem nawet — kogo reprezentują, pobratymców Endo i innych narodowych mniejszości, które unifikacja Systemu mocno chwyciła za gardło, czy też wobec dociekliwości tej Planety otworzyła się kronika historii całej ludzkiej cywilizacji, umożliwiającą odczytanie i restaurację tysięcy społeczeństw wymazanych z naszej pamięci. Nie dostąpiliśmy jeszcze Nad—świadomości. Na dzisiaj ograniczoność pamięci naszej psychiki jest odpowiednikiem genotypu określającego wyłącznie byt jednostki. Lecz Wszechświat posiada własną pamięć rejestrującą kolejne etapy ewolucji. Jest to zapis Eksperymentu, tożsamy z pamięcią Wielkiego Animisty—Kronikarza. Nic z niego niepodobna wymazać, nic zapomnieć, nic przeinaczyć. Czas miniony jest Pamięcią Wszechświata, z której terazniejszość czerpie wspomnienia, jeśli potrafią cokolwiek pchnąć naprzód. I nic nie znaczy, jeśli na kolejnej zmianie sztafety pałeczkę przejmują zielonoskórzy i żółtoocy, Chorezmijczykami będący tylko w duchu. To najważniejsze.

Tylko ja ciągle mam gdzieś ich zafajdany renesans. Brak w nim miejsca na moje szarże przez step na czele ciężkozbrojnej konnicy, wciąż nie bardzo jest do czego przyłatać efektowne znawstwo wszelkich ziółek na tej łące.

Prędzej plemię hobbitów trafi do Nowego Shire'u, nim ja znajdę swoje miejsce.

Na razie — kolejny załom korytarza.

Zielony odbłask wypełnił przezroczystą tubę. Nagle poczułem, że mi znajomy smak trawiennych soków podchodzi do gardła, a dłonie znów robią się paskudnie wilgotne.

Stałem nieruchomo, z zaciśniętymi pięściami. Spod przymrużonych powiek wpatrywałem się w perspektywę szklanej kieszki. Ktoś tam siedł, poruszał się w ciemności niezupełnej, lecz aż nadto wystarczającej aby prawdziwe kształty ukryć w zielonym półmroku. Słyszałem krok powolny, nieprawdopodobnie ciężki, jakby to duch Synchronatu natchnął ciało żelaznego golema. I ten krok zbliżał się nieubłaganie. Trzeba tylko wytrwać nieco, aż mozolne stąpanie wyprowadzi tę postać w takie miejsce, gdzie — pod kątem prostym, ale na zewnątrz rury — biegnie drut

rozjarzony żółtym światłem i rozjaśnia tunel na długości dobrych dziesięciu metrów. Ten ktoś musiał tutaj ujawnić się z ciemności. Nie próbowałem zdławić w piersi okrzyku. Byłem gotów raz jeszcze stanąć naprzeciw Natana — choćby się wcielił w jednego ze swoich chrząszczy. Pewnie bym się nie wzdrygnął przed Ravenem, gdyby przede mną uchylił czarnej przyłbicy i spojrzął na mnie twarzą raz tylko odsłoniętą przed thanem hobbitów.

A jednak nie był to żaden ze skarabeuszy Natana wysłany dla przetransportowania dwóch cylindrów koniecznych dla kontynuowania EKSPERYMENTU. Nie zjawił się też Kruk nowy, żeby padlinie ze Strefy Systemu wydłubać żywe jeszcze oczy. Widziałem człowieka. Lecz ten człowiek był nagi, przy tym nieforemny jakiś — rozpaczliwie szukałem oczyma punktu zaczepienia, ale wciąż jeszcze nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego budzi we mnie taką grozę. On tymczasem szedł powoli, sino—blady cały, lekko przechylony w jedną stronę, gdzie go naginało do podłogi brzemie dźwigane na jednym barku. Lewym ramieniem opasał szklany cylinder, drugą powoli wiodł wzdłuż ściany. Szedł niby ślepiec, choć oczy miał szeroko otwarte. Spotkałem ich tępe spojrzenie, gdy wkroczył w strefę jaśniej oświetloną — szeroko wytrzeszczone w martwej twarzy patrzyły na mnie, jednocześnie obok i przeze mnie — na wylot; zaognione były gorączką i dziwnie złote, niby monety bite w cennym kruszcu.

Podskórna zieleń spęzła zarówno z tej twarzy, jak szyi, piersi, z nagiego brzucha i potężnie umięśnionych kończyn. Tak to wyglądało, jakby w Ustnej tkance rozpadł się chlorofil i skóra utraciła zdolność akomodacji słonecznej energii. Do tego naga czaszkę aż do nasady nosa rozdzielała blizna potworna, chwiejąca się jak koguci grzebień — grubymi ścięgniami zdeformowane pąsowe wargi, gotowe w każdej chwili się rozchylić i połknąć z powrotem pożywny kęs siłą z nich wyrwany. A jednak to ogromne — teraz dopiero zdołałem w szklanej perspektywie ocenić właściwe proporcje — masywne ciało, w niczym nie przypominające ciała Endo, poruszało się przed siebie. Widziałem sprężynujące mięśnie i jak się żyły grubości palca skręcają tuż pod skórą. Jeszcze jakieś guzy ciemne pulsowały na szyi, rękach, w pachwinach i na udach. Całe to ciało zdawało się być zmasakrowane doszczętnie. Jakby tu przyszło prosto z sali tortur, wyrwało się z elektrycznego krzesła — na spuchniętych stawach został ślad rdzawych imadeł — na którym wściekły oprawca dokonywał przesłuchania każdej najmniejszej komórki — jeśli odpowiedzi nie znajdował w mózgu.

W tej chwili Endo stanął przede mną. Prawie całą powierzchnię jego ramion i boków pokrywała brunatna wysypka, ślady nakłuć po mikrokontaktach. Gdzieniegdzie zwisały jeszcze — z uszu, policzków i piersi — cieniutkie srebrne niteczki, miedziane druciki stymulatorów i szklane wąsiki. Sprawiało to wrażenie, że mu na uszach i piersi pojawił się rzadki zarost — miejscami oberwany krótko, to znów zwisający kilkunastocentymetrowymi nitkami. I cały był pokryty jakby metaliczną sierścią szpilek, które się nie zdołały wycofać, kiedy to ciało samodzielnie wyrwało się spod szklanej krypty sarkofagu.

Chciałem coś powiedzieć, kiedy uświadomiłem sobie, że i tak nie jest przecież w stanie zrozumieć niczego. Czy takie coś potrafi bodaj cokolwiek usłyszeć?

Niósł na ramieniu ogromny cylinder wypełniony planktonem, pąkami chłorelli i listkami wodnego hiacyntu, między którymi kołysało się uśpione ciało — tego jeszcze nie natchnął świadomością magiczny oddech Planety. Kiedy tak się pochylił nade mną dostrzegłem bliżej ramię podpierające szklany pojemnik — od łokcia po kant dłoni rozdarte było na strzępy. W sinym mięsie tkwiły jeszcze odpryski wyduszonej od wewnątrz szyby sarkofagu. Krew jednak nie wyciekała na marne — tu i ówdzie wisały martwe płatki zdartej skóry, już zasuszone, zdawałoby się — wystarczy

przetrzeć dłonią i jedynym śladem urazu zostanie żywa blizna, pod którą — niby pod przezroczystą błoną — widać kości, ścięgna i naczynia krwionośne. To samo z ręką macającą ścianę.

— Stój! — wykrztusiłem jednak.

Był ode mnie wyższy o półtorej głowy. Słyszałem równy, chociaż świszczący oddech piersi pracujących jakby tylko po to, żeby sprężone powietrze mogło wypełnić puste rękawy kończyn. Ale to nie było powietrze. Czułem całym sobą — czort wie jakim zmysłem — że to ciało gotowe jest pęknąć od siły mięśni i ciśnienia tętnic rozsadzających powierzchnię skóry. Znalazłem się na jego drodze niby jeden z najbardziej skarłatych hobbitów, a środkiem szklanego żlebu toczył się na mnie głąz poddany ślepej inercji albo pancerny czerw z arsenału Natana.

Odstępowałem jeszcze kilka kroków, a on napierał niewzruszenie. Jak zauroczony wpatrywałem się w tę twarz bladą, zaglądałem w rozcięcie ust pozbawionych warg — zwarły się tam porcelanowe zęby, iskrzyły kryształowe okruchy, jakby zębami przeciął prowadnice endoskopów, którymi Synchronat szperał mu w bebechach dla wyjaśnienia — czemu nie chce zdechnąć albo przynajmniej się zdrzemnąć. — Synchronat! — zawołałem chrapliwie. Cisza. A jednak kątem oka dostrzegłem, jak się skarłatem wypełnił szklany obrzek ściany.

Zatrzymałem się, zdecydowany nagle. Postanowiłem go powstrzymać za wszelką cenę. Przecież nie miał prawa — pusty, bo cóż znaczą mięśnie — samodzielnie wybrać cel i do niego zmierzać. Przynajmniej pod tym względem Natan dopiął swego — to coś nie mogło być prawdziwym człowiekiem.

Wyciągnąłem ramię i dłoń wsparłem na jego piersi. Pod palcami poczułem twarde sprężynowanie żeber. Nozdrza mu zadrgały, kiedy łapczywiej wciągnął powietrze do ogromnych płuc. Pierś mu pracowała jak dobrze nakręcony mechanizm.

Zatoczyłem się wstecz.

On nawet się nie zachwiał. Następował na mnie z tą samą ślepą obojętnością. Czułem plecami zbliżający się wylot tunelu i estakadę nad rzędem odpalonych gilz, prowadzącą prosto do dwóch ostatnich starboltów. On tymczasem dźwigał na ramieniu przezroczysty, zielonym sokiem wypełniony kokon. Dokąd i po co? I czy ktoś taki może w ogóle pragnąć czegoś? Skoczyłem do przodu, głową mierząc w odsłonięty brzuch. Nie mogłem nie trafić — dźwignie egzoszkieletu radośnie wzięły się do czynu, jakby samodzielnie uprzedzając moje życzenie — strzeliły moim ciałem z puszczonej wreszcie katapulty. W mgnieniu oka dostrzegłem, że mi naprzeciw wybiega jakiś kleks pięciopalczasty, potem się wszystko skręciło z przeraźliwą szybkością i runąłem dalej, wciąż głową do przodu, choć umknęła sprzed twarzy muskulatura siniego brzucha i dziwna pleć okryta ostrym szronem. Hełm trzasnął o posadzkę, a ja — nagle bezradny — potoczyłem się w pustym tunelu. W ułamku sekundy egzoszkielet postawił mnie na nogi. Przedemną była tylko w połowie przezroczysta czeluść

„Trieda”. Spojrzałem za siebie. Nieco przygarbiona postać zmierzała dalej tym samym, ciężkim krokiem. Przecież temu ciału, poruszającemu się z takim mozołem, nie mogło starczyć refleksu, żeby się tak sprytnie uchylić przede mną!

Runąłem za nim, przepełniony nieracjonalnym gniewem. Lewa pięść uderzyła w szklany cylinder — to go powinno wytrącić z równowagi; drugą rękę przełożyłem łokciem do przodu i w kleszczach ramienia zacisnąłem mu gardło. Usłyszałem chrzęst kręgów potężnego karku. Aby tego dokonać musiałem skoczyć wysoko i całym ciężarem zwalić mu się na plecy — teraz wystarczyło jeszcze nogi spleść na jego biodrach, a potem czekać — aż się zwali na ziemię. Raptem poczułem straszny chwyt wokół nadgarstka, potem uderzenie łokciem w brzuch — aż mnie wyrzuciło w powietrze, chociaż jednym ramieniem dalej zakleszczałem mu szyję. Znowu coś



zawirowało, jęknęło koło mnie i nagle poczułem z przerażeniem, że wiszę w powietrzu — szklana czaszka pruje atmosferę niby głowica starbolta. Tylko, jak żaba, rozłożyć bezradne stateczniki kończyn. Czerwień chlusnęła mi w twarz — to się otworzyło przede mną oko Synchronatu. Grzmotnąłem w kryształową tarczę, przylepiłem się do niej — jakbym krwią, śliną i kostnym szpikiem przykleił się do sztywnej przepony nagle wyrosłej przede mną. Ręce i nogi rozłożone szeroko, monstrualnymi drgawkami naśladowujące spazmy nerwów rozprzestrzeniające się wewnątrz ciała. Nawet egzozszkielet nie potrafił ująć tego w karby, sam rozpaczliwie próbował pozbierać się z sobą, od nowa powiązać sprzężenia, w odpowiednie tuleje uchwycić końcówki stalowych ściągien, które się wysliznęły z imadeł.

Śmierć — pomyślałem. Krew czułem w ustach i ból przebiegający klusem po klawiaturze kręgosłupa. Tam i z powrotem. Chciałem samodzielnie zdobyć się na ruch jakiś — przecież i we mnie musi drzemać ten zbawienny refleks ciała, który wybawia z opresji — jeśli nań stać było tamto ciało, dźwigające na barkach jedynie pusty czerep i zielony cylinder.

Mój pancerz jeszcze raz zwierzał się wkoło mnie. Widocznie biologiczna ochrona i mechanizm egzozszkieletu posiadały siłę przetrwania stokroć potężniejszą od tego boleśnie rozbitego strzępa, który ufnie wtulał się w ich formę. Bez skafandra i szklanej przyłbicy pewnie by mój mózg dopełnił wnętrzości, a wszystko razem rozbryznięto się na powierzchni tej ściany, spod której ktoś patrzył na mnie — szkarłatny wzrok Synchronatu. Pewnie był zdumiony nie gorzej ode mnie. Jeszcze nim wstrząsał spektakl mordobicia, a przecież powinien przywyknąć, widywał nie raz i nie dwa, jak potrafimy walczyć ze sobą — choćby przy wyjściu z grawitacyjnego tunelu, kiedy świadomość zasklepia się w osleplą spore pitekantropa i tylko ciała zachowują swobodę, pięści i zęby, którymi można się nawzajem ułapić za gardło.

Jeszcze mi widać nie było pisane oddać się tylko wspomnieniom — powoli się odkleiliśmy od powieki ekranu. Nie osunąłem się jednak na płyty posadzki. Stałem, a raczej wisałem w stelażu podpierających mnie, chwiejnych jeszcze szczudeł. Z bólu nie mogłem skrócić ciała w biodrach. Wreszcie jakoś przestąpiłem z nogi na nogę i odwróciłem się tam, dokąd on odszedł. Perspektywa szklanej kratownicy wisała nad złotymi studniami odpalonych gilz, kilkoma niemi uchwyciła się przeciwległej ściany, przechodzącej bezpośrednio w mleczny, ruchomy strop nad komorą wyrzutni.

Endo właśnie umieścił przyniesiony pojemnik w otwartej głowicy starbolta. Potem sam się przechylił w pasie ponad krawędzią włazu i przewinął w głąb. Raczej tam wpadł po prostu, jakby był tak śmiertelnie zmęczony, aż mu obojętne były dodatkowe stłuczenia zmalretowanego ciała.

— Synchronat! — wychrypiałem to głosem, który dosłyszeć mógł tylko Synchronat. — Zablokuj wyrzutnię!

— Nie mogę — usłyszałem tuż nad uchem.

Patrzył na mnie tym swoim smutnym, płonącym okiem, jakby na zawsze sprzężonym z wnętrzem Heliosa.

— Nie mogę — powtórzył. — Wszyscy jesteście ludźmi.

— To nie jest człowiek! — wykrztusiłem.

— To ciało człowieka — odparł. — Tak samo przedtem mógłbym je zabić.

— Nie masz go zabijać, tylko zatrzymać!

— Każdy z was obdarzony został wolną wolą. Żaden program, założony we mnie, nie odgranicza ludzkiej świadomości od jego ciała... Tym bardziej, jeśli obrało ono postępowanie bynajmniej nie będące niezgodnym z logiką świadomości.

Tym mnie zaskoczył.

— Poza tym — ciągnął. — Sprawy zaszły już tak daleko, że każdemu z was muszę dać przynajmniej równe szansę.

— Przecież jesteś... — zacząłem.

— Jestem również jego Bratem.

Zduśliłem w sobie przekleństwo. Chętnie bym zawył z rozpaczy nad własną bezradnością. Żeby choć można było łbem wałnąć o ścianę — lecz miałem szklaną przyłbicę przed czołem; zresztą i tak wielce wątpliwe było, że mi ten ostateczny środek rozjaśni w głowie i zrozumieć to przynajmniej, dlaczego tak się staram, żeby mu nie pozwolić na tę wycieczkę — dokądkolwiek go diabli niosą. Najlepiej byłoby się po prostu wypiąć na to, co im wszystkim odbiło na punkcie tej Planety. Tylko co mi wtedy zostanie?

A tam już się zasklepiął klin włazu odchylonego od głowicy starbolta. Nie powinienem się z niczym cackać — tylko co jeszcze mogłem począć? Chwilę stałem bezradny i toczyłem wkoło błędnym wzrokiem. I nagle — obok wejścia do komory wyrzutni dostrzegłem biały prostokąt w ścianie — aż mi pot wystąpił na czoło. Pomyślałem tylko: „Tak jest zawsze, kiedy chce się mieć zbyt wielu braci naraz” — potem wykonałem szybki krok do przodu, plecami osłaniając przed okiem Synchronmatu to miejsce, do którego zmierzała moja ręka. W porcelanowej płytce wtopiona tęczowa mozaika — wystarczy tknąć palcem w odpowiednie sensoryczne ogniwo.

Nie myśleć, nie myśleć — powtarzałem w duchu, jakby mi to sprawiało szczególną trudność. Nie myśleć — kiedy kciukiem skierowanym do ziemi zatwierdza się ostateczny wyrok.

I przestrzeń się skurczyła raptownie, a powietrze rozjarzyło sinym światłem, niby gaz pobudzony do luminescencji nagłym przepływem elektryczności. I jednocześnie usłyszałem dźwięk przeraźliwie wysoki, coś zaszcebiotało cienko, głos nabrał ciężaru gotowego mnie wprost ogłuszyć i rzucić na kolana. Krzyk się pojawił w powietrzu — jeszcze wysoki, ledwie cięcie diamentu po szklanym kręgosłupie „Trieda” — aż z wyróżnionej szczeliny można wyłuskać srebrzystą pajęczynę Synchronmatu wrastającego w każdy element statku. Głos nie zdołał wyartykułować bodaj jednego słowa — głowa oddzielona od tułowia — też potrafię — i tylko charkot zgasł w gardle z elektronicznych syntetyzatorów dźwięku.

Wybacz — pomyślałem. Od tej chwili pieczę nad „Triedem” roztacza zwykły, na każde skinienie posłuszny automat. To nic, że mnie mdli, jakbym to ja gołymi rękami wyrwał mózg z ciała Endo.

— Blokada wyrzutni! — powiedziałem.

— Zablokowana — głos zdecydowany, bez owej na dłuższą metę męczącej rozciągłości, która winna nam sugerować głębię ducha.

— Złączenie zewnętrznej powłoki „Trieda”.

— Jest złączenie.

Intensywnie szukałem w myślach czy znajdzie się jeszcze jakiś niezbędny potrzask — strop był już sklepiony twardo osmotycznym zrostem krawędzi pancerza rozchylającego się ponad wyrzutniami starboltów. Nic rewelacyjnego nie przychodziło mi do głowy. Wystarczy — pomyślałem — i wtedy wyczułem raczej stopami, niż usłyszałem, drżenie przechodzące w basowy pomruk. Odezwał się głęboko pode mną, aż zadygotała kratownica estakady. Jednocześnie żółte światło zaczęło przenikać cembrowinę tej studni, w której sterczała głowica starbolta gotowego do startu.

Zdezorientowany zacząłem sobie przypominać rozpaczliwie wszystkie dane techniczne na temat nowego „Trieda” i zmodernizowanych starboltów, jakimi w Strefie Systemu usiłowano podciągnąć moją edukację. Nie było w tym nic szczególnie przydatnego do zastosowania, gdybym się znalazł na jego miejscu.

Tym nie mniej robiło się coraz jaśniej i z przerażeniem ujrzałem, jak zaczyna w dół

ściekać złote obramowanie wyrzutni i sypie się płonącymi kroplami, skwierczy i już zaczyna parować, coraz pełniej obnażając korpus starbolta otoczony plazmowym pęcherzem. Poczułem, że mi reszta włosów staje dęba na głowie. W panice skoczyłem do przodu, rozpaczliwie wymachiwałem rękami, a tam starbolt wisiał już w powietrzu, tuż nad złotym kleksem stopionej tulei, z której magnetyczny tłok powinien go wypchnąć w kosmiczną przestrzeń. I słyszałem coraz śpiewniejszy ton pracujących silników. Głowica starbolta dopełniła lustrzanej polaryzacji i nie mogłem rozpoznać czy porusza się w środku kuli, pod powierzchnią wzdętego zwierciadła. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia — już rozumiałem — tylko szaleniec mógł się zdecydować na ten krok ostateczny; był taki fortel wart wypróbowania, jeśli diabli wezmą „Trieda” i ostatnia deska ratunku w starbolcie zakleszczonym pod pancierzem macierzystego statku — wtedy wystarczy włączyć program umożliwiający starboltom przenikanie do wnętrza gwiazdnych chromosfer.

— Nie, Endo! Nie to! — biegłem i krzyczałem nie swoim głosem. — Za-cze-e-kaj!

Wołałem, jakby mi pozostawiono złudzenia, że to coś — co po nim zostało — ma prawo do imienia i może usłuchać mojego głosu zagłuszonego wezwaniem Planety oraz resztką instynktów targających wciąż żywym ciałem.

Jak szaleniec pędziłem naprzeciw nieuchronnej zgubie i byłem już w pół drogi, kiedy oślepiająca gwiazda nagle się otworzyła przede mną i odrzuciło mnie wstecz. A tam — dostrzegłem mimo zaciśniętych powiek, wyobraźnią bardziej niż wzrokiem — od wewnątrz przebite pozytronowym dłutem pękły burty „Trieda”, staranowane pięścią starbolta zawiniętą w rękawicę plazmy i elektromagnetycznego pola — rozkruszyły się w oka mgnieniu. Iskra strzeliła przez utorowane przejście prosto między inne gwiazdy. Mną też targnęło i rzuciło jej śladem. Poleciałem głową do przodu, jakbym raz jeszcze chciał bykiem strzelić — tym razem prosto w czarny brzuch kosmosu.

Leciałem wyssany wraz z powietrzem, rozkrzyżowany — co najwyżej z nadzieją, że po miliardzie lat trajektoria lotu mojej spory zasuszonej w cyście skafandra zamknie wreszcie pętlę i wróć do tego samego miejsca, i może nawet trafię znowu w ostatecznie wystygłą muszlę „Trieda”. Tym razem nie było troskliwej ręki mojego Brata, która by mnie wygarnęła z przestrzeni. Poczułem, że załamało się gwałtowne przyspieszenie — dokonała się dekompresja.

Już poleciłem duszę Bogu, gdy coś mnie omal nie przewlekło na wylot — brzuchem nadziałem się na rozpalony do czerwoności zadr w gwiazdzistej przestrzelinie. Wisiałem na nim, jakby mnie „Tried” wziął na ząb. Tylko połową ciała byłem po stronie kosmosu. Gorąco powoli przenikało przez skafander, zmiękczało nawet bio—blokadę, a jednak jeszcze ramionami opasałem zbawienną rafę — choćby mi kolana i dłonie miały na zawsze wtopić się w ciągliwe szkliwo.

Poszukałem wzrokiem starbolta.

Żadnej gwiazdy nie widziałem na wprost przed sobą, aż zrozumiałem, że bynajmniej nie jestem twarzą zwrócony w stronę kosmosu. Wzrok pogrążył się w czymś przeraźliwie bliskim, namacalnym niemal, chociaż to tylko nicość była — na wszystkie strony rozwarto wylot ogromnej studni, ledwie po bokach obrysowanej akwamarynem. Przecież tam Noc właśnie — pomyślałem. Tak niewiele czasu minęło od tej chwili, kiedy się wyrwałem z jej objęć. Teraz w sam raz północ pewnie, godzina dusz potępionych. A ja — w zenicie. Patrzyłem w tę głębię Planety szukając w niej bodaj iskry nadziei dla moich zmysłów — czułem tylko, że mnie zaczyna rwać, wir przestrzeni ciągnie do jakiegoś dna bardziej niewyobrażalnego niż nieskończoność. Przez oczy w mózg i przez rozdziawioną gębę prosto do moich kiszek sięgnęła jakaś ręka ogromna, wnętrzości owinęła sobie wokół nadgarstka,

palcami wczepiła się w wątrobę i teraz wystarczy raz szarpnąć, żeby mnie wyrzucić na lewą stronę.

Resztką woli zacisnąłem powieki. Ciemność jaźni wydała się nagle przytulna, nie tak groźna — choćby czort wie jaki atawizm drzemał w podświadomości.

I wtedy właśnie — już ślepy — usłyszałem szelest i tupot cichutki, jakby coś koło mnie przebiegło mysim truchtem. Nie odważyłem się otworzyć oczu. I coraz bardziej oddalały się ode mnie chichoty jakieś, piski i przytupy. A kiedy już prawie nic nie było słychać, z zupełnej ciszy nagle się uwolniła rześka melodyjka i usłyszałem:

*„Odejść do nieba — będziesz  
Uciec do piekła — jesteś  
Człowiek podobny stał się marności;  
Dni jego przemijają  
Lecz powiedz nam, naucz nas  
Jak pieśni Twoje w cudzej śpiewać ziemi?  
Ehej! Ehej! Tam dla nas raj  
Choć diabli biorą swata!...”*

Radosny śmiech zadźwięczał niby srebrne dzwoneczki. Aż otworzyłem oczy i dostrzegłem ich wreszcie — już w dole; krople rosy ściekały z błękitnej pajęczynki — pęczniejąc nieco na każdym szczeblu drabiny Jakubowej. A co pęcherzyk — postać w nim bardziej cudaczna, podrygująca, jakby sobie maszerowali rażno po ubitej ziemi. Lecz oni szli zawieszeni w przestrzeni, schodzili w głąb studni, gdzie się zaczyna świat bardziej może nieludzki od Strefy Systemu.

W ostatnim błękitnym pęcherzyku kuśtykał staruszek z bieluteńką, naelektryzowaną brodą, w krasnym kubraku i pociesznej szlafmocy. Tuż obok pętała się jeszcze jedna maleńka aureolka — z niej różowy pompon wypiął w moją stronę pucołowate policzki—pośladki. Uważny pasterz podgonił go laseczką, sam się obejrzał, pomachał do mnie suchą łapką i pomaszerował dalej.

Szczury, pomyślałem. Uciekają z tonącego okrętu.

## Siódmy dzień tworzenia

*„Nie wiem, kto mnie wydał na świat,  
ani co jest świat, ani co ja sam”*

*(Blaise Pascal)*

*„Take thy beak from out my heart, and  
take thy from off my door!” Quoth the  
Raven „Nevermore”.*

*(Edgar Allan Poe)*

Z piekielną precyzją wrył się we mnie obraz tamtego ciała, kiedy szło wprost na mnie, choć dawno powinno gryźć ziemię — jednak prosto trzymało głowę, tak niedawno jednym cięciem rozplataną od skroni do skroni. Wciąż miałem przed oczami tę ledwie zasklepioną bliznę — pąsowe wargi, łaknące rozumu, który by uwznioślił ich żądze; tylko skrzyknąć Kruka—демиурга, żeby przysiadł w opuszczone gniazdo.

Nie powinienem się dziwić, że podążało drogą, do której zostało powołane. Przecież i ze mną stało się to samo. Nie pamiętam, co naprawdę uczyniło moje ciało, ile zmyślności i siły wykazały mięśnie oraz nerwy sterujące egzozszkieletem. Ostatecznie dotarłem do ostatniego w wyrzutni starbolta, usadowiłem się w kołysce amortyzacyjnego pęcherza, zsynchronizowałem zmysły ze sterami i wreszcie uczyniłem to samo, co przede mną przedsięwzięło inne martwe ciało — choć już nie trzeba było wyłamywać zamków — wyprowadziłem pocisk przez wyrwę w burcie „Trieda”.

Trudno mi zaręczyć, że tak się to właśnie odbyło, gdy nie wiem nawet ile czasu od wtedy minęło. Co trzeba moje ciało wykonało samo. Odbyło się to tak, jakby otepienie mojego umysłu spełniło tę samą rolę, co ucieczka Endo w świat Wielkiego Chozemu, gdy po utraceniu ciała mózg zasiedlił Miedziane Miasto.

Teraz przynajmniej moje ciało wykonało już całą brudną robotę, mogłem więc pozwolić sobie na chwilę relaksu, zanim jednowładztwo sprzężenia dwóch półkul na powrót podporządkuje sobie mięśnie. Miałem na to czasu aż nadto. Poza sierpem Planety dawno już zniknęło szklane widmo „Trieda”. Zachowałem go w pamięci jako pusty, wymarły wrak, chociaż drzemał w nim duch Synchronmatu. Nie miałem odwagi obudzić go przed odlotem. Jeżeli o charakterystycznych cechach danej świadomości decyduje jej ciągłość w czasie to, być może, wskazującym palcem dopełniłem wyroku i już nigdy nie ocknie się mój Brat takim, jaki był przedtem, nawet mi się nie przyśni wizja istoty włączonej w meandry Strefy Systemu i tam odnajdującej swoją nadświadomość.

Komuś takiemu mógłbym zaproponować z czystym sumieniem:

— Bądź mi Bratem.

A on by się tylko uśmiechnął czyjaś piękną twarzą—atrapą i przypomniał coś, o czym zdążyłem zapomnieć:

— Pamiętasz, co ci powiedziałem kiedyś? Niech ci nie zadrży ręka, kiedy będziesz mnie musiał dobić. Albowiem zrozumiesz mnie dopiero wtedy, gdy nas obu nie będzie.

Czy on jest jeszcze, zastanowiłem się, czy już go nie ma?

Czas na nas. Przynajmniej siódmego dnia wypadałoby odpocząć. Niechby i na zawsze.

Lecz ja — na złość — właśnie odzyskuję jako taką równowagę ducha. I to cały optymizm, na jaki stać mnie jeszcze. Poza tym bowiem gotów byłbym dać wiarę tym

natrętnym myślom, które nie raz mi przychodziły do głowy — że Kosmos jest naczyniem przygotowanym na przyjęcie człowieka, tylko trzeba się weń wpasować, trzeba wykoncypować pilnie zgodność wyższego rzędu niż ta, która nas oddzieliła od pitekanropa. Raven też mówił o tym.

Raven — parsknąłem — zebrało mi się na wesołość.

Przedemną strefa nocy przesunęła się na zachód. Ponad głębią atmosfery zeszkłonej niby malachit polatywały białe obłoki snujące się wysoko w stratosferze. Pod nimi cięższe warstwy zielonych chmur. Powierzchnia Planety zasnuta dzisiaj była zwartym pokrowcem obłoków, tak zwięzłym, aż miałem wrażenie, że nocna ciemność niechętnie się spod nich wysuwa. Brak mi było odwagi, żeby zanurkować i bodaj z daleka sprawdzić czym się zakończył czarci sabat.

Nie patrzyłem na koordynatograf. Nie obchodziło mnie, dokąd prowadzi autopilot. Dawno już rozumiałem, jak mało znaczy, jeśli spróbuję cokolwiek przedsięwziąć na własną rękę czy też pozwalam się bezwolnie prowadzić tam, dokąd spływają wszystkie ścieki. Planeta wytyczyła własny labirynt probabilistyki i w nim twardo pilnuje, żebym przestrzegał ustanowionych zasad ruchu, nawet nie dostrzegając logiki.

Nie znaczy to, oczywiście, że lecę bez celu. To ten CEL, jakby to powiedzieć — nie jest mój. Skąd zresztą wiem, co i kto do czego należy?

Kiedy moje ciało wyprowadziło starbolta z brzucha „Trieda”, rozplatanego szeroko, pozbawiony rozterek automat statku rozpoczynał już generalny remont — w zastępstwie Synchronmatu. Zdażyłem dostrzec, jak przestrzelina w szklanych przeponach zaczyna się wypełniać szybko krzepnącym szkliwem. Bardzo to przypominało zablizniającą się czaszkę Endo, pod której czołem zagnieździła się próżnia.

Wzdrygnąłem się. Nie powinienem myśleć o tym. Najlepiej nic nie myśleć. Pech w tym, że trudno opanować tę sztukę. Synchronmat pewnie się nigdy nie dowie ile mi zawdzięcza — trzask! i po wszystkim. A człowiek musi się męczyć.

Teraz więc autopilot trzyma się nikłego śladu, rzadkiej smugi plazmy pozostawionej przez starbolta, który stosunkowo niedawno tędy przeleciał. Nie tak mu znowu deptaliśmy po piętach abym mógł go dostrzec. Od początku nie potrafiły go dostrzec zmysły starbolta tysiąckrotnie czulsze od mojego wzroku. Zresztą i tak czujniki chwyciły tę odrobinę zjonizowanego gazu, wystarczającą, żeby starbolt szedł śladem posłuszny niby pies myśliwski, gdy raz wywęszy trop i nie spocznie, póki nie doścignie zdobyczy.

Dzięki szczelnej powłoce chmur nie potrafiłem się zorientować, w którą stronę lecimy. Zresztą — tak naprawdę nie zdażyłem się zorientować w pełnym obrazie powierzchni Planety. Pewnie Synchronmat uporał się z tym wszystkim, skrupulatnie wypełnił prace kartograficzne, zinwentaryzował oceany, kontynenty, archipelagi, leśne masywy i tropy między nimi wydeptane przez boże krówki. Przed moim wzrokiem Planeta — to nie ulega przecież wątpliwości — ledwie uchylila rąbka spódniczki. Jeżeli jednak zasada założyciela określa biosferę tej Planety z punktu widzenia owej pierwszej żywej komórki, jeśli logika atomu jest również logiką Wszechświata, to przecież powinienem umieć całość odczytać z każdego ułamka. A jednak nie potrafię.

Czyżbym stał się oto wyznawcą zamierzchłych filozofii ziemskiego Orientu, według których mało ważna jest erudycja, bardziej niż blahe wszelkie misteria, wtajemniczenia, nirwany i celebracje jogów, że prawdę Wszechświata pojąć może nie tylko geniusz, lecz i najbardziej podły z ludzi. Wszystko się zbiega w tym jednym jedynym spojrzeniu, ruchu ręki, dźwięku pochwyconym przez ucho — dzięki któremu można określić i w ułamku czerstwego chleba znaleźć ucztę nie tylko dla

podniebienia; w przydrożnym kamieniu nie tylko słup kilometrowy, w emisji gwiazd nie tylko ułamek słonecznego wiatru. Może nie trzeba przeinaczać kształtu? Sztuka ostatecznego wpasowania się w naczynie Kosmosu, miałyby więc polegać na zdobyciu wyłącznie nowego punktu widzenia? Jeśli tak — jak daleko ode mnie jest moje satori? Nie wiem. Gdybym wiedział — nie byłoby tym, co próbuję znaleźć. Trzeba zapomnieć o wszystkim i po prostu iść przed siebie. I mieć oczy szeroko otwarte. Jak ten, który zdołał otworzyć swe wewnętrzne oko nie prędzej, nim jako pilny uczeń zbliżył się do mistrza Juan-wu i zapytał:

— Powiedz mi, czy istnieje Bóg?

Mistrz milczał z pochyloną głową.

— Odpowiedz mi — ponaglił go uczeń.

— Tak — odparł mistrz.

— A więc istnieje! — z ulgą wykrzyknął uczeń.

— Nie — powiedział mistrz.

— Jakże to? — zdumiał się uczeń. — Najpierw trudno coś z ciebie wyciągnąć, wreszcie raz mówisz „tak”, potem znów...

Mistrz wstał i wymierzył mu mocny policzek.

Czy inaczej ja zachowuję się wobec tej Planety — mojego Mistrza? Lecz jeśli wreszcie stworzę w sobie ten świat takim, jakim jest w pełni — cóż zostanie poza mną? Ta sama nicość materii otaczająca Horowitza, kiedy już w sobie dopełnił świat własnego szaleństwa?

W zielonej powodzi pod przezroczystym dnem głowicy starbolta istnieje świat, którego nie jest mi pisane pojąć w całości. Jakby to powiedział Raven — *réservé* dla „świadomości społecznej”. Gdybym mógł chociaż, z zamkniętymi oczyma, stanąć twarzą pod wiatr i wyobrazić sobie, stworzyć w sobie bodaj jeden kwiat, którego zapach pochwyć nozdrza — lecz w nich, jak smak na języku, ciągle ta sama cuchnąca mysia woń.

I dreszcz mnie przenika, jakbym odczuwał tamten mleczny świt w dole. Ziab mgły skroplonej w rosę na nagich kamieniach i listkach tamaryszku — jeśli pode mną ciągnie się strefa pustynnych wyżyn; rosy osiadającej na rzadkich pajęczynach rozwieszonych nad torfowiskiem, we włosach szuwarowo-turzycowej łąki — jeśli pode mną roztopy i podmokłe ziemie, gdzie białe kwiatki bagiennej przytulii obsypują mszyste pagórki, a gdy zbliżyć twarz do ziemi — przed oczyma rozkwita, przedtem niedostrzegalny, siedmiopalecznik błotny — otwiera purpurowe kwiatuszki i dwa misterne okółki czerniawych pręcików — dowód ostatni, że ten cały świat właśnie się wyklął z nocnych ciemności.

Aż zacisnąłem powieki, żeby usunąć sprzed oczu tę jakże realną pamięć flory, której istnienia nie mogłem wywieść z żadnego z dotąd poznanych światów.

Dziwaczna pamięć po raz drugi dała się we znaki od chwili, gdy siedziałem u podnóża szkarłatnej, pięcioramiennej rozgwiazdy — zanim Natan uderzył pięścią w rdzawy słup i mechaniczne wnętrza obnażyły się spod żelaznego próchna.

Tam w niecce czerwonej dłoni, między pięcioma palcami znalazłem wylot studni, w którą nie odważyłem się zajrzeć. Analogicznie dzisiaj — raz jeszcze udało mi się plecami odwrócić do zmięchu tej Planety. Udało się — skąd więc ta gorycz, jakbym posiadał nieśmiertelność niezdolną uwieńczyć moje życie spokojną, zmięchającą starością?

Teraz przede mną wyłącznie strefa świtu.

Zobaczyłem, jak zielonkawy pokrowiec chmur spiętrzył się nagle. Gdzieś głęboko atmosferyczne prądy w pędzie ku północy powstrzymane zostały przez wypiętrzoną wysoko tektoniczną zaporę. Wysoko w stratosferze obłoki pieniały się, szarpane przez niewidzialne ciągle rafy. Dostrzegłem je wreszcie — wysuwały się ze strzępów

mgielnego puchu, nie zęby, lecz ostre kolce w dziąsłach broczących zielonym sokiem. Tylko szklane czubki wybijały się aż do granic kosmosu, napiętą między nimi płetwą dawały odpór monsunom. Tak właśnie to widziałem — gigantyczny morski potwór przebiegał się tam, pośród wściekłych prądów — gwałtownych w skali czasu określającego obce mi metabolizmy, gdyż wobec moich oczu nic się tam nie zmieniło, potworny wir trwał jak zmrożony kosmicznym chłodem. Jeśli miałem wrażenie, że gdzieś tam pryskają pęcherzyki piany, powodem było tylko przemieszczanie się mojego starbolta względem kierunku promieni Heliosa. Gwiazda powoli wynurzała się nad owal Planety.

Poza kolczastą płetwą na grzbiecie Lewiatana zauważyłem depresję chmurnego masywu, przechodzącą w różową nieckę, w spokojną mieliznę atmosfery. Bardziej przezroczyste powietrze nakrywało nieco już skarłałe łańcuchy górskie — zaledwie zmarszczki planetarnej skorupy, już poza szeregiem iglic wytkniętych z głębin globu.

Mnie samego zaczęło w tę mieliznę znosić.

Chmury wydawały się być tutaj raczej burzą piaskową, kurzawą od dołu podświetloną różowiejącym zarzewiem.

Chciałem ręką sięgnąć do sterów, lecz starbolt nie został przecież w ten dryf bezwolny położony za sprawą nadprzyrodzonych mocy. Pewnie trzymał się szczątkowego śladu plazmy. Jeśli raz postanowiłem iść tym tropem — winienem zawierzyć automatom.

Powierzchnia owej chmurnej pustyni była coraz bliższa. Mgła się podrywała nad nią, polatywała skrecona jakby w bicze lotnego piasku. Parę razy nawet mi się przywidziało, że mikroskopijne kryształki uderzają o głowicę starbolta, przesuwają się wzdłuż korpusu z szelestem bardziej do syku węża podobnym, aby w ułamku sekundy wkręcić się w promień plazmy i z krzemienia wykrzesać kilka iskier pękających w zielonym płomieniu.

Spojrzałem w górę.

Powoli zrastała się nade mną blizna gęstniejącego powietrza. Miałem wrażenie, że krystalizująca się kopuła nieba nie oddala się ode mnie, lecz przybliża właśnie. Coraz ciężiej nawisiał strop pieczary wykutej w opoce malachitu, w ciemnozielonym kamieniu, który przenikają smugi jaśniejsze — powietrzne wiry, piaskowe bicze. Dziwny miraż pustyni wyniesionej w atmosferę. Starbolt już głowicą rozbija białe i różowe wydmy, przenika lotną watę. Do moich uszu — aż się obejrzałem zdziwiony — dociera jęk jakby, ton szemrzący nisko, to znów zawodzący wibracją diamentu szukającego dźwięku w moim szklanym hełmie — od skroni do skroni. Dźwiękowy skalpel zdawał się tym razem dobierać do mnie.

Skupiłem uwagę, pragnąc podłuskać te śpiewające piaski. Głos w nich trwał niby pomruk gradowej chmury. Czułem, że cierpie mi skóra na karku. Gotów byłbym przysiąc, że potrafię z tego wyłuskać niemal artykułowane echa. Starbolt płynął w mlecznym słoju atmosfery absurdalnie przewodliwej dla dźwięków. Aż zacisnąłem powieki i pięści. Starłem się słuchać i zapomnieć, że coś jeszcze istnieje poza uchem głowicy starbolta nachylającym się coraz bardziej do powierzchni globu, poza mną samym — szklanej głowicy uchem wewnętrznym.

I już miałem pewność, że potrafię głosy rozdwoić i wyłuskać z nich dialog istniejący poza barierą dźwięku przełamaną lotem starbolta. To spod powierzchni ziemi zdawał się dobywać głęboki pomruk, raz po raz cięty suchym trzaskiem i jakby śmiechem gardłowym:

„...Wiedza nie jest jedynie sumą obrazów świata zarejestrowanych przez świadomość...”

„Czym jeszcze?”

„Świadomość zdziera tylko wierzchnie warstwy na zasadzie struga wygładzającego



drewnianą powierzchnię. To wyskubywanie pojedynczych piór ze Skrzydeł Czarnego Kruka. Świadomość nasza to kolekcjoner wiórów, które można obszyć miłą w dotyku materia i uczynić z tego poduszkę. Poduszka pod głowę sprowadza senność, można więc zdrzemnąć się z pewnością dobrze spełnionego obowiązku.” „Bzdura!”

Wiatr szeleścił koło mnie — w lotkach rozpostartych skrzydeł, gdy jako Kruk wracam do gniazda. Każda mnie do niego zawraca droga — do Miedzianego Miasta, choć postrzegalne jest ciągle jedynie dla mojego ucha; w różowym zamgleniu chmur słyszę bowiem wiatr hulający między ścianami miedzianych domów.

„Świadomość hołubi garść nędznych miedziaków, powierzchniowych spostrzeżeń, kilka praw obiegowych, parę haseł, cytatów, ledwie polizanych książkowych mądrości i mitów młodości — tęsknot do nigdy nie spełnionych, a pokładanych w tobie nadziei.”

„Czym jeszcze jest wiedza?”

„To również suma spostrzeżeń przypadkowych, dokonanych niezależnie od świadomych poczynań i nie zawsze przez tę świadomość zarejestrowanych. Świadomość nasza jest, w rzeczy samej, nędzna w swej prostocie, powierzchowności, odmitologizowaniu, bez tej miękkości pełnej rojeń, nostalgii i głębi obrazu tego Wszechświata, jaką człowiek pierwotny utracił na rzecz ortodoksji społecznej i empirycznej. Poza tą barierą brak wieszczów, ich symbolizmów, zaklętych zamków, gnomów, wilkołaków i zwykłej donkiszoterii... Brak tego wszystkiego, co zepchnięte zostało wyłącznie w naszą podświadomość.” „Marny z ciebie filozof, Endo. Szczególnie wtedy, gdy próbujesz wzdychać do utraconego raj.”

„To melancholia wszelkiego żywego stworzenia, które czas degraduje w strefę cienia.”

„Doprawdy? Jęczysz, że tobie się nie spełniło? Zapładniaj, co ci jeszcze zostało! Ubolewasz nad nędzą świadomości, nad ograniczonością wiedzy, a przecież — zostało ci to najcenniejsze z cennych. Masz wyobraźnię i moc nieograniczonej swobody jej realizacji. To przecież wyobraźnia jest tym, co powstaje dzięki bogactwu podświadomości dopełnianej mnogością obrazów rejestrowanych na gorąco, niezależnie od woli... Czy natykałeś się tego tak niewiele?”

„Zbyt dużo wiem...”

„I ten nadmiar wiedzy przeszkadza ci płodzić? Marny z ciebie Ojciec Założyciel. Nie jesteś Sokratesem, choć twój wielki łeb bardziej wyleniał od jego. Daj się uwieść! Masz przecież własnego Erosa podkarmionego ascetyczną filozofią.”

„Coś jeszcze jest poza świadomością i podświadomością.”

„Wal, Endo! Przede mną nie musisz się krępować. A jeszcze mnie możesz zadziwić. Tylko się pospiesz — niedługo sam się dowiem...”

„Co zamierzasz uczynić?”

„Nic za nic. No więc — co jeszcze każdy powinien mieć w zanadrzu?”

„Sztuką jest umieć czerpać z podświadomości...”

„No proszę!”

„...Dzięki świadomości dokonywać syntezy...”

„No więc na co czekasz? Zaludnij tę Atlantyde, ożywiaj posągi Wyspy Wielkanocnej, na nowo wiarą natchnij Katedrę Kosmosu i ten swój lokalny Chorezm!”

„Która wewnętrznym okiem zajrzy w nadświadomość.”

Nagle cisza zapadła.

Wkoło wir powietrza i różowe mgły podsiąkające fioletem — jeszcze jedno wrota, tym razem wprost z powietrza wiodące do serca Miedzianego Miasta.

Na chwilę umilkły głosy, które tak długo odbijały się od kamiennego sklepienia nieba, od malachitowej czary wyolbrzymiającej szept każdy, nawet myśl ulotną.

Cokolwiek tam się działo, tu — w warstwie obłoków — nabierało wagi gromów, aż do moich uszu znowu dotarło spotworniałym echem:

„Nadświadomość, powiadasz? A to znów co takiego?”

„Ostateczna jedność naszej jaźni z otaczającym nas wszechświatem.”

„Więc ją zrealizuj! Cha-cha! Endo, przecież ci daję szansę!” „Czyżbyś sądził, że umysł każdego z nas zawiera się w tym tylko, co tak łatwo wyjąć z czaszki?”

„Podobno byłeś sufim! Dla dopełnienia ascezy pomogłem ci tylko zrzucić tę ostatnią z najbardziej zgrzebnych wełnianych sukien!”

„A jednak ciało nasze posiada też własną pamięć. Więc i podświadomość sięga do mięśni, ścięgien i kości. Pragnąc tylko myślą ogarniać świat, nie bacząc na zmysły i ułomność ciała, byłbym jako biegacz wołający o konia, aby jeden krok przed siebie postąpić... Oddaj mi ciało.”

„Dawno diabli wzięli. Czerwie je zeżarły w tej — parszywej glebie!”

„Mylisz się.”

„Doprawdy?”

„Przysłuchaj się. Nic nie słyszysz?”

Kroki słyszałem. Powolne stąpanie. Aż w małżowinę ucha skręconego z głowicy starbolta docierało echo marszowego kroku, jakby ktoś szedł po twardo ubitej ziemi. Ktoś mocny, pewny siebie i dobrze wiedzący, dokąd prowadzi droga.

„Kroki!...”

„Rzekłeś.”

Brzęk, jakby ktoś pięścią uderzył w miedziany bęben.

„Psiakrew! Mówiłem mu, żeby się tu nie pętał!”

„To nie Elf.”

Milczenie.

„Kto jeszcze, do jasnej cholery!”

„Małpolud przyszedł się upomnieć o swoją czaszkę.”

W tej samej chwili jęk usłyszałem i równocześnie starbolt przebił sklepienie chmur.

Jakbym z czaszy ogniskującej głosu wypadł prosto w ognisko pieniające się świetlanym ukropem. Aż uniosłem rękę i oczy osłoniłem ramieniem — bynajmniej nie dla ostrości promieniowania złagodzonego szklanymi filtrami.

Jeszcze we wstecznych zwierciadłach mrok pierzchał pod naporem świtu, jeszcze po obu stronach starbolta wydmy się wykluwały w sinawej poświacie — Tanie samego niosło naprzeciw korony złocistej, pulsującej żywymi ogniami. Trzy świetlne baszty wprowadzone w celowniki starbolta — bliźniacze siostry tamtej wyrosłej na straży kosmosu. Niby błysk trzech kropel, które wchłonęły całą jasność ponurego nieboskłonu, upadły na lotne piaski pustyni i rozprysnęły się na wszystkie strony, aż szerokim okręgiem zębaty mur podniósł się na takry, Kyzył-kumy i tyse solniska. Warowne ściany zostały już wzmocnione soplami baszt podrywających się do samodzielnego lotu, karbowane otworami strzelnic, spoza których prawdziwie jasne światło dopiero się przebija gdzieś z centrum Miasta. Co mnie jednak wprawiło w największe zdumienie — zarówno mur, na całej długości, jak strzeliste wieże poza nim — wszystko jaśniało czyste od nacieków patyny. Za sprawą sił nadprzyrodzonych ogromne elektrody wznowiły aktywność i miedziane blachy zrzuciły tysiącletnią mimikrę.

Miedziane zwierciadła błyskami omiatały całą przestrzeń, sypały iskrami — na graniach kryształów zdawały się koncentrować wyładowania elektrycznej energii. Bloki czerwonego złota w rozłamach zwartej masywy zatopiły ulice iluzorycznie płynną bielą, jakby się tam otworzyła czeluść gwieźdznego piekła. Pryzmaty gmachów sterczały ponad tym jako chwiejne, chitynowe narosty — wysepki sklerytalnych

płytek albo łuski pękającego pancerza, który się rozsypuje pod napierającą od spodu opuchlizną żywego ciała.

Słońce nie mogło tak potworną siłą natchnąć tego Miasta. Przez niskie chmury ledwie tu przenikały nędzne promienie Heliosa. To Miasto płonęło światłem zaczerpniętym z własnej Świątyni Ognia. Od wewnątrz zachłystywało się tęczowym mrowieniem — błyskami szybek z przezroczystej miki, wstawionymi w okna pod odchylonymi żaluzjami miedzianych powiek. I kłębiły się tam prawie niedostrzegalne smużki cieni, coś się przemykało pod słonecznym witrażem podobnym do plastra miodu — z lotu ptaka bardziej zbliżone do owadziego roju; choćbym pragnął tam znaleźć dworzan Wielkiego Chorezmszaha ubranych w złotogłowie, w przezroczyste muśliny otulające ciała nagich tancerek i fletnistek wiodących korowód sajjidich do grobu Mahometa. Tylko tam może się objawić światło zdolne ciężki masyw Miasta przeistoczyć niemal w miraż ulotny, w koronę — pulsującej, płynne światło przelewającej nad horyzontem — niesamowitej polarnej zorzy.

I kiedy już gotów byłem wszystko to uznać za wybryk moich oczu porażonych dziedzicznym obłędem — dostrzegłem, że ktoś jeszcze zmierza ku temu światłu. I chociaż ja mknę niesiony na skrzydłach starbolta, a on mozolnie kroczy przez złote piaski — nie zdołam go wyprzedzić. Już się zanurzył po pas w fosę okalającą mury. Zniknęła tafla czarnego lodu, której opór zapamiętały moje stopy — kolejny pielgrzym brnął teraz w ziarnistym, wielobarwnym planktonie. Tę fosę po brzegi wypełniały drogocenne klejnoty — ciemne ziarna szafirów z niebieskim połyskiem, aż po ramiona zatonął w rubinowej ikrze, czołem rozgarniał pasowe iskrzenia granatów i żółty pył miałko rozkruszonych topazów.

Miasto pode mną zbliżało się z przeraźliwą szybkością. Na wydmach błysnęła korpus starbolta porzuconego w piaskach pustyni. Od promieniście rozpekłej głowy wyraźny trop prowadził prosto w kierunku Miasta.

Tak głęboko w ziemi odcisnięty ślad bosych stóp powinien zostawić za sobą nie człowiek, lecz olbrzym jakiś, który na stalowych barkach dźwiga więcej niż jeden łeb.

Starbolt lotem koszącym niemal musnął powierzchnię pustyni — już moje palce znowu zakorzenione w kontaktach sterów. Przeciężenie odsysało krew w dół, mnie całego z powrotem naginało do Miasta, kiedy ze ślizgu nad powierzchnią ziemi, tuż przed czołem iskrzącego się muru, stromym łukiem wyprowadziłem starbolta prosto w zenit.

W ułamku sekundy — zerkając wstecz — dostrzegłem, jak z fosy wynurza się postać ogromna — najpierw naga czaszka z czerwonym grzebieniem, dalej kark i szerokie barki, na których spoczywały dwa łby nadliczbowe — ramionami opasane cylindry, niby owalnie oszlifowane kryształy chryzolitów, zielonawożółte klejnoty. Czyżby bóstwom Miasta mało było diamentów po brzegi wypełniających przeręble ulic i fosę, brak szlachetnych kruszców, które teraz kapały z ramion giganta podchodzącego do muru. Zamiast wody — pył się osypywał z jego nagich pleców, z bioder. Tylko najlotniejsze drobiny lgnęły do skóry zwilżonej potem, osiadały na udach — już całe ciało pokryte srebrzystozłotym nalotem, przypudrowały resztkę sierści po bokach czaszki i puch okrywający płeć herosa. I kiedy się cały wynurzył z owego tygla, w którym alchemia warzyła płynne złoto — od stóp do głowy pokryty był pyłkiem motyli skrzydeł, przetykana pajęczą nicią materia trwale przylgnęła do spizowego ciała.

Jeszcze się obraz tej postaci wyświeślał w ciemni moich oczu, na równi z otwierającym się przed nim rozłamem muru, kiedy starbolt daleko za sobą zostawił blanki i pionową świecę strzelił wzdłuż jednej z wieżyc płonących niby pochodnia. Pęd wyrzucił mnie aż pod strop pieczary zaróżowiony nad Miastem. Chwila mgielnej ślepoty. Za to w niej głosy:

„...Jeśli tu jestem pierwszy sufi, głoszący ascezę — nauczę moich uczniów pogardy dla bogactw doczesności, po które przyszedłeś tutaj, ty — poszukiwacz skarbów, plądrujący groby. Nauczę ich pokory i dzielności duszy wobec zła skondensowanego w twojej, tak bardzo ludzkiej, naturze...”

„Uch! Jakież to wzniosłe... Dla takiej idei warto się dać pokrajać. Cha-cha-a-ha! Prowadź go! O tak, bliżej jeszcze! Bliżej przyprowadź, Sokratesie, swe wylupiaste oczy, żebyś mógł wreszcie sam na siebie spojrzeć! Czeka cię niespodzianka, po której serdecznie wątpię abyś miał ochotę nauczać dalej!”

„Spróbuj mnie zrozumieć...”

„O tak! Bardzo to sobie sprytnie złożyłeś — ascetyczny mistycyzm, medytacje i zachowanie milczenia. A jednak lubisz pogadać sobie. I miałem przyjemność zajrzeć do twojej Sali Królów — dlaczego, miast wszystkich zrównać, zarezerwowałeś dla siebie trochę arystokracji?”

„Jednaka we mnie krew Tekesza, sufickiego szajcha i Egzula Strefy Systemu. Ten więc ogród, który mi wolno uprawiać pod opatrnością twojego oka, wszelka w nim materia martwa oraz ożywiona, rośliny, zwierzęta i człowiek, są inspirowane moim duchem, emanacją takiej Prawdy, której ty nigdy nie pojmiesz...”

„Czy wiesz, kim jesteś?”

Ktoś się zaśmiał szyderczo, lecz głowica mojego starbolta już wypadła ze sfery nieba nadprzewodliwej dla dźwięków, i znowu w dół runąłem.

Znajome zamczysko w sercu Miasta. Prześwietlone od wewnątrz czyniło wrażenie oranżerii wyniesionej ze szklanych stropów, z błon przenikliwych dla wzroku, z nawarstwień woskowiny topniejącej od trwającego w podziemiach pożaru. Kat tam — w węglach wypalał narzędzia tortur przygotowane na przyjęcie postaci ogromnej, szybkim krokiem przemierzającej labirynty na wół przejrzystych chodników, czerwonych komnat z podcieniem liwanów. Coraz bliżej nieszczęsny akranida podchodził do pulsującego pęcherza, dokąd go przywiodła zwierzęca tęsknota.

Wreszcie — przez szyby pozwalające zajrzeć do wnętrza gigantycznego akwarium — dostrzegłem, jak się zatoczył, na posadzki upuścił dwa zielone klejnoty, a sam — rozpostarł ramiona. Jeszcze krok ostatni. I nagle — stanął porażony, rozkrzyżowany przed ogniskiem ogromnym. Jasność wewnątrz bloków rozpraszała się migotaniem jakimś, śmiechami i gwarem przytłumionych rozmów, cieniami głów pochylonych przed Salą Królów.

On jeden nie przyklęknął.

Aż mnie ziąb przeniknął, gdy niespodziewanie uchwyciłem sens owej pantomimicznej sceny. Uświadomiłem sobie współzależność wszelkich proporcji i nareszcie mogłem umiejscowić tę olbrzymią postać, nagą i przyprószoną srebrno-złotym pudrem, skamieniałą w przedsiönku prawdziwego labiryntu. Tam, w żółtawym osoczu nieruchomo zawisło to coś — zawierające w sobie historię i społeczną świadomość rasy obumarłej w Strefie Systemu. To coś unicestwiło wszelkie pragnienia — płci, głodu, żądzę mordy, wszystkie dążenia, poza posłannictwem Ojca Założyciela.

Lecz porzucona cielesność szuka swego dopełnienia. Nagi heros dotarł więc do celu, chociaż dzieliła ich kosmiczna przestrzeń, całun atmosfery, pustynia i mur potężny. Ciało musiało walczyć, chociażby ze mną i słabością własną — więc, pokonując kolejne przeszkody, wyćwiczyło nowy spryt i siłę, rozwinęło w sobie i wzmocniło szkielet, pomnożyło masę mięśni i sprężystość ścięgien. Wreszcie dotarło do źródła, gdzie dwóch dłoni powinno wystarczyć, żeby zaczerpnąć łyk świadomości — szary skrzep przeklinający własną bezradność.

A jednak — wyciągniętych ramion nie starczy. Ledwie ten mózg można objąć wzrokiem. Jakby kiedykolwiek wątpliwym było, co kryje większy potencjał nie

wykorzystanych możliwości — miniona zwierzęcość czy pomarszczone jajo mózgu, w którym się ledwie załęgła świadomość, a i teraz drzemie — z nadzieją, że kiedyś uda się rozwinąć prawdziwe skrzydła.

Wtedy w gnieździe pozostanie niepotrzebna skorupka.

Tak, jak teraz, chociaż to tylko generalna próba.

Patrzyłem na nich z wysoka. Olbrzym tam stał z zadartą głową, a przed nim kielich Graala którego nie zdoła wychylić nikt śmiertelny. Granice szmaragdu wnikały w otaczający ich labirynt, od wewnątrz rozwarstwiający się zgodnie z magiczną formułą „Jestem Prawdą—Bogiem” — choćby w Strefie Systemu była bluźnierstwem karany bezwzględnie śmiercią, tutaj rozrastał się cień karbowany głęboko, napęczniały sinymi fałdami mózgowej kory, już nie mieszczący się w Sali Królów.

I wreszcie wybiegli sobie naprzeciw. Jedno — holowizyjnym pejzażem, drugie — maleńką postacią, która się zatoczyła i nagle runęła do przodu, rozłożyła ramiona i nogi, bladą twarzą i śmiesznie skarłałym tułowiem przylgnęła do powierzchni pęcherza — nowego czerepu dla olbrzymiego mózgowia. Drobnym owadzi okrucuch przykleił się do błony napięcia powierzchniowego wokół kropli, wtułił głęboko, jakby miał nadzieję, że się jego zwierzęcość obudzi — świadomością tkanek wzgardzonych przez monstrialnego ascetę.

I zadrzał, jakby porażony elektrycznością. Miałem wrażenie, że ten sam prąd przeniknął we mnie. Jednocześnie litość dla Endo — po jednej i drugiej stronie — oraz z każdą chwilą bardziej dotkliwa nienawiść.

Nie szukałem przekleństw, które warto byłoby rzucić na głowę tej żalostnej istoty jeszcze się trzymającej w cieniu. Była tylko oprawcą, jeśli czyniącym swoje, to tylko za zgodą właściwych gospodarzy przekłętej Planety. Nie mogłem go nienawidzić z całą mocą, choćby był tym parszywym ziarnem dopełniającym obłęd, jeśli słyszałem w sobie coś do jęku podobne: DLACZEGO MU POZWOLILIŚCIE NA TO?!

I raz jeszcze usłyszałem głos Natana — pewnie jego czarne czerwie i skrzydlate żuki jeszcze nie zwierzyły mojej obecności nad trzema basztami Miedzianego Miasta. Znowu się odezwał, powtórzył pytanie skierowane do owego gigantycznego mózgu — apokaliptycznej osobliwości EKSPERYMENTU; zapytał, nagle bez śmiechu, aż pojąłem, że oto ma się dokonać coś strasznego, na co tak długo czekałem:

„Kim jesteś?”

„Ana al-Hakk.”

„Więc udław się swoją Prawdą!”

Jednocześnie wszystko pode mną zamigotało, jakby ze zwiniętego kolapsu raz po raz wyrwały się porcje światła — rozpaczliwe wołanie neutronowej gwiazdy, która się zatrzasnęła w pułapkę własnej masy. Puls coraz szybszy — projekcja kwantów wypchnęła w przestrzeń jakieś cienie, ze splotów mózgowia wyzwoliła przedpotopowy pomiot, aż coś pierzchnęło na strony, niby szcurze kohorty albo bryzgi piany z raz jeszcze eksplodującego Oka Lewiatana — plazmowe zgęstki wypchnięte z tuneli przewierconych pod kontynentem. I każdy odprysk jeszcze w locie ulegał niezwykłej metamorfozie — szare strzępy mózgowej kory obnażyły rdzeń bardziej soczysty, trysnęły na przezroczyste ściany pałacowych komnat niby farby wychlśnięte z kubła, na powierzchni kamienia rozkładające wachlarze barw i zmienną intensywność odcieni.

Słyszałem, jak przez krużganki potoczyły się miedziane krążki monet z tamgą po jednej stronie i wizerunkami Wazamara lub Arsamucha po drugiej. Rozciągnięte w powietrzu żółtawo-czarne smugi przylgnęły do ścian jako ornament z liści akantu, spłynęły jak po szybie nagle spryskanej białym wapnem, na którym zakwita obraz harfiarki o ramionach ozdobionych bransoletami, palcami trącej struny trójkątnej asyryjskiej harfy. Tuż obok — patrzę — rozchylone nagle i prosto na mnie

skierowane czyjeś oczy ogromne, ocienione łukami brwi czarnych, zrosniętych u nasady nosa. Farby chlusnęły na strop — po przekątnej pociągnęły gryf dwustronnej dombry, zawęzły parę girland z gliny pomieszczonej z wełną, z masy bardziej plastycznej od gliny — może nią być tylko żywe ciało — formującej liście i owoce zielone jeszcze, to znów jaskrawożółte i czerwone. Strop się tam zabliznił i przestałem cokolwiek dostrzegać w owej komnacie.

Za to przyległa szklana komórka wypełniła się freskiem we fioletowo–czerwonej tonacji. Widziałem rękę sięgającą po kiść winogron — wystarczy ścisnąć palce, aby trysnęło wino krwawe, lecz freski zbiegły się znowu i trudno mi było osądzić czy tam właśnie dopełnił się tamten gest.

Zrozumiałem, że widzę coraz mniej, coraz płycej przenikam w przezroczysty, przed chwilą, labirynt pałacu. Jeszcze gdzieś z głębi wypełzła wstęga błękitna fal prześwieconych błyskami ryb białych i czerwonych, inny szlak zawinął pętlę z czarnej łuski — węzowy splot, w mgnieniu oka stratowany przez oddział zbrojnej jazdy. Z kłębow pyłu podrywających się nad posadzki wyrzwały głowy tygrysów, szaroliliowe cienie ptaków, ludzkie twarze i konie wyciągnięte w galopie — w ułamku sekundy znowu przylgnęły do ścian.

I wtedy — gdy już niczego prawie nie potrafiłem przewiercić wzrokiem — coś jeszcze eksplodowało wewnątrz tego ożywionego kopca. Gdzie jeszcze przed chwilą pulsowała ogromna kula, tam teraz na boki strzeliły odłamki niby kamienia, na wylot przedziurawiły już zabliznione ściany i otworzyły w nich głębokie przestrzenny. Przez największą dostrzegłem wbijający się w ściennie membrany ogromny wskazujący palec — srebrny, z głęboką zadną paznokcia, niby kula dum–dum, brak „tylko poprzecznego nacięcia — na krzyż, żeby mnie pobłogosławić — przecież celuje mi prosto w czoło. Ledwie zdążyłem wykonać błyskawiczny manewr uniku, kiedy tamten pocisk przemknął tuż obok mojego starbolta, za nim trzpień ciemny niby ułamek ramienia rozerwanego przy łokciu — w studnię podciśnienia trysnęła krew zielona, soczysta.

Coś się wyrwało z Miedzianego Miasta.

A tam potężniał tęczowy kataklizm — widziałem, jak pękło tamto ciało rozpostarte nad ogniskiem świętego ognia, nie wytrzymało impetu eksplozji. Przed chwilą przytulone jeszcze do wzdętego mózgowia, uwięzione — jak i mnie się trafiło — w pułapce elektromagnetycznego pola, garnące się bezradnie, gdyż nie potrafiące pojąć, że jest już niepotrzebne, odrzucone na zawsze i bezpowrotnie wydziedziczone przez swojego demiurga. Teraz jego luźne odłamki furkoczą w powietrzu, przenoszą się przez krużganki, poprzez ściany pieczar i komnat, w każdym ułamku materii zostawiają swoją pieczęć — matrycę kształtów, która się w mig wypełnia i materializuje posągi z alabastru. Poprzez szczeliny przestrzelin widziałem tylko fragmenty torsów nagich i otulonych fałdami płaszczy, ręce wzniesione i nogi zaparte w cokoły. Najwięcej ich w Sali Królów — ogromne rzeźby o twarzach władców z dynastii Sijamuszydów. U boku mają żony swoje, dzieci i zastępy bóstw opiekuńczych. Dalej — już w płaszczynach ścian — pod wapnem zzieleniałym od pleśni i glonów, zawiązały się płaskorzeźby strażników i kapłanów zagłębianych w modlitwie. Coraz jednak mniej szczelin, z każdą chwilą węższe prześwit, kędy z powietrza zajrzeć można do twierdzy zbudowanej na piaskach pustyni.

Jeszcze jasnozielony odbłysek na żółtej powierzchni ludzkiego ciała — zawiązało się w czerwonym pąku izby we wnętrzu jednej z wież. Zielonkawe plamki monet — nagle na nowo pokrytych grynszpanem. Coś jeszcze się zakręciło niespodziewanie, jakby komuś — poza srebrnym pociskiem — starczyło sił, żeby się wyrwać z pułapki. Wir przeniknął przez bloki gmachów i wbił się nad płasko położone dachy — cień jakby szkarłatny wyklął się ze skorupy murów, obłok rdzawy. A ja nad nim, w

kryształowej głowicy starbolta. Obłok otworzył pode mną czyjaś twarz ogromną, jakby zapiekłą zmarszczkami z wypalanej gliny. Chciałem szarpnąć się w bok raz jeszcze, wykonać rozpaczliwy manewr mijania razem z całym starboltem — tym razem nie było dokąd się uchylić. Martwe palce tkwiły w tulejach sterów, a poza mną twarz się rozlewała wciąż szerzej — przejrzysty zarys czerwonej głowy. Wreszcie poznałem zastygłe rysy twarzy Endo, ścięte dziwnym grymasem i z blizną zachodzącą na środek czoła.

Starbolt szklanym grotem trafił prosto w jedno z żółtych, tygrysiich oczu — jakby tuż koło mnie trzasnęła cieniutka błona powierzchniowego napięcia, zafalowały szeroko rozłożone rzęsy i zanurzyłem się w pustym oczodół.

„Więc udław się swoją Prawdą!” — pomyślałem, kiedy szkarłatny spazm powietrza przesunął się mimo starbolta. Oto unosiłem się nad Miastem takim, jakiego obraz mocno się wrył w mojej pamięci dzięki zmysłom Endo.

Czerwona twarz rozłożyła się wkoło czerwoną pustynią. Miasto leżało między wydmami ukojone jakby, jeśli nie ostatecznie martwe. Nie zostało śladu tych gwałtownych przemian, które tylko co wstrząsnęły nim tak dogłębnie. Pozostał olbrzymi prostokąt otoczony murem i fosą — szarą szczeliną wypełnioną lodem. W jednym z narożników chylił się w ruinę pałac nieco wywyższony, z trzema kwadratowymi, płasko ściętymi basztami. Wszędzie półmrok zielony. Zmatowiałe ściany znowu były pokryte blachą miedzianą, która zetlała przez tysiąclecia trwania tego miasta na pograniczu ziemi i kosmosu. Dokoła tylko wydmy, wzgórza ociekające siwymi liszajami solnisk, spękane we wnętrza równie jałowe jak powierzchnia. Nawet bezlistne krzewy saksaułu nie znalazły tu karmy dla korzeni.

Zupełny spokój zapanował również w przeręblach między ogromnymi domami — dzielnicami, zastygł ciszą w heksagonalnych bryłach cegieł-kryształów osadzonych w lodowym fundamencie. Nic — zdawałoby się — nie potrafi zakwitnąć w wiecznej zmarzlinie. Nawet tam, gdzie niedawno żar okrutny buzował w miejskiej Świątyni Ognia. Chociaż w starożytnych czasach płonęło tam nigdy nie gasnące ognisko, a przed chwilą dopiero ofiarny stos spopielił się wraz z czyjaś świadomością — teraz nad dachy nie uniósł wiotkiej szyi nawet najbardziej mgielny łabędź, jego dusza ostygła w krematoryjnym piecu. Wraz z nią ostatecznie zamknęło się ciekawskie oko Oceanu i w proch się rozsypało ciało niczyje, daremnie wtulające się w pęcherz obrzmiałego mózgowia.

Mój starbolt znowu zawisł ponad baśniowym nekropolis.

Gotów byłem wyszeptać: „Bądź pozdrowiona, Titonos” — a jednak miałem pewność, że owa siła, która tym miastem wstrząsnęła straszliwiej stokroć od tego, co do mnie dotarło ledwie rozproszonym echem, która na moment natchnęła życiem puste teraz sale — nie szczęła bezpowrotnie, nie rozsypała się wraz z ciałem Endo.

Przecież musi istnieć coś — pomyślałem — czego na tej Planecie nie zdoła za gardło chwycić Natan ani jego pancerne czerwie. Może gdzieś tam — w jednej z trzech wygasłych wież monumentalnego zamczyska — trwa na swoim posterunku ostatni żołnierz, wartownik z pogranicza Wielkiego Chorezmu — chociaż dawno stąd przeniesiono stolicę Imperium w bardziej bezpieczne miejsce, a z nią rezydencję władców. Tylko on jeden został — na sygnalizacyjnej wieży ochotnik z sokolim wzrokiem. Jeśli jest, to powinien zająć takie miejsce, żeby jak największą przestrzeń ogarnąć ponad tą Planetą. Zastanowiłem się i bez trudu znalazłem takie miejsce — tu, obok mnie, w głowicy starbolta zawisłego w zenicie Miedzianego Miasta, a nawet w tym samym fotelu, gdyż — ja nim jestem.

Zaśmiałem się. Sam do siebie wyszczerzyłem zęby, a przecież widziałem twarz Endo — czerwoną jak glina i piaski pokrywające tę Planetę, zanim nasze szaleństwo położyło kamień węgielny z czarnych ziaren eksplodującej biosfery. Niepodobna, aby

cokolwiek zdołało to szaleństwo wykorzeńić doszczętnie. Dokąd więc powinienem się udać? Gdzie pokierować mojego starbolta, aby odnaleźć to miejsce — pod dnem Oceanu spoczywającą Atlantydę, w tropikalnej dżungli ukrytą Vilcamambę rdzawe ruiny w stepie — gdzie się dworzanie tłumnie zbierają przed Salą Królów w nowym pałacu Chorezmszaha Tekesza i nasłuchują, kiedy się płacz odezwie pod wysokim sklepieniem — jako znak narodzin owego monarchy, o którym nikt jeszcze nie wie — tylko ja jeden, że los mu przeznaczył panowanie najnędzniejsze z nędznych, kiedy pod kopytami dzikich hord na strzępy rozniesione zostanie Imperium. Czy i mnie pisane zostało, abym czekał biernie na przyjscie Dżyngis-chana? Jeżeli wiem o tym, ja — tylko ja jeden czuwający w sygnalizacyjnej wieży starbolta, powinienem coś zrobić, ostrzec przynajmniej Muhammada, jeśli nie zdołałem uratować Endo. I powinienem przynajmniej sprawdzić czy miecz Tugana nie zardzewiał w pochwie — moje palce zapuszczone w tuleje biotronicznych sterów, a lewa dłoń świerzbi ochotą do puszczenia w ruch laserowego żądła. W imię pamięci Endo, którego czerwona twarz tak szeroko rozsypała się piaskiem pustyni, aż jej nie potrafię ogarnąć wzrokiem. Tylko czerwona blizna pode mną, dopiero gdzieś daleko naskórek Planety porasta zielonym lanugo — skudloną sierścią. W nadirze stuliły się Skrzydła Czarnego Kruka — to coś, co dopiero nastąpi. Czy przed ostatecznym potopem kogokolwiek zbawi moje prorocstwo? I czy warto ostrzegać? Kogo — Tekesza albo thana hobbitów? Aby istniał postęp musi raz po raz wzbierać przypyływ nocy. I nic nie znaczy, jeśli pod naporem Mongołów upadnie jeden Wielki Chorezm. Ewolucja pnie się po trupach. Na zgliszczach wyrastają nowe miasta, zawiązują się kolejne społeczne systemy istot jeszcze mniej do mnie podobnych niż pobratymcy Endo. Może rodowód znaczony piętnem chlorofilu wywiedzie ich z zielonych glonów i z tamtej pary przytaszczonej do Miedzianego Miasta w szklanych, szczelnie zamkniętych cylindrach. Powinienem przynajmniej ich odszukać. Może braterstwo krwi zwiąże ten lud z plemieniem gnomów szukających schronienia w strefie nocy — pod osłoną wskazówek gigantycznego zegara, które wokół Planety odmierzają godziny równe tysiącleciom. Chciałbym ingerować w ten mechanizm, nim zdołałem go pojąć?

Ostatni raz objąłem wzrokiem majestatyczne zręby Miedzianego Miasta. Z mojego bocianiego gniazda ściany wydawały się prawie gładkie. W zieleni grynszpanu ledwie się odcisnęła pewna ziarnistość — obrys żywych kształtów, które świetlana projekcja wypchnęła z miedzianych plansz tego biura konstrukcyjnego i rozwiesiła gdzieś poza barierą górskiego łańcucha Płetwy Grzbietowej, gdzie zielonym wirem skręciła się szalona biosfera.

Chwilę jeszcze w rozterce trwałem zawieszony między ziemią a chmurnym stropem nieba przeistoczonego w jaskinię, na której dnie narósł miedziany stalagmit Miasta. Przyglądałem mu się z takim napięciem, jakbym jego obraz pragnał na zawsze wyryć w pamięci, tak mocno, aby kiedyś odtworzyć — bez słów, za sprawą jakiegoś sprzężenia dwóch jaźni możliwą wtedy, gdy atrapa Strefy Systemu uchyli rąbka tanich dekoracji.

A jeśli wtedy i Liana, razem z całą kurtyną, znajdzie się poza zasięgiem moich zmysłów?

Nie mam tam po co wracać. Nawet jeśli czeka — nie na mnie przecież. I jeśli wrócę sam — odczytam w jej oczach pogardę, gdyż tym razem minął dla mnie co najmniej miliard lat wyrytych na twarzy, na rękach wyrysowanych węzłami zwapniałych tętnic. Jak mogę pragnąć jeszcze, aby mi pozwoliła przytulić mój wyleniasty, ogarnięty gorączką łeb do swojej piersi, pragnącej i stworzonej dla pieśczoć, nie zwierzeń. A tylko to mógłbym jej dać jeszcze, nic więcej. Nawet gdy wrócę — cóż jej po tym, że z takim samozaparciem starałem się dochować jej



wierności. Tyle to warte, co wierność ruin dla tej martwej ziemi. Trwają tu, gdyż wysały z niej całą żyzność i same przeistoczyły się w kamień. Rozumne istoty nie wstydzą się zdradzać — zdradzić rodzimą ziemię. Wierności dochowują tylko ruiny. I niczym innym jest moja miłość.

Powiniennem zapomnieć, wyrzucić z pamięci obraz Liany, jeżeli ktoś taki jak Natan zdołał we mnie posiać parszywą wątpliwość — ciało to było żywe czy też manekin pozwolił mi wejrzeć w swą nagość. A jeśli nie potrafię się z nią rozstać, jeżeli nie umiem przeciąć tej nici ostatniej, która mnie trwale związała ze Strefą Systemu — niech pozostanie taka, jaka się objawiła wobec moich zmysłów, młoda i piękna — jaki jej obraz aż tu przyniosłem z sobą. Do grobu. Chociaż tak się różni od zgrzybiałej Titonos — nie jest niczym innym. Już w nim pogrzebałem wszelkie nadzieje. Kolej na resztę. Siedzę w mojej szklanej trumnie — tylko się nieco zagapił Wielki Animista Kosmosu i przestał popuszczać liny, co wcale nie oznacza nowej wiosny, cudownego zmartwychwstania — i tak zjadę na dno dołu. Przed każdym człowiekiem, prędzej czy później, stają przeszkody nie do przeskoczenia. Ja dostałem się w kleszcze — między Scyllę Strefy Systemu a Charybdę tej Planety. Brak perspektyw w tę i w tamtą stronę. Wiem o tym. I tyleż sensu — tam wracać, jak tutaj zostać. Jeśli więc cokolwiek uczynię, niech przynajmniej dokonam wyboru z myślą o Lianie. Powinna wierzyć w to przynajmniej, że w ogóle istniał w kosmosie — i, być może, wróci kiedyś — ktoś taki, kto będzie wart jej miłości. Nawet gdy zabrakło Mungo Claira.

Raz masz szansę na dobry uczynek — pomyślałem. I bez specjalnych poświęceń. Twoja ostatnia Planeta okazała się najdoskonalszą z kochanek — nigdy nie zgłębisz jej tajemnic. Zostań więc z nią, a tamtej drugiej nie odbieraj nadziei. Wiara w ciebie pozwoli jej przetrwać nawet wtedy, gdy zmurszeje jej piękne ciało i nawet ona — jak ty już teraz — stanie się nikomu naprawdę niepotrzebna.

Siedziałem z rękami na sterach i tępym wzrokiem starałem się wróżyć z chmur. Jeśli się rozchylą — odetchnę z ulgą. Będzie to znakiem Liany odsłaniającej przede mną dostęp do tajemniczego kwiatu jej grzesznego ciała. A jeśli nie? Nikt mnie nie rozliczył z odpowiedzialności dowódcy za uczynki pozostałych członków załogi „Trieda”.

Jeżeli więc wrócę na pokład „Trieda” uczynię to tylko po to, żeby zdjąć energetyczne zasłony i tak wyłuskanego z pancerzy skierować prosto w oko Heliosa. A może powiniennem zostawić go na orbicie? Niech głos Synchronatu posłuży za wyzwanie dla tych, którzy tu stworzą nową cywilizację — wciąż jeszcze bije godzina duchów. Niech więc słuchają, niech nasłuchują z drzeniem w piersi, a potem szukają zbawienia w otchłaniach kosmosu, na wzór konstruktorów Katedry Księżyca. Zostawić — niech im gaworzy niewyobrażalnie mądrzej od nadajnika Ulama. A sam — cóż wtedy dla mnie zostanie? Najlepiej tu i teraz, natychmiast rzucić w dół starboltem, niech się wwierci we wnętrza globu, aż płynny kamień zablizni się nade mną. Może tam znajdę spokój, jeżeli Wielki Animista Kosmosu nie pozwala mi pójść w ślady Ulama, Van den Berga, Yongbloda i Horowitza. Nie jest to takie pewne z tym ostatnim. Czasami miewam wrażenie, że postępuję właśnie trop w trop za nim i jego obłędem. Szczególnie wtedy, gdy pragnę — jak teraz — być takim ziarnem, z którego bodaj ta Planeta zdoła coś wreszcie wyłuskać — nie tylko ze skorupki biologicznej ochrony skafandra; podobno jest coś w człowieku, co zwykliśmy nazywać „duszą”. Czy jednak w każdym tkwi taki klon, który zawiera cokolwiek znaczącego — na wzór hobbitów Tolkiena i Chorezmijczyków Endo? Czy również we mnie ostał się jakiś proton pseudos, przyczynek do wskrzeszenia upadłego narodu — reliktu ojczystej ziemi? Nic o tym nie wiem. Jak daleko sięgam pamięcią — zawsze musiałem odchodzić, nawet wtedy, gdy udało się kogoś naprawdę pokochać. A przecież tych kilka nieprawdopodobnie długich dni na powierzchni Planety pozwoliło mi uwierzyć,

że w każdym z nas drzemie nieco więcej niż zapis zmysłów wyniesiony ze szkoły jednego tylko życia.

Gotów byłem rozłożyć zaciśnięte palce, aby poza głowicą rozwinęła się pętla plazmy skulona wokół starbolta. Potem wystarczy palce złożyć razem, aż dysze skoncentrują siłę odrzutu na osi cienkiej jak laserowy skalpel. Wtedy wystarczy obrócić kierunek...

Nagle szept usłyszałem.

W nim — raz po raz, jak westchnienie — imię moje.

Pomyślałem — znów Rayen zajął miejsce drugiego pilota. Targnąłem w bok głowę — nic, tylko obwisły amortyzacyjny pęcherz. Zerknąłem więc między kolana, jakbym spodziewał się tam wreszcie zaskoczyć złośliwego gнома — różowy pompon, który podreptał za mną, zamiast się pilnować swojego thana.

I tutaj nie było nikogo.

Tylko ja — sam jeden w sygnalizacyjnej wieży, która jednocześnie jest okiem podwieszonym przy sklepieniu jaskini ogromnej. Ostatecznie skropiło się zielone niebo i, skapując na kamienną posadzkę, narosło zielonym stalagmitem. Pewien byłem swojego osamotnienia w mojej szklanej trumnie — to przynajmniej nauczyłem się wyczuwać bezbłędnie, po latach duszenia się przeważnie wyłącznie w sosie własnym. Każdy z nas ma samotność we krwi i na czyjąś jeszcze obecność natychmiast reaguje straszaniem sierści — jeśli mu została jej resztką.

Pomyślałem o tym, uśmiechnąłem się nawet i wtedy wreszcie dostrzegłem wywoławczy puls w magicznym oku radiostacji. Nikt jej dotychczas nie nastrajał na konkretną falę — ten starbolt po raz pierwszy znalazł się w przestrzeni. Poza tym stacja nadawcza musiała być zdecydowanie słabsza od radiostacji „Trieda”. Wolną ręką zwoleńca elektroniczny modulator — tylko coś zmroziło opuszki palców w łączy fotorecepcyjnych kontaktów. Jednocześnie całego mnie przeszył dreszcz dziwny, jakbym oto znalazł dowód na to, że — gdzieś w sercu Miedzianego Miasta — ostatni pozostały na posterunku żołnierz Chorezmszaha skonstruował pierwszą heterodynę, aby nawiązać kontakt z zawisłym w zenicie rydwanem gwiazdy polarnej świecącej nad Kaabą.

Lecz głos, który wreszcie dotarł do mnie, był mi aż nadto znajomy:

— ...Elf! Elf, do jasnej cholery! Daj sobie na przeczyszczenie albo podłącz uszy starbolta, jeśli ci nie starcza własnych! — jego głos nawoływał mnie poprzez szmery jakieś i jęklive zawrota atmosfery, których z jakiegoś powodu nie wyeliminował elektroniczny modulator dźwięku.

— Tu Elford — powiedziałem wreszcie. — Jestem.

— Aha, nareszcie — odezwał się bez zbytejnej emocji. — Myślałem już, że ci słuch stępsiał. Jak się czują stare kości?

— Gdzie jesteś? — pytałem, jednocześnie gorączkowo próbując wziąć namiar.

Koordinatograf zarejestrował kierunek. Teraz wystarczy popuścić wodze starbolta, aby po nitce trafił do kłębka.

— Oho! — roześmiał się. — Poradzę ci: weź jeszcze namiar z radiostacji „Trieda”. Wtedy już z całą pewnością betlejemska gwiazdka trafi nad stajenkę. Sęk w tym, że nie bardzo warto. Nie zdążysz. Za długo sterczałeś nad Miastem... Jesteś tam jeszcze?

W duchu przekląłem własną głupotę. Przecież gdy eksplodowało świetlne serce Miedzianego Miasta, zanim jeszcze diabli wzięli doczesność Endo, zdążyłem wtedy dostrzec błysk biały, jakby piorun pomylił kierunki i z ziemi strzelił do nieba. Widziałem nawet srebrny grot starbolta, chociaż na taki karkołomny start mógłby się zdobyć tylko zupełny szaleniec. Coś mi się zdaje, że Horowitz zostawił niejednego spadkobiercę. Ten z młodszej generacji zdążył mi zwać sprzed samego nosa, a ja —

durny — dalej sterczałem nad Miastem i zabawiałem się w doglądanie nie swojego Eksperymentu. Taki psi los duszyczek pokutujących nad retortą w cudzym laboratorium. Gdy dociekliwy empirysta zrobił swoje i dawno odszedł — ty wachasz za nim resztki bengalskich ogni.

— A więc jesteś — zaśmiał się znowu. — Tak ciebie zafascynował mój spektakl, że dzielny sokół przeoczył bażanta? Ech! Tylko zazdrość bierze, kiedy ktoś taki — w czepku urodzony...

— Do mnie mówisz? — spytałem.

— A jak sądzisz? Straciłeś jedyną okazję, żeby się przekonać na własnej skórze, do czego jest zdolna ta sfera, którą — jak na razie — trochę na darmo taszczyłem tutaj ze Strefy Systemu.

Drwił sobie ze mnie, a ja bezradnie wisiałem nad wymarłym Miastem. Gdzieś tam — przecież ich nie zabrał z sobą — w porzuconej dyspozytorni Eksperymentu przysnęły mechaniczne chrząszcze. A może — wręcz przeciwnie — jeszcze się tam kotłują, zwierają blaszane odwłoki, żeby w warsztacie mechanicznego tarła wytoczyć następne pokolenie czarnołuskich diabłów — niech się wyroją na powierzchnię Planety, po jakimś kolejnym tysiącleciu.

Dzisiaj, mnie osobiście — nie ziębią ani grzeją. Jedno mi tylko nie przeszło pragnienie — dostać w ręce ich Mistrza Ceremonii. Wystarczy zdać się na zmysły starbolta. Tylko — co dalej? Będę się starał dokonać tego, co on uczynił z Endo? Przecież — rzekł Pan: „Każdy, kto by zabił Kaina, siedmiorako będzie karan”. A potem włożył Pan na Kaina znamię, aby go nie zabijał wszelki, który by go spotkał.

Zbyt wiele się zdarzyło, aby moja osobnicza bezradność potrafiła coś zmienić. To tak, jakbym zapragnął odwrócić bieg czasu. Nikt, nawet ta Planeta, nie wskrzesi Endo — jakim był kiedyś, nie natchnie znowu życiem Dzieci Lewiatana, tych wypatroszonych nad dnem oceanu i tych, które wraz z wodą spłynęły z centralnego placu Miedzianego Miasta. Ponad pewną skalą zdarzeń zaczyna się strefa wpływu już nie jednostek, lecz społeczeństw całych, jeszcze dalej — praw Natury zawiadującej zjawiskami Kosmosu. Mrówce wolno przesunąć źdźbło trawy — ja mogę pognać mojego starbolta. Jeżeli biosfera tej Planety stworzyła kiedyś cywilizację istot do mnie podobnych — jestem dziś marnym reliktem narodu, który dawno przekoczywał w Przyszłość. Dlatego też boję się nocy, gdyż istnieć mogę tylko przed Potopem. Natan potrafi nieco więcej. Ostatecznie jest nieodrodnym synem Strefy Systemu. Potrafił z tą Planetą nawiązać jakiś dialog. Na swój sposób, ale skąd mam pewność, czy taki właśnie nie był jej potrzebny? Jak zresztą cechy destruktywne agresji oddzielić od konsekwentnego uporu i energii, bez których trudno coś zamierzyć, żeby się nie okazało słomianym zapałem — vide moja osoba.

Jeśli więc ktokolwiek — to nie ja przecież mam z nim coś do uregulowania. Skoro Planeta zostawiła mu całkowitą swobodę działania, jeśli się tylko przygląda nadal oczyma rozumnego zielska i zaspokaja bezradną ciekawość Dzieci Lewiatana, jeżeli wreszcie ten rozum czy nadświadomość istniejąca — istniejąca? — pod osłoną Skrzydeł Czarnego Kruka zostawia mu wolną rękę, a dla mnie przydziela czarnogłowego rycerza — jaki stąd wniosek? Zatrzymać Natana to tak, jakbym zapragnął patykami zatkać upust energii Heliosa. Jego istnienie w systemie odniesienia Planety dawno przekroczyło lokalność związku JA-ON. Teraz liczy się tylko ON i PLANETA. Lecz na cóż ja wtedy jestem im potrzebny?

— Wzywałeś mnie — powiedziałem.

— Chciałem się pożegnać. Ciągłe trzymały się go żarty.

— Przecież wiesz dobrze, po co tu przyleciałem — dodał. — Prawda? Chyba się nie zawiodłem na twojej bystrości?

— Raz już chciałeś się ze mną podzielić wszechmocą — powiedziałem mu.

— Dzielić? — raczej to było szczere zdziwienie. — O święta naiwności... nie tylko twoja zresztą. Czy naprawdę myślałeś przez chwilę, że dużo znaczą dla mnie ci, w imieniu których przyjąłeś mnie na pokład „Trieda”?

— O wielu rzeczach rozmyślałem w Strefie Systemu.

— Strefa Systemu — parsknął. — Równie dobrze można powiedzieć: Strefa Niczyja. Ktoś się powinien tym zająć.

— Potrzebna tylko odpowiednio silna indywidualność? — powiedziałem.

— O?! Coś mi się zdaje, że dreżyna wskoczyła na szyny, po których przejechał mój ekspres — zaśmiał się. — Masz rację. Bezpowrotnie minęły czasy, kiedy jednostki mogły wpływać na bieg historii. Paskudny to wynalazek — społeczeństwo.

— A jednak chcesz tam wrócić?

— Ja? Może niezupełnie. Ale po raz drugi przyznaję ci słusność. Cóż da nam ta Planeta, jeśli zdecydujemy się tutaj zostać? To tylko szkoła gladiatorów. Kiedyś ją trzeba ukończyć. Areną mógłby być cały Wszechświat. Lecz w każdym z nas zawsze zostanie coś z człowieka. I coś nas może obchodzić, jeśli widzami w tym cyrku będą tylko gwiazdy, ewentualnie pomiot wszelki, jaki wypieściły na swoich planetach. Żadna też satysfakcja współzawodniczyć z Wielkim Animistą Kosmosu. Osobiście mam gdzieś uniwersalizm na kosmiczną skalę. Rozumiesz mnie, Elf? Może to też sposób, ale mnie jakoś nie kusi być najwyższym z ludzi między drzewami, pływać szybciej niż ryba i dorównywać ptakom w ich rozpaczliwym machaniu skrzydłami. Charakter mam bardziej podły. Po prostu — bardziej ludzki. Tym, czym chcę być, niech stanę się między ludźmi.

— Pięknym kogutem między kurami — powiedziałem.

— I tak to nazwij! Nie tylko jednak piórka czynią wodzem stada, potrzebne są jeszcze pazury. Każdy pragnie mieć stado gdaczące na jego cześć. I taki jest zresztą status każdego społeczeństwa — pozycja stada wiernopoddańcza wobec Idei albo Imienia. Sam pragnąłeś nieraz, wiem o tym, choć się nie ziściło, żeby cię po każdym z wojaży witały najpiękniejsze dziwki, żeby ci różane płatki sypały na czołko i prącie, a parszywym jajogłowym dech zapierało w piersiach, jeśli byś dał im policzyć siwe włosy na skroniach! Każdemu z nas potrzeba widzów, kibiców, których zachwyt milej łączy niż własna świadomość. Idealista powinien stawać w szranki z prawami całego Wszechświata, a jednak — mamy to gdzieś! Nic nas nie korci — być królem małą, najodważniejszym szczurem spośród gryzoni, mass medium innego robactwa. Cała sztuka polega na tym, żeby znaleźć taki szczebel, na którym twoje JA stanie się przynajmniej równe społeczeństwu. Taka jest nasza ułomność. Tyle są warte pragnienia tych, którym Strefa Systemu pozostawiła trochę luzu nad pułapką interpersonalnych sprzężeń.

— Zaczynam się domyślać, skąd wzięła się twoja androginia — powiedziałem. — Jest tylko jeden sposób; aby osobowość mogła się uniezależnić od społeczeństwa; musi mieć wszystko w sobie, od dualizmu płci począwszy...

Śmiał się ciągle, jakby coś zawsze zostawało ponad moją przenikliwość.

— Jeżeli jesteś taki sprytny — powiedział — pewnie już wiesz, na co mi jesteś potrzebny.

— Chociaż nie jestem stadem; zawsze to daje jakiś posmak tamtej radości.

— Tak właśnie! Potrzebny był mi świadek. I w jednej osobie — egzemplarz kontrolny podczas trwania eksperymentu.

— Jeszcze się nie skończył?

— Jeszcze go nie zacząłem.

Humor mu dzisiaj dopisywał nadzwyczajnie, a przecież — może to wina atmosfery zniekształcającej dźwięki — głos ten był inny, jakby — gdzieś tam, daleko — do radiostacji starbolta przystąpił człowiek ogarnięty gorączką. Natan mówił coś jeszcze,

mianował mnie świadkiem swojego wniebowstąpienia, szydził z mojej głupoty na równi ze ślepotą Yongbloda i Van den Berga. Jakoś nie wspomniał o Horowitzu.

— Nigdy więc nie miałeś zamiaru dochować wierności tym, którzy cię uzbroili w Strefie Systemu? — ciągle mnie interesowała geneza owego powszechnego pędu do tej Planety.

— Człowiek, o jakim obaj myślimy, powinien być przede wszystkim wierny sobie — odparł.

— Przewrotna logika.

— Wygodna.

— Nawet jeżeli istnieją atuty, które ta Planeta może nam udostępnić, czy jest coś warte aż tyle, żeby od podstaw wstrząsnęło Strefą Systemu? — zapytałem.

— Jest coś takiego.

— Posiadające jednakową wagę dla każdego z nas osobno oraz dla gatunku homo sapiens jako całości?

— Tylko po to tu przyleciałem.

— Ja jednak nie potrafię wyobrazić sobie...

— Gdyż nie starcza ci wyobraźni — przerwał mi — żeby sobie uzmysłwić przyszłość gatunku homo sapiens.

Niespodziewanie w jego głosie zabrakło nuty owego szaleństwa, o które go byłem gotów posądzić.

— Wszystko, co dotyczy tej przyszłości może już teraz stać się udziałem każdego z nas osobno — ciągnął. — Nie tylko ja doszedłem do takich wniosków. Ta sama myśl skierowała tutaj Endo, jego pobratymców i parszywe plemię hobbitów. Każda siła Strefy Systemu postarała się delegować swój lakmusowy papierek. Tylko ty byłeś ślepy. A przecież ta Planeta jest nie tylko biogenetycznym biegunem Kosmosu, znajdującym się w opozycji do innego fenomenu, jakim jest Titonos. Nie jest to też wyłącznie akcelerator ewolucji, pojmowanej jako rozwój rodowy, który w trakcie przemiany pokoleń dokonuje modyfikacji poszczególnych grup organizmów i szczepów wywodzących się od wspólnego pnia. Ta Planeta nie sprzyja też tylko przyspieszonym rosadom w puli genowej danego pokolenia, z czego profity mogłoby ciągnąć dopiero pokolenie potomne. Dla osobniczego rozwoju każdego z nas co inne jest najważniejsze — dokonuje się tutaj przebudowa i reorganizacja funkcji już istniejących organizmów. Wobec szansy tej ontogenezy obecny kształt dojrzałego człowieka jest niczym innym, jak przewlekłym dzieciństwem przyszłej ewolucji całego gatunku.

Przypomniałem sobie, o czym wspominał jeszcze Yongblod. W tamten pamiętny Wielki Szczęśliwy Dzień Boba Horowitza, niemal natychmiast po wzejściu pierwszych nasion, Yongblod zaobserwował, że niektóre rośliny charakteryzują się cechami niespotykanymi i niemożliwymi do wykształcenia z ziaren zestawionych w inseminacyjnym pojemniku. A jednak ich rozwój nie przebiegał w nieskończoność — pomyślałem. W warunkach tej Planety świadczy to jednak o ograniczoności lokalnego „potencjału ontogenezy” albo też, że i tak dany gatunek stał wobec dłuższej lub krótszej, lecz zawsze — ślepej uliczki.

Wszystko, co posiadało większe szansę, znalazło się poza zasięgiem moich zmysłów.

— A jeśli nam został tylko krok do muru zamykającego ślepą uliczkę? — zapytałem.

— Chciałbym postąpić ten krok — roześmiał się. — Wszelkie ograniczenie wieńczy jednak pewna doskonałość, przynajmniej wobec form poprzedzających.

— I jak to sobie wyobrażasz... Ten jeden krok do przodu?

— Pilnie się strzeżemy nauczki wyniesionej ze zgrzybiałej Titonos — powiedział.

— Każdy dba o własną skórę. Więc balast lęków i uprzedzeń taszczy my zakonserwowany szczelnie w kapsułach statków, pod pancierzami starboltów i w skafandrach o specjalnej biologicznej ochronie. Bio-blokada ogniową próbę przeszła na Titonos, od tamtego czasu brak było doświadczeń motywujących zmianę metody. W ten sposób próbujemy zachować bodaj iluzję tego mikroklimatu, który nas wyhołubił w ziemskiej kołysce. Statki to nasze akwaria. Nieme ryby spoza szklanych przyłbic rozdziawiają gęby. Ledwie nam została — dzięki elektronicznym transformatorom i wzmacniaczom — możliwość słyszenia i dostrzegania czegokolwiek takim, jakie zostało stworzone — chociaż nas przy tym nie było, żeby sobie wykształcić odpowiednie zmysły.

Fakt, pomyślałem. Naczynie Kosmosu należy wypełniać we wszystkich kierunkach. Jeśli się ma ambicję — oczywiście — dostąpić Absolutu.

— Tymczasem zatrzymaliśmy się w miejscu — powiedział Natan. — Niby rozwija się tylko psychika. Miałeś lekcję pogładową, do czego prowadzi rozbrat rozumu i ciała. Trochę to zakrawa na dwustumetrowy zryw sprintera próbującego swych sił na dłuższym dystansie. Dzięki bio-blokadzie złamaliśmy zasadę podporządkowania się środowisku, którego zmiany sprzyjają powstawaniu nowych gatunków.

Ktoś już o tym rozmawiał ze mną. Endo? Może Horowitz? Żaden z nich — to po prostu Raven zabawił się w wyrocznie odbierającą gatunkowi homo sapiens szansę prawdziwego podboju kosmosu.

— Nowe siły zarysowują przed nami nowe cele — powiedziałem.

— Tak właśnie, Elf. Wyobraź sobie tylko, że masz o połowę mniej lat — prawda, jakąż się różowa otwiera przyszłość. Znalazłbyś tam dla kogoś jeszcze miejsce. Przy sobie oczy — wiście. Dałbym ci moje błogosławieństwo — znowu zarżał radośnie. — A teraz wyobraź sobie, że ja — przez pryzmat moich pragnień — spojrzę w tę przyszłość z perspektywy doskonałości.

Jako zaciekły antagonistą odszczepieńców, produkowanych przez Strefę Systemu dla podboju planet, nie wykazywał się tutaj szczególną konsekwencją.

— Mówisz, że człowiek powinien się zmieniać? — spytałem. — Nie muszę ci chyba przypominać twojego stanowiska wobec generalnej zmiany biologizmu takich, jak Endo.

— Rzec polega na tym, żeby — zmieniając się — pozostać człowiekiem. Balast Ziemi nie oznacza balastu człowieczeństwa.

Myślałem, że teraz kolej na mnie, aby parsknąć śmiechem. On mi to mówił, że cały sęk w tym właśnie, żeby — gdziekolwiek się znajdziesz — umieć wykręcić tę arcytrudną, kuglarską sztuczkę i dalej „być człowiekiem”.

— Jak chcesz tego dokonać? — zapytałem.

— Przecież już wiesz — odparł po chwili milczenia. — Już dawno się domyśliłeś, Elf. Tylko ci trudno uwierzyć, że komuś starczy odwagi. A przecież — ktoś musi być pierwszy. Ty nie zdobyłeś się na ten ostateczny krok. Tak zostałeś wychowany. Tresura takich, jak ty, polegała zawsze na wpojeniu zasady bezwzględnej podporządkowania się tylko prawom ludzkiej cywilizacji. Nawet ci na myśl nie przyszło, że można zaufać komuś jeszcze...

— Komu?

— Lub czemu. Przekora naszego rozumu nie pozwoliła dopełnić się Ewolucji. Tej na wskroś biologicznej, która — koniec końców — określa kształt psychiki. Czemu więc nie zaryzykować i Wielkiemu Animiście Kosmosu nie dać szansy na dokończenie szkicu? Tym bardziej, jeśli — jak świadczą przynajmniej pozory — Planeta ta znalazła się ostatnio w zasięgu Jego ręki? Wystarczy mu się podłożyć pod wskazujący palec.

— Czyżbyś ty chciał się zdać na to ryzyko?

— O nie! Nie miałem nigdy zamiaru ryzykować głową. Na szczęście byłem w lepszej sytuacji od ciebie, zdołałem bez większych skrępołów dokonać dość drastycznego eksperymentu...

Oczywiście domyślałem się z czego był taki dumny.

— Jak tam u ciebie? — zapytał. — Masz jeszcze w zasięgu wzroku to cholerne miasto? Cisza tam pewnie, jak makiem zasiał. Coś się tam było gotowe zawiązać, ale sprytny felczer zadbał, żeby poronione dziecię poszło do kubła na śmiecie. Taki już parszywy los wszelkich preparatów zużytych w dopełnionym eksperymencie. Teraz kolej na mnie. Bez zbędnego ryzyka. Ja WIEM, czego się mogę spodziewać. Dlatego — mogę bez większych wahań. Gra jest warta świeczki.

Poczułem, że mi dłonie zwilgotniały na sterach.

— Co chcesz zrobić? — automatycznie powtórzyłem po raz któryś z rzędu.

— Zdejmuję skafander — usłyszałem.

Nic prostszego, pomyślałem, jak zdjąć skafander.

Musiałem to sobie powtórzyć, żeby mi coś eksplodowało pod sklepieniem czaszki. Przez moment rozwijała mi się przed oczyma barwna wizja wzdętego mózgowia, które pęka i chlusta w przestrzeń pąsowoszkarałatnym sokiem. Z kipiącej krwi uwalniają się fioletowe i soczystozielone nitki traw, coś jeszcze się zawiązywało poza barwą — obrazy miałki, rozsypujące się czarnymi ziarnami alfabetycznych znaków — szary pył liter wydartych pamięci — tej nie przypisanej pergaminowym kartom, lecz wykorzenionej bezpośrednio z szarych komórek.

— Nie możesz tego zrobić — wyszeptalem. Wiedziałem dlaczego, gotów go byłem błagać, żeby zbyt pochopnie nie podejmował tej próby — wszystko mi wirowało przed oczyma i nie potrafiłem znaleźć słów, które by cokolwiek mu wytłumaczyły. Wiedziałem jedno — każdy, tylko nie on. Nie on! Chociaż sam przed sobą nie potrafiłem obalić bezpodstawności tego lęku — bałem się potwornie. I kiedy powtarzałem gorączkowo — Nie, nie ty, nie możesz — bardziej to było do jęku podobne; wątpliwe, aby coś dosłyszał.

— Za późno — powiedział.

Do reszty nie potrafiłem się rozeznąć w rozkojarzeniu myśli, które mnie nagle opętały. W mojej nieszczęsnej głowie rozkręcał się monstrualny słowotok tego wszystkiego, co tak nagle — teraz dopiero — zdołałem sobie uświadomić. A jednak nie byłem w stanie wyrzucić z siebie bodaj kropli fermentu. Tylko moje palce wsączały drgawki w plazmowy pęcherz zapięty wokół starbolta. Czułem już, że mną rzucić zaczyna w amortyzacyjnym kaftanie bezpieczeństwa. Łupiną szklanej głowicy kołysało na strony, a mnie — zamiast słów — przekłety mysi smak znowu napełniał usta. Absurdalny strach paraliżował moje ciało, jakby coś jeszcze właśnie się dokonywało — ponad jego błazeństwem i moim oczekiwaniem.

Tymczasem on drwił ze mnie.

Zdawał drobiazgowo sprawozdanie z tego, jak zdejmuje hełm, obciąga przylepną wy linkę skafandra i odwija swoją indywidualną podkładkę — koronkowe pieluchy. Postarał się nawet w paru słowach dać mi jako takie pojęcie o scenografii, w jakiej się rozgrywał ten jego monodram. Starbolt spoczywał na skraju dżungli. Z jednej strony był step, z drugiej jakieś piekielnie wysokie, wiecznie listowiem trzepoczące niby-sekwoje. Już znacznie wcześniej musiał odrzucić górny płat głowicy starbolta, gdyż od dłuższego czasu wydawało mi się, że słyszę szelest tamtych drzew zmieszany z jakimiś ostrymi trzaskami — atmosferycznego pewnie pochodzenia.

— Nie pytasz, jak się czuję? — zadrwił wreszcie. — Ciepłutko tutaj. I powietrze bardziej niż znośne. Szykuje się dzisiaj pogoda w sam raz na majówkę.

Usłyszałem ziewnięcie, jakby się tam przeciągnął sennie pod przychylnymi promieniami Heliosa.

— A jednak czasami warto wyjść ze skorupki — milczał chwilę. — Jeden z testów, aranżowanych na poligonie FL–Galax, przewidywał zamykanie nas na cztery spusty w specjalnym olfaktorium. Było coś takiego, Elf, za twoich czasów?

Nie potrafiłem ciągle wykrztusić słowa, więc ciągnął swoje:

— Taka kabina idealnie wysterylizowana, pozbawiona zapachów. Delikwenta pakuje się do niej już po gruntownej kąpieli. Potem byś się najchętniej wywrócił na lewą stronę, poczynając od nosa — byle na zewnątrz wystawić jak najwięcej powierzchni pokrytej nabłonkiem węchowym. I musisz węszyć. Trzeba się wykazać powonieniem nie gorszym od szczura. Na kosmicznych galerach węch jest czasem ważniejszy od słuchu i wzroku... Wiesz, to był dla mnie najtrudniejszy trening. Kiedy tak człowiek siedział w swojej wydmuszcze... Ech! A wkoło cisza i ciemność. I tylko trzeba jak najszybciej wywęszyć, jeśli ci z zewnątrz rozpylono w powietrzu krople jakiegoś chemicznego paskudztwa. I musisz się pilnować — najgorsze, co może się trafić, to gdy zawiodą zmysły i podniesie się alarm, kiedy niczego nie było, a tobie z przewrażliwienia przywidział się cały bukiet zapachów...

Mówił dalej, a mnie co chwila przebiegało drzenie; ziąb i — na przemian — fale gorączki. Czułem się dokładnie tak samo, jakbym to ja sam został właśnie wciśnięty w treningowe olfaktorium. Lecz plastikowy futerał i knebel w gardle nie pozwalają mi rozpoznać nawet zapachu potu skraplającego się na moim własnym czole. Nozdrza chwytają jeden tylko zapach, ale za to budzący wręcz organiczną odrazę — jak dotyk płaza, widok pajęczego brzucha.

— Czasami miewałem tam dziwne wrażenie, że się przeistaczam w pęcherz wyspecjalizowanych komórek węchowych — mamrotał Natan. — I ścieka po mnie śluzowa substancja, poza którą wystawiam rzęskowe pęcherzyki wrażliwe na chemiczne substancje. Potrafię wysuwać albo chować moje węchowe labia, rozkładać je łapczywie — zależnie od natężenia rozpoznawanego zapachu. Cały jestem pokryty nadwrażliwym nabłonkiem i tymi nastroszonymi rzęskami, niby pręcikami szczurzych wąsów. Do mojego prawdziwego ciała, położonego gdzieś cholernie daleko, dochodzi tylko nerw węchowy — hakiem zakrętu hipokampa zakotwiczony w mózgu...

Usłyszałem syk przeciągły, z jakim głęboko do płuc nabrał powietrza.

— Wiesz, czym tutaj pachnie? — zapytał. — Czuję, jak paruje ziemia. To jednak dziwne wrażenie — wciąż jeszcze sterczeć w szklanym naczyniu starbolta, parę metrów nad powierzchnią gruntu, gdy niewidzialne korzonki już fastrygują ciało z tyra innym, z którym przedwcześnie wzięliśmy rozbrat.

— O czym ty mówisz?! — jęknąłem.

— I tak trzeba tam wrócić, prędzej czy później. Nie powinniśmy wcale odchodzić — tak właśnie — pneumatofory moich zmysłów i członków zapuszczone w czarną, tłustą glebę, która zapachem rozkładu organicznego próchna bynajmniej nie budzi odrazy... Powietrze tu miesza wonie nad tygłem rozgrzanym do białości, gdzie jednocześnie coś rodzi się i umiera — choćby nie znajdowało odzwierciedlenia w zewnętrznej formie. To tylko niuanse, jak zapach ciała żywego i już na poły trupa... Ten zapach chwytają nasze nozdrza na takiej Ziemi, która ze zwierzęcia dopiero kształtowała człowieka... Aby się w nas cokolwiek zmieniło musi nam towarzyszyć również zapach śmierci... Odgradziliśmy się od niej bio–blokadą, która nosi w sobie nasze ciała nie ulegające gniciu, po prostu rozsypujące się wreszcie niby wytarty mechanizm... Nauczyliśmy się zachowywać czystość — higienę ciała i duszy... Cha–cha! Rozumiesz mnie, Elf?! Tutaj pachnie życiem, eterycznym zapachem dojrzewających owoców, ledwie uchwytną słodką lawendą i jaśminem. A jednocześnie cuchnie rozkoszą przedzgonną, jakby się złączyły w jedno — pleć rodząca i ta pożerająca na nowo, żeby dać karmę tej pierwszej. Pojmujesz teraz prawdziwą androginie?! Dzięki niej jestem tutaj — w środku, między obracającymi



się żarnami... I jakbym sam sobie natarł skronie kamforowym olejkiem albo tygrysim sadłem — czuję, jak się rozjaśnia we mnie, to ciało — zastygłe przez lat tysiące — na nowo ukrwione. Jeden łyk powietrza natchnął członki porcją analeptyków, które budzą ze snu przewlekłego... Wszystko, co było przedtem, to stan głębokiej zapaści, z której trzeba się ocknąć... Słyszysz? Nie wiem, kim jesteś... żal mi ciebie...

Jakiś szelest dotarł do mnie — bałem się poruszyć, nawet pomyśleć o tym, czego świadkiem zdawały się być nie tylko moje uszy. A on tymczasem, gdzieś — tam, mrużąc coś — jakby się zatoczył, miękki stuk usłyszałem i zgaszone przekleństwo. Sprawiało to wrażenie, że ktoś pijany lub odurzony narkotykiem próbuje wyleźć z główicy starbolta.

— Jaki maleńki być musisz... Ty — słyszysz mnie jeszcze? Jak ja słyszę twoje myśli... Tak ich niewiele w tobie... Za późno. Niczemu nie zdołasz zapobiec. Jak nie potrafiłeś nigdy. Taka twoja parszywa natura... Wychodzę z tej cholernej skorupy. A ty... nie próbuj dogonić... nie przeczyłem niczego... Jestem daleko przed tobą!

Śmiał się, a do mnie docierał jego oddech głęboki — wznoszący się i opadający — zawsze ponad urywane słowa; jakby on nie zamierzał wcale odejść od porzuconego starbolta. Na odwrót właśnie — wewnątrz główicy, z radiostacją i resztą kwantowej elektroniki, stały się endoskopem wprowadzonym do jego piersi ogromnej.

— A kiedy wrócę — będzie to oddech burzy, jakiej tam nikt, od lat tysiąca nie przeżył. Na Skrzydłach Czarnego Kruka wrócę... Rozumiesz? Już mi nie potrzeba — nic, nic balastu, który wam nie pozwala oderwać się od ziemi... Przyjdę jak deszcz i wiatr, a po nich słońce i ziarna pęczniejące w glebie wypełnionej nocą. Moje ramię, z wszelkiego wyciągnięte nasienia, za gardło chwyci owadzie plemię i przeklętych giaurów, którzy teorię stada wynieśli nad świadomość każdej istoty z osobna! Gdybyście nie byli ślepi — rzekłbym: niech wasza wiara, zamiast w stronę Kosmosu, na powrót się zagłębi w prorocstwo starej księgi... Wiesz KIM JESTEM?! To mój dzień ostatni, kiedy eksperyment został uwieńczony dziełem... Teraz mi wolno odpocząć. Mogę oczy zamknąć, ręce przytulić do piersi i zasnąć snem sprawiedliwych... Niech się poza mną — we mnie — dopełni błogosławieństwo moje! Kiedy wrócę — przebudzony z waszej prehistorii sprzężonej z przyszłością w jedną terażniejszość — na wasze przekleństwo, na pustkę waszych serc jałowych i opuszczonych kościołów!... I znów owadzie plemię na kolana padnie, i będzie łaski zebrać — już widzę oczy wasze i świątynie na nowo uwielbienia pełne... DLA MNIE!

I słyszałem już ponad dźwiękiem, poza radiową falą — w sobie samym: „Lecz cóż mi po mnóstwie ofiar waszych? Sam jestem pełen ciałopalenia baranów i łoju bydła tłustego; i krwi cielców i jagniąt i kozłów... Kto tego szuka! z rąk waszych, abyście chodzili po sieniach moich? Precz! Choćbyście mnożyli modlitwy... mój powrót będzie Potopem. Mam w sercu śmierć i życie — i pogardę dla waszych ofiar... SAM WEZME! Sam je do piekieł zniosę. Bo wszyscy wy — ofiary na stos mój, przeze mnie stworzone! Znowu jestem! Znurzony pracą przysnąłem, a wy... Wasze zielone truchła łase tego rajy, który nie dla was nastał na tej ziemi! Precz stąd!”

W ogłuszającym jęku powietrza jeszcze trzask jakiś przebił się zgrzytliwym tonem — aż się skuliłem, jakby to pękło szklane naczynie, które mnie samego zawarło w swym środku. Za nim — jeszcze jedno — brzęk główicy starbolta zdepiętej czyjąś gigantyczną stopą. I syk zaraz — chlupot, ten ktoś wdepnął w błoto — tylko sok trysnął i rozległ się dźwięk do zgrzytu zębów podobny. Wreszcie — śmiech usłyszałem przeraźliwy, jakby wyolbrzymiał pod sklepieniem lasu i szept; „... A będę ponad wszelkie hierofanie Kosmosu, z samicy czarnoglebia i z dwunożnego samca powtórne zjednoczenie substancji wysublimowanej z obłędu Stwórcy — mój powrót do pierwotnego hermafrodyty, w płęć bezbiegunową, gdzie JA, ONA i ONO — i

własna śmierć z własnym poczuciem — Człowiek–Koło jestem! Zanim go Dzeus rozciął na połowy, żeby się z nikim odtąd nie dzielić nadświadomości!... A przecież nim jestem — człowiekiem przyszłości — androginem — mitem — ja, połączony ze słońca i księżycą, alchemią siarki i rtęci, zblizniający rozdwojenie pracłowika — i znowu jestem — na wzór tego, który poczęty został sam z siebie...”

I poza tym głosem ochryplym czyjś jeszcze skowyt odbijał się echem — gdzieś tam daleko — słuch wyteżyłem, żeby uchwycić znaczenie słów — mój własny głos słyszałem — przebitkę myśli, którym wzbraniałem dostępu do świadomości: ZABIĆ! ZABIĆ! ZABIĆ! ZANIM SIE MONSTRUM GRZYBEM POTWORNYM ROZROŚNIE PONAD SCLANE LASU — NIM ZASIĄDZIE NA TRONIE MIEDZIANEGO MIASTA! ZABIĆ! — mój głos szeptał tam, po jego stronie, zapamiętałem przecież, co powiedział: „Słyszę twoje myśli... Tak ich niewiele w tobie.” Mniej jeszcze! Zaprzestać zupełnie — nie powinien słyszeć — jeśli za późno, żeby zabić — NIE MYŚLEĆ! Szansa ostatnia, to się stąd wyrwać — PRĘDZEJ! — zanim mnie ogarnie przekleństwo jego nadświadomości — spełnienie ostatecznego sprzężenia. Raz jeszcze — daj mi ogłuchnąć i oślepnąć — Wielki Animisto tej Planety — całego Kosmosu — albo ty przynajmniej, Władco Pierścienia — pomóż mi, przecież się do ciebie modłę — zgaś wszystko, zostaw mi tylko RĘKĘ!

Moje nerwy zakleszczone w tulejach sterów szarpią niby ścięgna. Wyrwać się stąd, zanim to coś — cokolwiek lub ktokolwiek — wyrośnie nad atmosferę. Wyżej — w rozdygotanym pęcherzu plazmy, która już przekłująca strop mgielny — z nim ciało w amortyzacyjnym imadle — z każdej strony bolesne, zewsząd naraz porażone ciężeniem — od środka największym.

Białe włókna chmur — na strzępy!

Tępy strach promieniuje z kiszek — język napuchły wypłynął między zębami — z drugiego końca sączek się wysliznął z cewki, wilgoć cieknie po udach — jest iskra „Trieda”! To wszystko, co mogę uczynić — jeśli zdołałem cokolwiek uprzędzić — na własne potępienie! Niech eksploduje we wzdętym brzuchu Planety, byle tam nie dotarto, gdzie — bodaj jeden! — spokojnym snem śpi jeszcze.

— SYNCHROMAT!

Wybacz mi, Bracie mój, że słowa te kieruję poza twą świadomość. Tak lepiej — i ja chciałbym dni swoich dokonać w nieświadomości. Dla mnie za późno.

— Dyspozycja dla systemu bezpieczeństwa „Trieda”. Hasło kodu: „do–ut–des”!

Usłyszałem, jak cisza nakryła huk atmosferycznych zakłóceń. Potem się z niej wykluło echo chybotliwe — dźwięk formujący się poza ludzkim gardłem. I wreszcie:

— Podzespół animacyjny Synchronatu gotów do wypełnienia — martwy głos automatu.

— Procedura ostateczna — wykrztusiłem, żeby — przed oczyma mając daleką iskrę „Trieda” — ryknąć z przeraźliwą mocą, jakby cokolwiek zależało od siły mojego głosu, który tam znajdzie odzew; — Bez odliczania! Natychmiast! NA–TYCH–MIA–A–AST!

Jeszcze mi resztkę powietrza rzeziła w płucach, kiedy dostrzegłem białą, przezroczystą plamę. Rozlewała się w kosmosie niby ameboidalny zgęsteczenie — ledwie rozdęty szklany nabłonek — w nim triada ognistych kul — białej, szkarłatnej i zielonej — rozprysła się nagle na wszystkie strony.

Wiedziałem raczej, niż zdołałbym zarejestrować wzrokiem, jak się tam wyrwa światło skomasowane w sercu tokamaka, porywa za sobą zielone pajęczyny z biogenetycznych rezerwuarów i eksploduje tuż pod szkarłatnym językiem Synchronatu. Czułem, że ślepnę. Choćby się szklana głowica mojego starbolta zasnuła ochronnym bielmem — dla mnie nie ma ucieczki — taka już miłość drzemie w sercu „Trieda” — jeszcze chwila i mnie na wylot przeświecili pocałunek świetlny —

wskrzeszający martwą materię, dla żywej zabójczy. Za późno, aby się zwinąć w magnetyczną tuleję zdolną przekłuwać gwiazdne brzuchy — „obyś pozostał tu, przeklęty, jeśli i mnie nie jest pisane wrócić!” — swój szept słyszałem — ZOSTANIESZ TUTAJ! — choćby i dla mnie nie było zbawienia. Na twarz wypłynął mi uśmiech błogi — czułem ten grymas żalony, zanim tam zmartwiał. Zadrzałem, ciągle skulony w moim dwułuskim pęcherzu ze skafandra i amortyzacyjnej kołyski. Stało się coś — czułem, choć nie rozumiałem jeszcze. Z bolesnym wysiłkiem rozchyliłem powieki, żeby dostrzec jeszcze, jak między mnie a tamten rozbłysk potwornej eksplozji wtacza się Księżyc dziobaty, karbowany niby zębate koło z przykurzonego srebra. Jego sierp przeciął więź ostatnią łączącą mnie ze Strefą Systemu, w zamian użyczył osłony przed podmuchem idącym z tego miejsca, gdzie — rozpostarta szeroko nitkami światłowodów zapuszczonych w pył, gaz i w kosmiczną przestrzeń — umiera Mgławica Kraba z rozerwanego na strzępy „Trieda”.

## Rozdział VIII — Drzewo świadomości

Kłęczałem, pochylony głęboko. Nade mną sklepienie Katedry Księżyca zwiniętej w basztę kapiącą od złota. Hełm i głowa ciążyły mi do kuli leżącej przede mną. Tym razem była bez głosu, za to wypełniona światłem. Przed chwilą — zanim się rozplomienił węgiel — czern z niej uśmiechnęła się do mnie twarzą Ravena.

Świadomość wracała powoli, jakbym ją kiedykolwiek utracił. W oczach znowu wzrok się zagnieździł. A przecież zjawiłem się tutaj jako ślepiec — dzisiaj albo siedem dni temu. Kiedy naprawdę — nie ma znaczenia. Pętla czasu i pamięci raz jeszcze wróciła mnie do punktu wyjścia. Nareszcie w nim jestem, żeby odrodzić w sobie tamto pierwotne pragnienie, głód utracony, kiedy gotów byłem wzorem babilońskiego herosa na dnie oceanu szukać ziela nieśmiertelności, podbijać Kolchidę i Eldorado, z Natanem wziąć się za gardła w walce o cudowne jabłka Hesperyd, szukać złotego skarbu, jakby się szukało życia, gdyż złoto mające barwę Słońca zawiera też w sobie ułamek jego życiodajnej siły. Teraz sam jestem w korzeniu Drzewa Kosmosu. W kosmiczną przestrzeń zapuszczony Korzeń z pokrytego kraterami ziarna. Poza mną — słyszałem niedawno, jak korona zielonego drzewa szeleści, szepczą liście i kwiaty — saprofity zakwitłe na konarze Planety. W sercu Raju wyrosły dwa drzewa; drzewo życia oraz drzewo poznania zła i dobra. Lecz wobec monoteistycznej natury Kosmosu dwa szczepy musiały z jednego pnia wyrosnąć — teraz przeplatają kruche gałązki, jednakowo szeleszczą liśćmi, sierścią, igliwiami, wiotkimi palcami zaplątanymi we włosy — trudno jedno od drugiego oddzielić.

Zło od dobra. Czy mit Planety wróżącej nam doskonałość, ten mit, który aż tutaj przywiódł Natana i Endo, rzeczywiście jest obiektywną PRAWDĄ tej Planety? Nożem Natana można kroić chleb, wbijać gwoździe i podrywać gardła. Kim więc jest dzisiaj ten, który z Drzewa Kosmosu uszczknął owoc nieśmiertelności? Jak to się stało, że mógł sięgnąć po nią, nie skosztowawszy przedtem losu człowieka, który najpierw rękę wyciągnął po owoc mądrości?

Kłęczę teraz w nawie Katedry—Korzenia, przede mną kula zawierająca wyzwanie dla istot rozumnych tej Planety. Zdążyły się wyzwolić za sprawą naszej panspermii i jeszcze rozwinęły skrzydła kruka—demiurga, a my — nad przerębłem przyszłości kłęczymy z kamieniem człowieczeństwa uwiązany u szyi. Wciąż niezdolni do prawdziwego lotu. I cóż mam — taki — począć? Zabdałem o bezpieczeństwo Strefy Systemu. Spełniłem swój dług wobec potomków. Na więcej poświęceń mnie nie stać. Nie mam z czego.

I pewnie dlatego czuję się jeszcze bardziej bezradny, gdyż nic nie zostało, co jeszcze mógłbym dać z siebie. Dla kogo i po co? Dla tej Planety, która takiemu jak Natan we wszystkim zostawia wolną rękę? Czy może istnieć świat, dla którego pojawienie się człowieka jest aktem obojętnym — jeśli ów człowiek jest stworzeniem obcym — hostis — jednako obcym i wrogim, którego można powitać przychylnie lub zabić bez litości, lecz nie można go przecież potraktować obojętnie — faktu jego istnienia i wszystko, cokolwiek uczyni. Moc Wszechświata nie objawia się przez nakładanie kary — po prostu podcina skrzydła tym, którzy przedwcześnie chcą się utożsamić z Heliosem. Jest to jedynie automatyzm praw przyrody. Nikt nas nie karze, nikt nie nagradza ani nie przesładuje.

My jednak zamknęliśmy siebie w pancerze biologicznej ochrony, w sobie samych wytworzyliśmy stokroć potężniejszy pancerz rozumu nie wzdrygającego się przed złamaniem dowolnego tabu Natury. Czemu więc całą odpowiedzialność zrzucam na

moce tej Planety? Przywitać nas przychylnie lub wrogo mogą dopiero wtedy, kiedy na ziemi złożymy dwa nasze pancerze — wobec promieni Heliosa stając wreszcie nago. Niech sam przypina skrzydła. Trzeba jednak zweryfikować wagę wszystkiego, co sami podnieśliśmy do rangi doktryn cywilizacji. Wtedy dopiero myśli nasze, koniec końców otwarte i tożsame z deszczem oraz wiatrem, obarczone zostaną szaleństwem albo przeprowadzone przez próg nadświadomości. Każdemu — według zasług. Cóż jednak wiem o tym świecie — może jego arterie wypełnia sok gotowy nakarmić każdego, wszystko wybaczyć, usprawiedliwić albo darować z litości? To ludzie stworzyli kodeks praw wykluczających słabość, nazbyt dosłownie pojmując prawa doboru naturalnego, stali się jedynym sędzią nie znającym litości. Nie powinienem więc żądać, aby ta Planeta rozliczyła się z każdym, który — chcąc czy przypadkiem — bezbożną ręką dotknie jej ciała przepelnionego sacrum. To ja mam oczy, serce i rozum, tylko ja mogę być Sędzią. I tylko moje w tym przekleństwo, jeśli — wydając wyrok — nie starcza mi mocy, aby go egzekwować.

Mam śmiałość twierdzić, że uczyniłem wszystko, czego się można było po mnie spodziewać? Szczątki „Trieda”, krążące po tysiącach promieniście rozłożonych orbit, mają zaświadczyć, że zburzyłem ostatnie przesło mostu, kędy zaraza mogłaby się przedostać na brzeg Strefy Systemu. Przecież sam sobie nie dałem szansy odstąpienia. Jak przystało na dowódcę desantu nie odstąpiłem z przyczółka skazanego na zagładę. I tak się spieszyłem z unicestwieniem ostatniej kładki nad przepaścią kosmosu, aż zabrakło czasu, żeby mój Brat zdążył otworzyć oczy i bodaj się pomodlić do swojej fantomatycznej Nadświadomości. Teraz jednak, kiedy za późno, żeby coś odmienić, czuję się, jakbym chciał bogów kosmosu ochronić przed gradem miazdzącym liście na którejś z peryferyjnych planet Galaktyki. Czymże innym jest dla mnie Strefa Systemu? Najprawdopodobniej wszystko to, co się zdarzyło na Planecie, nie potrafi też rzucić cienia na rozpalone oko Heliosa, jak nie zachwieje strukturą Systemu. Nawet krzyk zarzynanego Endo dotarłby tam ledwie jako westchnienie. Tak samo groźby owej istoty, której punktem wyjścia stało się ciało i świadomość Natana, mogą być najwyżej błonoskrzydłym trzepotem liszki–jednodniówki. Tymczasem mnie takim lękiem przejęła myśl o tych, którzy patrzą na nas — jeśli pamiętają jeszcze — z tak ogromnego dystansu, że bez wahania mógłbym im przypisać spokojną, patrzącą wyrozumiale, nietykalną i nie ingerującą moc boską. Tak mną owładnęło sprzężenie — gdziekolwiek bym nie był — ze Strefą Systemu, że nie pomyślałem o koszuli stokroć bliższej ciała. Nawet mi do głowy nie przyszła myśl o innych zobowiązaniach, też wymagających ode mnie rozumnego działania. Cóż znaczy efektowna hekatomba „Trieda”, spełniona w imię Bogów Kosmosu zamieszkujących Strefę Systemu, wobec — chociażby — spazmów przeszywających tajemniczy labirynt Miedzianego Miasta. Cóż uczyniłem dla Dzieci Lewiatana i synów Wielkiego Chomezmu, dla owych istot — choćby się wywodziły z bydła, którym raz się udało coś obudzić we mnie i wciągnęły mnie do swojej szarży; czym ulżyłem tygrysom o mądrych oczach i drzewom spletanym gałęziami, zwieszającymi nad ziemią neuronową tkankę rozumnej pleśni. Nie jest mi przecież obojętne, ile pobojuwisk przybędzie obok mamucich cmentarzysk, na ile się zagaęci samotność rdzawych kurhanów — nekropolis porzuconych przez człekokształtne istoty. Wszystkich ich biosfera Planety wyłączyła w kołowrót nocy oderwany od kształtów rozpoznawalnych przez moje oczy, lecz — istniejących przecież. Gdzieś tam pewnie znajduje się też kres pielgrzymki pokracznego thana hobbitów i jego narodu banitów ze Strefy Systemu.

Jakże lekką ręką ja sam zrzekłem się spełnienia pragnień, które kiedykolwiek wiązałem z powrotem do mojej Ziemi Obiecanej. Zawsze się przecież mogła do kosmicznego wraka uśmiechnąć jakaś atrapa. A jednak wyparłem się — bez chwili

wahania — tamtego uczucia, które mnie rozgrzało na starość. Może nie taka znów ogromna ofiara z mej strony — zwykle dopełnienie lęków wobec spóźnionej miłości. Do dziś przetrwała pewnie tylko dzięki dystansowi, na skutek pamięci idealizującej, z kilku luźnych spostrzeżeń czyniącej obraz doskonałości. Przecież — cóż, tak naprawdę, mogę powiedzieć o tamtej dziewczynie poznanej przy boku hermafrodyty, która też jedyną miłością potrafiła obdarzyć wspomnienie Mungo Claira.

Wspomnienie — jak moje o niej. I skąd we mnie pewność, że ja — spragniony domokrażca — nie wyciągnąłem ręki po pierwszy, jaki mi się rzucił w oczy, zielony owoc. Choćby i potrafił nasycić oczy — nic więcej. Teraz żuję suchą gałąź i gorączkę głodu podsygam w sobie wyobrażeniem piersi karmiącej — ja — liść, przyklejony tkliwie do mojej Dendritis — Heleny drzewnej, obejmującej mnie uściskiem jak spartański platan.

Powiniennem walczyć o nią? Cóż kiedy — co wiem o tajnikach mojej podświadomości — pewnie z jej przyczyny wcale nie tak trudno mi było rzec się powrotu. Uczyniłem to właśnie w imię tej mojej smutnej, niemożliwej do spełnienia miłości. Zresztą — nikt nie wie, co to jest miłość, chociaż niektórym udaje się ją przeżyć.

Co jednak ja powiniennem zrobić teraz, jeśli mam odciętą drogę powrotu tam, dokąd mnie ciągnie jedynie pamięć o Tobie? Klęczę bezradny i w duchu przeklinam te myśli, które moje nie są — chory liść je odczuwa jako gorączkę naslaną z zewnątrz, w nim samym nie znajdującą samopotwierzenia — trudno wymagać, aby liść cierpiał i kochał.

Klęczę w niebotycznej Katedrze, z której sklepienia kapią złote krople — lekkie jak światło — prosto na moją czaszkę gołą, wygoloną na wzór buddyjskiego mnicha — bo nim przecież jestem, żalonym pielgrzymem, chociaż świadomość ochrania mi kula twardsza od czaszki, szklany hełm broniący dostępu przed dźwiękiem światłowym. Wielki Animista pragnąłby raz jeszcze nakręcić sprężyny, które się rozkręciły do końca, wypełniły część dyspozycji zawartych w embrionie — zanim zmartwiały ostatecznie. Zostałem — jaki jestem. Zmęczony. Nawet bez pamięci młodości, która by mogła umotywować eksplozję mojej ontogenezy z mocą równą ewolucji tej Planety.

Wchodząc do tej świątyni winienem sandały zostawić na progu i zdjąć czapkę z głowy — odsunąć szklaną przyłbicę sprzed czoła i pomóc temu światłu przeniknąć we mnie szerszym upustem, niż tego dokona czas mozolnie skapujący ledwie słyszalną muzyką — gdzieś z wysoka, gdzie krople zebrane pod sklepieniem Katedry Księżyca nabierają pędu, aby — nim miliard lat upłynie — rozłupać kamień biologicznej ochrony. Tym bardziej powiniennem to uczynić, gdyż kłębi się we mnie rozpacz nie w pełni jeszcze uświadomiona, wsączona we mnie poprzez te myśli autochtoniczne — słowa lektora sylabizującego teksty starej księgi z Biblioteki Wszechświata. Jego głos ma do mnie dostęp, jakby cokolwiek z tego, co się nadal rozwija na powierzchni Planety, mogło mnie tutaj doścignąć. Przecież sam jestem — zesłany do złotej pustelni, skazany na rozmyślanie. I nic nie jest zdolne przełamać mojej bio-blokady. Może swój własny głos słyszę? Raz jeszcze Raven przemówił do mnie mądrością istoty, która przetrwała Potop. Wiem już, wiem z całą pewnością, że na nic się nie zdało poświęcenie moje. Gdzieś, pod pokrowcem chmur skłębionych nad Planetą, trwa to coś, czego świadkiem byłem ledwie na samym początku. I nic nie znaczy ofiara „Trieda”, przecież pamiętam, jak on wołał: „Na Skrzydłach Czarnego Kruka wróć! Rozumiesz? Już mi nie potrzeba — nic, nic z balastu, który wam nie pozwala oderwać się od ziemi!” — krzyczał oszalały. Mógłby jeszcze parsknąć — „soma!” Wtedy by mi pewnie od razu starczyło lotności umysłu i wiary, aby pojąć jego metamorfozę.

A jeśli tak jest — czemu mnie Brat mój, Synchronat, nie ustrzegł przed uczynkiem pochopnym — przecież wiedział: „zrozumiesz, kiedy ciebie i mnie nie będzie”. Jego już nie ma. Ja jestem. Dlatego nie rozumiem w pełni — na przykład tego, dlaczego dodał jeszcze: „niech ci nie zadrży ręka”.

Zaczynam podejrzewać, że — jako pielgrzym — w powtórnej wizycie w Katedrze Księżyca znalazłem dopiero początek mej drogi. Może kiedyś tu wrócę po raz trzeci — w pełni świadomości dokąd zmierzam. Na razie trzeba mi bodaj wiary Pascala: „każdą podróż, bez względu na to, jaka ma być długa, rozpoczyna się od pojedynczego kroku”.

Muszę wracać — aby postąpić ten pierwszy właściwy krok.

Soki mojego Drzewa, wodze przeznaczenia, wyciągają mnie na powrót z korzenia. Jeszcze przed chwilą ten korzeń, wytknięty ze skalistego Księżyca, zaczerpnął mnie z próżni niby martwy meteorytowy odłamek. Teraz wraca w obieg ożywionej materii i przekazuje w koronę Drzewa łąknącą pokarmu. Tylko ode mnie zależy czy w tym obiegu zostanę na zawsze.

Podniosłem się z uczuciem ulgi.

Koniec spowiedzi. I jednocześnie — pokuty. Wymazane zostały moje grzechy z tych siedmiu dni, w czasie których próbowałem ten świat stworzyć w sobie. Nic już nie ciąży na mnie. Wszystko jest proste i jasne. Zdaje mi się, że dawno pojąłem — czym jest ten świat. To tylko nam — ludziom, trudno się było domyślić. A przecież — każdy powinien być taki. Jedynie tamten, który nas wydał z siebie, zawsze był światem ułomnym. Biosfera jest jak organizm wymagający równomiernego wzrostu. Jeśli jeden z elementów rozwija się przedwcześnie — inne, siłą rzeczy, pozostają w tyle. Tak samo zostaje zachwiana równowaga, kiedy występuje niedorozwój jednego organu. W kołysce Ziemi zawiązał się embriion biosfery — jeszcze nie rozwinięty, choć z jednej strony rozprostowało się jedno ramię ogromne, które — aby dać upust sile mięśni — zgięło się w łokciu i w potężnej garści zmięło resztę niedorozwiniętego ciała. Wobec żywego świata swojej planety gatunek homo sapiens jest właśnie przykładem takiego allometrycznego wzrostu jednej części systemu. Tempo jego rozwoju daleko wyprzedziło resztę fauny i flory. Stworzył cywilizację, która nie miała prawa bytu, jako zawiązana przedwcześnie. Przedwcześnie — bo w samotności. W beznadziejnej samotności jedyne gatunku obdarzonego rozumem i świadomością.

Dzisiaj — gdyby nawet bogowie Strefy Systemu zechcieli się obejrzeć za siebie — prawie nie ma na kogo zaczekać. Gatunek homo sapiens stał się jedyną żywą gałęzią w bez— listnej koronie swojego drzewa. I duszę ma samotnika, gotową wszystkiemu i wszystkim narzucać własne prawa.

Nawet istotom tej Planety, której ewolucja każdy gatunek obdarzyła z jednakową szczodrobliwością.

Wiem o tym — może ta wiedza dojrzała we mnie, jak owoc z drzewa świadomości, może to jedna z autochtonicznych myśli, które znalazły do mnie dostęp ponad biologiczną ochroną. Czyich myśli — wędrowców ze szklanych tuneli, wrzosowisk, drzew, innego zielska, szkarłatnych rozgwiazd? A może wciąż słyszę lektora tej monstrualnej Biblioteki, który się ze mną oswoił i na mój widok już nie ścisza głosu? Odtąd będę go słyszał — dokądkolwiek się udam. Powoli odwróciłem się od magicznej perły, w której wnętrzu już nie musiałem przenikać — wystarczy, gdy raz żelaznym złomem zaciążyło w dłoniach.

Nade mną zbiegały się ściany wypełnione światłem. Plankton w nich migotał, jakby i tutaj — każda komórka zawiera pełny zapis informacji dokumentującej cechy i funkcje całego organizmu — spisane zostało to wszystko, co misterna rzeźba grynszpanu rozrysowała na ścianach Miedzianego Miasta. To samo zakwitało na progu każdego dnia — wszystkimi barwami żywych tęczówek odsłoniętych spod

długich, czarnych skrzydeł—rzes, z czarną studnią źrenicy tkwiącą pośrodku — przez którą mógłbym dostąpić wtajemniczenia nocy. Gdyby mi starczyło odwagi.

Zawsze lżej na duszy — jeśli coś jest przed tobą. Szedłem powoli — nie było do czego się spieszyć. Wracalem do starbolta zostawionego przed progiem Katedry Księżyca. Złoty kanion stopniowo się rozwierał przede mną, ale tym razem nie słyszałem triumfalnych fanfar ani też organów piejących mszę żałobną. Lęk był we mnie samym, kiedy tak szedłem z pochyloną głową, pełen smutku, gdyż — jednego byłem pewien — nie ma sposobu, aby dokonać tego, czego nie uczyniłem wtedy, gdy „Tried” wynurzał się z grawitacyjnego tunelu poprzez purpurowe gardło Heliosa i moje ręce miały siłę, aby ścierwo zdusić w dłoniach.

Nie obejrzałem się za siebie, kiedy ostatecznie rozstały się wrota—przeźrocza wypełnione gwiazdnym planktonem na równi z resztą przestrzeni. Jeszcze parę kroków i niebotyczna iglica pozostała w tyle. Tylko miecz starbolta w płonącej głowni koncentrował ogień pożaru trwającego za moimi plecami.

Rękojeść miecza jeszcze osadzona w skale — ostrze nanizuje szmaragdowy sierp Planety.



## Rozdział IX — Ostatni lot

Daleko za sobą pozostawiłem Księżyc i znów przed starboltem otworzyła się studnia nocy. Zdałem stery na rzecz auto-pilota. Radiostacja rejestrowała tylko szmery świadczące o elektromagnetycznej aktywności tej strony Planety. Dla mnie była to jednak cisza prawie zupełna, jako że lot starbolta przebiegał w strefie osłoniętej dyskiem Planety przed potężnym promieniowaniem Heliosa.

W ledwie słyszalnym poszumie tylko zmysły starbolta potrafiły wyłuskać jałowe pasmo fal radiowych jedyne go czynnego nadajnika na powierzchni Planety. Kiedy Natan opuścił kabinę swojego starbolta radiostację zostawił włączoną. Teraz przekazywała, co chwilę gasnący, szelest płuc ogromnego lasu. Przy pomocy tego rodzaju pasywnej radiolokacji nie można określić odległości od poszukiwanego obiektu, ale przynajmniej autopilot nie mógł zmylić drogi.

Trochę podobny byłem do ping-pongowej piłeczki, nawzajem przekazywanej sobie przez Planetę i „Trieda”. A kiedy tego zabrakło — na mojej drodze stanął prawdziwy strażnik. Katedra Księżyca. I musiałem wracać niby srebrzyste światło odbite od usianej kraterami powierzchni. I tak samo, jak księżycowe światło nigdy naprawdę nic rozjaśnia nocy, tak i mnie nie udaje się zrozumieć natury owej Wielkiej Ciemności pode mną. Stać mnie ledwie na interpretację najbardziej powierzchowną — utożsamienie z Potopem. Zawsze coś.

Tym razem starbolt leciał w stronę przeciwną do obrotu Planety i nad jej krawędzią powoli rozjarzył się rąbek zielonej jasności, która tylko dla mnie jest świtem. W dole właśnie się posuwa do przodu front ciemności. Zmierzch tam zapada głęboki — tylko ja go próbuję wyprzedzić.

I po raz nie wiadomo który nie potrafiłem wzrokiem przeniknąć tej ciemności, której starbolt jeszcze nie przegonił. Była dla mnie — tym razem — jako głęboki tektoniczny rozłam albo bruzda pozostawiona przez daleko w przodzie idący lemiesz, który rozrywa zieloną darń i na boki odkłada dwie skiby żywnego czarnoziem. Cała Planeta rozwiera się pode mną bliźną przepastną, niby ugór codziennie zaorywany na nowo.

Zaśmiałem się nad tą monstrualną wizją.

W tej samej chwili oślepiły mnie promienie Heliosa. Już mnie dosięgły, chociaż w dole nie całkiem wyprzedziłem strefę półmroku, owej niepełnej ciemności siniejącej w ariergardzie dnia ustępującego przed zalewem nocy.

Zmierzch tam zapada — rozplywa się plama sinawobłękitna. Trudno w niej rozpoznać kształty zatopione w dziwnie mżącej szarości, jakby nagły wschód Heliosa poraził moje oczy, aż wstrzymały regenerację purpury wzrokowej. Teraz mnie, jeszcze zawieszono go w stratosferze, poraziła kurza ślepotą.

A jednak patrzyłem w dół. Żrenice oczu, jak ciężarki z ołowiowego szkła — podwieszono do ocznych gałek, nagięły wzrok ku tej plamie szarobłękitnej, bardziej drażniącej od zupełnej ciemności. Bo przecież coś w niej widziałem, coś na samej granicy rozpoznawalności — chmura niby grzbiet ogromny, pochylony nad ziemią i osłaniający ją od horyzontu do horyzontu. I te plecy rozległe kołysały się miękko przy każdym kroku olbrzyma zgarbionego nad pługiem. Gdyż on tam był — taki właśnie, jakiego sobie wyobraziłem. Za nim skiby odkładają na boki resztki dziennego światła i czarnoziem otwiera się jamą ogromną, tnącą czerep Planety głębiej niż czoło Endo. A ON w potwornych rękach, porośłych srebrzystą sierścią — szronem, mocnym chwytem dzierży rękojeści i kroczy przed siebie miarowym krokiem — w stronę jasności, za Heliosem zaprzężonym do radła, za niezmordowanym rumakiem, który

rozwianym ogonem zamiata nad białym zadem i grzywą protuberancji potrząsa w czerni kosmosu.

Nagle ujrzałem, jak olbrzym uniósł głowę, nie zwalnając kroku. Na chwilę się ocknął oracz z obrazu Brueghela, odsunął kosmyki włosów zlepione potem i dłoń przyłożył do Czoła — jakby oczy osłonił od słońca, żeby tam zajrzeć, gdzie w jasności białych obłoków leży Ikar upadły.

Wisiałem w moim amortyzacyjnym kokonie, jakbym to ja sam był elastycznymi ścięgnami przytroczony do skrzydeł tnących powietrze. Tylko w mojej piersi próżnia — pewnie to ona mi dała tę lotność. Z przerażenia wytrzeszczonymi oczyma i z gębą zastygłą w niemym krzyku, na pół oślepy patrzyłem — nic nie pojmowałem. I po chwili już byłem daleko. Wstecz spoglądając ledwie jeszcze mogłem rozróżnić tamtego oracza w dole — z chmur ulepionego i brnącego przez chmury, który znowu chwycił rękojeść pługa i pochylił głowę. W ostatniej chwili zdążyłem od przodu uchwycić wzrokiem twarz okoloną strzępami białych włosów, pobrużdżoną starością i ze zmierzchem w oczach — twarz Horowitza, jakim go widziałem po raz ostatni.

Półprzytomny leciałem dalej. Ziemia uciekała pode mną.

Wzrok odzyskał jasność — pewnie moja biologiczna ochrona skafandra zastrzykiem rodopsyny pokrzepiła oczy. Zacząłem coś widzieć naprawdę. Śmiech mi się skręcił w kiszki bardziej do łkania podobny. A tam rzeka błysnęła zakolem naturalnego portu — w nim żaglowce białe, skaczące nad falami. Potem płaty uprawnych pól — wzorzysta, połyskliwa łuska zachodząca na błonia żółtawo-pomarańczowe, oblaźłe mrowiem czarnym, kotłującym się niby przed chwilą wyrojone pszczoły. I wzdłuż niewidzialnych ścieżek rozbiegały się oddziały zwiadowców wysypanych z ogromnego mrowiska — plemię Ecitonini, które na ziemię zstąpiło po drabinie mojego kręgosłupa. Jeszcze moment i przeskoczyłem nad obnażonym labiryntem termiery. Za to osypisko złote zebrało się wokół tępego jeszcze rdzenia — miasto formujące stopniowo jeden trzon wieży Babel wznoszonej z ogromnym mozolem. Wszystko to widziałem pod lupą szklanej główicy starbolta. Jeszcze dżungla dziwnie pąsowa, jakby rozplamiona seks-fleszem w skali całej Planety, dalej step wzburzony, w nim tektoniczny rozłam wypełniony pulsującą pianą — między zębatymi krawędziami przerzucone przeszło mostu. Biały tunel wyłania się spod ziemi i znowu zapada w skały. Obok — drugi. Jeszcze go przed chwilą na pewno nie było. Białe soczewki otwierają się pod darnią lasów, przewiercają szkarłatne kurhany, jakby ciekawość Dzieci Lewiatana — z niezawodnością magicznej busoli — też ich powiodła w tę samą stronę, dokąd mnie starbolt niesie — od strony Shire'u ponad Szarą Wodą, przez Bramę Rohanu między Białymi a Mglistymi Górami, aż do Góry Przeznaczenia w krainie Mordoru — szybkość tak zawrotna, że brak czasu, aby się obejrzeć, na cokolwiek znaleźć twardsze oparcie dla wzroku. Nawet tego nie wiem — kim byli budowniczywie któregoś z miast — architektami hobbitów, potomkami tradycji Wielkiego Chorezmu czy też innym, prawdziwie owadziim plemieniem rdzennych mieszkańców tej ziemi.

Jeszcze jakieś pęcherze dostrzegłem, niby lawowe kopuły — tylko szklane bardziej — nad ziemią rozwartą czerwonymi gardzielami kraterów. Powietrze z nich wysało dymny oddech, jakby tam w kuźniach wulkanów uwijali się mechaniczni rzemieślnicy Natana. Nagle atmosfera cała wypełniła się bielmem obłoków wysokich, ledwie nadążających prężyć mgielne mięśnie i kłęby naginać przed brzuchem starbolta. Przystałem cokolwiek dostrzegać.

Wtedy właśnie dziwny trzask usłyszałem po raz pierwszy. Za nim kilka krótkich zgrzytów. Świergot ciętego szkła załamał się w połowie drogi do tonów tak wysokich, aż przekraczających granicę słyszalności. Świsty coraz to bardziej ostre.

Jednocześnie kątem oka pochwyciłem jakiś cień. Na ułamek sekundy wyłonił się

ponad białą pustynię obłoków. Za nim drugi. I znowu — cienkie groty. Każdemu pojawieniu się ciemnej błyskawicy towarzyszył ten sam głos do skrzeku podobny i milknął raptownie, kiedy niewyraźny cień z powrotem nurkował pod powierzchnię chmur.

Przez chwilę myślałem, że zmysły starbolta za każdym razem chwytają charakterystyczny dla każdego obiektu odgłos akustycznej fali w rozrzedzonym powietrzu. Lecz wzrok ześliznął się w kierunku dyspozycyjnego rdzenia przed moim kokonem — magiczne oko radiostacji migotliwym pulsem twierdziło swoje. Radiostacja rejestrowała sygnały radiowe towarzyszące każdemu ze wzlotów — to modulatory dźwięku naśladowały krótkie popiskiwanie telegraficznego kodu, coraz głośniejsze, wrzaskliwie, jakby stado mew otoczyło głowicę starbolta w jego karkołomnym locie. Towarzyszyły mu z zadziwiającą lekkością. Czasami jeszcze się pętla zawijały tuż przed jego uzbrojonym fostrum. Wtedy widziałem tylko rozmażaną smugę. Coraz też bardziej były napastliwe. Ich krzyki atakowały ciszę skupioną gdzieś poza granicą dnia i nocy. Zdawało się — spokój zostawiłem za sobą bezpowrotnie. A jednak wolałem, aby to trwało tak właśnie — chociażby z obłądnym trzepotem skrzydeł i wrzaskami gardeł modulujących radiowe fale — zawsze jakoś różnie. I kiedy chciałem sam odpowiedzieć śmiechem — tym rybitwom skrzeczącym nad spienioną głębią — dźwięk mnie nagle przeniknął rozciągnięty jakiś, na tak niskich tonach, aż mi drgania powietrza zawibrowały w dole brzucha i poczułem duszność, jakbym otrzymał cios prosto w splot słoneczny. Chwilę jeszcze słyszałem ten ryk przeciągły, zakończony charkotem. Pamięć oczu odtwarzała obraz zarejestrowany w ułamku sekundy — nad ily zmaczone przy dnie powietrznego oceanu wyskoczył cień płaski, ogromny, czarna tarcza morskiego diabła ze skrzydłami — płetwami rozpiętymi na dziesiątki metrów — wybił się nad fale niby gigantyczna manta, gdy nad powierzchnią wody w locie wyrzuciła żyworodne jajo — już się pod nią rozwinął drugi cień płaszczkoko kształtny i razem runęły w dół, zatoneły we wzburzonych kłębach pary — Jednocześnie przepadł ich ryk straszny — kiedy już wyciągnąłem rękę, żeby kantem dłoni zabić krzyk radiostacji.

Stopniowo zdołałem się otrząsnąć z wrażenia, jakie na mnie wywarło to coś, będące zaledwie sygnałem zjawisk, o których nie miałem żadnego pojęcia. Tymczasem coraz więcej ptaków wzbijało się nad pokrowiec chmur. Kiedy starbolt przeskakiwał nad studniami rozwartymi w mlecznym masywie, dostrzegałem tam — w dole — istne wiry skrzydlatej zamieci. Krążyły niby stada czarnych wron kraczące tysiącem głosów odbieranych przez radiolokacyjne zmysły starbolta.

Ptaki — jęknąłem w duchu. Tak mi ich brakowało, chociaż sam nie wiedziałem o tym. A przecież musiały istnieć zawsze. Może dopiero teraz zostały zmuszone do lotu, wypłoszone z gniazd, z mrocznych dziupli i nor podziemnych — czort wie, skąd jeszcze i przez kogo. Wzbijały się aż nad obłoki — stada czarnych kruków, które przedtem rozwijały skrzydła pewnie tylko w strefie nocy — za wyjątkiem Ravena.

I nagle poczułem, że starbolt wytraca prędkość.

A więc — to tutaj — wzdrygnąłem się. Ręce przywiodłem do piersi, opuściłem do pasa i dłonie wsparłem na biodrach. Chwila i całe moje ciało przeniknął spazm łaskotliwy — zaśmiałem się, głosem bardziej podobnym do skrzeku tamtego spłoszonego ptactwa. I wyciśnięta nagłym rozbawieniem łza mi pociekła po twarzy, nie mogłem jej otrzeć pod szklaną przyłbicą. Miałem powód do śmiechu, moje ręce szukały broni.

Jakby istniało coś, co mi może pomóc.

A już chmury rozchyliły studnię szeroką na dobry kilometr. Promienie Heliosa zaglądały w nią głęboko — musiałem zejść jeszcze głębiej. Pionowe ściany obracały się wokół nurkującego starbolta. Porwał je pęd ptaków wirujących w białej osnowie,

rzadko pojawiających się w pełnym świetle, jakby we wnętrzu obłoków szukały ochrony przed światłem mogącym spopielić im skrzydła.

Starbolt schodził do lądowania, a ja siedziałem zmartwiałym i bałem się spojrzeć przed siebie, żeby — jeszcze z lotu ptaka — nie dostrzec tam swojego przeznaczenia.

## Rozdział X — Homo futurus

Pękła głowica starbolta i klin włazu podniósł do góry przezroczyste skrzydło. Jeszcze przez chwilę czułem tylko zapach metalu, kauczuku i wosku. Taka mi została pamięć ostatniego zbliżenia z pokładem „Trieda”, zakodowana w mikroklimacie starbolta — zanim się rozproszył pod naporem innego powietrza.

Kiedy tak siedziałem, z hełmem spoczywającym na kolanach, czułem słaby wiatr sphywający po czole — oddech pachnący żywym wnętrzem. I wydało mi się, że z zarumienionej poświaty nieba, z bladoróżowego aksamitu wychyla się do mnie niewidzialna Liana. Wystarczy przymknąć oczy, aby z policzków i czoła osypała się fala jej naelektryzowanych włosów, szczypiących powieki i wargi mikroskopijnymi nakłuciami wyładowywanej energii. Całą głową tkwiłem w kontinuum przepojonym zapachem skóry i odrobiną kwietnej, aromatycznej wilgoci. Wystarczy zebrać odwagę i unieść twarz, aby wargami dosięgnąć szyi gorącej, tuż u nasady włosów pachnącej lawendą, niżej — przez piersi i brzuch — skąd zapach piżma i coś jeszcze piekące, co we mnie krwią wypełnia mięśnie — raz już ledwie wyrwane z orgiastycznych płasów, w czas próby generalnej — gdybym do jej sutek przypadł spierzchniętymi wargami, a potem sam się — na wznak — otworzył i całą, tak długo nieosiągalną, zgarnął na siebie — naga, wreszcie wyłuskaną ze szmatek delikatniejszych od powietrza.

A jednak siedziałem nieruchomo. Mnie samego ciągle obejmował amortyzacyjny kokon. Tylko zapachy docierały spoza tej granicy, którą nie w pełni udało mi się przekroczyć — zapach jaśminu i jodu, eteryczna woń wina grzanego z goździkami, jak to potrafił tylko Synchronmat — z wanilią i czymś jeszcze, czego nie jestem zdolny określić żadną miarą.

Starbolt zawisł nisko nad ziemią, złożony w tuleję elektromagnetycznej poduszki. Z wysokości mojego stanowiska mogłem całą przestrzeń ogarnąć wzrokiem, aż po niezbyt odległą ścianę iglastego boru, dokąd też sięgały promienie Heliosa.

Po bokach cembrowina studni ocieniona obwałem chmur — ptasie w nich stada wirowały zawrotnie. Bliżej rozciągała się łąka zupełnie inna od stepu i bagien, jakie poznałem dotąd. Łagodne pagórki zakwitały olbrzymimi kępami liliowej werbeny, nad nią strzelały ciemnopurpurowe główki driakwi oraz białawe i żółte złocienie. Zieleń została zepchnięta do podnóża pagórków, ku ziemi bardziej wilgotnej, kędy też woda ściekała pewnie po gliniastym podłożu. Z poziomu głowicy starbolta okolica sprawiała wrażenie okrytej zieloną siecią, której asymetryczne oka przypadły akurat na pagórkowate wyniesienia terenu.

Ściana lasu wyrastała nad tę łąkę, bardziej do ogrodu podobną, niby zwarta palisada warownego grodziska. Tylko w jednym miejscu widać było wyraźny rozłam — tam też dostrzegłem rozpękłe kryształowe wręgi nad położonym na ziemi, w nienaturalnym przechyle otwartym i porzuconym starboltem.

Z tej odległości nie stwierdziłem tam nic niepokojącego.

Wszystko, co mi zostało, to pójść w ślady tego, który rzecz zakazaną uczynił przede mną. Wystarczyło przełamać bio-blokadę kabiny starbolta oraz skafandra. Co dalej? Trzeba się zdać na łaskę Wielkiego Animisty Kosmosu. Może w ostatnim jego laboratorium zostało nieco soków, zdolnych coś jeszcze wyciągnąć ze mnie, pogłębić drenaż, oskrobać z patyny i w obieg włączyć te rezerwy tkanek — jeśli da się z tego spreparować ochłap produkujący ikrę.

Powoli wyciągnąłem palce z biokontaktów sterów. W porcelanowe ciemnie poklepałem dyspozycyjny rdzeń starbolta. Światła pogasły na jego skroniach, zakrzuszył się i jeszcze przed lądowaniem umilkł krzyk ptaków — tak długo

kraczących mi nad uchem w głośnikach radiostacji.

Tylko mój Brat nie odezwał się ani razu.

Fakt, że dziś mogę odetchnąć pełną piersią i każdy łyk powietrza napełnia mnie balsamem gojącym zadawnione rany, nie znaczy przecież, że zapomniałem o kimkolwiek. Trafiłem wreszcie do prawdziwie rajskiego ogrodu, mam przed oczyma i w sobie jego biogenetyczny fenomen — ale prawdziwy mój świat istnieje po stronie umarłych; w kręgu mamucich cmentarzysk, gdzie swoje kości złożył Ułam, Yongblod, Van den Berg i Horowitz, przynajmniej ten ostatni — nie tylko kości. Tam też w gwiazdnej chromosferze rozwiało się miłosne delirium Mungo Claira, zielony nalot zakwitł na totemowych słupach Miedzianego Miasta i tam prysnęły nadzieje Endo. Cokolwiek bowiem zostało z Wielkiego Chorezmu, wszystko Planeta przejęła w posiadanie — poza istotą monstrialnego ascety, który aż tutaj przyniósł w sobie nadzieję narodów pogrążonych w Strefie Systemu.

Jeszcze się zastanawiam — czyja naiwność była głębsza, moja czy Endo?’

Trzeba się zbierać. Moje przeznaczenie raz już się odezwało do mnie — gdzieś stąd, niedaleko — głosem napiętnowanym obłędem, jak przystało na ogniwo ostatnie łączące mnie z moim czasem.

Wysiłkiem woli przełamane bezwład ciała.

Plecy odchyliły się wstecz, posłuszny fotel przechylił się nad gardłem magnetycznego szybu. Jeszcze w nim westchnęła ostatnia sprężyna, chwyciła mnie, rozwinęła się sama i pękła — kiedy moje nogi po kostki ugrzęzły w sypkiej ziemi, nad głową nawet się nie zasklepił zwieracz śluzu. Starbolt okręcił się wokół osi, jakby się staczał z elektromagnetycznej pochylni — ciężko jęknęła ziemia kiedy się zwałił na nią, martwy do samego rdzenia.

Nie oglądałem się za siebie. W tym przynajmniej doszedłem do wprawy.

Przez kwietny ogród ruszyłem prosto, z odkrytą głową, chociaż dobrze rozumiałem, że strach mój nie minął wcale — pewnie się tylko zaczął i czekał cierpliwie, kiedy się zdoła rozwinąć ponad biologiczną ochronę i ogarnie coś jeszcze — poza mną. Czułem się bardziej niż nagi — z jednej strony ja sam, jako szkielet nagi, z drugiej ramię w ramię za mną kroczący pusty bukłak wysuszonej skóry — skafander Ravena. I powietrze wlewało się we mnie i przelewało przeze mnie. Każdy jego łyk zasiedlał mi kiszki rzeszą mikrobów, o których nie mam i mieć nie mogę wyobrażenia — musiałbym uzmysłowić sobie, jaka nas rozdzieliła przepaść ewolucji — wirusy, bakterie, fiołki, pszczołki i inne boże krówki ode mnie, faceta z prehistorii — tak samo tutaj, jak w Strefie Systemu. I co z tego, że już się budzą we mnie bolesne fermenty i wreszcie gotów jestem rwać obrozę po zdjętym hełmie. Czułem, że mnie dławi i wrzyna się w krtań Ravena — jeszcze trochę i sam się zachłysnę czernią — już nie potrafię chwycić oddechu.

Sam nie wiem kiedy oburącz ułapiłem tę obręcz i szarpnąłem — zupełnie niepotrzebnie. Sama mi się w palcach rozlazła, dziwnie miękka, tylko się zatoczyłem — niby pies spuszczonej z łańcucha.

Spojrzałem na ręce — dłonie pokryte srebrzystym nalotem, taki sam na opuszkach palców zostawia pyłek starty z motyli skrzydeł; patrzyłem na dłonie Endo, z jakimi się wynurzył z fosi otaczającej nagle ożywione Miedziane Miasto. I moje ciało też było podobne do tamtego — jeszcze się tylko ten sam los powinien dopełnić. Tymczasem pył się osypywał ze mnie. Miejskami strzępy skafandra, igłami zakorzenione głębiej, odlepiały się nieco opornie.

Szedłem nagi, po drodze liniejący zewnętrznym naskórkiem skafandra, warstwą bio-blokady — na ułamek sekundy zapaliła nade mną aureolę wyładowanej energii neodymowych laserów — sygnał poszedł w niebo, znak mojej śmierci. Tymczasem na boki strzeliły suche badyle zewnętrznego szkieletu, fiszby pozabawione

elastyczności pękły i zdałem sobie sprawę, że odtąd zdany jestem wyłącznie na własne siły. Pozbawione oparcia w egzoszkielecie pękać też poczęły szklane bańki przyssawek, rozruszniki mięśni i inne ostrogi. Jednym ruchem dłoni zdarłem z piersi blachy elektrod, stymulatory pracy serca oraz organów zawiadywanych przez gładkie mięśnie — i jakoś mnie nie trafiła apopleksja. Pod bosymi stopami miałem trawę i kamienie zgrużone tuż pod powierzchnią ziemi — z każdym krokiem moje stopy zdawały się głębiej zapadać w wilgotnej glebie. Spojrzałem pod nogi. Kroczyły, nie wybierając drogi, tylko stopy wydały się bardziej od oczu odległe niż zwykle.

I wtedy — dreszcz mnie przeszył nagle, plemię Ectonini wygrzebało się z trawy i dopadło ostatniej Achillesowej pięty, zdołało się wgryźć na powrót we wcześniej opuszczone ciało. Pomyślałem — TO przecież jest prawdą! Nigdy dotąd nie dopuszczałem myśli, że istnieć może inna wiosna, nad lokalną zmianą pór roku danego globu i ponad zmartwychwstaniem naszych ciał, kiedy zasuszone spory musiały się jeszcze opornie przebijać przez kosmiczne przestrzenie; z gwiazdy na gwiazdę, z gałęzi na gałąź. A jednak raz jeszcze rdzeń kręgowy strzelał serią jak z karabinu maszynowego — tylko krzyknąć, postawić oczy w słup i zwalić się na murawę spragnioną kilku kropel. Szedłem — to tylko chrzestne wstawki między kręgami odzyskiwały dawną elastyczność — wtajemniczenie nowej wiosny. Tej trzeciej, bez której nie na wiele się zdadzą tunele w grawitacyjnym polu Galaktyki. Już czułem coś bardziej prężnego od mięśni, w każdym ułamku ciała zawiązała się giętka sprężyna. I w jednej chwili ogarnęła mnie nadprzewodliwość wiatru, zapachów, elektryczności i ciepłego wzroku Heliosa. Obym zapomniał, jak to jest, kiedy przez zwiędłe fałdy skóry, zrogowaciałe pięty i dłonie, przez oczy ślepnące i głuche uszy nie potrafiłem dostrzec czegoś, co zawsze jest obok — moje satori. Prawie już wierzyć przestałem, że istnieje w kosmosie takie miejsce, gdzie trzeba umierać poza kontaktem z Nadświadomością i nie z własnego wyboru — tylko dlatego, że się spracował garnitur uszyty z tkanek pośledniej jakości.

Zrozumiałem nagle, że już mógłbym wrócić! Chociaż Wielki Animista Kosmosu jeszcze nie przyfastrygował skrzydełek do kulawej duszy, żebyś mógł od razu zrównać lot z Czarnym Krukiem. Przynajmniej z tym samemu trzeba sobie dać radę.

Planeta zrobiła swoje — pod broń powołała samca zdolnego rozgrzać samicę wyhodowaną w Strefie Systemu. Takiej nie zapłodni najbardziej lotna filozofia. Lecz moja płeć czuje Twoją nawet przez rozłam przestrzeni. Tak bardzo chciałbym być z Tobą — to pragnienie gorsze od głodu. I jaki ze mnie Człowiek–Koło, jeśli tu jestem tylko POŁOWĄ! — a ta zawsze zostanie bez szansy Nadświadomości. Tylko z Tobą — Liano! — coś jeszcze może się spełnić. Chciałbym Cię osiąść wszystkim, jak tego nie zdołał żaden człowiek przedtem — płcią oczu, warg, języka — aż po ciemnię piersi, zagarnąć w dłonie i przeniknąć każdym palcem z osobna, twarzą do twarzy, brzuchem do brzucha, biodrem do biodra — albo na odwrót! — aż głowy ścisną imadła kolan i Koło uczynione z naszych ciał wpasuje się w złotą obręcz. Przez nią, myśli nasze, wiara i pewność zleją się w jedno, jak lepkość wiążąca w Tobie — już teraz — tęsknotę moich uszu, oczu, języka i prącia. To — co jeszcze między nami — z nas się wypełni, z biegunów dwóch ciał i jaźni urzeczywistni mit androgina, prawdziwie doskonałego człowieka przyszłości.

Mistrz Juan–wu też świadom był owej prawdy. Kiedy najlepszy uczeń z jego szkoły odebrał wszystkie nauki, zapytał na odchodne:

— Czy znasz, mistrzu, takiego mędrca, od którego mógłbym się czegoś jeszcze nauczyć?

— Nie ma takiego — odparł mistrz Juan–wu.

— Któż więc z nas jest mądrzejszy?

— Za stary jestem...

— Och! — uczeń skromnie opuścił oczy.  
— A ty zbyt młody. Uczeń się wcale nie zmieszał.  
— Jeśli dla ciebie za późno, a dla mnie za wcześnie — rozważał — cóż mam uczynić, aby pogłębić wiedzę?  
— Potrzebnych jest dwoje — rzekł mistrz i ze smutkiem pochylił siwą głowę.  
Uczeń milczał długo, potem przed starym nauczycielem z szacunkiem ucałował ziemię i odszedł — szukać.

Dlaczego nie starczyło mi odwagi, żeby Natanowi w twarz rzucić — nie W JEDNYM, lecz Z DWOJGA! Jak wszystko zawsze, tak i to zrozumiałem za późno. Ciągle jeszcze świadomość moja stąpa po śladach stóp — trop w trop i ani kroku do przodu. Aby to zrozumieć nie musiałem też przylatywać aż tutaj. Trzeba mi było w to tylko uwierzyć, że istnieją światy określone bardziej harmonijną dialektyką, niż to się stało udziałem naszej chorej biosfery. Jej obłąd allometrycznym przyspieszeniem wypchnął kuriozum ludzkiej natury nad resztę żywych form. Świadomość jest dana po to, żeby naprawiać niedociągnięcia natury. A jednak trzeba było Planety zasiedlonej taką fauną i florą, dla których my z kolei okazaliśmy się „zapóźnieni w rozwoju”. Lecz tutaj nikt się nie zawałał poddać nas akceleracyjnej korekcie. Uczynili to zanim ich poznaliśmy, a może i po to, żebyśmy mogli tego dokonać. A jednak — nie musiałem tu wracać, aby dostąpić wtajemniczenia. To, co dziś fermentuje we mnie, istnieje w każdym z nas — obojętnie w jakim jesteśmy punkcie przestrzeni. Natura jest nieskończona i niewyczerpywalna, ale każdy z nas jest jej elementem. Tak samo nieskończony jest Wszechświat w całości, jak każdy atom — jego elementarna cegiełka.

Wiem jednak, że dzisiaj nie osiągnę pełnej doskonałości — zawsze coś staje na przeszkodzie i pewnie dzięki temu zawsze coś jeszcze istnieje przed nami. Do czasu Nadświadomości. Jestem tu SAM i dlatego nie uda mi się przestąpić progu przyszłości. Gdybym zdołał wrócić do ciebie, Liano, może by to było pisane naszym potomkom.

Nie wrócę jednak. Nie dlatego, gdyż poświęciłem „Trieda”. Już się domyślam, co znaczą słowa: „na Skrzydłach Czarnego Kruka” i wiem, tym samym, jak mało znaczą przestrzeń dzieląca nas tak bardzo. Lecz nie ja jeden poznałem tę tajemnicę. Natan zawsze był krok przede mną. A teraz — być może — tysiąclecia. I każdy z nas ma swój punkt wyjścia, z którego nawet moc tej Planety potrafi wydać tylko taki owoc, jaki został zapisany w nasieniu.

Zadrzałem. Nagle zrozumiałem, że więcej jest prawdy w tych myślach, niż chciałyby dopuścić. Myśli zdawały się bez mojej woli krystalizować we mnie, plastyczne nie mniej od drgnienia każdego mięśnia.

„A ty nie próbuj gonić — wołał. — Nie przeoczyłem niczego... Jestem daleko przed tobą!” Potem się zachłysnął chichotem — nie ze mnie, kim byłem, kiedy go słuchałem wtedy. On wiedział, że i we mnie biologiczny zegar wybije godzinę, kiedy zrozumie — i śmiał się ze mnie takiego, jakim teraz jestem. Nikomu nie zdołam pomóc. Wykorzystałem ostatnią szansę — aby się z nim zmierzyć musiałem się posłużyć jego metodą. Wszedłem poza pancierz starbolta i zdjąłem skafander, resztę pozostawiając siłom tej biosfery, która dopasuje wytrych do każdego ziarna i wypatroszy wszystkie tajne skrytki.

Uczyniłem to, lecz on był pierwszy, który bosą stopą wstąpił na pokład Planety. Co oznacza chwila mojego wahania, nim się zdecydowałem zamusztrować do jej załogi, nie dowiem się nigdy. Jak wczoraj mogłem tylko przypuszczać, co będzie dzisiaj. Choćby mi Na tan darował jeszcze godzinę wolności — zawsze będzie dalej o tę chwilę, rozdzielającą nasze w tym świecie poczęcia, i nigdy go nie zdołam dogonić.

Chyba — aż się pode mną załamał rytm kroków, że zdążę się włączyć we



Wszechświat Nadświadomości. Tam, tylko tam czas się nie liczy i do jednego poziomu sprowadzona jest przeszłość, przyszłość i teraźniejszość.

Gdybym mógł — nie zdołam bez tej jedynej, której nie ma ze mną. Więc co mam począć? Sam niczego nie zdołam dokonać. Tak samo, jak nie uda mi się tak naprawdę przeniknąć w ten świat, który mnie otacza. Jeszcze jego zewnętrzne formy bliskie są tym, jakie potrafiły zarejestrować oczy człowieka schodzącego na ziemię z pokładu starbolta.

Wiem jednak, że to tylko najbardziej zewnętrzna, cieniutka koronka, pod którą oddycha prawdziwe ciało. To tylko atrapa, na wzór mimikry Strefy Systemu, przeznaczona dla spokoju ducha tych, którzy wszystkiego na raz nie potrafią ogarnąć.

Tymczasem już widzę dziwną przejrzystość kwiatów i materię listowia przenikliwą nie tylko dla wzroku. W szkarłatnych kielichach drżą czarne pręciki, kwietne powabnie zawieszają w powietrzu reklamy własnej kuchni. Zaczynam dostrzegać słowa zapachów. Wiem, że istnieją, ale co znaczą — brak wycucia, ciągle zbyt płytkie strojenie. A tam — pod pienistym kobiercem — majaczy już warstwa głębsza, jakby pod osłoną woskowych liści schroniły się bilardowe kule i promieniste skupiska kryształów — drżą kamertonowym dźwiękiem, dla którego zapach i język kwiatów jest gazem powietrznym — warstwa po warstwie krystalizują się przyzmaty perłowo—mgielne. Gdzieś jeszcze siwe zagłębienia w ziemi, wypełnione błękitnym popiołem, w nim tlą się pałeczki zatknięte jak włosy — czuję w powietrzu przedziwny zapach mirry i kadzidła.

Jakbym miał na języku soczystość Twoją.

Nie powinienem myśleć o tym. Jeszcze mi mrowi w oczach i w głowie ból czuję, kiedy chcę zajrzeć poza kolejne zasłony.

Moje oczy bardziej są jednak przywykłe do kwiatów i liści zielonych. Nie powinienem myśleć o tym, chociaż tam słyszę brzęczenie coraz wyraźniejsze — między kwiatami coś się mrowi, tańczą owadzie roje, aż ich gęsto w przestrzeni — następne śpieszą otrząsnąć korzonki z okruchów ziemi, wygrzebują się spod kamieni, trzepoczą listkami, wystawiają czułki z liniejących cebulek, bulwy pękają tęczowymi skrzydłami i już się ledwie przebijam przez wir barwnych motyli, brzękliwe chrząszczy, tuż przed oczyma migają mi muszki srebrne, jętki i ogromne ważki — jedną z nich jestem, niezmienną od ery mezozoicznej — czekającą — na co? — nie wiem — nic prawie nie widzę w obrębie karuzeli — tylko szerzej rozłożyć skrzydła i krążyć, krążyć w nieskończoność...

Coś mnie uderzyło w plecy. Zatoczyłem się i wypadłem poza wir tęczowy. I nagle mnie znowu spokój ogarnął zupełny — chociaż stałem zziębnięty i zlany potem. Ogromny las rozstał się przede mną. Stałem ledwie na jego skraju, a tam pusty klin wchodził głęboko. Po bokach niesamowicie wysokie, pionowe maszty pni. Drzewa tak potężne, lecz nie słyszałem trzasku żagli wzdymających się na konarach, nawet szelest liści nie docierał do mnie. Chciałem, lecz nie potrafiłem unieść wzroku — bez reszty moją uwagę przykuło to miejsce na ziemi, przed którym się zatrzymałem.

Po raz pierwszy właściwie zobaczyłem grunt bardziej zapiękły niż na wyżynie Miedzianego Miasta. Taką ziemią — pamiętam — ta Planeta przyjęła nas po raz pierwszy.

Palisada pni otaczała trójkątne wycięcie, otwarte w kierunku łąki. Nie było jednak drzew powalonych ani zmiądzonych gałęzi. Sprawiało to raczej wrażenie, że pnie, krzewy i trawa, mech nawet — rozsunęły się z własnej woli, odpełzły od starbolta wbitego w centrum tak zwolnionej przestrzeni. Tkwił na wpół zanurzony w sypkim piachu, przechylony na jedną stronę, gdzie znalazł oparcie jeden klin rozłożonej głowicy. W moją stronę otwierały się ogromne, puste czasze dysz plazmowych. Cała masa starbolta musiała się zwalić na ziemię, kiedy zgasł magnetyczny pęcherz.

Pachniało tylko nagrzanym piaskiem, metalem i jakby kalafonią — może coś wyciekło z bebeczów starbolta albo docierał do mnie zapach żywicy, łatwiej przenikający w powietrze niż dźwięki, gdyż nadal nie słyszałem szumu w koronach drzew. Wszystko tam zastygło, przestało oddychać, ocierać się i w głowę gorgony spletać węzowe konary. Nie szukałem przyczyny ich zмовy milczenia — czy nadal podejrzliwie badały bryłę starbolta bezradnie zwałoną na spopieliały piasek. Nie mogłem oczu oderwać od zastygłej masy — obchodząc ją bokiem próbowałem zajść od strony szklanej głowicy.

Ziemia pod moimi stopami przesuwiała się jednakowo martwą powierzchnią, bez śladu owej głębi, którą niedawno podejrzewałem pod osłoną żywych kształtów. Został piasek, kamienie i nieco suchego gliniastego pyłu.

Zatrzymałem się, jakbym trójkątem rozstawionych nóg wyczuł źródlaną żyłę pod nawianym piaskiem i stopy gotowe były tu właśnie głęboko wrosnąć w ziemię.

Przerażonymi oczyma patrzyłem przed siebie. Zrozumiałem nagle, że nic nie znaczą skrzydełka, które w skrytości ducha już sobie przyprawiłem do ramion. Ból w piersi i kołowrót głowy bardziej były dotkliwe, niż zwykle.

Wpatrywałem się w to, co się walało pod burta starbolta — aż pod piętami poczułem ostre ciernie szklanych odłamków. Połyskiwały dokładnie tak samo, jak tamte kryształy w trawie. Duże, małe i zupełny drobiazg. Największe zachowały cechy owalu charakterystyczne dla ścianek rozbitego naczynia. I tak, jak w stepie korzenie, tak tutaj po szklanych cierniach rozpełzły się ciemnozielone, żywe pasma glonów i listki wodnego hiacyncu.

Zdawało mi się, że nowo pozyskanym zmysłem potrafię chwycić radiowe fale i znowu słyszę ogromne ptaki, które wściekle się uwijają nade mną i kraczą, jakbym chciał wronom odebrać ich trupa.

Patrzyłem, ciągle nie pojmując, aż wreszcie rozpoznałem ciała maleńkie, wychudłe, zielonkawe całe, rzucone na ziemię i ćwiczące jogę na odłamkach rozbitych cylindrów. Woda dawno musiała wsiąknąć w piasek, ale te ciała nadal były pokryte wilgotnym śluzem czy szlamem — a ja zrozumiałem niespodziewanie, co znaczył tamten chrzęst i brzęk, jakim zgrzytnęły szklane zęby tuż przed szalonym wybuchem śmiechu Pierwszego Androgyna. Przyglądałem się ciałom pobratymców Endo i wszystko, o czym byłem w stanie pomyśleć, zawierało się w jednym pytaniu: jeśli on przyniósł z sobą legendę Wielkiego Chorezmu, co zgasło w ich sercach — mit jakiego ludu i jakiej ziemi?

Coś we mnie kwiliło cienko, kolczasty echinokok skręcał się w piersi i musiałem zacisnąć zęby, żeby się z gardła nie wyrwał zduszony psi skowyt.

Odstąpiłem o krok, bezradnie zaciskając pięści, którym moc Planety nie dała żadnej broni.

I wtedy o coś potrafiłem stopą. Kolana same się pode mną ugięły. Kiedy klęknąłem, w zasięgu mojej ręki znalazł się jeden odprysk szklany — z jednej strony ciemnofioletowy, z drugiej wydłużony półprzezroczystym ostrzem — nóż' Natana. Chciałem go podnieść i zacisnąć w garści — łkanie tamowane w piersi załamało się raptem i, nim się spostrzegłem, klęczałem chichocząc, roztrzęsiony cały, a nóż spoczywał na mojej dłoni — majstersztyk zbrojeniowego rzemiosła, leciutki, błyszczący, z doskonale czystą klingą, jakby się jeszcze nikomu nie dobrała do gardła — i miejsca zajmował w ręce nie więcej niż gwóźdź trzycalowy, mizerykordia w sam raz dla hobbitów albo innego karła.

Dłoń opadła sama i cierń prześliznął się między palcami. Tak być musiało — trzeba siłę znaleźć w sobie samym. A przynajmniej po własną śmierć iść z podniesioną głową. Uniosłem wzrok.

Dwa ciała leżące przede mną zbyt były krótkie, nawet uwzględniając moją nową

skalę. Trupy–tułowia z wiotkimi badyłami kończyn. Nie trzeba było kalać noża, żeby tym chuchrom przełamać karki i pourywać głowy — cóż to znaczy dla kogoś, kto ma rękę przynajmniej jak moje. Jedna z głów wałała się nieco dalej, twarzą do ziemi. Drugą mogłem rozpoznać — prawdę mówił Endo, że się ich płeć uzupełnia. W bladej twarzyczce przez błonę powiek oczne gałki prześwitywały granatową ciemnią. Wypatrywałem grymasu, jaki śmierć zostawiła w delikatnych rysach, lecz były spokojne i czyste, tylko lanugo nad czołem — zlepione w kosmyki — ułożyło się zgodnie z kierunkiem, w którym po skroni spłynęła woda. I tylko w kącikach ust lekko rozwartych oraz z wąskiej szparki nosa zwisały zielone pasemka glonów, a w jednym oku — niezależnie od reszty oberwanego kwiatostanu, może tam znalazł nieco wilgoci — bladziutkim fioletem zakwitał wodny hiacynt. Klęczałem dalej, a przed oczyma pływały mi czerwone plamy, chociaż nigdzie dokoła nie było bryzgów krwi szcerniałych' i zakrzepłych w piasku.

Dostrzegłem za to, że — w miejscu, gdzie od tułowia od— dzielono szyję — coś białego zwisa na ziemię, nitki jakby pleśni, pajęczynka się wysnuwa cienka i między kamykami przetyka półprzezroczyste korzonki.

Nie potrafiłem uczynić najmniejszego ruchu. A tam tymczasem, z obrzezanych tułowi — jako siwe włosy mające osłonić brak głowy — kiełkowało coś lepkiego, szarawego, niesamowicie delikatnego niby grzybnia rozwijająca się na przedłużeniu rdzenia kręgowego. Taki sam strzęp wyslizgiwał się spod nasady odrzuconej czaszki — najpierw tylko pajęczyną nerwowych włókienek, potem z plektenchymy spletał grube sznury. I obydwie końcówki zmierzały ku sobie, rosły od strony tułowia i ze strony głowy. Już się zrastały w połowie drogi. Widziałem, jak się zlepiają nitki pleśni i — obok woskowego pędu osypało się nieco ikry w połyskliwym piachu — to już nie ryzomorfy grzybni, nie nitki nerwów wpełzających w glebę, lecz coraz bardziej zwięzłe ścięgna, zdolne się kurczyć i rozprężyć niezależnie od naciągu mięśni. Jeszcze jeden krótki spazm i kątem oka pochwyliłem całkiem wyraźne drgnienie kuli porosłej rzadką sierścią. Spojrzałem tam i wydało mi się, że jakoś inaczej ułożona jest głowa z bladofioletowym kwiatem wrosłym w oko.

Zerwałem się na równe nogi i zacząłem odstępować przejęty zabobonnym lękiem. Na moich oczach dokonywało się niepojęte scalenie za sprawą biokosmicznego sacrum. Widziałem wyraźnie, jak spazm przeciągły — nieodróżnialny od cierpienia i rozkoszy — przenika nagie ciała, prężą się białe ścięgna i poza głowami, zdawałoby się — nieruchomymi, wydłuża się głęboka bruzda w ziemi i pełzną do siebie — ciała spragnione świadomości i rozum, który utracił swą genealogię.

Tylko ja się zatrzymałem, niezdolny nagle postąpić bodaj krok w tę albo w tamtą stronę.

I kiedy tak stałem, przed oczyma i w sobie odnajdując utraconą wiosnę — z nadzieją spełnienia najtajniejszych pragnień, czyjś głos we mnie szczydził: Spróbuj wrócić! I zdawało mi się, że gdzieś słyszę znajome organy, w gardzielach księżycowych kraterów wygrywające mszę żałobną — cichutko najpierw, zanim we wrota przestrzeni wkroczy kondukt postępujący tuż za mną, którego Skrzydła Czarnego Kruka unoszą. Znowu jestem w Katedrze Księżycy, a nade mną sklepiony wysoko, strzelisty gotyk. Muzyka brzmi coraz pełniej, a ja — jakbym siebie samego zobaczył z wygwieżdżonej nieskończoności pod sklepieniem Katedry, wszystkich nas razem na wspólnym katafalku — drobną postać zgarbioną przed dwoma żywymi trupami i wbitym w ziemię starboltem. I taki się właśnie poczułem — maleńki pod zielonym nieboskłonem, tak mało znaczący ze swoją wiarą w niezniszczalność. Czyjś ciężki wzrok oparł się na moich ramionach, aż się ugiąłem, jakby mi na barki krzyż złożył.

Tak go czułem na sobie — przytłaczający nawet z tej nieskończoności, która mu

ledwie pozwoliła mnie dostrzec. Podobny bezwład raz już mnie przytłoczył, jeszcze w Strefie Systemu, kiedy ten ktoś — inny może, każdy byt ma własnych bogów — to coś — patrzyło na mnie tym samym wzrokiem, budzącym pokorę wobec owej nadludzkiej transcendencji. Jakbym na powrót został zrównany z piachem, gliną i zielskiem porastającym ziemię, ze stadem bydła wszelkich i plemieniem gnomów, kiedy już nic nie znaczy — wobec głębi nade mną — ten bolesny ułamek świadomości, dzięki któremu stać mnie na gniew nic nie znaczący — jak długo twój cień posepny będzie wisiał nade mną?! I krok podyktowany ślełą determinacją, żeby — zaciskając pięści i zęby, śmieszny w maleńkości mojej — móc się przynajmniej obrócić twarzą przeciw temu spojrzeniu z hierofanicznej wysokości.

Wykonałem gwałtowny zwrot przez ramię.

Tylko pnie drzew przede mną — strzelisty gotyk, a między nimi mroczna głębia lasu.

Zacząłem wzrok podnosić do nieba, wzdłuż pni gładkich szukając oparcia. Tylko smukłe sekwoje — maszty stworzone na statki dla goliatów. I ciągle, chociaż msza się skończyła, trwa martwa cisza na morzu i wiatr nie porusza gałęzi splecionych w żagle.

Kiedy wreszcie stanąłem z zadartą głową i rozpaczą w sercu — dostrzegłem go. Skulone puszystym kłębkim, przytulone do drzewa i drżące niby liść ostatni, tkwiło tam coś maleńkiego i szarobrązowego. To coś przycupnęło na odchodzącym od pnia konarze, cienkimi paluszkami wczepiło się w gałąź i patrzyło na mnie z wysoka beznadziejnie smutnym spojrzeniem Strefy Systemu w ogromnych, małych oczach.

Bydgoszcz 1978–1980